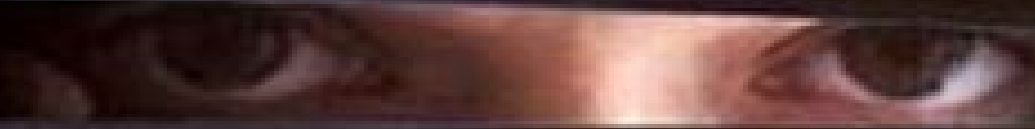


ROBERT

# LITTELL



LEGENDY

---

CZYLI MASKI SZPIEGA

Robert littell

LEGENDY  
CZYLI MASKI SZPIEGA

*Legends. A Novel of Dissimulation*

Przełożył

Marek Fedyszak



*Mary Read*

Powieść ta jest fikcją literacką. Została oparta na faktach, z tym że osoby istniejące naprawdę wykorzystano w sytuacjach fikcyjnych, a niektóre zdarzenia, rozmowy i postacie zmyślono.

*Moim muzom: Marie-Dominique oraz Victorii*

*Wszystkie nazwiska są pseudonimami.*

Romain Gary (piszący pod pseudonimem literackim Émile Ajar)

\* \* \*

*...jednym z ludzi o wielu twarzach - podobnie jak tylu wielkich szpiegów z zimnowojennej mitologii - którzy niezmiennie jawią się kimś innym, niż się wydają, a gdy sądzimy, że stanowią oś jakiejś wielkiej zagadki, okazują się częścią kolejnej, jeszcze większej łamigłówki...*

Bernard-Henri Lévy *Who Killed Daniel Pearl?*

## Spis treści

### Spis treści

- 1993: Skazaniec dostrzega w przelocie słońca
- 1997: Martin Odum słucha głosu serca
- 1994: Martin Odum wraca do życia w różnych wcieleniach
- 1997: Martin Odum odkrywa, że mało co jest święte
- 1997: Lunatyczna wędrownica Minh po krainie przelotnych przygód
- 1997: Oskar Aleksandrowicz Kastner odkrywa, jak ciężki jest papieros
- 1987: Dante Phippen zostaje terrorystą z IRA
- 1989: Dante Phippen widzi Drogę Mleczną w nowym świetle
- 1997: Martin Odum odkrywa, że *shamus* to słowo pochodzące z jidysz
- 1997: Martin Odum poznaje nowo nawróconego oportunistę
- 1997: Martin Odum zgrywa się na niewiniątko
- 1994: Jedyną strawą było mięso armatnie
- 1990: Lincoln Dittmann zaczyna żyć własnym życiem
- 1991: Lincoln Dittmann penetruje wierzchołki trójkąta
- 1997: Martin Odum jest oczarowany do łez
- 1997: Martin Odum zostaje oskarżony o zdradę stanu i inne niecne czyny
- 1997: Martin Odum trafia tam, dokąd kobiety nie mają wstępu
- 1994: Lincoln Dittmann wyjaśnia pewne sprawy
- 1994: Bernice Treffler traci pacjenta
- 1997: Martin Odum odkrywa gambit Katowskiego
- 1992: Jak Lincoln Dittmann trafił do szkoły językowej
- 1997: Martin Odum zabiera się do oglądania ćmy syberyjskiej
- 1997: Martin Odum uzyskuje *get*
- 1997: Lincoln Dittmann wypełnia luki
- 1997: Lincoln Dittmann czuje odrzut broni palnej
- 1997: Crystal Quest zaczyna wierzyć w troistość Dantego

## 1993: Skazaniec dostrzega w przelocie słonia

W końcu zabrali się do utwardzania siedmiokilometrowej drogi gruntowej łączącej wioskę Prigorodnaja z czteropasmową szosą Moskwa-Petersburg. Miejscowy pop, zwlókłszy się z łóżka po tygodniowej libacji, zapalił woskowe świece Innocentemu z Irkucka, świętemu, który w latach dwudziestych XVIII wieku naprawił drogę do Chin i właśnie miał sprowadzić do wsi cywilizację w postaci wstęgi asfaltu ze świeżo namalowanym białym pasem pośrodku. Wieśniacy, którzy mieli trafniejsze wyobrażenie o tym, jak funkcjonuje Matka Rosja, uważali, że owo świadectwo postępu, o ile było to prawidłowe określenie, najprawdopodobniej jest jakoś związane z nabyciem przed kilkoma miesiącami rozległej drewnianej dachy niesławnej pamięci Ławrientija Pawłowicza Berii przez człowieka nazywanego Oligarchą. Nie wiedziano o nim prawie nic. Od czasu do czasu przyjeżdżał i odjeżdżał lśniąącym czarnym mercedesem S-600, a gęsta czupryna jego srebrzystych włosów oraz ciemne okulary ukazywały się w przelocie za przyciemnionymi szybami auta. Miejscowa kobieta, zatrudniona do prania, widziała ponoć, jak gniewnym ruchem strzepuje popiół z cygara na bocianim gnieździe wyrastającym z dachy niczym wieżyczka, po czym odwraca się, aby wydać komuś rozkazy. Pracznia, którą przerażała nowomodna pralka elektryczna i która szorowała pranie w płytkiej wodzie pobliskiej rzeki, była zbyt daleko, by dosłyszeć coś więcej niż kilka słów: „Pogrzebać go, tego właśnie chcę, ale żywcem...”, lecz one oraz grobowy ton Oligarchy przyprawiły ją o dreszcze; trzęsła się, ilekroć opowiadała tę historię. Dwaj wieśniacy tnący drewno na opał na drugim brzegu rzeki dostrzegli Oligarchę z daleka, jak z trudem szedł o aluminiowych kulach po ścieżce za dachą do rozpadającej się fabryki papieru, która (przez czternaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu) wypluwała brudny biały dym z olbrzymich kominów, i dalej, na wiejski cmentarz oraz do cerkwi z wyblakłą farbą łuszczącą się z jej cebulastych kopuł. Dwa charty rosyjskie dokazywały przed Oligarchą, gdy wyrzucał do przodu biodro i ciągnął za nim nogę, po czym powtarzał ten ruch drugim biodrem. Za nim, z dubeltówkami w rękach, wlekli się trzej mężczyźni w dżinsach od Ralpa Laureria i tielniaszkach, charakterystycznych pasiastych

koszulkach, które komandosi często nosili po odejściu do cywila. Wieśniaków bardzo kusilo, by przyjrzeć się zgarbionemu, przysadzistemu przybyszowi bliżej, ale poniechali tego pomysłu, gdy jeden z nich przypomniał, co patriarcha, przybyły z Moskwy na uroczystości prawosławnego Bożego Narodzenia, obwieścił z pulpitu:

*Skoro jesteś na tyle głupi, by podejmować diabła obiadem, to, na litość boską, używaj długiej łyżki.*

Brygada drogowców, wraz z olbrzymimi równiarkami na gąsienicach, walcami parowymi oraz ciężarówkami wypełnionymi asfaltem i kamiennym kruszywem, pojawiła się nocą, gdy zorza polarna wciąż migotała niczym bezgłośna kanonada na północy; nie trzeba było dużej wyobraźni, by założyć, że za horyzontem toczy się wielka wojna. Rzucając wydłużone cienie w upiornym blasku reflektorów, robotnicy włożyli sztywne od smoły kombinezony oraz sięgające kolan gumowe buty i przystąpili do pracy. O pierwszym brzasku, gdy za nimi rozciągało się już czterdzieści metrów wyasfaltowanej drogi, zorza i gwiazdy zniknęły, lecz na bezksiężycowym niebie widoczne były dwie planety: jedna, Mars, prosto nad nimi, druga, Jowisz, wciąż tańcząca na zachodzie nad nisko zalegającą mgiełką przesyconą bursztynową poświatą Moskwy. Gdy dotarła do okrągłego leja, który dzień wcześniej został wyłobiony w ziemi przez koparkę parową, brygadzysta dmuchnął ostro w gwizdek. Maszyny zatrzymały się.

- Dlaczego stajemy? - zawołał niecierpliwie jeden z kierowców przez maskę, którą zrobił na oczekaniu, aby zatrzymać siarkowy smród docierający od strony fabryki, wychylając się z kabiny walca. Robotnikom, którym płacono za metr położonej nawierzchni, a nie za godzinę, bardzo zależało na szybkim posuwaniu się do przodu.

- Oczekujemy, że Jezus powróci za chwilę na ziemię jako car rosyjski - zawołał leniwie w odpowiedzi brygadzysta. - Nie chcemy przegapić chwili, gdy przejdzie na drugą stronę rzeki. - Odpalił tureckiego papierosa od dogasającego niedopałka i wolnym krokiem zszedł na brzeg rzeki, która na odcinku kilku kilometrów płynęła wzdłuż drogi. Rzeka nazywała się Lesnaja, od gęstego lasu, przez który wiła się, omijając Prigorodną. O szóstej dwanaście zimne słońce powoli przesunęło się nad drzewa i zaczęło odparowywać gęstą jak gaz musztardowy mgiełkę, która kurczowo trzymała się rzeki, tworzącej z obu stron płytkie mokradła; widać było długie źdźbła trawy falujące w prądzie wody.

Rybacka jolka, która wyłoniła się z mgły, zdołała tylko dopłynąć do



brzegu koryta rzeki i jej trzech użytkowników musieli wysiąść i pokonać resztę drogi, brodząc. Dwaj mężczyźni noszący komandoskie koszulki ściągnęli buty oraz skarpety i podwinęli nogawki dżinsów do kolan. Trzeci pasażer nie musiał tego robić. Był zupełnie nagi. Na jego głowie spoczywała korona cierniowa, z rozdartych cierniami miejsc na skórze spływała strużkami krew. Między łopatkami wpięto mu w ciało agrafkę z przymocowanym do niej kawałkiem tektury; na tekturze wydrukowano napis: „Szpieg Kafkor”. Więzień, z rękami skrępowanymi z tyłu w nadgarstkach i łokciach kawałkiem przewodu elektrycznego, miał na twarzy kilkutygodniową potarganą brodę, a na wychudłym ciele fioletowe sińce i coś, co wyglądało jak miejsca przypalone papierosami. Stąpając ostrożnie przez nadbrzeżny muł, dopóki nie dotarł do ubitej ziemi, ze zdezorientowanym wyrazem twarzy przyglądał się swojemu odbiciu w płytkiej wodzie, a tymczasem komandosi wytarli stopy starą koszulą, po czym włożyli skarpety oraz buty i odwinęli nogawki spodni.

Szpieg chyba nie rozpoznał osoby spoglądającej na niego z powierzchni wody.

Teraz dwa tuziny robotników, zafascynowanych przybyciem trzech postaci, straciło całe zainteresowanie pracą. Kierowcy wyskoczyli z kabin, mężczyźni trzymający grace i łopaty stali zakłopotani, przestępując z nogi na nogę. Nikt nie miał wątpliwości, że nagiego Chrystusa, którego komandosi ponaglali szturchańcami po pochyłości terenu, zaraz spotka coś okropnego. Było oczywiste, że mieli być tego świadkami i o tym rozpowiedzieć. Obecnie takie rzeczy były w Rosji na porządku dziennym.

Znalazłszy się z powrotem na świeżo wyasfaltowanej jezdni, sprzętowy brygady wytarł spocone dłonie o gruby skórzany fartuch, po czym ściągnął pojemnik na obiad z furmanki zastawionej sprzętem spawalniczym i wdrapał się po pochyłości, by móc lepiej śledzić przebieg wydarzeń. Sprzętowy, który był niski i krzepki i nosił przyciemniane okulary w drucianych oprawkach, otworzył wieko pojemnika i sięgnął do środka, by uruchomić ukryty aparat fotograficzny, zainstalowany tak, by fotografować przez otwór w dnie termosu. Swobodnie balansując termosem na kolanach, zaczął obracać zakrętką i pstrykać zdjęcia.

Więzień, nagle świadomy, że patrzą na niego wszyscy członkowie brygady, zdawał się bardziej zrozpaczony swoją nagością niż trudnym położeniem - dopóki nie dostrzegł leja. Lej miał z grubsza wielkość koła dużego traktora. Obok na ziemi ułożono na stercie grube deski. Mężczyzna

zamarł w bezruchu i komandosi musieli chwycić go pod pachy i wlec przez ostatnie kilka metrów. Więzień osunął się na kolana na krawędzi leja i obejrzał się na robotników zapadniętymi z przerażenia oczami, z ustami otwartymi i łapczywie wciągającymi powietrze do suchego gardła. Zobaczył znane sobie rzeczy, ale jego przytępiony strachem umysł nie potrafił odnaleźć słów potrzebnych do ich opisania: bliźniacze kominy wypluwające smugi brudnego białego dymu, opuszczony posterunek celny z wyblakłą czerwoną gwiazdą namalowaną nad drzwiami, rząd pobielonych wapnem ulów na zboczu w pobliżu zagajnika skarłowaciałych jabłoni. „To wszystko było strasznym snem” - pomyślał. Lada chwila będzie zbyt przerażony, by dalej śnić; przedrze się przez błonę, która oddzielała sen od jawy, otrze pot z czoła i wciąż pod wpływem tego koszmaru będzie miał kłopoty z ponownym zaśnięciem. Lecz pod kolanami czuł wilgotną i zimną ziemię, woń siarkowych wylęgów wywoływała pieczenie w nozdrzach, zimne słońce igrające na jego skórze zdawało się wzniecać ból w miejscach przypalonych papierosami, a ten ból uświadomił mu, że to, co się stało i co zaraz się stanie, nie jest snem.

Lśniący mercedes jechał powoli gruntową drogą ze wsi tuż przed wozem obstawy, metalizowanym szarym land cruiserem pełnym ochroniarzy. Żaden z samochodów nie miał tablic rejestracyjnych i robotnicy obserwujący rozgrywającą się scenę zrozumieli, że to oznacza, iż ludzie w tych autach są zbyt ważni, żeby zatrzymywała ich milicja. Mercedes skręcił tak, że stał w poprzek drogi kilkanaście metrów od klęczącego więźnia. Szyba w tylnym oknie otworzyła się na szerokość dłoni. Widać było, jak Oligarcha zerka na zewnątrz przez ciemne okulary. Wyjął cygaro z ust i długo przyglądał się nagiemu mężczyźnie, jakby utrwał w pamięci ten obraz i tę chwilę. Po czym z wyrazem prawdziwej wrogości na twarzy wyciągnął jedną z kul i poklepał nią po ramieniu mężczyznę siedzącego obok kierowcy. Przednie drzwi otworzyły się i mężczyzna wysiadł z samochodu. Był chudy, średniego wzrostu, miał pociągłą twarz. Nosił szelki, które podciągały jego spodnie powyżej pasa, oraz ciemnogrnatową włoską marynarkę narzuconą niczym peleryna na wykrochmaloną białą koszulę bez krawata, zapiętą aż po rzucającą się w oczy grdykę. Na kieszeni koszuli były wyhaftowane inicjały „S” oraz „U-Ż”. Mężczyzna ruszył długim krokiem do wozu obstawy i wyjął zapalonego papierosa z ust jednego z ochroniarzy. Trzymając go między kciukiem a środkowym palcem, podszedł do więźnia. Kafkor uniósł wzrok, zobaczył papierosa i cofnął się, sądząc, że zaraz zostanie napiętnowany jego

palącym się końcem. Lecz S. U-Ż., uśmiechając się blado, tylko sięgnął ręką w dół i wetknął mu papierosa do ust.

- To sprawa tradycji - wyjaśnił. - Człowiek skazany na śmierć ma prawo do ostatniego papierosa.

- Oni... zniszczyli mnie, Samacie? - wyszeptał chropawym głosem Kafkor. Rozpoznał czuprynę srebrzystych włosów na głowie postaci obserwującej go z tylnej kanapy mercedesa. - Zamknęli mnie w piwnicy zalanej ściekami, nie mogłem odróżnić dnia od nocy. Straciłem poczucie czasu, budzili mnie... głośną muzyką, gdy zasypiałem. Gdzie, wyjaśnij mi to, jeżeli istnieje wyjaśnienie, tkwi przyczyna? - Skazaniec mówił po rosyjsku z wyraźnym polskim akcentem, podkreślając otwarte „o” i zawsze akcentując przedostatnią sylabę. Przerazenie wykręcało wypowiedziane przezeń zdania w barokowe konstrukcje gramatyczne. - Ostatnią rzeczą, jaką bym komukolwiek powiedział, to to, czego nie powinienem wiedzieć.

Samat wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Tą sprawą już się nie zajmuję”.

- Za bardzo zbliżyłeś się do płomienia, więc musisz spłonąć, choćby ku przestrodze innym.

Kafkor, drżąc, zaciągnął się papierosem. Palenie oraz drażniący mu gardło dym zdawały się go rozpraszać. Samat patrzył na popiół, czekając, aż spadnie pod własnym ciężarem, tale żeby mogli kontynuować egzekucję. Kafkor, wciągając dym, również spostrzegł spopielony koniec papierosa. Samo życie zdawało się zależeć od tego popiołu. Na przekór sile ciężenia i logice słupek popiołu zrobił się dłuższy od niewypalonej części papierosa.

A potem wiatr dolatujący z szumem od strony rzeki oderwał popiół od niedopałka. Kafkor wypluł go z ust.

- *Paszoł ty na chuja* - wyszeptał, starannie artykułując „o” w słowie *paszoł*. „Chuj ci w dupę”. Odchylił się na pięty i popatrzył spod zmrużonych powiek w kierunku zagajnika. - Spójrz! - wyrwało mu się, gdy przewyciężył strach po to tylko, by stanąć w obliczu nowego wroga, szaleństwa. - Tam! - Wciągnął powietrze. - Widzę słońca. Można powiedzieć, że bestia jest odrażająca.

Tylne drzwi mercedesa po przeciwnej stronie otworzyły się gwałtownie i włąła kobieta, ubrana w płócienny płaszcz do kostek i chłopskie kalosze, potykając się, wysiadła z samochodu. Na głowie miała czarny toczek z grubą woalką, która opadała jej na oczy, utrudniając komuś, kto jej nie znał, ocenę jej wieku.

- Józef... - wrzasnęła piskliwie. Podeszła niepewnym krokiem w stronę więźnia, który właśnie miał zostać stracony, po czym, osuwając się na kolana, odwróciła się do mężczyzny siedzącego z tyłu samochodu. - A jeżeli zacznie padać śnieg? - zawołała.

Oligarcha pokręcił głową.

- Zaufaj mi, Krystyno... będzie mu cieplej, jeżeli dziurę pokryje śnieg.

- On jest dla mnie jak syn - zaszlochała kobieta, a jej łamiący się głos przeszedł w cichnący skowyt. - Nie wolno nam go grzebać, dopóki nie zjadł obiadu.

Wciąż na kolanach, trzęsąc się od szlochu, zaczęła pełznąć po ziemi w stronę leja. Oligarcha kiwnął palcem. Kierowca wyskoczył zza kierownicy i przyciskając dłoń do ust kobiety, zaciągnął ją, na wpół niosąc, z powrotem do samochodu i wepchnął na tylne siedzenie. Zanim zatrzasnęły się drzwi, rozległ się jej szlochający głos:

- A jeżeli śnieg nie spadnie, to wtedy co?

Oligarcha obserwował resztę egzekucji przez przyciemnione szkło szyby. Dwaj komandosi chwycili więźnia za ręce i ułożyli go na boku, zwiniętego w pozycji embrionalnej, w okrągłej dziurze. Potem zaczęli zakrywać lej grubymi deskami, wciskając je kopnięciami w ziemię, tak aby znalazły się w jednej płaszczyźnie z drogą gruntową. Następnie naciągnęli na nie kawałek drucianej siatki. Przez cały czas nikt nie odezwał się ani słowem. Robotnicy na zboczu, zaciągając się papierosami, odwracali wzrok lub patrzyli w ziemię.

Gdy komandosi zasłonili lej, cofnęli się, by podziwiać swoją robotę. Jeden z nich pomachał do kierowcy ciężarówki. Ten siadł za kierownicą, podjechał tyłem do leja i przesunął dźwignię platformy, żeby wylać asfalt na drogę. Kilku robotników podeszło i rozprowadzało go długimi gracami, dopóki gruba błyszcząca warstwa asfaltu nie zakryła całkowicie desek. Odsunęli się, a komandosi dali sygnał kierowcy walca. Kłęby czarnego dymu leciały z rury wydechowej, gdy zardzewiała maszyna toczyła się ciężko w kierunku brzegu leja. Gdy wydawało się, że kierowca się waha, zabrzmiał klakson mercedesa i stojący nieopodal ochroniarz, zirytowany, machnął ręką.

- Nie mamy całego dnia - zawołał, przekrzykując ryk silnika. Kierowca wrzucił bieg i ruszył przez lej, ubijając asfalt. Gdy dotarł na drugą stronę, cofnął się, po czym gwałtownie wysiadł z szoferki, żeby przyjrzeć się nowo wyasfaltowanemu odcinkowi szosy. Nagle zerwał zrobioną na poczekaniu maskę i schylając się, zwymiotował sobie na buty.

Mercedes wycofał się niemal bezgłośnie, wyminął wóz obstawy i ruszył drogą gruntową w stronę rozległej drewnianej dachy na skraju wioski Prigorodnaja, która wkrótce miała zostać połączona z szosą Moskwa-Petersburg - oraz ze światem - wstęgą asfaltu przekreśloną pośrodku świeżo namalowaną białą linią.

## 1997: Martin Odum słucha głosu serca

Martin Odum, odziany w sprany kombinezon jednoczęściowy oraz stary korkowy hełm ze zwisającą zeń siatką chroniącą głowę, ostrożnie zbliżył się do ulów na dachu. Podszedł od tyłu, aby nie blokować toru lotu pszczołom powracającym do ramek ula. Naciskał miechy dymnika, włączając zwiewną białą chmurę do najbliższego z dwóch ulów; dym ostrzegł pszczelą rodzinę przed niebezpieczeństwem, pobudzając dwadzieścia tysięcy pszczoł w środku do obżerania się miodem, co je uspokajało. Kwiecień był dla nich naprawdę najokrutniejszym miesiącem, ponieważ nie było żadnej pewności, czy po zimie zostanie wystarczająco dużo miodu, by nie pomarły z głodu; gdyby ramki w ulu były zbyt lekkie, musiałby zrobić syrop z cukru i włożyć go do ula, zapewniając przeżycie matce oraz jej rodzinie do czasu, aż się ociepli i drzewa w Brower Park okryją się pączkami. Martin gołą ręką wyjął jedną z ramek; ulów doglądał w rękawicach, dopóki Minh, z którą kochał się od czasu do czasu, pracująca w chińskiej restauracji na parterze poniżej sali bilardowej, nie poinformowała go, że pszczele żądła pobudzają hormony i wzmagają popęd płciowy. W ciągu dwóch lat hodowania pszczoł na dachu brooklyńskiego budynku Martin doznał wielu ukąszeń, ale nigdy nie zaobserwował, by wpłynęło to w jakikolwiek sposób na jego hormony; z drugiej strony, ukłucia zdawały się ożywiać wspomnienia, do których nie bardzo chciał wracać.

Martin, który pod oczami miał ciemne doły niebędące skutkiem niewyspania, podważył pierwszą ramkę i delikatnie wyjął ją na zewnątrz, by przyrzeć się jej uważnie w południowym słońcu. Setki robotnic, bcząc w popłochu, przywarły do plastrów miodu, którego zasoby były uszczuplone, ale wciąż wystarczające, by wyżywić całą rodzinę. Oskrobał plaster i sprawdził, czy nie ma na nim śladów zgnilca. Nie znajdując żadnych, ostrożnie wsunął ramkę z powrotem do ula, po czym cofnął się, ściągnął hełm i pacnął żartobliwie kilka pszczoł, które leciały w ślad za nim, szukając zemsty.

- Nie dzisiaj, przyjaciele - rzekł z cichym śmiechem, chroniąc się w budynku, i zatrzasnął za sobą drzwi na dach.

Na dole, w pokoju na zapleczu dawnej sali bilardowej, która teraz służyła

za mieszkanie, zdjął kombinezon i rzuciwszy go na niezaścielone łóżko polowe, nalał sobie czystej whiskey. Wybrał jednego ganaesh bidi z cienkiej puszki wypełnionej indyjskimi papierosami. Zapalając go i zaciągając się dymem z zawiniętego w liście eukaliptusa tytoniu, usadowił się na obrotowym krześle z pękniętym wyplatanym oparciem, które drapało go w plecy; dostał je za bezcen na wyprzedaży rzeczy używanych na Crown Heights w dniu, w którym wynajął dawną salę bilardową i przykleił nieruchome oko, symbol agencji Alana Pinkertona, na drzwiach od ulicy nad napisem „Martin Odum - prywatny detektyw”. Opary bidi, które zapachem przypominały marihuanę, miały na niego taki sam wpływ jak dym na pszczoły: sprawiły, że zachciało mu się jeść. Otworzył puszkę sardynek, nałożył je łyżką na niemyty od kilku dni talerz i zjadł z czerstwym kawałkiem pumpernikla, znalezionym w lodówce, którą (przypomniał sobie) koniecznie trzeba było rozmrozić. Resztką pumpernikla wytarł talerz do czysta, odwrócił go do góry dnem i użył jako spodka. Był to nawyk, którego Dante Pippen nabrał na dziewczycach, pełnych fantastycznych form skalnych, plemiennych obszarach Pakistanu w pobliżu przełęczy Chajber; garstka Amerykanów prowadzących tam agentów lub operacje ścierała ryż i tłustą baraninę z talerza, o ile mieli coś, co przypominało talerze, po czym odwracała je drugą stroną i jadła z nich owoce w tych rzadkich przypadkach, gdy natrafiali na coś podobnego do owoców. Wspomnienie szczegółu z przeszłości, choćby banalnego, dało Martinowi posmak zadowolenia. Kilkoma zręcznymi ruchami ostrego niczym brzytwy noża obrał mandarynkę na odwróconym dnie talerza.

- *To zabawne, jak pewne rzeczy, które robimy, robimy dobrze za pierwszym razem* - wyznał doktor Treffler podczas jednej z ich pierwszych sesji.

- *Na przykład?* - zapytała głosem tak bezbarwnym, że zdradzał całkowity brak zainteresowania odpowiedzią.

- *Na przykład obieranie mandarynki. Na przykład przycinanie lontu do plastycznego materiału wybuchowego na długość wystarczającą, by dać sobie czas na wydostanie się poza zasięg rażenia. Na przykład przekazywanie przesyłki łącznikowi na jednym z zatłoczonych bejruckich suków.*

- *Jakiego pseudonimu używałeś w Bejrucie?*

- *Dante Pippen.*

- *Czy to nie ten* - doktor Treffler przerzuciła stronę w swoim notesie z luźnymi kartkami - *który miał uczyć historii w kolegium? Ten, który napisał*

książkę o wojnie secesyjnej, wydrukowaną własnym sumptem, gdy nie mógł znaleźć wydawcy skłonnego podjąć się publikacji?

- Nie, myślisz o Lincolnie Dittmannie, przez dwa „t” i dwa „n”. Pippen był irlandzkim dynamitardem z Castletownbere, który zaczął jako instruktor od materiałów wybuchowych na „farmie”. Później, udając dynamitarda z IRA, przeniknął do sycylijskiej rodziny mafijnej, talibskich mułłów w Peszawarze oraz oddziału Hezbollahu w libańskiej dolinie Bekaa. Właśnie ta ostatnia misja doprowadziła do jego demaskacji.

Doktor Treffler skinęła głową, dopisując jakąś uwagę na kartce.

- Trudno mi śledzić twoje różne wcielenia.

- Mnie również. Właśnie dlatego tu jestem.

Uniosła wzrok znad notesu.

- Czy na pewno zidentyfikowałeś wszystkie swoje biografie operacyjne?

- Zidentyfikowałem te, które pamiętam.

- Czy masz wrażenie, że możesz wypierać jakieś ze świadomości?

- Nie wiem. Zgodnie z twoją teorią istnieje możliwość, że wypieram przynajmniej jedną z nich.

- Literatura przedmiotu jest mniej lub bardziej zgodna co do tego...

- Sądziłem, że nie jesteś przekonana, czy dobrze pasuję do literatury przedmiotu.

Doktor Treffler błysnęła bardzo rzadkim u niej uśmiechem, który wyglądał niczym obcy przedmiot na jej pozbawionej zwykle wyrazu twarzy.

- Jesteś hors genre, Martinie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nikt w mojej profesji nie natknął się na kogoś takiego jak ty. Będzie spore poruszenie, gdy opublikuję mój referat...

- Zmieniając nazwiska, aby chronić niewinnych.

Ku zaskoczeniu Martina pani doktor zaprezentowała coś, co można było uznać za poczucie humoru.

- Zmieniając nazwiska także po to, żeby chronić winnych.

Są inne rzeczy, pomyślał teraz Martin (kontynuując w myślach rozmowę z doktor Treffler), których chyba nie robimy lepiej, choćbyśmy robili je po raz n-ty. Na przykład (mówił dalej, uprzedzając jej pytanie) obieranie ugotowanych na twardo jaj ze skorupki. Na przykład włamywanie się do pokoi w tanich hotelach, żeby sfotografować żonatych mężczyzn uprawiających seks oralny z prostytutkami. Na przykład sprawianie na psychiatrze dopuszczonym do tajemnic Firmy wrażenia, że nie ma się wielkiej nadziei na wyjście z kryzysu tożsamości. Proszę mi jeszcze raz



powiedzieć, co ma pan nadzieję wynieść z tych rozmów? - słyszał, jak pyta. Dostarczył odpowiedzi, którą w jego mniemaniu chciała usłyszeć: *Teoretycznie chciałbym wiedzieć, które z moich wcieleń to ja.* Słyszał, jak ona pyta: *Dlaczego teoretycznie?* Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Potem, kręcąc głową, ze zdziwieniem usłyszał swoją głośną odpowiedź:

- Nie jestem pewien, czy muszę to wiedzieć; w praktyce może łatwiej mi będzie dalej prowadzić nudne życie, jeżeli nie będę wiedział.

Martin ciągnąłby jeszcze ów zmyślony dialog z doktor Treffler, choćby tylko dla zabicia czasu, gdyby nie usłyszał dzwonka przy drzwiach. Przeszedł po cichu bosy przez salę bilardową, którą przekształcił w biuro, używając jednego z dwóch stołów jako biurka, a drugiego jako miejsca ekspozycji zbioru broni palnej z czasów wojny secesyjnej, będącego własnością Lincolna Dittmanna. U szczytu słabo oświetlonych wąskich drewnianych schodów prowadzących do drzwi na ulicę przykucnął i zerknął w dół, aby sprawdzić, kto to może dzwonić. Przez napis oraz logo agencji detektywistycznej Pinkertona zdołał dojrzeć kobietę stojącą plecami do drzwi i przyglądającą się pojazdom na Albany Avenue. Poczekał, chcąc się przekonać, czy znowu zadzwoni. Gdy to zrobiła, zszedł do holu i otworzył dwa zamki oraz drzwi.

Chociaż świeciło słońce, kobieta miała na sobie długi płaszcz przeciwdeszczowy i przewieszoną przez ramię skórzaną torbę. Jej ciemne włosy były ściągnięte do tyłu i splecione w warkocz, który opadał do wygięcia pleców nad pośladkami - miejsca, gdzie Martin nosił krótką broń palną (zmniejszył szlufkę kabury tak, aby podnieść pistolet do wysokości starej rany po szrapnelu) w czasach, gdy był uzbrojony w coś bardziej zabójczego niż cynizm. Rąbek płaszcza wybrzuszył się nad jej kostkami, gdy odwróciła się twarzą do niego.

- Więc to pan jest tym detektywem? - zapytała.

Martin przyjrzał się jej badawczo, tak jak nauczono go patrzeć na ludzi, których pewnego dnia będzie musiał rozpoznać w albumie kontrwywiadu. Wyglądała na trzydzieści kilka lat - odgadywanie wieku kobiet nigdy nie było jego silną stroną. Pajęczyna zmarszczek rozchodziła się promieniście od kącików jej lekko, lecz stale zmrużonych oczu. Na cienkich wargach błąkał się grymas, który z oddali można było wziąć za cień uśmiechu, a z bliska wyglądał na wyraz tłumionej irytacji. Z tego, co widział, kobieta nie była umalowana; czuł słabą woń perfum z olejku różanego, która zdawała się docierać spod kołnierza jej płaszcza. Gdyby nie uszczerbiony siekacz, można

by uznać, że jest ładna.

- W tym wcieleniu - odparł w końcu - powinienem być detektywem.

- Czy to znaczy, że miał pan inne wcielenia?

- Poniekąd tak.

Przestąpiła z nogi na nogę.

- Ma pan zamiar zaprosić mnie do środka czy nie?

Martin odsunął się na bok i wskazał ruchem głowy na schody. Kobieta zawahała się, jakby oceniała, czy ktoś mieszkający nad chińską restauracją naprawdę może być zawodowym detektywem. Widocznie uznała, że nie ma nic do stracenia, ponieważ odetchnęła głęboko i obracając się bokiem, odchyłona do ściany, przesunęła się obok Martina i ruszyła po schodach. Gdy dotarła do sali bilardowej, obejrzała się za siebie, by patrzeć, jak on wyłania się z mroku klatki schodowej. Zauważyła, że idąc, oszczędza lewą nogę.

- Co się panu stało w stopę?

- Ucisk na nerw. Drętwieje mi noga.

- Czy w pańskiej profesji utykanie nie jest mankamentem?

- Wręcz przeciwnie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie podejrzewał kuternogi o to, że go śledzi. To za bardzo rzuca się w oczy.

- Mimo wszystko powinien to ktoś obejrzeć.

- Chodzę do chasydzkiego specjalisty od akupunktury i do haitańskiego ziołarza, ale nie odróżniam jednego od drugiego.

- Pomogli panu?

- Yhm. Jeden z nich pomógł, teraz noga mniej drętwieje, ale nie jestem pewien który.

Na ustach kobiety pojawił się cień uśmiechu.

- Wygląda na to, że ma pan talent do komplikowania prostych spraw.

Martin z chłodną uprzejmością, maskującą, jak bliski jest utraty zainteresowania dalszą rozmową, odparł:

- W moim przekonaniu lepsze to niż upraszczanie spraw skomplikowanych.

Kładąc torebkę na podłodze, kobieta zdjęła płaszcz i starannie złożyła go na poręcz. Miała na nogach buty do biegania, dopasowane spodnie z zaszewkami w talii oraz męską koszulę. Martin spostrzegł, że trzy górne guziki były rozpięte, odsłaniając trójkątny kawałek bladej skóry na piersi. Nie było widać bielizny. Pod wpływem tej obserwacji wciągnął policzki; wydało mu się, że ostatecznie pszczele żądła mogą przynieść pewien skutek.

Kobieta odwróciła się od niego i weszła do sali bilardowej, ogarniając

spojrzeniem wyblakły zielony filc na dwóch starych stołach, kartony firmy przeprowadzkowej szczelnie zaklejone taśmą maskującą, umieszczone na stercie w kącie obok przyrządu do treningu wioślarskiego, oraz wentylator sufitowy obracający się tak nieskończenie powoli, że zdawał się przekazywać letargiczny rytm swojej pracy przestrzeni, którą wietrzył. Najwyraźniej był to świat, w którym czas spowolnił swój bieg.

- Nie wygląda pan na kogoś, kto pali cygara - zauważyła, spostrzegłszy mahoniowy pojemnik na stole bilardowym, który służył za biurko.

- Nie palę. To na zapalniki.

- Zapalniki?

Kobieta otworzyła wieko pojemnika.

- Przypominają tekturowe naboje do śrutówki.

- Zapalniki i tekturowe naboje trzeba przechowywać w suchym miejscu.

Posłała mu niespokojne spojrzenie i kontynuowała inspekcję.

- Nie opływa pan w dostatki - stwierdziła, rzucając te słowa przez ramię, gdy krążyła po szerokich deskach podłogi.

Martin pomyślał o wszystkich dziuplach, w których mieszkał, urządzonych w staromodnym stylu skandynawskim; podejrzewał, że CIA musiała kupować otwieracze do konserw, sokowirówki oraz szczotki do muszli klozetowych tysiącami, bo w każdej dziupli były one identyczne. Ponieważ zaś były to bezpieczne kryjówki, żadna z nich nie była całkowicie bezpieczna.

- Posiadanie wygod to błąd - rzekł teraz. - Miękkie kanapy, wielkie łóżka, duże wanny, temu podobne rzeczy. Jeżeli bowiem nic nie jest wygodne, człowiek się nie zadomawia i stale przenosi z miejsca na miejsce. A jeżeli się przemieszcza, trudniej go dopaść. - Błyskając krzywym uśmiechem, dodał: - Dotyczy to zwłaszcza tych z nas, którzy kuleją.

Patrząc przez otwarte drzwi do pomieszczenia na zapleczu, kobieta dostrzegła zmięte gazety leżące wokół polowego łóżka i zapytała:

- O co chodzi z tymi gazetami na podłodze?

Słyszając jej słowa, Martin przypomniał sobie, jak przyjemną dla ucha muzyką może być zwykły ludzki głos.

- Nauczyłem się tej sztuczki, oglądając *Sokoła maltańskiego*. Gość nazwiskiem Thursby trzymał gazety wokół łóżka, żeby nikt nie mógł podkraść się do niego podczas snu. - Cierpliwość Martina była na wyczerpaniu. - Wszystkiego, co wiem o detektywistycznej profesji, nauczyłem się od Humphreya Bogarta.

Kobieta wróciła do punktu wyjścia i stanęła przed Martinem; bacznie przyjrzała się jego twarzy, ale nie wiedziała, czy kpi sobie z niej. Miała wątpliwości, czy powinna wynająć człowieka, który nauczył się fachu z hollywoodzkich filmów.

- Czy to prawda, że detektywów nazywano „szpiczlami”? - zapytała, przyglądając się jego bosym stopom. Cofnęła się do stołu bilardowego zastawionego ładowaną od przodu bronią palną, prochownicami z rogu oraz medalami wojsk Unii przypiętymi do szkarłatnej poduszki, próbując wymyślić jakąś bajkę, dzięki której mogłaby wydostać się stamtąd bez obrazy jego uczuć. Nie wiedząc, co powiedzieć, w zamyśleniu wodziła palcami po mosiężnym celowniku optycznym starego karabinu. - Mój ojciec kolekcjonuje broń z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej - zauważyła.

- Aha. Znaczy, że jest Rosjaninem. W Ameryce nazywamy ją drugą wojną światową. Byłbym wdzięczny, gdyby nie dotykała pani broni. To angielski whitworth. Ulubiony karabin strzelców wyborowych Konfederacji. Tekturowe naboje w pojemniku na cygara są właśnie do niego. Podczas wojny secesyjnej naboje do whitworthów były drogie, ale wprawny snajper mógł z tej broni trafić we wszystko, co widział.

- Ma pan bzika na punkcie wojny secesyjnej?

- Ja nie, moje *alter ego* - odparł. - Niech pani posłucha, dość już tej rozmowy o niczym. Pora przejść do rzeczy, moja droga. Musi się pani jakoś nazywać.

Kobieta uniosła lewą dłoń, by zasłonić trójkątny kawałek odsłoniętej skóry na piersi.

- Nazywam się Estelle Kastner - oznajmiła. - Garstka przyjaciół, jakich mam, nazywa mnie Stellą.

- Kim pani jest? - nie ustępował Martin, próbując się dogrzebać do głębszych warstw tożsamości.

To pytanie zaskoczyło ją; Martin wyraźnie zyskiwał przy bliższym poznaniu, co zwiększało nadzieję, że jednak będzie mógł jej pomóc.

- Niech pan posłucha, Martinie Odum, nie wszystko naraz. Chce pan dowiedzieć się, kim jestem, to będzie pan musiał poświęcić mi trochę czasu.

Martin oparł się o poręcz.

- Na co pani liczy z mojej strony?

- Liczę, że potrafi pan znaleźć męża mojej siostry, który ją samowolnie opuścił.

- Dlaczego nie spróbuje pani na policji? Mają biuro osób zaginionych,

które specjalizuje się w tego typu sprawach.

- Dlatego że policja, o którą chodzi, jest w Izraelu. I ma pilniejsze rzeczy do roboty niż poszukiwanie zaginionych mężów.

- Skoro mąż siostry zaginął w Izraelu, czemu szuka go pani w Ameryce?

- Sądzimy, że Stany to jedno z miejsc, do których mógł się udać po wyjeździe z Izraela.

- Sądzimy?

- Mój ojciec, Rosjanin, który nazywa drugą wojnę światową Wielką Wojną Ojczyźnianą.

- Jakie są te inne miejsca?

- Mąż siostry ma współpracowników w Moskwie i Uzbekistanie. Wygląda na to, że był też zaangażowany w jakieś przedsięwzięcie w Pradze. Używał papieru firmowego z londyńskim adresem w nagłówku.

- Niech pani zacznie od początku.

Stella Kastner podciągnęła się na brzeg stołu bilardowego, którego Martin używał jako biurka.

- Oto jak wyglądają fakty - powiedziała, krzyżując nogi w kostkach i gmerając przy najniższym nierozpiętym guziku koszuli. - Moja przyrodnia siostra, córka mojego ojca z pierwszego małżeństwa, zrobiła się pobożna i wkrótce po naszym przyjeździe do Stanów, co nastąpiło w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku, wstąpiła do sekty Lubawicz na Crown Heights. Kilka lat temu tamtejszy rabin przyszedł do ojca i zaproponował zaaranżowanie małżeństwa jego córki z rosyjskim członkiem sekty, który chciał wyemigrować do Izraela, nie mówił jednak po hebrajsku i szukał pobożnej żony znającej rosyjski. Ojciec podchodził do wyjazdu Eleny z Brooklynu z mieszanymi uczuciami, ale moja siostra marzyła o zamieszkaniu w Izraelu i przekonała go, by wyraził zgodę. Z powodów zbyt złożonych, żeby w nie teraz wchodzić, ojciec nie mógł podróżować, więc to ja towarzyszyłam Elenie, gdy poleciała do Izraela. Na miejscu wzięłyśmy *szerut* - zauważyła zmarszczone w wyrazie zakłopotania brwi Martina - to miejska taksówka, pojechałyśmy nią do żydowskiego osiedla Kiriat Arba na Zachodnim Brzegu, w sąsiedztwie Hebronu. Pięć kwadransów po wylądowaniu samolotu Elenie, która zmieniła imię na Ja'ara, gdy postawiła stopę na izraelskiej ziemi, udzielił ślubu tamtejszy rabin, który dziesięć lat wcześniej wyemigrował z Crown Heights.

- Proszę mi opowiedzieć o tym Rosjaninie, którego pani siostra zgodziła się poślubić, nawet go nie obejrzawszy.

- Nazywał się Samat Ugor-Żyłow. Był średniego wzrostu i bardzo chudy, mimo że podczas posiłków prosił o dokładkę i jeszcze podjadał między posiłkami. Zapewne z powodu nietypowej przemiany materii. Był bardzo nerwowym osobnikiem, nie potrafił usiedzieć w miejscu. Jego twarz wyglądała tak, jakby ktoś trzymał ją w imadle, była długa, chuda i ponura; jakby właśnie opłakiwał śmierć bliskiego krewnego. Źrenice jego oczu miały kolor morskich wodorostów, a same oczy były zupełnie wyzbyte uczuć, zimne i wyrachowane, tak bym je określiła. Nosił kosztowne włoskie garnitury i koszule z wyhaftowanymi na piersi inicjałami. Nigdy nie widziałam go w krawacie, nawet na jego ślubie.

- Rozpoznałaby go pani przy ponownym spotkaniu?

- To dziwna sprawa. Mógłby być w arabskim nakryciu głowy, a wyłowiłabym go z tłumu, o ile tylko widziałabym jego oczy.

- Czym się zajmował?

- Jeżeli ma pan na myśli zajęcie w zwykłym znaczeniu tego słowa, to niczym. Nowy dwupoziomowy dom na obrzeżach Kiriat Arba kupił za gotówkę, tak przynajmniej powiedział mi szeptem do ucha rabin, gdy szliśmy do synagogi na ceremonię ślubną. Był właścicielem nowiutkiej hondy i za wszystko płacił, przynajmniej na moich oczach, gotówką. Przebywałam w Kiriat Arba przez dziesięć dni, a dwa lata później przyjechałam na kolejne dziesięć, ale nigdy nie widziałam, by chodził do synagogi studiować Torę lub do biura, jak niektórzy mężczyźni z osiedla. W domu były dwa telefony oraz faks i można było odnieść wrażenie, że jeden z nich stale dzwonił. W niektóre dni Samat zamykał się w sypialni na górze i bez przerwy, całymi godzinami, rozmawiał przez telefon. W tych nielicznych przypadkach, gdy rozmawiał w mojej obecności, przechodził na ormiański.

- Yhm.

- Co yhm?

- Wygląda mi na jednego z tych nowych rosyjskich kapitalistów, o których czyta się w gazetach. Czy pani siostra miała dzieci?

Stella pokręciła głową.

- Nie. Prawdę, okropną prawdę, mówiąc, nie jestem pewna, czy ich małżeństwo w ogóle zostało skonsumowane. - Stella Kastner zsunęła się ze stołu i podeszła do okna, by wyjrzeć na ulicę. - Faktem jest, że nie winię go za to, że ją zostawił. Myślę, że Elena - nigdy nie przywykłam do jej nowego imienia - nie ma bladego pojęcia, jak zadowolić mężczyznę. Samat przypuszczalnie uciekł z tlenioną blondynką, która dała mu więcej rozkoszy

w łóżku.

Martin, słuchający apatycznie, ożywił się.

- Popelnia pani taki sam błąd jak większość kobiet. Jeżeli uciekł z inną kobietą, to dlatego, że potrafił dać jej więcej rozkoszy w łóżku.

Stella odwróciła się, by na niego spojrzeć. Jej oczy zwęziły się w szparki.

- Nie mówi pan jak detektyw.

- Jasne, że mówię. Bogart powiedziałby coś takiego, aby przekonać klientkę, że pod maską cynizmu kryje się wrażliwa dusza.

- Jeżeli właśnie tego próbuje pan dokonać, to działa.

- Mam pytanie: czemu pani siostra nie skłoni miejscowego rabina, aby zeznał, że mąż od niej uciekł, i dał im rozwód *in absentia*?

- W tym cały szkopuł. W Izraelu pobożna kobieta musi otrzymać rozwód od trybunału judaistycznego, zanim będzie mogła na nowo ułożyć sobie życie. Rozwód nazywa się *get*. Bez niego Żydówka pozostaje *aguna*, co oznacza kobietę w kajdanach, niemogącą ponownie wyjść za mąż na mocy żydowskiego prawa; nawet jeżeli weźmie ślub cywilny, jej dzieci: wciąż będą uważane za bękarty. I jedynym sposobem, w jaki: kobieta może uzyskać *get*, jest pojawienie się męża przed rabinem z trybunału religijnego i zgoda na rozwód. Nie ma innego sposobu, przynajmniej dla osób religijnych. Co roku dziesiątki chasydów znikają, by ukarać swoje żony, wyjeżdżając do Ameryki lub Europy. Czasem żyją pod przybranymi nazwiskami. Szukaj wiatru w polu! Zgodnie z żydowskim prawem żonatemu mężczyźnie wolno mieszkać z kobietą, która nie jest jego żoną, ale mężatka nie ma takiego samego prawa. Nie może ponownie wyjść za mąż, nie może mieszkać z mężczyzną, nie może mieć dzieci.

- Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego potrzebne są pani usługi detektywa. Jak dawno temu ten typ uciekł od pani siostry?

- W przyszły weekend miną dwa miesiące.

- I dopiero teraz próbujecie wynająć detektywa?

- Z początku nie wiedzieliśmy na pewno, że nie wróci. Potem zmarnowaliśmy czas, sprawdzając w szpitalach, kostnicach, ambasadzie amerykańskiej i rosyjskiej w Izraelu, na posterunku miejscowej policji w Kiriat Arba, w komendzie policji krajowej w Tel Awiwie. Zamieściliśmy nawet ogłoszenie w gazecie, oferując nagrodę za informację. - Wzruszyła gwałtownie ramionami. - Niestety nie mamy dużego doświadczenia w tropieniu zaginionych.

- Wcześniej powiedziała pani, że sądzicie, iż mógł pojechać do Ameryki.

Co was skłoniło do takiego wniosku?

- Rozmowy telefoniczne. Kiedyś widziałam przez chwilę rachunek z miesięcznym wykazem jego rozmów - opiewał na kilka tysięcy szekli, co wystarczało do poważnego uszczuplenia stanu przeciętnego konta bankowego. Zauważyłam, że niektóre z rozmów łączono z tym samym numerem w Brooklynie. Rozpoznałam kraj i numer kierunkowy - jeden do Stanów, siedemset osiemnaście do Brooklynu - ponieważ jest identyczny jak nasz przy President Street.

- Nie zapisała pani przez przypadek tego numeru?

Stella pokręciła z rozpaczą głową.

- Nie pomyślałam...

- Niech pani się nie obwinia. Nie mogła pani wiedzieć, że ten typ zamierza uciec od pani siostry. - Martin zobaczył, jak kobieta szybko odwraca wzrok. - Czyżbym się mylił?

- Nie sądziłam, że to małżeństwo przetrwa. Nie wyobrażałam sobie, by Samat mógł zagrzebać się w Kiriat Arba na resztę życia. Za bardzo był pochłonięty sprawami tego świata, zbyt dynamiczny, zbyt atrakcyjny...

- Uważała pani, że jest atrakcyjny?

- Tego nie powiedziałam - odparła obronnym tonem. - Widziałam, że mógł podobać się kobietom pewnego pokroju. Ale nie mojej siostrze. Ona nigdy w życiu nie stanęła naga przed mężczyzną. O ile mi wiadomo, nigdy też nie widziała nagiego mężczyzny. Oczy odwracała nawet na widok mężczyzn ubranych od stóp do głów. Gdy Samat patrzył na kobietę, spoglądał jej prosto w oczy, nie mrugnawszy nawet powieką; rozbierał ją spojrzeniem. Twierdził, że jest pobożnym żydem, ale teraz myślę, że to mogła być swego rodzaju przykrywka, sposób dostania się do Izraela, zniknięcia w świecie chasydów. Nigdy nie widziałam, by przytracał tefilin, nigdy nie widziałam, by szedł do synagogi, nigdy też nie widziałam, by modlił się tak, jak żydzi modlą się cztery razy dziennie. Nie całował mezuzy, gdy wchodził do domu, tak jak całowała go moja siostra. Elena i Samat żyli w różnych światach.

- Ma pani jego zdjęcie?

- Gdy zniknął, wraz z nim zniknął album fotograficzny mojej siostry. Mam jedno zdjęcie, które zrobiłam w dniu ich ślubu; wysłałam je mojemu ojcu, który je oprawił i powiesił nad kominkiem. - Sięgnawszy po torebkę, wyciągnęła z niej brązową kopertę i ostrożnie wyjęła czarno-białą fotografię. Zanim podała ją Martinowi, patrzyła na nią przez chwilę; cień bolesnego



uśmiechu wykrzywił jej usta.

Martin cofnął się i podniósł rękę.

- Czy Samat dotknął kiedyś tego zdjęcia?

Stella zastanawiała się przez chwilę.

- Nie. Dałam film do wywołania w Dzielnicy Niemieckiej w Jerozolimie i wysłałam go ojcu z poczty po drugiej stronie ulicy. Samat nie wiedział o jego istnieniu.

Martin wziął zdjęcie do ręki i przechylił je w stronę światła. Panna młoda, blada i z wyraźną nadwagą, ubrana w białą atlasową suknię z gorsetem pod szyję, oraz pan młody, w wykrochmalonej białej koszuli zapiętej aż po grdykę i czarnej marynarce zarzuconej niedbale na ramiona, patrzyli beznamiętnie w obiektyw aparatu. Martin wyobraził sobie Stellę wykrzykującą rosyjskie słowo będące odpowiednikiem angielskiego *cheese*, aby wydobyć z nich uśmiech, ale to najwyraźniej nie poskutkowało; mowa ciała - panna młoda i pan młody stali obok siebie, ale się nie dotykali - ukazywała dwoje obcych ludzi czuwających przy zwłokach, nie zaś męża i żonę po uroczystości ślubnej. Twarz Samata niemal ginęła pod kosmatą czarną brodą i wąsami. Widać było tylko jego oczy, gniewne i mroczne niczym burza. Był wyraźnie zirytowany, tylko czym? Ceremonią religijną, która trwała zbyt długo? Perspektywą małżeńskiej rozkoszy w lochu na Zachodnim Brzegu z powolną mu członkinią sekty Lubawicz w roli współwięźnia?

- Jakiego wzrostu jest pani siostra?

- Metr sześćdziesiąt cztery. Czemu pan pyta?

- On jest nieco wyższy, co oznaczałoby, że mierzy około metra siedemdziesięciu.

- Mogę pana o coś zapytać?

- Ależ proszę - odparł niecierpliwie Martin.

- Czemu nie robi pan żadnych notatek?

- Nie mam powodu ich robić. Nie robię notatek, ponieważ nie wezmę tej sprawy.

Stelli zrobiło się słabo.

- Na litość boską, dlaczego? Mój ojciec jest gotów panu zapłacić bez względu na to, czy pan go znajdzie, czy nie.

- Nie wezmę tej sprawy, ponieważ łatwiej byłoby znaleźć igłę w stogu siana niż zaginionego męża pani siostry.

- Mógłby pan przynajmniej spróbować - jęknęła.

- Marnowałbym pieniądze pani ojca i swój czas. Proszę posłuchać. Takie brody zapuszczali rosyjscy rewolucjoniści z przełomu wieków. To sztuczka, której nielegalni imigranci używają od czasu, gdy Mojżesz wysłał zwiadowców, by poznali szyk bojowy wroga przed oblężeniem Jerycha. Żyjesz z brodą wystarczająco długo, by ludzie cię z nią kojarzyli. W dniu, w którym pragniesz zniknąć, robisz to, co robili rosyjscy rewolucjoniści - golisz się. Własna żona nie mogłaby cię potem rozpoznać podczas policyjnej konfrontacji. Załóżmy, czysto teoretycznie, że Samat był jednym z tych gangsterów kapitalistów, o których tyle się teraz słyszy. Może w roku, w którym pani przyszyły szwagier zjawił się w Kiriat Arba, by ożenić się z pani siostrą, w Moskwie grunt zaczął mu się palić pod stopami. Gangi Czeczenów, wyruszające do akcji z tego monstrualnego hotelu naprzeciw Kremla - jeśli dobrze pamiętam, nosi on nazwę „Rossija” - walczyły z Sojuszem Słowiańskim o to, kto opanuje lukratywną branżę ochroniarską w stolicy. Gdy gangsterzy bili się o strefy wpływów, codziennie dochodziło do strzelaniny. Świadkowie ginęli od kul, zanim zdążyli pójść na policję. Ludzie udający się rano do pracy odkrywali mężczyzn powieszonych na latarniach. Może Samat jest żydem, a może jest członkiem Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego. To naprawdę nie ma znaczenia. Kupuje metrykę urodzenia potwierdzającą, że jego matka jest Żydówką - na czarnym rynku takich metryk jest co niemiara - i zgłasza chęć wyjazdu do Izraela. Załatwienie formalności może zająć sześć do ośmiu miesięcy, żeby więc przyspieszyć bieg spraw, pani szwagier zleca rabinowi zaaranżowanie małżeństwa z lubawiczanką z Brooklynu. To doskonała przykrywka, idealny sposób zniknięcia z pola widzenia do czasu, aż wojny gangów dobiegną końca. Ze swojego dwupoziomowego domu na Zachodnim Brzegu Samat utrzymuje kontakty ze współnikami w interesach; kupuje i sprzedaje akcje, postanawia eksportować rosyjskie surowce w zamian za japońskie komputery lub amerykańskie džinsy. Po czym pewnego słonecznego rana, gdy sytuacja w Rosji się uspokoiła, uznaje, że ma dosyć swojego izraelskiego lochu. Nie chce, by jego żona, rabini bądź funkcjonariusze państwa Izrael wypytywali, dokąd jedzie, ani odwiedzali go, gdy już tam dotrze, więc zabiera album fotograficzny żony, goli brodę i wyjeżdża z Izraela, znika z powierzchni ziemi.

Stella słuchała tego scenariusza z otwartymi ustami.

- Skąd pan tyle wie o Rosji i wojnach gangów?

Martin wzruszył ramionami.

- Gdybym pani powiedział, że nie jestem pewien, skąd wiem o tych sprawach, uwierzyłyby mi pani?

- Nie.

Martin zdjął jej płaszcz z poręczy.

- Przykro mi, że zmarnowała pani czas.

- Nie zmarnowałam - odparła cicho. - Wiem teraz więcej, niż wtedy gdy tu przyszedłam. - Przyjęła płaszcz, wsunęła ręce w rękawy i otuliła się nim, chroniąc swoje ciało przed falami uczuć, które wkrótce przenikną je do szpiku kości. Po namyśle wyciągnęła z kieszeni długopis i biorąc Martina za rękę, zapisała na jego dłoni numer brooklyńskiego telefonu. - Jeżeli zmieni pan zdanie...

Martin pokręcił głową.

- Niech pani na to nie liczy.

\* \* \*

Góra brudnych naczyń w zlewie urosła za wysoko nawet dla Martina. Z podwiniętymi do łokci rękawami mył pierwszą stertę, gdy w sali bilardowej rozległ się dzwonek telefonu. Jak zwykle nie śpieszył się z odbieraniem; z doświadczenia wiedział, że to właśnie odebrane telefony komplikują życie. Gdy telefon dalej dzwonił, Martin powoli wszedł do sali bilardowej i wycierając ręce o drelichowe spodnie, przycisnął słuchawkę ramieniem do ucha i zaintonował:

- Zostaw wiadomość, jeżeli musisz.

- Posłuchaj no, Dante... - warknęła jakaś kobieta.

Martin poczuł nagły rozdzierający ból w oczodołach.

- Ma pani zły numer - mruknął i rozłączył się.

Niemal natychmiast telefon znowu zadzwonił. Martin przycisnął do czoła dłoń z zapisanym numerem i wpatrywał się w aparat. Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim postanowił podnieść słuchawkę.

- Dante, nie powinieneś rzucać słuchawką, gdy ze mną rozmawiasz. Naprawdę nie powinieneś. To niekulturalne. Na litość boską, przecież wiem, że to ty.

- Jak mnie znalazłaś?

Kobieta na drugim końcu linii stłumiła śmiech.

- Jesteś na liście byłych agentów, których losy śledzimy - odparła. Jej głos spoważniał. - Jestem na dole. W kabinie z tyłu chińskiej restauracji. Słabo mi się robi od glutaminianu sodu. Zejdź na dół i poczęstuj się na mój koszt czymś z jadłospisu.

Martin odetchnął głęboko i rzekł:

- Podobno dinozaury przemierzały ziemię sześćdziesiąt pięć milionów lat temu. Jesteś żywym dowodem na to, że niektóre z nich wciąż żyją.

- Gadaj zdrów, Dante. Gadaj zdrów - powiedziała i dodała cierpko: - Dam ci radę: powinieneś zejść na dół. Naprawdę powinieneś.

Na linii zapadła cisza.

Chwilę później Martin zdał sobie sprawę, że mija wystawę pełną oskubanych kaczek zwisających z haków i wchodzi przez ciężkie szklane drzwi do restauracji „Xing's Mandarin” pod salą bilardową. Tsou Xing, od którego, tak się złożyło, wynajmował mieszkanie, jak zwykle doglądał interesu z wysokiego stołka za kasą. Pomachał Martinowi swoją jedyną ręką.

- Witaj - zawołał staruszek piskliwym głosem. - Chcesz zjeść na miejscu czy wziąć coś na wynos?

- Mam spotkanie... - Martin zlustrował wzrokiem kilkunastu klientów w długiej, wąskiej sali restauracyjnej i ujrzał Crystal Quest w boksie koło prowadzących do kuchni drzwi wahadłowych. Quest była lepiej znana całemu pokoleniu pracowników CIA jako Fred z powodu niesamowitego podobieństwa do Freda Astaire'a; krążyła kiedyś opowieść o tym, że prezydent Stanów Zjednoczonych, spostrzegłszy ją na odprawie z pracownikami wywiadu w Gabinetie Ovalnym, przekazał współpracownikom notkę z pytaniem, dlaczego CIA jest reprezentowana przez jakiegoś transwestytę. Obecnie Quest, dawna mistrzyni szpiegowskiego rzemiosła, usiadła plecami do reszty stolików, zwracając się twarzą do lustra, w którym mogła śledzić, kto wchodzi i wychodzi z restauracji. Obserwowała w nim Martina.

- Wyglądasz na zdrowego jak ryba, Dante - zauważyła, gdy Martin osunął się na ławę naprzeciw niej. - Jak ty to robisz?

- Sprawilem sobie przyrząd do treningu wioślarskiego.

- Ile godzin dziennie temu poświęcasz?

- Jedną rano, przed śniadaniem. I jedną w środku nocy, gdy budzę się zlany zimnym potem.

- Czemu ktoś z czystym sumieniem miałby się budzić zlany zimnym potem? Na litość boską, nie wmawiaj mi, że wciąż zamartwiasz się śmiercią tej dziwki w Bejrucie.

Martin uniósł rękę do skroni, w której nie przestawała pulsować krew.

- Myślę o niej czasem, ale nie tym się zamartwiam. Gdybym wiedział, co nie daje mi spać, może przesyłalbym całą noc.

Fred, szczupła kobieta, która pięła się po szczeblach kariery, zostając pierwszą w dziejach CIA kobietą na stanowisku wicedyrektora Zarządu Operacji, miała na sobie jeden ze swoich słynnych spodniów z szerokimi klapami i koszulę frakową z żabotem. Jej włosy były jak zwykle krótko ostrzyżone i ufarbowane na rdzawy kolor, by ukryć siwe pasma, pojawiające się na głowach dyrektorów, którzy zamartwiali się na śmierć - tak zawsze twierdziła Fred - standardową procedurą operacyjną: czy należy zacząć od sformułowania hipotezy i analizować dane w sposób ją potwierdzający, czy też zacząć od gromadzenia danych i wśród nich szukać użytecznej hipotezy?

- Co ci mogę zaproponować? - zapytała, odsuwając na bok niedojedzony obiad. Gdy przyglądała się przekrwionymi oczami swojemu gościowi, dotykała palcami szklanki z mrożonym daiquiri i głośno miażdżyła zębami okruchy lodu.

Martin dał znak pałeczką, a później przesunął ją tam i z powrotem między palcami. Tsou Xing nalał mu czystej whiskey za barem. Przyniosła ją młoda szczupła Chinka w opiętej spódnicy rozciętej na udzie.

- Dzięki, Minh - powiedział Martin.

- Powinieneś coś zjeść - stwierdziła kelnerka. Zauważyła, jak bawił się pałeczką. - Chińczycy mówią, że człowiek z jedną pałeczką umiera z głodu.

Martin z uśmiechem rzucił pałeczkę na blat stolika.

- Gdy będę wychodził, wezmę ze sobą kaczkę po pekińsku.

Fred przyglądała się w lustrze, jak dziewczyna odchodzi.

- Właśnie takie nazywam świetnymi dupami, Dante. Zaliczasz jakieś?

- A ty, Fred? - zapytał miłym tonem. - Faceci nadal cię dymają?

- Próbują - zripostowała, ściągając twarz w kwaśnym uśmiechu - w obydwu znaczeniach tego słowa. Ale żadnemu się nie udaje.

Chichocząc, Martin wyciągnął z puszkii bidi i zapalił go zapałką z jednego z kartoników leżących na stoliku.

- Nie powiedziałaś, jak mnie znalazłaś.

- Nie powiedziałam, prawda? W tym wypadku chodzi raczej o to, że nigdy cię nie zgubiliśmy. Gdy wypłynąłeś niczym rozbitek nad chińską restauracją w Brooklynie, w stalowoniebieskich korytarzach Firmy rozległy się dzwonki alarmowe, nie wspominając o wypadach w te okolice. Kopię umowy wynajmu otrzymaliśmy w dniu, w którym ją podpisałeś. Uprzedzam, że nikt nie był zaskoczony wiadomością, że wcieliłeś się w postać Martina Oduma. Tak chyba nakazywała logika? Odum rzeczywiście wychował się na Eastern Parkway, chodził do szkoły publicznej numer sześćdziesiąt siedem,

Crown Heights to jego terytorium, jego ojciec posiadał sklep ze sprzętem elektrycznym przy Kingston Avenue, Martin miał nawet szkolnego kumpla, którego stary był właścicielem chińskiej restauracji przy Albany Avenue. Martin Odum to legenda, którą stworzyłeś pod moim nadzorem; czyżbyś przeoczył ten drobny szczegół? Teraz uzmysłowiłam sobie, że byłeś ostatnim agentem, jakiego osobiście prowadziłam, zanim dali mi kopa w górę, żebym kierowała urzędnikami, którzy prowadzili agentów, aczkolwiek nawet będąc piętro wyżej, zawsze uważałam, że to ja tobą kieruję. Zabawne, że nie przypominam sobie, by Odum był detektywem. Zapewne uznałeś, że twoja legenda wymaga ubarwienia.

Martin przyjął, że założono mu podsłuch w sali bilardowej.

- Zawód detektywa to lepsze niż konieczność utrzymywania się z pracy na etacie.

- Jakiego rodzaju sprawy dostajesz?

- Długi karciane. Wkurzone żony, które płacą mi za zdjęcia przyłapanych na gorącym uczynku wiarołomnych mężów. Chasydzi, którzy podejrzewają, że ich synowie umawiają się na randki z dziewczynami nieprzestrzegającymi zasad ich religii. Kiedyś zostałem wynajęty przez krewnych pewnego Rosjanina, który zmarł w Małej Odessie, czyli dzielnicy Brooklynu, gdzie mieszka większość Rosjan lądujących w Ameryce. Byli przekonani, że Czeczeni prowadzący krematorium w sąsiedztwie przed kremacją zwłok usuwają złote zęby ich nieodżałowanej pamięci bliskim. Innym razem barwna figura polityczna z Małej Odessy wynajęła mnie, bym odzyskał rottweilera, którego porwała mu jego była żona, gdy spóźnił się z płaceniem alimentów.

- Dostajesz sporo zleceń w Małej Odessie.

- Gdy moi klienci nie mogą znaleźć odpowiedniego słowa w języku angielskim i w końcu mówią do mnie po rosyjsku, kiwam potakująco głową. Chyba myślą, że ich rozumiem.

- Znalazłeś psa?

- Martin Odum zawsze znajduje to, czego szuka.

Crystal stuknęła z brzękiem szklanki w jego szklankę.

- Twoje zdrowie, Dante. - Wypiła łyk daiquiri i spojrzała nań znad brzegu szklanki. - Nie zajmujesz się przez przypadek odnajdywaniem zaginionych mężów?

To pytanie zawisło w powietrzu między nimi. Martin zaciągnął się swoim bidi, po czym, bardzo obojętnym tonem, rzekł:

- Czemu pytasz?

Quest postukała palcem wskazującym w swój astaire'owski nos.

- Nie baw się ze mną w zgaduj-zgadulę, Pippen.

- Dotychczas trzymałem się od zaginionych mężów z daleka.

- A teraz?

Martin uznał, że jego mieszkanie jednak nie jest na podsłuchu, bo gdyby było, Fred wiedziałaby, że odmówił Stelli Kastner.

- Zaginieni mężowie nie są w sferze moich zainteresowań głównie dlatego, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto ułożyli sobie wygodne życie z innymi kobietami, przybierając nową tożsamość. I niezmiernie trudno, statystycznie biorąc, nie sposób odnaleźć ludzi, którzy za nic nie chcą wrócić do swoich dawnych żon.

Wydawało się, że z wywatowanych ramion Fred spadł ciężar. Wyjęła i zjadła kolejną kostkę lodu ze swojego daiquiri.

- Mam do ciebie słabość, Dante. Naprawdę. W latach osiemdziesiątych, na początku dziewięćdziesiątych, byłeś postacią legendarną. Ludzie nadal mówią o tobie, choć różnie cię nazywają, zależnie od tego, kiedy cię poznali. Nie dawniej niż w zeszłym tygodniu jakiś dyrektor zapytał mnie: „Co obecnie porabia stary Lincoln Dittmann?”. Agenci tacy jak ty pojawiają się raz lub dwa razy w ciągu wojny. Ty unosiłeś się na chmurze fałszywych tożsamości i fałszywych życiorysów, które mogłeś wyrecytować łącznie ze znakami zodiaku oraz informacją, którzy krewni spoczywają na którym cmentarzu. Jeśli dobrze pamiętam, Dante Pippen był katolickim odstępcą, potrafił recytować po łacinie modlitwy różańcowe, których nauczył się jako ministrant w hrabstwie Cork, miał brata, który był jezuitą w Kongo, oraz siostrę pracującą w szpitalu przyklasztornym na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Była legenda Lincolna Dittmanna, według której wychowałeś się w Pensylwanii i uczyłeś historii w kolegium, pełna anegdot o balu maturalnym w Scranton, na który policja urządziła nalot, czy o stryjku Mannym w Jonestown, który zbił majątek, produkując bieliznę dla wojska podczas drugiej wojny światowej. W tym wcieleniu zwiedziłeś wszystkie pola bitewne wojny secesyjnej na wschód od Missisipi. Miałeś w swoim życiu tyle tożsamości, że mawiałeś, iż chwilami zapominasz, które szczegóły biograficzne są prawdziwe, a które zostały wymyślone. Wchodziłeś w swoje wcielenia tak głęboko, dokumentowałeś je tak gruntownie, przeżywałeś je z takim przejęciem, że w biurze wypłat nie bardzo wiedziano, jakie nazwisko podawać na czekach z wypłatą. Wyjawię ci mroczną tajemnicę: nie tylko

podziwiałam twoją fachowość, zazdrościłam ci jako człowiekowi. Wszyscy lubią nosić maski, ale szczytem kamuflażu jest posiadanie kolejnych tożsamości, które można przywdziewać i zdejmować jak ubrania, fałszywych nazwisk, dostosowanych do nich życiorysów oraz w końcu, jeżeli się jest prawdziwym mistrzem, osobowości i języków, które idą w parze z tymi życiorysami.

Martin nakreślił w powietrzu żartobliwie znak krzyża swoim bidi.

- *Ave Maria, gratia plena, Dominus Tecum, benedicta Tu in mulieribus.*

Chichocząc, Fred skinęła na widocznego w lustrze Xinga i zawołała:

- Czy prośba o rachunek byłaby zbyt wygórowanym żądaniem? - Uśmiechnęła się słodko do Martina. - Zakładam, że zrozumiałeś to, co przyjechałam ci przekazać aż tutaj. Trzymaj się z daleka od zaginionych mężów.

- Dlaczego?

To pytanie ją zirytowało.

- Dlatego, że każę ci to zrobić, do cholery. W wypadku gdybyś miał go znaleźć, musielibyśmy cofnąć się w czasie i uważnie przyjrzeć się pewnym decyzjom, które podjęliśmy wobec ciebie. Koniec końców okazałeś się czarną owcą.

Martin nie miał najmniejszego pojęcia, o czym ona mówi.

- Może były granice, których nie mogłem przekroczyć - odparł, starając się podtrzymać rozmowę w nadziei, że odkryje, dlaczego budzi się w nocy zlany zimnym potem.

- Nie wynajęliśmy twojego sumienia, a tylko twój umysł i twoje ciało. Po czym ty pewnego pięknego dnia wyszedłeś z roli, wyszedłeś ze wszystkich swoich ról, i przyjąłeś coś, co w języku potocznym nazywa się postawą moralisty. Zapomniałeś, że moralność ma rozmaite zabarwienia. Urządziliśmy w Langley spotkanie na szczycie. Stojący przed nami wybór nie był skomplikowany: mogliśmy cię zwolnić albo zlikwidować.

- Jak wyglądało końcowe głosowanie?

- Uwierzyłybyś, że głosy rozłożyły się po równo? Mój głos przeważył. Opowiedziałam się po stronie tych, którzy chcieli cię zwolnić, pod warunkiem że zgłosisz się do jednego z naszych zakładów psychiatrycznych. Musieliśmy mieć pewność...

Zanim Fred zdążyła dokończyć zdanie, zjawiała się Minh, niosąca mały spodek ze złożonym wpół rachunkiem. Umieściła go na stoliku między nimi. Fred chwyciła rachunek i zerknęła na sumę, po czym ze zwiłta banknotów



wyciągnęła dwie dziesiątki, rozłożyła je na płask na spodku i przygniotła solniczką. Siedzieli w milczeniu, czekając, aż kelnerka zdejmie solniczkę i odejdzie z pieniędzmi.

- Ja naprawdę miałam do ciebie słabość - powiedziała w końcu Fred, kręcąc głową na wspomnienie jakiegoś zdarzenia.

- Ktoś musiał mi przypomnieć - rzekł półgłosem Martin; można było odnieść wrażenie, że mówi do siebie. - I nikt tego nie zrobił.

- Dzięki Bogu - odpaliła Fred i wstała z ławy. - Nie zrób niczego, po czym musiałabym żałować swojego poparcia. No, powodzenia w branży detektywistycznej. Bo czegoś takiego jak Czeczeni, którzy kradną złote zęby, zanim spalą *corpus delicti*, nie znoszę.

\* \* \*

Mknęli autostradą Brooklyn-Queens w kierunku lotniska La Guardia, by zdążyć na powrotny samolot do Waszyngtonu, gdy zaskrzeczał telefon na desce rozdzielczej. Pracownik Zarządu Operacji, pełniący również funkcję szofera, zdjął słuchawkę z widełek i przyłożył do ucha.

- Niech pan chwilę poczeka - powiedział i podał telefon Crystal Quest, drzemiącej przy drzwiach z tyłu.

- Quest - powiedziała do słuchawki.

Wyprostowała się na tylnym siedzeniu.

- Tak jest. Dante i ja znamy się od bardzo dawna, jestem pewna, że fakt, iż przekazałam mu tę informację osobiście, przekonał go, że nie żartujemy. - Słuchała przez chwilę. Kierowca domyślił się, że krótkie sekwencje głośnych słów dobiegające ze słuchawki wyrażają irytację zarówno w tonie, jak i treści.

Quest podrapała się po rdzaworudej głowie.

- Na pewno nie będę bawić się w sentymenty, panie dyrektorze, to nie w moim stylu. Prowadziłam go, gdy jeszcze był sprawny. Fakt, że powrócił ze śmiertelnego zimna, jak ujął to ten angielski pisarz, niczego nie zmienia. Jeśli o mnie chodzi, nadal go prowadzę. Dopóki nie pamięta, co się stało, dopóki nie wtyka nosa w sprawę Samata, nie ma powodu zmieniać tamtej decyzji. - Znowu słuchała, po czym odparła oziębło: - Zgadzam się z panem w kwestii niepotrzebnego ryzyka. Jeżeli przeciągnie strunę...

Mężczyzna po drugiej stronie linii zakończył za nią to zdanie; szofer zobaczył w lusterku wstecznym, jak jego szefowa potwierdza skinieniem głowy przyjęcie rozkazu.

- Może pan na to liczyć - powiedziała.

Połączenie zostało pewnie przerwane - dyrektor słynął z raptownego kończenia rozmów - gdyż Quest pochyliła się do przodu i rzuciła telefon na fotel obok kierowcy. Osuwając się z powrotem na drzwi i patrząc niewidzącym wzrokiem przez okno, zaczęła mamrotać pod nosem. Po pewnym czasie jej rzucane chaotycznie słowa zaczęły nabierać sensu. Słysząc było, jak mówi: - Dyrektorzy przychodzą i odchodzą. Ci, którzy lądują w Langley dzięki powiązaniom z Białym Domem, nie stoją na straży tradycji, to my jej strzeżemy. To my stoimy na szanach, podczas gdy dyrektor urabia sobie dupę, zaliczając kolejne przyjęcia w Georgetown. Prowadzimy agentów, którzy narażają życie, krążąc na obrzeżach imperium. I to my płacimy najwyższą cenę. Agent w terenie pije za dużo, oficer prowadzący ma kaca. Agent staje się zgorzkniały, nam krew ścina się w żyłach. Agent ginie, my posypujemy głowy popiołem i oplakujemy go przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. - Quest westchnęła za utraconą młodością, zagubioną kobiecością. - Co i tak - mówiła dalej, uderzając w oficjalny ton - nie przeszkodziłoby nam w likwidacji tego sukinsyna, gdyby zanosilo się na to, że może narazić na szwank któryś z klejnotów rodzinnych.

\* \* \*

Budzik przy łóżku zadzwonił godzinę przed świtem. Na wypadek gdyby Fred jednak udało się założyć podsłuch, Martin włączył radio i podkręcił potencjometr, żeby zagłuszyć odgłos swoich kroków oraz dźwięk zamykania drzwi. Nie zdjęwszy dresu, wspinał się na dach i zaczął naciskać miechy dymnika, wprawiając rodzinę pszczoł w drugim ulu w gorączkę miodowego obzarstwa. Następnie sięgnął ręką do wąskiej luki między ramkami a daszkiem ula, by wyjąć owinięte ceratą pudełko. Wróciwszy na dół, otworzył lodówkę i wetknął plastikową miskę pod lejek odpływowy. W słabym świetle dochodzącym z otwartej lodówki rozwinął ceratę i rozłożył zawartość pudełka na łóżku. Było tam pół tuzina paszportów amerykańskich i innych, francuska Livret de Famille, trzy dowody osobiste z krajów Europy Wschodniej, kolekcja laminowanych praw jazdy z Irlandii, Anglii oraz kilku stanów Wschodniego Wybrzeża, zestaw kart biblioteczných, kart stałego klienta linii lotniczych oraz kart ubezpieczeniowych; niektóre łamały się ze starości. Zebrał dokumenty tożsamości i rozmieścił je równomiernie między tekturową wyściółką a wierzchem sfatygowanej skórzanej walizki z naklejkami z kilku ośrodków Club Medu. Wypełnił ją koszulkami, bielizną, skarpetami i kosmetykami, ułożył na górze przynoszącą szczęście jedwabną bandanę Dantego Pippena, po czym przebrał się w lekki trzyczęściowy

garnitur oraz solidne buty na gumowej podeszwie, w których rok wcześniej wędrował razem z Minh po górskich szlakach w Adirondack. Rozglądając się, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył, przypomniał sobie o pszczołach. Szybko nagryzmolił do Tsou Xinga kilka słów z prośbą, by doglądał ulów co dwa dni, otwierając sobie drzwi zapasowym kluczem, który leżał w kasie; gdyby w ramkach było za mało miodu, aby pszczoły przetrwały zimę, Tsou wiedziałby, jak przyrządzić syrop ze składników przechowywanych pod zlewem i umieścić go w ulach.

Z walizką i starym, lecz praktycznym trenczem od Burberry'ego Martin dostał się na dach. Zamknął za sobą drzwi i ukrył klucz pod oblużowaną cegłą gzymsu. Patrząc na Drogę Mleczną czy też na to, co było z niej widać z dachu w centrum Brooklynu, przypomniał sobie alawicką prostytutkę, na którą Dante natknął się w Bejrucie podczas jednej szczególnie niebezpiecznej misji. Opierając się na gzymsie, przez kwadrans lustrował wzrokiem Albany Avenue w oczekiwaniu na najmniejszy choćby ruch zasłon lub żaluzji bądź błysk rozżarzonego tytoniu w zapalonym papierosie. Nie stwierdziwszy żadnych oznak życia, przeszedł na drugą stronę dachu i przyjrzał się uliczce za chińską restauracją. Dostrzegł jakiś ruch z prawej strony, w miejscu gdzie Tsou Xing zaparkował swojego zabytkowego packarda, ale okazało się, że to tylko kot próbujący zsunąć pokrywę z kubła na śmieci. Zyskawszy pewność, że droga wolna, zszedł po stalowej drabinie, po czym schodami pożarowymi ostrożnie dostał się na parter. Tam odwiązał sznur i opuścił ostatni odcinek schodów na ziemię (po przewodnicach, które smarował co kilka miesięcy; dla Martina fachowość stanowiła namiastkę religii). Przez kilka kolejnych minut sprawdzał, czy jest wystarczająco spokojnie, a potem opuścił się na podwórko na tyłach knajpy Tsou Xinga zastawione stosami piekarników, szybkowarów i lodówek, które pewnego dnia można byłoby wykorzystać na części zamienne. Wsunął wiadomość dla Tsou w szparę pod tylnymi drzwiami restauracji, przemaszerował podwórkiem do zaułka i doszedł nim do Lincoln Place. Dwie przecznice dalej, na północno-wschodnim rogu Schenectady, dał nura do budki telefonicznej, w której cuchnęło terpentyną. Gdy sprawdzał zapisany na dłoni numer, na wschodzie widać było pierwsze nikłe stalowoszare plamy. Wsunąwszy monetę do otworu automatu, wystukał podane cyfry. Telefon po drugiej stronie linii dzwonił tyle razy, że Martin zaczął się obawiać, czy nie wybrał niewłaściwego numeru. Rozłączył się, ponownie sprawdził numer i zadzwonił jeszcze raz. Zaczął liczyć dzwonki telefonu, a potem zrezygnował i po prostu słuchał, jak dzwoni, zastanawiając

się, co zrobić, jeżeli nikt nie odbierze. Już miał odwiesić słuchawkę - przyczaiłby się w otwartej całej dobę taniej restauracji przy Kingston Avenue i ponowił próbę za godzinę - gdy w końcu ktoś odezwał się na linii.

- Ma pan pojęcie, która jest godzina? - zapytał znajomy głos.

- Uznałem, że nie mogę bez pani żyć. Jeżeli nadal mnie pani potrzebuje, to myślę, że możemy coś ustalić.

Estelle Kastner wstrzymała oddech; zrozumiała, że Martin boi się, iż ich rozmowa jest podsłuchiwana.

- Przestałam na pana liczyć - przyznała. - Kiedy może pan przyjść?

Spodobał mu się sposób, w jaki prowadziła rozmowę.

- Może teraz?

Podawała mu adres przy President Street, między Kingston a Brooklyn Avenue.

- To duża prywatna kamienica. Z boku są drzwi, lampa nad nimi będzie zapalona. Będę na pana czekać w przedsionku. - Na wypadek, gdyby telefon rzeczywiście był na podsłuchu, dodała: - Nigdy nie utrzymywałam stosunków z człowiekiem, którego znak zodiaku jest niezgodny z moim. Więc spod jakiego jest pan znaku?

- Lwa.

- Niech pan da spokój, to niemożliwe. Lwy są bardzo pewne siebie. Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że ma pan zodiakalny profil Koziorożca. Koziorożce są impulsywne, kapryśne, uparte jak osły w pozytywnym sensie tego słowa. Jak już pan coś zacznie, to doprowadza sprawę do końca. To, że jest pan Koziorożcem, bardzo mi odpowiada. - Odchrząknęła. - Czemu zmienił pan zdanie w sprawie telefonu?

Usłyszała cichy śmiech Martina i stwierdziła, że brzmi dziwnie kojąco.

- Nie zmieniłem zdania, posłuchałem tylko głosu serca.

- Głupcy pędzą tam - zauważyła, cytując fragment starej amerykańskiej piosenki, którą setki razy odtwarzała z płyty - dokąd boją się pójść aniołowie.

- Słyszała oddech Martina w słuchawce. Tuż przed rozłączeniem się powiedziała, bardziej do siebie niż do niego: - Mam słabość do mężczyzn, którzy nie używają płynu po goleniu.

## 1994: Martin Odum wraca do życia w różnych wcieleniach

- Może pan coś powiedzieć, żebym mogła sprawdzić poziom głośności?
- Co mam powiedzieć?
- Co tylko przychodzi panu do głowy.
- ...nieme działa, błyszczące niczym złoto, toczą się z lekkim łoskotem po kamieniach. Nieme działa wkrótce przerwą swe milczenie, wkrótce odczepią je od przodków, by zaczęły zbierać krwawe żniwo.
- Świetnie. Niech pan pamięta, by mówić prosto do mikrofonu. W porządku, zaczynamy. Informacja oficjalna: jest czwartek, szesnasty czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Rozpoczyna się nagranie mojej pierwszej sesji terapeutycznej z Martinem Odumem. Nazywam się Bernice Treffler. Jestem kierowniczką oddziału psychiatrycznego w tutejszym prywatnym szpitalu w Bethesda, w stanie Maryland. Jeżeli będzie pan chciał przerwać w którymś momencie, panie Odum, proszę machnąć ręką. A tak nawiasem mówiąc, skąd pochodziły te słowa?
- Z jednego z wierszy Waltera Whitmana poświęconych wojnie secesyjnej.
- Czy nazywa go pan Walterem zamiast Waltem z jakiegoś powodu?
- Sądziłem, że ludzie, którzy go znali, mówili mu Walter.
- Jest pan miłośnikiem Whitmana?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Że znam te słowa, dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy je wypowiedziałem.
- Czy interesuje pana wojna secesyjna?
- Nie interesuje mnie, Martina Oduma, ale interesowała, jeśli można tak powiedzieć, kogoś mi bliskiego. W jednym ze swoich wcieleń miałem prowadzić w kolegium kurs poświęcony wojnie secesyjnej. Gdy przygotowywaliśmy legendę...
- Przepraszam. Wszyscy ludzie z CIA, których dotąd leczyłam, byli urzędnikami pracującymi w Langley. Jest pan moim pierwszym tajnym agentem. Co to jest legenda?
- To spreparowana tożsamość. Wielu pracowników Firmy posługuje się

legendami, zwłaszcza gdy działają poza kontynentalną częścią Stanów Zjednoczonych.

- Cóż, widzę, że po naszej rozmowie powiększy się mój zasób słów, panie Odum. Proszę kontynuować.

- O czym mówiłem?

- Mówił pan coś o przygotowywaniu legendy.

- Aha. Ponieważ w moim nowym wcieleniu miałem być kimś w rodzaju eksperta w tej materii, człowiek, którym się stawałem, musiał studiować dzieje wojny secesyjnej. Przeczytał tuzin książek, zwiedził wiele pól bitewnych, uczęszczał na seminaria, robił tego typu rzeczy.

- On, nie pan?

- Yhm.

- Czy tej konkretnej... legendzie przypisano jakieś nazwisko?

- Dittmann, przez dwa „t” i dwa „n”. Lincoln Dittmann.

- Boli pana głowa?

- Zaczynam czuć bolesny ucisk w oczodołach. Mogłaby pani uchylić okno? Jest tutaj bardzo duszno... Dziękuję.

- Chciałby pan zażyć aspirynę?

- Może później.

- Często miewa pan bóle głowy?

- Dosyć.

- Hm. Jakim człowiekiem był ten Lincoln Dittmann?

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem pani pytanie.

- Czym różnił się od, powiedzmy, pana? Od Martina Oduma?

- O to właśnie chodziło, uczynić go innym, tak aby mógł działać bez ryzyka, że ktoś pomyli go ze mną albo mnie z nim.

- Co takiego umiał robić Lincoln Dittmann, czego nie umiał robić pan?

- Po pierwsze, był niezwykłym snajperem, o wiele wprawniejszym ode mnie. Nie śpieszył się, chciał mieć pewność, że zabije za pierwszym strzałem. Starannie uwzględniał wpływ wiatru i odległości, a potem powoli ciągnął, zamiast szarpać, za spust. Ja jestem zbyt nerwowy, by zabijać z zimną krwią, chyba że sprowokują mnie do działania tacy jak Lincoln. W tych nielicznych w moim życiu wypadkach, gdy mierzyłem do żywego celu, zasychało mi w ustach, krew tętniła w skroniach, musiałem siłą woli powstrzymać drżenie palca kurkowego. Kiedy świeżo upieczony snajper, taki jak Lincoln, strzelał do ludzi, jedyne, co czuł, to odrzut karabinu. Co jeszcze? Ja byłem bardziej biegły w szpiegowskim rzemiośle; mawiano, że

potrafię wtopić się w tłum, nawet gdy go nie ma. Lincoln wyróżniał się w tłumie jak cyrkowy klaun. Był, oczywiście, większym intelektualistą ode mnie, czyli w tym wypadku od mojego innego wcielenia. Lepiej grał w szachy, nie z powodu większej inteligencji, ale po prostu dlatego, że ja byłem zbyt niecierpliwy, zbyt niespokojny, żeby przewidzieć konsekwencje określonego posunięcia, zrozumieć, co się stanie osiem lub dziesięć ruchów później. Natomiast Lincoln został obdarzony niesamowitą cierpliwością. Jeżeli zadanie wymagało śledzenia jakiegoś człowieka, to Lincoln był stworzony do takiej roboty. Do tego dochodziły różnice w sposobie patrzenia na świat.

- Niech pan mówi dalej.

- Martin Odum jest osobnikiem z gruntu nerwowym; są dni, gdy podrywa się na widok własnego cienia. Boi się postawić stopę w nieznanym sobie miejscu, jest pełen obaw, gdy spotyka się z kimś, kogo jeszcze nie zna. Pozwala ludziom, zwłaszcza kobietom, przychodzić do siebie. Odczuwa popęd płciowy, ale równie chętnie zachowuje wstrzemięźliwość seksualną. Gdy się kocha, zabiera się do tego ostrożnie. Zanim sam dozna rozkoszy, poświęca sporo uwagi rozkoszy kobiety.

- A Dittmann?

- Lincoln nic nie peszyło, ani własny cień, ani nowe miejsca, ani nieznanymi dotąd ludzie. Nie było to wynikiem odwagi; wynikało raczej z uzależnienia się od uczucia strachu, z konieczności otrzymania dziennej jego dawki.

- To, co pan opisuje, bardzo przypomina rozdwojenie jaźni.

- Nie rozumie pani tego. To nie jest kwestia rozdwojenia jaźni. To kwestia stwarzania zupełnie odrębnych osobowości, które... Przepraszam, ale czemu robi pani notatki w trakcie nagrywania?

- Ta rozmowa stała się fascynująca, panie Odum. Notuję wstępne wrażenia. Były jeszcze inne różnice między Dittmannem a Odumem; między Dittmannem a panem?

- Wiarygodna legenda nie powstawała z dnia na dzień. Wymagało to dużo czasu i wysiłku. Szczegóły opracowywano z pomocą zespołu specjalistów. Odum pali bidi. Dittmann palił schimmelpennincki, gdy tylko mógł je dostać, i jakiegokolwiek cienkie cygara, gdy okazywało się to niemożliwe. Odum nie jadał mięsa, Dittmann bardzo lubił porządne befsztyki z polędwicy. Odum jest Koziorożcem, Dittmann nie znał swojego znaku zodiaku i jego znajomość nie była mu do niczego potrzebna. Odum myje się i

goli codziennie, ale nigdy nie używa płynów po goleniu. Dittmann mył się, kiedy tylko mógł, i obficie skrapiał się wodą Vetiver. Odum to samotnik; garstka jego znajomych żartuje, że od ludzi woli towarzystwo pszczół, i jest w tym ziarno prawdy. Dittmann był towarzyski; w odróżnieniu od Oduma dobrze tańczył, lubił kluby nocne, potrafił spożywać duże ilości taniego alkoholu z piwną popitką, nie upijając się. Ćpał jednak, rozwiązywał krzyżówki piórem, grał w chińczyka oraz w go. Jeśli chodzi o kobiety, był skrajnym romantykiem. Miał słabość do kobiet - Martin przypomniał sobie misję, która zawiodła Lincolna do miasta po paragwajskiej stronie Trójgranicza - bojących się ciemności, gdy gasło ostatnie światło dnia, bojących się mężczyzn, którzy ściągali pasy, zanim ściągnęli spodnie, oraz tego, że życie na ziemi zakończy się przed jutrzejszym świtem, bojących się, że będzie trwało wiecznie.

- A pan...

- Ja nie ćпам. Nie grywam w gry planszowe. Nie rozwiązuję krzyżówek, nawet ołówkiem.

- Więc Odum i Dittmann są krańcowo odmienni? To oznacza...

- Lincoln Dittmann wiedziałby, co oznacza krańcowa odmienność. I w zakamarkach jednego płata mojego mózgu mam dostęp do tej jego wiedzy.

- Na czym polega ów dostęp?

- Nie uwierzy pani.

- Przekonajmy się.

- Są chwile, gdy słyszę, jak szepcze mi do ucha - rzekł bardzo cicho Martin. - Właśnie tak znalazłem te wersy z Waltera Whitmana.

- Lincoln Dittmann przekazał je panu szeptem.

- Yhm. Kiedy indziej wiem, co by zrobił lub powiedział, gdyby był na moim miejscu.

- Rozumiem.

- Co pani rozumie?

- Rozumiem, dlaczego pański pracodawca przysłał pana do nas. Hm. Coś mi trochę nie pasuje. Mówi pan o Lincolnie Dittmannie w czasie przeszłym, jak gdyby już nie istniał.

- Lincoln jest tak samo prawdziwy jak ja.

- Z tego, jak mówi pan o Martinie Odumie, wydaje się niemal, że on także jest legendą. Czyż nie?

Gdy Martin nie odpowiedział, psychoterapeutka powtórzyła pytanie:

- Czy Martin Odum jest kolejną z pańskich zmyślonych tożsamości?



- Nie jestem pewien.
- Chce mi pan wmówić, że naprawdę pan nie wie?
- Myślałem, że właśnie tego miała mi pani pomóc się dowiedzieć. Jedna z legend musi być prawdziwa. Pytanie która.
- No cóż, to z pewnością będzie ciekawsze, niż się spodziewałam. Ma pan bardzo oryginalny pogląd na zaburzenia wywołane RO.
- Co to, u diabła, jest RO?
- Ten skrót oznacza rozszczepienie osobowości.
- Czy moje zaburzenia są śmiertelne? Czemu pani się uśmiecha?
- Rozszczepienie osobowości znacznie częściej pozwala funkcjonować, niż zabija, panie Odum. Pomaga to cierpiącym na nie przetrwać.
- Przetrwać co?
- Właśnie do tego spróbujemy dotrzeć. Pozwoli pan, że zrobię panu krótki wykład o tych zaburzeniach. Przypuszczam, że gdzieś po drodze coś się panu przydarzyło. W przytłaczającej większości przypadków uraz psychiczny nastąpił w dzieciństwie; napaści seksualne znajdowały się wysoko na liście urazów z dzieciństwa, ale nie były jedyne. Jakies cztery lata temu miałam przypadek, kiedy pacjent cierpiał na uraz spowodowany tym, że bawił się zapalkami i wzniecił pożar, w którym zginęła jego maleńka siostra. Ten uraz zakłócał funkcjonowanie jego pamięci narracyjnej. Ów pacjent wykształcił w sobie siedem odrębnych dojrzałych osobowości, każdą z własnym zestawem uczuć, wspomnień, a nawet umiejętności. Ilekroć był narażony na stres, przechodził z jednej do drugiej. Żadne z tych siedmiu *alter ego*, które pan określiłby mianem legend, nie pamiętało pierwotnej osobowości z dzieciństwa ani urazu związanego z tą osobowością. Tak więc widzi pan, że przechodzenie z jednej osobowości do drugiej, któremu, nawiasem mówiąc, prawie zawsze towarzyszy ból głowy, stanowiło mechanizm przetrwania. W ten sposób stawiał barierę pamięci, chronił się przed niezwykle przerażającym przeżyciem z dzieciństwa, i w tym właśnie sensie rozszczepienie osobowości uważa się za funkcjonalne. Pozwala ono żyć dalej...
- W swoich wcieleniach.
- Bardzo dobrze, panie Odum. Tak, w swoich wcieleniach. Moja intuicja mówi mi, że nie pasuje pan dokładnie do literatury na ten temat, jako że rozwinął pan swoje *alter ego* z konieczności operacyjnej, nie zaś z potrzeby psychicznej. Gdy pańska psychika uznała, że musi zniknąć za barierą pamięci, miał pan wiele osobowości, stworzonych i czekających tylko, by w

nie wejść. W tym właśnie sensie można powiedzieć, że pasuje pan do profilu rozszczepienia osobowości.

- Jak bardzo różniły się od siebie osobowości pani pacjenta?

- W przypadku mojego pacjenta, tak jak w większości przypadków rozszczepienia osobowości, były całkiem odmienne, obejmowały rozmaite nawyki, zdolności, zainteresowania, wartości, przepisowe stroje, manieryzmy, mowę ciała, sposób wyrażania siebie. Nawet kochały się inaczej. Jedna z nich nie była zdolna do komunikacji słownej, natomiast inna posługiwała się językiem, w tym przypadku jidysz, którego pozostałe nie rozumiały.

- Jak to możliwe, by jedna osobowość mówiła w języku, którego inna z jego osobowości nie rozumiała?

- To doskonały przykład tego, jak odgradzone w mózgu potrafi być to, co pan nazywa legendami.

- Czy te siedem osobowości zdawało sobie sprawę z wzajemnego istnienia?

- Niektóre tak, niektóre nie. Ten aspekt może się różnić w zależności od przypadku. Nierzadko kilka osobowości chyba zdaje sobie sprawę z istnienia kilku innych osobowości, myślą o nich tak, jak myśli się o przyjaciołach, o których wiemy, że istnieją, ale dawno ich nie widzieliśmy. Jest też to, co nazywamy osobowością śladową (w pańskim przypadku byłby nią chyba Martin Odum), będącą zasobem informacji o wszystkich pozostałych osobowościach, z wyjątkiem osobowości gospodarza, który doznał urazu. To by tłumaczyło pańskie wrażenie, że - jak pan powiedział przed chwilą - w zakamarkach swojego mózgu ma pan dostęp do specjalistycznej wiedzy bądź zdolności *alter ego*, czyli - jak pan by to ujął - innej legendy.

- Mam pytanie, pani doktor.

- Proszę posłuchać. Skoro przez pewien czas będziemy razem pracować, może przeszlibyśmy na „ty”. Niech mi pan mówi Bernice, a ja będę zwracała się do pana per Martin, dobrze?

- Oczywiście, Bernice.

- Jak brzmi twoje pytanie?

- Wygląda na to, że umiem rozróżnić trzy tożsamości operacyjne. Jest Martin Odum. Jest Lincoln Dittmann. Jest także jedna, której pani nie przedstawiłem - Irlandczyk Dante Pippen. Dzisiaj akurat Dante łąziłby po pubach w Dublinie, sprawdzając, w ilu zdoła się napić przed zachodem słońca.

- Cóż tak szczególnego jest w dniu dzisiejszym?

- Na litość boską, toż to Dzień Blooma. Cała akcja *Ulissesa* rozgrywa się dziewięćdziesiąt lat temu, szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset czwartego roku. - Martin zamknął oczy i przekrzywił głowę. - „Wszedł do Davy Byrne'a. Przyzwoity lokal. On nie plotkuje. Stawia kolejkę od czasu do czasu”<sup>[1]</sup>. W dodatku był to wtorek, jak dzisiaj. W Irlandii czegoś takiego nie przepuszcza się bez modlitwy w miejscu, które Dante lubił nazywać przybytkiem z wyszynkiem.

- Hm.

- Oto więc moje pytanie: Czy jedna z trzech moich legend jest prawdziwa? Czy też istnieje czwarta osobowość, czająca się w mroku, która jest prawdziwym mną?

- Nie mogę jeszcze na nie odpowiedzieć. Każde z tych założeń mogłoby być prawidłowe. Mogłaby istnieć czwarta, nawet piąta legenda. Nie dowiemy się, dopóki nie zaczniemy burzyć barier pamięci, cegła po cegle, żeby dotrzeć do tożsamości, która rozpoznaje w sobie siebie.

- I żeby to się stało, uraz psychiczny z dzieciństwa będzie musiał wyjść na jaw?

- To pytanie czy stwierdzenie faktu?

- Pytanie.

- Praca z tobą sprawi mi przyjemność, Martinie. Jesteś bardzo bystry. Nie jesteś przerażony, przynajmniej nie aż tak, by uciec od tego ryzykownego przedsięwzięcia. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: Żeby dotrzeć do osoby, którą nazywasz sobą, niemal na pewno będziesz musiał doświadczyć cierpienia. Co sądzisz o cierpieniu?

- Nie jestem pewien. Martin Odum może sądzić jedno, Lincoln Dittmann i Dante Phippen co innego.

- Co ty na to, byśmy zakończyli na tę wspaniałą nutę?

- Yhm. - Po namyśle Martin zapytał: - Mógłbym skorzystać z twojej propozycji i zażyć aspirynę?

## **1997: Martin Odum odkrywa, że mało co jest święte**

Dolny Manhattan od Crown Heights dzielą w linii prostej zaledwie cztery mile, ale to zupełnie inne światy. Odkąd w początkach lat dziewięćdziesiątych na ulicach Crown Heights wybuchły zamieszki na tle rasowym, ta szczególna część Brooklynu korzystała do pewnego stopnia z przywileju eksterytorialności. Jeżdżąc radiowozami z hasłem: „Uprzejmość - Profesjonalizm - Szacunek”, widocznym na nieobryzganym błotem drzwiach, funkcjonariusze policji patrolowali okolicę w godzinach dziennych, ale względnie bezpieczne pojazdy opuszczali tylko z powodu najbardziej rażących przestępstw. W zależności od tego, na której znajdowałaś się ulicy - a w pewnych wypadkach, na którym chodniku - rządziły nią różne mafijne gangi. Na ulicach na południe od Eastern Parkway przy Nostrand Avenue lubawiczenie, poważni mężczyźni w czarnych garniturach i czarnych kapeluszach, zajmowali się czytaniem Tory w okolicznych synagogach i przestrzeganiem jej sześciuset trzynastu przykazań w oczekiwaniu na Mesjasza, którego przybycia spodziewano się lada dzień, najpóźniej w najbliższy weekend. Ponieważ koniec świata był bliski, członkowie sekty z entuzjazmem zaciągali kredyty hipoteczne - z im odleglejszym terminem spłaty, tym lepiej; trudno im jednak było zdecydować się na kupno czegokolwiek, czego nie mogli natychmiast zużyć, nie wdawali się również w awantury, których nie mogliby skończyć przed zapadnięciem mroku. Przecnicę dalej, na Rogers Avenue, chasydzi ustąpili miejsca Afroamerykanom słończonym w kamienicach czynszowych; przenośne radiomagnetofony zagłuszały sporadyczne krzyki ćpunów, którzy potrzebowali działki narkotyku, ale nie mieli czym zapłacić. Antylskie getto, z czystymi ulicami, klubami towarzyskimi oraz festiwalami pod gołym niebem, podczas których młodzi ludzie szlifowali bruki aż do świtu, zaczynało się kilka przecznic dalej na południe, na Empire Boulevard. Tam gdzie naturalizowani cudzoziemcy z różnych gett stykali się ze sobą, napięcie gwałtownie rosło. Wszyscy rozumieli, że wystarczy iskra, by wzniecić pożar.

Martin, outsider we wszystkich gettach Crown Heights, dostatecznie dobrze znał realia, by idąc ulicą, nie podnosić głowy i nie patrzeć nikomu prosto w oczy. Słońce było wysoko, gdy szedł Schenectady Avenue, obok

dużego napisu: „Strajk o obniżkę czynszu”, wymalowanego wapnem na wystawie sklepu, obok kilku zepsutych wózków na zakupy z małymi afiszami informującymi, że są własnością Throckmorton's Minimarket przy Kingston Avenue, i uprzejmą prośbą o zwrot. Noga z uciskanym nerwem zaczęła go boleć, gdy skręcił w President Street, szeroką ulicę z drzewami i dwupiętrowymi kamienicami po obu stronach. Zszedł z chodnika, by zrobić miejsce trzem lubawiczankom, jednej bardziej anemicznej od drugiej, wszystkim w długich spódnicach i chustach na wygolonych głowach. Nie spojrzały w jego stronę, tylko dalej szczebiotały do siebie w języku, którego Martin nie zdołał rozpoznać. Gdy zbliżał się do Kingston, zrównał się z ambulansem z namalowaną na drzwiach gwiazdą Dawida, zaparkowanym przed domem z piaskowca, który przekształcono w synagogę; dwaj pryszczaci młodzieńcy, w haftowanych myckach na głowach i z długimi pejsami zwisającymi spiralnie aż do żuchw, siedzieli z przodu karetki i słuchali Boba Dylana z magnetofonu kasetowego.

...Wszystko, od błyszczących pistolecików dla dzieci

Po figurki Chrystusa, który w mroku świeci.

Wystarczy spojrzeć wokół siebie, by zrozumieć,

Że mało co jest naprawdę święte <sup>[2]</sup>.

\* \* \*

Gdy przeszedł przez Kingston Avenue, zaczął sprawdzać numery kamienic. W dwóch trzecich kwartału znalazł duży dom opisany przez Estelle Kastner; wąski, wykładany kamiennymi płytami chodnik prowadził do bocznych drzwi z palącym się nad framugą światłem. Martin minął dom, nie zatrzymując się, skręcił w prawo w Brooklyn Avenue i znowu w prawo w Union Street; cały czas wypatrywał oznak tego, że jest śledzony - albo przez kogoś poruszającego się pieszo, albo przez kogoś w samochodzie. Tęsknił trochę za starymi dobrymi czasami, gdy w dzikiej, nieprzyjaznej okolicy miał paru wymiataczy podążających jego tropem, żeby upewnić się, że jest bezpieczny, i czyścić teren za nim, jeżeli było inaczej. Teraz musiały mu wystarczyć elementarne w szpiegowskim fachu środki ostrożności. Ulice, zaułki i skrzyżowania, hole budynków z rzędami wind, toalety na zapleczach restauracji, a w nich okna wychodzące na zaułki - chłonał to wszystko, jakby zapamiętanie tego, co widział, mogło pewnego dnia uratować mu życie.

W połowie Union Street wszedł po schodach domu z piaskowca i dźgnął

palcem guzik dzwonka. Jakiś staruszek w podkoszulku otworzył gwałtownie okno na piętrze i zawołał:

- Czego pan chce?

- Szukam pewnej rodziny, o nazwisku Grossman - odkrzyknął Martin.

- Pomylił pan kwartały! To żydzi, mieszkają na Presiderit Street. Union wciąż, dzięki Bogu, jest raczej katolicka. - To powiedziawszy, cofnął głowę i zatrasnął okno.

Martin stał przez chwilę na werandzie i udawał zmieszanie, lustrując wzrokiem ulicę z obu stron domu. Potem wrócił tą samą drogą i ruszył President Street do kamiennych płyt, prowadzących do oświetlonego bocznego wejścia. Już miał zapukać w tabliczkę z napisem: „Domokrążcom dziękujemy”, gdy otworzyły się drzwi. Stella, w obcisłych dżinsach i wetkniętej w nie męskiej koszuli, stała za progiem, patrząc nań spod przymrużonych powiek. Te same co poprzedniego dnia trzy guziki jej koszuli były rozpięte i odsłaniały ten sam trójkątny kawałek bladej piersi. O dziwo, Martin przekonał się, że kobieta wygląda bardziej pociągająco niż przy pierwszym spotkaniu. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na jej ręce; paznokcie były niepomalowane, ale też niepoobgryzane, same palce zaś niezwykle długie i pełne wdzięku. Nawet wyszczerbiony siekacz, który zrobił na nim wręcz okropne wrażenie, gdy spotkali się dzień wcześniej, teraz wydawał się atutem.

- Toż to bosy szpicel Martin Odum, prywatny detektyw - powiedziała z kpiącym uśmiechem. Wpuściła Martina do środka i wsunęła walizkę pod krzesło. - W tym płaszczu przeciwdeszczowym - dodała, biorąc go od niego i wieszając w przedsionku - wygląda pan jak korespondent zagraniczny. Widziałam, jak dziesięć minut temu przekuśtykał pan przed domem. - Gdy zaprowadziła go po schodach do pozbawionej okien garderoby, oświadczyła: - Doszłam do wniosku, że pewnie boli pana noga. Wywnioskowałam również, że paranoicznie boi się pan, że ktoś może pana śledzić. Założę się, że nie dzwonił pan do mnie z domu, idę o zakład, że z automatu.

Martin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Na rogu Lincoln i Schenectady jest budka, w której śmierdzi jak w puszcze z terpentyną.

- Moja droga Stello, kiedy wreszcie zrozumiesz, że niektórzy paranoicy mają prawdziwych wrogów - rozległ się tubalny głos za plecami Martina. - Gdy utykając, szedł po President Street, obserwowałem go z okna na piętrze. Nasz gość ma udręczoną minę człowieka, który dwa razy okrąży kwartał,

zanim złoży wizytę swojej matce.

Martin odwrócił się szybko, by stanąć przed zażywnym jegomościem opatulonym we frotowy szlafrok i wciśniętym w wózek inwalidzki z napędem elektrycznym. Drapiąc się głośno po nieogolonym policzku pożółkłymi od nikotyny palcami jednej ręki, a drugą operując małym drążkiem sterowania, mężczyzna wprowadził wózek do garderoby, łokciem zamknął za sobą drzwi i cofnął się pod ścianę. Nieosłonięta żarówka, zwisająca z sufitu, oświetlała jego ziemistą twarz. Przyglądając mu się badawczo, Martin poczuł w dojmujący sposób, że w jednym ze swoich wcieleń natrafił na zdjęcie tego mężczyzny w albumie z materiałami kontrwywiadu. Tylko kiedy to było? I w jakich okolicznościach?

- Pan Martin Odum i ja - mężczyzna warknął skrzeczącym głosem nałogowego palacza - jesteśmy z tej samej branży. Szpiegowskie rzemiosło to nasza kabała. - Potarł zapałką o ścianę i zaciągając się, zapalił śmierdzącego papierosa. - i właśnie dlatego spotykam się z panem w tym bezpiecznym pomieszczeniu - dodał pośpiesznie, obejmując zamaszystym ruchem ręki półki wypełnione artykułami gospodarstwa domowego, mopy, miotły i odkurzacz oraz stopy gazet czekających na oddanie na makulaturę. - Obaj wiemy że są organizacje, które potrafią podsłuchiwać rozmowy przez linie naziemne, i nie ma znaczenia, czy słuchawki są na widelkach.

Stella dokonała formalnej prezentacji.

- Panie Odum, to mój ojciec, Oskar Aleksandrowicz Kastner.

Kastner wyjął z kieszeni szlafroka pistolet Tokariewa z rękojeścią z masy perłowej i położył go na półce. Martin, który zrozumiał wagę tego gestu, przyjął decyzję Kastnera o rozbrojeniu skinieniem głowy

Cała ta gadka o szpiegowskim rzemiośle uwolniła wspomnienia. Nagle Martin przypomniał sobie, który album z informacjami kontrwywiadu oglądał, gdy natknął się na twarz ojca Stelli; był to album pełen policyjnych zdjęć sowieckich dezertarów.

- Pańska córka powiedziała mi, że jest pan Rosjaninem - rzekł leniwie. - Nie dodała, że był pan agentem KGB.

Kastner, kiwając z podnieceniem głową, wskazał na plastikowy taboret kuchenny. Martin przyciągnął go do siebie i usiadł. Stella oparła się o złożoną drabinę, przysiadając na jednym z jej szczebli.

- Bystry gość z pana, panie Odum - przyznał Kastner, a jego krzaczaste brwi zdrzwały nad ciężkimi powiekami. - Moje ciało spowolniło swoje reakcje, ale mózg nadal funkcjonuje prawidłowo i właśnie dlatego wciąż

realizuję swoje czeki z emeryturą. To się rozumie samo przez się, ale i tak to powiem: sprawdziłem pana, zanim posłałem Stellę, by zbadała sytuację.

- W sąsiedztwie nie mieszka aż tylu ludzi, by mógł pan sprawdzić mnie u nich - zauważył Martin, ciekaw źródeł informacji Kastnera.

- Pańską osobę zasugerował mi ktoś w Waszyngtonie, kto zapewnił mnie, że ma pan zbyt wysokie kwalifikacje do każdej pracy, jaką mógłbym zaproponować. Na wszelki wypadek przeprowadziłem dyskretne śledztwo; rozmawiałem z Rosjaninem w Małej Odessie, któremu była żona ukradła rottweilera, gdy zalegał z płaceniem alimentów. Człowiek, o którym mowa, przyrównał pana do maratończyka. Powiedział, że gdy już pan coś zacznie, to doprowadza do końca.

Martín skojarzył fakty.

- Oskar Kastner to nie może być pana prawdziwe imię i nazwisko - rzekł, głośno myśląc. - Dezerter z KGB mieszkający w Brooklynie pod przybranym nazwiskiem - pseudonimowi z pewnością będzie towarzyszyła rozbudowana przykrywka - to oznacza, że pan, jak inni sowieccy dezerterzy, musi być objęty programem ochrony świadków FBI. Według pańskiej córki przyjechał pan tutaj w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku, co oznacza, że CIA już dawno wszystko z pana wycisnęła i przypuszczalnie nie odpowiadają na telefony, gdy pan do nich dzwoni. To zaś wskazuje, że pański znajomy z Waszyngtonu, który podał panu moje nazwisko, jest agentem FBI.

Więc w ten właśnie sposób Crystal Quest dowiedziała się o wizycie Stelli w sali bilardowej! Ktoś w FBI usłyszał, że były pracownik CIA bawi się w detektywa na Crown Heights, i przekazał Kastnerowi nazwisko Martina. Urzędnicy FBI, którzy mieli na oku osoby objęte programem ochrony świadków, zapewne udostępnili rutynowy raport o „nawiązaniu kontaktu”, gdy dawny funkcjonariusz KGB oznajmił o swym zamiarze zatrudnienia byłego funkcjonariusza CIA - chociaż sprawa, o którą chodzi, nie miała nic wspólnego z operacjami CIA. Gdzieś w gąszczu korytarzy Langley zapewne rozległ się dzwonek ostrzegawczy; przypuszczalnie jego dźwięk dotarł do uszu Quest.

Czy to znaczyło, że zaginiony zięć Kastnera miał jakiś związek z dawnymi bądź obecnymi operacjami CIA? Martin uznał, że warto rozważyć tę ewentualność.

- Jest dość szybki jak na maratończyka - wyjaśnił córce Kastner. - Mój znajomy z FBI powiedział, że zwolniono pana z CIA w tysiąc dziewięćset



dziewięćdziesiątym czwartym roku. Nie wyjaśnił dlaczego, zaznaczył jedynie, że nie miało to nic wspólnego z kradzieżą pieniędzy, sprzedażą tajemnic państwowych ani czymś równie nieprzyjemnym.

- Co za ulga, że obaj jesteście po tej samej stronie - odważyła się wtrącić Stella ze szczebla drabiny.

Martin pomachał dłonią, by rozwiać dym z papierosa.

- Czemu nie poprosił pan FBI, by spróbowało znaleźć pańskiego zięcia?

- To pierwsze, co próbowałem zrobić. Naciągnęli przepisy i przejrzeni komputerową bazę danych o osobach zaginionych, które znaleziono martwe. Niestety żadna z nich nie odpowiadała rysopisowi Samata.

Martin uśmiechnął się.

- Niestety?

Wyraziste rysy twarzy Kastnera wykrzywił grymas niezadowolenia.

- Mówię po amerykańsku, z akcentem, Stella stale mnie poprawia, ale słowa dobieram tak, jakby od precyzji wypowiedzi zależało moje życie.

- Za akcent Kastnera mogę ręczyć - powiedziała ze śmiechem Stella.

- Nazywa pani tak swojego ojca?

- Jasne. Już doszedł pan do tego, że to nie jest prawdziwe nazwisko. FBI nadała je ojcu, gdy został objęty programem ochrony świadków. Posługiwanie się nazwiskiem Kastner to nasz stały żart. Prawda, Kastner?

- Przypomina nam ono, kim nie jesteśmy.

- Spotkanie z pani ojcem sporo wyjaśnia.

- Na przykład?

- Wyjaśnia, jak to możliwe, że tak szybko podjęła pani grę, gdy zadzwoniłem dziś rano. Zrozumiała pani, że podejrzewam, iż telefon jest na podsłuchu.

- Została nauczona dyskrecji w rozmowach telefonicznych - przyznał Kastner z wyraźną dumą. - Zna szpiegowskie rzemiosło wystarczająco dobrze, by zwracać uwagę na ludzi oglądających na wystawach przedmioty, których normalnie raczej nie kupują. Kobiety i wędki, na przykład. Albo mężczyźni i kobieca bielizna.

- Naprawdę nie musiał pan obchodzić kwartału dwa razy - powiedziała Stella. - Zapewniam, że gdy przyszedłem do pana, nikt mnie nie śledził. W drodze do domu również nie.

- Skoro tak, to jak to możliwe, że ludzie, dla których pracowałem, próbują zniechęcić mnie do angażowania się w poszukiwanie zaginionych mężów?

Kastner chwycił za drążek sterujący; wózek ruszył gwałtownie w stronę Martina.

- Skąd pan wie, że wiedzą? - zapytał cicho.

- Szeptała mi o tym do ucha kobieta nazywana Fredem Astaire'em.

- Z wyrazu pańskich oczu widzę, że nie uważa pan tej osoby za przyjaciela.

- Zniechęcenie kogoś wymaga sporo energii. Od czasu do czasu zdobywam się na taki wysiłek.

Stella podała tropem własnych domysłów.

- Może pańska sala bilardowa była na podsłuchu - zasugerowała. - Może ukryli mikrofon w tym karabinie z czasów wojny secesyjnej.

Martin pokręcił głową.

- Gdyby założyli podsłuch u mnie na poddaszu, usłyszeli by, jak odmawiam przyjęcia tej sprawy, i nie uciekaliby się do tego typu nacisków.

- Cynk mógł pochodzić z FBI - głośno myślał Kastner, pochylając dużą głowę. - Ktoś mógł rutynowo powiadomić mojego oficera prowadzącego z CIA, gdyby wyglądało na to, że może pan nawiązać ze mną kontakt. Ale przypuszczalnie sam pan już do tego doszedł.

Martin odetchnął z wielką ulgą, słysząc, jak Kastner dochodzi do tego wniosku. To wzmacniało jego wiarygodność.

Rosjanin spojrział na niego, zaciskając szczęki.

- Stella powiedziała mi, że nie chciał pan przyjąć tej sprawy. Czemu zmienił pan zdanie?

- On nie zmienił zdania, Kastner. - Mówiąc to, Stella nie spuszczała wzroku z Martina. - Poszedł za głosem serca.

- Niech pan z łaski swojej odpowie na pytanie - pouczył swojego gościa Kastner.

- Przypiszmy to niezdrowej ciekawości. Chciałem wiedzieć, dlaczego CIA nie życzy sobie, by akurat ten mąż został odnaleziony. Temu oraz faktowi, że nie lubię, gdy jakiś babsztyl, który rozgryza kostki lodu, mówi mi, co mogę robić, a czego nie.

- Podoba mi się pan - wykrzyknął Kastner, a jego twarz wykrzywił uśmiech. - Podoba mi się - poinformował córkę. - Ale w naszym Komitecie Gosudarstwiennoj Biezopasnosti nie zaszedłby zbyt wysoko. Jest zbyt wielkim indywidualistą. Nie ufaliśmy indywidualistom. Werbowaliśmy ludzi, którzy dobrze się czuli w roli trybów w maszynie.

- W którym zarządzie? - zapytał Martin.

Obcesowością swojego pytania sprawił, że Stella aż się skrzywiła; z jej doświadczenia wynikało, że ludzie rozmawiający o sprawach wywiadu zwykle owijają słowa w bawełnę.

- W Stanach, Kastner - wyjaśniła ojcu, którego pytanie wyraźnie wytrąciło z równowagi - nazywają to mówieniem bez ogródek.

Kastner odchrząknął.

- W Szóstym Zarządzie Głównym - odparł, dostosowując się do sytuacji.

- Byłem drugim zastępcą szefa zarządu.

- Aha.

Rosjanin spojrział na córkę.

- Co znaczy to „aha”?

- To znaczy, że Szósty Zarząd Główny jest mu dobrze znany.

Martin rzeczywiście dysponował dość gruntowną wiedzą o tym szczególnym zarządzie. W pewnym momencie pod koniec lat osiemdziesiątych Lincoln Dittmann zwerbował funkcjonariusza KGB w Stambule. Lincoln przystąpił do akcji, gdy dowiedział się pocztą pantoflową, że młodszy brat agenta bezpieczeństwa został aresztowany za zmylenie kroku w trakcie musztry wojskowej; instruktor oskarżył go o sabotowanie defilady celem skompromitowania wspaniałej Armii Czerwonej. Lincoln ustalił, że wywiezie rozczarowanego agenta i jego rodzinę ze Stambułu w zamian za rolę mikrofilmu zawierającego dokumenty Szóstego Zarządu Głównego. Ów materiał zapewnił CIA wgląd w operacje tej nieznanej dotąd części KGB. „Szóstka” została wydzielona ze struktury KGB jeszcze w latach sześćdziesiątych w celu tropienia przestępstw gospodarczych. W 1987 roku, gdy to, co Sowieci nazywali „spółdzielniami”, a świat „przedsiębiorstwami wolnorynkowymi”, zostało zalegalizowane przez towarzysza Gorbaczowa, Szósty Zarząd Główny zajął się obserwacją tych nowych firm. Gdy gospodarka, przygnieciona brzemieniem inflacji i korupcji na najwyższych szczeblach władzy, zaczęła pogrążyć się w zastoju, gangsterski kapitalizm kwitł; spółdzielnie musiały płacić za ochronę - coś, co Rosjanie nazywali *kryszą*, czyli dachem - setkom gangów powstających w Moskwie oraz innych miastach, jeżeli nie chciały wypaść z rynku. Gdy Szósty Zarząd Główny stwierdził, że nie potrafi zgnieść gangów i ochronić tworzącej się gospodarki rynkowej, po prostu zaniechał dalszych prób i przyłączył się do ogólnej grabieży kraju. Martin przypomniał sobie, jak Stella mówiła, że jej ojciec wyemigrował do Ameryki w 1988 roku. Gdyby bogacił się na grabieży zostałby i zgarnął swoją dolę. Co znaczyło, że należał do tych

twardogłowych komunistów, którzy obarczali Gorbaczowa i jego pierestrojkę winą za fiasko siedemdziesięciu lat sowieckiego komunizmu. Krótko mówiąc, Kastner był przypuszczalnie niezmiernie rzadkim okazem żarliwego, choć zniechęconego marksisty, skazanego na dożywanie reszty swoich dni w kapitalistycznej Ameryce.

- Myśli pan tak intensywnie, że aż się panu z uszu dymi - zauważył ze śmiechem Rosjanin. - Do jakiego doszedł pan wniosku?

- Pan też mi się podoba - oświadczył Martin. - Podoba mi się pani ojciec - rzekł do Stelli. - Rzecz w tym, że nie przetrwałyby długo w CIA. Jest stanowczo zbyt wielkim idealistą jak na instytucję, która szczyli się wirtuozerią swoich pragmatyków. W odróżnieniu od pani ojca Amerykanów nie interesuje urządzenie utopii; uważają, iż w niej żyją.

Stella sprawiała wrażenie oszołomionej.

- Cieszę się, że Kastner się panu podoba, i to z właściwych powodów - powiedziała cicho.

Kastner, któremu te komplementy wyraźnie działały na nerwy, obrócił wózek w jedną, a potem drugą stronę.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak zespolić nasze umysły i ocenić, dlaczego pani o pseudonimie Fred Astaire nie chce, żeby odnaleziono mojego zięcia.

Martin pozwolił, by na jego ustach wykwitł półuśmiech.

- Chcąc to zrobić, będę musiał o d n a l e ź ć Samata.

Stella wyszła zaparzyć herbatę; kiedy po kilku minutach pośpiesznie wróciła, niosąc tacę ze słojem konfitur i trzema dymiącymi filiżankami, okazało się, że jej ojciec i Martin, stykający się niemal kolanami, są pochłonięci rozmową. Martin palił jednego ze swoich cienkich niczym słomka bidi. Kastner zaczął kolejnego papierosa, ale trzymał go w wyciągniętej w bok ręce, żeby dym nie przesłaniał mu Martina.

- ...zdołał jakoś sfalszować akta, żeby partia nie wiedziała, że jego matka jest Żydówką - wyjaśniał. - Jego ojciec był ormiańskim lekarzem i członkiem partii. W pewnym momencie został oskarżony o to, że jest wrogiem ustroju, i wysłany na Syberię, gdzie zmarł. Postalinowski program rehabilitacji osób fałszywie oskarżonych o działalność przestępczą działał na korzyść Samata, gdy wystąpił o przyjęcie na studia w Instytucie Leśnictwa; państwo zabiło jego ojca, więc uznało, że musi to wynagrodzić synowi.

Martin pokiwał głową.

- Chyba pamiętam, że czytałem o tym waszym słynnym instytucie, w

którym uczono wszystkiego z wyjątkiem leśnictwa.

Kastner odłożył papierosa na spodek i dodał łyżeczką konfitur do jednej z filiżanek. Dmuchaając, głośno wypił łyk parzącej herbaty.

- Był to tajny instytut stworzony do prac nad naszym programem kosmicznym - odparł. - W latach siedemdziesiątych stanowił on najlepszą uczelnię informatyczną w Związku Sowieckim. Samat kontynuował wyższe studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej przy Państwowej Komisji Planowania. Gdy uzyskał dyplom z wysoką lokatą, został odkomenderowany do KGB. Z uwagi na znajomość informatyki oddelegowano go do Szóstego Zarządu Głównego.

- Znał go pan osobiście?

- Przydzielono go do kilku spraw, nad którymi pracowałem. Stał się ekspertem w sprawach technik prania brudnych pieniędzy; wiedział wszystko, co można było wiedzieć o bankach w rajach podatkowych oraz transakcjach akcjami na okaziciela. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, gdy Jelcyn zajął miejsce Gorbaczowa i przejął władzę, jednym z pierwszych jego posunięć było rozbicie Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego; w tym momencie wielu funkcjonariuszy KGB straciło pracę i z trudem wiązało koniec z końcem. Samat był jednym z nich.

- Pan był już wtedy w Ameryce. Skąd pan to wszystko wie?

- Wasza Centralna Agencja Wywiadowcza zachęciła mnie do utrzymywania kontaktu z Szóstym Zarządem. Chcieli, żebym werbował agentów na miejscu.

- Udało się panu?

Kastner posłał mu zboląły uśmiech.

- Cofam pytanie - rzekł Martin. - A więc doszliśmy do momentu, w którym Samat, gdy KGB związa interes, zaczyna przeglądać ogłoszenia z ofertami pracy. Jaka mu się trafiła?

- W końcu zatrudnił się u jednej ze wschodzących gwiazd sektora prywatnego, człowieka, który stworzył własny model przejścia od socjalizmu do kapitalizmu rynkowego: kapitalizm gangsterski. Należał do gangsterów, których poczynania śledził Szósty Zarząd Główny, gdy jeszcze tam pracowałem. Samat, dysponujący znajomością technik prania brudnych pieniędzy, szybko piął się w górę w hierarchii, zostając głównym specem od finansów. To on sprowadził do Rosji grę w muszle. Widział pan pewnie Murzynów grających w to na skrzyżowaniach ulic wzdłuż Rogers Avenue. Składają banknot dziesięciodolarowy do rozmiarów orzecha włoskiego,

wkładają go pod muszlę morską i przestawiają ją z dwiema innymi muszlami. Gdy kończą przestawiać muszle, twój banknot znika. Samat czynił to samo, tylko na znacznie większą skalę.

- I to właśnie jest ów rosyjski członek sekty Lubawicz, który, zapragnął ożenić się z pańską córką i mieszkać w Izraelu?

Kastner pokiwał z namaszczeniem głową.

- W pewnym momencie CIA poprosiła mnie, bym spróbował zwerbować Samata. Umówili się, że porozmawiam z nim przez telefon, gdy był w Genewie. Powiedziałem mu o tajnym koncju, które mogłoby być do jego dyspozycji, gdyby przeszedł na naszą stronę. Wymieniłem sumę, która zostanie na nim zdeponowana. Roześmiał się i odparł, że kwotę, którą proponują, nosi w kieszeni spodni. Powiedział, że CIA nie stać na zapłacenie mu jednej dziesiątej tego, co zarabia. Gdy wrócił do Rosji, dopilnował, by wszyscy się dowiedzieli, że CIA próbowała go zwerbować. W „Prawdzie” ukazał się nawet satyryczny artykuł opisujący nieudolną ofertę jakiegoś zdrajcy.

- Kiedy Samat skontaktował się z panem w sprawie ożenku z pańską córką?

- To nie Samat skontaktował się z Kastnerem - wyjaśniła Stella. - Człowiekiem, który nawiązał kontakt, jest pracodawca Samata, przez przypadek będący jego stryjcem.

Martin przeniósł spojrzenie ze Stelli na jej ojca.

- A kto był jego pracodawcą?

Kastner chrząknął.

- Cwietan Ugor-Żyłow, nazywany Oligarchą.

- Ten Cwietan Ugor-Żyłow, który trafił na okładkę „Time'a” na początku lat dziewięćdziesiątych?

- Jest tylko jeden Cwietan Ugor-Żyłow - zauważył z pewną goryczą Kastner.

- Zgadząc się na to małżeństwo, wiedział pan, że Samat pracuje dla Ugor-Żyłowa?

Kastner spojrzał na córkę, po czym spuścił wzrok. Najwyraźniej był to dla nich drażliwy temat. Stella odpowiedziała za ojca.

- To, że Cwietan Ugor-Żyłow skontaktował się z Kastnerem, nie było przypadkiem, obaj znali się z czasów, gdy Szósty Zarząd Główny śledził poczynania nowych spółdzielni.

- We wczesnych latach dziewięćdziesiątych - wyjaśnił Kastner - Ugor-

Żyłow był tylko płótką w akwariu, prowadził salon sprzedaży używanych samochodów w Erewanie, stolicy Armenii. Był notowany w kartotekach KGB, na początku lat siedemdziesiątych został aresztowany za przekupstwo oraz czarnorynkowe spekulacje i wysłany na osiem lat do gułagu na Kamczatce. Niech pan przeczyta *Jeden dzień Iwana Denisowicza*, a zyska pan pojęcie, jak wyglądał każdy dzień z tych ośmiu lat Ugora-Żyłowa. Zanim wrócił do Armenii i zebrał dość pieniędzy, by otworzyć salon z używanymi autami, był już zażartym przeciwnikiem Sowietów, a także wrogiem Rosjan. Gdyby nie zapragnął wypłynąć na szersze wody, zniknąłby z pola naszej obserwacji. Przyjechał do Moskwy i po kilku miesiącach opanował tamtejszy rynek używanych samochodów. Wykupił swoich konkurentów jednego po drugim. Ci, którzy nie chcieli sprzedać, lądowali w grobie lub szpitalu. Kary wymierzane przez Oligarchę były, jak mawiacie w Ameryce, okrutne i oryginalne; uważał, że gdy wrogowie mają powody się go bać, sprzyja to interesom. Gdy rozmawiałem z Samatem w Genewie, opowiedział o tym, jak Ugor-Żyłow ni mniej, ni więcej, tylko pogrzebał kogoś żywcem i kazał wyasfaltować nad nim drogę - i to na oczach kilkudziesięciu robotników. Opowieść o tej egzekucji nie musi być prawdziwa, tak czy owak spełniła swój cel. Niewielu Rosjan było na tyle lekkomyślnych, by rzucić wyzwanie Oligarsze.

- Wygląda na to, że strasznie dużo pan wie o tym człowieku - zauważył Martin.

- Byłem oficerem kierującym śledztwem w sprawie Oligarchy.

Martin zrozumiał, jaki będzie finał tej historii.

- Niech zgadnę: Żyłow zapłacił „Szóstce” za milczenie.

Kastner przez chwilę nie odpowiedział.

- Musi pan postawić się w naszym położeniu - rzekł w końcu. - Byliśmy uczciwymi glinami i ścigaliśmy go w przepisowy sposób. Ale on przekupił kremlowskiego ministra, który kierował KGB, a potem moją kolekę, który był szefem Szóstego Zarządu Głównego. Następnie zwrócił się do mnie i położył na stole grubą kopertę z pieniędzmi, i to w sytuacji, gdy wskutek chaosu panującego w gospodarce czasami przez kilka miesięcy pracowaliśmy bez wynagrodzenia. Co miałem zrobić? Gdybym je przyjął, znalazłbym się na jego liście płac. Odmową poważnie naraziłbym własne życie.

- Więc uciekł pan do Ameryki.

Kastner chwycił papierosa ze spodka i zaciągnął się nim głęboko, po czym wciągnął nosem unoszący się w powietrzu dym.

- Nie było innego wyjścia.

- Dlaczego wiedząc to, co pan wiedział o Ugor-Żyłowie, zgodził się pan, by córka poślubiła jego bratanek?

Stella przyszła ojcu z pomocą.

- Kastner zgodził się, bo nie miał wyboru.

- Pan nie rozumie, jak po upadku komunizmu wszystko funkcjonowało - rzekł bardzo cicho Kastner. - Pewnego rana w skrytce na listy na parterze, tutaj, przy President Street, znalazłem list napisany na maszynie na drogim papierze uszlachetnionym. Nie był podpisany, ale od razu zrozumiałem, od kogo przyszedł. Autor informował, że jego bratanek jest zmuszony wyjechać z Rosji, i to szybko. I że najlepszym miejscem dla niego będzie Izrael. W tych czasach Żydzi stali tysiącami w kolejce w Moskwie; izraelski Mosad, z obawy, że pozostałości aparatu KGB spróbują przeniknąć do Izraela, bardzo starannie sprawdzał żydowskich wnioskodawców. A starannie znaczyło powoli. Ugor-Żyłow najwyraźniej wiedział, że moja córka Elena wstąpiła do sekty Lubawicz niedługo po tym, jak osiedliliśmy się na Crown Heights. Wiedział też, że lubawiczanie mają spore możliwości ściągnięcia Żydów do Izraela, gdy w grę wchodziło małżeństwo członka sekty, a zwłaszcza gdy nowo poślubieni planowali zamieszkać na jednym z osiedli żydowskich na Zachodnim Brzegu, które ówczesny rząd izraelski pragnął zaludnić; sekta mogła załatwić u izraelskich władz imigracyjnych przyśpieszenie całej sprawy.

Martin czuł klaustrofobię w dusznej garderobie; drażniły go zamknięte przestrzenie bez okien.

- Coś mi tu nie gra - zauważył, obrzucając wzrokiem drzwi i poskramiając w sobie gwałtowną chęć otwarcia ich na oścież. - Jak Cwietan Ugor-Żyłow mógł wysłać do pana list, skoro był pan objęty programem ochrony świadków FBI...

Martin rozdziawił usta; do odpowiedzi na swoje pytanie doszedł, zanim udzielił jej Kastner.

- Właśnie d l a t e g o, że był w stanie wysłać do mnie list mimo mojego uczestnictwa w programie FBI, nie sposób było mu odmówić. Cwietan Ugor-Żyłow zalicza się do najbogatszych osób w całej Rosji; zgodnie z tym artykułem w „Timie” jest jednym z pięćdziesięciu najbogatszych ludzi na świecie. Ma długie ręce, wystarczająco długie, by dotrzeć do kogoś, kto otrzymał nową tożsamość i mieszka przy President Street na Crown Heights. - Zerknął na Stellę i oboje wymienili ponure uśmiechy. - Wystarczająco



długie - ciągnął Kastner - by dotrzeć także do jego dwóch pięknych córek. Gdy Oligarcha prosi o przysługę, niezdrowo jest odmawiać, będąc przykutym do wózka i nie mając dokąd uciec.

Martin przypomniał sobie słowa piosenki Boba Dylana, którą usłyszał na ulicy, i powtórzył je głośno:

- „Mało co jest naprawdę święte”.

- Nieprawda - wybuchnął Kastner. - Wiele rzeczy to nadal świętość. Chronienie moich córek zajmuje wśród nich naczelne miejsce.

- Kastner nie mógł przewidzieć, że Samat tak źle obejdzie się z Eleną - wtrąciła Stella. - To nie jego wina, że...

Kastner przerwał córce.

- A czyja, jeśli nie moja? - zapytał z przygnębieniem.

- Czy nie naraża się pan, wynajmując mnie do znalezienia Samata?

- Chcę jedynie, by dał mojej Elenie rozwód, żeby znowu mogła wyjść za mąż. Co potem zrobi ze swoim życiem, to jego sprawa. To z pewnością nie jest wygórowane żądanie. - Kastner przesunął drążek, uderzając tyłem wózka w ścianę z lekkim głuchym stukiem. Wzruszył grubymi ramionami, jakby próbował pozbyć się ciężaru. - Jak ustawimy sprawę wynagrodzenia?

- Płacę za siebie kartami kredytowymi. Gdy bank zażąda spłaty kredytu, poproszę pana o zwrot poniesionych kosztów. Jeżeli znajdę Samata i pańska córka dostanie swój *get*, ustalimy, ile to jest dla pana warte. Jeżeli go nie znajdę, straci pan tylko tyle, ile wydałem. Ani dolara więcej.

- W swojej sali bilardowej mówił pan o problemie szukania igły w stogu siana - zauważyła Stella. - Gdzie, u diabła, zacznie pan jej szukać?

- Nikt nie znika bez śladu - oświadczył Martin. - Zaczniemy w Izraelu.

- My? - odparła zaskoczona Stella.

Martin potwierdził skinieniem głowy.

- Po pierwsze, jest tam pani siostra, będzie mi bardziej ufać, jeżeli spotkam się z nią w pani obecności. Po drugie, Samat. Ktoś, kto ucieka, z łatwością może zmienić wygląd, na przykład kolor i długość włosów. Mógłby nawet podawać się za Araba i zakryć głowę kufiją. Muszę mieć ze sobą kogoś, kto mógłby wyłowić go z tłumu, gdyby tylko ujrzał jego zielone jak morskie wodorosty oczy.

- To w zasadzie zawęźa wybór do mnie - zgodziła się Stella.

## 1997: Lunatyczna wędrówka Minh po krainie przelotnych przygód

Ubrana w luźne jedwabne spodnie i jedwabną bluzkę ze stójką i wyhaftowanym na plecach smokiem, Minh sprzątała ostatnie brudne naczynia po lunchu, gdy Tsou Xing wsadził głowę przez drzwi kuchni i zapytał, czy skoczy na górę i dogłębnie ulów Martina. Zrobiłby to sam, wyjaśnił, ale czeka na dostawę tajwańskiego piwa i chce policzyć kartony, zanim umieszczą je w piwnicy, żeby upewnić się, że go nie oszukują. „Oczywiście - odparła Minh. - Żaden problem”. Otworzyła kasę, wyjęła z niej klucz od mieszkania Martina i ruszyła do drzwi, zadowolona, że ma kilka minut dla siebie. Ciekawe, czy Tsou podejrzewał, że spała z Martinem. Chyba dostrzegła coś jakby pożądlive spojrzenie w jego starych oczach, gdy na początku tygodnia poruszył temat ich sąsiada z góry; mówił po angielsku, ale Martina określał chińskim słowem oznaczającym pustelnika. „Dokąd, twoim zdaniem, udaje się *jin shi*, gdy wyjeżdża?” - zapytał. Minh zgarbiła się, wruszając muskularnymi ramionami. „Śledzenie klientów nie należy do moich obowiązków” - odpowiedziała cierpko. „Nie ma powodu zadzielać nosa - zauważył Tsou, odganiając muchę z baru grzbietem swojej jedynej ręki. - To przecież żadna zbrodnia myśleć, że mogłabyś to wiedzieć, pławda?”. I uśmiechnął się szelmowsko, tak że w jego ustach błysnęło kilka złotych zębów. „No cóż, nie wiem i nic mnie to nie obchodzi” - upierała się przy swoim Minh. Odwróciwszy się na pięcie, odeszła sztywnym krokiem, żeby dotarło do niego, że wtykając nos w jej istniejące czy też nieistniejące życie miłosne, nie zaskarbi sobie wdzięczności swojej pracownicy.

Teraz Minh otarła rękawem logo na drzwiach mieszkania Martina, by usunąć zeń plamy po deszczu, po czym weszła i pokonując po dwa stopnie naraz, wspięła się po schodach do sali bilardowej. Tak naprawdę jednak była ciekawa, dokąd wyjechał. Zastanawiała się również, dlaczego nie zostawił wiadomości jej ani Tsou. Przypisała to jego nieśmiałości; byłby zażenowany na myśl, że Tsou dowiedział się o ich związku, o ile ich bardzo sporadyczne wspólne wieczory można by nazwać związkiem. Błąkała się po sali bilardowej, muskając palcami broń z czasów wojny secesyjnej z jego kolekcji oraz teczki na jego biurku i nierozpakowane, zawierające Bóg wie co

kartonowe pudła. Niedługo po tym, jak się wprowadził, zapytała, czy ma mu pomóc je rozpakować. Kopnął jedno z pudeł i powiedział, że nie musi ich otwierać, wie, co zawierają. Ta odpowiedź wydała się jej typowa dla Martina.

Gdy o tym myślała, co zdarzało się częściej, niż była skłonna przyznać, świadomość, że tak naprawdę nie jest pewna, na czym stoi w znajomości z *jin shi*, doprowadzała ją do rozpacz. Zawsze wydawał się widywać z nią z radością, ale nigdy nie zawracał sobie głowy inicjowaniem tych spotkań. Minh wychowała się w chińskiej dzielnicy na dolnym Manhattanie, w tyglu, w którym aż kipiało od uchodźców rozmaitego rodzaju, więc rozpoznawała ich od razu; zdradzało ich to, że nawet w tłumie sprawiali wrażenie samotnych. Sama przebywała w tym kraju nielegalnie, była uchodźczynią z Tajwanu. Nawet jej imię nie było prawdziwe; nigdy nie wyjawiała tego szczegółu Martinowi z obawy, że mógłby przeżyć szok. Czasem miała dziwne uczucie, że Martin również jest kimś w rodzaju uchodźcy, choć nie miała pojęcia, przed czym się tutaj schronił. *Jin shi* prowadził nudne, jej zdaniem, życie, zamawiając trzy lub cztery razy w tygodniu te same dania na kolację, doglądając swoich ulów na dachu i kochając się z nią, gdy zjawiała się na progu jego mieszkania. W poszukiwaniu emocji włamywał się do pokoi hotelowych, żeby robić zdjęcia mężom cudzołożnikom, chociaż gdy opisywał, z czego się utrzymuje, w jego ustach nawet to wydawało się nudne. Raz jeden, gdy poruszyła temat nudy, zdumiał ją, przyznając, że się nią delectuje; uparcie twierdził, że resztę życia zamierza spędzić, zanudzając się na śmierć.

Wtedy Minh myślała, że to jedna z tych rzeczy, które człowiek mówi, aby błysnąć inteligencją. Dopiero później pojęła, że mówić całkiem poważnie; że zanudzenie się na śmierć to sposób na popełnienie samobójstwa w zwolnionym tempie.

Gdy weszła do pokoju w głębi mieszkania, wygładziła pościel i koc na łóżku polowym, wylała wodę z plastikowej miednicy stojącej na podłodze, zamknęła drzwi lodówki i schowała naczynia, które Martin wreszcie umył. Wyjęła spłowiąły kombinezon Martina i podwinąwszy mankiety i rękawy, włożyła go i zasunęła zamek z przodu. Włożyła korkowy hełm z siatką i przejrzała się w popękany lustrze nad umywalką w łazience. Tego stroju nie dałoby się określić mianem *feng shui*. Wyjąwszy spod zlewu dymnik Martina, ruszyła po schodach na dach. W ciepłe położonego wysoko na niebie słońca znikwały ostatnie krople deszczu, który spadł poprzedniej nocy. Z płytkich kałuż unosiła się para. Minh przeszła do ulów po drugiej stronie

dachu. Martin kupił je razem ze sprzętem z katalogu, gdy wbił sobie do głowy, że będzie hodował pszczoły; z katalogu kupił nawet pierwsze pszczoły matki. Na początku studiował podręcznik, który przyszedł w komplecie z ulami. Następnie wtaszczył na dach krzesło i całymi godzinami obserwował pszczele rodziny, próbując dojść do tego, czy rój porusza się według jakiegoś wzorca, czy w pozornym pszczelim szaleństwie jest jakaś metoda. Minh nigdy dotąd nie widziała, by robił coś z takim przejęciem. Gdy zaczął sprawdzać i czyścić ramki, nosił rękawice, ale wyrzucił je, gdy przez przypadek wspomniała o panującym wśród Chińczyków przekonaniu, że użądlenia pszczół pobudzają męskie hormony i zwiększają popęd płciowy. Nie żeby kolejne ślady użądleń na jego rękach cokolwiek zmieniły - to Minh niezmiennie jako pierwsza kierowała się w stronę polowego łóżka w głębi poddasza, ciągnąc za sobą Martina i zdzierając ubranie najpierw z siebie, a potem z niego. Kochał się z nią ostrożnie, jakby (w końcu uświadomiła to sobie) to on, a nie ona, był kruchą istotą; jakby bał się ujawnić uczucia, których mógłby nie zdołać opanować.

Minh siedziała w kucki przed pierwszym ulem, przygotowując dymnik i rozmyślając o tym, jak bardzo uprawianie miłości z Martinem przypomina lunatyczną wędrówkę przez serię przelotnych przygód, które dawały fizyczne zaspokojenie, ale nie zaspokajały potrzeb emocjonalnych, gdy pocisk dum-dum wpadł w ramki ula. Na chwilę zaległa zupełna cisza, jak gdyby dwadzieścia tysięcy jego mieszkaneł, tych, które przeżyły uderzenie, zostało wprawionych w stan katatonicznego zdumienia. Po czym dziki żółtawobrunatny rój wielkości futbolówki wypadł z ula z taką furją, że powalił Minh do tyłu. Korkowy hełm i siatka poleciały w bok i pszczoły rzuciły się ku jej nozdrzom i oczom, z dzikim zapąłem godząc w nie strzałami swoich żądeł. Minh zacisnęła dłonie w pięści i biła na oślep w owady pokrywające jej skórę grubą warstwą, miażdżąc je setkami, aż jej kłykcie pokryły się lepka mazią. Nad jej głową nie było już słońca, jedynie gruby dywan oszalałych bestii, odbijających się od siebie w walce o dostęp do intruza, który obrócił ich ul w perzynę.

Z obrzmiałą twarzą i powiekami Minh osunęła się na gorącą papę dachu, odganiając bezsilnie pszczoły, tak jak Tsou odganiał muchę w barze. Gdy ból ustąpił miejsca odrętwieniu, usłyszała głos, który brzmiał niezwykle podobnie do jej głosu, mówiący Martinowi, że naprawdę nie powinien nosić rękawic. Oczywiście, że nie bez powodu. Według Chińczyków żądła pszczół mogą pobudzać męskie...

## **1997: Oskar Aleksandrowicz Kastner odkrywa, jak ciężki jest papieros**

Dwaj mężczyźni w kombinezonach firmy telekomunikacyjnej zaparkowali swój wóz naprawczy w wąskim zaułku między President a Carroll Street i ruszyli pieszo w kierunku jedyne go ogrodu w kwartale chronionego ogrodzeniem z drucianej siatki. Jeden z nich powiedział coś półgłosem do przenośnego radiotelefonu, przez chwilę nasłuchiwał odpowiedzi, po czym skinął głową do swojego kolegi, gdy tylko ją usłyszał. Drugi mężczyzna wyciągnął klucz, otworzył furtkę w ogrodzeniu i tym samym kluczem wyłączył alarm w skrzynce za furtką. Stąpając bezszelestnie w butach z podeszwami z krepy, weszli po schodach na werandę. Przy użyciu drugiego klucza dostali się do kuchni z tyłu domu i wstukali kod wyłączający zainstalowany w nim alarm. Przez kilka minut stali nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w suficie. Gdy usłyszeli stłumiony chrobot wózka inwalidzkiego toczącego się korytarzem nad ich głowami, wyciągnęli wyposażone w tłumiki pistolety i ruszyli na górę po tylnych schodach. Docierając na piętro, słyszeli radio grające w pokoju od frontu. Chwyciwszy uniesione pistolety oburącz, przedostali się korytarzem do zamkniętych drzwi i przywarli do ściany z obu stron framugi. Jeden z nich postukał się palcem po nosie, żeby pokazać, że poczuł smród dymu z papierosa; zwierzyna, na którą polowali, znajdowała się w pokoju. Obnażając zęby w kwaśnym uśmiechu, jego kompan chwycił za klamkę, otworzył gwałtownie drzwi i obaj, przygarbieni dla bezpieczeństwa, wpadli do środka.

Oskar Aleksandrowicz Kastner, siedzący w wózku obok okna, oliwił właśnie mechanizm spustowy sowieckiej pepeszy, zachowanej w idealnym stanie. Z palącego się w popielniczce papierosa unosiła się smuga dymu. Kastner zamrugał powoli ciężkimi powiekami, gdy objął spojrzeniem intruzów. Jeden sprawiał wrażenie znacznie starszego, ale to ten młodszy, dający znak drugiemu, by zamknął drzwi, wydawał się dowodzić.

- *Wy Ruskije?* - zapytał Kastner.

- *Da. Ja Ruskij* - odparł młodszy „monter”. - *Gdzie wasza docz?*

Kastner spojrział na leżący na stole pistolet Tokariewa, pistolet z lat trzydziestych, który zawsze trzymał naładowany, ale wiedział, że nie zdoła

po niego sięgnąć.

- *Ja nie znaju* - odparł. Ani myślał mówić im, że Stella właśnie jedzie do Izraela w towarzystwie prywatnego detektywa, który mieszkał nad chińską restauracją, niegdyś agenta CIA. Zastanawiał się, jak dwaj zabójcy sforsowali druciane ogrodzenie i dostali się do kuchni, nie uruchamiając alarmu. - Nie śpieszyliście się z wizytą - warknął po angielsku. - Dziewięć lat. - Odłożył pepeszę i poruszając drążkiem, ustawił wózek tak, by znaleźć się plecami do intruzów. - *Kto was pasłał?*

- Oligarcha - odparł młodszy, parszkając bezlitosnym śmiechem.

Spoglądając przez okno, Kastner spostrzegł dwóch chłopców z sekty Lubawicz, ubranych na czarno jak ich ojcowie, idących w pośpiechu ulicą. Od Eleny wiedział, że sekta oczekuje, że Mesjasz pojawi się lada moment i odkupi ludzkość. Być może ów Mesjasz zjawił się, a ci chłopcy byli tak naprawdę aniołami idącymi go powitać. On sam z pewnością wylądował tam, gdzie aniołowie boją się pójść, jak ujęto to w piosence, którą Stella odtwarzała na swojej vicroli. Wydał stłumiony okrzyk, gdy poczuł, jak igła wbija się w skórę na jego plecach obok łopatki. W jego czasach agenci KGB specjalizujący się w mokrej robocie preferowali pozbawioną smaku, bezbarwną truczkę na szczury, która rozrzedzała krew i doprowadzała do nagłego zatrzymania oddechu. Płatni zabójcy Oligarchy z pewnością używali czegoś bardziej wymyślnego i trudniejszego do wykrycia; może jednej z tych nowomodnych adrenalinopodobnych substancji, które powodowały śmierć, lub - jeszcze lepiej - środka zakrzepowego, który blokował przepływ krwi w tętnicy wieńcowej i wywoływał coś, co lekarze nazywali zawałem serca. Na wypadek gdyby jeden z aniołów poprosił, żeby się przedstawił, Kastner próbował przypomnieć sobie, jak miał na imię, zanim FBI nadało mu pseudonim Oskar. Zirytował go fakt, że nie pamięta, jak w dzieciństwie nazywała go matka. Gdyby mógł zaciągnąć się papierosem, z pewnością uspokoiłoby to jego nerwy na dostatecznie długo, by przypomniał sobie to imię. Poruszając się wolno, jakby znajdował się pod wodą, wyciągnął rękę ku popielniczce. Z wielkim skupieniem zdołał chwycić papierosa między kciuk i dwa palce po to tylko, by odkryć, że nie da rady go podnieść.

## 1987: Dante Pippen zostaje terrorystą z IRA

Osiem osób zgromadzonych wokół stołu konferencyjnego w pozbawionym okien pomieszczeniu magazynowym w podziemiach Langley zaczęło jak zawsze od nazwisk i bezzwłocznie zawęziło ich listę do jednego, które brzmiało po irlandzku; potem jednak spędziło następne pół godziny, debatując, jaka powinna być jego pisownia. W końcu przewodniczący, były szef placówki CIA, który odpowiadał bezpośrednio przed Crystal Quest, nową wicedyrektor Zarządu Operacji, zwrócił się do Martina Oduma, agenta śledzącego dyskusję z opartego o ścianę odchylonego krzesła. Ponieważ Martin jako „Odum” został zdemaskowany i to on miał być osobą przyjmującą tę nową tożsamość, oszczędziłby wszystkim czasu, gdyby zdecydował się na pisownię nowego nazwiska. Bez chwili wahania Martin wybrał nazwisko Pippen przez dwa „p”.

- Czytałem artykuły prasowe o młodym czarnoskórym koszykarzu na Uniwersytecie Środkowego Arkansas o nazwisku Scottie Pippen - wyjaśnił. - Pomyślałem więc, że jego zaletą będzie to, iż jest łatwe do zapamiętania.

- Zatem Pippen - oznajmił przewodniczący i przystąpił do wyboru imienia pasującego do nazwiska Pippen. Młodszy stażem członek Komisji ds. Legend, wykształcony w Yale terapeuta od uzależnień, sarkastycznie zasugerował, że mogą pójść na całość i użyć imienia Scottie. Maggie Poole, która jako studentka Oksfordu badała dzieje średniowiecznej Francji i lubiała urozmaicać rozmowę francuskimi słowami, pokręciła głową.

- Wszyscy pomyślicie, że jestem szurnięta, ale wczorajszej nocy znalazłam w snach imię, które uważam za *parfait*. Może Dante, jak Dante Alighieri? - Spojrzała wyczekująco po zebranych przy stole.

Jedyna oprócz niej członkini Komisji ds. Legend, leksykografka oddelegowana z Uniwersytetu Chicagowskiego, jęknęła.

- Problem z Dantem Pippenem - wyjaśniła - polega na tym, że to imię i nazwisko będą zwracały uwagę. Ludzie zwykle zapamiętują takie imiona.

- Czyż pani nie rozumie, że właśnie dzięki temu jest to doskonały wybór!  
- wykrzyknęła Maggie Poole. - Nikt, kto przeglądałby wykaz nazwisk, nie podejrzewałby, że Dante Pippen to p s e u d o n i m, właśnie dlatego, iż się tak wyróżnia.

- Ona ma rację - zgodził się nestor komisji, przypominający gargulca weteran CIA, który zapoczątkował tworzenie legend dla agentów OSS podczas drugiej wojny światowej.

- Przyznam, że brzmienie imienia Dante mi się podoba - ośmielił się zauważyć terapeuta.

- Przewodniczący spojrział na Martina i zapytał:

- Co pan na to?

Martin powtórzył imię i nazwisko kilka razy. Dante. Dante Pippen.

- Hm. Chyba mi odpowiada. Jakoś to zniósę.

Z chwilą gdy komisja ustaliła imię i nazwisko, cała reszta elementów przykrywki ułożyła się w zgrabną całość.

- Nasz Dante Pippen jest oczywiście Irlandczykiem, urodzonym, powiedzmy, w hrabstwie Cork.

- A gdzie dokładnie?

- Kiedyś spędziłem urlop w porcie o nazwie Castletownbere - odparł terapeuta.

- Castletownbere, Cork, ładnie brzmi. Wyślemy go tam na tygodniowy wypoczynek. Może zdobyć mapę okolicy oraz książkę telefoniczną i zapamiętać nazwy ulic, hoteli oraz sklepów.

- Castletownbere to port rybacki. Jako nastolatek pracował zapewne na łososiówce.

- Potem, gdy pogorszyła się sytuacja gospodarcza, zapewne wyjechał szukać szczęścia w Nowym Świecie, gdzie dowiedział się sporo o losach Irlandczyków w Ameryce: klęska głodu tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku, która przywiodła pierwszych irlandzkich imigrantów do naszego kraju, zamieszki wywołane poborem do armii wyruszającej na wojnę secesyjną, tego rodzaju sprawy.

- Skoro pochodzi z Castletownbere, musi być katolikiem. Za cenę szczodrego datku prawdopodobnie uda się nam skłonić proboszcza miejscowej parafii, by umieścił jego nazwisko w rejestrze chrztów.

- Pewnego pięknego dnia, podobnie jak wielu, jeśli nie większość, Irlandczyków, zapewne uznał, że dość ma wizyt w kościele.

- A więc niepraktykujący katolik - zauważył przewodniczący, odnotowując ów szczegół biograficzny w żółtym bloczku.

- B a r d z o niepraktykujący - odezwał się słabym głosem Martin ze swojego miejsca pod ścianą.

- Co wcale nie znaczy, że jego rodzina przestała uczęszczać na msze.



- Może byśmy mu dali brata i siostrę, którzy należą do Kościoła, ale nie można ich odnaleźć, ponieważ nie noszą już nazwiska Pippen. Brat taki a taki. Siostra taka a taka.

- Brat mógłby być jezuitą w Kongo, nawracającym tubylców na wiarę w Chrystusa u źródeł jakiejś rojącej się od krokodyli rzeki.

- A siostra... umieścimy ją w przyklasztornym szpitalu w głębi łądu na Wybrzeżu Kości Słoniowej.

- Złoży śluby m i l c z e n i a, co oznacza, że nie można by nic z niej wycisnąć, nawet gdyby ktoś do niej dotarł.

- Czy Dante Pippen pali papierosy?

Przewodniczący zwrócił się do Martina, który wyjaśnił:

- Próbuję ograniczyć palenie. Jeżeli Dante Pippen ma być niepalący, to zachęci mnie to do wyzbycia się nałogu.

- W takim razie jest niepalący.

- Niech pan uważa, żeby nie przytyć. CIA patrzy krzywym okiem na agentów z nadwagą.

- Powinniśmy zatrudnić paru, otyłość byłaby doskonałą przykrywką.

- Nawet jeśli nasz Dante jest niepraktykującym katolikiem, pewnie i tak w dzieciństwie chodził do katolickiej szkoły. Musieli utwierdzić go w przekonaniu, że siedem sakramentów - chrzest, bierzmowanie, eucharystia, spowiedź, namaszczenie chorych, małżeństwo i święcenia kapłańskie - może dopomóc w pokonywaniu trudności życiowych.

Przewodniczący nagryzmolił kolejną uwagę w swoim bloczku.

- Słusznie - powiedział. - Sprowadzimy kogoś, żeby go nauczył modlitw różańcowych po łacinie; mógłby wtrącać ich fragmenty do rozmowy, by przydać wiarygodności swojemu nowemu wcieleniu.

- Co doprowadza nas do sprawy jego profesji. Czym dokładnie nasz Dante zajmuje się w życiu?

Przewodniczący podniósł teczkę Martina Oduma, oznaczoną numerem dwieście jeden w Rejestrze Centralnym, i wyciągnął z niej biogram.

- O Boże, naszego Martina można określić mianem człowieka renesansu, jeżeli tylko odpowiednio zawężymy to pojęcie. Urodził się w okręgu Lebanon w Pensylwanii i spędził pierwszych osiem lat życia w pensylwańskim zaścianku, zwanym Jonestown, gdzie jego ojciec posiadał fabryczkę wytwarzającą podczas drugiej wojny światowej bieliznę dla armii amerykańskiej. Po wojnie firma bielizniarska splajtowała i Odum senior przeniósł się z rodziną na Crown Heights w Brooklynie, by rozpocząć

działalność w branży urządzeń elektrycznych. Właśnie tam wychował się Martin.

- Wychowanie w Brooklynie nie jest zbyt obiecującym startem dla człowieka renesansu, nawet w zawężonym znaczeniu tego pojęcia - zażartowała Maggie Poole i odwróciła się w stronę Martina. - Nie czuje się pan urażony, prawda?

Martin uśmiechnął się tylko.

- Tak, no cóż - ciągnął przewodniczący - w college'u stanowym na Long Island nasz człowiek specjalizował się w handlu, a dodatkowo studiował język rosyjski, ale chyba nie zdobył dyplomu. Podczas wakacji wspinał się na niższe turnie pomniejszych łańcuchów górskich w Stanach. Nie wiedząc, co ze sobą począć, wstąpił do wojska, by zobaczyć świat, i koniec końców, Bóg jeden wie czemu, trafił do wywiadu wojskowego, gdzie skupił się na kontaktach z antykomunistycznymi dysydentami we wschodnioeuropejskich krajach satelickich imperium sowieckiego. Zgadza się, Martinie? Ach, jest tutaj coś zdecydowanie intrygującego. Gdy był młodszy, pracując w sektorze prywatnym, miał styczność z materiałami wybuchowymi...

Maggie Poole odwróciła się do Martina i zapytała:

- Co *précisément* robił pan z materiałami wybuchowymi?

Martin odepchnął się od ściany i postawił krzesło na czterech nogach.

- Tak naprawdę była to praca wakacyjna. Pracowałem dla firmy budowlanej wyburzającej stare budynki, na miejscu których zamierzano postawić nowe, a potem rozsadzającej podłoże skalne, by zrobić miejsce na podziemne garaże. Byłem facetem, który krzyczał przez megafon, żeby wszyscy opuścili teren rozbiórki.

- Ale czy wie pan cokolwiek o dynamicie?

- Nauczyłem się trochę tu i tam, kręcąc się koło speców od eksplozji. Kupiłem trochę książek i zgłębiałem ten temat. Z końcem lata miałem już pozwolenie na prowadzenie robót strzelniczych.

- Czy fabrykował pan dynamit, czy tylko odpalał ładunki?

- Jedno i drugie. Gdy przyszedłem pracować dla Firmy, spędziłem parę miesięcy, przygotowując przesyłki pocztowe z; materiałem wybuchowym, po czym awansowano mnie do montażu przenośnych telefonów umożliwiających detonowanie ich na odległość. Pracowałem również z czteroazotanem pentaerytrytu, który znacie pod nazwą PETN, ulubionym materiałem wybuchowym terrorystów. Można go mieszać z lateksem w celu nadania mu plastyczności i formować tak, by wszędzie się mieścił, w

telefonie, radiu, pluszowym misiu, cygarze. Uzyskuje się potężny wybuch przy użyciu stosunkowo niewielkich ilości PETN-u, a bez detonatora ten materiał wykazuje niezwykłą odporność na wstrząsy. PETN jest trudno dostępny na wolnym rynku, ale każdy posiadacz licencji na roboty strzelnicze, którym przecież jest Martin Odum, może otrzymać niezbędne składniki za mniej więcej czterdzieści dolarów za kilogram. Nawiasem mówiąc, ten materiał wybuchowy może przejść przez obecnie stosowane lotniskowe prześwietlarki.

- Cóż, to otwiera przed nami intrygujące możliwości - poinformował pozostałych przewodniczący.

- Mógł pracować jako spec od materiałów wybuchowych w kamieniołomie w Kolorado, a potem zostać zwolniony za coś lub...

- Kradzież i sprzedaż PETN-u na wolnym rynku...

- Romans z żoną szefa...

- A nawet za *homosexualité*.

- Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, nie zgadzam się na przypisanie mi skłonności homoseksualnych w mojej legendzie - odezwał się spod ściany Martin. - Potem dojdziemy do tego, dlaczego został zwolniony. Mamy tu Irlandczyka katolika - niepraktykującego. Nie zapominajcie o tym, że jest niepraktykujący.

- ...niepraktykujący irlandzki katolik, który miał styczność z materiałami wybuchowymi, pracując w sektorze prywatnym.

- Wylatując z pracy za jeszcze nieustalone wykroczenie.

- I zostając potem wolnym strzelcem, specjalistą od materiałów wybuchowych.

- Tutaj możemy mieć problem - rzekł przewodniczący, stukając palcem wskazującym w kartkę z teczki Oduma. - Dante Phippen, praktykujący czy nie, jest irlandzkim katolikiem. Jak wytłumaczymy fakt, że jest obrzezany?

Komisja omówiła kilka możliwości. To Maggie Poole wymyśliła odpowiednią bajkę.

- Gdyby przypadkiem padło to pytanie, mógłby powiedzieć, że namówiła go do tego pierwsza amerykańska przyjaciółka, która uważała, że jeżeli będzie obrzezany, zmaleje ryzyko zarażenia się od niego chorobą weneryczną. Phippen mógłby powiedzieć, że zabieg przeprowadzono w jakiejś nowojorskiej klinice. Podrzucenie kartoteki medycznej na poparcie tej wersji nie powinno nastęrczać zbyt trudności.

- Czy, idąc dalej, mógł być w pewnym momencie członkiem IRA?

- Terrorysta z IRA! No, to jest pomysł. Rosjanie ani Europejczycy ze Wschodu nie mogliby tego sprawdzić, gdyż IRA jest organizacją jeszcze bardziej tajemniczą niż KGB.

- Moglibyśmy mu założyć kartotekę w rejestrze zatrzymań w Anglii. Aresztowany, przesłuchany w sprawie kilku zamachów bombowych dokonanych przez IRA, zwolniony z braku dowodów.

- Można byłoby nawet zamieścić drobne notki w prasie o tych aresztowaniach.

- Eksploatujemy żyłę złota - oświadczył przewodniczący z ogniem entuzjazmu w oczach. - Co pan na to, Martinie?

- Podoba mi się - odparł Martin. - Spodoba się też Crystal Quest. Dante Phippen to właśnie taka legenda, która będzie torować mi drogę.

## 1989: Dante Phippen widzi Drogę Mleczną w nowym świetle

Gdy poobijany ford dotarł do żywej rozpadliny, nazywanej doliną Bekaa, Palestyńczycy zawiązali Dantemu przepaskę na oczy Dwadzieścia minut później złożona z dwóch samochodów kawalkada wjechała przez bramę w ogrodzeniu i zatrzymała się na skraju opuszczonego kamieniołomu. Palestyńczycy wyciągnęli Dantego z tylnego siedzenia i poprowadzili wąskimi nieutwardzonymi ulicami do meczetu na obrzeżach libańskiej wioski. W przedsionku zdjęto mu buty i przepaskę, zaprowadzono na wytarty dywan modlitewny w pobliżu ołtarza i ruchem ręki pokazano, by usiadł. Dziesięć minut później przez ażurowe boczne drzwi wszedł imam. Korpulentny mężczyzna, który poruszał się, jak często bywa u tęgich osób, z zaskakującą gibkością, usiadł na dywanie twarzą do Dantego. Układając fałdy powłóczystej białej szaty, niczym aktor teatru *nō* dbający o swój wygląd, wyciągnął sznur jadeitowych koralików i zaczął je przesuwac w krótkich palcach lewej ręki. Tuż po czterdziestce, obcięty na jeża i ze starannie przystrzyżoną brodą, imam przez kilka chwil kołysał się w przód i w tył, pogrążony w modlitwie. W końcu uniósł wzrok i mówiąc po angielsku z czystym akcentem brytyjskim, oznajmił:

- Jestem doktor Izzat al-Karim.

- Podejrzewam, że wie pan, kim ja jestem - odparł Dante.

Kąciki pulchnych ust imama wygięły się w szerokim uśmiechu.

- Rzeczywiście wiem. Jest pan terrorystą z IRA, o którym tyle słyszeliśmy. Mogę powiedzieć, że pańska sława poprzedza pana...

Dante zbył ów komplement machnięciem ręki.

- Podobnie jak cień, gdy człowiek ma słońce za plecami.

Imamowi zadrżały policzki w bezgłośnym śmiechu. Wyjął paczkę irańskich papierosów marki Bahman, proponując jednego swojemu gościowi.

- Przestałem palić - poinformował gospodarza Dante.

- Gdybym tylko potrafił pójść za pana przykładem - rzekł imam, wzdychając. Postukał cienkim papierosem w metalową tacę na niskim stole, żeby ubić tytoń, i wetknął go do ust. Używając przypominającej miotacz ognia zapalniczki marki Zippo ze zdjęciem Muhammada Alego, zapalił

papierosa i powoli wypuścił dym. - Zazdroszczę panu siły charakteru. Jakież to sekret umożliwił panu rzucenie palenia?

- Przekonałem siebie do tego, by zostać innym człowiekiem, że tak powiem - wyjaśnił Dante. - Kiedyś wypalałem dwie puszki bidi marki Ganaesh dziennie. Gdy zbudziłem się rankiem któregoś dnia, byłem już kimś innym. I ten ktoś inny był niepalący.

Imam pozwolił, by słowa Dantego dotarły do jego świadomości.

- Noszę czarny turban saida, który oznacza, że jestem potomkiem proroka Mahometa i jego kuzyna Alego. Mam dwie żony i właśnie mam pojąć za żonę trzecią kobietę. Liczy na mnie wiele osób, moje żony, moje dzieci, moi bojownicy. Wszyscy byliby zakłopotani, gdybym nagle miał stać się kimś innym.

- Gdybym miał tyle żon co pan - zauważył Dante - przypuszczalnie znowu zacząłbym palić.

- Czy człowiek pali, czy nie - odparł imam głosem cichym jak gruchanie gołębia - żył będzie tak długo, jak długo pozwoli mu żyć Bóg. W każdym razie długowieczność nie jest tym, co inspiruje człowieka religijnego, takiego jak ja.

- A co inspiruje człowieka religijnego, takiego jak pan? - zapytał odruchowo Dante, choć znał odpowiedź; Benny Sapir, szef siatki szpiegowskiej Mosadu, który w waszyngtońskiej dziupli instruował Pippena przed wyjazdem na misję, naśladował nawet głos imama, udzielając typowych odpowiedzi na pytania dotyczące religii.

- Inspiruje mnie myśl o archaniele Gabrielu szepczącym Prorokowi do ucha wersety świętego Koranu - wyjaśnił imam. - Opis wstąpienia Mahometa do dziewięciu kręgów nieba i zstąpienia do piekła pod przewodnictwem Gabriela w tym, co wy nazywacie Księgą Drabiny, a my *Miradzem*, nie daje mi zasnąć nocą. Inspiruje mnie Stworzyciel, Twórca, Miłosierny, Współczujący, Niezrównany, Wszechmogący. Inspiruje mnie jedyny prawdziwy Bóg. Inspiruje mnie Allah - imam przyjrzał się uważnie swojemu wyjętemu z ust papierosowi. - A co inspiruje pana, panie Pippen?

Dante uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Forsa, którą pańska organizacja zdeponowała na moim koncie na Kajmanach, doktorze al-Karim. Inspiruje mnie perspektywa otrzymywania comiesięcznych wpłat w zamian za wyświadczone usługi. Nie musi pan kręcić z dezaprobatą głową. Wcale mnie nie dziwi, że uznaje pan, iż źródła naszej inspiracji nie przystają do siebie; pańskie jest, oczywiście,

szlachetniejsze, a moje o wiele bardziej dekadencjne. Ponieważ nie wierzę w pańskiego Boga ani w żadnego, jeśli już o to chodzi - jestem kimś, kogo można by nazwać zupełnie niepraktykującym katolikiem - sędzę, że pańskie szczególne źródło inspiracji jest równie efemeryczne jak smugi kondensacyjne ciągnące się za samolotami, które widziałem w drodze z Bejrutu, w jednej chwili wyraźne i równe, z ostrzami srebrzystych izraelskich myśliwców przemykających po krystalicznym libańskim niebie, w następnej grubsze, dryfujące, a w końcu rozwiewające się w silnym wietrze.

Imam zastanowił się nad jego słowami.

- Widzę, że nie jest pan człowiekiem bojaźliwym, panie Phippen. Mówi pan to, co myśli. Muzułmanin, który ośmieliłby się powiedzieć to, co pan powiedział, ryzykowałby zdrowie, a nawet życie. Ale musimy wziąć poprawkę na fakt, że mamy do czynienia z zupełnie niepraktykującym katolikiem, zwłaszcza takim, który przyjechał z tak daleka, by uczyć naszych fedainów konstruowania bomb służących do wysadzania izraelskich okupantów Libanu i Palestyny. - Pochylił się w stronę Dantego. - Nasz przedstawiciel w Paryżu, który pana zwerbował, powiedział, że urodził się pan w irlandzkim mieście o dziwnej nazwie Castletownbere.

Dante potwierdził skinieniem głowy.

- To kropka na mapie na południowym wybrzeżu półwyspu Beara w hrabstwie Cork. Port rybacki. Pracowałem na jednej z łososiówek, zanim pojechałem szukać szczęścia tam, gdzie ulice brukuje się złotem.

- I były wybrukowane złotem, panie Phippen?

Dante uśmiechnął się pod nosem.

- Przynajmniej były brukowane, czego nie można powiedzieć o ulicach w niektórych rejonach półwyspu. Czy o dolinie Bekaa, jeśli już o to chodzi.

- Czy mam rację, myśląc, że w Castletownbere była droga restauracja, zwana „Magazynem”?

- Był tam nietani lokal dla przyjeżdżających sporadycznie turystów, ale nie nazywał się „Magazyn”, lecz „Bank”, ponieważ znajdował się w starym banku, na piętrze, przy Main Street. Gdy tam byłem, na zapleczu wciąż mieścił się skarbiec. Zdaje mi się, że w latach sześćdziesiątych restaurację prowadziła Mary McCullagh. Chodziłem do szkoły z jedną z jej córek, ślicznotką, którą nazywaliśmy Zasmucającą Deirdre, ponieważ tyłu z nas zasmuciła, gdy się okazało, że nie potrafimy zaciągnąć jej do łóżka słodkimi słówkami.

- Został pan aresztowany przez Scotland Yard po wybuchu bomby w

autobusie koło Bush House, gmachu BBC w Londynie.

- Czy to pytanie, czy stwierdzenie faktu?

- Stwierdzenie faktu, którego poświadczenia oczekuję od pana, panie Pippen.

- Gdy autobus wyleciał w powietrze, zabijałem czas w Londynie - rzekł Dante, mrugając niewinnie oczami. - Gliny wparzyły do przybytku z wyszynkiem i właściwie zgarnęły wszystkich, którzy mówili po angielsku z irlandzkim akcentem. Z braku dowodów musieli mnie wypuścić po czterdziestu ośmiu godzinach. Cholerne sukinsyny nawet nie przeprosiły.

- Czy wysadził pan ten autobus, panie Pippen?

- Nie. Ale ci dwaj, co to zrobili, uczyli się fachu ode mnie.

Imam uśmiechnął się blado. Zerkając na zegar ścienny z sylwetką ajatollaha Chomeiniego na tarczy, podniósł się i ruszył do wyjścia. Odwrócił się przy drzwiach.

- Rzadko miewam okazję porozmawiać z niewierzącymi z Zachodu, panie Pippen, zwłaszcza takimi, którzy nie boją się mnie. Rozmowy z panem będą pouczającym przeżyciem. Zanim zdołamy pokonać wroga, musimy go poznać. Zapraszam pana do mojego gabinetu codziennie oprócz piątku, po pańskich popołudniowych zajęciach. Poczęstuję pana herbatą miętową i miodownikiem, a pan może się odwzajemnić, dając mi wyobrażenie o waszej świeckiej mentalności.

- Cała przyjemność po... - zaczął mówić Dante, ale imam już zniknął za ażurowymi drzwiami i tylko wahające się ze skrzypieniem na zawiasach skrzydło świadczyło o tym, że przekroczył próg meczetu.

Dantego zabrano do jego lokum, pokoju na zapleczu jednego z niskich murowanych domów z płaskim dachem na skraju wsi, za ogrodzeniem obozu Hezbollahu. O wschodzie słońca zjawiła się starsza kobieta z zakwefioną twarzą, niosąc coś, co wyglądało na śniadanie: dymiący dzbanek zielonej herbaty do popicia suchych jak kreda herbatników, pokrytych oleistą pastą zrobioną z rozgniecionych oliwek. Ochroniarz Dantego, który wszędzie, nie wyłączając ubikacji, za nim chodził, zaprowadził go gruntową ścieżką na skraj kamieniołomu. Kilku chłopaków w zakurzonych pasiastych szatach rzucało kamieniami w stado kóz, żeby przegonić je od ogrodzenia na pobliskie zbocze. Żółta flaga Hezbollahu ozdobiona ręką dzierżącą karabin łopotała na maszcie na szczycie murowanego budynku, gdzie przechowywano materiały wybuchowe i zapalniki. Wysoko w górze smugi kondensacyjne pozostawione przez izraelskie odrzutowce przecinały niebo.



Uczniowie Dantego, dziewiętnastu fedainów, wszyscy blisko dwudziestoletni i noszący pod swoimi szatami identyczne workowate spodnie i bluzy w kolorze khaki oraz grube parciane pasy, czekali na dnie kamieniołomu. Starszy mężczyzna w pomarańczowobiałej kufli udrapowanej na ramionach przykucnął na skalistym podłożu i rozkładał kartony z czteroazotanem pentaerytrytu, pospolicie nazywanego PETN-em, oraz lateks, zwoje drutu i mechanizmy bezwładnikowe zasilane z akumulatorów samochodowych.

- Ja, Abdullah, będę dla ciebie tłumaczył - poinformował mężczyzna Dantego, gdy ten dotarł na dno kamieniołomu. - Proszę mówić wolno, zważywszy na mój angielski, który jest zwarzony jak kozie mleko z zeszłego tygodnia.

Dante sprawdził zawartość pudeł, po czym kopnął w zwoje drutu i mechanizmów bezwładnikowych.

- Będą nam potrzebne nowoczesne detonatory, które można włączać z odległych stanowisk sterowanymi radiowo urządzeniami - poinformował Abdullaha.

- Jak daleko będą te stanowiska? - zapytał Arab.

Dante wskazał na kozy znikające za szczytem zbocza.

- Wymieszamy PETN z lateksem w sposób, który zademonstruję - powiedział - i ukryjemy ładunki tutaj, w kamieniołomach. Potem wejdziemy na szczyt tego wzgórza i stamtąd je zdetonujemy. - Dante wskazał na wzgórze, naśladując huk eksplozji. Abdullah przetłumaczył jego słowa fedainom i wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na wzgórze. Rozmawiali z podnieceniem między sobą, po czym popatrzyli na swojego instruktora, kiwając z szacunkiem głowami w uznaniu dla jego fachowości.

Podczas kilku pierwszych sesji Dante skupił się na PETN-ie i lateksie, pokazując bojownikom Hezbollahu, jak mieszać jeden z drugim, a potem formować przypominający glinę materiał wybuchowy, tak aby pasował do dowolnego pojemnika. Jednego dnia wypełnił materiałami wybuchowymi przenośne radio, następnie włączył je, żeby zademonstrować, że wciąż działa, co było ważne, jeżeli ktoś chciał przenieść odbiornik przez wojskowe punkty kontroli lub stanowiska ochrony na lotnisku. Innym razem umieścił plastik w jednym z nowomodnych telefonów satelitarnych i przedstawił za pośrednictwem tłumacza zalety tego rozwiązania: jeżeli zrobi się to prawidłowo, można zadzwonić do osoby będącej celem zamachu i rozpoznać jej głos, a potem zdetonować ładunek i urwać jej głowę.

Początkowo młodzi Arabowie bali się dotknąć ładunków, dopóki nie

zobaczyli, jak Dante żongluje bryłą plastiku, by zademonstrować, że jest bardzo odporny na wstrząsy. Tymczasem Abdullah zaniósł odręczny list Dantego do doktora al-Karima, a potem wyruszył fordem do Bejrutu z portfelem wypchanym cennymi dolarami amerykańskimi imama, aby kupić zasilane bateriami nadajniki i odbiorniki, z których miały zostać skonstruowane detonatory odległościowe.

Pierwszego dnia, gdy Dante zjawił się po południu w gabinecie doktora al-Karima, zastał go siedzącego dość daleko od stołu, pochylonego nad swoim okazałym brzuchem i piszącego dwoma palcami na elektrycznej maszynie marki IBM. Zza budynku docierał cichy szum generatora spalinowego.

- *As-salamu 'alajkum* - pokój z tobą. Gdyby pan palił, zaproponowałbym panu papierosa - rzekł imam, obracając się twarzą do swojego gościa i ruchem ręki przywołując go do drewnianego kuchennego krzesła. - Mogę założyć, że nie będzie pan miał nic przeciwko, jeżeli sam zapalę?

- Proszę się nie krępować.

Imam wyglądał na zdziwionego.

- Jak to możliwe, bym miał się krępować w m o i m domu?

- Tak się tylko mówi - powiedział Dante.

- Zauważyłem, że Amerykanie często wynajdują komunały, gdy nie wiedzą, co powiedzieć.

- Nie popełnię tego błędu po raz drugi.

Ta sama kobieta, która przyniosła Dantemu śniadanie, wyszła z sąsiedniego pokoju i rozłożyła talerze pełne pokrytych miodem ciasteczek oraz dwie szklanki wypełnione liśćmi mięty i wrzątkiem. Skubiąc jedno z ciastek w oczekiwaniu, aż wystygnie miętowa herbata, Dante ogarnął spojrzeniem spartańskie wyposażenie gabinetu imama: oprawione w ramki zdjęcia kończących zajęcia fedainów z obozów szkoleniowych (nieco przekrzywione, jakby ktoś je odkurzał i tak zostawił, aby pokazać, że były czyszczone), plakat przedstawiający zwieńczony złotą kopułą meczet Kubbat as-Sachra w Jerozolimie, przypięty do ściany pinezkami, w kącie kałasznikow z magazynkiem oraz drugim, zapasowym, przyklejonym taśmą do łożyska karabinu, szklana czara na niskim stole ze złotą rybką pływającą w kółko, jakby szukała wyjścia, egzemplarze „Newsweeka” ułożone na stercie koło drzwi. Doktor al-Karim przesunął krzesło, szurając wokół stołu, i usadziwszy swoje cielsko naprzeciw gościa, ogrzał dłonie na szklance z herbatą.

- Kiedyś ludzie bardzo mnie szanowali - rzekł cichym głosem, starannie dobierając słowa.

- Sądząc z tego, co widziałem, nadal szanują.

- Jak długo, panie Pippen, to potrwa? Jak długo, pana zdaniem, można nauczać, nie tracąc wiarygodności niezbędnej do dalszego sprawowania duchowego przywództwa w społeczności, że unicestwienie głównego wroga jest nieuchronne, skoro on nadal istnieje? Znalazłem się w trudnym położeniu. Muszę podtrzymywać nadzieję, że nasze poświęcenia zostaną nagrodzone nie tylko męczeńską śmiercią, ale i pewnym zwycięstwem nad izraelskimi okupantami Libanu i Palestyny oraz żydami, którzy spiskują, by zawładnąć światem. Ale z czasem nawet najprostszy z fedainów, wysłani do walki z wrogiem, widzą przez lornetkę, że Izraelczycy wciąż zajmują swoje obłożone workami z piaskiem fortece w południowym Libanie, że przecinające się kilwatery ich kutrów patrolowych nadal znaczą wody u naszych wybrzeży, że smugi kondensacyjne ich odrzutowych samolotów nie przestały plamić nieba nad naszymi głowami.

- Czy pan wierzy, że zwycięstwo jest nieuchronne?

- Jestem przekonany, że pewnego dnia żydzi będą traktowani, tak jak wcześniej chrześcijańscy krzyżowcy, niczym przypis w długiej księdze arabskich dziejów. Tak mówi Pismo. Czy nastąpi to za mojego życia? Za życia moich dzieci? - Al-Karim wypił łyk herbaty, po czym oblizując wargi, by delektować się smakiem mięty, pochylił się naprzód. - Mogę zyskać trochę czasu, panie Pippen, jeżeli pańskie zdolności zapewnią mi większe sukcesy. Bojownicy naszego Hezbollahu, wyposażeni w broń konwencjonalną, nie są w stanie zadać strat lepiej uzbrojonym żołnierzom izraelskim, okupującym strefę w południowym Libanie. Atakujemy ich z moździerzy lub artylerii pociskami odpalanymi z centrum jakiegoś libańskiego miasteczka, tak aby nie mogli odpowiedzieć ogniem. Bardzo sporadycznie udaje się nam zranić lub zabić paru z nich. Na każdego zabitego tracimy dwudziestu lub trzydziestu fedainów, gdy nasi wrogowie, dysponujący niezwykle dokładnymi informacjami wywiadu, dokonują ze swoich fortec najazdów na nasze bazy w dolinie Bekaa lub te położone bliżej linii frontu. Zawsze wydają się wiedzieć, gdzie przebywamy i w jakiej sile. - Imam pokręcił głową. - Jesteśmy niczym fale uderzające z pluskiem o głazy na brzegu; nie mogę werbować, szkolić i posyłać bojowników do walki, mówiąc im, że za parę stuleci woda je wygładzi i zmniejszy.

- Chyba właśnie dlatego mnie pan zaangażował.

- Czy to prawda, że swoje materiały wybuchowe może pan tak formować, by pasowały do niemal każdego pojemnika?

- Całkowita.

- I detonować je z dużej odległości przez radio zamiast przy użyciu przewodów elektrycznych rozciągniętych po ziemi?

Dante potwierdził stanowczym skinieniem głowy.

- Drut biegnący po ziemi jest bardziej niezawodny, ale eksplozje ładunków detonowanych przez radio są mniej banalne.

- Jak dokładnie dochodzi do wybuchu ładunków detonowanych drogą radiową?

- Potrzebny jest nadajnik - telefon bezprzewodowy, radiodomofon, radiowy system przywoływania - oraz odbiornik, obydwa dostrojone do identycznej częstotliwości. Nadajnik wysyła nie tylko sygnał, ale także ton, nazywane impulsami elektronicznymi, które są modulowane przez nadajnik i demodulowane przez odbiornik. Odbiornik przyjmuje transmisję, demoduluje ton, zamyka obwód elektryczny, który przesyła prąd do zapalnika, który z kolei detonuje ładunek wybuchowy.

- Czy z pańską znajomością rzeczy moglibyśmy ukryć materiały wybuchowe w czymś, co wygląda jak zwykle kamienie przydrożne, i zdetonować je, powiedzmy, z oddalonego o kilometr szczytu wzgórz, gdy obok będzie przejeżdżał izraelski patrol?

- To dziecinna igraszka - oświadczył Dante.

Imam klepnął się w euforii w kolano.

- Jeśli Bóg pozwoli, urządzimy Izraelczykom krwawą łaźnię, panie Pippen. Jeżeli Bóg pozwoli, fale uderzające z pluskiem o brzeg rozbiją głazy za mojego życia. A gdy skończymy z wrogiem w bezpośredniej bliskości, zwrócimy uwagę na odleglejsze rejony świata.

- Pierwszym są, oczywiście, Izraelczycy - rzekł Dante. - Ale kim jest wróg w odleglejszych rejonach?

Doktor al-Karim spojrział mu w oczy.

- Ależ to pan, panie Pippen, jest tym wrogiem. Pan i pańska amerykańska cywilizacja, która uznaje palenie za groźne dla zdrowia, natomiast wszystko inne - seks pozamałżeński, pornografię, laicyzację, materializm - za dozwolone. Izraelczycy stanowią bastion waszej zepsutej cywilizacji. Żydzi są waszymi namiastkami, wysłanymi, by pozbawić nas ziemi, skolonizować nasze kraje, osłabić naszego ducha i upokorzyć naszą religię. Gdy ich pokonamy, zwrócimy swą uwagę ku największemu wrogowi.

- Wyobrażam sobie, jak możecie zaatakować tych, których nazywa pan wrogiem w bezpośredniej bliskości - odparł Dante. - Ale jak będziecie walczyć z odległym wrogiem, który może was unicestwić tak, jak mógłby unicestwić komara przyłapanego *in flagranti delicto* na grzbiecie dłoni?

Imam rozparł się na krześle, po jego pulchnej twarzy przemknął znaczący uśmiech.

- Użyjemy ogromnych ilości pieniędzy, które zarabiamy, sprzedając wam ropę do waszych pożerających paliwo samochodów, aby zatrudnić tak utalentowanych ludzi jak pan, panie Pippen. Umysły Amerykanów są już zatrute hollywoodzkimi filmami oraz ilustrowanymi magazynami, takimi jak „Playboy” czy „Hustler”. My zatrujemy ich ciała. Będziemy porwać ich samoloty i rozwalać je o ich budynki. Skonstruujemy, z pańską pomocą, bombę biednych ludzi - walizki wypełnione zarazkami lub środkami chemicznymi - i zdetonujemy je w ich miastach.

Dante sięgnął po szklankę miętowej herbaty i przytknął do niej usta.

- W takim razie najlepiej, żebym wrócił do Irlandii - rzekł beztrąsko.

- Widzę, że nie bierze pan moich słów na serio. Nieważne. - Imam podciągnął rękaw, zerknął na zegarek i wstał. - Dzisiaj, gdy rozważy pan to, co powiedziałem, nie zazna pan spokojnego snu. Nasuną się panu pytania. Proszę, by przyszedł pan jutro i je zadał, panie Pippen. Jeśli Bóg pozwoli, podejmiemy rozmowę w miejscu, gdzie ją przerwaliśmy.

Dante wstał.

- Dobrze. Wrócę. Dziękuję.

\* \* \*

W następnych dniach Dante wykorzystał to, co Abdullah przywiózł z Bejrutu, żeby pokazać swoim uczniom, jak złożyć detonatory i detonować ładunki wybuchowe w kamieniołomie ze szczytu pobliskiego wzgórza. Gdy ludzie doktora al-Karima dostarczyli pierwszy kamień odlany z gipsu modelarskiego, Dante napełnił go PETN-em i ustawił detonator. Uczniowie umieścili kamień na poboczu drogi i dziesięć metrów dalej uwiązali kulawą kozę. Następnie wszyscy poszli całą grupą na wzgórze. Sam imam, usłyszawszy o eksperymencie, pojawił się na krawędzi kamieniołomu, żeby go obejrzeć. Dante pomachał mu i doktor al-Karim, w otoczeniu czterech ochroniarzy, uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Jeden z młodych fedainów podłączył mały nadajnik do akumulatora samochodowego. Wszyscy odwrócili się, by obserwować kozę na dnie kamieniołomu.

- W porządku, Abdullah - powiedział Dante. - Niech ją rozerwie. -

Sięgnąwszy po małe radio, Abdullah obrócił włącznik; rozległ się słyszalny trzask i wtedy przycisnął go. Daleko w dole, w kamieniołomie, suchy kaszel wybuchu wzniecił chmurę kurzu. Gdy kurz opadł, koza zniknęła. Ziemia w miejscu, gdzie stała, była przesiąknięta krwią i wnętrznościami zwierzęcia.

- Bóg jest wielki - mruknął Abdullah.

- PETN jest większy - zauważył Dante.

Gdy wszedł tego popołudnia do gabinetu imama, ten podbiegł, okrążając stół, żeby mu pogratulować.

- Zasłużył pan na swoje honorarium, panie Phippen - powiedział, zarzucając kluchowatą rękę na ramię Dantego. - Moi bojownicy nie mogą się doczekać użycia pańskiego detonatora przeciw żydom.

Zasiedli na kuchennych krzesłach. Doktor al-Karim wyciągnął swoje jadeitowe paciorki i zaczął z wielką wprawą przesuwając je w palcach, gdy Dante wyjaśniał, że potrzebuje kolejnych dziesięciu dni, dokładnie tylu, by przygotować fedainów imama do walki.

- Czekaliśmy tak długo - rzekł imam. - Kolejnych dziesięć dni nie sprawi nam żadnego kłopotu.

Rozmowa zeszła na temat dwuletniej okupacji części Libanu; na miesiąc przed przybyciem Dantego Damaszek zainstalował w dolinie Bekaa pociski ziemia-powietrze, czym nie zaskarbił sobie wdzięczności Hezbollahu, ponieważ musiało to zwrócić uwagę Izraelczyków na dolinę. Doktor al-Karim chciał wiedzieć, czy prezydent Bush wywrze nacisk na Izraelczyków, by wycofali się ze strefy buforowej w południowym Libanie. Dante wyjaśnił, że jest słabo zorientowany w takich sprawach, ale w to wątpi. On z kolei był ciekaw, czy Irańczycy wywrą presję na Syryjczyków, by ci teraz, gdy wojna domowa ucichła, zakończyli swą faktyczną okupację Libanu. Imam odparł, że śmierć irańskiego ajatollaha Chomeiniego przed tygodniem wytworzyła w świecie islamskim próżnię, i przewidywał, że minie dużo czasu, nim szyici znajdą kogoś dostatecznie charyzmatycznego na jego miejsce. Dante zapytał żartobliwie, czy imam marzy o tej funkcji. Doktor al-Karim potraktował to pytanie serio. Przestał poruszać paciorkami i przyłożył palec do nosa.

- Marzę o tym, by służyć Bogu i poprowadzić mój lud do zwycięstwa nad Żydami - odparł. - O niczym więcej.

- Niech mi pan coś powie, doktorze... - Dante zawahał się.

Imam kiwnął głową.

- Niech pan pyta.

- Zauważyłem, że często mówi pan o żydach, nie o Izraelczykach. Jestem

ciekaw, czy Hezbollah nie myli jednych z drugimi. Zmierzam do następującego pytania: jest pan przeciw Izraelczykom czy przeciw żydom?

- Na tyle, na ile Izrael jest wrogiem państwem - odparł bez wahania imam - jesteście, oczywiście, przeciw Izraelczykom. - Znowu zaczął przesuwac swoje paciorki. - Ale nie myli się pan, jesteście również antyżydowscy. Nasze wspólne dzieje sięgają czasów Proroka Mahometa. Żydzi nigdy nie uznali prawowitości islamu jako prawdziwej religii i Koranu jako Słowa Bożego.

- Wasi krytycy twierdzą, że to podejście stawia was w jednym szeregu z Adolfem Hitlerem.

Imam energicznie potrząsnął głową.

- Wcale nie, panie Pippen. Nasi krytycy nie rozumieją istoty rzeczy. Hitler był antysemitą. Są ogromne różnice między wrogością wobec Żydów i antysemityzmem.

- Obawiam się, że się gubię...

- Antysemita, panie Pippen, sądzą, że żyd zawsze będzie żydem. Dla Hitlera żydem pozostawał nawet ten, który nawrócił się na chrześcijaństwo. Wynika z tego, że dla nazistów w szczególności, a dla antysemitów w ogóle, pozostało jedynie wyjście nazwane przez nich ostatecznym rozwiązaniem, to znaczy eksterminacja Żydów. Z drugiej strony z wrogości wobec żydów wynika, że jest trochę łagodniejsze rozwiązanie; sposób, w jaki żydzi mogą uratować się przed eksterminacją.

- Cóż takiego?

- Żyd może nawrócić się na islam, a wtedy islam nie będzie miał nic przeciw niemu.

- Rozumiem.

- Co pan rozumie, panie Pippen?

- Rozumiem, że przede wszystkim nie powinienem był rozpoczynać tej rozmowy. Jestem najemnikiem. Płaci mi pan za usługi, a nie opinie na temat pańskich poglądów.

- Zupełna racja. Aczkolwiek jeżeli pana nie interesują moje odpowiedzi, to przyznam, że mnie ciekawią pańskie pytania.

Abdullah pojawił się za oknem, stukając paznokciem o szybę. Gdy imam podszedł do okna, Arab wskazał na samochód jadący krętą drogą w kierunku obozu Hezbollahu.

- Byłbym zapomniał - rzekł doktor al-Karim, odwracając się do Dantego.

- Spodziewam się gościa. Dowódca wojsk syryjskich w dolinie Bekaa

wstępuje tu od czasu do czasu, żeby zobaczyć, co kombinujemy. Zostanie na modlitwy i do jutrzejszego wieczornego posiłku. Może rozsądniej będzie, jeżeli zniknie pan z pola widzenia, jako że nie informowałem go o pańskiej obecności, a Syryjczycy nie lubią widoku cudzoziemców w dolinie.

- A gdybym zaszył się gdzieś w Bejrucie? - zapytał Dante. - Od mojego przyjazdu minęły prawie trzy tygodnie. Ponieważ jutro jest piątek i moi uczniowie będą na modłach w meczecie, miałem zamiar poprosić pana o jeden dzień wolnego.

- A co pan będzie robił w ten swój wolny dzień?

- W całym swoim życiu nigdy nie wytrzymałem tak długo bez piwa w ustach. Zawiozę moje rozgrzane ciało do jakiegoś baru i wyłopię całą beczkę.

- Czemu nie? W Bejrucie się uspokoiło. I zasłużył pan na odpoczynek. Poślę Abdullaha i jednego z moich ochroniarzy, by trzymali pana z dala od niebezpieczeństw.

- Irlandczyk nie chodzi do przybytku z wyszynkiem, by trzymać się z dala od niebezpieczeństw.

- Mimo to musimy pana przed nimi strzec, dopóki nie skończy pan swojej pracy tutaj. Co pan zrobi potem, to już pańska sprawa.

\* \* \*

Nazajutrz rano poobijany ford, który trzy tygodnie wcześniej przywiózł Dantego do doliny Bekaa, przedzierał się przez sieć podrzędnych dróg w kierunku Bejrutu. Ochroniarz, paradujący w workowatych spodniach khaki i trzymający w ramionach kałasznikowa z korbami w łożysku upamiętniającymi każdą z jego ofiar, siedział z przodu, przekomarzając się po arabsku z kierowcą, czarnym jak smoła Saudyjczykiem ze zmierzwionymi dredami. Dante, w zgrzebnym brązowym burnusie Beduina, kufii w biało-czarną kratę i ciemnych okularach przeciwsłonecznych, dzielił tylną kanapę z Abdullahem, który wysiadał z samochodu w każdym syryjskim punkcie kontrolnym, by władczy ruchem wymachiwać listem z pieczęcią i podpisem doktora al-Karima przed nosem żołnierzy, którzy byli (tak zarzekał się Abdullah) zupełnymi analfabetami. Dante, pogrążony w myślach, patrzył przez swoje odbicie w szybie, ledwie zwracając uwagę na zakurzone wioski z chmarami bosych chłopców kopiących piłkę na niewybrukowanych ulicach, zatłoczone suki pod gołym niebem z olbrzymimi antenami satelitarnymi wystawionymi na sprzedaż, na osły i wielbłądy przywiązane do pobliskiego płotu oraz wykafelkowane sklepy mięsne z młodymi dziewczynami



odganiającymi muchy od tusz zwierzęcych wiszących na hakach. Na rogatkach Bejrutu ford przejechał przez pierwszą milicyjną barykadę, lecz (jak wyjaśnił Abdullah łamaną angielszczyzną) tamtejsi przyszczaci uzbrojeni bandyci, choć piśmienni, byli bardziej zainteresowani dwudziestodolarówkami włożonymi do listu od doktora al-Karima niż samym listem czy też pasażerami w samochodzie.

W obecności syryjskich wojsk wojujące frakcje, które wyrzynały się wzajemnie na ulicach Bejrutu od połowy lat siedemdziesiątych, właściwie zapadły się pod ziemię; muzułmańscy i chrześcijańscy emisariusze spotykali się ponoć w At-Taif, w Arabii Saudyjskiej, by nadać formalny charakter porozumieniu o zawieszeniu broni, ale uzbrojeni milicjanci nadal patrolowali miasto, które rozpościerało się niczym okaleczona megiera nad brzegiem Morza Śródziemnego; jego naszpikowane odłamkami budynki stanowiły nieme świadectwo brutalnej piętnastoletniej wojny domowej. Gdy słońce zanurzyło się w morzu i Bejrut ogarnęła ciemność, wzmożony trzask odległej kanonady rozbrzmiewał w całym mieście; Abdullah, wyraźnie rozdrażniony, mruknął coś o wyrównywaniu dawnych rachunków, zanim formalne zawieszenie broni wejdzie w życie. Uważając, by nie zboczyć z opanowanych przez muzułmanów dzielnic Bejrutu, poprowadził kierowcę do dzielnicy portowej i wysadził Dantego na skrzyżowaniu naprzeciw wypalonego szkieletu sąsiedniego meczetu. W dół, w kierunku doków, odchodziła na ukos wąska ulica.

- Zaczekamy na pana tutaj - powiedział Dantemu Abdullah. - Proszę wrócić przed godziną dziesiątą, żebyśmy mogli dojechać z powrotem do obozu przed północą.

Na wąskiej ulicy popękane neonówki skwierczały nad kilkoma wejściami do barów, które obsługiwały marynarzy ze statków wprowadzonych na keję lub przycumowanych do ogromnych boi w porcie. Pomachawszy radośnie swoim strażnikom, Dante zeskoczył na chodnik i pochylając się, żeby przejść pod pękniętą neonówką zwisającą z przewodu elektrycznego, pchnął ramieniem gruby dywan, który służył za drzwi do pierwszego baru, powstałego w biurowcu wypatroszonym wskutek bezpośredniego uderzenia pocisku mózdzierza. Osmalone krokwie, które podtrzymywały prowizoryczny stromy dach, zostały pobielone wapnem, ale nadal śmierdziały spalenizną. Dante znalazł miejsce przy prowizorycznym barze między dwoma podtrzymującymi się wzajemnie tureckimi marynarzami a Portugalczykiem w wymiętym niebieskim mundurze głównego stewarda.

- No więc czym mogę służyć? - zawołał szorstko barman z wyraźnym irlandzkim zaśpiewem.

Dante wybił dziurę w ścianie papierosowego dymu, który przesłaniał mu widok, i odkrzyknął:

- Piwo, i to dużo. Im cieplejsze, tym lepiej.

Barman, grubas z grzywą zmierzwionych rudych włosów opadających mu na oczy, w nieskazitelnie białej, zapiętej po szyję koszuli, wyszarpnął dużą butelkę bułgarskiego piwa z pudła u swoich stóp. Ściągnął metalowy kapsel otwieraczem do konserw, zatkał butelkę opuszką kciuka i potrząsnął nią, żeby wzburzyć trochę piwo, po czym postawił ją na kontuarze przed Dantem.

- Czy wasza lordowska mość będzie chciał pić z kufła? - zapytał ze śmiechem.

- A liczyście za to?

- Och, czemu, na litość boską, mielibyśmy to robić? Płaci pan tak skandalicznie dużo za to cholerne piwo, że kufel dajemy za darmo. - Pchnął świeżo umyty kufel w stronę Dantego. - Mówił pan, że z jakiego zszedł statku?

- Nie mówiłem - odpalił Dante. - Z H.M.S. „Pinafore”.

Uśmiech zastygł na twarzy barmana.

- Powiedział pan H.M.S. „Pinafore”?

Dante napełnił kufel, grzbietem palca strzepnął pianę i odchylając głowę do tyłu, wypił piwo jednym długim haustem.

- No, to z pewnością zmienia spojrzenie człowieka na świat. H.M.S. „Pinafore”. To właśnie powiedziałem.

Przyjmując tę informację do wiadomości energicznym skinieniem głowy, barman przeszedł na drugi koniec baru i zatykając ucho czubkiem palca, powiedział coś do słuchawki telefonu. Dante był w połowie drugiej butelki bułgarskiego piwa, gdy na szczycie zniszczonych drewnianych schodów, które prowadziły do tego, co zostało z biur na górnym piętrze, pojawiła się kobieta. Za nią przywłókł się jakiś marynarz zapinający rozporek. Kobieta z kosmykami długich ciemnych włosów opadających na twarz zniekształconą bliznami po ospie miała na sobie obcisłą spódnicę z głębokim rozcięciem na udzie i przejrzystą bluzkę, przez którą jej piersi było widać tak dobrze, jak gdyby kroczyła nago przez poranną mgiełkę. Gdy szła przez salę, stukając wysokimi obcasami o deski podłogi, wszystkie rozmowy umilkły. Zatrzymała się, by zorientować się w sytuacji, spostrzegła Pippena i zasiadła

przy barze obok niego.

- Postawisz mi whiskey? - zapytała gardłowym szeptem.

- Byłbym idiotą, nie robiąc tego - odparł wesoło Dante, uniósł palec, by przyciągnąć wzrok barmana, i wskazał na kobietę. - Whiskey dla mojej przyszłej przyjaciółki.

- Chivas regal - poinstruowała barmana kobieta. - Podwójną.

Dante zaaprobował dyspozycję skinieniem głowy, gdy ten spojrzał na niego z prośbą o potwierdzenie, po czym odwrócił się, by przypatrzeć się kobiecie tak, jak nauczono go patrzeć na osoby, które, być może, będzie musiał rozpoznać w albumie z informacjami kontrwywiadu. Jak zwykle miał trudności z określeniem jej wieku. Była Arabką, to było oczywiste mimo grubo nałożonej kredki do oczu oraz plamy jaskrawej czerwieni na jej ustach, przypuszczalnie już po czterdziestce, ale ile dokładnie miała lat, nie wiedział. Przyszło mu do głowy, że musi być chrześcijanką, ponieważ muzułmanie prędzej zabiliby swoje kobiety, niż pozwolili im uprawiać nierząd.

- Więc jak masz na imię, kochana? - zapytał.

Kobieta w zamyśleniu przeczesła palcami włosy, odgarniając je z twarzy; dwa srebrne kolczyki w kształcie pierścienia zaiskrzyły się w świetle.

- Jestem Dżamilla - oświadczyła. - A ty jak się nazywasz?

Dante pociągnął spory łyk piwa.

- Możesz mi mówić Irlandczyk.

- Sądząc po twoim wyglądzie, dawno nie schodziłeś na ląd.

- Czemu tak sądzisz?

- Umierasz z pragnienia, widać to po łapczywości, z jaką pijesz to obrzydliwe bułgarskie piwo. Z czego jeszcze umierasz, Irlandczyku?

Dante zerknął na barmana, płuczącego szklanki w zlewie na tyle daleko, by nie słyszeć ich rozmowy.

- No cóż, Dżamillo, okropna prawda brzmi tak, że nigdy w życiu nie miałem kobiety. Czy potrafiłabyś jakoś zaradzić tej kłopotliwej sytuacji?

Słysząc było, jak portugalski steward, siedzący tyłem do Dantego, parska pod nosem. Dżamilla nie przejęła się tym.

- Bezpośredni z ciebie człowiek - odparła. - Odpowiedź na twoje pytanie, Irlandczyku, brzmi: mogłabym.

- Ile by mnie to kosztowało?

- Pięćdziesiąt dolarów amerykańskich lub równowartość w jakiejś walucie europejskiej. Lokalnej nie przyjmuję.

- Do dna - rzekł Dante. Stuknął się z nią i wypił to, co zostało w kuflu,

jednym haustem, chwycił w połowie opróżnioną butelkę piwa za szyjkę (na wypadek, gdyby potrzebował jakiejś broni) i ruszył za Dżamillą przez salę w stronę schodów. Na ich szczycie Dżamilla otworzyła drewniane drzwi i wprowadziła Dantego do pomieszczenia, w którym kiedyś mieściła się zapewne centrala firmy handlowej. Koło zabitych deskami owalnych okien stało duże biurko pokryte szybą z fotografiami dzieci pod spodem, a pod rozdartym obrazem przedstawiającym porażkę Napoleona pod Akką stała ogromna skórzana kanapa. Pod jedną ścianą ułożono w stertę kilkanaście zapieczętowanych kartonowych pudeł bez oznakowań. Zamknąwszy za sobą drzwi na klucz, Dżamilla usiadła na kanapie i przez rozerwany szew sięgnęła do poduchy; wyjęła z niej teczkę wypełnioną zdjęciami lotniczymi formatu osiem na dziesięć. Usiadłszy obok, Dante brał zdjęcia do ręki przez chusteczkę i przyglądał się im uważnie, jednemu po drugim.

- Musiano je zrobić z dużej wysokości - zauważył. - Doskonała rozdzielczość. Świetnie się nadadzą.

Kobieta wręczyła mu flamaster i Dante zaczął opatrywać budynki w obozie strzałkami i nazwami.

- Rekruci, w sumie dziewiętnastu fedainów, mieszkają w tych dwóch niskich budynkach za ogrodzeniem - wyjaśnił. - Materiały wybuchowe i zapalniki są przechowywane w tym murowanym budynku z flagą Hezbollahu. Doktor al-Karim mieszka i pracuje w domu za meczetem, zdecydowanie największym we wsi, więc z rozpoznaniem go wasi ludzie nie będą mieli żadnych trudności. Nie wiem, gdzie sypia, ale jego biuro wychodzi na meczet, więc to musi być... - narysował kolejną strzałkę i podpisał ją „biuro K” - tutaj. Ja śpię u jednej rodziny w tym domu we wsi.

- Jakiego rodzaju ochronę stosują nocą?

- Kilka razy przechadzałem się po obozie po zmroku, mają blokadę na drodze obsadzoną przez dwóch rekrutów i jednego z instruktorów, usytuowaną tutaj, gdzie droga skręca pod górę do wioski i obozu. Na szczycie wzgórza nad kamieniołomem znajduje się bunkier z ciężkim karabinem maszynowym, który podczas dnia jest obsadzony ludźmi. Nie zdołałem się tam dostać nocą, ponieważ brama w ogrodzeniu jest zamykana, a nie chciałem wzbudzać podejrzeń, prosząc o klucz do niej.

- Musimy założyć, że nocą też jest obsadzony. Byliby głupcami, nie obsadzając go. Karabin maszynowy musi być celem głównym. Jakiego rodzaju system łączności stosują?

- Naprawdę nie wiem. Nie widziałem budki radiotelegrafisty ani radia,

jeżeli o to chodzi. Zauważyłem coś, co wyglądało na anteny wielkiej częstotliwości, na szczycie minaretu, cokolwiek więc stosują, musi się znajdować gdzieś w meczecie.

- Nie chcemy bombardować meczetu, będziemy więc musieli to zlikwidować ręcznie. Czy doktor al-Karim ma telefon satelitarny?

- Nigdy nie widziałem, ale to nie znaczy, że go nie ma.

- Kiedy zakończy się ta seria szkoleń?

- Powiedziałem al-Karimowi, że potrzebuję jeszcze dziesięciu dni.

- Co się potem stanie?

- Absolwenci pojadą na front, żeby zabijać izraelskich żołnierzy okupujących strefę buforową w Libanie. I zjawią się nowi uczniowie, żeby rozpocząć nową serię szkoleń.

- Ilu instruktorów i członków kadry znajduje się w obozie?

- Łącznie z ludźmi od transportu, specjalistami od broni ręcznej i sztuk walki, ochroniarzami doktora al-Karima, tymi czterema, których widziałem, powiedziałbym, że osiemnastu do dwudziestu.

Dżamilla znowu przeszła do analizowania zdjęć, ponownie sprawdzając odległość między budynkami, usytuowanie bramy w ogrodzeniu, określając położenie ścieżek, które przecinały wioskę i obóz Hezbollahu. Wyjęła mapę wojskową doliny Bekaa, by zobaczyć, jakie inne oddziały Hezbollah może mieć w pobliżu obozu.

- Gdy zacznie się atak, musisz jakoś dotrzeć w to miejsce - wskazała studnię między wioską a obozem. Wręczyła Dantemu białą jedwabną bandanę, a on wetknął ją do kieszeni spodni. - Miej ją na szyi, żeby można cię było z łatwością rozpoznać.

- Skąd będę wiedział, kiedy spodziewać się ataku?

- Dokładnie sześć godzin wcześniej dwa izraelskie M-16 przelecą na wystarczająco dużej wysokości, by zostawić na niebie smugi kondensacyjne. Nadlecą z północy. Gdy będą nad obozem, skręcą pod kątem prostym na zachód.

Dżamilla włożyła zdjęcia i mapę z powrotem do teczki i wcisnęła je do poduchy.

- Wygląda na to, że omówiliśmy wszystkie zasadnicze sprawy - zauważył Dante.

- Niezupełnie. - Wstała i z obojętnym wyrazem twarzy zaczęła zdejmować ubranie; widok rozbierającej się kobiety po raz pierwszy w życiu wydał się Dantemu pozbawiony zmysłowości. - Powinieneś tu uprawiać ze

mną seks. Myślę, że roztropność nakazuje, byś potrafił opisać moje ubranie i ciało. - Dżamilla zdjęła bluzkę, spódnicę i majtki. - Mam drobną bliznę po wewnętrznej stronie uda, tutaj. Moje włosy łonowe są przystrzyżone, żebym mogła nosić bikini. Pod prawą piersią mam wyblakły tatuaż ćmy. A na lewej ręce zobaczysz blizny po szczepieniu przeciw ospie, które nie uchroniło mnie od zarażenia się tą chorobą, co wyjaśnia, dlaczego mam dzioby na twarzy. Gdy tutaj przyszliśmy, zamknęłam drzwi na klucz, a ty położyłeś pięćdziesiąt dolarów - dwie dwudziestki i dziesiątkę - na biurku i przycisnąłeś je do blatu gilzą, która leży tam na podłodze. Oboje rozebraliśmy się. Poprosiłeś, żebym zrobiła ci loda - takiego użyłeś wyrażenia - ale odpowiedziałam, że tego nie robię. Rozebrałeś się i usiadłeś na kanapie, a ja ci obciągnęłam, a gdy ci stanął, włożyłam ci prezerwatywę i cię dosiadłam. Zapamiętaj, że kocham się, nie zdejmując butów. - Zaczęła się ubierać. - Teraz kolej na twój striptiz, Irlandczyku, żebym w razie potrzeby mogła opisać twoje ciało. Czemu się wahasz? Jesteś przecież zawodowcem. To kwestia fachowości.

Dante wzruszył ramionami, wstał i opuścił spodnie.

- Jak widzisz, jestem obrzezany. Moja pierwsza amerykańska dziewczyna namówiła mnie do tego zabiegu, uważała chyba, że jeżeli będę obrzezany, zmniejszy się ryzyko zarażenia się ode mnie chorobą weneryczną.

- Obrzezany i dobrze obdarzony przez naturę, jak się to mówi. Masz jakieś blizny?

- Na ciele czy na duszy?

Nie uznała tego pytania za zabawne.

- Nie poddam moich klientów psychoanalizie, tylko pieprzę się z nimi.

- Żadnych blizn - rzekł oschle.

Dżamilla obejrzała ubranie Dantego oraz jego ciało od stóp do głów, po czym kazała mu się odwrócić.

- Możesz się ubrać - powiedziała w końcu i odprowadziła go do drzwi. - Działasz w niebezpiecznej branży, Irlandczyku.

- Jestem uzależniony od strachu - odparł półgłosem. - Potrzebuję codziennej jego dawki.

- Nie wierzę. Gdybyś w nic nie wierzył, nie byłoby cię tu. - Wyciągnęła rękę. - Podziwiam twoją odwagę.

Dante chwycił jej dłoń i trzymał ją przez chwilę.

- A ja jestem oszołomiony twoją. Arabka, która naraża...

Dżamilla wyrwała dłoń z jego ręki.

- Nie jestem Arabką - powiedziała z wściekłością. - Jestem libańską

alawitką.

- A kto to, u diabła, taki?

- Jesteśmy resztką ludu zagubionego w morzu arabskich muzułmanów, którzy uważają nas za heretyków i nienawidzą. Kiedyś mieliśmy własne państwo - podlegało mandatowi francuskiemu, gdy imperium osmańskie rozpadło się po pierwszej wojnie światowej. Państwo alawitów nosiło nazwę Latakia; mój dziadek był ministrem w jego rządzie. W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku, wbrew naszej woli, Latakia stała się częścią Syrii. Dziadek zginął w zamachu za to, że się temu sprzeciwiał. Obecnie większość libańskich alawitów w wojnie domowej stoi po stronie chrześcijan przeciw muzułmanom. Naszym celem jest roztarcie muzułmanów - z Hezbollahem włącznie - na proch w nadziei przywrócenia rządów chrześcijan w Libanie. Marzymy o ponownym stworzeniu państwa alawitów, nowej Latakii na wybrzeżu lewantyńskim obmywanym wodami Morza Śródziemnego.

- Życzę wam powodzenia - rzekł Dante z wyszukaną ceremonią. - W cóż takiego wierzą alawici, w co nie wierzą muzułmanie?

- Nie czas teraz na takie dyskusje...

- Jesteś profesjonalistką. To kwestia fachowości. Ktoś mógłby mnie zapytać, o czym rozmawialiśmy po stosunku.

Dżamilla omal się nie uśmiechnęła.

- Chodzi o naszą wiarę w to, że Drogę Mleczną tworzą ubóstwione dusze alawitów, którzy poszli do nieba.

- Przez resztę życia, gdy tylko spojrzę na Drogę Mleczną, będę myślał o tobie - oznajmił Pippen.

Dżamilla otworzyła drzwi i odsunęła się w bok.

- W innym wcieleniu - zauważyła poważnie - przyjemnie byłoby kochać się z tobą.

- Może gdy to wszystko się skończy...

Tym razem Dżamilla jednak się uśmiechnęła.

- To wszystko - powiedziała z goryczą - nie skończy się nigdy.

\* \* \*

Dwa dni po swoim powrocie z Bejrutu Dante siedział w kucki na ziemi na dnie kamieniołomu, demonstrując swoim dziewiętnastu praktykantom, jak wypełnić jamę w ciele zdechłego psa PETN-em, gdy przy bramie w ogrodzeniu nad nimi powstało zamieszanie. Kilku osobistych ochroniarzy imama odciągało w bok drut kolczasty. Z rykiem klaksonów do obozu

wjechały dwa samochody osobowe oraz furgonetka i zatrzymały się w kłębach pyłu. Gdy pył osiadł, widać było, jak uzbrojeni mężczyźni noszący charakterystyczne kraciaste kufije Hezbollahu wloką z drugiego auta człowieka w luźnych spodniach, bluzie oraz kapturze na głowie. Kobiety z wioski wyłoniły się ze swoich domów i zaczęły wypełniać powietrze triumfalnym zawodem. Unosząc brzeg burnusa, Abdullah podreptał ścieżką na tyle blisko, by słyszeć uzbrojonych mężczyzn, którzy zostali strzec pojazdów, i zawołał do nich. Jeden krzyknął coś w odpowiedzi na jego pytanie i posłał w powietrze krótką serię z kałasznikowa. Abdullah odwrócił się w stronę kamieniołomu i przykładając dłonie do ust, zawołał:

- Bóg jest wielki. Schwytali izraelskiego szpiega.

Praktykanci zaczęli rozmawiać ze sobą z podnieceniem.

Dante, nagle rozdrażniony, warknął, żeby zainteresowali się pokazem. Uczniowie zareagowali na ton głosu Pippena, zanim jeszcze Abdullah, wracając truchtem do grupy, przetłumaczył jego słowa. Dante, z rękawicą chirurgiczną na prawej ręce, skończył wyciągać jelita przez rozcięcie, które zrobił w brzuchu psa, i zaczął upychać w jamie zawinięte w brezent paczki PETN-u, a potem detonator sterowany falami radiowymi. Przy użyciu grubej igły i kawałka rzeźniczego szpagatu zaszył rozcięcie grubym ścięciem. Wstając i ściągając rękawicę, zwrócił się do Abdullaha:

- Powiedz im, by kładli zdechłego psa grzbietem do zbliżającego się wroga. - Jeden z uczniów podniósł rękę. Abdullah przetłumaczył jego pytanie.

- On mówi ci, czy zdechły pies jest bardziej odpowiedni niż kamienie z *papier mâché*, które uczyliśmy się umieszczać na poboczu drogi?

- Powiedz mu, że Grecy nie mogliby użyć sztuczki z koniem trojańskim dwa razy - odparł Dante. - Powiedz, że to samo dotyczy Izraelczyków. Bardzo szybko zorientują się w zagrożeniu ze strony imitacji kamieni wypchanych materiałami wybuchowymi. Trzeba więc wymyślać nowe podstępny. Martwy pies leżący na środku drogi jest czymś tak pospolitym, że izraelskie dzipy nie będą się zatrzymywać. A wtedy...

Doktor al-Karim ukazał się na krawędzi kamieniołomu nad nimi. Podniósł megafon i zawołał:

- Panie Pippen, chciałbym zamienić z panem słowo, jeśli pan pozwoli.

Dante zasalutował leniwie i zaczął wspinać się po ścieżce. W połowie drogi uniósł wzrok i zauważył, że do imama dołączyło kilku spośród uzbrojonych bojowników Hezbollahu. Wszyscy naciągnęli swoje kraciaste



kufije na twarze, tak żeby widać było tylko ich oczy. Z trudem łapiąc oddech Dante dotarł na szczyt i podszedł do doktora al-Karima. Dwaj bojownicy Hezbollahu z trzaskiem wprowadzili naboje do komór swoich kałasznikowów. Ten metaliczny dźwięk sprawił, że Dante znieruchomiał. Zmusił się do radosnego śmiechu.

- Pańscy ludzie robią dzisiaj wrażenie zdenerwowanych - zauważył. - Co się dzieje?

Doktor al-Karim odwrócił się bez słowa i odszedł sztywnym krokiem w kierunku swojego domu. Dwaj uzbrojeni bojownicy szturchnęli Dantego lufami karabinów. Phippen zjeżył się.

- Chcecie, żebym za nim poszedł, wystarczy tylko poprosić. Grzecznie.

Poszedł za imamem do dużego domu obok meczetu. Gdy dotarł na zaplecze, okazało się, że drzwi biura al-Karima są uchylone. Jeden z uzbrojonych za jego plecami dał mu znak karabinem. Wzruszając ramionami, Dante trącił drzwi czubkiem buta i wszedł do środka.

Wydawało się, że w pokoju zatrzymał się czas. Doktor al-Karim, z otyłym ciałem zastygłym w bezruchu za biurkiem, nie mrugając niemal powiekami, wpatrywał się w izraelskiego szpiega przywiązanego kawałkami białej taśmy maskującej do kuchennego krzesła z prostym oparciem, ustawionego pośrodku podłogi. Z ukrytych pod czarnym kapturem ust więźnia wydobywały się stłumione jęki. Dante zauważył jego chude przeguby rąk oraz kostki i doszedł do wniosku, że Hezbollah aresztował jakiegoś nastolatka. Imam wskazał Dantemu ruchem ręki, żeby usiadł na drugim krześle. Czwórka uzbrojonych mężczyzn zajęła miejsca wzdłuż ściany za jego plecami.

- Na czym skończyliśmy naszą ostatnią rozmowę? - zapytał chłodno al-Karim.

- Rozmawialiśmy o Grekach i Arystotelesie. Potępiał ich pan za nauczanie, że rozum, w odróżnieniu od wiary, otwiera dostęp do prawdy.

- Właśnie. Wiemy to, co wiemy, za sprawą naszej wiary w Allaha i Jego Proroka, który prowadzi nas właściwą drogą, jedyną drogą. Gdy niepraktykujący katolik, taki jak pan, nie godzi się z tym, można to uznać za wykroczenie; normalnie osoba wierząca, taka jak ja, powinna próbować nawrócić pana lub, nie zdoławszy tego dokonać, usunąć. - Zerknął na szpiega. - Gdy muzułmanin lub muzułmanka odwracają się od wiary, to grzech podlegający karze egzekucji.

Imam wymamrotał jakiś rozkaz po arabsku. Jeden z uzbrojonych

mężczyzn stanął za izraelskim szpiegiem i ściągnął kaptur. Dante wstrzymał oddech. Długie ciemne włosy Dżamilli były miejscami przyklejone do czaszki zaschniętą krwią. Opuchnięte powieki w jednym oku przysłoniły je całkowicie, wargi były fatalnie okaleczone, brakowało kilku zębów. Duży kolczyk w kształcie pierścienia zwisał z płatka jednego ucha; płatek drugiego, z którego wyrwano nierozpięty kolczyk, zwisał luźno.

- Nie zaprzeczy pan, że ją pan zna? - rzekł doktor al-Karim.

Dante z trudem wydobył z siebie słowa.

- Znam ją w sensie cielesnym - powiedział w końcu ledwie słyszalnym głosem. - Ma na imię Dżamilla. To prostytutka, pracująca w przybytku z wyszynkiem, który odwiedziłem w Bejrucie. Zabrała mnie na górę, w miejsce, które Irlandczycy nazywają oddziałem intensywnej opieki.

- Dżamilla to pseudonim. Twierdzi, że nie pamięta swojego prawdziwego imienia, ale najwyraźniej kłamie; chroni członków swojej rodziny przed karą. Podawała się za prostytutkę, żeby szpiegować dla Żydów. W pokoju, z którego korzystała, znaleziono ukryte zdjęcia lotnicze kilku obozów szkoleniowych, z naszym włącznie. Część fotografii miała adnotacje w języku angielskim, określające układ obozu. Podejrzewamy, że mógł pan dostarczyć jej tych informacji, gdy odwiedził ją pan w barze.

Z popękanych ust Dżamilli wydobył się chrapliwy szept; mówiła powoli, usiłując wymówić pewne głoski z otwartymi ustami.

- Powiedziałam tym... co mnie przesłuchiwali... że Irlandczyk to mój klient.

- Kto w takim razie sporządził adnotacje na zdjęciach? - zapytał imam.

- Adnotacje... były już na zdjęciach, gdy... gdy je dostałam.

Doktor al-Karim kiwnął głową. Uzbrojony bandyta stojący za Dżamillą wsunął dwa palce w pierścień kolczyka i szarpnął mocno. Kolczyk rozerwał płatek ucha. Trysnęła krew. Dżamilla otworzyła usta, by krzyknąć, ale zanim z jej gardła zdążył wydostać się jakiś dźwięk, straciła przytomność.

Ktoś chlusnął jej w twarz wodą z dzbana. Drgnęły powieki jej otwierającego się oka i stłumiony krzyk, który uwiązał jej w gardle niczym rybia ość, eksplodował z dziką siłą. Dante skrzywił się i odwrócił. Doktor al-Karim obszedł biurko i usadowił się przed Pippenem.

- Kim pan jest? - warknął cicho.

- Jestem Dante Pippen, wolny strzelec, niezależny duchem i umysłem specjalista od materiałów wybuchowych, pochodzenia irlandzkiego, na każde pańskie zawołanie, dopóki będzie pan deponował czeki na moim rachunku w

raju podatkowym.

Imam okrążył więźniarkę, patrząc na nią, lecz mówiąc do Dantego.

- Chciałbym wierzyć, dla pańskiego - mojego również - dobra, że jest pan tym, za kogo się pan podaje.

- Niech pan da spokój, w pokoju nad barem spotykała się pewnie z setkami mężczyzn. Każdy z nich mógł być jej łącznikiem.

- Doszło między wami do zbliżenia?

- Tak.

- Czy ona ma na ciele jakieś znaki szczególne?

Dante opisał małą bliznę po wewnętrznej stronie uda, przyszywane włosy łonowe, bliznę po szczepieniu na lewej ręce bądź prawej - nie był pewien. Aha, tak, miała jeszcze wyblakły tatuaż ćmy pod prawą piersią. Doktor al-Karim odwrócił się do więźniarki i chwytając za luźną koszulę przy guzikach, rozdarł ją na niej. Spojrzał na wyblakły tatuaż pod piersią Dżamilli, po czym zakrył tors kobiety, wtykając zwisające luźno poły koszuli pod paski taśmy maskującej.

- Ile jej pan zapłacił?

Dante zastanawiał się przez chwilę.

- Pięćdziesiąt dolarów.

- Banknotami o jakich nominałach?

- Dwoma dwudziestkami i dziesiątką.

- Dał je pan jej do ręki?

Dante pokręcił głową.

- Położyłem banknoty na biurku. Przycisnąłem je łuską.

- Co miała na sobie podczas stosunku?

- Buty.

- A pan?

- Prezerwatywę.

Doktor al-Karim uważnie przyjrzał się Dantemu.

- Ona też powiedziała, że miał pan prezerwatywę - na swoim obrzezaniu. Zakładam, że potrafi pan wyjaśnić, jakim cudem irlandzki katolik z Castletownbere został obrzezany?

Poirytowany Dante wywrócił oczami.

- Oczywiście, że potrafię. W chwili bezbrzeżnej głupoty dałem się na to namówić mojej pierwszej amerykańskiej dziewczynie, która właściwie uczyniła z tego warunek sypiania z nią. Jakoś nabrała przekonania, że jeżeli obetną mi napletek, zmaleje ryzyko zarażenia się ode mnie chorobą

weneryczną.

- Jak miała na imię?

- Na litość boską, chyba naprawdę nie oczekuje pan, że podam imiona wszystkich dziewczyn, z którymi spałem.

- Gdzie przeprowadzono zabieg?

- Ach, to pamiętam. Na czwartym piętrze cuchnącej eterem kliniki. - Dante podał jej nazwę i adres.

Imam wrócił na krzesło za biurkiem.

- Niech pan uważa się za człowieka pozostającego w areszcie domowym - poinformował. - Najwyraźniej jest pan specem od materiałów wybuchowych. Obawiam się jednak, że może pan pracować dla kogoś spoza Hezbollahu. Weźmiemy ponownie pod lupę pański życiorys. Wyślemy kogoś do Castletownbere na półwyspie Beara, zaczniemy od Mary McCullagh i restauracji o nazwie „Bank” i stamtąd podążymy dalej. Jeżeli skłamał pan choć w jednym szczególe... - Nie raczył dokończyć zdania.

Gdy Dante wstał, z ust więźniarki wydobył się głęboki jęk. Wszyscy w pokoju spojrzeli na nią. Dżamilla, z rozchyłonymi ustami, oddychała w przyśpieszonym tempie; przekrzywiła głowę i z trudem łapiąc powietrze, utkwiała jedyne otwarte oko w Dantem. Z pewnym wysiłkiem zdołała wydusić z siebie:

- Marny z ciebie... kochanek, Irlandczyku. - Po czym uśmiechnęła się krzywo i zakrzuszyła zjadliwym, gardłowym śmiechem.

Znalazłszy się z powrotem w swoim pokoju, z uzbrojonymi strażnikami u drzwi, Dante rozciągnął się na łóżku polowym i wpatrywał w pobielony wapnem sufit, zastanawiając się, czy plamy rozgniecionych much mogą przekazać treść frontowych biuletynów. Odtworzył głos Dżamilli w swoich myślach; dosłyszał słowa, które z wielkim wysiłkiem wydobyła z posiniaczonych ust. *Marny z ciebie kochanek, Irlandczyku.*

O zachodzie słońca w drzwiach pokoju ukazał się Abdullah. Jego sposób bycia zmienił się; w oczach miał wypisane, że nie uważa już Dantego za towarzysza broni.

- Masz pójść ze mną - oznajmił i nie czekając, odwrócił się i wyszedł. Dwaj uzbrojeni mężczyźni w maskujących twarze kufijach, spod których widać było jedynie oczy, ustawili się za Dantem, gdy ten szedł za Abdullahem przez wioskę do ogrodzenia obozu. Bramę w ogrodzeniu odciągnięto i Abdullah dał mu znak, by poszedł za nim na krawędź kamieniołomu. Dziewiętnastu terrorystów praktykantów wraz ze stałą kadrą

obozową i uzbrojonymi bojownikami z Hezbollahu, którzy przywieźli więźniarkę z Bejrutu, ustawiło się tam w szeregu. Po drugiej stronie kamieniołomu dwaj uzbrojeni członkowie Hezbollahu przywiązali Dżamillę do słupa, plecami w kierunku zachodzącego słońca. Jeden z nich zawiesił jej na szyi mały wojskowy chlebak, po czym sięgnął do jego wnętrza, by ułożyć przewody i zamknąć obwód elektryczny. Nogi się pod nią ugięły i opadła na liny przytrzymujące ją przy słupie. Gdy uzbrojeni mężczyźni odeszli, pozostawiając ją z chlebakiem na piersi, u boku Dantego pojawił się doktor al-Karim. Trzymał w ręce mały przenośny nadajnik, który wyciągnął do Pippena.

- Zechciałby pan wyświadczyć mi ten zaszczyt?

Dante spojrział na nadajnik.

- Ona nie jest moim wrogiem - odparł.

Dwa izraelskie odrzutowce nadleciały bezszelestnie od północy, ciągnąc za sobą smugi kondensacyjne iskrzące się w ostatnich promieniach słońca wysoko nad doliną Bekaa. znalazły się dokładnie nad obozem Hezbollahu, skrzyły pod kątem prostym na zachód. Gdy zmierzały w stronę morza, obóz utonął w dźwięku silników.

Imam spojrział na kobietę przywiązaną do słupa po drugiej stronie kamieniołomu, po czym gwałtownym ruchem podniósł nadajnik i kręcił przełącznikiem, dopóki nie rozległ się głuchy trzask, i wtedy go nacisnął. Przez chwilę, która ciągnęła się całą wieczność, nic się nie działo. Zmarszczywszy brwi, doktor al-Karim podnosił nadajnik, by znowu go włączyć, gdy głuchy huk wzniecił kłęby musztardowego dymu w kamieniołomie. Gdy dym się rozwiął, kobieta zniknęła, został tylko kikot słupa. Zgromadzeni na krawędzi kamieniołomu fedaini zaczęli odchodzić w mrok, który o tej porze roku szybko zapadał nad doliną. Imam wyciągnął sznur jadeitowych koralików i zaczął przesuwac je w pulchnych palcach. Dante odniósł wrażenie, że ten gest ma działanie terapeutyczne. Zauważył, że al-Karimowi drżą palce i usta. Czyżby po raz pierwszy zabił kogoś własnymi rękami?

- Gdy muzułmanka odwraca się od wiary - powiedział półgłosem imam - popełnia grzech śmiertelny, podlegający karze egzekucji.

O północy zimne podmuchy wiatru, które przez większość nocy docierały znad wzgórz Golan, nasiliły się, zagłuszając warkot śmigłowców nadlatujących szybko z wysoka i opadających ku ziemi niczym zestrzelone kaczki, żeby wylądować w strategicznych punktach wokół obozu.

Stanowisko blokady drogowej w miejscu, gdzie szosa z Bejrutu skręcała ostro pod górę do wioski, zostało opanowane bez jednego wystrzału. Fedaini zauważyli, że idący w ich kierunku ludzie mają na głowach kufije, i popełnili fatalny błąd, biorąc ich za Arabów. - *As-salamu 'alajkum* - zawołał jeden z mężczyzn w kufijach; wartownik z blokady krzyknął w odpowiedzi: - *Wa 'alajkum salam*. - Były to ostatnie wypowiedziane przezeń słowa. W bunkrze na szczycie wzgórza nad kamieniołomem fedaini zaczęli strzelać z ciężkiego karabinu maszynowego, gdy dostrzegli w ciemności biegnące po zboczu postacie; napastnicy, wyposażeni w noktowizory nie odpowiadali ogniem, dopóki nie znaleźli się wystarczająco blisko, by przerzucić granaty ogłuszające nad workami z piaskiem okalającymi bunkier. Komandosi z innych helikopterów, z twarzami poczernionymi węglem, pędzili przez wioskę, by dokonać ataku na dwa niskie budynki, które służyły za obozowy dom noclegowy. Większość praktykantów oraz członków kadry i goszczących w obozie fedainów zginęła, próbując uciec drzwiami i oknami. Ładunki wybuchowe umieszczone przy małym murowanym budynku zdmuchnęły zatkniętą na dachu flagę Hezbollahu i zapoczątkowały serię pomniejszych eksplozji, gdy drewniane skrzynie wypełnione amunicją zajęły się ogniem.

Dante, kuląc się za drzwiami swojego pokoju, usłyszał, jak dwaj strażnicy na zewnątrz głośnym krzykiem domagają się wskazówek przez krótkofalówkę. Gdy nie otrzymali odpowiedzi, obaj popędzili w stronę domu imama za meczetem po to tylko, by zginąć od kul jednej z izraelskich drużyn blokujących wąskie ulice. Pierwsze straty w ludziach napastnicy ponieśli, gdy kilku z nich wdarło się przez tylne drzwi do biura doktora al-Karima; jeden z ochroniarzy imama podszedł do nich z podniesionymi rękami, po czym wysadził się w powietrze, zabijając dwóch napastników i raniąc dwóch kolejnych. Pozostali, dostawszy się do środka drzwiami i oknami, wzięli dom szturmem, pędząc z pokoju do pokoju i zabijając ochroniarzy, służących oraz jedną z żon imama i dwóch z jego nastoletnich synów. Doktora al-Karima znaleźli ukrytego w szafie na najwyższym piętrze, podczas gdy druga żona i dwójka pozostałych dzieci kulły się w pobliskiej łazience wyposażonej w złocone baterie. Imama zakuto w kajdanki, przewiązano mu oczy i zaciągnięto do jednego z oczekujących śmigłowców.

Gdy odgłosy strzelaniny ucichły, Dante związał sobie na szyi białą jedwabną bandanę i pomknął jak strzała z budynku w kierunku studni usytuowanej między wioską a obozem. Skręcając za rogiem wąskiej ulicy,

dostał się nagle w krzyżowy ogień fedainów, którzy schronili się na parterze szkoły, oraz napastników czających się za niskim murem po drugiej stronie ulicy. Dał nura za furgonetkę, gdy fedaini zaczęli wystrzeliwać granaty nasadkowe. Jeden z nich wybuchł obok furgonetki i Dante poczuł w krzyżu mrowiące ukłucie gorącego szrapnela. Gdy patrząc na spłowiełą białą plamę rozciągającą się na nocnym niebie, leżał na drodze w oczekiwaniu na ból, który zawsze towarzyszył rozdarciu skóry, odgłos strzelaniny wydawał się coraz odleglejszy. Lekko majacząc, próbował skupić wzrok na Drodze Mlecznej, żeby rozpoznać gwiazdę, która oznaczała duszę alawickiej prostytutki Dżamilli, aż w końcu się doczekał: nagły palący ból przemknął po jego kręgosłupie i Dante stracił przytomność.

\* \* \*

Ocknął się w oślepiającej bieli szpitalnego pokoju. Światło słoneczne wlewało się przez dwa okna i czuł jego ciepło na ramionach ponad bandażami. Odwrócił głowę od słońca i ujrzał Crystal Quest siedzącą na sąsiednim łóżku i gryzącą kruszony lód w trakcie rozwiązywania jakiejś łamigłówki. Benny Sapir, szef siatki szpiegowskiej Mosadu, który instruował go w Waszyngtonie, przyglądał mu się z nóg łóżka.

- Gdzie ja, u diabła, jestem, Fred? - zapytał słabym głosem Dante.

- Ożył - zauważył Benny.

- Najwyższy czas - warknęła Quest; nie chciała, by Dante uznał jej obecność w szpitalu za przejaw słabości. - Mam w życiu do zrobienia inne rzeczy poza trzymaniem go za rękę. Hej, Dante, jako Irlandczyk powinienesz znać tę zagadkę: Joyce'owskie „Milczenie, wygnanie i...”. Dwanaście liter, zaczyna się na „p”.

- Przebiegłość. To była strategia przetrwania Stefana Dedala w *Portrecie artysty z czasów młodości*.

- Przebiegłość. Ha! Pasuje idealnie. - Fred zerknęła znad gazety, jej nabiegłe krwią oczy skupiły się na rannym agencie. - Jesteś w Hajfie, Dante, w izraelskim szpitalu. Lekarze musieli wyciągnąć ci z krzyża kawałek metalu. Niestety zostanie ci nieładna dziura w plecach oraz usztywnienie w lewej nodze, efekt ucisku na nerw. Na szczęście nie ma mowy o żadnych poważnych dolegliwościach i będziesz mógł zatykać pistolet za pas w taki sposób, by nie wybrzuszał ubrania.

- Schwytaliście imama?

- Dorwaliśmy gościa, który podawał się za imama. Potomek Proroka w linii prostej, bujdy na resorach! Chyba warto, byście skuli mu gębę -

poradziła Benny'emu.

- Izzat al-Karim to pseudonim. Twój imam naprawdę nazywa się Aun Kikodze; jest jedynym synem Afgańczyka i jego trzeciej żony, nastoletniej Kazaszki, która wygrała lokalny konkurs piękności w Ałma Acie. Kikodze studiował stomatologię w tym mieście i pracował tam jako asystent dentysty we wczesnych latach osiemdziesiątych, kiedy to odbył hidżrę do Mekki. Tam odkryli go irańscy łowcy talentów i zwerbowali do Hezbollahu. Po raz pierwszy zwróciliśmy na niego uwagę, gdy otworzył meczet nad magazynem w południowym Libanie i zaczął propagować jakieś brednie o bliskim i dalekim wrogu. Nikt nie potrafił się połapać w tym, co mówił, ale przypominało to islamską wersję tego, co wy, Amerykanie, nazywacie straszaniem ogniem piekielnym, i Kikodze wyrobił sobie nazwisko. Zanim się obejrzeliśmy, paradował w czarnym turbanie saida i kierował bazą szkoleniową Hezbollahu. Właśnie teraz, gdy rozmawiamy, moi koledzy próbują go skłonić do pomocy w śledztwach w sprawie działań Hezbollahu w dolinie Bekaa.

- Podejrzewam, że im się uda - stwierdziła Fred. - Izraelczycy toczą wojnę, Dante, więc bojaźliwi zwolennicy libertarianizmu nie siedzą im na karku tak jak nam. Jeżeli nadal będzie w pełni władz umysłowych, gdy tylko skończą, musimy się z nim zabawić.

Dante zwrócił się do Benny'ego:

- Czemu nie powiedziałeś mi tego wszystkiego, gdy instruowałeś mnie w Waszyngtonie?

- Gdyby cię złapali, wygadałbyś się. Nie chcieliśmy, żeby rzekomy imam wiedział, że my wiemy, że jest rzekomy.

- Tak, no cóż, straciliśmy Dżamillę - rzekł z goryczą Dante.

Crystal Quest zsunęła się z łóżka i zbliżyła się do Pippena.

- W Lewancie pełno jest dziewczyn imieniem Dżamilla. O której mówisz?

- O Dżamilli z Bejrutu, na litość boską, alawitce, która udawała prostytutkę. Stracili ją na sześć godzin przed przylotem śmigłowców. Założę się, że nie chcesz dowiedzieć się, w jaki sposób.

Fred prychnęła.

- Och, ta Dżamilla! Chryste, Dante, jak na kogoś w twoim fachu potrafisz być strasznie naiwny. „Dżamilla” to legenda. Naprawdę miała na imię Zubida. Nie u d a w a ł a prostytutki; gdy ją zwerbowano, uprawiała nierząd w Dubaju. I nie była alawitką, ale iracką sunnitką. Dzięki wyszukany



zabiegom z naszej strony uwierzyła, że będzie pracować dla Mukhabaratu Saddama Husajna. Nie chcę się chwalić, ale w tym bajerze była zgrabna logika: Saddam nienawidzi szyitów oraz ich irańskich mentorów, a zatem nie znosi Hezbollahu, który jest szyickim klientem irańskich mułłów.

Dante słyszał w uchu głos Dżamilli. *Marny z ciebie kochanek, Irlandczyku.*

- Kimkolwiek była, starała się mnie uratować w sytuacji, gdy mogłaby posłużyć się swoją wiedzą do ratowania własnej skóry. - Dante zauważył kwadratowy kawałek białego jedwabiu wiszący na haku na drzwiach. - Wyświadczyć mi przysługę, Fred, i przynieść mi tę bandanę.

Crystal Quest przyniosła kwadratową chustę i ułożyła ją w dłoni Dantego.

- To dopiero pamiątka - rzekł Benny z końca łóżka. - Zawdzięczasz tej bandanie życie. Gdy nie pojawiłeś się przy studni, nasze komando postanowiło spisać cię na straty. Jedna z drużyn dokonująca ostatniej inspekcji obozu zameldowała, że widziała mężczyznę w białej chuście leżącego obok furgonetki. Ona uratowała ci życie.

- Muszę zrezygnować z tej przykrywki.

- To najmniejszy z naszych problemów - odparła z chichotem Fred. - Jediną rzeczą, której nam w Langley nigdy nie brakuje, są legendy. Kiedy staniesz z powrotem na nogi, przygotujemy ci zupełnie nową.

- Dzięki tobie, Dante, operacja była wielkim sukcesem - stwierdził Benny.

- Wołającym o pomstę do nieba - rzekł z nagłym zapałem Dante, i rozumiał to dosłownie.

## 1997: Martin Odum odkrywa, że *shamus*<sup>[3]</sup> to słowo pochodzące z jidysz

Uśpiony warkotem silników odrzutowca Martin - z prawą nogą wystającą w przejściu między fotelami i kolanem lewej wciśniętym w tył fotela z przodu - drzemał przez połowę lotu i nie zauważył, jak ławica u wybrzeży Izraela rozwija się niczym błyszczący dywan pod skrzydłem samolotu. Ze snu wyrwał go zgrzyt kół wypuszczonych z komór kadłuba. Zerknął na Stellę, która smacznie spała w fotelu obok.

Dotknął jej ramienia.

- Dolatujemy.

Pokiwała ponuro głową; im bardziej zbliżała się do Izraela, tym mniej pewna była sensowności tropienia szwagra, który uciekł od jej siostry. A gdyby go dopadła, to wtedy co?

Ze względu na proste zasady szpiegowskiego rzemiosła przybyli do Izraela różnymi trasami: ona udała się samolotem do Londynu i przejechała pociągiem do Paryża, potem zaś poleciała do Aten, żeby zdążyć na lot do Tel Awiwu o drugiej w nocy; on poleciał z Nowego Jorku do Rzymu i przez kilka godzin gubił się w tłumie w pobliżu Koloseum, zanim wsiadł do pociągu do Wenecji, potem na nocny prom samochodowy do Patras, gdzie złapał autobus na ateńskie lotnisko, a następnie samolot do Izraela. Stojąc w kolejce za Stellą, mrugnął do kobiety za kontuarem i poprosił o miejsce obok urodziwej dziewczyny, która właśnie została odprawiona.

- Zna ją pan? - zapytała.

- Nie, ale chciałbym poznać.

Kobieta roześmiała się.

- Wy faceci nigdy nie rezygnujecie, co?

Po lądowaniu w lekkiej mżawce na lotnisku Ben Guriona samolot dokołował do strefy oczekiwania i kapitan, mówiąc po angielsku, nakazał przez interkom, by pasażerowie ze względów bezpieczeństwa pozostali w fotelach. Dwaj szczupli młodzieńcy, z koszulkami wypuszczonymi luźno na spodnie, żeby ukryć pistolety zatknięte za pasem, kroczyli powoli między fotelami, porównując zdjęcia w paszportach z twarzami ich właścicieli. Jeden

z nich, noszący ciemne okulary przeciwsłoneczne, dotarł do rzędu, w którym siedział Martin.

- Paszporty - warknął.

Stella wyjęła paszport z bocznej kieszeni torebki leżącej pod fotelem, Martin swój z wewnętrznej kieszeni na piersi kamizelki i wręczył oba agentowi ochrony. Ten przerzucił kciukiem kartki. Powracając na stronę ze zdjęciem Martina, spojrział na niego znad paszportu.

- Podróżujecie razem?

Zaprzeczyli równocześnie.

Młodzieniec włożył dwa paszporty do kieszeni.

- Proszę pójść ze mną - rozkazał i odsunął się, żeby Martin mógł wyciągnąć swoją walizkę z półki nad głową. Po czym wyprowadził ich przed sobą do wyjścia. Inni pasażerowie gapili się z otwartymi ustami na mężczyznę i kobietę przynaglanych do opuszczenia samolotu, próbując odgadnąć, czy to jakieś znakomitości, czy terroryści.

Oliwkowozielone suzuki z grubą plastikową przegrodą między przednimi i tylnymi fotelami oczekiwało na wilgotnym pasie do kołowania u stóp przenośnych schodów; wskazano im fotele z tyłu samochodu. Gdy Martin sadowił się do krótkiej, jak się okazało, jazdy, usłyszał, jak zatraskują się zamki w tylnych drzwiach. Stella już otwierała usta, by coś powiedzieć, ale przerwał jej ruchem palca, sygnalizując, że samochód może być na podsłuchu. Widząc jej zdenerwowanie, uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

Pierwsze cienie zaczynały muskać asfalt i pola na wschód od lotniska, gdy samochód skierował się ku odległemu hangarowi po drugiej stronie głównego pasa startowego. Zaparkowali obok metalowych schodów prowadzących do zielonych drzwi wysoko na ścianie hangaru. Zamki tylnych drzwi auta otworzyły się z trzaskiem i kierowca wskazał leniwie głową na schody.

- Chyba chcą, byśmy tam weszli - zauważyła Stella.

- Yhm - zgodził się Martin.

Oszczędzając chromą nogę, ruszył pierwszy. Na szczycie długich schodów szarpnął za klamkę ciężkich spiżowych drzwi i przytrzymałszy je, wszedł za Stellą na ogromne poddasze z niezwykle niskim sufitem. Za rozstawionymi tam biurkami przy terminalach komputerowych siedziało około dwudziestu osób; mimo napisu „Wstęp surowo wzbroniony” na drzwiach nikt z nich nie uniósł wzroku, gdy pojawiło się dwoje gości. Żołnierki w koszulach i minispódniczkach w kolorze khaki pchały przed sobą

wózki, odbierając i rozwożąc w nich dyskietki od biurka do biurka. Zza ciężkiej zasłony, która pełniła funkcję przepierzenia w kącie poddasza, wyłonił się siwy mężczyzna z włosami ostrzyżonymi na jeża. Był ubrany w garnitur i krawat (rzadki widok w Izraelu), a na jego mocno opalonej twarzy widniał służbowy uśmiech.

- Spójrzcie, kogo tu mamy. Toż to Dante Phippen we własnej osobie.

- Nie wiedziałem, że mandaryni Szabaku wstają przed nadejściem świtu - zauważył Martin.

Z twarzy Izraelczyka zniknął uśmiech.

- Mandaryni Szabaku nigdy nie śpią, Dante. Chyba o tym zapomniałeś. - Mężczyzna zerknął na Stellę, która ściągnęła gumki z warkocza na plecach, żeby włosy, wilgotne od lekkiego deszczu, wyschły, nie skręcając się w loki.

- Przestań grać - rzekł do Martina, cały czas obejmując spojrzeniem chudą postać jego towarzyszkę w dopasowanych spodniach i butach do joggingu - bądź dżentelmenem i poznaj nas.

- Kiedyś nazywał się Asher - poinformował Stellę Martin. - Niewykluczone, że zdążył się przeistoczyć. Gdy skrzyżowały się nasze drogi, był detektywem Szabaku, co jest skrótem od Szerut HaBitachon HaKlali. Czy wymówiłem prawidłowo? Izraelski Szabak najbardziej przypomina nasze FBI. - Martin wyszczerzył zęby w uśmiechu do Izraelczyka. - Nie mam bladego pojęcia, kim ona jest.

Izraelczyk rozłożył szeroko ręce.

- Pamiętaj, że nie urodziłem się wczoraj, Dante.

- Skoro wyciągnęliście ją z samolotu, to znaczy, że wiecie, kim jest. Przyznaj się, Asher. Kto ci dał cynk?

- Ktoś. - Asher odciągnął róg kotary i wprowadził swoich gości do strefy, która służyła za gabinet. Skinął w stronę kanapy, a sam usiadł twarzą do nich na wysokim stołku.

- Czy ten ktoś mógł być kobietą z gatunku o nazwie Fred? - zapytał Martin.

- Jak kobieta może nazywać się Fred? - odpowiedział pytaniem Asher.

- Fred to Crystal Quest, szychy z wydziału podłych świństw CIA.

- Czy to jej prawdziwe imię i nazwisko? Wicedyrektor Zarządu Operacji CIA znamy pod innym nazwiskiem, Dante.

Stella spojrzała na Martina.

- Dlaczego on nazywa cię Dante?

Asher odpowiedział za niego.

- Gdy pani towarzysz podróży wyświadczył nam przed ośmioma laty pewną przysługę, pracował pod przykrywką Dante Phippen. Zniknął z pola naszej obserwacji, zanim zdołaliśmy poznać jego prawdziwą tożsamość. Może więc pani sobie wyobrazić nasze zaskoczenie, gdy odkryliśmy, że Dante Phippen będzie na pokładzie samolotu Olympus Airlines z Aten, podróżując jako Martin Odum. Czy Martin Odum jest prawdziwym tobą, czy tylko kolejną z twoich legend?

- Właściwie to nie jestem pewien.

- Tak, cóż, tacy jak ty nie powinni bezceremonialnie przyjeżdżać do Izraela, nie kontaktując się z Szabakiem. Uważam, że to kwestia zawodowej uprzejmości. Odnosi się to szczególnie do sytuacji, gdy podróżujesz z byłą pracownicą KGB.

Martin osunął się na oparcie kanapy ze wzrokiem utkwionym w Stellę i rzekł cicho:

- Izraelczycy nie myślą się w takich szczegółach. Zanim się spostrzeżesz, powiesz mi, że Stella to nie jest twoje prawdziwe imię.

- Mogę to wyjaśnić.

Jedna z żołnerek nosząca szczególnie krótką minispódniczkę weszła tyłem do „gabinetu”, niosąc tacę z dzbankiem gorącej herbaty i dwoma kubkami. Postawiła ją na stole. Asher wymamrotał coś do niej po hebrajsku. Zerkając przez ramię na dwójkę gości, dziewczyna prychnęła z zachwytem, gdy wychodziła.

- Skoro możesz, to wyjaśnij - powiedział Asher. Napełnił kubki i podsunął je swoim gościom.

- Co robiłaś dla KGB? - zapytał Martin.

- Nie byłam szpiegiem ani nikim takim - odparła. - Kastner był zastępcą szefa Szóstego Zarządu Głównego, zanim zdezerterował. Zarząd zajmował się głównie przestępczością gospodarczą ale w końcu trafiły do niego sekcje, dla których nie znalazło się miejsce w żadnym z pozostałych zarządów. Fałszerze na przykład działali poza Szóstym Zarządem Głównym, a ich budżet był ukryty w ogólnym budżecie zarządu. To samo dotyczyło sekcji sporządzającej projekty broni, których Związek Sowiecki nie miał zamiaru rozwijać, a potem pozwalającej, by plany wpadły w ręce Amerykanów, w nadziei, że w efekcie jankesi będą marnotrawić swoje zasoby, dotrzymując nam kroku w zbrojeniach. Uczyłam angielskiego dzieci ze szkoły podstawowej, gdy Kastner zaproponował mi pracę w sekcji tak tajnej, że jedynie garstka partyjnych spoza Kremla wiedziała o jej istnieniu.

Wtajemniczeni nazywali ją podsekcją Marx, ale nazwano ją od nazwiska Groucha, a nie Karola. Dwudziestu kilku mężczyzn siedziało stale wokół długiego stołu, wycinając artykuły z prasy i wymyślając antysowieckie dowcipy...

Asher na całej swojej twarzy miał wypisane niedowierzenie.

- Słyszałem parę bajek w swoim życiu, ale ta bije wszystkie na głowę.

- Pozwól jej dokończyć.

Stella pośpiesznie kontynuowała swą opowieść.

- KGB uważało Związek Sowiecki za kocioł, a podsekcję Marx za małą metalową pokrywkę, którą sporadycznie unoszono, żeby wypuścić parę. Razem z paroma innymi młodymi kobietami przychodziłam tam w piątki i zapamiętywałam dowcipy które pracownicy podsekcji wymyślili w trakcie tygodnia. Dysponowałyśmy funduszem reprezentacyjnym, przez weekend chodziłyśmy do restauracji, klubów komsomolca, stołówek robotniczych bądź na wieczorki poetyckie i powtarzałyśmy te dowcipy. Kiedyś przeprowadzono badanie; okazało się, że dobry dowcip, który zaczął krążyć w Moskwie, w ciągu trzydziestu sześciu godzin zdołał dotrzeć na Kamczatkę.

- Niech pani poda przykłady dowcipów, które pani rozpowszechniała - rozkazał Asher, nie wyzbywszy się wątpliwości.

Stella zamknęła oczy i zastanawiała się przez chwilę.

- Gdy w Polsce demonstrowano przeciw stacjonowaniu wojsk sowieckich, pomogłam rozgłosić historię o młodym Polaku, który wpada na posterunek milicji w Warszawie i krzyczy: „Szybko, szybko, musicie mi pomóc! Dwóch szwajcarskich żołnierzy ukradło mi rosyjski zegarek”. Milicjant patrzy zdziwiony i mówi: „Chyba chodzi ci o to, że dwóch rosyjskich żołnierzy ukradło ci szwajcarski zegarek”. A chłopak na to: „Zgadza się, ale to pan to powiedział, nie ja!”.

Gdy ani Martin, ani Asher nie roześmiali się, Stella dodała:

- Wtedy uważano, że to bardzo zabawne.

- Pamiętasz jeszcze jakiś? - zapytał Martin.

- Do najbardziej udanych należał ten o dwóch komunistycznych aparatczykach spotykających się na ulicy w Moskwie. Jeden mówi: „Słyszałeś najświeższą wiadomość? Nasi radzieccy uczeni zdołali zminiaturyzować głowice jądrowe. Nie potrzebujemy już tych kosztownych międzykontynentalnych pocisków balistycznych, żeby zmieść Amerykanów z powierzchni ziemi. Możemy umieścić głowicę w walizce i wstawić ją do skrytki na dworcu Grand Central w Nowym Jorku i jeżeli Amerykanie

przysporzą nam jakichś kłopotów, to bum, Nowy Jork zostanie obrócony w radioaktywny popiół". Drugi Rosjanin odpowiada: „Nieważmożno. Gdzie w Rosji znajdziemy walizkę?”.

Dowcip Stelli przypomniał Martinowi fragment poprzedniej legendy: rozmowę Lincolna Dittmanna w obozie szkoleniowym dla terrorystów na Trójgraniczu z Saudyjczykiem, który był zainteresowany zdobyciem walizkowej bomby jądrowej sowieckiej produkcji. Żarcik Stelli jakoś nie wydawał się śmieszny. Asher najwyraźniej był tego samego zdania, ponieważ wyjął z poirytowaniem policzki.

Stella, zdesperowana, powtórzyła;

- G d z i e w R o s j i z n a j d z i e m y w a l i z k ę? Na litość boską, przecież to puenta dowcipu. Czy izraelskie prawo zabrania się śmiać?

- Asher, podobnie jak jego koledzy w CIA i KGB, już dawno temu stracił ochotę do śmiechu - wyjaśnił Martin. - To oportuniści, trzymający się kurczowo świata, który przestali rozumieć. Jeżeli zdołają utrzymać się dostatecznie długo, dostaną rządową emeryturę i zakończą żywot, uprawiając fasolkę szparagową w jakimś podmiejskim ogródku. Tutaj króluje nostalgia. Gdy odprężają się przy rzadkich okazjach, wszystkie zdania zaczynają od: Pamiętajcie, jak... Mam rację, Asher?

Wydawało się, że Asher skrzywił się, słuchając krótkiej przemowy Martina.

- W porządku - rzekł, odwracając się do Stelli - przyjmijmy na razie, że pracowała pani dla podsekcji Marx rozgłaszającej antysowieckie dowcipy, żeby obywatele mogli się trochę wyładować. Cokolwiek jednak sprowadza panią i Dantego do Ziemi Świętej, nie jest to chęć opowiadania dowcipów.

- Turystyka - rzekł beznamiętnie Martin.

- Oczywiście. Turystyka - potwierdziła stanowczym tonem Stella. Sięgnęła po kubek z herbatą, zanurzyła w niej mały palec i starannie zwilżyła wargi opuszkiem. - Przyjechaliśmy zobaczyć Wzgórze Świątynne, przyjechaliśmy zobaczyć Masadę, przyjechaliśmy zobaczyć Bazylikę Grobu Świętego... - Jej głos stał się niewyraźny.

- Zamierza pani w którymś momencie odwiedzić swoją siostrę na Zachodnim Brzegu?

Stella zerknęła na Martina, po czym znowu odwróciła się do Ashera.

- To też zrobię, naturalnie.

- A w jakim dokładnie charakterze Dante dotrzymuje pani towarzystwa?

Stella zadarła głowę.

- Znam go pod imieniem Martin. Jest moim kochankiem. Izraelczyk zmierzył Martina wzrokiem.
- Przypuszczam, że w razie potrzeby potrafiłbyś opisać jej ciało.
- Bez trudu. Łącznie z wyblakłym tatuażem ćmy syberyjskiej pod jej prawą piersią.

Kątem oka Martin ujrzał, jak Stella zaczyna rozpinąć górne guziki koszuli; znowu nie było widać żadnej bielizny, a tylko trójkąt bladej skóry. Asher chrząknął, zażenowany.

- To... nie będzie konieczne, panno Kastner. Mam powody sądzić, że Dante pracuje jako prywatny detektyw, a pani skorzystała z jego usług. To, co robicie po godzinach pracy, to wasza sprawa. - Asher przyjrzał się Martinowi. - A więc tym stają się szpiedzy, gdy wracają ze śmiertelnego zimna; przeobrażają się w prywatnych detektywów. To oczywiście bije na głowę uprawianie fasolki szparagowej. Powiedz mi, Dante, jak człowiek zostaje prywatnym detektywem?

- Ogląda stare filmy detektywistyczne.

- Jest wielkim fanem Humphreya Bogarta - zapewniła Stella, unikając wzroku Martina.

Asher przez chwilę przyglądał się, jak Stella pije herbatę. Gdy znowu się odezwał, był w innym nastroju; Martinowi wydał się nagle bardziej podobny do przedsiębiorcy pogrzebowego niż do policjanta.

- Pozwoli pani, że złożę pani wyrazy współczucia, panno Kastner - zaczął. Zsunął się ze stołka, podszedł do stołu i otworzył *dossier* leżące na grubym stosie akt. - Przykro mi, że jestem zwiastunem smutnych wieści - rzekł i przeczytał z kartki: - Poniższy tekst stanowi informację Departamentu Stanu przesłaną przez ambasadę amerykańską w Tel Awiwie. „Proszę przekazać tę informację Estelle Kastner: pięć dni temu jej ojciec, Oskar Aleksandrowicz Kastner, doznał ataku serca w swoim domu w Brooklynie”.

Stella zmrużyła oczy w wyrazie udręki.

- O mój Boże, muszę natychmiast do niego zadzwonić - szepnęła.

Martin poznał z ponurego wyrazu twarzy Ashera, że dzwonienie nie ma sensu.

- On nie żyje, prawda?

- Niestety, Dante ma rację - powiedział Asher i spojrzał na Martina. - Powiedziano mi, żebym ci coś przekazał, Dante. Na dachu nad twoją salą bilardową znaleziono ciało młodej Chinki. Jej szef w chińskiej restauracji szukał jej, gdy nie zjawiała się w pracy. Zmarła od ukąszeń pszczoł z jednego



z twoich ulów. Piekielny sposób pożegnania się z tym światem, nie uważasz?  
- Owszem - zgodził się ponuro Martin. - Tak uważam..

\* \* \*

W miejskiej taksówce oboje nie odzywali się z obawy, że kierowca lub jeden z pozostałych pasażerów może pracować dla Szabaku; oboje obawiali się również, że gdyby jedno z nich przerwało kojące milczenie, górę wzięłyby emocje. Pięćdziesiąt minut po opuszczeniu lotniska znaleźli się na rogu ulicy w centrum Jerozolimy. Wokół płynęła poranna rzeka pojazdów. Oddziały żołnierzy, po części ciemnoskórych

Etiopczyków noszących zielone berety i zielone kamizelki kuloodporne, patrolowały ulice, legitymując każdego, kto choć trochę przypominał wyglądem Araba. Martin pozwolił przejechać sześciu taksówkom, zanim przywołał siódmą. Pojechali nią do hotelu „American Colony” we wschodniej Jerozolimie, gdzie palestyńskie taksówki czekały rzędem w kolejce na ulicy przed frontem budynku. Jakiś młody Rosjanin, bawiący w Izraelu na turnieju szachowym, pochylił się nad szachownicą ustawioną na masce samochodu zaparkowanego przed wejściem do hotelu, pozując operatorowi kamery filmowej. Grał z samym sobą, zbijając pionki na szachownicy w kilkunastu błyskawicznych ruchach i przez cały czas mamrocząc pod nosem o błędzie w ustawieniu czarnych bądź nieporadności ataku białych. Dostrzegłszy sposobność do zakończenia gry, z satysfakcją pchnął białe pionki naprzód w decydującym manewrze, po czym uniósł wzrok i oznajmił po angielsku, że czarne poddały się w obliczu oszałamiającego ataku białych.

- Jak on może grać przeciw sobie i pozostać przy zdrowych zmysłach? - zapytała Stella.

- Zaletą gry przeciw sobie, inaczej niż w prawdziwym życiu, jest to, że wiesz, jakie będzie następne posunięcie twojego przeciwnika - zauważył Martin.

Poczekał, aż pierwsze trzy palestyńskie taksówki odjadą z pasażerami, zanim dał znak czwartej.

- Mustafa, na każde państwa zawołanie - oznajmił młody Palestyńczyk, gdy pakował ich walizki do bagażnika żółtego mercedesa, który - sądząc z wyglądu - miał więcej lat niż kierowca. - Więc dokąd jedziemy?

- Kiriat Arba - odparła Stella.

Widoczny w oczach Mustafy entuzjizm osłabł.

- Będzie to was kosztowało czterdzieści szekli lub dziesięć dolarów

amerykańskich. Wiozę was tylko do bramy głównej. Żydzi nie tolerują arabskich taksówek za bramą.

- Brama główna wystarczy - rzekł Martin, sadowiąc się razem ze Stellą na skrzypiącej skórze tylnego siedzenia.

Plastikowe koraliki Mustafy zwisające z lusterka wstecznego stuknęły o przednią szybę, gdy taksówka przemknęła obok przypominających fortece izraelskich dzielnic miasta i przystanków autobusowych, na których roiło się od pobożnych Żydów, i wyjechała z Jerozolimy na nową szosę, wcinającą się w Góry Judejskie. Grupki Palestyńczyków wędrowały polnymi ścieżkami na skalnych zboczach po obu stronach szosy, by uniknąć izraelskich posterunków w drodze do żydowskiej Jerozolimy, w nadziei, że znajdą jakąś dorywczą pracę. W *wadi* widać było, jak chłopcy, którzy wspięli się wysoko na gałęzie drzew, zrywają oliwki i chowają je za koszulę.

- Na lotnisku kusiałś los - zauważył Martin. - Mówię o chwili, gdy zaczęłaś rozpinąć koszulę, żeby pokazać Asherowi tatuaż pod piersią. Co byś zrobiła, gdyby cię nie powstrzymał?

Stella, bardzo spragniona pocieszenia, przysuwała się bliżej Martina, aż zetknęły się ich uda.

- Uważam, że jestem dość dobra w ocenie ludzkich charakterów - odparła. - Intuicja podpowiedziała mi, że Asher mnie powstrzyma lub przynajmniej odwróci wzrok.

- A ja? Sądziłaś, że odwrócę wzrok?

Stella spojrzała przez brudne okno, przypominając sobie, jak przyłgnęła do Kastnera, gdy się z nim żegnała; gwałtownie odsunął wózek, ale i tak dostrzegła, jak w oczach zakreśliły mu się łzy. Odwróciła się do Martina.

- Przepraszam. Myślami byłam gdzie indziej. Co mówiłaś?

- Zapytałem, czy sądziłaś, że ja też odwrócę wzrok, gdy zaczniesz pokazywać Asherowi ćmę wytatuowaną rzekomo pod twoją piersią.

- Nie jestem pewna - przyznała. - Jeszcze cię nie rozgryzłam.

- Co tu rozgryzać?

- Są w tobie pokłady, do których nie potrafię dotrzeć intuicyjnie. Istotę twojej osobowości przesłania zbyt duża zmienność nastroju, jakbyś niemalże był kilkoma różnymi osobami. Po pierwsze, nie umiem stwierdzić, czy interesują cię kobiety. Nie potrafię rozstrzygnąć, czy chcesz mnie uwieść, czy nie. Kobiety muszą właściwie rozumieć intencje w tym szczególnym aspekcie, zanim będą mogły ułożyć sobie z mężczyzną stosunki na stopie zawodowej.

- Nie - odparł Martin bez wahania. - Kłopot z kobietami w ogóle, a z tobą w szczególności, polega na tym, że nie potraficie być obiektem męskiej uprzejmości, nie zakładając od razu, że kryje się za nią próba uwiedzenia. - Pomyślał o Minh pobudzającej do erekcji jego oporne ciało podczas sporadycznych wspólnych wieczorów; ciekawe, czy jej śmierć na dachu nad salą bilardową to naprawdę wypadek. - Oto umowa, Stello; jestem za stary na uwodzenie. Przyparty do muru, nie kocham się, lecz toczę wojnę.

- Przemawia przez ciebie ból - powiedziała szeptem Stella, myśląc o własnym bólu. - Powinieneś wziąć pod uwagę, że intymny kontakt może być środkiem znieczulającym.

Martin pokręcił głową.

- Z mojego doświadczenia wynika, że intymne kontakty nawiązuje się po to, aby uprawiać seks. Jak tylko seks nie wchodzi w grę, intymny kontakt sprawia jedynie więcej bólu.

Cofając się na swoją stronę kanapy, Stella wpadła w gwałtowną irytację.

- Myśl, że intymne kontakty nawiązuje się, aby uprawiać seks, jest typowa dla ludzkich samców. Samice mają bardziej subtelne podejście do tego tematu, rozumieją, że uprawia się seks, żeby nawiązać intymne kontakty; że zażyłość to jedyny w swoim rodzaju orgazm, ponieważ pozwala wydostać się z więzienia własnego ja, wyjść ze swej skóry i znaleźć się w skórze, w psychice, innego człowieka. Seks, który prowadzi do zażyłości, jest wyzwoleniem.

Mustafa zwolnił przed izraelskim posterunkiem, ale gdy dwaj żołnierze zerknęli przez okno tylnych drzwi i wzięli jego pasażerów za Żydów wracających na jedno z osiedli, machnięciem dłoni kazali mu przejechać. Taksówka przemknęła obok stojących na poboczach wózków wypełnionych pomarańczami i cukiniami, restauracji z piekącymi się na roznach kebabami oraz warsztatów z ustawionymi na pustakach samochodami i leżącymi pod nimi na plecach mechanikami. Zwolniła znowu przed stadem owiec, które rozpierschły się, gdy Mustafa nacisnął na klakson. Młode Arabki z przywiązanyimi szalem niemowlętami na plecach, starsze kobiety w długich szatach, z ciężkimi tobołkami na głowach, szły noga za nogą poboczami, odwracając twarze, żeby nie wdychać kurzu wzbijanego przez pędzącego obok mercedesa.

Pół godziny po opuszczeniu Jerozolimy taksówka zwolniła i zatrzymała się przed osiedlem Kiriat Arba, obok znaku z napisem: „Osiedle Syjonisty - «Im bardziej go torturują, tym większy się stanie»". Martin widział, że dwaj

strażnicy przy bramie w ogrodzeniu ochronnym przyglądają się im podejrzliwie. Obaj byli uzbrojeni w uzi, a spod kamizelek kuloodpornych sterczały im rytualne *cicit*. Gdy Stella wyciągała z bagażnika taksówki dwie walizki, Martin podszedł do otwartego okna od strony pasażera, żeby zapłacić Mustafie. Z jednego z minaretów poniżej żydowskiego osiedla popłynął nagrany na taśmie lament muezina wzywającego wiernych do południowej modlitwy. Wsuwając przez okno banknot dziesięciodolarowy, Martin zauważył, że na oprawionej w ramkę anglojęzycznej licencji na schowku widnieje fotografia Mustafy, ale imię obok nazwiska Khouri jest inne - Azzam.

- Czemu mi powiedziałeś, że masz na imię Mustafa? - zapytał taksówkarza.

- Mustafa to mój brat, zabity przez izraelską armię podczas intifady. Obydwaj rzucaliśmy kamieniami w żydowskie czołgi. Tamci się wściekli i w odpowiedzi zaczęli rzucać kulami. Odtąd matka nazywa mnie Mustafą, żeby udawać, że mój brat nadal żyje. Z tego samego powodu niekiedy sam nazywam siebie Mustafą. Są dni, gdy nie wiem, kim jestem. Dzisiaj jest taki dzień.

Strażnicy przy bramie sprawdzili paszporty przybyłych. Gdy Stella wyjaśniła, że przyjechała zobaczyć się z siostrą, Ja'arą Ugor-Żyłową, zadzwonili na osiedle, skupisko przypominających bunkry betonowych budynków mieszkalnych, spływających niczym lawa po zboczu niegdyś nagiego wzgórza w kierunku arabskiego miasta Hebron. Po wielu minutach na szczycie wzgórza pojawiła się zdezelowana furgonetka i powoli, strzelając z rury wydechowej, zjechała obok placu zabaw, pełnego matek z małymi dziećmi, do bramy. Chwilę później siostry tuliły się do siebie. Martin widział, jak Stella mówi coś cicho do ucha żony Samata. Elena, czyli Ja'ara, jak nazywała się teraz, cofnęła się o krok, gwałtownie pokręciła głową, po czym wybuchnęła płaczem i z powrotem padła w ramiona siostry. Kierowca furgonetki, przysadzisty pięćdziesięcioparoletni brodacz w czarnych tenisówkach, czarnym garniturze, czarnym krawacie i czarnej fedorze, podszedł do Martina. Przyjrzał mu się uważnie przez grube dwuogniskowe szkła drucianych okularów.

- *Szalom*, panie Odum - rzekł z wyraźnym brooklyńskim akcentem. - Jestem rabin Ben Zion. Pan pewnie jest znajomym detektywem Stelli. Zgadza się?

- Zgadza w obu przypadkach. Jestem detektywem i jestem znajomym.

- To ja, rabin, który udzielił ślubu Ja'arze i Samatowi - oznajmił Ben Zion. - Jeżeli postara się pan odnaleźć Samata i uzyskać dla biednej Ja'ary rozwód, podam panu rękę. Jeśli nie, będę pana ignorował.

- Skąd pan wiedział, że jestem detektywem? I że tropię Samata?

- Ktoś z Szabaku usłyszał, a potem powiedział mi, że dwoje turystów, którzy będą zwiedzać wyłącznie Kiriati Arba, ma zjawić się na progu naszego domu. I cud nad cudami, jesteście. - Rabin uniósł rękę, by osłonić oczy przed południowym słońcem, i zmierzył wzrokiem brooklyńskiego detektywa, który trafił do Kiriati Arba. - Więc nie jest pan Żydem, panie Odum.

Dwie siostry ruszyły za nimi w górę wzgórza, obejmując się w talii.

- Skąd pan wie? - zapytał Martin.

Rabin Ben Zion nagłym ruchem skierował głowę w stronę Hebronu, rozciągającego się u ich stóp dwieście metrów dalej.

- Żyjąc pośród morza Arabów, człowiek od razu poznaje swojego.

- Innymi słowy to kwestia instynktu.

- Instynktu przetrwania, wykształconego przez ponad dwa tysiące lat. - Rabin wrzucił walizki na pakę furgonetki. - Proszę więc wsiadać - rozkazał. - Zawiozę pana do mieszkania Ja'ary. Dotrzemy tam przed dziewczynami,

zagotujemy wodę na herbatę oraz zapalimy świecę *jarcajt* <sup>[4]</sup> jej ojcu. Informator powiedział mi również o śmierci w ich rodzinie, ale uznałem, że będzie lepiej, jeżeli to Stella przekaze tę złą wiadomość swojej siostrze. Niech pan mnie grzecznie poprosi, a powiem panu, co wiem o zaginionym mężu.

Rabin wrzucił bieg i z rozwianymi pejsami popędził jak pocisk w górę wzgórza, mijając miejscową pocztę, centrum handlowe pełne kobiet w spódnicach do kostek i małych chłopców noszących zrobione na drutach jarmułki. Okazało się, że Ja'ara mieszka w małym dwupokojowym mieszkaniu na parterze jednego z budynków, z widokiem na Hebron.

- Kiedy zostawił ją mąż, nie miała środków do życia, więc nasza synagoga wzięła ją pod swoje skrzydła - wyjaśnił rabin. Szukał na kółku klucza, aż znalazł ten właściwy i otworzył drzwi. Wyposażenie mieszkania było spartańskie. W jednym pokoju stało wąskie łóżko polowe, z okolonym plastikowymi muszlami morskimi pękniętym lustrem na ścianie nad nim, oraz drewniana, odwrócona do góry dnem skrzynia, służąca jako stolik nocny. W pomieszczeniu, które spełniało funkcję salonu, rozstawiono składany stolik brydżowy, nakryty kwadratowym kawałkiem ceraty, oraz

zbieraninę składanych krzesel z małym telewizorem czarno-białym umieszczonym na jednym z nich. Na sięgającej pasa biblioteczce, oddzielającej salon od maleńkiej kuchni, stały trzy doniczki z plastikowymi pelargoniami. Martin otworzył drzwi niewielkiej łazienki. Ze sznurka rozciągniętego nad wanną zwisała damska bawełniana bielizna i kilka par długich wełnianych pończoch. Ben Zion zauważył wyraz twarzy Martina, gdy ten odwrócił się w stronę salonu.

- Kupiliśmy te meble od Arabów, których domy, stojące między osiedlem a Hebronem, wyburzono, żebyśmy mogli bezpiecznie chodzić do Groty Makpela.

Martin podszedł wolnym krokiem do okna, podniósł roletę i spojrzał na gąszcz ulic i budynków tworzących Hebron.

- Co to jest Grota Makpela? - zawołał przez ramię.

Rabin próbował właśnie zapalić zapałką palnik gazowy we wnęce kuchennej, żeby zagotować wodę w czajniku.

- Czy dobrze słyszę? Co to jest Grota Makpela? Dla Żydów to ni mniej, ni więcej, tylko drugie najświętsze miejsce na planecie Ziemia, zaraz po Wzgórzu Świątynnym czy też po tym, co z niego zostało, czyli Ścianie Płaczu. Hebron, który w czasach biblijnych nosił nazwę Kiriat Arba, znajduje się tam, gdzie Abraham osiedlił się, gdy po raz pierwszy postawił nogę w Ziemi Świętej. Grota jest w miejscu, w którym pochowano Abrahama, jego synów, Izaaka i Jakuba, a także jego żonę, Sarę. Jest święta również dla Palestyńczyków, którzy włączyli Abrahama do grona swoich proroków; zbudowali w tym miejscu meczet i teraz musimy modlić się w grocie na zmianę. - Zapaliwszy kolejną zapałkę, rabin przesunął czajnik na palnik. Kręcąc z niedowierzaniem głową, zapalił jeszcze jedną zapałkę oraz świecę *jarcajt* za zmarłych i zaniósł ją z powrotem do pokoju. - Co to jest Grota Makpela? - zapytał retorycznie, stawiając świecę na stoliku. - Nawet szyksa powinna znać odpowiedź na to pytanie. Zawsze chodzimy do groty w piątki o zachodzie słońca, żeby powitać szabas w tym świętym miejscu. Będzie nam miło, jeżeli dołączy pan do nas ze Stellą. W ten sposób może pan powiedzieć ludziom z Szabaku, że naprawdę zwiedzaliście.

Martin uznał, że wystarczy tej grzecznościowej rozmowy

- A Samat?

Rabin Ben Zion zakrył usta, żeby stłumić czknięcie.

- A Samat? - powtórzył. - Czy uciekł z inną kobietą?

- Coś panu powiem, detektywie z Brooklynu, który uważa, że mężczyźni

odchodzą od żon tylko z innymi kobietami. Samat nie musiał porzucać żony, żeby mieć inną kobietę; wynajmował sobie wszystkie kobiety, jakich tylko pożądał. Kiedy znikał w swojej hondzie na dwa, trzy dni z rzędu, dokąd, pańskim zdaniem, jechał? To żadna tajemnica. Jechał tam, gdzie jeździ dużo mężczyzn, gdy chcą, żeby kobiety robiły rzeczy, których nie zrobią ich żony. W Jaffie, w Tel Awiwie są domy, które moja matka, niech spoczywa w pokoju, nazywała przybytkami złej sławy, gdzie można się gzić z kobietami, które nie wstydzą się swojej nagości, które dla pieniędzy skłonne są zrobić wszystko, żeby zadowolić klienta. - Rabin machnął ręką w kierunku Morza Śródziemnego. - Samat lubił seks, to było widać w jego oczach, można było to poznać po tym, jak patrzył na swoją szwagierkę Estelle, gdy odwiedziła Kiriat Arba. Ale miał nie tylko zmysłowe obsesje. Chodzi mi o to, że interesował go nie tylko seks.

W małej kuchni rozległ się pisk czajnika. Rabin poderwał się, by wyłączyć gaz, i zabrał się do przyrządzania herbaty. Wrócił po paru chwilach, niosąc czajnik oraz cztery porcelanowe filiżanki, które postawił na stoliku brydżowym obok świecy żałobnej. Pochylając się nad stolikiem, by lepiej widzieć, co robi, włożył torebki z herbatą Liptona do czterech filiżanek i napełnił pierwszą wrzątkiem. Gdy Martin odmówił gestem ręki, rabin sam wziął filiżankę i zasiadł na jednym z rozkładanych krzeseł, rozsuwając kolana i niecierpliwie stukając stopami w podłogę. Martin przysunął drugie krzesło i usiadł twarzą do niego.

- Czemu ktoś taki jak Samat, który musiał odwiedzać przybytki złej sławy, miałby się żenić z pobożną kobietą, której wcześniej nigdy nie widział na oczy?

- Czy ja siedzę w jego głowie, żeby znać odpowiedź? - Rabin podmuchał głośno, po czym przytknął usta do kubka, żeby sprawdzić temperaturę herbaty. Uznając, że jest jeszcze zbyt gorąca, odstawił filiżankę na stół. - Ten Samat był dziwnym ptaszkiem. Jestem rabinem Ja'ary. W judaizmie nie spowiadamy się naszym duchowym przywódcom, tak jak czynią to katolicy. Ale zwierzamy się im. Uwierzyłem Ja'arze, gdy powiedziała, że Samat nie dotknął jej nawet ani w noc poślubną, ani później. Nigdy nie spał w małżeńskim łóżu. Z tego, co wiem, ona chyba wciąż jest dziewicą. Gdy Samat mieszkał z nią pod jednym dachem, była całkowicie przeświadczona, że coś jest z nią nie tak. Próbowałem ją przekonać, że to z nim jest coś nie w porządku. Jego również starałem się przekonać.

- Zdołał pan?

Rabin pokręcił ze smutkiem głową.

- By posłużyć się starym żydowskim porzekadłem, w rozmowach z nim nigdy nie wyszedłem poza ogólniki.

- Co on tutaj robił?

- Ukrywał się.

- Przed czym? Przed kim?

Rabin znowu skosztował herbaty. Tym razem zdołał wypić łyk.

- A kimże ja jestem, człowiekiem czytającym w ludzkich myślach? Skąd niby miałbym to wiedzieć? Niech pan posłucha. Przyjazd tutaj, by żyć na jednym z żydowskich osiedli wśród wszystkich tych Arabów, przypomina nieco wstąpienie do Legii Cudzoziemskiej: gdy podpisujesz się we wskazanym miejscu, nikt nie prosi o przedłożenie życiorysu, po prostu cieszymy się, że dorwaliśmy frajera. Wiem jednak, że Samat poszedł do funkcjonariusza ochrony Kiriati Arba i poprosił o broń. Powiedział, że ma służyć do ochrony jego żony w razie ataku terrorystów Hamasu.

- Dostał broń?

Rabin potwierdził skinieniem głowy.

- Wszyscy mieszkańcy osiedla, którzy widzą, do czego mierzą, mogą ją dostać. - Ben Zion pamiętał jeszcze jeden szczegół. - Samat wyraźnie miał niewyczerpane źródło pieniędzy. Za wszystko, co kupował, płacił gotówką: ekskluzywny dwupoziomowy dom na skraju Kiriati Arba, gdzie zachody słońca muszą cieszyć oko, nowiuteńki japoński samochód z klimatyzacją. Nigdy nie grywał w *pinochle* z chłopakami, nigdy nie towarzyszył Ja'arze w synagodze, nawet w największe święta, choć nie uszło ludzkiej uwagi, że Ja'ara zawsze zostawiała kopertę wypchaną gotówką w skrzynce na jałmużnę. Przyznaj pan, amerykański detektywie, założę się, że pan nie wie, że *shamus* to słowo pochodzące z jidysz.

- Myślałem, że z irlandzkiego.

- Irlandzkiego! - Rabin klepnął się dłonią po kolanie. *Shamus* to żuczek synagogalny, tak nazywano członka kongregacji opiekującego się synagogą.

- Ben Zion pokręcił ze zdziwieniem głową. - Jak, pytam pana, można wykryć męża na samowolce, skoro nie potrafi pan wykryć źródeł pochodzenia słowa *shamus*?

Nagle przybycie Ja'ary i Stelli oszczędziło Martinowi konieczności tłumaczenia się z tej luki w swoim wykształceniu; zapewniło również możliwość dokładnego przyjrzenia się żonie Samata, niskiej, otyłej kobiecie o pulchnej twarzy nastolatki i korpulentnym ciele, obdarzonej obfitym



biustem, który napinał guziki jej bluzki. Martin bał się, że jeden z nich może w każdej chwili trzasnąć. Między guzikami mignęła mu różowa tkanina grubego biustonosza. Ja'ara miała na sobie spódnicę do kostek, często noszoną przez chasydki z sekty Lubawicz, oraz okrągły filcowy kapelusz z płaskim rondem, który nerwowo obracała na głowie, jakby próbowała znaleźć przód. Widoczne skrawki skóry na jej ciele były białe niczym kreda wskutek braku kontaktu ze słońcem. Twarz miała pokrytą śladami łez. Stella, z suchymi oczami, miała przyklejony do ust cień uśmiechu, który Martin zauważył w dniu, gdy zjawiła się na progu jego sali bilardowej.

Rabin skoczył na równe nogi, gdy kobiety ukazały się w drzwiach mieszkania; Ja'ara przystanęła przed wejściem, żeby pocałować mezuzę. Chwytając oburącz jej dłoń i zginając się w pasie, żeby schylić głowę do poziomu Ja'ary, rabin zarzucił ją lawiną hebrajskich słów, które w uszach prywatnego detektywa brzmiały z brooklyńska raczej niż biblijnie. Martin doszedł do wniosku, że rabin składa jej kondolencje, bo siostra Stelli znowu zaczęła szlochać; łzy spływały kaskadą i wsiąkały w ciasno zapięty kołnierz jej bluzki. Ben Zion zaprowadził Ja'arę do świecy *jarcajt* i kołysząc się w przód i w tył na podszwach butów, rozpoczął modlitwę w języku hebrajskim. Ja'ara przyłączyła się do modlitwy, ocierając łzy rękawem.

- Odmawia kadisz - wyjaśniła szeptem Martinowi Stella. - To żydowska modlitwa za zmarłych.

- A ty nie zamierzasz się pomodlić za swojego ojca? - wyszeptał w odpowiedzi.

- Ja modlę się tylko za żywych - odpaliła.

Gdy modlitwa dobiegła końca, rabin przeprosił i wyszedł organizować szabasową pielgrzymkę do Groty Makpela, a Martin zyskał pierwszą sposobność do rozmowy z siostrą Stelli.

- Przykro mi z powodu pani ojca - zaczął.

Ja'ara przyjęła jego słowa nieśmiałym zamknięciem powiek.

- Nie spodziewałam się, że umrze, a już na pewno nie na atak serca. Miał serce jak dzwon. Po tym wszystkim, co przeszedł... - Wzruszyła nieznacznie ramionami.

- Pani siostra wynajęła mnie, bym znalazł Samata i żeby pani mogła uzyskać rozwód.

Ja'ara zaatakowała Stellę:

- Co mi po rozwodzie?

- To sprawa dumy - nalegała Stella. - Nie możesz pozwolić, by uszło mu

to płazem.

Martin skierował rozmowę z powrotem na sprawy zawodowe.

- Ma pani coś, co należało do niego, książkę, którą kiedyś czytał, telefon, którego kiedyś używał, butelkę, z której kiedyś nalewał alkohol, czy choćby szczoteczkę do zębów? Cokolwiek?

Ja'ara pokręciła głową.

- Była papeteria z nagłówkiem, ale zniknęła i nie pamiętam podanego w nim londyńskiego adresu. Gdy Samat wyjeżdżał, napełnił kufer osobistymi rzeczami i zapłacił dwóm chłopcom, by zanieśli go do taksówki. Zabrał nawet zdjęcia z naszego ślubu. Jediną fotografią, która po nim została, było zdjęcie zrobione przez Stellę po uroczystości i przesłane naszemu ojcu. - Na wzmiankę o Kastnerze łzy znowu spłynęły jej po policzkach. - Niech pan mi powie, jak mógł zrobić coś takiego własnej żonie?

- Stella powiedziała mi, że ciągle rozmawiał przez telefon. Czy to on dzwonił, czy dzwoniono do niego?

- Jedno i drugie.

- Muszą więc być rejestry z numerami, pod które telefonował.

Ja'ara znowu pokręciła głową.

- Rabin poprosił funkcjonariusza tutejszej ochrony, by spróbował zdobyć numery tych telefonów. Ktoś nawet pojechał do Tel Awiwu, by przeprowadzić rozmowę z pracownikami firmy telefonicznej. Zameldował, że wszystkie numery znajdowały się na taśmie magnetycznej, której pozbyto się przez pomyłkę. Po numerach, na które dzwonił, nie został żaden ślad.

- Jakim językiem się posługiwał podczas tych rozmów?

- Angielskim. Rosyjskim. Czasem ormiańskim.

- Czy zapytała go pani kiedyś, czym się zajmuje?

- Raz.

- I co powiedział? - zapytała Stella.

- Najpierw nic. Gdy domagałam się odpowiedzi, wyjaśnił, że kieruje firmą sprzedającą wytwarzane na Zachodzie protezy ludziom, którzy stracili nogi na rosyjskich minach lądowych w Bośni, Czeczenii i Kurdystanie. Twierdził, że mógłby zbić majątek, ale sprzedawał je po kosztach własnych.

- I uwierzyłaś mu? - zapytała Stella.

- Nie miałam powodu nie wierzyć. - Oczy Ja'ary zrobiły się nagle okrągłe. - Ktoś raz zadzwonił tu, gdy go nie było, i zostawił numer telefonu. Myślałam, że to może mieć coś wspólnego z tymi protezami, i zapisałam go ołówkiem na tym, co miałam pod ręką, czyli na odwrocie jakiegoś przepisu

kulinarnego, a potem przepisałam go na bloczek leżący obok telefonu. Wyrwałam tę kartkę i dałam ją Samatowi, gdy wrócił tamtego dnia do domu; poszedł do łazienki i dokądś zadzwonił. Pamiętam, że mówił bardzo wzburzonym głosem. W pewnym momencie Samat nawet krzyczał do słuchawki i stale przechodził z angielskiego na rosyjski i z powrotem na angielski.

- Przepis - powiedziała cicho Stella. - Nadal go masz?

Oboje widzieli, że *Ja'ara* zawahała się.

- Nie zdradzi pani przez to męża - rzekł Martin. - Gdy go znajdziemy o ile go znajdziemy, dopilnujemy jedynie, by uzyskała pani ów słynny *get*, aby móc dalej normalnie żyć.

- Samat jest ci to winien - zauważyła Stella.

Wzdychając i poruszając się tak, jakby przytłaczała ją grawitacja, *Ja'ara* poczłapała do wnętrza kuchennej i wyciągnęła z jednej z szafek naściennych blaszane pudełko. Przyniosła je do salonu, postawiła na składanym stole, otworzyła wieko i zaczęła przeglądać przepisy, które wyrwała w ciągu lat z „*Elle*”. Wyciągnęła przepis na szarlotkę i odwróciła go spodem ku górze. Nabazgrany był na nim numer telefonu rozpoczynający się od numeru kierunkowego czterdzieści cztery sto siedemdziesiąt jeden. Martin wyjął flamaster i przepisał numer do małego notesu.

- Gdzie to jest? - zapytała Stella.

- Czterdzieści cztery to Anglia, a sto siedemdziesiąt jeden Londyn - odparł i odwrócił się do *Ja'ary*. - Czy Samat wyjeżdżał kiedyś z Kiriat Arba?

- Raz, niekiedy dwa razy w tygodniu wyjeżdżał sam, czasem na kilka godzin, czasem na kilka dni.

- Wie pani, dokąd jeździł?

- Kiedy go raz zapytałam, odparł, że śledzenie poczynąń męża nie jest sprawą żony.

Stella spojrzała radośnie na Martina.

- Kiedyś pojechałyśmy z nim. - Uśmiechnęła się do swojej przyrodniej siostry. - Nie pamiętasz, Eleno...

- Teraz mam na imię *Ja'ara* - przypomniała jej oschle Elena.

Stella nie była urażona.

- To było wtedy, gdy przyjechałam na ślub - powiedziała podekscytowanym tonem. - O siódmej wieczorem musiałam stawić się na lotnisku Ben Guriona na lot powrotny do Nowego Jorku. Samat jechał gdzieś na lunch. Zapytał, czy chcemy z nim pojechać, tak, dla zabicia czasu; musiał

zobaczyć się z kimś na wybrzeżu i w drodze powrotnej do Kiriat Arba mógłby mnie wysadzić na lotnisku.

- Pamiętam - powiedziała Ja'ara. - Zrobiliśmy kanapki z mortadela, zapakowałyśmy je do papierowej torebki i zabrałyśmy plastikową butelkę soku jabłkowego. - Znowu westchnęła. - To był jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu - dodała.

- Ruszył z Tel Awiwu na północ autostradą i zjechał z niej w kierunku Cezarei - wyjaśniła Martinowi Stella. - Był tam labirynt ulic, ale Samat nie wahał się ani przez chwilę, wyglądało na to, że bardzo dobrze zna okolicę. Wysadził nas na skraju wydm koło jakichś domów w kształcie piramidy. Widziałyśmy stamtąd olbrzymie kominy elektrociepłowni.

Twarz Ja'ary rozjaśniła się po raz pierwszy w obecności Martina; uśmiech sprawił, że wyglądała niemal ładnie.

- Na głowie miałam ogromny słomkowy kapelusz, żeby ochronić twarz przed słońcem - wspomniała. - Zjadłyśmy kanapki w cieniu eukaliptusa, a potem szukałyśmy w piasku rzymskich monet.

- A co w tym czasie robił Samat?

Dziewczyny spojrzały po sobie.

- Nie powiedział nam. O wpół do szóstej zabrał nas spod piramidowców i wysadził mnie na lotnisku o szóstej czterdzieści.

- Aha - rzekł Martin, marszcząc brwi, i zaczął zestawiać pierwsze niewyraźne kawałki układanki.

\* \* \*

Martin wyjął z kieszeni małe notes (prowadzony zgodnie z zasadami szpiegowskiego rzemiosła: wszystkie osoby figurowały w nim pod pseudonimami, a numery telefonów były zapisane prostym szyfrem) i posługując się kartą AT&T, zadzwonił do restauracji „Xing's Mandarin” (wymienionej w notesie jako „Glutaminian”) pod salą bilardową przy Albany Avenue na Crown Heights. Biorąc pod uwagę różnicę czasu, Tsou zapewne nadzorował teraz pracę z wysokiego stołka za kasą, spoglądając spode łba na kelnerkę, która zastąpiła Minh, ilekroć nie udało jej się wcisnąć klientom droższych dań z jadłospisu. „Kaczka po pekińsku wisząca w witlinie przez dwa dni - poinformował kiedyś Minh z maską powagi na twarzy, odsłaniając lśniące od śliny zęby (co Minh z satysfakcją opisała Martinowi) - to aflodyzjak, dołły na elekcje”.

- „Xing's Mandalyn” - oznajmił piskliwy głos, tak wyraźny, że mógłby dochodzić z sąsiedniego pokoju, gdy jego właściciel podniósł słuchawkę

telefonu po drugiej stronie linii. - Błak wolnych miejsc w porze lunchu, tak samo dziś wieczorem. Żadnych wolnych stolików do lunchu w niedzielę.

- Nie rozłączaj się! - krzyknął Martin do telefonu. - Tsou, to ja, Martin.

- *fin shi*, skąd dzwonisz?

Martin wiedział, że Fred będzie śledziła jego wędrówkę za pośrednictwem Ashera oraz izraelskiego Szabaku, pomyślał więc, że nie zdradzi żadnej tajemnicy, jeżeli powie prawdę.

- Jestem w Izraelu.

- Izłaelu, żydowskim kłólestwie Izłaela, czy w „Izłaelu”, żydowskich delikatesach przy Kingston Avenue? - Tsou nie czekał na odpowiedź. - Wiesz już o Minh, co?

- Właśnie dlatego dzwonię. Powiedz mi, co się stało, Tsou.

Opowieść Chińczyka popłynęła wartkim strumieniem.

- Idzie spławdzić ule, jak płosiłeś. Nie właca. Klienci zaczynają się nieciepliwić. Nie widać jedzenia. Wychodzę na zaplecze i wołam za nią. Ona nie odpowiada. Wchodzę po schodach pozałowych, znajduję ją leżącą na plecach, niełuchomo, nieprzytomną, wściekle pszczoły żądłą ją śmiektelnie. Odłazające. Chce mi się od tego rzygać. Dzwonię na policję z telefonu na poddaszu, Małtin, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, wpuszczam ich na poddasze, gdy dzwonią do drzwi, oni wkładają maski i przeganiają pszczoły za pomocą puszek „łaida” znalezione pod zlewem, odwożą Minh, z twarzą łozdętą jak piłka do kosza, kałetką. Jest małtwa, zanim kałetka docięła do szpitala, Małtin. Smieć Minh tławia na długą stonę „Daily News” z wielkim tytułem *Śmiećcionośne pszczoły zabijają kobietę z Cłown Heights*.

- Co powiedziała policja?

- Dwóch śledczych przychodzi na lunch następnego dnia, sukinsyny wychodzą, nie płacąc łachunku, macham im nim przed nosem, ale nie łozumieją aluzji. Pytają o ciebie i mówię im, co wiem, czyli nic. Mówią, że

ASPCA <sup>[5]</sup> przyszło zabić pszczoły. Mówią, że ul eksplodował, co właśnie spłowokowało łozwścieczone pszczoły do ataku na Minh. Że miód może sam eksplodować to dla mnie nowość.

Przez okno Martin widział na niebie pomarańczowe smugi zachodu słońca oraz rabina zbierającego grupę osadników na przechadzkę drogą do Hebronu i Groty Makpela.

- Dla mnie też - rzekł bardzo cicho.

- Co mówisz? - zawołał Tsou.

- Powiedziałem, że normalnie miód nie eksploduje.

- Ha. Więc. Śledczy, oni twierdzą, że Minh nie miała nawet tak na imię, ona nielegalna imigrantka z Tajwanu imieniem Czun-cziao. Obloty włosy, gdy „Daily News” wydłukowała nazwę „Xing's Mandala” na długiej słonie, chociaż zamiast Xing napisali „Zing”. Przyznaję, cała spława zostawia niesmak. Bałdzo przygnębiające.

Martin zakładał, że Tsou mówi o śmierci Minh.

- Owszem, bardzo - przyznał.

Jednak Tsou zdawał się bardziej zatroskany fałszywą tożsamością Minh niż jej śmiercią.

- Dzisiaj nie można już nikomu wierzyć, co, *jin shi*? Minh nie Minh. Może ty nie Małtin.

- Może „Daily News” miały rację - zauważył Martin. - Może naprawdę masz na imię Tsou Zing przez „Z”.

- Może - zgodził się Tsou ze zgorzkniałym śmiechem. - Kto może powiedzieć?

\* \* \*

Grupa około trzydziestu ultraortodoksyjnych osadników - mężczyźni paradujący w *cicit* i haftowanych jarmułkach, kobiety w spódnicach do kostek, bluzkach z długim rękawem, chustkach na głowie - szła wolno, z rabinem Ben Zionem i Martinem na czele oraz siostrami Kastner zamykającymi pochód, drogą w kierunku Groty Makpela, by powitać szabat w tym świętym miejscu, gdzie rzekomo pochowano patriarchę Abrahama. Dwóch policjantów w niebieskich mundurach i niebieskich czapkach baseballowych oraz sześciu młodszych osadników z karabinami lub pistoletami uzi na ramieniu szło z obu stron grupy.

Słońce zniknęło za wzgórzami i ciemność zaczęła stopniowo wypierać zmierzch spomiędzy budynków. Ponury półmrok przyprawił Martina o odruchowy rozstrój żołądka. Agenci, którzy działali w terenie, lubili światło dzienne, ponieważ widzieli w nim nadciągające niebezpieczeństwo, oraz noc, ponieważ mogli się wtedy przed nim ukryć; półcień nie miał żadnej z tych zalet. Masywna, przypominająca twierdzę konstrukcja wzniesiona ponad świętą grota majaczyła przed nimi niczym statek dryfujący we mgle.

- Co tutejsi Palestyńczycy myślą o waszych pielgrzymkach do sanktuarium? - zapytał Martin rabina, przez cały czas szukając wzrokiem między palestyńskimi domami z prawej strony charakterystycznych oznak ludzkiej aktywności. Zdenerwował się, gdy odłamek światła odbił się

rykoszetem od dachu; gdy oczy Martina przystosowały się do półmroku, zdał sobie sprawę, że to tylko resztkę światła słonecznego błyskająca w taflach baterii słonecznych na szczycie trzypiętrowego budynku.

- Palestyńczycy - odparł rabin, machając ręką w stronę okolicznych domów - twierdzą, że wchodzimy im w paradę.

- A nie wchodzicie?

Rabin wzruszył ramionami.

- Niech pan posłucha. To nie jest tak, że zachowujemy się niedorzecznie. Ci z nas, którzy wierzą, że Pan Bóg dał tę ziemię Abrahamowi i jego potomkom na zawsze, chętnie pozwolą Palestyńczykom tu zostać, o ile tylko ci pogodzą się z tym, że to nasza ziemia.

- A inni?

- Mogą wyemigrować.

- No cóż, to nie pozostawia im ani wam, jeśli już o to chodzi, dużego pola manewru.

- Łatwo przyjeżdżać tu i krytykować, panie Odum, a potem odlatywać z powrotem do bezpiecznych krajów, miast i domów...

- Mój dom - zauważył Martin - okazuje się mniej bezpieczny, niż myślałem. - Zanotował sobie w myślach, że ma zdobyć więcej szczegółowych informacji na temat śmierci ojca Stelli. Był ciekaw, czy przeprowadzono sekcję zwłok.

- Mówi pan o przestępczości na ulicach. To betka w porównaniu z tym, co musimy znieść tutaj.

- Mówiłem o eksplodującym miodzie...

- Proszę powtórzyć, chyba czegoś nie rozumiem.

- Tak sobie tylko żartuję.

Przyglądając się strefom potencjalnego zagrożenia, Martin spostrzegł ponad grupą pielgrzymów błysk w uliczce między dwoma palestyńskimi domami z prawej strony. Nagle buchnęły płomienie i płonąca opona zaczęła się toczyć ze wzgórza w ich stronę w kłębach czarnego dymu. Gdy osadnicy rozproszyli się, by zejść jej z drogi, rozległo się krótkie głucho kasznięcie karabinu i na drodze tuż przed Martinem wyrósł słup kurzu. Zdziały dawne odruchy - Martin w jednej chwili zrozumiał, co się dzieje. Opona miała odwrócić uwagę; strzał padł z drugiej strony drogi, przypuszczalnie ze szczytu zbiornika z cementem, usytuowanego w odległości stu kilkudziesięciu metrów na małym wzniesieniu. Policjanci i osadnicy zareagowali odruchowo i pędzili pod górę w stronę uliczki, z której stoczyła

się opona. Jeden z policjantów krzyczał coś do krótkofalówki. W Kiriat Arba jęklonie ożyła syrena, której wycie niosło się coraz wyższym tonem po okolicy

- Strzały padają z tyłu! - krzyknął Martin i skrył się za niskim kamiennym murem, gdy druga kula drasnęła ziemię o metr od miejsca, w którym dotąd stał. Kuląc się za murkiem i rozmasowując mięśnie w chromej nodze, widział, jak Stella oraz jej siostra, z podciągniętą spódnicą, wracają biegiem pod górę w stronę osiedla, które jarzyło się blaskiem szperaczy omiatających teren. Kilka chwil później z pobliskiej bazy wojskowej nadjechały z rykiem dwa izraelskie dżipy oraz ciężarówka skrzyniowa pełna żołnierzy. Wyskoczywszy ze swoich pojazdów, nisko pochyleni żołnierze przypuścili szturm na zbocza po obu stronach drogi. Zza zbiornika doleciał trzask karabinów maszynowych, z których strzelano krótkimi seriami. Martin podejrzewał, że palestyński snajper - zakładając, że był Palestyńczykiem - zniknął, a żołnierze strzelali do cieni.

Otrzepując odświętny garnitur z ziemi, rabin podszedł do Martina.

- Jest pan cały i zdrowy? - zapytał zdyszczonym głosem.

Martin potwierdził skinieniem głowy.

- Strzelano niepokojąco blisko - rzekł Ben Zion. Pierś falowała mu z podniecenia. - Gdybym nie wiedział, pomyślałbym, że strzelali do pana, panie Odum.

- Czemuż mieliby to robić? - zapytał niewinnym tonem Martin. - Nawet nie jestem Żydem. Jestem tylko gościem, który wkrótce wróci do swojego bezpiecznego kraju, miasta i domu.



## **1997: Martin Odum poznaje nowo nawróconego oportunistę**

Benny Sapir słuchał uważnie relacji Martina z incydentu w Hebronie. Gdy w końcu przerwał milczenie, uczynił to, żeby zadać pytania, które mogły przyjść do głowy wyłącznie profesjonalistom.

- Skąd twoja pewność, że to nie jakieś chcące się wyładować arabskie dzieciaki? Takie rzeczy zdarzają się w tym rejonie przez cały czas.

- Stąd, że próbowano odwrócić moją uwagę. Atak był zsynchronizowany. Opona pojawiła się najpierw. Wszyscy spojrzeli w prawo. Dwaj policjanci oraz uzbrojeni osadnicy popędzili pod górę w tym kierunku. Właśnie wtedy padł pierwszy strzał. Z lewej strony.

- Ile razy strzelano?

- Dwa.

- I obydwie kule trafiły koło ciebie?

- Karabin strzelca musiał znosić w lewo. Pierwszy strzał trafił mniej więcej metr przede mną, co oznacza, że snajper strzelał za krótko i za bardzo w lewo. Zapewne skorygował ustawienie celownika i podniósł nieco lufę. Drugi strzał był celny - trafił za miejsce, w którym stałem, co oznacza, że kula trafiłaby mnie w pierś, gdybym nie skoczył za murek.

- Czemu nie strzelił ponownie?

- Właśnie dlatego sądzę, że strzelał do mnie. Gdy zniknąłem z pola widzenia, na ziemi wciąż kuliło się lub leżało kilkunastu osadników. Osiedlowe szperacze omiatały teren, więc snajper dobrze ich widział. Gdyby strzelał po to, żeby zabić Żydów, miał do dyspozycji całą masę celów.

- Może spłoszyły go światła i syrena?

- Spłoszyli go żołnierze, ale to stało się dopiero pięć, może osiem minut później.

- *Beseda*, w porządku. Dlaczego więc ktoś miałby cię zabijać, Dante?

- Emerytura nie stępiła w tobie ostrości spojrzenia. Zadajesz właściwe pytania we właściwym porządku. Gdy tylko dojdziemy do tego „dlaczego”, przystąpimy do odpowiedzi na pytanie „kto”.

Wracając z Kiri'at Arba do Jerozolimy (Stella została z siostrą), Martin dzielnie wytrzymał obrzydliwy smród w budce telefonicznej i poprosił w

informacji o numer telefonu Benny'ego Sapira. Otrzymał pięć numerów figurujących pod tym imieniem i nazwiskiem. Drugi z kolei, na osiedlu położonym trzynaście kilometrów od Jerozolimy, okazał się numerem Benny'ego Sapira, który instruował Dantego Pippena w Waszyngtonie przed misją w dolinie Bekaa osiem lat wcześniej; Benny, na co dzień czołowy specjalista Mosadu od spraw Rosji, zastępował wówczas kolegę przebywającego na zwolnieniu lekarskim. Gdy Benny, który w ubiegłym roku przeszedł na emeryturę, odezwał się na linii, sprawiał wrażenie zdyszanego. Natychmiast rozpoznał głos w słuchawce.

- Im bardziej się starzeję, tym trudniej zachować w pamięci twarze i nazwiska, ale głosów nie zapominam - odparł. - Prawdę mówiąc, Dante, nigdy nie przypuszczałem, że nasze drogi znowu się zejdą. - Zanim Martin zdążył coś powiedzieć, Benny zaproponował, że za pół godziny zabierze go sprzed restauracji „Rashamu” poniżej żydowskiego suku przy Ha Eshkol Street.

Dokładnie o czasie nowiuteńka skoda zatrzymała się przed restauracją i kierowca, muskularny mężczyzna o sylwetce zapaśnika, zatrąbił dwa razy. Odkąd Martin widział go po raz ostatni osiem lat temu, jak stał w nogach jego szpitalnego łóżka w Hajfie, włosy Benny'ego posiwiały, a jego słynny niegdyś uśmiech stał się melancholijny.

- Sporo wody upłynęło od naszego ostatniego spotkania, Dante - rzekł Benny, gdy Martin usiadł w fotelu obok.

- Jesteś pewien, że to nie była krew? - odpalił Martin i obaj roześmiali się z tej mało zabawnej wymiany zdań. Na skrzyżowaniu przed nimi dwaj izraelscy żołnierze etiopskiego pochodzenia przeszukiwali arabskiego chłopca niosącego tacę zastawioną małymi porcelanowymi filiżankami kawy po turecku.

- Więc obecnie funkcjonujesz jako Martin Odum - zauważył Benny włączając się do ruchu i wyjeżdżając z Jerozolimy w kierunku Tel Awiwu. Dawny szef siatki szpiegowskiej zerknął pośpiesznie na Amerykanina. - Przykro mi, Dante, ale musiałem skontaktować się z Szabakiem.

- Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

Było wyraźnie widać, że Benny ma wyrzuty sumienia.

- Chodzi o chronienie skrzydeł - wymamrotał, przeprasząc po raz drugi.

- Ludzie, którzy obecnie rządzą, to nowa rasa, wejdź im w drogę, a czeki z emeryturą zaczną przychodzić z opóźnieniem.

- Rozumiem.

- Uważaj na to, co mi mówisz - ostrzegł Benny. - Chcą, żebym dostarczył im raport z naszego spotkania. Nie są całkowicie pewni, co tu robisz.

- Ja też nie jestem tego całkowicie pewien - przyznał Martin. - Dokąd jedziemy?

- Do Har Addar. Tam mieszkam. Zapraszam cię na kolację niespodziankę. Możesz przenocować, jeżeli potrzebujesz lokum. Czy Martin Odum ma jakąś legendę?

- Jestem prywatnym detektywem posiadającym biuro w części Brooklynu zwanej Crown Heights.

Benny z uznaniem pokiwał głową.

- Czemu nie. Detektyw to przykrywka równie dobra jak inne i lepsza od większości z nich. W swoim życiu korzystałem z rozmaitych legend. Moją ulubioną, w czasie gdy prowadziłem agentów w kraju, który kiedyś nazywano Związkiem Sowieckim, był zawieszony w kapłańskich obowiązkach angielski ksiądz, żyjący w grzechu w Stambule. Zabawne było odgrywanie grzesznika. Żeby uwiarygodnić moją przykrywkę, musiałem praktycznie nauczyć się ewangelii na pamięć. Nigdy nie doszedłem do siebie po traumie lektury św. Jana. Jeżeli szuka się korzeni chrześcijańskiego antysemityzmu, wystarczy przeczytać Ewangelię według św. Jana, która, nawiasem mówiąc, nie została napisana przez ucznia Chrystusa, imieniem Jan. Ktokolwiek napisał ów tekst, podszył się pod niego. Myślę teraz, że można by udowodnić, że to przykład wczesnochrześcijańskiej legendy

Benny skręcił z szosy do Tel Awiwu i jechał krętą drogą wśród wzgórz na zachód od Jerozolimy w kierunku Har Addar, gdy Martin zapytał, czy agenci, których prowadził w dawnym ZSRR, byli Żydami.

- Niektórzy byli, większość nie - odparł Benny, zerkając na towarzysza podróży.

- Co ich skłaniało do pracy dla Izraela?

- Nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że pracują dla Izraela. Gdy sądziliśmy, że to poskutkuje, występowaliśmy w zmienionych barwach. Co ich skłaniało do współpracy? Pieniądze. Złość za doznane osobiste zniewagi, prawdziwe lub wymaginowane. Nuda.

- Nie ideologia?

- Pewnie byli ludzie, którzy przechodzili na drugą stronę z powodów ideologicznych, ale ja osobiście nigdy na takiego nie trafiłem. Tym, co ich wszystkich łączyło, było pragnienie, by traktowano ich jak ludzi, a nie tryby w maszynie, i byli gotowi narażać życie dla prowadzącego, który to rozumiał.

Najbardziej niezwykłą rzeczą w Związku Sowieckim stanowiło to, że nikt, dosłownie nikt, nie wierzył w komunizm. Co znaczyło, że zwerbowany Rosjanin był materiałem na doskonałego szpiega z tego prostego powodu, że został wychowany w społeczeństwie, w którym wszyscy, od członków Biura Politycznego aż po przewodników Inturistu, udawali, aby przetrwać. Gdy Rosjanin zgadzał się szpiegować dla ciebie, już był nauczony, w bardzo konkretnym znaczeniu, prowadzić podwójne życie.

- Masz na myśli potrójne życie, prawda? Pierwsze, w którym pozornie podporządkowuje się ustrojowi sowieckiemu. Drugie, w którym gardzi tym ustrojem i chodzi na skróty, żeby zdystansować innych. I trzecie, w którym zdradza ustrój i szpieguje dla ciebie.

- To rzeczywiście potrójne życie. - Benny zadumał się. - Jest ono, gdy się nad tym zastanowić, rzeczą normalną, bo przecież wszyscy mężczyźni oraz pewne kobiety żyją ze zbiorem legend, zacierających się na styku z innymi. Niektóre z tych tożsamości zanikają z upływem lat, inne, o dziwo, nabierają wyrazistości i wcielamy się w nie na dłużej. Ale to już inna historia.

- Wyobraź sobie, że to nie jest inna historia... Czy Benny Sapir jest tylko ostatnią z twoich legend, czy też tą, którą obdarzyli cię rodzice?

Zamiast odpowiedzieć, Benny wciągnął nosem powietrze, które, w miarę jak samochód piął się do góry, robiło się coraz chłodniejsze. Martin pluł sobie w brodę, że zadał to pytanie.

Pojął to, co zawodowi śledczy uważali za rzecz oczywistą: że ilekroć pytasz, ujawniasz to, czego nie wiesz. Jeżeli nie będziesz ostrożny, przesłuchiwana osoba może w końcu dowiedzieć się o tobie więcej, niż ty dowiedziałeś się o niej.

Izraelczyk subtelnie zmienił temat.

- Czy noga ci dokucza?

- Przywykłem do bólu.

Na ustach Benny'ego, wyglądających tak, jakby był bokserem, który stoczył o jedną walkę za dużo, pojawił się grymas.

- Tak, ból przypomina brzęczenie w uchu, jest czymś, z czym uczymy się żyć.

Gdy Benny wrzucił dwójkę i skręcił w wąską, stromo pnącą się drogę, rozmowa towarzyska ustąpiła przyjemnej ciszy, panującej między dwoma weteranami, którzy nie muszą sobie niczego udowadniać. Benny miał włączone radio i nastawił je teraz na stację z muzyką klasyczną. Nagle program audycji przerwano i Benny sięgnął ręką, by dać głośniej. Spiker

przekazał wiadomości. Gdy muzyka powróciła na antenę, Benny ściszył radio.

- Był kolejny *picju'a* - poinformował Martina. - To atak terrorystyczny. Hezbollah urządził zasadzkę na patrol wojskowy w korytarzu bezpieczeństwa, który zajmujemy wzdłuż granicy libańskiej. Dwaj nasi chłopcy zginęli, dwaj odnieśli rany. - Pokręcił z odrazą głową. - Hezbollah popełnia błąd, sądząc, że my wszyscy spędzamy czas w nocnych klubach lub zgarniamy miliony w naszej Dolinie Krzemowej, że dobrobyt pozbawił nas woli walki, że obrośliśmy w tłuszcz i nie chcemy umierać za nasz kraj. Pewnego dnia będziemy musieli wyprowadzić ich z tego błędu...

Ten wybuch zaskoczył Martina. Nie wiedząc, jak zareagować, mruknął:

- Yhm.

Po dwudziestu pięciu minutach podróży Benny wjechał na coś, co wyglądało na osiedle mieszkaniowe dla bogaczy, pełne drogich dwupiętrowych domów odsuniętych od ulicy.

- Znajdujemy się kilometr od granicy Zachodniego Brzegu - zauważył, ostrożnie podjeżdżając do krawężnika przed domem z panoramiczną werandą. Martin podążył za nim przez metalową furtkę i wzdłuż werandy na tyły domu, gdzie Benny pokazał w oddali nisko zawieszony chmury skąpane w szafranowym świetle.

- Te oświetlone chmury na horyzoncie unoszą się nad Jerozolimą - powiedział. - Piękny widok, co?

- Nie - odpalił Martin; słowo to wymknęło mu się z ust, zanim zrozumiał, co ma zamiar powiedzieć. Gdy Benny spojrzał nań pośpiesznie, dodał: - Budzi we mnie niepokój.

- Co budzi w tobie niepokój? Miasta za horyzontem? Chmury nasycone światłem? To, że mieszkam po palestyńskiej stronie granicy z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku?

- Wszystko, o czym wspomniałeś.

Benny wzruszył ramionami.

- Zbudowałem ten dom w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, gdy założono Har Addar - wyjaśnił. - Nikt z nas, którzy tu zamieszkaliśmy, nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek zwrócimy te ziemie Palestyńczykom.

- Mieszkanie po niewłaściwej stronie granicy terytoriów okupowanych musi być dla ciebie czymś żenującym.

Benny wstukał szyfr na maleńkiej, osadzonej w ścianie klawiaturze, żeby wyłączyć alarm.

- Kiedy, jeżeli w ogóle, zgodzimy się na utworzenie państwa palestyńskiego - powiedział - będziemy musieli wytyczyć granicę z uwzględnieniem izraelskich wspólnot takich jak ta. - Otworzył drzwi i wszedł do domu. W chwili gdy przekroczył próg, zapaliły się wszystkie światła. - Nowoczesne gadżety - wyjaśnił ze śmiechem. - Alarm i zautomatyzowane światła stanowią dodatkowe świadczenia, zapewnia się je wszystkim wyższym funkcjonariuszom Mosadu.

Benny postawił na niskim szklanym stoliku butelkę importowanej whiskey i dwie szklanki z grubego szkła, wraz z plastikową miseczką wypełnioną kostkami lodu oraz drugą z preclami. Obaj przysunęli krzesła i nalali sobie po kielichu. Martin wyciągnął bidi z puszki. Benny podał mu ogień.

- Za ciebie i twoich bliskich - rzekł Martin, wydmuchując dym i wyciągając rękę, by stuknąć się szklankami z Izraelczykiem.

- Za legendy - odpalił Benny. - Za dzień, w którym trafiają do demobilu.

- Za to wypiję - oświadczył Martin.

Rozejrzał się po pokoju, ogarniając wzrokiem oprawione w ramy reprodukcje obrazów Hockneya nad kanapą, mosiężną menorę na kredensie, trzy powiększone fotografie - każda w czarnej obwódce - trzech młodych mężczyzn w mundurach wojskowych na ścianie nad kominkiem. Benny zauważył, że Martin zwrócił uwagę na zdjęcia.

- Dwójka z lewej to przyjaciele z dzieciństwa. Obaj zginęli w walce na wzgórzach Golan, jeden w sześćdziesiątym siódmym, drugi w siedemdziesiątym trzecim. Ten po prawej to nasz syn, Daniel. Zginął w zasadzce w Libanie półtora roku temu. Bomba na poboczu, ukryta w ciele zdechłego psa, wybuchła, gdy obok przejeżdżał jego džip. Matka Daniela... moja żona, zmarła ze zgrzyoty pięć miesięcy później.

Teraz Martin poznał źródło bólu, z którym Benny nauczył się żyć, i zrozumiał, dlaczego zrobił się melancholijny.

- Przykro mi - rzekł. Tylko te słowa przyszły mu na myśl.

- Mnie również jest przykro. - Tylko tak mógł z całym spokojem odpowiedzieć Benny.

Obaj skupili uwagę na zawartości swoich szklanek. W końcu Benny przerwał milczenie.

- Cóż więc sprowadza cię do Ziemi Świętej, Dante?

- Byłeś ekspertem Mosadu w sprawach Rosji. Kim, u licha, jest Samat Ugor-Żyłow?

- Czemu się nim interesujesz?

- Uciekł z Kiriati Arba, nie dając żonie rozwodu. Ona jest pobożną żydówką. Bez rozwodu nie może ponownie wyjść za mąż. Jej siostra, która mieszka w Brooklynie, wynajęła mnie, bym znalazł Samata i skłonił go do rozwodu.

- Żeby wiedzieć, kim jest Samat, musisz zrozumieć, skąd pochodził. - Benny nalał sobie jeszcze jedną porcję whiskey. - Jak dużo wiesz o rozpadzie Związku Sowieckiego?

- To, co wyczytałem w gazetach.

- To początek. ZSRR, który znaliśmy i którego nienawidziliśmy, upadł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym. W następnych latach ten kraj stał się czymś, co ja nazywam kleptokracją. Do jego instytucji politycznych i gospodarczych przeniknęły zorganizowane grupy przestępcze. Żeby rozgryźć to, co się stało, musisz zrozumieć, że właśnie rosyjscy przestępcy, nie zaś rosyjscy politycy, rozebrali komunistyczną nadbudowę dawnego Związku Sowieckiego. I nie łudź się, że rosyjscy przestępcy z kimkolwiek się patyczkowali. We wczesnych fazach rozpadu, gdy niemal wszystko było do wzięcia, włoska mafia zaczęła tam węszyć, by zobaczyć, czy da radę się załapać. Będziesz miał lepsze pojęcie o rosyjskiej mafii, wiedząc, że Włosi rozejrzeli się w sytuacji i wrócili do domu; dla nich Rosjanie byli po prostu zbyt bezlitośni.

Martin gwizdnął cicho.

- Trudno uwierzyć, by ktoś mógł być bardziej bezlitosny niż Cosa Nostra.

- Gdy Związek Sowiecki upadł - ciągnął Benny - pojawiły się tysiące gangów. Początkowo robiły zwykłe przewały, proponowały normalną ochronę...

- Którą Rosjanie nazywają dachem.

- Widzę, że się przygotowałeś. Po rosyjsku dach to *krysha*. Gdy dwa gangi proponowały swoim klientom *kryszę*, w razie sporów między klientami to one walczyły ze sobą zamiast nich. Na początku lat dziewięćdziesiątych wojny gangów przeniosły się na ulice miasta. Ten okres określany jest mianem wielkich moskiewskich wojen mafijnych. W samym tylko dziewięćdziesiątym trzecim roku dokonano około trzydziestu tysięcy morderstw. Kolejne trzydzieści tysięcy osób po prostu zniknęło. Co sprytniejsi gangsterzy nabywali udziały w legalnych firmach; rosyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oszacowało kiedyś, że połowa wszystkich prywatnych firm oraz przedsiębiorstw państwowych i niemal

wszystkie banki w kraju mają powiązania z przestępczością zorganizowaną. Niesławny Cwietan Ugor-Żyłow, nazywany Oligarchą, odkad pojawił się na okładce „Time'a”, zaczynał jako drobny oszust. Nie zdołał wykaraskać się za pomocą łapówki z jakichś szczególnie nieprzyjemnych tarapatów i wylądował na osiem lat w gułagu. Gdy w końcu wrócił do ojczystej Armenii, na scenie politycznej brylował Gorbaczow, a Związek Sowiecki rozłaził się w szwach. Kierując swoimi ludźmi z ciasnego mieszkania komunalnego w Erewanie, stolicy Armenii, Ugor-Żyłow zaczął proponować *kryszę*. Niebawem kierował własnym bankiem, a chronionym przezeń klientom pomagano zrozumieć, że rozsądek nakazuje korzystać z jego usług. W pewnym momencie Oligarcha rozszerzył działalność i nabył udziały w firmie handlującej używanymi autami w Erewanie. Ale rola grubej ryby w akwariu go nie zadowalała, więc postawił sobie za cel zdobycie Moskwy. Przeniósł się do stolicy i w ciągu kilku miesięcy został ważną figurą moskiewskiego handlu samochodami używanymi.

- O tym, jak zmonopolizował ten rynek w Moskwie, słyszałem. Wykupił swoich konkurentów. Ci, którzy nie chcieli do tego dopuścić, lądowali w rzece Moskwie z betonowymi kamaszami na nogach.

- Branża handlu samochodami używanymi to tylko wierzchołek góry lodowej. Słuchaj, Dante, kiedyś narażałeś swoje życie dla Izraela i zamierzam odwzajemnić tę przysługę. O tym, co za chwilę ci powiem, mało kto wie. Nie wiedział o tym nawet Szósty Zarząd Główny KGB, który miał mieć Oligarchę na oku. Dla Cwietana Ugor-Żyłowa salony sprzedaży używanych samochodów były zaledwie odskocznią do większych i lepszych interesów. Tak się składa, że Rosja jest drugim producentem aluminium na świecie. Gdy ustrój sowiecki upadł, Ugor-Żyłow rozszerzył działalność na branżę aluminiową. Jakoś zgromadził kapitał początkowy - mówią o miliardowych sumach; jego salony przynosiły dochody, ale nie aż takie, i po dziś dzień jest tajemnicą, skąd zdobył tę forszę - i wykorzystał go do zawarcia lukratywnych transakcji z hutami. Dokonał tego wszystkiego poprzez holding, w którym był cichym współnikiem. Kupił trzysta wagonów towarowych i zbudował na Syberii nabrzeże portowe do rozładowywania korundu, który jest zasadniczym składnikiem aluminium. Sprowadzał boksyt bez podatku z Australii, przetwarzał go w hutach na aluminium i eksportował bez podatku za granicę. Jego dochody gwałtownie wzrosły. Na Zachodzie aluminium przynosiło pięć dolarów zysku z tony, a w Rosji dwieście dolarów zysku z tony jego eksporterem. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych,



gdy podczas próby zaprowadzenia w Rosji gospodarki rynkowej przetoczyła się przez republiki sowieckie Jelcynowska prywatyzacja, Oligarcha nadzorował ukryte imperium, którego podstawę stanowiły ogromne zyski z handlu aluminium. Holding rozszerzył działalność na handel innymi surowcami, stalą, chromem, węglem, i w końcu kupował udziały w setkach fabryk i firm. Ugor-Żyłow tworzył banki do obsługi swojego imperium i prania zysków za granicą. Naturalnie stale smarował łapy ludziom na wysokich stanowiskach. W pewnym momencie zaczęły krążyć pogłoski, że kupił przychylność samego Jelcyna, ale nigdy nie udało nam się tego ustalić.

- Czy ludzie z sekcji sowieckiej CIA o tym wiedzieli?

- To my mieliśmy ludzi w Moskwie. Dzieliliśmy się z nimi wystarczająco dużą częścią łupu, by ich przekonać, że dzielimy się całym.

Zadzwoił telefon. Benny przytknął słuchawkę do ucha i słuchał, po czym powiedział:

- Prawdę mówiąc, jest... Robi to, co robił w Kiriat Arba, stara się wpaść na trop Samata Ugor-Żyłowa, żeby jego żona mogła uzyskać rozwód... Właściwie to mu wierzę, owszem. Nie zapominajmy, że Dante Pippen jest jednym z bohaterów pozytywnych... *Szalom, szalom.*

Gdy Benny odłożył słuchawkę, Martin rzekł:

- Dzięki za wsparcie.

- Gdybym tak nie uważał, nie siedziałbyś tutaj. O czym to ja mówiłem? Już wiem. Pewna liczba rosyjskich mafiosów to Żydzi. Gdy w dziewięćdziesiątym trzecim w Moskwie wybuchły wojny gangów, Izrael stał się dla części z nich bezpiecznym schronieniem. Tutaj byli z dala od moskiewskiego zamętu. Na mocy prawa do powrotu do Izraela przyjechali nawet gangsterzy, którzy nie byli Żydami. Spreparowali nowe dokumenty, twierdząc, że ich matki lub babki były Żydówkami, i dostali się tutaj wraz z siedmiuset pięćdziesięcioma tysiącami rosyjskich Żydów, którzy przybyli do Izraela w latach dziewięćdziesiątych. Jako imigranci gangsterzy mogli wwozić duże sumy pieniędzy, niepytani o źródło ich pochodzenia. Gdy nasz Szabak w końcu zorientował się, czym to grozi, założyliśmy podsłuch w ich telefonach, przeniknęliśmy do ich otoczenia, cały czas szukając dowodów, że Rosjanie angażują się w działalność przestępczą w Izraelu. Ale oni dbali o to, by nie zwracać na siebie uwagi. Jak to mówią: nie kalali własnego gniazda. Żartowaliśmy, że nawet przez skrzyżowanie nie przejadą na żółtym świetle. Wykorzystując izraelskie banki jako kanały przerzutowe, kontynuowali swoją nielegalną działalność, ale czynili to zawsze za granicą. Przemycali

koncentrat rudy uranu z Nigerii i sprzedawali temu, kto zaoferował najwyższą cenę. Nabyli udziały w branży diamentowej, szmuglując nieoszlifowane kamienie z Rosji do Amsterdamu. Mogli załatwić łódź podwodną w idealnym stanie, z napędem spalinowym, za cenę zaledwie pięciu i pół miliona dolarów, nie licząc załogi złożonej z marynarzy Floty Bałtyckiej do jej obsługi - tego cena nie obejmowała. Sprzedawali sowieckie czołgi z demobilu z amunicją lub bez, dżipy, pojazdy półgąsienicowe, mosty przenośne do forsowania rzek, pociski przeciwlotnicze, radary wszelkich rozmiarów i kształtu. Płatności musiały być regulowane w dolarach amerykańskich lub frankach szwajcarskich deponowanych na kontach numerycznych w Genewie, dostawę gwarantowano w ciągu trzydziestu dni od otrzymania pieniędzy. Wszystkie umowy zawierano z filiami w Liechtensteinie.

- Czemu akurat tam?

Benny obnażył zęby w uśmiechu.

- Ściśle przestrzega się tam tajemnicy bankowej.

- Aha.

- Brat Oligarchy był jednym z tych, którzy wyemigrowali do Izraela. Nazywa się Akim Ugor-Żyłow. Pewnego pięknego dnia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku pojawił się na lotnisku Ben Guriona w towarzystwie żony i trójki małych dzieci, twierdząc, że ma babcię Żydówkę, a w każdym razie nawrócił się na judaizm; naturalnie na potwierdzenie tego wszystkiego miał pisemne zaświadczenia. Nad okiem ma wyraźną bliznę. Twierdzi, że został ranny w Afganistanie, choć nie ma żadnych dowodów, że kiedykolwiek służył w armii sowieckiej. Zainstalował się w pilnie strzeżonej willi w Cezarei, otoczonej wysokim murem pod napięciem, i zatrudnił Ormian, którzy służyli w wojsku i wiedzieli, jak posługiwać się bronią. Rosyjskojęzyczni pracownicy Mosadu nazywali ich *ludmi nastrojenia* - ludźmi chimerycznymi. Akim wykrzykiwał zniewagi pod adresem pracujących dla niego Ormian, a po chwili mruczał niczym kot i przechwalał się swoją sprawnością w prowadzeniu interesów. Poza twierdzą w Cezarei miał dwupoziomowe mieszkanie na londyńskim Cadogari Place oraz dom przy Grande Comiche nad Niceą.

- Jak wiązał koniec z końcem w Izraelu?

- Przywiózł tu przez te lata około pięćdziesięciu milionów dolarów i ulokował je w obligacjach rządowych, które przynoszą sześć lub siedem procent zysku zwolnionego od podatku. Posiada również udział w kolportażu

gazet, hotel w Ejlacie oraz sześć stacji benzynowych w całej Hajfie.

- Gdzie w tym obrazie mieści się Samat?

- Akim i Cwietan Ugor-Żyłowowie są braćmi. Okazuje się, że był jeszcze trzeci brat, imieniem Zurab, lekarz, członek armeńskiej partii komunistycznej, ożeniony z Żydówką. Gdy Cwietan został skazany za wymuszanie pieniędzy od miejscowych kupców i zesłany na Syberię, jego brata Zuraba aresztowano jako wroga ludu - w ustroju sowieckim przestępców i ich krewnych zwykle spotykał ten sam los. Zurab wylądował w syberyjskim gułagu i zmarł tam na szkarlatynę.

- Co stało się z żoną Zuraba?

- Po aresztowaniu jej męża zaginął po niej wszelki ślad. Zniknęła z powierzchni ziemi. Dwaj bracia, Cwietan i Zurab, byli bardzo życzliwi, co wyjaśnia, przynajmniej po części, dlaczego Cwietan nienawidził sowieckiego ustroju: obwiniał komunistów o śmierć brata. Zurab zostawił syna imieniem Samat.

- Co czyni Samata bratankiem Oligarchy i Akima?

- Samat trafił pod skrzydła stryja Cwietana, gdy ten wrócił z Syberii; Oligarcha, który nie miał dzieci, zastąpił mu ojca. W postalinowskim Związku Sowieckim, a zwłaszcza po tym, jak na scenie pojawił się Gorbaczow, fakt, że ojciec Samata zmarł na Syberii, działał na jego korzyść. Samat został przyjęty do elitarnego Instytutu Leśnictwa, niezbyt tajnego centrum sowieckiego programu badań kosmicznych, gdzie studiował informatykę. Później uzyskał doktorat w Wyższej Szkole Ekonomicznej przy Państwowej Komisji Planowania. Jego talenty informatyczne musiały zwrócić uwagę KGB, ponieważ zanim się spostrzegł, pracował dla Szóstego Zarządu Głównego, gdzie poznał gruntownie metody prania brudnych pieniędzy i działania banków w rajach podatkowych. Gdy Oligarcha, proponujący *kryszę* przedsiębiorcom i biorący się za handel samochodami używanymi w Armenii, postanowił wejść do branży bankowej, żeby obsłużyć swoje rozrastające się imperium, zwrócił się do bratanka. Samat odszedł z KGB i otworzył dla Cwietana Ugor-Żyłowa pierwszy bank w Erewanie. I właśnie on, ciesząc się, można powiedzieć, sławą geniusza, jeśli chodziło o manipulowanie rachunkami i zacieranie śladów przepływu walut, stworzył system prania brudnych pieniędzy, w którym dziesiątki milionów dolarów wyprowadzono za granicę, a następnie ukryto w zamorskich bankach i podstawionych holdingach. Chodzą słuchy, że holdingi Oligarchy mają udziały w hiszpańskim towarzystwie ubezpieczeniowym, francuskiej sieci

hoteli, szwajcarskim konsorcjum agencji handlu nieruchomościami oraz w sieci niemieckich kin. Dzięki kuglarskim sztuczkom Samata nici łączące te rachunki były niewykrywalne - Bóg wie, że nasi ludzie próbowali. Próbowala też wasza CIA, jeśli już o to chodzi. Ów nieprzenikniony gąszcz powiązań międzybankowych rozciąga się od Francji przez Niemcy, Monako, Liechtenstein, Szwajcarię aż po Bahamy i Kajmany, nie wspominając o Vanuatu na południowym Pacyfiku, wyspie Man, Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, Panamie, Pradze, Samoa Zachodnim - podejrzewa się, że wszędzie tam prane są duże pieniądze Oligarchy. W końcu otworzył rachunki bankowe w Ameryce Północnej, gdzie sprzedawano jedną trzecią aluminium wytwarzanego przez jego imperium. Podstawione spółki, tzw. słupy, tworzyły niesamowicie skomplikowany układ. Pracując w położonej na uboczu dachy we wsi oddalonej od Moskwy o pół godziny jazdy szosą do Petersburga, Samat stale przerzucał aktywa z jednego „słupa” do drugiego. Przekazy telegraficzne między bankami (a niektóre z nich to ledwie pokój oraz komputer na jakiejś odległej wyspie) stanowią najłatwiejszy sposób przelewania dużych sum pieniędzy - miliard dolarów w banknotach studolarowych waży przecież około jedenastu ton. Mówiono również, że bankier Oligarchy nigdy niczego nie przelewał na papier; całą strukturę zamorskich holdingów stryja miał w swojej głowie.

- I właśnie dlatego wydostanie go z Rosji, gdy rozgorzała wojna gangów, stało się takie pilne - domyślił się Martin.

- Właśnie. Powiązania między Samatem a drugim z jego stryjów, Akimem, odkryliśmy dopiero wtedy, gdy jeden z naszych zespołów obserwujących willę Akima w Cezarei uchwycił ich na zdjęciu - Akim wyszedł z willi i wziął Samata w ramiona, gdy ten wysiadł ze swojej hondy. I wówczas zaczęliśmy badać tożsamość tego nowego imigranta, który zapłacił gotówką, kupując dwupoziomowy dom w Kiriat Arba.

Benny zaproponował Martinowi dolewkę, a gdy ten odmówił ruchem głowy, nalał sobie niewielką porcję i wypił ją jednym haustem. Wyglądało na to, że ta opowieść go wyczerpała.

- Żona Samata wspomniała, że kiedyś, jadąc na jakieś spotkanie, wysadził ją przy wydmach w Cezarei. Teraz wiem, z kim się tam spotkał.

Podana przez Benny'ego kolacja niespodzianka składała się z dań na zimno, które przyniósł w torbie na resztki z arabskiej restauracji w Abu Gosh, oraz butelki czerwonego wina ze wzgórz Golan. Martin, który nie jadał mięsa, zadowolili się potrawami z warzyw. Później Benny wyjął z pudełka

butelkę piętnastoletniego koniaku i ostrożnie nalał go do dwóch kieliszków.

- Gdy w zeszłym roku odchodziłem na emeryturę, urządzono jubel w biurze - wyjaśnił. - To jeden z prezentów pożegnalnych, obok idiotycznego medalu za długą i wierną służbę.

- Przez ile lat?

- Czterdzieści dwa.

- Czy Izrael mógłby przetrwać bez Mosadu?

- Oczywiście. Mieliśmy równie dużo porażek, jak sukcesów. Pokpiliśmy sprawę w siedemdziesiątym trzecim: powiedzieliśmy Goldzie Meir, że Egipcjanie będą gotowi do prowadzenia wojny najwcześniej za dziesięć lat. Kilka tygodni później przeprawili się całą chmarą przez Kanał Sueski i opanowali twierdze na linii obronnej Bar Lev ciągnącej się po izraelskiej stronie kanału.

- Co zawiodło?

- Przypuszczalnie to samo, co w połowie i końcu lat osiemdziesiątych, kiedy wasza CIA nie zdołała przewidzieć rozpadu sowieckiego imperium i upadku ustroju komunistycznego. Patrząc z zewnątrz, a właśnie to obecnie robię, widzę, że służby wywiadowcze mają fatalną skazę. Same ustalają swoje zadania, określają zagrożenia, a następnie próbują je zneutralizować. Zagrożenia, których się nie określa, przedostają się przez sito i nagle pojawiają jako prawdziwe katastrofy, a wtedy ci, którzy nie należą do środowiska wywiadowczego, zaczynają ujadać, jak to przesypiamy sprawę. Nie przesypiamy. Po prostu inaczej określamy zagrożenia.

- Powiadają, że wielbłąd to koń zaprojektowany większością głosów - rzekł Martin. - Moim zdaniem CIA jest agencją wywiadowczą zaprojektowaną w ten sam sposób.

Benny wzruszył ramionami.

- Dla mnie, Dante, to wszystko sprowadza się do tego martwego psa na poboczu drogi w Libanie, psa, który eksplodował i urwał głowę mojemu synowi. Gdybyśmy robili to, za co nam zapłacono, przewidzielibyśmy zagrożenie w postaci martwego psa nafaszerowanego PETN-em i zidentyfikowali terrorystę, który się za tym kryje. Trudno mi... trudno mi znieść tę prawdę. - Wstał ociężale. - Chyba się położę, jeśli pozwolisz. W pokoju obok łazienki na dole masz pościelone łóżko. Śpij dobrze.

- Ja nigdy dobrze nie śpiam - powiedział półgłosem Martin; jemu również trudno było znieść myśl o martwym psie, który urwał głowę synowi Benny'ego. - Budzę się w środku nocy zlany zimnym potem.

Usta Izraelczyka wykrzywiły się w brzydkim uśmiechu.

- Choroba zawodowa, na którą nie ma lekarstwa.

Nazajutrz rano Benny zawiózł Martina do Jerozolimy i wysadził go przy dworcu autobusowym.

- Odjeżdża do Tel Awiwu co dwadzieścia minut - wyjaśnił i wręczył skrawek papieru. - Telefon do Akima w Cezarei. Jest zastrzeżony. Byłbym wdzięczny, gdybyś nie mówił mu, skąd go masz. Powęszę w sprawie taśm magnetycznych operatora telefonicznego i dam ci znać, czego się dowiedziałem. Nawiasem mówiąc, Samata nie ma w Izraelu. Szabak twierdzi, że poleciał do Londynu dwa dni przedtem, zanim rabin w Kiriat Arba zgłosił jego zaginięcie.

- Dzięki, Benny.

- Proszę bardzo, Dante. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

- Rozwinąłem żagle. Dzięki tobie wiatr mi sprzyja.

\* \* \*

Z murowanej wartowni na szczycie wysokiego muru okalającego nadmorską willę Akima Ugor-Żyłowa Martin słyszał niemalże syk, z jakim tarcza słońca wcięła się w zachodnie wody Morza Śródziemnego.

- Wspaniały widok - rzekł Akim, chociaż stał odwrócony tyłem do morza, mierzając wzrokiem swojego gościa i próbując dojść do tego, czy jego trzyczęściowy garnitur został uszyty na miarę, czy kupiony w sklepie. Sina blizna w kształcie sierpa, przecinająca wysokie czoło nad prawym okiem i znikająca pod długim bokobrodem, wydawała się lśnić. - Izraelczycy sądzą, że jest pan Irlandczykiem nazwiskiem Pippen - mówił Akim, a wypowiedziane z ciężkim rosyjskim akcentem słowa wydobywały się leniwie z głębi jego gardła. - Po czym ktoś nazwiskiem Odum, widniejącym w paszporcie, którym posłużył się pan tydzień temu, by wjechać do Izraela, dzwoni do mnie z budki telefonicznej w Tel Awiwie i wprasza się do mojego domu. Nie trzeba oczywiście dodawać, że fakt, iż jakieś nazwisko figuruje w paszporcie, nic nie znaczy. Więc które jest prawdziwe, przyjacielu, Pippen czy Odum?

- Odpowiedź jest skomplikowana.

- Niech pan ją uprości.

Martin postanowił nie odbiegać zbyt daleko od prawdy.

- Pippen to pseudonim, którego używałem przed laty, gdy pracowałem jako niezależny specjalista od materiałów wybuchowych. Od tamtego czasu używam nazwiska Odum.

Akim rozpromienił się.

- Pseudonimy są czymś, co do mnie przemawia. W Rosji Sowieckiej posługiwali się nimi wszyscy, którzy coś znaczyli. Słyszał pan o Władimirze Iljiczu Uljanowie? Był znany jako Lenin, od rzeki Leny na Syberii. Józef Wissarionowicz Dżugaszwili przybrał pseudonim Stalin, który znaczył „stalowy”, chciał bowiem, by ludzie tak o nim myśleli. Lew Dawidowicz Bronstein uciekł z więzienia dzięki paszportowi sporządzonemu na nazwisko jednego ze strażników więziennych, niejakiego Trockiego. Ja sam zdołałem uniknąć wysyłki do gułagu razem z dwoma moimi braćmi, przybierając tożsamość zręcznego magika Melora Siemionowicza Żytkina. Wie pan, co to gułag? To miejsce, gdzie temperatury spadają poniżej minus pięćdziesięciu, alkohol zamarza i człowiek ostrożnie ssie wódczane sopele, tak aby nie przymarzły do języka. Posłużenie się imieniem Melor było genialnym posunięciem, nawet jeżeli to ja tak twierdzę. Melor to imię sowieckie i oznacza Marks-Engels-Lenin-Organizatorzy-Rewolucji, dzięki czemu KGB uznało mnie za zapiekłego komunistę. Byłem bardzo zapiekły - dodał z ponurym rechem. - Nie zdołali mnie zabić, dzięki czemu właśnie jestem zapiekły.

Akim przybrał surowy wyraz twarzy nie mrugnawszy nawet ciężką powieką i nie zmrużywszy oczu. Martin zastanawiał się, jak to zrobił. Może sprawiły to cienie igrające na jego obliczu, może zmniejszyły się źrenice jego oczu. Cokolwiek o tym zdecydowało, efekt mroził krew w żyłach.

Głos Akima przestał być ospały.

- Pippen był agentem Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych, który przeniknął do Hezbollahu w dolinie Bekaa, udając niezależnego specjalistę od materiałów wybuchowych, powiązanego z IRA. Ponoć rozstał się pan z CIA, choć z zażenowaniem przyznaję, że żadne z moich źródeł informacji nie wie dlaczego. Zaskoczył pana fakt, jak dobrze jestem poinformowany, co? Widzi pan, w Izraelu, tak jak we wszystkich cywilizowanych krajach, informacje można kupić z równą łatwością co pastę do zębów. Teraz słyszę, że jest pan brooklyńskim detektywem o nazwisku Odum. Są tacy, którzy uważają, że to po prostu jeszcze jedna spreparowana tożsamość. Są też inni, którzy twierdzą, że Odum to ktoś, kim pan był, zanim stał się Pippenem.

- Rzeczywiście kiedyś pracowałem dla CIA. Już nie pracuję. Odum jest tak bliski prawdziwemu mnie, że bardziej się nie da.

Akim przyjął to zapewnienie ostrożnym kiwnięciem głową.

- Czas na mój zastrzyk z insuliny - oznajmił i skinął na Martina małym

palcem, na którym spoczywał gruby złoty sygnet z brylantem. Martin podążył za nim po wąskich schodach i przeszedł po trawniku obok basenu pływakowego, przy którym trzy kobiety w przezroczystych sukienkach z głębokim dekoltem grały w madżong. Nagle zatęsknił do czasów, gdy prowadził dochodzenia w nieskomplikowanych sprawach, takich jak długi karciane, porwania psów i prowadzone przez Czeczenów krematoria w Małej Odessie. Musiał być niespełna rozumu, myśląc, że zdoła wytropić zbiegłego męża. W porównaniu z tym znalezienie igły w stogu siana byłoby dziecinną igraszką. Akim dotarł na ocienioną werandę za rezydencją i wskazał Martinowi jeden z leżaków. W pobliżu stanęli dwaj jego ludzie, Ormianie w sportowych kurtkach, spod których wystawały pistolety automatyczne w kaburach. Pielęgniarz odziany w biały szpitalny fartuch wypuszczał płyn ze strzykawki, by usunąć z niej resztki powietrza. Akim padł na leżak i wyciągnął poły koszuli ze spodni, żeby obnażyć wydatny brzuch. Gdy pielęgniarz wbijał igłę pod suchą skórę i wstrzykiwał insulinę, gangster pił przez słomkę sok ze świeżych pomarańczy.

- Wielkie dzięki, Earl. Do zobaczenia jutro rano.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Żytkin.

Gdy pielęgniarz znalazł się poza zasięgiem głosu, Akim rzekł:

- Jak pan widzi, nadal od czasu do czasu używam nazwiska Żytkin. To zabawne, jak człowiek przywiązuje się do pseudonimu, który uratował mu życie.

Jedna z kobiet nad basenem pisnęła z zadowolenia. Akim wybuchnął gniewnie:

- Uciszcie się, moje panie. Nie widzicie, że mam gościa? - Masując brzuch w miejscu, gdzie otrzymał zastrzyk, zapytał: - Cóż więc mogę dla pana zrobić, panie Pippen bądź panie Odum, czy jak się pan tam obecnie nazywa?

- Ja naprawdę jestem detektywem - odparł Martin. - Wynajęto mnie, żebym znalazł pańskiego bratanka, Samata, który, jak się zdaje, uciekł od swojej żony. Liczyłem na to, że powie mi pan, gdzie zacząć poszukiwania.

- Czego ona, żona, chce, alimentów? Części pieniędzy na koncie bankowym, zakładając, że on ma jakieś konto? Czego?

- Zostałem wynajęty przez jej siostrę i ojca...

- Który już nie żyje.

- Jest pan dobrze poinformowany. Wynajęli mnie, żebym znalazł Samata i skłonił go do rozwodu. Ona jest bardzo pobożna. Bez rozwodu nie



może mieć dzieci z innym mężczyzną.

Akim wetknął poły koszuli z powrotem do spodni.

- Poznał pan tę jego żonę? - zapytał.

- Tak.

- Widział pan, jak się ubiera? Kto by tam się z nią ożenił? Kto by ją rznął nawet po to, żeby spółdzić dzieci?

- Jest młoda. Być może nawet jest dziewicą. Rabin, który udzielił jej ślubu, sądzi, że ona i Samat nie sypiali ze sobą.

Akim machnął z obrzydzeniem ręką.

- Rabin niech się zajmie Biblią. Nie chcę wysłuchiwać intymnych szczegółów z życia mojego bratanka. Z kim się pieprzy i czy się pieprzy, to nie moja sprawa.

Kolejny Ormianin wykrzyknął coś w obcym języku z wartowni przy podjeździe.

- Moi ludzie chcą po zmroku włączać reflektory punktowe, ale sąsiedzi skarżą się policji - wyjaśnił Akim. - Ilekroć je zapalamy, policja przyjeżdża i każe nam je wyłączyć. Co to za kraj, gdzie człowiek dobrze sytuowany nie może oświetlić muru wokół swojej posesji? Tak jakby osobiście mieli mi za złe, że jestem bogaty.

- Może mają panu za złe to, jak się pan wzbogacił - zauważył Martin.

- Zaczynam pana lubić - przyznał Akim. - Rozmawia pan ze mną tak, jak ja rozmawiałem z ludźmi takimi jak ja, gdy byłem w pana wieku. Pozostaje faktem, że gdybym się nie wzbogacił, zrobiłby to ktoś inny. Gdy Związek Sowiecki się rozpadł, można było jedynie zarabiać pieniądze. Chodziło o to, żeby nie utonąć w odmętach Gorbaczowowskiej pierestrojki, ponieważ tylko bogaci byli w stanie utrzymać się na powierzchni. Tak czy owak to Ameryka doprowadziła do tego wszystkiego, upadku, powstania gangów, wojen mafijnych.

- Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza - zauważył Martin.

- Zmierzam do ukazania faktów historycznych, panie Odum. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku saudyjski minister do spraw ropy, który przypadkiem był wielką szychą w kartelu naftowym OPEC, oznajmił światu, że Arabia Saudyjska przestanie ograniczać wydobycie w celu utrzymania cen ropy naftowej. Chce pan tu siedzieć i wmawiać mi, że Amerykanie nie mieli z tym nic wspólnego? Osiem miesięcy później ceny ropy spadły o siedemdziesiąt procent. Eksport ropy i gazu jest tym, co przez lata, a nawet dekady, zapewniało Związkowi Sowieckiemu płynność

finansową. Spadek cen ropy wprowadził sowiecką gospodarkę na równię pochyłą. Gorbaczow próbował ratować, co się dało, swoimi nieprzemyślanymi reformami, ale statek poszedł na dno razem z nim. Gdy sytuacja się uspokoiła, terytorium Rosji skurczyło się do granic z tysiąc sześćset trzynastego roku. To ludzie tacy jak ja i mój brat zaczęli grzebać w gruzach i ratować sytuację. Jeżeli dzisiaj sytuacja ma być lepsza, to dlatego, że pieniądze zaczęły powoli spływać w dół. Ha! Jest faktem, że aby bogactwo spływało powoli w dół, w gospodarce potrzebni są u góry bogaci ludzie odkręcający kurek.

- Jeżeli właściwie pana rozumiem, jest pan nowo nawróconym kapitalistą.

- Jestem nowo nawróconym oportunistą. Nie chodziłem do szkoły, jak Samat, nauki pobierałem na ulicy. Rozumiem, że kapitalizm zawiera w sobie ziarna samozniszczenia. Niech się pan nie śmieje, Odum. Winę za to ponosi wasz Gienny Ford. Wynajdując linię montażową i produkując masowo swoje samochody, obniżył ich cenę do poziomu, na którym montażyści stali się nabywcami wytworów własnej pracy. A dzięki programom „kup teraz, zapłać później” oraz kartom kredytowym ludzie mogli wydawać pieniądze, zanim je zgromadzili. Natychmiastowe zaspokojenie potrzeb zabiło protestancką etykę pracy, która gloryfikowała pracę i zachęcała do oszczędzania. Proszę pamiętać, że po raz pierwszy usłyszał to pan tutaj, panie Odum: Ameryka się stacza. Upadnie niedługo po Związku Sowieckim.

- Co pozostanie?

- My. Oligarchowie.

Jeden z ochroniarzy Akima przyszedł na werandę. Zwrócił na siebie uwagę gospodarza i postukał końcem palca w kryształowe szkielko swojego roleksa. Akim szybkim ruchem spuścił nogi z leżaka i wstał.

- Spotykam się z członkiem Knesetu na kolacji w „Petah Tikva” - powiedział. - Przestańmy krążyć wokół siebie jak zapaśnicy, panie Odum. Zedrzemy sobie buty. - Pomachał do grających w madżong kobiet i wykrzyknął coś po ormiańsku. Po czym, dając Martinowi znak, by mu towarzyszył, ruszył w stronę zaparkowanego na podjeździe wielkiego SUV-a; ze srebrzystej rury wydechowej auta wydobywały się spaliny. - Ile oni panu płacą za znalezienie Samata? - zapytał.

- Słucham?

Akim zatrzymał się w miejscu i spojrzał na Martina. I znowu jego twarz stała się groźna, choć nie drgnął na niej nawet mięsień.

- Tępy pan jesteś czy co? - warknął cicho ospałym głosem. - Mam

przeliterować? Dobra, pytam, co ojciec żony Samata, który jest już trupem, zaproponował panu za odnalezienie mojego bratanka. Chodzi mi o to, że cokolwiek zaproponował, to nic w zestawieniu z sumą, którą wyłożę na stół, jeżeli potrafi pan mnie do niego doprowadzić. Co by pan powiedział na milion dolarów w gotówce? Lub równowartość tej sumy we frankach szwajcarskich bądź markach niemieckich.

- Nie rozumiem.

Akim jęknął z rozdrażnieniem.

- Nie musi pan r o z u m i e ć - nie ustępował. Znowu ruszył w stronę auta. - Sto trzydzieści milionów dolarów amerykańskich zniknęło z sześciu z moich holdingów na całym świecie, którymi kierował Samat. Ta jego żonka w Kiriat Arba nie jest jedyną osobą, która chce rozwodu. Ja też chcę. Chcę rozwieść się z moim bratankiem. Chcę, żeby stał się moim byłym bratankiem. Dogadaliśmy się, panie Odum? Ma pan mój numer. Jeżeli dostanie pan Samata w swoje ręce, zanim ja to zrobię, proszę do mnie zadzwonić, a stanie się pan bogatym człowiekiem. Wtedy to pan będzie tym, kto odkręca kurek ze swoim bogactwem proletariuszom, żeby mogli kupować więcej samochodów od pana Gienny Forda.

\* \* \*

Stella i Martin położyli swoje walizki na stół i otworzyli zamki. Jedna z żołnerek, nosząca białe rękawice chirurgiczne, zaczęła w nich grzebać. Druga, z oczami czarnymi od tuszu, zaczęła zadawać pytania i słuchając odpowiedzi, odfajkowywać pozycje na liście. Czy ktoś dał im paczkę do wywiezienia z Izraela? Kto spakował ich walizki? Czy po spakowaniu zostały bez dozoru? Jaki był cel ich podróży do Izraela? Czy odwiedzili jakieś arabskie miasta lub wioski bądź arabskie dzielnice Jerozolimy? Czym przyjechali na lotnisko? Czy walizki były na widoku przez cały czas po tym, jak wysiedli z taksówki?

W końcu młoda kobieta uniosła wzrok.

- Podróżujecie państwo razem?

- Tak - odparł Martin.

- Proszę wybaczyć tę osobistą wycieczkę, ale nie nosicie państwo tego samego nazwiska.

- Jesteśmy po prostu przyjaciółmi - wyjaśniła Stella.

- Jeszcze raz proszę wybaczyć, ale od jak dawna się państwo znają?

- Od około dwóch tygodni - odparł Martin.

- I zdecydowaliście się przyjechać razem do Izraela po tak krótkiej

znajomości?

Stella obruszyła się.

- Czy gdzieś jest napisane, że ludzie muszą być kochankami, żeby podróżować?

- Zadaję tylko pytania, które polecono nam stawiać wszystkim pasażerom. - Żołnierka zwróciła się do Stelli. - Widzę z państwa biletów, że oboje przyjechaliście do Izraela z Aten. Ale pani przyjaciel leci do Londynu, a pani do Nowego Jorku. Skoro podróżujecie państwo razem, dlaczego nie kontynuujecie wspólnej podróży?

- Wracam do Nowego Jorku, żeby pochować Kastnera - wyjaśniła Stella.

- Kto to jest Kastner?

- Mój ojciec.

- Nazywa pani swojego ojca po nazwisku?

- Nazywam go tak, jak uznaję za stosowne, do cholery.

- Więc pani ojciec nie żyje - powiedziała młoda kobieta i zapisała coś w rubryce zarezerwowanej na uwagi.

- Nie mam zamiaru grzebać go żywcem, jeżeli to ma pani na myśli.

Kobieta pozostała niewzruszona.

- Podróżuje pani z amerykańskim paszportem, ale mówi pani po angielsku z lekkim wschodnioeuropejskim akcentem.

- Tak naprawdę to akcent rosyjski. Dziewięć lat temu wyemigrowałam do Stanów Zjednoczonych.

- W tym okresie sowieckie granice były zamknięte dla osób chcących emigrować. Jak się pani wydostała ze Związku Sowieckiego?

Stella spojrzała na przesłuchującą spod zmrużonych powiek.

- Mój ojciec, moja siostra i ja pojechaliśmy na wakacje nad Morze Czarne do Bułgarii. Amerykańska CIA podesłała nam greckie paszporty i dołączyliśmy do wycieczki objazdowej wracającej przez Bosfor do Pireusu.

Dwie żołnierki wymieniły spojrzenia.

- Bezpieczeństwo na lotnisku to poważna sprawa - warknęła ta, która przeszukiwała bagaż.

- Był okres w moim życiu, gdy płacono mi za rozbawianie innych - odcięła się Stella. - To już przeszłość.

Młoda kobieta z listą pytań podniosła do ust krótkofalówkę i wymamrotała coś po hebrajsku.

- Proszę tu chwilę poczekać - rozkazała, podeszła do dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach i wskazując ruchem głowy na Stellę i Martina, coś do

nich powiedziała. Jeden z mężczyzn wyciągnął z kieszeni mały notes i przerzucał palcem jego kartki, dopóki nie doszedł do poszukiwanej strony. Zerknął na Martina, a następnie wręczył żołnierce kopertę. Dziewczyna wzruszyła ramionami. Wróciwszy do stołu, podała ją Martinowi. - Mogą państwo zamknąć walizki i odprawić je na samolot.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zapytała Stella po tym, jak okazali swoje paszporty oraz karty pokładowe i pojechali ruchomymi schodami do rozległej poczekalni.

Martin rozciął kopertę palcem wskazującym i rozłożył znajdujący się w niej plik kartek.

- Aha - mruknął pod nosem.

- Co aha?

- Mój stary przyjaciel z Mosadu, ten, który uraczył mnie kolacją niespodzianką, twierdzi, że zapisy magnetyczne rozmów telefonicznych przychodzących i wychodzących z Kiriat Arba zostały skasowane, tak jak mówił rabin. Ale nie skasowano ich przez pomyłkę. Mosad zrobił to dla swoich kolegów z CIA.

- Sprawa się komplikuje!

- Wiedzieliśmy, że CIA nie chce, bym znalazł Samata. Moja dawna szefowa powiedziała mi to, gdy zaprosiła mnie do chińskiej restauracji. - Martin pomyślał o eksplodującym ulu, którego lokatorki uśmierciły Minh, oraz dwóch kulach, które jakiś snajper wystrzelił do niego w Hebronie. Poprowadził Stellę do jednego z ustawionych rzędami plastikowych krzeseł, gdzie nie sięgał słuch innych pasażerów. - Jak ułożyły się sprawy twojej siostry po moim wyjeździe?

- Próbowaliśmy namówić mnie do pozostania w Izraelu. Co ja bym tu robiła?

- W Izraelu też się gotuje - zawsze mogłabyś utrzymywać się z opowiadania antyizraelskich dowcipów.

- Bardzo zabawne. Prawdę mówiąc, znam jeden bardzo dobry dowcip. Opowiedział mi go rabin. Pytanie: Kto to jest antysemita? Odpowiedź: człowiek nienawidzący Żydów bardziej, niż to konieczne.

- Wcale nie jest zabawny.

- Zabawne w nim jest właśnie to - upierała się gniewnie Stella - że nie jest zabawny. Niepotrzebnie staram się rozśmieszyć kogoś, kto nie ma poczucia humoru.

- Mój kumpel Dante, ten to miał poczucie humoru - powiedział Martin z nieprzytomnym wyrazem oczu. - Zostawił je w pokoju nad barem w

Bejrucie.

Stella postanowiła zmienić temat.

- Stryj Samata wygląda na prawdziwego rosyjskiego gangstera.

- Myślałem, że może mi podpowie, gdzie zacząć szukać swojego bratanka. Powiedział, że gdyby to wiedział, nie byłbym mu potrzebny.

- Myślisz, że Samat naprawdę uciekł z tą forszą? Co zrobi jego stryj, jeżeli go dopadnie?

Głos z urzędnika nagłaśniającego oznajmił, że za chwilę zaczną wpuszczać pasażerów na pokład samolotu do Londynu. Martin wstał.

- Co mu zrobi? Sądzę, że załaskocze go na śmierć.

- Wychodzisz z roli i stroisz sobie żarty - zauważyła Stella i mrużąc oczy, przyjrzała się twarzy Martina. - No dobrze, nie stroisz sobie żartów. - Pasażerowie wokół nich zbierali bagaż podręczny i ruszali w stronę schodów prowadzących do wyjścia. - Szkoda, że nie lecę z tobą. Powoli przyzwyczajam się do twojego poczucia humoru.

- Powiedziałas chyba, że nie mam poczucia humoru.

- Do tego właśnie się przyzwyczajam. - Wstała i musnęła jego łokieć grzbietem dłoni. - Mimo wszystko mam nadzieję, że zadzwonisz do mnie z Londynu.

Martin ogarnął spojrzeniem trójkąt bladej skóry na jej piersi.

- Podziwiam tę twoją nadzieję na przekór wszystkiemu.

Stella bawiła się nerwowo pierwszym nierozpiętym guzikiem w koszuli.

- Może zdołam cię nią zarazić.

- Nie ma szans. Zostałem zaszczepiony.

- Szczepienie trzeba powtarzać. - Wspięła się na palce i pocałowała go lekko w usta. - No to na razie, Martinie Odum.

- Yhm. Na razie.

\* \* \*

Crystal Quest była wściekła.

- Jest tylko jedna rzecz bardziej odrażająca od konieczności wybrania swojego człowieka za cel ataku - oznajmiła pracownikom rozproszonym po jej gabinecie - i jest nią sknocona robota. Czy ktoś uprzejmie mi wyjaśni, gdzie obecnie wynajmujemy snajperów? Na straganach z pukawkami na Coney Island, gdzie wygrywa się plastikową lalkę za strącenie klauna do miski z pomyjami? Mój Boże, przecież to żałosne. Ża-łos-ne.

- Powinniśmy byli zlecić to Lincolnowi Dittmannowi - zasugerował jeden z młodszych pracowników. - Sądzę, że to pierwszorzędny strzelec...

Quest, z przekrzywioną głową i nieruchomym wzrokiem, spojrzała na mówiącego tak, jakby właśnie znalazł rozwiązanie ich problemu.

- Gdzie się natknąłeś na tę cenną informację? - zapytała ochryłym szeptem, zwlekając z egzekucją.

Młodzieniec wyczuł, że zapuścił się na grząski grunt.

- Przeglądałem akta numer dwieście jeden Rejestru Centralnego, by zorientować się, kim dysponujemy w terenie... - Głos mu się załamał. Rozejrzał się w poszukiwaniu koła ratunkowego, ale chyba nikt nie był zainteresowany wyciągnięciem go z opresji.

Quest rozdziawiła usta, kiwając ze zdumieniem głową.

- Lincoln Dittmann! Oto pomysł na czasie. Ha! Czy ktoś skróci cierpienia temu neoficie?

Szef jej sztabu, gruboskórny lawirant, który przetrzymał sporo burz w gabinecie wicedyrektor Zarządu Operacji na siódmym piętrze, bardzo spokojnie wyjaśnił:

- Dittmann i Odum to jedna i ta sama osoba, Frank. Zauważyłbyś adnotacje na ten temat w aktach numer dwieście jeden, gdybyś przeczytał informacje podane drobnym drukiem na pierwszej stronie.

- To pierwsze pudło - poinformowała go Quest. - Jeżeli przeczytasz informacje podane drobnym drukiem na swojej umowie o pracę, zobaczysz, że w Zarządzie Operacji działamy zgodnie z zasadą „trzy pudła i wypad”. - Okręciła się dokoła w swoim krześle, jakby chciała podnieść jego siedzisko. - W porządku. Zreasumuję - dodała, tłumiąc poirytowanie. - Podjęliśmy szczerą próbę wyperswadowania Odumowi pomysłu tropienia Samata Ugor-Żyłowa. Martin to człowiek świadomy swych czynów. Robi to, co widocznie musi robić. A my zamieramy zrobić to, co zrobić trzeba, żeby nigdy nie dotarł do tegoż Samata. To sprawa priorytetowa, co znaczy, że poświęcamy jej całą naszą uwagę. Dokąd Odum pojechał, gdy opuścił Izrael? Jakimi tropami podąża? Z kim zamierza rozmawiać? I jakimi zasobami ludzkimi dysponujemy w terenie, kogo możemy przerzucić do teatru ewentualnych działań operacyjnych, aby zagwarantować, że przywdzieję żałobę, zanim ta sprawa wymknie się nam spod kontroli?

## 1997: Martin Odum zgrywa się na niewiniątko

Pochyliwszy się nad martwym psem, Martin rozciął mu brzuch żyłką, po czym dłonią w rękawicy sięgnął do środka, żeby wyciągnąć wnętrzności i stworzyć jamę w brzuchu czworonoga. Skinął na jednego ze szkolonych fedainów, który wyjął ramkę z ula i postawił ją ostrożnie na drodze obok zwierzęcia.

- Miód jest bardzo odporny na wstrząsy - powiedział ze śmiechem. - Powiedz mu, że dopóki nie zostanie zdetonowany, nie wybuchnie mu w rękach. - Używając szpatułki, starannie zdrapywał wosk pszczeli z plastrów miodu, aż zebrał grudkę wielkości piłki tenisowej. Potem podłączył ją drutem do małego plastikowego odbiornika radiowego domowej roboty i wsunął pakunek do jamy brzusznej psa. Za pomocą grubej igły i kawałka rzeźniczego szpagatu zaszył otwór. Wstając, cofnął się, żeby obejrzeć swoje dzieło.

- Jakies pytania? - zapytał.

Jeden z fedainów powiedział coś po arabsku i Rosjanin z grubym złotym sygnetem na małym palcu przetłumaczył jego słowa na angielski.

- Pyta, z jakiej odległości możemy detonować ładunek.

- To zależy, jakiego sprzętu się używa - odparł Martin. - Telefon bezprzewodowy lub walkman będą działać z odległości do pół mili. Skaner VHF lub telefon komórkowy są skuteczne z odległości dziesięciu bądź dwunastu mil, o ile jest dobra pogoda i nic nie zagłusza sygnału.

Martin, ciągnący za sobą swoich trzech uczniów i tłumacza, ruszył w górę zbocza i przypadł do ziemi za porzeczonym wrakiem dżipa wojsk ONZ. Nie musieli długo czekać. Zza zakrętu ukazał się izraelski patrol, prowadzony przez żołnierza sprawdzającego gruntową drogę magnetycznym wykrywaczem min. Saper przesunął detektor nad psem i nie uzyskawszy żadnych wskazań, szedł dalej. Idący za nim oficer zrównał się z psem. Coś - przypuszczalnie nierówne szwy na brzuchu czworonoga - musiało przykuć jego uwagę, przykucnął bowiem obok zwierzęcia, by przyjrzeć się dokładniej. Martin skinieniem głowy dał znak fedainowi trzymającemu automatyczny pager, ustawiony tak, by przesłać sygnał do plastikowego odbiornika w brzuchu psa. Głuchy wybuch wzniesił chmurę musztardowego



dymu. Gdy opadła, izraelski oficer nadal znajdował się obok psa, ale widać było, jak jego głowa toczy się powoli w kierunku pobocza.

- To dla mnie nowość, że miód może eksplodować - powiedział szeptem Rosjanin, niemrawo wydobywając z głębi gardła akcentowane mocno, po słowiańsku, słowa.

Siarkowy smród spalonego pszczelego wosku dotarł do nozdrzy Martina. Z trudem łapiąc powietrze, poderwał się na łóżku i starł z czoła zimny pot rogiem prześcieradła. Serce biło mu wściekle; czuł migrenowy ucisk w oczodołach. Przez jedną straszną chwilę nie wiedział, kim jest ani gdzie się znajduje. Ten drugi problem rozwiązał najpierw, usłyszawszy suchy kaszel staruszka mieszkającego dwa pokoje dalej w pensjonacie; wiedział, gdzie na pewno się nie znajduje: w południowym Libanie. Gdy doszedł do tego, w którą legendę się wcielił, stopniowo odzyskał normalny oddech.

Kiedy cztery dni wcześniej jego samolot wylądował na Heathrow, Martin bez problemu przeszedł przez stanowisko kontroli paszportowej.

- Jest pan tu służbowo czy dla przyjemności? - zapytała celniczka w boksie.

- Jak dobrze pójdzie, dla przyjemności w postaci przybytków z wyszynkiem oraz muzeów, w tej kolejności - odparł.

Kobieta posłała mu zblazowany uśmiech, gdy wbijała do paszportu stempel pozwolenia na wjazd.

- Jeżeli szuka pan pubów, trafił pan do właściwej części świata. Miłego pobytu w Anglii.

Zdjąwszy walizkę z taśmociągu, Martin zaczął podążać za drogowskazami z napisem „Metro”, gdy ukazał się przed nim zażywny młody mężczyzna o brzoskwiniowej cerze.

- Pan Odum, prawda? - zapytał.

- Skąd pan wie, jak się nazywam?

Otulony zbyt obszernym tenczem młodzian zignorował jego pytanie i rzekł:

- Zechce pan pójść ze mną?

- Mam jakiś wybór?

- Niestety nie.

- Skąd pan jest, z „piątki” czy „szóstki”?

- MI5, uprzejme dzięki. W „szóstce” myślą, że jest pan radioaktywny, nie dotknęliby pana nawet trzymetrowym kijem.

Martin zobaczył, jak otacza go trzech innych mężczyzn w tenczach, więc

odwrócił się, pokuśtykał przez halę przyłotów za młodym mężczyzną i wszedł po schodach na wznoszący się nad nią balkon. Brzoskwiniowy zatrzymał się przed drzwiami z nieprzejrystego szkła z wypisanymi na nich od szablonu słowami: Dział Towarów Nietrwałych. Zastukał dwa razy, otworzył drzwi i grzecznie wszedł do środka. Wewnątrz jakaś kobieta w średnim wieku, ubrana w męski prążkowany garnitur i krawat, zajmowała się wywoływaniem katalogów plików w komputerze. Nie unosząc wzroku, przechyliła głowę w kierunku wewnętrznych drzwi z informacją: Kierownik Działu Towarów Nietrwałych, wypisaną od szablonu na szybie. W biurze za drzwiami Martin zastał czarnoskórego mężczyznę z wygoloną głową, uważnie obserwującego taśmociągi bagażowe przez listwy częściowo zasuniętych żaluzji. Mężczyzna okręcił się na swoim krześle i rozparł się w nim.

- Przyznam, że nie wyglądasz mi na typowego amerykańskiego wielokrotnego mordercę - powiedział miękko głosem.

- A jak wygląda typowy wielokrotny morderca?

- Lodowate spojrzenie, gdy unika twojego wzroku, poobgryzane paznokcie, obwisła dolna warga, ślina ciekąca po szczecinie na podbródku. Rola dla Beli Lugosiego.

- Jesteś gliną czy krytykiem filmowym?

Chichocząc z pytania Martina, kierownik działu zaczął odczytywać zapiski z pożółkłej karty katalogowej.

- Według naszych ostatnich ustaleń byłeś facetem o dwóch wcieleniach. W pierwszym, jako Irlandczyk Dante Pippen, odmówiłeś nam pomocy w dochodzeniu, które wszczęto po tym, jak bomba IRA rozerwała w kawałki autobus w środkowym Londynie. W drugim byłeś Lincolnem Dittmannem, amerykańskim handlarzem bronią, rozprawdzającym swój towar klientom proponującym najwyższą cenę na terenie Trójgranicza w Ameryce Łacińskiej.

- Bierzecie mnie za kogoś innego - odparł Martin. - Myle się wam z czarnym charakterem z filmów klasy B.

- Nie sądzę - stwierdził kierownik. Uniósł brwi i długo przyglądał się Martinowi, który przestępował z nogi na nogę. - Gdybyśmy mieli krzesła, poprosiłbym, żebyś usadził swój tyłek na jednym z nich. Przykro mi.

- Siedziałem od Tel Awiwu aż do teraz - odparł Martin. - Z przyjemnością rozprostuję nogi.

- Tak, no cóż, w Izraelu podawałeś się za Martina Oduma, zwykłego

prywatnego detektywa z biurem w nowojorskiej gminie... - sprawdził na karcie katalogowej - Brooklyn. To naprawdę dość pomysłowe. Jakies brednie o poszukiwaniu zaginionego męża, żeby jego żona mogła dostać rozwód. Rozumie się samo przez się, że znając twoje dokonania, ani nasza czujka w Izraelu, ani nasz londyński Dział Towarów Nietrwałych nie dali się nabrać na tę przykrywkę. Więc co pan sprzedaje tym razem, panie Dittmann? Używane kałasznikowy od pierwszego właściciela? Ten wytwarzany na Ukrainie system radiolokacji pasywnej, który ponoć potrafi wykrywać samoloty zwiadowcze Stealth z odległości pięćuset mil? Gaz paralizujący udający talk w proszku? Podstawowy posiew czynników biologicznych, wywołujących cholerę lub ospę wielbłądzą?

- Nic z tych rzeczy. - Martin uśmiechnął się niewinnie. - Przeszukajcie mnie.

- Tylko nie miej pretensji, jeżeli to zrobię. - Policjant dotknął przycisku na konsoli. Martin usłyszał charczenie brzęczyka w biurze za drzwiami. Młodzieniec o brzoskwiniowej cerze i kobieta, która pracowała przy komputerze, weszli do pokoju. - Byłby pan tak uprzejmy i dał nam klucz do swojej walizki, panie Dittmann - zapytała kobieta - a potem się rozebrał? - Czarnoskóry mężczyzna obszedł biurko. Martin dostrzegł, że to typ, który ćwiczy na siłowni dostatecznie często, by liczyć na to, iż człowiek mający pomóc policji w dochodzeniu będzie się stawiał.

Martin zerknął na kobietę.

- Jestem człowiekiem wstydliwym - zauważył.

- Ona widziała już wszystko, co masz na wyposażeniu, stary - warknął brzoskwiniowy, naśladując londyńską gwarę.

Dwaj mężczyźni skoncentrowali się na Martinie, rozbierając go do rosołu i przeszukując każdy skrawek jego trzyczęściowego garnituru, bielizny i skarpet. Kierownik szczególną uwagę poświęcił jego butom, wkładając je pojedynczo do urządzenia, które wyświetlało obraz rentgenowski buta na szklanej płycie. Kobieta wyłożyła zawartość walizki na biurko i zaczęła dokładnie oglądać każdą rzecz. Przeszukanie było bardzo drobiazgowe. Pasta do zębów została wyciśnięta z tubki do plastikowego pojemnika z chińskim napisem na ścianie. Kapsułki ze środkiem na przeziębienie rozcięto i sprawdzono. Mały pojemnik z kremem do golenia został opróżniony, a następnie rozcięty na pół piłką do metalu. Stojąc na środku pokoju, zupełnie nagi, Martin próbował sobie wyobrazić antybrytyjski dowcip, jaki Stella wymyśliłaby jako komentarz do tego epizodu, ale nie potrafił znaleźć puenty.

Stella miała z pewnością rację, mówiąc, że on nie ma poczucia humoru.

- Mam nadzieję, że zamierzacie wypłacić mi odszkodowanie za zniszczoną własność - zauważył, gdy zaczął wkładać ubranie.

Kierownik działu potraktował tę uwagę poważnie.

- Proszę wymienić uszkodzone przedmioty i przesłać nam rachunek - odparł. - Jeżeli zaadresuje pan przesyłkę Heathrow, Dział Towarów Nietrwałych, powinna tu dotrzeć, prawda, panowie i panie? Wszyscy wiedzą, kim jesteśmy. Mogę zapytać, jak długo spodziewa się pan zostać w naszym kraju, panie Dittmann?

- Niech pan pyta.

Kierownik nie uśmiechnął się.

- Jak długo spodziewa się pan zostać w naszym kraju, panie Dittmann?

- Nazywam się Odum. Martin Odum. Przyjechałem do Wielkiej Brytanii po to, żeby opowiadać antyangielskie dowcipy, które rozejdą się po kraju lotem błyskawicy i oderwą myśli jego mieszkańców od mozołu codziennego życia. Zamierzam zostać dopóty, dopóki nie przestaną się śmiać.

- To ci dopiero oryginał - powiedział czarny do swoich współpracowników.

Brzoskwiniowy odprowadził Martina do hali przylotów.

- Mam nadzieję, stary, że nie czujesz urazy - powiedział, wracając do pseudolondyńskiej gwary i siląc się na ironię.

Podążając śladem napisów kierujących do metra, Martin szybko dostrzegł dwóch śledzących go mężczyzn, jednego około piętnastu kroków z tyłu, drugiego dziesięć kroków za pierwszym. Zdradził ich nawyk skupiania uwagi na wystawach butików, ilekroć odwracał się w ich stronę. Gdy dotarł do ruchomych schodów prowadzących na peron, pierwszy mężczyzna odszedł, drugi zmniejszył dystans, a za nim pojawił się trzeci. Poświęcenie takich sił śledzeniu poczynań Lincolna Dittmanna sprawiło, że Martin poczuł się ważny; dawno już nie budził w kimkolwiek na tyle dużego zainteresowania, by zlecono śledzenie go na przemian. Jak zawsze w takich sytuacjach Martin bardziej przejmował się agentami, których nie widział, niż tymi, których miał zauważyć. Pojechał linią Piccadilly do stacji Piccadilly Circus i ruchomymi schodami wydostał się na ulicę, po czym oparł się o ścianę kiosku, by dać odpocząć swojej chromej nodze. Po pewnym czasie ruszył wolnym krokiem w stronę Tottenham Court Road. Po drodze wstąpił najpierw do drogerii, żeby kupić pastę do zębów i krem do golenia, a potem do pubu z neonowym szyldem skwierczącym nad drzwiami, który przywrócił wspomnienia

nabrzeża portowego w Bejrucie i alawickiej prostytutki imieniem Dżamilla. Usiadł na stołku w słabo oświetlonym końcu baru i nie odrywając ust od szklanki, pił małe jasne piwo, dopóki nie opróżnił jej do połowy. Otworzywszy walizkę, wsunął paczkę z fałszywymi dowodami tożsamości do białej jedwabnej chusty, po czym otarł nią czoło i wetknął do kieszeni marynarki. Podnosząc małą walizkę na kontuar i układając na niej swój płaszcz od Burberry'ego, poprosił barmana, by miał na nie oko, gdy on będzie korzystał z toalety na zapleczu. Nawet nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem ogonów - dwóch na ulicy, jednego przy narożnym stoliku z przodu pubu; wszyscy byli młodzi, młodzi, czyli zieloni, dadzą się więc nabrać na najbardziej ograny numer: będą czekali na jego powrót ze wzrokiem przyklejonym do na wpół opróżnionej szklanki z piwem i walizki z płaszczem przeciwdeszczowym. Gdy nie wróci, w zależności od ich stosunków z kierownikiem Działu Towarów Nietrwałych mogą donieść, że ich podopieczny zniknął, lub nie.

Martin pamiętał tę konkretną męską toaletę z czasów, gdy wieki temu przebywał służbowo w Londynie; w drodze do Związku Sowieckiego wstąpił po instrukcje od działu wschodnioeuropejskiego MI6. Jakiej wtedy używał przykrywkę? Zapewne występował w swoim oryginalnym wcieleniu jako Martin Odum, gdyż Dittmann i Pippen pojawili się dopiero później, tak mu się przynajmniej wydawało. W zakamarku swojego mózgu przechowywał jeden z tych szpiegowskich szczegółów, które agenci w terenie kolekcjonowali niczym rzadkie znaczki: w tej konkretnej toalecie były zamknięte na klucz drzwi pożarowe, które w nagłym przypadku można było otworzyć, tłukąc szybę i wyjmując wiszący za nią na haczyku klucz. Zdaniem Martina ta sytuacja wyraźnie wyczerpywała znamiona nagłego przypadku. Odnalazł szybę, wyciągnął klucz i otworzył drzwi. Parę chwil później znalazł się w wąskim przejściu, które prowadziło na boczną uliczkę, gdzie, traf chciał, stała taksówka.

- Paddington - powiedział kierowcy.

Przesiadł się jeszcze dwa razy i dopiero ostatniemu taksówkarzowi podał prawdziwy cel jazdy.

- Golders Green Road - rzekł, siadając na tylnym siedzeniu i ciesząc się przelotnym triumfem nad obibokami z „piątki”.

- Jakież konkretne miejsce na Golders Green? - zapytał taksówkarz przez interkom.

- Może mnie pan wysadzić obok zegara na końcu ulicy. Dalej pójde

pieszo.

- Nie ma sprawy, szefie. Amerykanin, prawda?

- Skąd ta myśl?

- Chodzi o akcent, szefie. Poznają amerykański po brzmieniu.

- Właściwie to jestem Polakiem - odparł Martin - ale mieszkałem w Ameryce i wyzbyłem się polskiego akcentu.

Taksówkarz zachichotał do mikrofonu.

- Potrafię poznać, gdy ktoś mnie nabiera, szefie. Taki z pana Polak jak ze mnie Eskimos.

Martin zapłacił za taksówkę przed stacją metra Golders Green. Stojąc pod słowem „Odwaga” wyrytym na kamiennym pomniku na końcu Golders Green Road, zorientował się w sytuacji, po czym ruszył szeroką, zalaną popołudniowym słońcem aleją, na której roilo się od pieszych - filipińskich służących, pchających usadzone na wózkach inwalidzkich staruszki, dziesiątek bardzo pobożnych kobiet w perukach i długich sukniach, oglądających wystawy sklepów z szyldami w języku angielskim i hebrajskim, a także pochylonych nad kierownicą nastolatków w haftowanych myckach, którzy przejeżdżali obok na rowerach górskich. Znalazł sklep z używanymi rzeczami, prowadzony przez żydowską fundację charytatywną, i kupił sobie starą walizkę, która wyglądała tak, jakby już kilka razy przemierzyła świat dookoła; rozciął postrzępioną podszewkę pod wiekiem i ukrył tam swoje dokumenty, a potem napełnił walizkę wytartą, lecz praktyczną odzieżą. Natrafił na używany płaszcz marki Aquascutum, który praktycznie dostał za darmo, ponieważ brakowało w nim paska, a brzeg był w strzępach. W drogerii kupił więcej pasty do zębów i maszynkę do golenia jednorazowego użytku oraz małą tubkę kremu do golenia. Na Woodstock Avenue przy Golders Green Road spostrzegł obok synagogi rozpadający się dom z tablicą na zapuszczonym trawniku reklamującą pokoje do wynajęcia. Zapłacił zrzędlivej właścicielce za tydzień z góry, zostawił rzeczy w mieszkaniu i poszedł kupić coś do jedzenia w koszernych delikatesach usytuowanych za rogiem ulicy, naprzeciw jakiegoś kościoła. Po południu poszedł do chińskiego centrum medycznego na sesję akupunktury. Gdy narzekał, że po zabiegu czuje w nodze jeszcze większy ból, stary Chińczyk, zręcznie wyciągający długie igły z ciała Martina, wyjaśnił, że przecież dobrze wiadomo, iż sytuacja musi się pogorszyć, zanim będzie mogła się poprawić. Kładąc na ladzie banknot dziesięciofuntowy, Martin obiecał, że weźmie to pod uwagę. Ruszając z powrotem w kierunku domu z pokojami do

wynajęcia, zauważył, że może stąpać pewniej niż poprzednio; zastanawiał się, czy dzięki igłom, czy może sile sugestii. Kupił w trafice kartę telefoniczną i wszedł do czerwonej jak wóz strażacki budki na rogu Woodstock i Golders Green Road, w której wisiała na łańcuchu nadpalona książka telefoniczna. Pogrzebał w portfelu w poszukiwaniu kawałka papieru z numerem telefonu, który Elena znalazła na odwrocie przepisu na strudel, i wsunąwszy kartę do automatu, zadzwonił.

Na tę okazję odkurzył od dawna nieużywany irlandzki akcent Dantego Pippena.

- Z kim mam przyjemność? - zapytał, gdy na linii rozległ się kobiecy głos.

- Z panią Rainfield, kochaniutki.

- Dzień dobry, pani Rainfield. Mówi Patrick O'Faolain z firmy telefonicznej. Siedzę właśnie na słupie przy Golders Green Road i próbuję naprawić pani linię. Mogłaby pani wyświadczyć mi przysługę i przycisnąć numer pięć i numer siedem na tarczy swojego aparatu, w tej kolejności?

- Pięć, a potem siedem?

- O to właśnie chodzi, pani Rainfield.

- Słyszał pan?

- Głośno i wyraźnie. Proszę teraz zrobić to dla pewności jeszcze raz, dobrze?

- W porządku?

- Wspaniale. Powinniśmy zatrudniać ludzi takich jak pani.

- Powie mi pan, co się dzieje?

- Proszę nie pytać, jak do tego doszło, ale wygląda na to, że kabel pani telefonu owinął się wokół przewodów pani sąsiadek. Jedna z nich skarżyła się, że słyszy przesłuch, gdy próbuje korzystać z telefonu. Czy stwierdziła pani jakieś zakłócenia w swoim telefonie, pani Rainfield?

- Teraz, gdy pan o tym wspomniał, to wydaje mi się, że dziś rano głos w słuchawce rzeczywiście brzmiał mniej wyraźnie niż zwykle.

- Teraz powinna słyszeć mnie pani tak wyraźnie jak dzwon.

- Słyszę i dziękuję.

- Większość czasu spędzamy, łażąc po słupach telefonicznych, żeby naprawić rzeczy, które nie są zepsute. Od czasu do czasu przyjemnie jest usunąć prawdziwą usterkę. W połowie to pani zasługa, gdy tylko wystukała pani pięć i siedem, naprawa była dziecinną igraszka. Żeby wypełnić kartę pracy, będę potrzebował pani imienia i nazwiska oraz adresu, pod którym jest

pani telefon.

- Nazywam się Doris Rainfield - powiedziała kobieta i podała mu adres przy North End Road, przedłużeniu Golders Green Road, za stacją kolejową.

- Stokrotne dzięki.

- Wzajemnie.

\* \* \*

Martin nacisnął dzwonek przy ogromnych stalowych drzwiach z napisem „Soft Shoulder” wyrytym na mosiężnej tablicy i spojrzał w obiektyw kamery przemysłowej. W domofonie rozległa się seria trzasków, a na ich tle popłynął nosowy kobiecy głos.

- Jeżeli jest pan dostawcą, musi pan podjechać do rampy wyładowniczej na tyłach domu.

- Jestem Martin Odum! - zawołał. - Przyszedłem zobaczyć się z dyrektorem firmy.

- To pan jest tym człowiekiem, który wysyła protezy do Bośni?

- Niestety nie. Przysłał mnie przyjaciel dyrektora, pan Samat Ugor-Żyłow.

- Chwileczkę, kochany.

Trzaski ustąpiły miejsca upiornej ciszy. Chwilę potem głos kobiety, którą Martin wziął za panią Rainfield, znowu rozległ się w domofonie.

- Pan Rabbani pragnie wiedzieć, skąd pan zna pana Ugor-Żyłowa.

- Niech mu pani powie - odparł Martin, używając zwrotu, którym Kastner posłużył się w dniu ich spotkania przy President Street - że jesteśmy ludźmi tego samego pokroju.

- Słucham?

- Tak, no cóż, może pani powiedzieć panu Rabbaniemu, że znam Samata z Izraela.

W domofonie po raz kolejny zapadła cisza, po czym do zamka w drzwiach dotarł słaby prąd elektryczny i drzwi uchyliły się z cichym szcękaniem na szerokość palca. Martin otworzył je na oścież i wszedł zamaszystym krokiem do magazynu. Gdy skierował się betonowym korytarzem obwieszonym kalendarzami z lat osiemdziesiątych, ze zdjęciem jakiejś leżącej z rozrzuconymi ramionami i nogami gwiazdki filmowej, kokietującej swą nagością na każdym z nich, usłyszał szcęk zamykających się drzwi. W przeszklonym boksie na końcu korytarza siedząca za biurkiem młoda kobieta ze sterczącymi piersiami i krótkimi włosami o barwie i wyglądzie siana malowała paznokcie na kolor fuksji. Martin wetknął głowę



przez otwarte drzwi boksu.

- Pani jest zapewne Doris Rainfield - domyślił się.

Kobieta uniosła spojrzenie, zaintrygowana.

- Samat panu o mnie powiedział, prawda, kochaniutki? - Pomachała palcami prawej ręki w powietrzu, żeby wysuszyć lakier. - Naprawdę go lubię. Och, ten to lubi zadzierać nosa, wchodzić tu w tym swoim palcie narzuconym na ramiona, jakby to była jakaś peleryna czy coś takiego. Wyglądał niczym szejk w jednym z niemych filmów z Rudolfem Valentino, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

- Rozumiem, pani Rainfield.

Kobieta ściszyła głos, by podzielić się swoim sekretem.

- Tak naprawdę to nie jestem panią Rainfield. Kiedyś byłam, ale sześć tygodni i trzy dni temu chajtnęłam się z Nigelem Frothem, co czyni ze mnie panią Froth, prawda, kochaniutki? Kojarzy pan to nazwisko? Mój Nigel jest światowej klasy bilardzistą. W zeszłym roku doszedł do ćwierćfinałów mistrzostw Wielkiej Brytanii, przegrał z gościem, który zajął potem drugie miejsce, naprawdę, co było dla niego sukcesem, mówię o Nigelu, nie o tym gościu, co był drugi. W biurze nadal używam nazwiska po pierwszym mężu, bo tak nazywa mnie pan Rabbani. Wszystkie papiery w firmie są na nazwisko Rainfield i on twierdzi, że zmiana byłaby cholernie upier... no, wie pan jaka.

Martin oparł się o ościeżnicę.

- Czy pani Rainfield zachowuje się inaczej niż pani Froth?

- Teraz, gdy pan o tym wspomina, to myślę, że tak. Panu Frothowi podobam się w minispódniczkach i obcisłych sweterkach, naprawdę. Pan Rainfield nie wypuściłby mnie w takim stroju z domu. Bardzo podobnie jak z paltem Samata, czyż nie, kochaniutki? To, co nosimy, świadczy o tym, kim chcemy być. - Trzepocząc nienaturalnie długimi rękami, wskazała wzrokiem drzwi na samym końcu korytarza. - Tamtędy, a potem przejdzie pan przez magazyn po przekątnej i trafi na biuro pana Rabbaniego. Drzwi pilnuje jego totumfacki, Egipcjanin imieniem Raszid, proszę mi wierzyć, na pewno go pan zauważy.

- Czy Raszid to jego prawdziwe imię, czy też pan Rabbani nie chce przerabiać papierów?

Pani Rainfield zachichotała z uznaniem.

- Dziękuję pani - rzekł Martin i ruszył korytarzami utworzonymi przez sterty kartonów, z których każdy oznaczono od szablonu słowami „Proteza” oraz „ręki” albo „nogi” i rozmiarami w calach i centymetrach wraz z

adnotacją drobnym drukiem, że towary te wyprodukowano w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Nad głową Martina rozproszone światło słońca wlewało się przez świetliki zabrudzone sadzą i ptasimi odchodami. Przysadzisty mężczyzna z nieogolonymi policzkami i niechlujnymi włosami, najwyraźniej ochroniarz, wyłonił się zza ostatnich kartonów. Plakietka z ręcznie wypisanym imieniem, przypięta do szerokiej klapy dwurzędowego garnituru, informowała, że to Raszid.

- Nosisz? - zapytał, mierząc Martina wzrokiem, który wyrażał obojętność na los gościa w mało prawdopodobnym wypadku, gdyby nie poddał się rewizji.

Martin odegrał rolę, do której nie był przyzwyczajony: niewiniątka.

- Czy noszę co?

- Jakąś broń - warknął Raszid. - Coś, co policja miejska mogłaby wziąć za krótką broń palną.

Uśmiechając się szeroko, Martin rozstawił nogi i podniósł ręce. Ochroniarz obszukał go fachowo, przesuwając rękę po kroczu tak szybko, że musnął kłykciami jego członek, co sprawiło, iż Martin zadrżał.

- A więc mamy łaskotki? - zauważył z uśmiechem Egipcjanin i przechylił głowę w kierunku drzwi ze starannie wykonanym plastikowym afiszem z informacją: „Taletbek Rabbani - eksport”. Martin zapukał. Po chwili zapukał znowu i usłyszał słabe szorstkie wołanie starszego człowieka:

- Na co czekasz, mój synu, na pisemne zaproszenie?

Taletbek Rabbani, wyglądający niczym nawias okrągły, siedział na wysokim stołku, z grubym papierosem zwisającym z suchych jak pieprz ust, nad jego głową, niczym chmura deszczowa, unosił się dym. Staruszek, który zapewne zbliżał się do dziewięćdziesiątki, był niewiele grubszy od ołówka zaciśniętego w swoich artretycznych palcach. Spod dolnej wargi sterczała kępka białych włosów, służąca za pojemnik na popiół, który spadał z końca papierosa. Gdy Martin wkroczył do pokoju, ogarnęła go fala ciepłego powietrza; staruszek ogrzewał swoje biuro do temperatury bliskiej temperaturom panującym w saunie. Sadowiąc się na obszarpanej kanapie z metką z napisem „Import ze Sri Lanki”, nadal przyczepioną do drewnianej wrzecionowatej nogi, Martin słyszał, jak w grzejnikach bulgocze woda.

- Taletbek Rabbani to chyba tadżyckie nazwisko - zauważył. - Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jest pan Tadżykiem ze stepów doliny Piandżu na północ od Kabulu. Wydaje mi się, że był tam wódz plemienny nazwiskiem Rabbani, który przewodził grupie górskich wiosek niedaleko

granicy z Uzbekistanem.

Rabbani machnął chudymi jak szkielet palcami, by rozwiać dym z papierosa i lepiej przyjrzeć się swojemu gościowi.

- Był pan w Afganistanie? - zapytał.

- W poprzednim wcieleniu większą część roku spędzałem w pobliżu przełęczy Chajber.

Rabbani nadal próbował zorientować się w życiorysie Martina.

- A co tam robiłeś, mój synu, kupowałeś czy sprzedawałeś?

- Kupowałem. Opowieści. Wypytywałem bojowników wjeżdżających do Afganistanu i wyjeżdżających stamtąd i pisałem o nich pochlebnie dla agencji prasowej.

W wyniszczonych przez starość oczach Rabbaniego pojawił się ulotny uśmiech.

- Dla agencji prasowej, akurat! Jedynymi ludźmi, którzy przebywali w okolicach Chajberu, byli agenci amerykańskiego wywiadu. Co oznacza, że był pan po tej samej stronie co mój starszy brat, wódz plemienny Rabbani.

Martin domyślił się tego, gdy tylko skojarzył nazwisko Rabbani; liczył, że naprowadzi go to na właściwy trop w rozmowie z dziadkiem, który - teraz to zauważył - cały czas trzymał lewą dłoń pod biurkiem. Na pewno spoczywała w niej kolba pistoletu.

- Co się stało z pańskim bratem po tym, jak Rosjanie dostali kopa?

- Razem ze wszystkimi innymi mieszkańcami doliny znalazł się w samym centrum wojny domowej, walczył u boku Ahmeda Szah Massuda przeciw talibom, gdy ci porzucili swoje madrasy w Pakistanie i zaczęli przenikać do Afganistanu. Pewnego dnia talibowie zaprosili mojego brata na spotkanie pod białą flagą na rogatkach Kabulu. - W oczach Rabbaniego pojawił się taki sam ulotny uśmiech, tyle że tym razem zabarwiony goryczą. - Odradzałem mu to, ale on był uparty i nieustraszony, więc zlekceważył moją radę. Poszedł na to spotkanie. No i talibowie poderżnęli gardło jemu oraz trzem jego ochroniarzom.

- Pamiętam ten incydent jak przez mgłę.

Lewa dłoń Rabbaniego ukazała się oczom Martina, co świadczyło o tym, że zdał egzamin.

- Żeby być na Chajberze i pamiętać Rabbaniego - rzekł starzec - musiał pan pracować dla CIA. - Gdy Martin ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, Rabbani powoli pokiwał głową. - Rozumiem, że są rzeczy, o których nigdy głośno się nie mówi. Musi pan wybaczyć staremu człowiekowi ten brak

dyskrecji.

Martin słyszał, jak pociągi zatrzymują się na stacji obok magazynu i ruszają z niej z rytmicznym dudnieniem, które było niemal równie przyjemne jak sama podróż koleją.

- Pozwoli pan, że zapytam, panie Rabbani. Jak wylądował pan w Londynie?

- Zostałem wysłany przez brata do Anglii po środki medyczne dla naszych rannych bojowników. Gdy brat został zamordowany, kuzyn ze strony matki wykorzystał moją nieobecność, żeby uzurpować sobie przywództwo plemienia. Jesteśmy teraz zaprzysięgłymi wrogami. Obyczaj plemienny nie pozwala mi ujawnić panu powodu tej waśni rodowej pod nieobecność przedstawiciela mojego kuzyna, który broniłby racji drugiej strony konfliktu. Dość powiedzieć, że przedłużenie pobytu w Londynie wyszło mi na zdrowie.

- I zajął się pan sprzedażą protez do spółki z Samatem?

- Nie wiem, jak dobrze zna pan Samata, ale jest on człowiekiem o duszy filantropa. To on zapewnił pieniądze na wydzierżawienie tego magazynu i założenie firmy.

- Samat, którego znam, nie cieszy się opinią filantropa - stwierdził kategorycznie Martin. - Robi kombinacje z handlem wieloma rodzajami broni, których użycie prowadzi do ciężkiego kalectwa. Skoro działa w firmie sprzedającej protezy do spustoszonych wojną krajów, musi mieć z tego pokaźny zysk.

- Błędnie ocenia pan Samata, mój synu - nie ustępował Rabbani. - I błędnie ocenia pan mnie. Samat jest zbyt młody, by interesował go tylko zysk, a ja już jestem na to zbyt stary. Protezy w pudłach, które widział pan w drodze do mojego biura, sprzedajemy po kosztach własnych.

- Yhm.

- Najwyraźniej nie wierzy mi pan. - Rabbani zsunął się niezdarnie z wysokiego stołka i wyciągnąwszy dwie drewniane laski, których nie było widać za biurkiem, przeszedł na drugą stronę pokoju. Gdy stanął przed kanapą, podciągnął lewą nogawkę spodni, ukazując plastikową protezę w cielistym kolorze z nasuniętym na końcu mokasynem od Gucciego.

- Jak stracił pan nogę? - zapytał cicho Martin.

- Powiedziano mi, że na minie lądowej.

- Nie pamięta pan?

- Niekiedy nocą w moim mózgu pojawiają się przelotne obrazy tego, co

się wtedy stało: ogłuszająca eksplozja, smak ziemi w ustach, lepkość kikuta, gdy sięgnąłem, by go dotknąć, utrzymujące się miesiącami wrażenie, że noga jest nadal na swoim miejscu i czuję w niej ból. Te obrazy zdają się pochodzić z innego życia, więc mam trudności z odtworzeniem tego zdarzenia.

- Psychiatrzy nazywają to chyba mechanizmem przetrwania.

Wspierając się najpierw na jednej, a potem na drugiej lasce, Rabbani wrócił do biurka i dzwignął się na stołek.

- Samata spotkałem po raz pierwszy, gdy na początku lat dziewięćdziesiątych kupowałem w Moskwie sowieckie uzbrojenie z demobilu, żeby Massud i mój brat mogli bronić doliny Piandzu. Oddziały rosyjskiej armii, wycofujące się ze swoich baz w dawnej Niemieckiej Republice Demokratycznej po tym, jak runął mur berliński, sprzedawały całe swoje arsenały - karabiny, karabiny maszynowe, moździerze, miny lądowe, radia, dzipy, czołgi, amunicję. Samat, reprezentujący interesy handlowe kogoś bardzo wpływowego, był pośrednikiem. W tym okresie mojego życia kupowanie i używanie tego uzbrojenia nie budziło we mnie poczucia winy. Robiłem talibom to, co oni w końcu zrobili mnie. Działo się to, zanim jeszcze sam wszedłem na minę lądową. Niech pan uwierzy komuś, kto tego doświadczył, panie Odum, wejście na minę to porywające przeżycie. W jednej chwili człowiek styka się z ziemią, a w następnej na przekór sile ciężenia bije członkami w powietrzu jak cepem. Gdy spada z powrotem na ziemię, ma jedną kończynę mniej i nic, ani jego ciało, ani jego umysł, nie jest już takie samo. To właśnie Samat załatwił mi przewiezienie samolotem do moskiewskiego szpitala. To właśnie on zjawił się z moją protezą amerykańskiej produkcji. Nie byłoby przesadą stwierdzenie, że stałem się innym człowiekiem. I właśnie dlatego kieruję magazynem pełnym protez, które sprzedajemy po kosztach własnych.

- A skąd wzięła się nazwa „Soft Shoulder”?

- Kiedyś podróżowaliśmy razem po Stanach Zjednoczonych - wyjaśnił Rabbani. - Jechaliśmy dużym amerykańskim samochodem z Santa Fe w Nowym Meksyku do Nowego Jorku, gdy przypadkiem wpadliśmy na pomysł zajęcia się eksportem protez dla ofiar wojny. Kiedy zatrzymaliśmy się na poboczu drogi, żeby się wysikać, przypieczętowaliśmy ten projekt uściskiem dłoni. Obok samochodu stał znak z napisem „Soft Shoulder”<sup>[6]</sup>. Żaden z nas nie wiedział, co to znaczy, ale uznaliśmy, że dla naszej firmy będzie stosowną nazwą.

Rozległ się dzwonek interkomu. Rabbani wcisnął dźwignię wprawnym ruchem laską i warknął z rozdrażnieniem:

- Co znowu, córciu?

W głośniku zabrzmiał głos pani Rainfield:

- Przyjechała ciężarówka po przesyłkę do Bośni, proszę pana. Posłałam ich na rampę załadowniczą. Dali mi potwierdzony czek bankowy na właściwą kwotę.

- Zadzwoń do banku, by potwierdzili wystawienie czeku. A tymczasem każ Raszidowi nadzorować załadunek. - Rabbani przełączył dźwignię laską, przerywając połączenie. - Czujności nigdy nie jest za wiele - narzekał. - Mnóstwo podejrzanych typów zarabia masę forsy, rozprawdzając protezy, nie są więc zachwyceni, że ktoś je sprzedaje po kosztach własnych. - Wyciągnął niedopałek z ust i wrzucił go do metalowego kosza na śmieci ustawionego po drugiej stronie pokoju. - Był pan w Izraelu, panie Odum?

- Mniej więcej dziesięć dni temu.

- Kazał pan pani Rainfield przekazać mi, że zna pan Samata z Izraela. Czemu pan skłamał?

Martin zrozumiał, że od tego, jak odpowie na to pytanie, wiele zależy.

- Żeby dostać się za próg drzwi - odparł i przekrzywił głowę. - Dlaczego uważa pan, że kłamałem?

Rabbani wyciągnął z kieszeni ogromną chustkę i wytarł nią spocony pod kołnierzem koszuli kark.

- Samat wyjechał z Izraela, zanim pan tam dotarł, mój synu.

- Skąd pan o tym wie?

Starzec wzruszył kościstymi ramionami.

- Nie będę pytał, skąd pan czerpie swoją wiedzę. Może więc raczyłby pan nie wypytywać mnie, skąd czerpię moją. Samat zbiegł z Izraela. Jeżeli zapukał pan dzisiaj do moich drzwi, to dlatego, że jakoś dotarł pan do rejestru jego rozmów telefonicznych i ustalił, że dzwonił na ten adres w Londynie, chociaż te rejestry miały być zniszczone. Nie zapytam, jak pan to zrobił, operatorowi nie wolno ujawniać adresów odpowiadających numerom zastrzeżonym.

- Dlaczego mnie pan wpuścił, skoro wiedział pan, że kłamię w sprawie Samata?

- Ocenilem, że jeżeli był pan na tyle bystry, żeby mnie znaleźć, może pan być dostatecznie bystry, by doprowadzić mnie do niego.

- Proszę ustawić się w kolejce, panie Rabbani. Wygląda na to, że

wszyscy, z którymi się spotykam, chcą znaleźć Samata.

- Oni chcą tego, żeby go zabić. Ja chcę go odnaleźć po to, by uratować mu życie.

- Wie pan, dlaczego uciekł z Izraela?

- Oczywiście, że wiem. Uciekł z Izraela z tego samego powodu, z jakiego uciekł do Izraela. Szukali go czeczeńscy płatni mordercy. Szukają go od czasu wielkiej wojny gangów w Moskwie. Samat pracuje dla Oligarchy, jest pan bystry przyznaję, ale nie aż tak, by o nim wiedzieć.

Martin nie potrafił się powstrzymać.

- To stryj Samata. Cwietan Ugor-Żyłow.

Starzec rechotał dopóty, dopóki śmiech nie przeszedł w ochrypy kaszel. Z kącika ust wyciekła mu ślina. Z trudem łapiąc oddech, otarł ją chustką.

- Bystry z pana gość. Wie pan, co wydarzyło się podczas wielkiej wojny gangów?

- Sojusz Słowiański walczył z czeczeńskimi gangami. O terytorium. O podział wpływów.

- W szczytowym okresie wojny w Czeczenii mieli około pięciuset bojowników operujących z hotelu „Rossija” niedaleko Kremla. Ich przywódca był znany pod swoim wojennym pseudonimem, czyli jako Osman. Oligarcha zaaranżował, by porwano go wraz z jego ówczesną przyjaciółką. Samat został wysłany na negocjacje z Czeczenami. Gdyby chcieli odzyskać swojego przywódcę, musieliby opuścić Moskwę i zadowolić się niektórymi z mniejszych miast, które Oligarcha był skłonny im odstąpić. Czeczeni odparli, że muszą omówić tę sprawę z innymi. Samat uznał, że grają na zwłokę; nawet gdyby się zgodzili, nie było gwarancji, że zrezygnują z Moskwy. Przekonał Oligarchę, że Czeczenom trzeba dać nauczkę. Nazajutrz rano ludzie idący do pracy znaleźli ciała Osmana i jego przyjaciółki zwisające głowami w dół z latarni w pobliżu murów Kremla. Gazety przyrównały to do śmierci Mussoliniego i jego kochanki w końcowych dniach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

- I nazywa pan Samata filantropem?

- Wszyscy mamy wiele wcieleń, mój synu. To było jedno wcielenie Samata. W swoim drugim wcieleniu sprzedawał protezy po kosztach własnych, żeby zapewnić pomoc ofiarom min lądowych. Zanim wszedłem na minę, byłem innym człowiekiem. A pan, panie Odum? Jest pan jednowymiarowy czy też, jak reszta z nas, ma pan rozszczepioną osobowość?

Martin podniósł rękę do skroni, by opanować migrenę pulsującą niczym

odgłos pociągów wjeżdżających i wyjeżdżających ze stacji. Po drugiej stronie pokoju starzec ostrożnie wyciągnął kolejnego papierosa z szuflady biurka i zapalił go zapalką, którą potarł szybkim ruchem o paznokiec. I znowu deszczowa chmura dymu uniosła się nad jego głową.

- Kto panu płaci za znalezienie Samata?

Martin powiedział o żonie, którą Samat porzucił w Izraelu; o tym, że musi odnaleźć męża, żeby ten mógł dać jej rozwód przed trybunałem rabinackim. Zaciągając się papierosem, Rabbani zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Porzucenie żony w taki sposób to do niego niepodobne - uznał. - Skoro uciekł, to znaczy, że Czeczeni wysłędzili go w tej żydowskiej kolonii pod Hebronem. Czeczeni mają długie noże i długą pamięć. Mówiono mi, że niektórzy z nich noszą wycięte z gazet zdjęcia Osmana i jego kobiety zwisających z moskiewskiej latarni. Musieli, mówiąc w przenośni, pukać już do jego drzwi, skoro wziął nogi za pas. - Rabbani wysunął kolejną szufladę i wyciągnął z niej metalową skrzynkę, którą otworzył kluczem przyczepionym do dewizki złotego zegarka w kieszeni kamizelki. Wyjął plik banknotów funtowych i rzucił je na najbliższy Martina brzeg biurka. - Chciałbym odnaleźć Samata, zanim dopadną go Czeczeni. Chciałbym mu pomóc. Pieniądze nie są mu potrzebne, ma dostęp do całej forsy, jakiej mógłby kiedykolwiek zapragnąć. Potrzebuje jednak przyjaciół. Mógłbym mu załatwić zniknięcie w nowym wcieleniu, a nawet w nowym życiu. Czy więc będzie pan dla mnie pracował? Czy odnajdzie pan Samata i powie mu, że Taletbek Rabbani jest gotów przyjść z pomocą swojemu przyjacielowi?

- Skoro Samat jest ścigany przez Czeczenów, to pomoc dla niego mogłaby obciążyć pańskie konto.

Rabbani sięgnął po laskę i postukał nią w swoją protezę.

- Zawdzięczam Samatowi nogę. A moja noga stała się moim życiem. Tadżyk nigdy nie lekceważy takiego długu wdzięczności, mój synu.

Martin wstał, podszedł do biurka i ułożył banknoty w wachlarz, jakby to była talia kart. Potem zebrał je i wetknął do kieszeni.

- Mam nadzieję, że powie mi pan, gdzie mam zacząć szukać.

Starzec wziął do ręki ołówek, narysował coś na odwrocie koperty i wręczył ją Martinowi.

- Samat przyjechał tutaj po wyjeździe z Izraela, chciał pogadać o przedsięwzięciach, do których był szczególnie przywiązany. Został dwa dni, po czym poleciał do Pragi. W Pradze jest filia, kolejne z ulubionych



przedsięwzięć Samata, która na boku wykonuje dla niego tajne zadania. Poznałem jednego z dyrektorów, Czeszkę, gdy przyjechała tu spotkać się z Samatem. Dała mi wizytówkę, na wypadek gdybym kiedyś odwiedził Pragę.

- Jakiego rodzaju tajne zadania?

- Nie jestem pewien. Przypadkiem usłyszałem ich rozmowę, to przedsięwzięcie miało coś wspólnego z wymianą szczątków litewskiego świętego na święte zwoje żydowskiej Tory. Niech pan nie pyta, co szczątki litewskiego świętego mają wspólnego z rękopisami Tory. Nie wiem. Samat występował w bardzo zróżnicowanych rolach. Ten, którego znałem, eksportował protezy po kosztach własnych. Były inne jego wcielenia, które widziałem tylko w przelocie. W jednym z nich kombinował coś w Pradze w miejscu, którego adres podałem.

Martin zerknął na kopertę, a potem wyciągnął rękę. Rabbani chwycił ją kościstą dłonią o skórze koloru wosku, jak gdyby nie chciał, żeby odchodził. Z jego starczej krtani popłynęły słowa, w których trudno było rozpoznać ludzką mowę.

- Widzę wszystko z perspektywy człowieka pukającego do drzwi śmierci. Apokalipsa jest tuż za rogiem, mój synu. Patrzy pan na mnie, jakbym był pensjonariuszem domu wariatów, panie Odum. J e s t e m n i m. Na dobrą sprawę pan też nim jest. Zachodnia cywilizacja czy też to, co z niej zostało, to jeden wielki dom wariatów. Nielicznych szczęśliwców, którzy to rozumieją, określa się mianem obłąkanych i umieszcza w zakładach. - Rabbani oddychał z wielkim trudem. - Niech pan go znajdzie, zanim zrobią to oni - wykrztusił. - On jest jednym z tych nielicznych szczęśliwców.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Idąc z powrotem między pudłami w stronę wyjścia z magazynu, Martin minął trzech szczupłych mężczyzn taszczących kartony na wózek transportowy. Ochroniarz Rabbaniego, Raszid, stał z boku, spoglądając na nich nieruchomym wzrokiem. Trzej mężczyźni, wszyscy gładko ogoleni, byli ubrani w identyczne pomarańczowe kombinezony z emblematem firmy przewozowej naszytym nad zamkiem błyskawicznym w kieszeni na piersi. Gdy przechodził obok, unieśli wzrok, by mu się przyjrzeć; żaden się nie uśmiechnął. Było w nich coś niepokojącego - Martin nie wiedział jednak co.

Pani Rainfield pomachała mu ze swojego boksu, gdy skierował się betonowym korytarzem do drzwi frontowych. Kiedy do nich dotarł, przez zamek z cichym skwierczeniem przepłynął prąd i drzwi otworzyły się z trzaskiem. Znalazszy się na ulicy, pomachał wesoło do kamery

przemysłowej nad swoją głową. Gdy ruszył ulicą w kierunku Golders Green oraz domu z pokojami do wynajęcia, nadal próbował rozgryźć, co takiego w trzech pracownikach firmy przewozowej przyciągnęło jego uwagę.

\* \* \*

Trzej mężczyźni w pomarańczowych kombinezonach ułożyli na wózku tak wysoką stertę pudeł, że najwyższe zaczęło się chwiać. Raszid skoczył naprzód, by zapobiec upadkowi kartonu na ziemię

- Uważajcie, co robicie... - zaczął mówić. Gdy się odwrócił, okazało się, że patrzy w otwór tłumika wkręconego w lufę włoskiej beretty, wycelowanej prosto w jego czoło.

Raszid skinął niedostrzegalnie głową, jak muzułmanin pozwalający zabójcy położyć kres swojemu życiu. Mężczyzna w kombinezonie odpowiedział skinieniem głowy uznając, że Egipcjanin jest panem swojego losu, i nacisnął na spust. Rozległ się stłumiony syk krótkiej broni palnej, która odskoczyła nieznacznie, gdy na czole Raszida pojawiła się równa rana kłuta. Drugi mężczyzna chwycił go pod pachy i ułożył zwłoki na betonowej posadzce. Trzeci przeszedł na drugą stronę magazynu do biura pani Rainfield i zastukał w szklane drzwi. Skinęła na niego, by wszedł.

- Co mogę dla pana zrobić, kochaniutki?

Mężczyzna wyciągnął pistolet z tłumikiem z zamkniętej na zamek błyskawiczny kieszeni kombinezonu i strzelił jej w serce.

- Umrzeć - odparł, gdy osunęła się na biurko z martwymi oczami zastygłymi w wyrazie bezgranicznego zdumienia.

Dwaj pozostali w magazynie mężczyźni zapukali do drzwi biura Taletbeka Rabbaniego i weszli do środka. Jeden z nich wyciągnął manifest ładunkowy.

- Panie Rabbani, brakuje dwóch kartonów z protezami stóp numer sześć - powiedział, gdy podeszli do jego biurka.

- To absolutnie niemożliwe - odparł Rabbani, chwytając laski i wstając. - Pytaliście Raszida... - spostrzegł wyposażony w tłumik pistolet o centymetry od swojej czaszki. - Kim jesteście? - wyszeptał szorstko. - Kto was przysłał?

- Jesteśmy, kim jesteśmy - odparł mężczyzna z bronią. Wyszarpnął Rabbaniemu z rąk laski i chwyciwszy go za ręce, zaciągnął przez magazyn do słupka w pobliżu zwłok Raszida, szorując po ziemi mokasynem od Gucciego wsuniętym na plastikowy koniec protezy. Człowiek, który zastrzelił panią Rainfield, przyniósł szpulę grubego pomarańczowego sznura do pakowania i związał nim przeguby rąk starca. Następnie przerzucił szpulę

nad biegnącą w górze rurą i ciągnął za sznur, aż wyciągnięte nad głową ręce Taletbeka wygięły się w stawach łokciowych, a palec sprawnej stopy szorował po betonie. Mężczyzna, który wydawał się przywódcą grupy, podszedł do starca.

- Gdzie jest Samat?

Taletbek pokręcił głową.

- Jak mogę powiedzieć wam coś, czego sam nie wiem?

- Stracisz życie, jeżeli nie zechcesz pomóc nam go znaleźć.

- Kiedy zjawicie się w piekle, będę tam na was czekał, mój synu.

- Jesteś muzułmaninem? - zapytał przywódca.

Taletbek zdołał potwierdzić skinieniem głowy.

- Wierzysz w Stwórcę, Wszechmocnego? Wierzysz w Allaha?

Taletbek dał do zrozumienia, że wierzy

- Odbyłeś pielgrzymkę do Mekki?

Rabbani, z twarzą wykrzywioną z bólu, znowu skinął głową.

- W takim razie módl się. Za chwilę spotkasz się z jedynym prawdziwym Bogiem.

Starzec zamknął oczy i powiedział półgłosem:

- *Asz'hadu an la ilahu ila Allah wa'asz'hadu ana Muhammadan rasul Allah.*

Przywódca grupy zabójców wyciągnął z buta ostry jak brzytwa sztylet z rowkiem biegnącym wzdłuż cienkiego ostrza, o poźółkłej rękojeści z wielbłądziej kości. Stał obok starca i obmacywał miękką pomarszczoną skórę na jego chudej szyi, szukając żyły.

- Pytam po raz ostatni: gdzie jest Samat?

- Jaki Samat?

Przywódca znalazł żyłę i powoli zanurzał ostrze noża w szyi Taletbeka, aż widać było jedynie rękojeść. Trysnęła krew, plamiąc kombinezon zabójcy, zanim zdążył uskoczyć. Dysząc, za każdym kolejnym razem płycej, starzec wciągnął w płuca krew, aż w końcu głowa mu opadła, a ciało obwisło pod własnym ciężarem, wyrywając ramiona ze stawów.

\* \* \*

Martin zatelefonował z budki pod numer Stelli na Crown Heights i słuchał, jak jej aparat dzwoni po drugiej stronie linii. Uświadomił sobie, że cieszy się na to, iż usłyszy jej głos - nie mógł zaprzeczyć, że zawróciła mu w głowie.

- To naprawdę ty, Martinie? - wykrzyknęła, zanim zdążył dokończyć

zdanie. - Cholera jasna, cieszę się, że dzwonisz. Wierz lub nie, ale tęskniłam za tobą.

- Ja także tęskniłem - odparł odruchowo. W pełnej napięcia ciszy wyobraził sobie, jak język Stelli przesuwają się błyskawicznie po wyszczerbionym zębie.

Chrząknęła.

- Co ty na to, byśmy najpierw uporali się ze służbową częścią rozmowy? Owszem, była sekcja zwłok. Z oczywistych powodów dokonał jej lekarz CIA. Człowiek z FBI, z którym tato kontaktował się, gdy czegoś potrzebował, wysłał mi wyniki razem z listem wyjaśniającym. Napisał w nim, że policja nie znalazła żadnych śladów włamania. Lekarz, który robił sekcję zwłok, doszedł do wniosku, że tato zmarł na atak serca.

Martin głośno myślał:

- Może powinnaś uzyskać jeszcze jedną opinię.

- Na kolejną sekcję zwłok jest już za późno.

- Co to znaczy za późno?

- Gdy nikt nie wystąpił o zwrot ciała Kastnera, CIA kazała je poddać kremacji. Dali mi jedynie jego prochy. Poszłam na środek mostu Brooklyńskiego i wykrzyczałam puentę jednego z antysowieckich dowcipów, które szczególnie podobały się Kastnerowi: „Uważaj, o co walczysz, bo możesz to wywalczyć”, i wysypałam prochy do rzeki.

- Yhm.

- Nie znoszę, gdy mówisz „yhm”, ponieważ nigdy nie jestem pewna, co chcesz przez to powiedzieć.

- Nic. Po prostu zyskuję na czasie, by mój mózg to wszystko przetrawił. Czy rozmawiałaś przypadkiem z Xingiem z chińskiej restauracji?

- Tak. Dopóki nie przekonałam go, że jestem twoją przyjaciółką, był bardzo podejrzliwy. I zły, że nie wróciłeś na pogrzeb tej młodej Chinki, którą zabiły pszczoły.

- Co mu powiedziałaś?

- Że jesteś zajęty pracą. Chyba zadowolili się tym wyjaśnieniem. Ta dziewczyna...

- Miała na imię Minh.

- Minh bardzo cierpiała przed śmiercią, Martinie. Policjanci, którzy prowadzą śledztwo w tej sprawie, uznali, że zginęła przypadkiem.

Martin zaniósł się krótkim śmiechem.

- Miód eksplodował przypadkiem.

- Co to znaczy?

- Nic. Dowiedziałaś się, w co była ubrana, gdy zaatakowały ją pszczoły?

- W artykule w „Daily News” napisano, że w biały jednoczęściowy kombinezon z podwiniętymi rękawami i nogawkami. Koło niej znaleziono korkowy hełm z przymocowaną do niego siatką. - Policyjny radiowóz z wyjącą syreną przemknął obok Martina, zagłuszając całą rozmowę. Gdy syrena ucichła, usłyszał, jak Stella mówi: - Och, teraz rozumiem.

- Co rozumiesz?

- Podwinięte rękawy i nogawki - to był twój kombinezon, prawda? Myślisz... czy mogło być tak, że ktoś... o Boże. - Stella ściszyła głos. - Jestem przerażona, Martinie.

- Ja też jestem przerażony. Mam wrażenie, że przez cały czas.

- Czy twoja podróż była udana?

- Jeszcze nie wiem.

- Wracasz?

- Jeszcze nie teraz.

- Chcesz, żebym przyleciała spotkać się z tobą? Pamiętaj, że co dwie głowy to nie jedna. Dwa serca także. - Martin słyszał niemalże, jak stłumiła okrzyk zażenowania. - Bez żadnych zobowiązań, to się rozumie samo przez się.

- Dlaczego rzeczy zrozumiałe same przez się zamieniają się w słowa?

- Żeby nie było nieporozumień. Hej, chcesz usłyszeć dobry rosyjski dowcip?

- Zachowaj go na chwilę, gdy znowu się zobaczymy.

- Zgoda.

- Na co?

Stella powiedziała to bardzo cicho:

- Na to, że znowu się zobaczymy.

Słysząc było, jak jeszcze jeden samochód policyjny z wyjącą syreną nadjeżdża Golders Green Road.

- Cześć - powiedział szybko Martin.

- Cześć. Uważaj na siebie.

- Yhm.

Radiowóz niemal zrównał się z Martinem i Stella musiała krzyczeć, żeby ją usłyszał.

- Jesteś niepoprawny.

\* \* \*

Martin znalazł pub na końcu Golders Green i usiadł w boksie z tyłu sali. Kelnerka, młoda chudzina z przekłutym jednym uchem, jednym nozdrzem i jedną powieką oraz widocznym spod przykrótkiego T-shirtu pępkiem, podeszła z menu wypisanym starannie kredą na małej tablicy. Martin zamówił specjalność dnia i małe jasne. Pił piwo i czekał na posiłek, gdy z przodu sali powstało zamieszanie. Ludzie odeszli od baru i stolików, by zgromadzić się pod telewizorem umieszczonym u góry na półce. Ekran był zwrócony w inną stronę, więc Martin nie mógł zorientować się, o czym mówiono. Gdy kelnerka wróciła z mięsem z jarzynami w cieście i frytkami, zapytał, co się dzieje.

- W magazynie o dwa kroki stąd zamordowano jakichś ludzi. Wie pan, nigdy przedtem przy Golders Green nie wydarzyło się nic równie ekscytującego. Stąd te wszystkie syreny policyjne.

Martin przeszedł do przodu sali i dosłyszał końcówkę tej wiadomości. „Magazyn, usytuowany tuż za stacją kolejową, stał się sceną serii makabrycznych morderstw - powiedział prezenter. - Zgodnie z rejestrami władz miasta magazyn był wykorzystywany jako skład protez wysyłanych przez grupę humanitarną o nazwie «Soft Shoulder» krajom spustoszoną przez wojnę”. Prezenterka dorzuciła: „Dowiadujemy się właśnie, że z magazynu wyniesiono zwłoki trojga osób. Ustalono, że są nimi pan Taletbek Rabbani, lat osiemdziesiąt osiem, uchodźca afgański, który kierował tą akcją humanitarną i który - przywiązany do rury - wykrwawił się na śmierć od zadanej nożem rany w szyi; jego współpracownik, Egipcjanin znany jako Raszid, który zginął od jednego strzału w głowę; oraz sekretarka, pani Doris Rainfield, którą również zastrzelono. Czwarta osoba, kobieta, zaginęła i policja obawia się, że mogła zostać porwana przez grupę płatnych zabójców podczas ucieczki z miejsca zbrodni. Ustalono, że zaginiona to pani Froth, i poinformowano, że jest żoną znanego bilardzisty, Nigela Frotha”.

Wracając do stolika, Martin stwierdził, że stracił ochotę na mięso w cieście. Podniósł palec, zwrócił na siebie uwagę kelnerki i zawołał:

- Whiskey, nierozcieńczoną. Podwójną porcję.

Powoli sączył whiskey i leczył zranione uczucia, gdy nagle przypomniał sobie, co go tak zaniepokoiło w wyglądzie trzech mężczyzn w pomarańczowych kombinezonach w magazynie. No jasne! Czemu nie dostrzegł tego wcześniej? Wszyscy byli gładko ogoleni. Górne połowy twarzy mieli rumiane, jakby spędzali większość dnia na wolnym powietrzu. Ale dolne połowy były szare jak chodnik - jeden z mężczyzn miał

zadrażnienia od brzytwy na skórze - najwidoczniej dopiero niedawno zgolili gęste brody, aby trudniej było rozpoznać w nich muzułmanów.

Martin zamknął oczy i przywołał obraz Taletbeka Rabbaniego zwisającego z rury, w chwili gdy zabójca dźgnął go nożem w szyję. Próbując wpaść na trop Samata, Czeczeni, pozbawieni w Londynie zarostu, wrócili wyrównać rachunki z jednonogim tadżyckim bojownikiem szybciej, niż sobie wyobrażał.

## 1994: Jedyłą strawą było mięso armatnie

- Gdy przerwaliśmy w zeszłym tygodniu - mówiła doktor Treffler - komentowałeś fakt - jej oczy pobiegły do zapisków w notesie z luźnymi kartkami - że pewne rzeczy potrafisz robić dobrze za pierwszą próbą.

Psychiatra Firmy, mająca na sobie obcisłą niezakrywającą kolan spódnice, zdjęła nogę z nogi i ponownie je skrzyżowała. Martin odwrócił głowę, gdy obnażyła udo. Zrozumiał, że niczego nie robi bez powodu; sztuczka z nogami była sposobem zbierania informacji o jego temperamencie seksualnym, jeśli założyć, że w ogóle odczuwał popęd płciowy. Zastanawiał się, co inni psychiatrzy sądziliby o tym, jak notowała uwagi, wypełniając luźne kartki od góry do dołu i od brzegu do brzegu drobnymi bazgrołami, w których wszystkie litery pochylały się pod naporem jakiejś wyimaginowanej burzy uczuć. Sołżenicyn napisał w ten sposób *Jeden dzień Iwana Denisowicza*, ale on uwalniał się od wspomnień siedmioletniego pobytu w stalinowskim gułagu. Jakie ona miała wytłumaczenie? Co znaczyła ta niechęć do marginesów?

- Tak, teraz pamiętam - rzekł w końcu. Przez szyby okna i zieloną drucianą siatkę (umieszczoną tam, żeby powstrzymać pacjentów od samobójczych skoków?) zdołał rozpoznać fragment marylandzkiego krajobrazu; widział ostatnie brunatne liście trzymające się kurczowo gałęzi drzew. Poczł odruchowy podziw dla ich nieustępliwości. - Zawsze mnie to intrygowało - kontynuował, ponieważ tego oczekiwała; ponieważ siedziała tam ze skrzyżowanymi nogami i obnażonym udem oraz wiecznym piórem marki Mont Blanc zawieszonym nad luźną kartką notesu. - Wydawało mi się zabawne, jak pewne rzeczy, które robimy, robimy dobrze za pierwszym razem.

- Na przykład? - zapytała głosem tak bezbarwnym, że zdradzał całkowity brak zainteresowania odpowiedzią.

- Na przykład obieranie mandarynki. Na przykład przycinanie lontu do plastycznego materiału wybuchowego na długość wystarczającą, by dać sobie czas na wydostanie się poza zasięg rażenia. Na przykład przekazywanie przesyłki łącznikowi na jednym z zatłoczonych bejruckich suków.

- Jakiego pseudonimu używałeś w Bejrucie?



- Dante Pippen.

- Czy to nie ten - Bernice (od kilku ostatnich sesji zwracali się do siebie po imieniu) przerzuciła kartkę w notesie - który miał uczyć historii w kolegium? Ten, który napisał książkę o wojnie secesyjnej, wydrukowaną własnym sumptem, gdy nie mógł znaleźć wydawcy skłonnego podjąć się publikacji?

- Nie, masz na myśli Lincolna Dittmanna, przez dwa „t” i dwa „n”. Pippen był irlandzkim dynamitardem z Castletownbere, który zaczął jako instruktor od materiałów wybuchowych na „farmie”. Później, udając dynamitarda z IRA, przeniknął do sycylijskiej rodziny mafijnej, talibskich mułłów w Peszawarze oraz oddziału Hezbollahu w libańskiej dolinie Bekaa. Właśnie ta ostatnia misja doprowadziła do jego demaskacji.

Doktor Treffler skinęła głową, dopisując jakąś uwagę na kartce.

- Trudno mi śledzić twoje różne wcielenia.

- Mnie również. Właśnie dlatego tu jestem.

Uniosła wzrok znad notesu.

- Czy na pewno zidentyfikowałeś wszystkie swoje biografie operacyjne?

- Zidentyfikowałem te, które pamiętam.

- Czy masz wrażenie, że część możesz wypierać ze świadomości?

- Nie wiem. Zgodnie z twoją teorią nie jest wykluczone, że wypieram przynajmniej jedną z nich.

- Literatura przedmiotu jest mniej lub bardziej zgodna co do tego, że...

- Sądziłem, że nie jesteś przekonana, czy dobrze pasuję do literatury przedmiotu.

Doktor Treffler błysnęła jednym z bardzo rzadkich u niej uśmiechów, który wyglądał niczym obcy przedmiot na pozbawionej zwykle wyrazu twarzy.

- Jesteś *hors genre*, Martinie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nikt w mojej profesji nie natknął się na kogoś takiego jak ty. Będzie spore poruszenie, gdy opublikuję mój referat...

- Zmieniając nazwiska, aby chronić niewinnych.

Ku zaskoczeniu Martina pani doktor zaprezentowała coś, co można było uznać za poczucie humoru.

- Zmieniając nazwiska także po to, żeby chronić winnych.

- Widzę, że wczuwasz się w sytuację, Bernice. Ludzie, którzy płacą ci za rozmiękczenie mi mózgu, będą zachwyceni.

- Psychiatrzy nie rozmiękczają pacjentom mózgów, Martinie. Łagodzimy

ich problemy.

- Na wieść o tym odetchnąłem z ulgą.

- Powiedz mi coś więcej o Lincolnie Dittmannie.

- Na przykład co?

- Wystarczy cokolwiek, co przychodzi ci do głowy. - Gdy Martin wciąż się wahał, dodała: - Posłuchaj, możesz mi powiedzieć wszystko to, co możesz powiedzieć dyrektorowi CIA.

- Wszystko?

- Właśnie dlatego znalazłeś się w tym gabinecie. To prywatna klinika. Lekarze, którzy tu pracują, zostali dopuszczeni do tajemnic państwowych. Leczymy agentów, którzy z rozmaitych powodów potrzebują pomocy przed powrotem do życia w cywilu.

- Gdybyś była dyrektorem CIA, a ja siedziałbym tak twarzą do ciebie, dotykając niemal twoich kolan...

Bernice skinęła dla zachęty głową.

- Mów dalej.

- Powiedziałbym ci, że wielbłąd to koń zaprojektowany większością głosów. Potem bym dodał, że CIA to agencja wywiadowcza zaprojektowana w ten sam sposób. A później przypomniałbym ci, że we wszystkich znanych człowiekowi cywilizacjach stosunek liczby dup wołowych do liczby wołów był wyższy niż jeden.

- Jesteś zły. - Doktor Treffler zanotowała coś na kartce. - W złości nie ma absolutnie nic niewłaściwego. Nie bój się jej uzewnętrznić.

Martin wzruszył ramionami.

- Myślałem, że wyrażam tylko zdrowy cynizm.

- Lincoln Dittmann - powiedziała, sprowadzając rozmowę z powrotem na temat swojego pytania.

- Wychował się w małym miasteczku w Pensylwanii noszącym nazwę Jonestown. Jego matka była polską imigrantką, która przybyła do Ameryki po drugiej wojnie światowej. Ojciec posiadał sieć sklepów żelaznych z głównym składem we Fredericksburgu, na wirgińskim brzegu Potomacu. W efekcie spędzał tam kilka miesięcy w roku i zabierał ze sobą syna, gdy podróż do Fredericksburga wypadła w czasie szkolnych wakacji. Lincoln wykorzystał wolny czas na poszukiwania pamiątek na pobliskim polu bitwy. W tamtych czasach na okolicznych polach po ulewnym deszczu można było jeszcze znaleźć zardzewiałe bagnety, kule armatnie bądź lufy ładowanych od przodu karabinów. Zanim Lincoln skończył dwanaście lat, gdy inni chłopcy

w jego wieku czytali komiksy o Batmanie, on potrafił opisać bitwę pod Fredericksburgiem ze wszystkimi detalami. Za jego namową ojciec, objeżdżając swoje sklepy, kupował od farmerów sprzęt z czasów wojny secesyjnej, wracał do domu swoim studebakerem z karabinami, bagnetami oraz prochownicami i medalami wojsk federalnych na tylnym siedzeniu..

- Nie z medalami konfederatów?

- Konfederaci nie dawali medali swoim żołnierzom. Gdy Lincoln wyjechał do college'u, miał już sporą kolekcję. Był nawet posiadaczem rzadkiego angielskiego whitwortha, ulubionej broni strzelców wyborowych Konfederacji. Tekturowe naboje były diabelnie drogie, ale wprawny snajper potrafił trafić do wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu jego wzroku.

- Gdzie uczęszczał do college'u?

- Na Uniwersytecie Pensylwanii. Specjalizował się w historii Ameryki. Pracę dyplomową napisał o bitwie pod Fredericksburgiem. Gdy zaczął nauczać w kolegium, przerobił ją na książkę.

- Tę, którą wydrukował własnym sumptem, gdy nie mógł znaleźć wydawcy?

- Niemożność znalezienia prawdziwego wydawcy była dla niego źródłem gorzkiego zawodu.

- Cóż takiego szczególnego było w bitwie pod Fredericksburgiem?

Martin uniósł lepką od potu rękę, żeby pomasować sobie czoło. Ten mimowolny gest nie uszedł uwagi doktor Treffler.

- Doszło do niej na początku grudnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku - zaczął, spoglądając z nieobecny wyrazem twarzy przez okno na horyzont, wyczekując błysków dochodzących z pola toczącej się za nim wielkiej bitwy. - Na czele federalnej Armii Potomacu stał nowy generał; nazywał się Burnside. Ambrose Burnside. Wydawało mu się, że znalazł sposób na zakończenie wojny jednym błyskawicznym natarciem przez Wirginię w celu zdobycia Richmond, stolicy skonfederowanych stanów. Lincoln zaaprobował plan i Burnside poprowadził swoich żołnierzy forsownym marszem wzdłuż Potomacu do miejsca na przeciwległym brzegu rzeki pod Fredericksburgiem. Gdyby zdołał zaskoczyć buntowników i zająć miasto, droga do Richmond stałaby otworem, a wojna zakończyłaby się, zanim na dobre rozgorzała. Burnside złożył pilne zamówienie na mosty pontonowe, ale gdy dotarł do Fredericksburga, okazało się, że Departament Wojny ich nie wysłał. Skończyło się na tym, że armia federalna rozbiła na dziesięć dni obóz po swojej stronie rzeki i czekała na te cholerne mosty, dając

Robertowi Lee czas na ściągnięcie armii i skoncentrowanie sił na wzgórzach nad miastem. Gdy w końcu mosty dotarły i Burnside przeprowił się przez rzekę, okazało się, że drogę do Richmond zagraża Bobby Lee oraz siedemdziesiąt pięć tysięcy konfederatów. Pogoda była zimowa, jesienne błoto w pooranych koleinami drogach stwardniało. Oddziały federalne, postępujące naprzód po otwartym pochyłym terenie, nacierały cały dzień, fala za falą, w swoich jaskrawych, szytych fabrycznie pierwszorzędnym mundurach. Rebelianci w samodziałach farbowanych barwnikami roślinnymi, ostrzeliwujący się zza niskiego kamiennego muru na skraju zapadniętej drogi u stóp Marye's Hill, odpierali wszystkie ataki. Strzelcy wyborowi, uzbrojeni w whitworthy, zabijali oficerów armii federalnej z taką łatwością, że wielu z nich zaczęło zrywać swoje insygnia, idąc do boju. Grupy unionistów próbowały ukryć się za paroma murowanymi domami na równinie, ale jankeska kawaleria, bijąc szablami na płask, zmusiła ich do powrotu na pole bitwy. Burnside śledził przebieg walki z dachu Chatham Mansion po drugiej stronie rzeki. Rezydencję było widać z pagórka na wzgórzach i Bobby Lee wskazał ją Stonewallowi Jacksonowi. Powiedział mu, że trzydzieści lat wcześniej zalecał się tam do kobiety, z którą w końcu ożenił się w tym właśnie domu. Na grzbiecie wzgórza orkiestra konfederatów grała walce dla dżentelmenów i dam z Południa, którzy przybyli z Richmond obejrzeć bitwę. Old Pete Longstreet, z ramionami okrytymi damskim wełnianym szalem, obserwował toczące się poniżej walki przez lunetę, przymocowaną do drewnianego trójnoga przed stanowiskiem dowodzenia wojsk konfederacji. Dopiero po pewnym czasie przekonał się, że atak unionistów na drogę za murem nie był pozorowany. Nie mógł uwierzyć, że Burnside wykrwawia się we frontalnym natarciu, które nie miało żadnych szans powodzenia. W pewnym momencie Brygada Irlandzka zbliżyła się na kilkanaście kroków do drogi i nawet rebelianci obserwujący to ze wzgórz nagrodzili ich odwagę wiwatami. Lecz pochodzący z Georgii żołnierze z dwudziestej czwartej dywizji odparli i ten atak, strzelając zza kamiennego muru i ładując na przemian z taką częstotliwością, że zęby bolały ich od odgryzania końcówek tekturowych nabojów. Zanim ciemność przesłoniła pola śmierci, Burnside przypuścił czternaście szturmów na wzgórze. Gdy unioniści w końcu wycofali się nazajutrz za rzekę i policzyli straty, odkryli, że pod Fredericksburgiem poległo dziewięć tysięcy żołnierzy Unii.

Martin siedział teraz zgarbiony na krześle z zaciśniętymi powiekami i przyciśniętą do czoła dłonią, powstrzymując narastający w oczodołach ból

migrenowy.

- Gdy Lincoln Dittmann pojechał do Waszyngtonu, żeby zebrać materiały do książki, odkrył w wojskowych archiwach oryginał zamówienia na mosty pontonowe złożonego przez Burnside'a. Słowo „Pilne” zostało zaczerknione tuszem, przypuszczalnie przez jakiegoś sympatyka Konfederacji pracującego w Departamencie Wojny. Pytałaś, co było takiego szczególnego w tej bitwie. Dittmann doszedł do wniosku, że gdyby mosty pontonowe zostały dostarczone na czas, wojna mogłaby się skończyć tam już w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku, zamiast trwać aż do tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego.

Martin, wyczerpany, umilkł; przez pewien czas jedyne dźwięki w małym dusznym pokoju dochodziły z magnetofonu i spod stalówki pióra doktor Treffler kreślącej długie rzędy drobnych liter na luźnej kartce. Gdy w końcu uniosła wzrok znad notesu, zapytała bardzo cicho:

- Skąd Martin Odum wie o tym wszystkim? O tym, że konfederaci nie dawali medali, o uderzeniach szablami na płask wypłaszających unionistów z kryjówek za murowanymi domami, o Chatham Mansion, o orkiestrze grającej walce na Marye's Hill, w czasie gdy Longstreet, z szalem na ramionach, obserwował, jak żołnierze z Georgii w farbowanych samodziłach odpierają czternaście ataków na drogę - to brzmi niemal tak, jakbyś tam wtedy był!

Martinowi zaschło w gardle i słowa, które padły z jego ust, zabrzmiały głucho, niczym druga połowa echa, które straciło na ostrości w drodze powrotnej do źródła dźwięku.

- Był tam Lincoln Dittmann - odparł. - To on przekazał mi szczegóły.  
Doktor Treffler pochyliła się do przodu.

- Słyszałaś głos Lincolna Dittmanna opisującego tę bitwę?

- Yhm.

- Powiedział ci, że był tam w czasie bitwy? Powiedział ci, że widział walki na własne oczy?

- Nie dosłownie...

- Ale ty jako Martin Odum założyłaś, że był jej naocznym świadkiem.

- Musiał tam być - stwierdził żalonym tonem Martin. - Jakże inaczej wiedziałaby o tym wszystkim? Lincoln przekazał mi znacznie więcej informacji, których nie ma w żadnych książkach. - Teraz słowa wylewały się wprost z ust Martina. - Nocą w dniu bitwy temperatura spadła poniżej zera... nawet w zimowym chłodzie sącząca się z ran krew przyciągała końskie muchy... okaleczeni unioniści, którzy jeszcze żyli, układali zwłoki poległych

w sterty i zagrzebywali się pod trupy, żeby się ogrzać... konie bez jeźdźców grzebały kopytami w zamrożonej ziemi, szukając stawy, ale trzynastego grudnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku jedyną stawą pod Fredericksburgiem było mięso armatnie. - Martin odetchnął głęboko. - Tak brzmiały ostatnie słowa jego książki. Tytuł, *Mięso armatnie*, pochodził z tego wersu.

Doktor Treffler poczekała, aż Martin wyrówna oddech, po czym powiedziała:

- Posłuchaj mnie, Martinie. Lincoln Dittmann jest twoim rówieśnikiem. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim nie było go na świecie, co oznacza, że nie mógł być świadkiem bitwy pod Fredericksburgiem.

Martin nie odpowiedział. Doktor Treffler zdała sobie sprawę, że się na niego gapi, i szybko odwróciła wzrok, po czym zaśmiała się na głos i z powrotem spojrzała na swojego pacjenta.

- No, no! To szokujące. Słyszałeś głos Lincolna na naszej pierwszej sesji - podpowiedział ci słowa wiersza Walta Whitmana, który wyrecytowałeś.

- Pamiętam. „Nieme działa wkrótce przerwą swe milczenie, zostaną odcepione od przodków, by zaczęły zbierać krwawe żniwo”. Głos Lincolna słyszałem nie po raz pierwszy, już od lat szepcze mi do ucha. Nawiasem mówiąc, to Walter Whitman, nie Walt. Lincoln powiedział, że natknął się na Whitmana w szpitalu polowym unionistów po tym, jak Burnside wycofał się z Fredericksburga. Poeta był chory z niepokoju o swojego brata, który uczestniczył w bitwie; szukał go wszędzie. Lincoln pamiętał, że żołnierze, którzy znali Whitmana, nazywali go Walterem.

- Lincoln powiedział ci o tym, że Whitman był w szpitalu polowym? O tym, że żołnierze nazywali go Walterem?

- Yhm.

- Wiedział o tym z autopsji czy z jakiejś lektury?

Wyglądało na to, że Martin nie chce roztrząsać tej sprawy.

Doktor Treffler uznała, że miał dosyć stresów jak na jedną sesję.

- Znowu zaczyna boleć cię głowa? - zapytała.

- Z bólu tracę wzrok.

- Co widzisz, gdy tak zamykasz oczy?

Martin zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Długą rozmazaną smugę przednich światel, jakby aparat fotograficzny ustawiono na kładce dla pieszych, a przesłona obiektywu została otwarta, by uchwycić strumień pędzących pod nią aut. Albo kosmos, tak, cały kosmos w

stanie wielkiego wybuchu, rozszerzający się, rozdymający niczym balon z namalowanymi na nim małymi czarnymi kropkami, z których każda oddala się od pozostałych.

- I czym zakończy się ów wielki wybuch?

- Zostanę sam we wszechświecie, porzucony na jednej z owych kropek.

## 1990: Lincoln Dittmann zaczyna żyć własnym życiem

Ku trwałemu zadowoleniu ośmiorga jej stałych członków Komisja ds. Legend została przeniesiona z pozbawionego okien składu w suterenie w Langley do skąpanej w świetle słońca sali konferencyjnej na czwartym piętrze. To była dodatnia strona przenosin. Ujemną stanowiło to, że z nowego lokum roztaczał się niczym nieskazono widok na rozległy parking pod gołym niebem, z którego korzystał firmowy plebs. (Całemu patrycjatowi z siódmego piętra, łącznie z Crystal Quest, obecną wicedyrektor Zarządu Operacji i bezpośrednim zwierzchnikiem komisji, należały się miejsca parkingowe w podziemnym garażu z windą, która błyskawicznie przewoziła ich do pracy, nie zatrzymując się po drodze na innych piętrach).

- Nie można mieć wszystkiego - westchnął były szef placówki, który przewodniczył Komisji ds. Legend, gdy po raz pierwszy postawił nogę na sali zaproponowanej przez administratorów budynku i wyjrzał przez jedno z okien; liczył, że zobaczy krajobraz Wirginii, a nie asfalt. Żeby ukryć rozczarowanie, wy dobył z pamięci aforyzm, który był wyryty nad drzwiami jego gabinetu, gdy kierował placówką w Kairze już tyle lat temu:

- *Jom asal, jom basal...* Jednego dnia miód, drugiego cebule.

- Gdzie my, u diabła, jesteśmy? - zapytał Maggie Poole, która specjalizowała się w dziejach średniowiecznej Francji w Oksfordzie i nigdy całkowicie nie wyzbyła się brytyjskiego akcentu, brzmiącego szczególnie pretensjonalnie, gdy wtrącała w rozmowie francuskie słowa.

- Jesteśmy na czwartym *étage* - odparła, celowo udając, że nie zrozumiała pytania, by go wkurzyć. - Tutaj automaty z chłodzoną wodą stoją na korytarzu za drzwiami, nie w pokojach.

- Och, na litość boską, nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz. Robisz to, kiedy tylko nadarzy ci się okazja.

- *Moi?* - rzuciła niewinnie. - Na pewno nie.

- On pyta o to - rzekł wykształcony w Yale terapeuta od uzależnień - dokąd doszliśmy w sprawie nowej legendy dla Dantego Pippena.

Dante, wsparty plecami na miękkiej poduszce, żeby zmniejszyć nacisk na zabliznioną ranę po szrapnelu w krzyżu, uważał te sesje za rodzaj sportu, bezbolesny sposób spędzenia popołudnia pod dachem, nawet jeśli chroma



noga i plecy dokuczały mu właściwie bez ustanku. Zamknął powieki, by osłonić oczy przed jaskrawym światłem słońca wpadającym ukośnie przez otwarte żaluzje, i rozkoszował się jego ciepłem.

- Pomyślałem, że tym razem - zaproponował i słyszał niemal, jak trzeszczą stawy, gdy sędziwi weterani Komisji ds. Legend wyciągnęli szyje, aby na niego spojrzeć - moglibyśmy zacząć w Pensylwanii.

- Dlaczego tam? - zapytał leksykograf oddelegowany z Uniwersytetu Chicagowskiego i bardzo z tego zadowolony; informacja o dietach, które Firma deponowała na jego rachunku bankowym, jakoś nigdy nie trafiła do urzędu skarbowego.

Nestor komisji, weteran CIA, który rozpoczął karierę zawodową, tworząc legendy dla agentów OSS podczas drugiej wojny światowej, i nie pozwalał nikomu o tym zapomnieć, włożył okulary z idealnie okrągłymi szklami w drucianych oprawkach i jednym ruchem palca otworzył oryginalną teczkę numer dwieście jeden z Rejestru Centralnego z danymi Martina Oduma.

- Pensylwania - zauważył, usiłując odczytać drobny druk w aktach personalnych - chyba nadaje się do tego równie dobrze jak każde inne miejsce. Poprzednik pana Pippena, Martin Odum, spędził pierwszych osiem lat życia w Pensylwanii, w miasteczku Jonestown. Jego matka była polską imigrantką, ojciec prowadził małą fabrykę produkującą bieliznę dla armii amerykańskiej.

- Z Jonestown można było dojechać samochodem do pól bitewnych wojny secesyjnej i w końcu Martin trafił na kilka z nich, gdy uczęszczał do szkoły podstawowej - dodał z boku Dante. - Jego ulubionym, które zapewne zwiedził dwa lub trzy razy, był Fredericksburg.

- Czy zwiedzanie Fredericksburga czyni ekspertem od wojny secesyjnej? - zapytała niecierpliwie Maggie Poole; spostrzegła, dokąd mogą zmierzać.

- Martin był ekspertem od Fredericksburga, to pewne - odparł Dante ze śmiechem. Oczy wciąż miał szczelnie zamknięte i tworzenie legendy znowu zaczynało go cieszyć; wydawało mu się ono zajęciem najbliższym powieściopisarstwu. - Jego opowieści o tej bitwie były tak obrazowe, że ludzie, którzy je słyszeli, czasem żartobliwie zastanawiali się, czy brał udział w wojnie secesyjnej.

- Może pan nam podać jakieś przykłady? - zapytał przewodniczący.

- Opisywał, jak Bobby Lee na Marye's Hill pod Fredericksburgiem wskazał Stonewallowi Jacksonowi stanowisko dowodzenia Burnside'a w Chatham Mansion na drugim brzegu Potomacu, i wspominał, że trzydzieści

lat wcześniej pod dachem rezydencji smalił cholewki do swojej przyszłej żony. I jak Old Pete Longstreet, z ramionami okrytymi damskim wełnianym szalem, obserwował toczącą się poniżej bitwę przez lunetę przymocowaną do drewnianego trójnoga i mówił wszystkim w zasięgu swego głosu, że atak unionistów na zapadniętą drogę musi być pozorowany, że główny szturm nastąpi gdzie indziej.

Przewodniczący Komisji ds. Legend zerknął na Dantego znad szkieł swoich okularów i zapytał:

- Czy Bobby Lee to generał, którego znamy jako Roberta E. Lee?
- To jedna i ta sama osoba - odparł Dante ze swojego miejsca pod ścianą.
- Wirgińczycy nazywali go Bobbym Lee, tyle że nie w jego obecności.
- No cóż, to rzeczywiście otwiera pole do eksploracji - wyjaśnił pozostałym przewodniczący. - Nasz człowiek może i nie jest ekspertem od wojny secesyjnej, ale z odrobiną pomocy ze strony przyjaciół mógłby z pewnością za niego uchodzić, prawda?
- Co doprowadza nas do sprawy imienia - powiedziała Maggie Poole. - A cóż mogłoby być bardziej *logique* w przypadku eksperta od wojny secesyjnej niż nazwanie go Lincoln?
- Chyba zamierzała pani posłużyć się imieniem Abraham - stwierdził szyderczo terapeuta.
- *Va tefaire cuire un oeuf* - odpaliła Maggie Poole. Spiorunowała go wzrokiem, najwyraźniej kusiło ją, żeby pokazać mu język. - Zamierzałam raczej posłużyć się *prénom* Lincoln, bo to przydałoby wiarygodności zainteresowaniu wojną secesyjną.
- Lincoln jakiś tam wydaje mi się dość eleganckim zestawieniem - zawołał Dante spod ściany.
- *Merci*, panie Pippen, za tak dużą otwartość, której nie mogę dostrzec u innych obecnych w tej sali - zauważyła Maggie Poole.
- Kiedyś znałem w Chicago kolekcjonera broni, który nazywał się Dittmann, przez dwa „t” i dwa „n” - rzekł leksykograf. - Sugerowano, że naprawdę nazywa się inaczej, ale to nie ma nic do rzeczy. Specjalizował się w broni palnej z czasów wojny secesyjnej. Jego dumą i radością był angielski karabin dla strzelców wyborowych, nazywał się whentworth lub whitworth, coś w tym guście. Jak pamiętam, cena tekturowych nabojów była niebotyczna, ale uważano, że w rękach wprawnego snajpera karabin ten stanowi zabójczą broń.
- Lincoln Dittmann ma pewien... ciężar gatunkowy - uznał

przewodniczący. - Co pan sądzi o tym pomysle, panie Phippen?

- Mógłbym nauczyć się z tym żyć - zgodził się Dante. - I z pewnością zrobienie z agenta pracującego w terenie eksperta od wojny secesyjnej byłoby oryginalnym zabiegiem.

Członkowie komisji zorientowali się, że trafili na żyłę złota, i zaczęli sypać pomysłami.

- Mógłby zacząć budować legendę, odwiedzając miejsca wszystkich bitew.

- Myślę, że powinien mieć *collection personnelle* broni palnej z czasów wojny secesyjnej.

- Lubię mieć broń w mieszkaniu - oznajmił Phippen ze swojego miejsca. - Na dobrą sprawę osobista kolekcja broni z czasów wojny secesyjnej byłaby świetną przykrywką dla handlarza bronią, a przecież w tym kierunku zmierza z tą legendą Fred Astaire.

- Musimy więc myśleć w kategoriach tworzenia legendy dla handlarza bronią?

- Tak.

- Kim, na litość boską, jest Fred Astaire?

- To firmowy przydomek pani Quest.

- O Boże.

- W jakiej części świata działałby Lincoln Dittmann? Kim byliby jego klienci?

- Lincoln musi uważać, żeby nie oddać klejnotów rodzinnych. Jego klientami byłyby rozmaite typki, które koniecznie chcą dać się we znaki Ameryce - odparł Dante.

- Żeby znaleźć się na jego miejscu, musiałby pan zebrać informacje.

- Ma pan coś przeciwko lekturom na ten temat, panie Phippen?

- Wcale nie. Będę miał niezłą zabawę.

- Potrzebowałyby referencji zawodowych.

- W porządku. Podsumujmy. Wychował się w Jonestown w Pensylwanii i w dzieciństwie odwiedzał Fredericksburg tak często, że znał pobliskie pole bitewne jak własną kieszeń, podczas gdy jego młodzi koledzy rozczytywali się w komiksach o Batmanie.

- Jego ojciec mógł być właścicielem sieci sklepów żelaznych z centralnym składem we Fredericksburgu, co oznaczało, że co roku musiał tam spędzać sporo czasu. Byłoby rzeczą najzupełniej naturalną, że ilekroć mógł, zabierał ze sobą swojego nieletniego syna...

- Oczywiście! Zapewne zabierał go do Fredericksburga w czasie wakacji szkolnych. Młody Lincoln Dittmann przyłączył się pewnie do chłopaków przemierzających pole bitwy w poszukiwaniu pamiątek z wojny secesyjnej, które po obfitych opadach deszczu wypływały na powierzchnię.

- W pewnym momencie Lincoln na pewno zachęcił ojca do poszukiwań karabinów, prochownic i medali w trakcie objazdu - dajmy mu studebakera, który po wojnie cieszył się dużą popularnością - swoich sklepów. Miejscowi farmerzy trzymają takie rzeczy na poddaszach swoich domów i ojciec Lincolna musiał przywozić coś z każdej podróży.

- Gdybym kolekcjonował medale - zauważył Phippen - wszystkie musiałyby być medalami wojsk Unii. Armia Konfederacji nie przyznawała medali.

- To jak w takim razie skłaniali swoich żołnierzy do sumiennej służby?

- Walczyli za sprawę, w którą wierzyli - odparł Phippen.

- Walczyli w obronie niewolnictwa, na litość boską...

- Większość żołnierzy Konfederacji nie posiadała niewolników - wyjaśnił Phippen (przypomniał sobie to, czego Martin nauczył się przed tyłu laty podczas wizyt we Fredericksburgu).

- Walczyli o to, by Północ nie próbowała im mówić, co mogą robić, a czego nie. Poza tym gdy wybuchła wojna, Lincoln - chodzi mi o Abrahama, prezydenta - nie miał najmniejszego zamiaru znosić niewolnictwa. Nikt po obu stronach linii Masona-Dixona nie zaakceptowałby tego, ponieważ nikt nie miał pojęcia, co zrobić z milionami niewolników w stanach skonfederowanych, gdy już zostaną uwolnieni. Jankesi nie chcieli, by wyzwolenicy wędrowali na północ i pozbawiali ich pracy w fabrykach, godząc się na niższe płace. Południowcy nie chcieli, żeby gospodarowali na ziemi konfederatów, przyznawanej przez państwo osadnikom, i uprawiali bawełnę, która mogła być sprzedawana taniej niż bawełna z plantacji. Ani, co gorsza, by głosowali w wyborach lokalnych.

- On naprawdę już ma lekkiego bzika na punkcie wojny secesyjnej.

- Nie sądzicie, że nasz Lincoln Dittmann powinien zostać w pewnym momencie *professeur*?

- Mógł wyklądać na temat wojny secesyjnej na jakimś uniwersytecie. Czemu nie?

- Jest problem: żeby wyklądać na uniwersytecie, trzeba mieć wyższy stopień naukowy. Nawet jeśli jest znawcą literatury na ten temat, chyba nie zdoła przekonać prawdziwego eksperta od wojny secesyjnej, że uzyskał

doktorat w tej dziedzinie.

- Niech w takim razie uczy w kolegium. W ten sposób nie musiałyby mieć doktoratu. A to, co wie o wojnie secesyjnej, mogłoby wystarczyć.

- Byłby bardziej wiarygodny, gdyby napisał książkę na ten temat.

- Chwileczkę - rzekł Pippen. - Myślę, że nie mam dość wytrwałości, by zająć się pisaniem.

- To wymaga czegoś więcej niż wytrwałości. Wiem, bo sam napisałem trzy. Trzeba mieć dość siły charakteru, żeby nie przerazić się bogactwem możliwości wyboru.

- Moglibyśmy zlecić, by ktoś napisał książkę za pana, i sprawić, by małe wydawnictwo uniwersyteckie, którego szef jest nam winien przysługę, opublikowało ją pod pańskim nazwiskiem. *Bitwa pod Fredericksburgiem* pióra Lincolna Dittmanna.

- Mam doskonały tytuł: *Mięso armatnie*. Z podtytułem: *Bitwa pod Fredericksburgiem*.

- Tylko nie ugrzęźnijmy w dyskusji o tytule, na litość boską.

- Co pan myśli o tym wszystkim, Pippen?

- To pierwszorzędna przykrywka. Nikt nie podejrzewałby handlarza bronią, który uczył dziejów wojny secesyjnej w kolegium, o to, że jest agentem CIA.

- W tej legendzie czegoś brak.

- Czego?

- Właśnie, czego?

- Brak uzasadnienia, dlaczego Lincoln Dittmann upadł tak nisko. Dlaczego wiąże się z mętami, ludźmi, którzy z definicji nie zaliczają się do przyjaciół *l'Amérique*.

- Trafna uwaga, Maggie.

- Dlatego, że jest zły na Amerykę.

- Czemu? Czemu jest na nią zły?

- Wpadł w jakieś tarapaty. Został upokorzony...

- Nie mam nic przeciw upokorzeniom, ale byłbym wdzięczny, gdyby nie dotyczyły one spraw seksu - odezwał się słabym głosem Dante. - Zawsze myślicie o seksie, gdy chcecie umieścić w życiorysie coś, co dyskredytuje odtwórcę głównej roli. Zanim się człowiek obejrzy, Lincoln Dittmann będzie kryptotranswestytą lub kimś w tym rodzaju.

- Rozumiemy pański punkt widzenia.

- A gdyby tarapaty były wynikiem popełnienia plagiatu?

- Zerznął zasadniczą część *Mięsa armatniego* z opublikowanej w latach dwudziestych bądź trzydziestych pracy naukowej, którą znalazł na półce jakiejś biblioteki.

- To by nam ułatwiło zadanie. Nie musielibyśmy nikomu płacić za napisanie książki o Fredericksburgu; moglibyśmy znaleźć jakąś pracę naukową - na bibliotecznych półkach leżą ich pewnie i pokrywają się kurzem tysiące - i ją skopiować.

- Takie to już moje szczęście - jęknął Dante. - Kiedy wreszcie zostaje autorem książki, okazuje się, że to plagiat.

- Albo to, albo dewiacja seksualna.

- To już wolę zostać plagiatorem.

- Recenzent w periodyku historycznym, powiadomiony anonimowym listem od nas, mógłby donieść na Dittmanna i wtedy ten straciłby stały etat oraz pracę.

- Jego reputacja zawodowa byłaby zszargana.

- Nikt w rozległym świecie akademickim nie chciałby mieć z nim nic wspólnego.

- No, nareszcie do czegoś dochodzimy. Kolegia naciskają na to, byś publikował albo pakował manatki, i oczekują, że udźwigniesz pełne obciążenie dydaktyczne, będziesz prowadził badania, a w wolnym czasie pisał.

- To przeżycie uczyniło z Dittmanna zgorzkniałego cynika. Chciał się odegrać na kolegium, na systemie, na kraju.

- Panie i panowie, powiedziałbym, że osiągnęliśmy kompromis. Pozostaje tylko wypróbować to wszystko na naszej niegdysiejszej przełożonej, wicedyrektor Zarządu Operacji, samej Crystal Quest.

Dante sięgnął po opartą o ścianę laskę i wstał z jej pomocą. Poczuł, jak tępy ból przeszywa mu krzyż i nogę, ale był w takiej euforii, że ledwie zwrócił na to uwagę.

- Myślę, że Crystal Quest będzie bardzo zadowolona z legendy Lincolna Dittmanna - powiedział członkom komisji. - Ja jestem.

## **1991: Lincoln Dittmann penetruje wierzchołki trójkąta**

- Jak zająłeś się sprzedażą broni? - zapytał Egipcjanin.

- Pewnie nie uwierzysz, gdy ci powiem - odparł Lincoln Dittmann.

- Jeżeli on ci nie uwierzy - rzekł niski Amerykanin w wytłaczanych kowbojskich butach, zwężanych ku dołowi lewisach i zaczesanych do tyłu włosach - to tkwisz w gównie po uszy. - Mówił z silnym teksańskim akcentem, tak bardzo przeciągając samogłoski, że Lincoln musiał się bardzo starać, by zrozumieć jego słowa.

Egipcjanin i Teksiańczyk, stanowiący dziwną parę w tym zapomnianym przez Boga paragwajskim mieście przy granicy z Brazylią, uśmiechnęli się pod nosem, chociaż w ich głosach nie było śladu rozbawienia. Lincoln, rozwalony na kanapie, z wyciągniętą przed sobą chromą nogą, laską w zasięgu ręki i rękami założonymi na karku, zaśmiał się razem z nimi.

- Uczyłem dziejów wojny secesyjnej w kolegium - wyjaśnił. - Byłem znawcą w dziedzinie bitwy pod Fredericksburgiem, kiedyś napisałem nawet książkę na ten temat. Kolekcjonowanie broni z czasów wojny secesyjnej wydawało się rzeczą naturalną. Ozdobą mojej kolekcji jest rzadko spotykany angielski whitworth.

- To broń snajperska, co nie? - upewnił się Teksiańczyk.

Lincoln był pod wrażeniem.

- Mało jest osób, które potrafią odróżnić whitwortha od zwykłego prymitywnego enfielda.

- Mój tata miał whitwortha - odparł z dumą Teksiańczyk. - Federalni przyszli i skonfiskowali go razem z inną bronią, gdy capnęli tatę za puszczenie z dymem kościoła czarnuchów w Alabamie. - Odchylił do tyłu głowę i przyglądał się nieufnie Lincolnowi. Gdy zabierał go sprzed meczetu z podbarwionym na złoto dachem na ulicy Palestyńskiej po drugiej stronie granicy w Foz do Iguacu, przedstawił się jako Leroy Streeter. - Może opisziesz swojego whitwortha? - zaproponował.

Lincoln uśmiechnął się pod nosem. W Langley dowiedzieli się od FBI, że ojciec Leroya Streetera posiadał kiedyś whitwortha z okresu wojny secesyjnej; spodziewali się, że syn będzie znał tę broń. Jeżeli zgaduj-zgadula

Leroya była tym, co w Trójgraniczu uchodziło za sprawdzanie wiarygodności, to z pewnością był to pokaz niekompetencji; tajny agent nie wtrąciłby przecież nazwy - nawet nazwy zabytkowego karabinu - gdyby nie potrafił poprzeć tego szczegółami. Sprawa wyglądała tak, że Lincoln rzeczywiście miał whitwortha - kolekcja broni z czasów wojny secesyjnej stanowiła komplet z legendą Dittmanna. Zrobił nawet naboje i pojechał na odległe składowisko odpadów w New Jersey, żeby sprawdzić, czy karabin jest tak celny, za jaki uchodził. Był.

- Karabin Whitwortha - wyjaśnił teraz Leroyowi - przyszedł fabrycznie wyposażony w umożliwiający niewielkie powiększenie mosiężny celownik optyczny, przymocowany na sześciokątnej lufie. Niewiele zachowanych do dzisiaj whitworthów, nawet w muzeach, wciąż ma celownik optyczny. Mój posiada również oryginalną mosiężną zatyczkę chroniącą wnętrze lufy przed wilgocią i kurzem. Celownik jest wyposażony w bębny kierunkowe i odległościowe z wygrawerowanymi skalami.

Mówiąc, Lincoln nie spuszczał wzroku z Egipcjanina, który tu najwyraźniej rządził. Nie został mu przedstawiony - Lincoln dobrze znał jednak jego tożsamość; książka instruktażowa FBI w Waszyngtonie zawierała nieostre zdjęcie Egipcjanina znanego jako Ibrahim Bin Daud, rozmawiającego z człowiekiem, w którym rozpoznano agenta Hezbollahu, przed wejściem do hotelu „Maksoud Plaza” w São Paulo, zrobione rok wcześniej przy użyciu teleobiektywu. Długi delikatny nos i starannie przycięta siwa broda, widoczne na zdjęciu, rzucały się w oczy na twarzy Egipcjanina siedzącego teraz na parapecie naprzeciw Lincolnu.

Leroy, rozwalony na niezaścielonym łóżku w pokoju nad barem w Ciudad del Este po paragwajskiej stronie Trójgranicza, z ubłoconymi obcasami wbijającymi się w materac, kiwał z emfazą głową do Egipcjanina.

- To pewne jak diabli, że sam ma whitwortha - potwierdził.

Lincoln liczył na to, że kolekcjonowanie broni może wytworzyć pożyteczną więź między nim a Teksasem.

- Konfiskata whitwortha twojego taty to skandal - powiedział. - Założę się, że te matole z FBI nie miały bladego pojęcia, jak cholernie cenną zdobycz mają w swoich rękach, gdy go konfiskowali.

- Byli, kurwa, zbyt tępi, żeby odróżnić tombak od prawdziwego złota - zgodził się Leroy.

Lincoln spojrzął z powrotem na Egipcjanina.

- Żeby odpowiedzieć na twoje pytanie: po whitworcie oraz innej broni



palnej była to tylko kwestia rozwinięcia zainteresowań na handel kałasznikowami oraz wystrzeliwanymi z karabinów kierowanymi przewodowo i śledzonymi optycznie pociskami przeciwpancernymi, wraz z dorzucanymi na dokładkę granatami oraz amunicją. O wiele bardziej opłacalny niż nauczanie dziejów wojny secesyjnej w kolegium.

- Nie szukamy na rynku kałasznikowów ani takich pocisków - zauważył oschle Egipcjanin.

- Nie interesują go AK-47 i takie pociski - wyjaśnił Teksańczyk. - Teraz, gdy komunistyczna Rosja jest jedną nogą w grobie, na tego rodzaju sprzęt można się tutaj natknąć na każdym kroku. Jego interesuje semteks lub saletra amonowa, coś koło czterdziestu ton, dostatecznie dużo, żeby napełnić wielki wóz meblowy. Płacimy gotówką przy odbiorze.

Lincoln utkwiał wzrok w Egipcjaninie, chudym jak szkielet mężczyźnie z okrągłą dziobatą twarzą i zgarbionymi ramionami, przypuszczalnie grubo po pięćdziesiątce, chociaż siwa broda mogła dodawać mu lat. Górna część jego twarzy kryła się za ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi, których nie zdjął, mimo że znajdował się w obskurnym pokoju z zaciągniętymi zasłonami.

- Semteks w małych ilościach to nie problem. Saletra amonowa w dowolnej ilości również nie stanowi problemu - wyjaśnił. - Przypuszczalnie wiecie, że służy jako nawóz; zmieszana z olejem napędowym lub opałowym jest bardzo wybuchowa. Sztuką będzie kupno dużej ilości bez przyciągania uwagi, ale to ja i moi współpracownicy możemy załatwić. Gdzie chcecie odebrać dostawę?

Leroy uśmiechnął się kącikiem ust.

- Na końcu Holland Tunnel od strony New Jersey, w miejscu, które dopiero wyznaczymy.

Lincoln usłyszał wołanie muezina - nie nagrane, lecz prawdziwe - wzywającego wiernych na południową modlitwę, co znaczyło, że po tym, jak Leroy zabrał go sprzed meczetu w Foz do Iguacu, znalazł się gdzieś w pobliżu jedyne meczetu w Ciudad del Este. Wepchnięto go do jakiegoś mercedesa i kazano założyć zaczernione gogle narciarskie, które znalazł na tylnym siedzeniu.

- Wieziesz mnie do Saudyjczyka? - zapytał Leroya, gdy mercedes krążył przez trzy kwadransy, żeby Lincoln stracił orientację.

- Wiozę cię na spotkanie z Egipcjaninem pracującym dla Saudyjczyka - odparł Leroy. - Z Saudyjczykiem spotkasz się dopiero wtedy, gdy

zaakceptuje cię Egipcjanin, nie wcześniej.

- Co się stanie, jeżeli mnie nie zaakceptuje?

Leroy, siedzący obok kierowcy, prychnął:

- Jeżeli cię nie zaakceptuje, zechce rzucić cię na pożarcie krokodylowi, którego trzyma w basenie.

Teraz Lincoln czuł, że Daud przygląda mu się przez ciemne okulary przeciwsłoneczne.

- Gdzie uszkodziłeś sobie nogę? - zapytał Egipcjanin.

- W wypadku samochodowym w Zagrzebiu. Chorwaci jeżdżą jak wariaci.

- Gdzie cię leczono? - Daud szukał szczegółów, które mógłby zweryfikować.

Lincoln wymienił nazwę kliniki na przedmieściach Triestu.

Egipcjanin zerknął na Leroya i wzruszył ramionami. Coś jeszcze przyszło mu do głowy.

- Mówiłeś, że jaki jest tytuł tej twojej książki o Fredericksville?

- Chodzi o Fredericksburg - poprawił go Leroy.

- Nie mówiłem - odparł Lincoln. - Tytuł stanowił najlepszą część tej książki. Zatytułowałem ją *Mięso armatnie*.

Leroy najwyraźniej nadal toczył wojnę secesyjną, bo wyrwało mu się:

- Że byli mięsem armatnim, to pewne jak w banku. - Jego normalne przeciąganie samogłosek, podniesionych o pół oktawy, zabrzmiało głośno i wyraźnie. - Unionistycznym mięsem armatnim, walczącym o wyzwolenie czarnuchów, zalegalizowanie małżeństw międzyrasowych i narzucenie południowcom północnego sposobu myślenia.

Egipcjanin powtórzył tytuł, żeby upewnić się, czy dobrze go zrozumiał, po czym mruknął coś po arabsku do grubego chłopaka składającego kawałki układanki we wnęce na pokrytym linoleum stole. Chłopak, noszący na ramieniu kaburę z plastikowym pistoletem i żujący gumę balonową, którą nadmuchiwał, ilekroć dopasowywał kawałek układanki, poderwał się i wybiegł z pokoju. Egipcjanin ruszył jego śladem. Lincoln słyszał ich kroki na schodach rozpadającego się budynku, gdy chłopak zbiegł w dół, a Daud wspiał się na półpiętro. Wkroczył do pokoju powyżej, przeszedł na drugą stronę i przyciągnął krzesło, gdy zadzwonił telefon. Lincoln domyślił się, że Egipcjanin telefonuje za granicę, by polecić swoim ludziom sprawdzenie szczegółów legendy Dittmanna.

Ludzie wicedyrektor Zarządu Operacji w Langley przewidzieli to i przygotowali grunt. Gdyby ktoś weszły w klinice w Trieście, natrafiłby w

aktach na zapis trzydniowego leczenia Lincolna Dittmanna przez ortopedę i ślad opłacenia rachunku gotówką rankiem w dniu wypisania z kliniki. Jeśli chodzi o książkę, to po *Mięsie armatnim* został ślad w gazecie. Łącznik Egipcjanina odkryłby w „Publishers Weekly” wzmiankę z 1990 roku o wydaniu książki; gdyby poszukał dokładniej, znalazłby dwie recenzje - pierwszą w studenckiej gazecie kolegium w Wirginii, chwalałą jednego z nauczycieli tej szkoły za dzieło naukowe o wojnie secesyjnej, drugą w richmondzkim kwartalniku historycznym poświęconym tej wojnie; recenzent *Mięsa armatniego* oskarżył Lincolna Dittmanna o zapożyczenie sporych fragmentów wydrukowanej własnym sumptem pracy doktorskiej z 1932 roku o bitwie pod Fredericksburgiem. W richmondzkiej gazecie natrafiłby na krótki artykuł powtarzający oskarżenie o plagiat i donoszący, że komisja złożona z uczonych równych rangą autorowi zbadała oryginalną pracę oraz książkę Dittmanna i odkryła w nich całe ustępy, które się pokrywały. W dalszej części artykułu napisano, że Lincoln Dittmann został zwolniony ze stanowiska nauczyciela historii w miejscowym kolegium. Przed wycofaniem książki z obiegu księgarnie odnotowały umiarkowaną sprzedaż publikacji; gdyby ktoś szukał wystarczająco intensywnie, egzemplarze pierwszego i jedyne wydania (tego, co zostało z pierwotnego nakładu w liczbie pięciuset sztuk) można było znaleźć w „Strandzie” na Manhattanie oraz kilku innych antykwariatach w kraju. Na wewnętrznej stronie obwoluty byłoby zdjęcie Dittmanna z wystającym z ust schimmelpenninckiem oraz krótka nota biograficzna: urodzony i wychowany w Pensylwanii, pasjonat wojny secesyjnej, od czasu gdy jako młody chłopak zaczął odwiedzać jej pola bitewne, ekspert od bitwy pod Fredericksburgiem, aktualnie uczący dziejów wojny secesyjnej w wirgińskim kolegium.

Czekając na powrót Egipcjanina, Lincoln wyciągnął schimmelpennincka z metalowej puszkii trzymanej w kieszeni marynarki i przytknął do niego płomień zapalniczki. Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nozdrzami.

- Mogę zapalić? - zapytał grzecznie.

- Palenie - zauważył Leroy - zatruwa płuca. Powinieneś rzucić.

- Kłopot w tym - odparł Lincoln - że aby rzucić palenie, trzeba stać się kimś innym. Raz próbowałem. Przez jakiś czas w ogóle nie paliłem. Ale w końcu nic z tego nie wyszło.

Po pewnym czasie Egipcjanin wrócił do pokoju i usiadł na drewnianym krześle ustawionym ukosem do kanapy.

- Powiedz mi trochę więcej o tym, co robiłeś w Chorwacji - poleciał

Lincolnowi.

Pomysł z Chorwacją narodził się w głowie Crystal Quest. Mimo swojej apodyktyczności Fred wywodziła się ze starej szkoły: uważała, że do nadania dobrej legendzie autentyzmu potrzeba czegoś więcej niż ślad w gazecie.

- Jeżeli ma być handlarzem bronią - dowodziła, zaciągnąwszy Lincolna na siódme piętro w Langley, żeby uzyskać zgodę dyrektora na tę operację - musi istnieć ślad autentycznych transakcji, które przeciwnik może zweryfikować.

- Proponuje pani rzeczywiście zainstalować go w branży zbrojeniowej?

- Tak, panie dyrektorze.

- Komu by sprzedawał broń? - zapytał dyrektor, wyraźnie zaniepokojony myślą, że jeden z agentów Firmy zdobywa wiarygodność jako prawdziwy handlarz bronią.

- Kupi od Sowietów, którzy wyprzedają swoje arsenały w Niemczech Wschodnich, i dostarczy ją Bośniakom. Ponieważ Stany Zjednoczone sprzyjają w swej polityce Bośniakom, członkowie komisji nadzoru w Kongresie nie będą się nas czepiać, gdy to zwietrzą, a nie zwietrzą, jeżeli będziemy ostrożni. Chodzi o to, by postawić Lincolna na drodze niejakiego Sarniego Akhbara, Azera, który kupuje broń dla bośniackiej komórki Al-Kaidy.

- Jak zwykle wzięła pani wszystko pod uwagę, Fred - zauważył dyrektor z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

- Za to mi pan płaci, dyrektorze - odpaliła Crystal.

Lincoln spędził następne cztery miesiące, jeżdżąc po wybrzeżu dalmackim wygodnym buickiem, jak ognia unikając serbskich tajnych agentów, posługując się faksem, żeby kontaktować się z zagadkowym osobnikiem we Frankfurcie i kupować całe ciężarówki uzbrojenia z sowieckiego demobilu, sprzedawane przez rosyjskich żołnierzy, których niebawem miano wycofać z Niemiec Wschodnich, spotykając się nocą z kierowcami na odległych wiejskich drogach, gdy przejeżdżali przez Słowenię, a potem załatwiając dostawę w punktach granicznych na wybrzeżu dalmackim między Chorwacją a Bośnią. I właśnie podczas tych spotkań przed świtem Lincoln po raz pierwszy poczuł, że ryba szarpie przynętę.

- Mógłbyś zdobyć materiały wybuchowe? - zapytał obojętnie muzulmański handlarz, który występował pod nazwiskiem Sami Akhbar, przejmując konwój złożony z dwóch ciężarówek, załadowanych wystrzeliwanymi z karabinów, kierowanymi przewodowo i śledzonymi

optycznie pociskami przeciwpancernymi oraz moździerzami, i wręczył Lincolnowi teczkę wypełnioną szeleszczącymi studolarowymi banknotami w banderolach ze szwajcarskiego banku.

W minionych czterech miesiącach Lincoln robił z Samim interesy pięć razy.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Mam saudyjskiego przyjaciela, który rozgląda się za semteksem lub saletrą amonową.

- W jakich ilościach?

- Bardzo dużych.

- Spodziewa się uczcić koniec ramadanu wielkim hukiem?

- Mniej więcej.

- Rosjanie nie rozprawdzają semteksu ani saletry amonowej. Musiałyby pochodzić ze Stanów.

- Chcesz powiedzieć, że to leży w granicach możliwości?

- Wszystko leży w granicach możliwości, Sami, ale to będzie sporo kosztować.

- Dla mojego saudyjskiego przyjaciela pieniądze to nie problem. Dzięki Allahowi i swojemu zmarłemu ojcu jest bardzo bogaty.

Muzułmanin wyciągnął z kieszeni koszuli skrawek papieru i przyłożywszy go do zderzaka ciężarówki, ogryzkiem ołówka zapisał drukowanymi literami nazwę miasta i adres jakiegoś meczetu wraz z datą i godziną. Lincoln musiał przykucnąć przed światłami parkowania swojego buicka, żeby przeczytać informację.

- Gdzie, u diabła, jest Foz do Iguazu? - zapytał, chociaż dobrze znał odpowiedź.

- W Brazylii, zaraz za granicą z Paragwajem, w miejscu nazywanym Trójgraniczem, gdzie Bразylia, Paragwaj i Argentyna stykają się ze sobą.

- Czemu nie możemy się spotkać gdzieś w Europie?

- Jeżeli nie jesteś zainteresowany, tylko powiedz. Znajdę kogoś innego.

- Hej, nie zrozum mnie źle, Sami. Jestem zainteresowany. Obawiam się po prostu, że to zbyt daleka podróż, by tuc się tam bez powodu.

Sami wydusił z siebie śmiech.

- Wy, handlarze bronią, śmieszycie mnie. Dla mnie dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów to wystarczający powód.

Lincoln znowu zerknął na skrawek papieru.

- Jesteś pewien, że twój bogaty przyjaciel skontaktuje się ze mną, gdy za

dziesięć dni stanę rano przed meczetem przy ulicy Palestyńskiej numer dziesięć?

Sami przytaknął w ciemności.

- Jeden człowiek skontaktuje się z tobą i zawiezie cię do niego.

W małym pokoju nad barem Egipcjanin słuchał w milczeniu opisu kontaktów handlowych, jakie Lincoln nawiązał w Chorwacji. Chłopak, znowu pracujący we wnęce nad swoją układanką, nadmuchiwał balony z gumy, aż pękały na jego mięsistych wargach. Leroy wydłubywał brud spod paznokci lewej ręki paznokciem palca prawej. Gdy Lincoln dotarł do końca opowieści, Egipcjanin siedział zupełnie nieruchomo, z zaciśniętymi ustami, rozważając następny ruch. W końcu oznajmił:

- Potem Leroy zawiezie cię z powrotem do hotelu w Foz do Iguacu. Czeka tam na wiadomość ode mnie.

- Jak długo to potrwa? - zapytał Lincoln. - Każdy dzień nieobecności na Bałkanach sporo kosztuje.

Egipcjanin wzruszył ramionami.

- Jeżeli zaczniesz się nudzić, możesz sobie poziewać.

- Jak mi poszło? - zapytał Leroya, gdy znaleźli się sami w samochodzie i jechali w stronę mostu oraz Foz do Iguacu.

- Fakt, że jeszcze żyjesz, może tylko oznaczać, że dobrze.

Lincoln zerknął na Teksańczyka, którego twarz ukazywała się w światłach nadjeżdżających samochodów.

- Mówisz poważnie, prawda?

- Kurewsko poważnie. Wbij to sobie do łba - odparł, stukając się palcem wskazującym w głowę. - Masz tutaj do czynienia z twardymi klientami.

Lincoln musiał zdławić śmiech. Felix Kiick użył bardzo podobnych słów, gdy kończył odprawę w Waszyngtonie: - Cholera, pilnij się, gdy trafisz do Trójgranicza. Zetkniesz się tam z bardzo wrednymi typami.

\* \* \*

Odprawa w Waszyngtonie odbyła się na neutralnym gruncie, w nijakiej sali konferencyjnej Departamentu Stanu, która została przeszukana przez firmowych „sprzątaczy”, a potem była obserwowana do czasu, aż w południe zjawili się szefowie. Napięcie od samego początku było równie irytujące jak mgła, przez którą Lincoln przedzierał się tamtego rana, jadąc do pracy ze swojej dziupli w Wirginii. Źródłem irytacji nie był prowadzący odprawę spec z FBI niski i krępy weteran walki z terroryzmem, z obniżonym jak u obrońcy z NFL środkiem ciężkości - CIA kontaktowała się z nim przy bardzo wielu

okazjach (zwłaszcza wtedy, gdy kierował zespołem antyterrorystycznym FBI w ambasadzie amerykańskiej w Moskwie) i uważała go za człowieka godnego zaufania. Chodziło chyba o zderzenie kultur, nieufność, którą John Edgar Hoover (kierujący FBI żelazną ręką do samej śmierci w 1972) wplótł w biurokratyczną osnowę agencji przez czterdzieści osiem lat pozostawiania u sterów biura. Fakt, że FBI, działając zgodnie z oficjalnym prezydenckim „wnioskiem”, było zobowiązane przekazać swojemu głównemu rywalowi z Langley operację oraz środki, których w niej użyto, bądź ich pozostałości, tylko pogarszał sytuację. Na wstępie Kiick przedstawił tę sytuację w możliwie najlepszym świetle.

- Trójgranicze - wyjaśnił Lincolnowi w obecności Crystal Quest i kilku jej pracowników - jak nazywana jest strefa, gdzie stykają się terytoria Brazylii, Paragwaju i Argentyny, to szambo wypełnione szumowinami z Hamasu, Hezbollahu, egipskiego Bractwa Muzułmańskiego, Irlandzkiej Armii Republikańskiej, baskijskiej ETA oraz kolumbijskiego FARC, działającymi bez wyjątku pod fałszywymi nazwiskami i sztandarami. Początki zainteresowania FBI Trójgraniczem sięgają roku osiemdziesiątego pierwszego, gdy wylądowała tam duża liczba ekspatriantów uciekających przed wojną domową w Libanie. Miejscowe władze, częściowo przekupione, częściowo zastraszone, zignorowały gwałtowny wzrost przestępczości na swoim podwórku. Można było tam kupić i sprzedać niemal wszystko: paszporty za dwa tysiące dolarów sztuka ze zdjęciem i stemplem urzędowym włącznie; kradzione samochody; taną elektronikę oraz podstawowe obecnie produkty każdego zanarchizowanego pogranicza - broń i narkotyki. Kilka organizacji terrorystycznych utworzyło obozy szkoleniowe dla partyzantów w Mato Grosso - na odludziu - żeby uczyć rekrutów konstruowania bomb do wysadzania aut lub strzelania z sowieckiego sprzętu, który wszyscy mogli kupić w zaułkach przygranicznych miast za pieniądze wyprane na dogodnych warunkach przez banki na Trójgraniczu.

- Wygląda na to, że wasi ludzie dają sobie radę z tymi problemami - rzekł Lincoln. - Dlaczego się wycofujecie?

- Wycofują się - wyjaśniła Crystal Quest - ponieważ dyrektor przekonał Biały Dom, że amerykańskie interesy będą lepiej zabezpieczone, jeżeli to CIA poprowadzi działania na Trójgraniczu. - Quest wyjęła trochę rozkruszonego lodu z miseczki i zaczęła go chrupać. - Narkotyki, przemysł samochodów, czarny rynek oprogramowania komputerowego czy pirackich kopii hollywoodzkich filmów to drobiazg. Mamy powód uważać, że

Trójgranicze stało się punktem tranzytowym dla grup fundamentalistów islamskich działających na półkuli zachodniej; na Trójgraniczu mogą kupić wszelką broń, jakiej tylko zapragną, i wyprać pieniądze, żeby za nią zapłacić. A fedaini mogą zażyć trochę rozrywki w miejscowych barach, z dala od mułłów, którzy liczą, że zachowają wstrzemięźliwość i będą się modlić pięć razy dziennie. Meczety w Foz do Iguacu po brazylijskiej stronie granicy i w Ciudad del Este po paragwajskiej pełne są sunnitów i szyitów, którzy w innych rejonach islamskiego świata nie pałają do siebie sympatią. Podejrzewamy, że na Trójgraniczu knują plan ataku na Stany Zjednoczone i uśmiercenia Amerykanów.

- Mimo opinii CIA o zdolnościach naszego kolektywu FBI zdołała jednak pokierować garstką ludzi na Trójgraniczu. Dzięki swojej wytrwałości jeden z nich trafił na prawdziwą żyłę złota, a jest nią Egipcjanin imieniem Ibrahim Bin Daud, prowadzący obóz szkoleniowy dla fundamentalistów, zwany Boa Vista. Daud, który naprawdę nazywa się Khalil ad-Dżabarin, jest notowany - został skazany jako duchowy przywódca Bractwa Muzułmańskiego i odsiedział surowy wyrok w kairskim więzieniu wojskowym. Pozostawił on trwałe ślady na jego ciele i psychice; podłączanie elektrod do jąder to ponoć ulubiona tortura egipskich strażników więziennych. Daud sam bez wątplenia jest bezlitosnym mordercą, czy w wyniku doznanych cierpień, czy ma to w genach, tego nie wiemy. Wiemy za to, że w zeszłym miesiącu wpuścił ukradkiem krokodyla do basenu w São Paulo, a potem, na oczach paru miejscowych dziwek trzymających papierowe talerze z rozmrożonymi przystawkami, wepchnął tam człowieka oskarżonego o donoszenie policji. Posmarowano i sprawa morderstwa została wyciszona. To sprawdzona historia, ponieważ jedna z dziwek była naszym dodatkowym nabytkiem. Zabity donosiciel był naszym głównym źródłem informacji na Trójgraniczu.

- Więc FBI straciło tam wszystkie wtyczki? - zapytał Lincoln.

- Praktycznie rzecz biorąc, tak.

- Główne źródło, ten, który zbliżył się do Dauda, nie miał dublera?

- Nie zdążyliśmy się tym zająć - przyznał Kiick.

- Czego jeszcze mogę się spodziewać na Trójgraniczu poza wygłodniałymi krokodylami?

Kiick - Lincoln znał go z widzenia z kilku spośród rzadkich wspólnych spotkań koordynujących CIA-FBI - przesunął książkę instruktażową FBI na drugą stronę stołu konferencyjnego i powiedział:

- Tu jest wszystko, co zdobyliśmy. Prawdopodobnie natkniesz się tam na



Teksańczyka, który nazywa się Leroy Streeter. To ktoś, kogo nazywamy mieszkańcem, w tym przypadku aryjski świr nacjonalista, który przyłącza się do islamskich fundamentalistów dla wspólnej sprawy. Pamiętaj, że to zestawienie jest potencjalnie zabójcze. Gdy muzułmańscy terroryści rzeczywiście zaatakują Stany Zjednoczone, o ile to zrobią, zwolennicy supremacji białej rasy mogliby zapewnić najpierw wsparcie logistyczno-materialne, a w końcu speców od mokrej roboty, ponieważ Amerykaninowi łatwiej uzyskać wstęp do miejsc publicznych niż Arabowi z Bliskiego Wschodu. Nawiasem mówiąc, Leroy Streeter może w rzeczywistości nazywać się inaczej. Gość, którego poznasz - pięć stóp i dwa cale wzrostu, sześćdziesiąt kilo wagi, teksański akcent - podróżuje z paszportem wystawionym na Leroya Streetera juniora. Leroy Streeter senior był führerem rozłamowej grupy zwolenników supremacji białej rasy, nazywanej Kongresem Nacjonalistycznym, z siedzibą w Teksasie; zmarł na raka w Huntsville podczas odsiadywania wyroku za wysadzenie murzyńskiego kościoła w Birmingham. Konsulat w Mexico City cztery lata temu wydał Leroyowi Streeterowi juniorowi paszport, argentyński Sekretariat ds. Wywiadu Państwowego uważa jednak, że Streeter utonął przed dwoma laty na plaży w Rio; o ile wiemy, ciała nie odnaleziono. Co znaczy, że Leroy Streeter junior powstał z martwych albo ktoś posługuje się jego paszportem. Tak czy owak facet figuruje wysoko na liście najbardziej poszukiwanych przez FBI.

- Nie daj się zwieść - poradziła Lincolnowi Crystal Quest. - Leroy Streeter nie jest celem tej operacji. Człowiekiem, którego tam ścigamy, jest Saudyjczyk.

- Czy Saudyjczyk jakoś się nazywa? - zapytał Lincoln.

- Wszyscy się jakoś nazywają - odburknęła Quest. - FBI po prostu tego nie wie.

- Z tego, co nasz główny informator zdołał nam przekazać przed przedwczesną śmiercią - ciągnął Kiick, niezrażony jej przytykiem pod adresem biura - rozumiemy, że Saudyjczyk stanowi trzon grupy islamskich fundamentalistów, która niedawno pojawiła się jako pulsujący punkt w polu naszych obserwacji. Odkąd dwa lata temu z tego kraju usunięto Rosjan, działa ona z terytorium Afganistanu i nazywa się Al-Kaida, co znaczy Baza. Saudyjczyk zdaje się organizować komórki Al-Kaidy w całej Europie oraz Azji i kierować nimi ze stolicy Sudanu, Chartumu.

- Jak mam dotrzeć do tego Saudyjczyka?

- Przy odrobinie szczęścia on ma dotrzeć do ciebie - odparła Quest. - Działa na rynku materiałów wybuchowych, sporym rynku. Informator FBI słyszał pogłoski, że Saudyjczyk poszukuje całej ich ciężarówki i proponuje małą fortunę, jeżeli uda się dostarczyć ją w jedno miejsce w Stanach Zjednoczonych. Materiały wybuchowe mogą być wierzchołkiem góry lodowej; być może Saudyjczykowi bardzo zależy na zakupie czegoś, co uczyni te materiały wybuchowe bardziej śmiertelnościami.

- Mówisz o tak zwanej brudnej bombie - domyślił się Lincoln.

- Mówi o umieszczeniu ładunków wybuchowych w promieniotwórczych odpadach w postaci plutonu lub wzbogaconego uranu - odparła Quest - co po ich zdetonowaniu wywołałoby skażenie rozległej powierzchni. Ucierpiałoby od tego setki tysięcy osób. Właśnie z powodu tej groźby prezydent postanowił wprowadzić do gry CIA.

- Pamiętaj, Lincolnie - rzekł Kiick - rozumiem, że to właśnie imię nosisz obecnie, sprawa użycia brudnej bomby to najczarniejszy scenariusz i czysta spekulacja.

Quest zignorowała przedstawiciela FBI.

- Mamy zamiar dotrzeć do Saudyjczyka okreśną drogą - wyjaśniła Lincolnowi. - Wiemy o komórce Al-Kaidy na Bałkanach, która szmugluje broń i amunicję dla muzułmanów w Sarajewie w przekonaniu, że wojna między Serbami i Bośniakami jest nieunikniona. Kieruje nią Azer, który używa nazwiska Sami Akhbar. Zamierzamy wystawić cię na wabia na wybrzeżu dalmackim, które stanowi obszar działania Samiego, i czekać, aż natknie się tam na ciebie. Gdy już dowiedziesz swojej wiarygodności i zaostrzysz jego apetyt, dotrzesz do Saudyjczyka poprzez awans w hierarchii służbowej. Mówi się, że na Trójgraniczu w roli odźwiernego wykorzystuje się Dauda; nikt nie dociera do Saudyjczyka inną drogą.

Crystal Quest, ubrana w charakterystyczny dla niej spodniom z szerokimi kłapami i koszulę frakową z żabotem, odsunęła krzesło i wstała. Idąc za jej przykładem, pracownicy Zarządu Operacji zerwali się na równe nogi.

- Wbij sobie do głowy, że Trójgranicze to nie Club Med - przypomniała Lincolnowi. - Grupą, o której wiemy najmniej, a która najbardziej nas interesuje, jest ta Al-Kaida. Rozpracuj Saudyjczyka i Al-Kaidę, a osobiście dopilnuję, byś dostał od Firmy medal. Przypnę ci go własnoręcznie - dodała z pożądanym spojrzeniem.

Cała grupa z zarządu wybuchnęła śmiechem. Gdy Quest szła do drzwi, Kiick wyciągnął rękę nad stołem i Lincoln, na wpół wstając z krzesła,

uściskał mu dłoń.

- Naszą łączniczkę poznasz po wypowiedzi na temat Giovanniego da Varrazano i mostu nazwanego jego imieniem - rzekł Kiick i dodał: - Cholera, pilnuj się, gdy trafisz do Trójgranicza. Zetkniesz się tam z bardzo wrednymi typami.

Crystal Quest, z zadowoleniem demonstrując swoje makabryczne poczucie humoru, rzuciła przez ramię:

- Cokolwiek robisz, Lincolnie, trzymaj się z dala od basenów pływackich.

\* \* \*

Wysiadując przez drugą z kolei noc z Leroyem Streeterem w boksie w głębi „Kit Kat Klubu” przy głównym trakcie Foz do Iguacu, zmiatając resztki steku z polędwicy z frytkami, popijając go taną szkocką w małej szklance oraz letnim piwem prosto z butelki, Lincoln przyglądał się dziwkom wrzucającym monety do szafy grającej i tulącym się do siebie przy dźwiękach piosenki *Don't Worry, Be Happy*, która - sądząc z faktu, że odtwarzano ją wiele razy co wieczór - była albo numerem jeden na brazylijskiej liście przebojów, albo jedyną czterdziestkąpiątką w maszynie, jaką wciąż dało się puszczać. Leroy właśnie zszedł po wąskich schodach, prowadzących do mrocznego korytarza z dwiema sypialniami po bokach, zaliczywszy drugie (jak to ujął) dymanko tego wieczoru. Chuda nastolatka w szpilkach z ufarbowanymi na rudo włosami, które upięła w kok na czubku głowy, by przydać sobie wzrostu i lat, zeszła za nim chwiejnym krokiem, w drodze do baru wygładzając dłońmi fałdy na cienkiej luźnej sukience.

- Wolę nieletnie - poinformował Leroy swojego nowego przyjaciela, dając znak, żeby przyniesiono jeszcze jedną butelkę piwa. - Mają ciasne pochwy i robią to, co każesz, bez awantur i targowania się. Nie rozumiem, co masz przeciw dymaniu. Jak ci mówiłem, wszystkie tutejsze dziewczyny są czyste jak łąza.

- Jak łąza z ostatniej fujary, którą miały w ustach. Rzeźączka to ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba. Różnięcie za cenę dwustu pięćdziesięciu kawałków.

- Rozumiem, co masz na myśli - odparł Leroy i spojrzął na tancerzy drepczących po szerokich sosnowych deskach podłogi przed szafą grającą; młody mężczyzna, w którym Leroy rozpoznał Pakistańczyka widywanego wcześniej w obozie szkoleniowym Dauda na głuchej prowincji, obejmował rudowłosą przyjaciółkę Leroya i tańczył w miejscu, przestępując z nogi na nogę w rytm muzyki. - Nie zadaję się z kobietami tańczącymi ze sobą - rzekł Teksańczyk, wskazując ruchem głowy w stronę dziwek, które kołysały się

bezwładnie objęte ramionami, lekko zgarbione, z zamkniętymi umalowanymi powiekami i głowami opadającymi w bok, jakby ich karki nie były dość silne, by utrzymać ciężar wymyślnych fryzur. - To nienormalne, moim zdaniem, w tym sensie, że miłość lesbijska nie jest normalna. Gdyby Bóg chciał, żeby kobiety pieprzyły się z kobietami, dałby niektórym kutasy. A tak w ogóle, to co to, u licha, za muzyka? Nie martw się i bądź szczęśliwy, tak właśnie zamierzam przeżyć resztę swoich dni na ziemi, gdy będzie już po wszystkim.

Lincoln uznał, że nadeszła chwila, by sprawdzić, czy opłaciły się jego wysiłki, by stworzyć więź z Teksasńczykiem. Pochylając się nad stołem i ścisząc głos tak, aby dwaj Brazylijczycy w sąsiednim boksie nie mogli dosłyszeć, co mówi, zapytał:

- Gdy już będzie po czym? To pewnie ma coś wspólnego z saletrą amonową, co nie? - Zdołał zadać to pytanie od niechcienia, jak gdyby odpowiedź była mu zupełnie obojętna.

Leroy, mały człowiek, który chciał, by ludzie uważali go za wielkiego, nie potrafił oprzeć się swojej skłonności do bufonady.

- Mówiąc między nami i tą muchą na ścianie, mam zamiar pojechać i osobiście przewieźć ładunek saletry przez Holland Tunnel - odparł, pochylając się do przodu, tak że ich czoła niemal się zetknęły. Mam zamiar ustawić zapalnik, wysadzić ją w centrum Manhattanu i zrównać z ziemią nieruchomości na powierzchni jednej mili kwadratowej wokół Wall Street, to właśnie jest mój plan.

Lincoln gwizdnął przez zęby, osuwając się na oparcie kanapy.

- Widzę, panowie, że nie tracicie czasu, uderzacie w najczulszy punkt.

- Jasne, że nie tracimy czasu - odparł Leroy, wierząc się triumfalnie na ławie bez oparcia.

Lincoln podniósł butelkę do ust i wypił łyk ciepłego piwa.

- Co masz przeciwko Wall Street? Straciłeś forszę na giełdzie?

Leroy wciągnął nosem powietrze cuchnące piwem, marihuaną i ludzkim potem.

- Nienawidzę rządu federalnego - wyznał - a Wall Street to jego filia. Właśnie tam spędzają czas Żydzi, rządzący krajem zza swoich wypolerowanych biurków z mahoniem, knujący plan przejęcia kontroli nad światem. Choćbyś zaprzeczał, wiesz, że mam rację, bo inaczej nie robiłbyś tego, co robisz. Obaj jesteśmy piechurami uczestniczącymi w wojnie wyzwolenczej. Psiakrew, być może będziemy musieli zniszczyć Amerykę,

żeby ją wyzwolić, ale tak czy owak zamierzamy cofnąć wskazówki zegara do momentu, w którym prawidłowo myślący ludzie będą mogli dalej żyć, wolni od dyktatu jakiegoś nadętego dupka w Waszyngtonie. Znowu toczy się wojna domowa. Rząd federalny próbuje nam mówić, co możemy robić, a czego nie. Jak tak dalej pójdzie, psiakrew, to odrzucą konstytucję i uznają, że trzeba uzyskać pozwolenie, zanim będzie można zostać właścicielem pistoletu. - Leroy nie podnosił głosu, ale teraz zaczął mówić z patosem. - Pozwolenie na zakup broni! Po moim trupie! Słuchaj, stary, zdobyłeś wiedzę książkową, więc wiesz, że ten kraj schodzi na psy. Daj żydkom i czarnuchom palec, a zaraz wrócą po rękę. Jeżeli nie wyznaczymy granicy, jeżeli teraz się nie sprzeciwimy, to przecież wkrótce będą dowozić czarnuchów do wszystkich cholernych szkół w kraju. W końcu między Pacyfikiem a Atlantykiem nie będzie już nic takiego jak szkoła dla białych.

W chwili gdy Mulatka obsługująca bar zjawiała się z piwem dla niego, Leroy wydawał się opadać z sił. Zerwała kapsel zręcznym ruchem otwieracza zwisającego na piersi na końcu długiego złotego naszyjnika.

- Masz ochotę na kolejne piwo? - zapytała Lincolna.

Butelka na stoliku przed nim była jeszcze w połowie pełna.

- To mi wystarczy - odparł.

- Wystarczy mu na pewno - zgodził się niecierpliwie Leroy.

- Twój przyjaciel przypadł do gustu mojej przyjaciółce Paurze, tej ciemnowłosej w rybaczkach, tańczącej w pojedynkę - powiedziała Leroyowi kelnerka.

- Nie mów! - odparł i uśmiechnął się znacząco przez stół do Lincolna. - Może byś tak zaprosił Paurę na piwo? Jeżeli ci się nie spodoba, ja się nią zajmę.

- Mówiłem ci... - zaczął Lincoln, ale Leroy chwycił już kelnerkę za przegub ręki. - Każ tej elegantce ruszyć tyłek i przyjść tutaj.

Widać było, jak dziewczyna mówi coś ze śmiechem do przyjaciółki, wracając do baru. Paura, trzymająca wielkiego skręta w palcach lewej dłoni, powoli odwróciła głowę i zmierzyła wzrokiem dwóch mężczyzn w boksie, po czym tańczyła dalej - jednak z każdym posuwistym krokiem zbliżała się do tylnej części lokalu. Nie przerwała tańca nawet po tym, jak nagranie ucichło, i wylądowała, kołysząc się jak liść na słabym wietrze, obok boksu, gdy znowu rozległy się dźwięki *Don't Worry, Be Happy*. Zaciągnęła się skrętem, połknęła dym i rzekła:

- Założę się, że powiedziała wam, że mam na imię Paura.

- Owszem - potwierdził Leroy.

- Wiecznie się myli. - Dziewczyna mówiła po angielsku z akcentem, który Lincoln uznał za włoski. - W niektóre dni mam na imię Paura. W inne jestem Lucią. Dzisiaj jest dzień Lucii.

Lincoln, miłośnik zarówno legend, jak i broni palnej, zapytał:

- Czy to różne imiona tej samej kobiety, czy dwie odmienne osoby?

Lucia przyjrzała mu się, żeby sprawdzić, czy z niej nie drwi. Gdy zrozumiała, że nie żartuje, odpowiedziała poważnie na jego pytanie.

- Są tak odmienne jak noc i dzień. Lucia jest dniem. Jej imię w języku włoskim oznacza światło. Światło słońca i dnia wypełnia jej serce, jest wdzięczna, że żyje, i żyje z dnia na dzień, nie wybiega spojrzeniem poza dzień jutrzejszy. Obciąga druta każdemu, kto płaci i się nie targuje, dawanie klientowi tego, za co zapłacił, jest dla niej kwestią zasad. Połowę zarobków przekazuje swojemu alfonsovi i nie zatrzymuje swojego udziału, jeżeli klient przez przypadek zostawi jakiś napiwek.

- A Paura? Jaka ona jest?

- Paura to noc. Jej imię w języku włoskim znaczy strach. Wszystko w jej osobowości bierze się ze strachu. Boi się własnego cienia podczas dnia, boi ciemności, gdy pierzchają ostatnie promienie dziennego światła, boi się klientów, którzy przed zdjęciem spodni zdejmują pasek. Boi się basenów pływackich. Boi się, że życie na ziemi skończy się przed świtem, że będzie trwało wiecznie. - Spojrzała na Lincolna przestraszonymi oczyma. - Chciałbyś, żebym powróżyła ci z ręki? Mogę ci powiedzieć, w którym dniu tygodnia twoje życie dobiegnie końca.

Lincoln grzecznie odmówił i rzekł:

- Nie mam widocznej linii życia.

Dziewczyna zmieniła taktykę.

- Spod jakiego znaku jesteś?

Lincoln pokręcił głową.

- Jestem zodiakalnym ateistą. Nie znam mojego znaku, nie chcę go znać.

- To w zasadzie zawęży nasze kontakty do tańca - stwierdziła Lucia, a jej ciało znowu zaczęło się kołysać w rytmie muzyki. Zsuwając bluzkę z jednego ramienia tak nisko, że ukazała się otoczka sutka na jej piersi, wyciągnęła rękę.

- To wariatka - mruknął Leroy. - Ale że jest na ciebie napalona, to pewne.

- Mam chromą nogę - poinformował dziewczynę Lincoln.

- No dalej, skróć jej cierpienia - ponaglił Leroy. - Jezu Chryste, od

samego tańczenia nie możesz przecież nic złapać. - Gdy Lincoln wciąż się ociągał, Leroy kopnął go pod stołem w kostkę. - Nie jesteś dżentelmenem, to pewne jak amen w pacierzu.

Lincoln skrzywił się, wzruszył ramionami i wstał z ławki. Włoszka chwyciła go za rękę i kulejącego zaciągnęła na środek sali. Potem odwróciła się i rozgniatając skręta na deskach podłogi, zarzuciła mu nagie ramiona na szyję i wtuliła się weń; zębami kąsała go w płatek ucha.

Leroy z zachwytem plasnął dłonią w blat stolika w boksie.

Lincoln był dobrym tancerzem. Oszczędzając chromą nogę, z dziewczyną przyklejoną do swego chudego tułowia, rozpoczął niezdarnego *three step*, którym sprawił, że inne dziewczyny w barze przyglądały się im z podziwem.

Po pewnym czasie Lucia szepnęła mu do ucha:

- Nie musisz podawać mi swoich nazwisk, jeżeli nie chcesz. Gdybyś podał, niczego by to nie zmieniło, tutaj nikt nie używa prawdziwych.

- Nazywam się Lincoln.

- To imię czy nazwisko?

- Imię.

- Imię na czas dnia czy nocy?

Lincoln uśmiechnął się mimo woli.

- Na jeden i drugi.

- Giovanni da Varrazano, którego dzienne imię nadano mostowi łączącemu Brooklyn z wyspą o nazwie Staten - powiedziała najspokojniej w świecie - został zabity przez Indian podczas wyprawy do Brazylii w tysiąc pięćset dwudziestym ósmym roku. Szepczący mi do ucha informator powiedział, że będziesz zachwycony tą wiadomością.

Lincoln stanął w miejscu i odsunął ją na długość ramienia. Uśmiech spoczywał na jego twarzy jak maska.

- Rzeczywiście jestem zachwycony.

Lucia, bardzo z siebie zadowolona, nagłym ruchem ramienia ukryła pierś pod bluzką, osunęła się z powrotem w jego ramiona i znowu zaczęli tańczyć. Lincoln, nagle podenerwowany, przycisnął usta do jej ucha.

- Więc to ty jesteś łączniczką - powiedział. Pomyślał o Dżamilli w pokoju nad bejruckim barem, z wyblakłą cimą wytatuowaną pod jej prawą pierś; pamiętał, jak jej powiedział: *Jestem uzależniony od strachu - potrzebuję codziennej jego dawki*. Żeby zająć się szpiegostwem, trzeba było być uzależnionym od strachu; to właśnie łączyło go z młodą włoską łączniczką - zapewne to ona była świadkiem, jak współpracownika FBI rzucono

krokodylowi na pożarcie. Lincoln rozpoznał źródło swojego zdenerwowania: mimo wszystko miał nadzieję, że nie spotka jej ten sam los.

- Masz dobrą pamięć? - zapytał teraz i nie czekając na odpowiedź, dodał:  
- No to jazda: zostałem odebrany przez Teksańczyka siedzącego ze mną przy stoliku. Sądzę, że rzeczywiście nazywa się Leroy Streeter, bo wspomniał, że jego ojciec puścił z dymem murzyński kościół w Alabamie. Zabrał mnie do pokoju nad jakimś barem w Ciudad del Este. Był tam Egipcjanin nazwiskiem Daud.

- Jeżeli nie chcesz seksu, to nie mój problem - powiedziała Lucia. - To, co miałam, wystarczy mi na cały dzień. Bolał mnie usta i cipka.

- Daud zweryfikował moją wiadomość, słyszałem, jak poszedł na górę i rozmawiał przez telefon. Przypuszczam, że kazał swoim ludziom sprawdzić, czy byłem leczony w klinice w Trieście, czy rzeczywiście napisałem książkę. Musiałem zdać egzamin wstępny, ponieważ odesłał mnie tutaj i kazał spędzać czas z Leroyem do momentu, aż znowu się ze mną skontaktuje. I właśnie to teraz robię.

- Cały czas puszczamy to samo nagranie - powiedziała szeptem, muskając językiem wnętrze jego ucha - ponieważ *Don't Worry, Be Happy* jest zaprzeczeniem naszego życia tutaj. Wszystkie oprócz Lucii bezustannie przejmujemy się tym, że nie jesteśmy szczęśliwe.

- Przy odrobinie szczęścia niedługo zostanę zabrany na spotkanie z Saudyjczykiem.

- Dziewczyny, które tu pracują - powiedziała Lucia - stosują aborcję jako środek antykoncepcyjny. Jeżeli kiedyś tu wrócisz, będziemy wdzięczne, gdybyś przywiózł nam karton prezerwatyw.

- Leroy powiedział mi, dlaczego szukają saletry amonowej - ciągnął Lincoln. - Nie wiem, czy się chełpi, czy zmyśla, ale twierdzi, że ma zamiar załadować wóz meblowy materiałami wybuchowymi i wysadzić je w środku Wall Street. - Opuścił dłoń na obciste rybaczki Lucii i krągły pośladek. - Co zrobisz, gdy to wszystko się skończy?

Lucia sięgnęła mu ręką pod koszulę.

- To wszystko nigdy się nie skończy - westchnęła.

Jej odpowiedź zaskoczyła Lincolna; to samo powiedziała Dantemu Phippenowi alawicka prostytutka, gdy opuszczał pokój nad barem w Bejrucie jedno wcielenie temu.

- Pewnego dnia się skończy - obiecał. - Dokąd wtedy pójdziesz? Co będziesz robić?



- Wróciłabym do Toskanii - odparła, trzymając się kurczowo Lincolna, wtulając twarz w jego szyję, żeby stłumić brzmienie swoich słów. - Kupiłabym małe gospodarstwo, hodowała małe poliestry, strzygła je dwa razy do roku i sprzedawała sierść wytwórcom miękkiego jak jedwab sukna.

- Poliester to tkanina syntetyczna - zauważył Lincoln.

Dłoń Lucii dotknęła skórzanej kabury wtulonej w jamę w jego krzyżu. Pieściła zimny metal na kolbie małokalibrowego pistoletu automatycznego.

- W takim razie będę hodować małe akryle - odparła, zirytowana tym, że się jej czepia. Wsunęła palce pod kaburę; gdy dotarła do gładkiej blizny na zagojonej ranie, raptownie przerwała taniec. - Od czego to? - zapytała.

Lecz Lincoln wypowiedział tylko półgłosem jej nocne imię, Paura, i dziewczyna nie powtórzyła pytania.

\* \* \*

Spędzając następnego wieczoru czas w „Kit Kat Klubie”, Lincoln manifestacyjnie zatańczył z dwiema pozostałymi dziewczynami i zabrał drugą do pokoju, tak aby w razie jego demaskacji podejrzenia nie padły na Paurę. Znalazłszy się w pokoju, dziewczyna, tleniona blondynka, która nazwała się Marilyn Monroe, podała cenę swoich usług. Lincoln odliczył banknoty i położył je na stole. Monroe podmyła się w wyszczerbionym bidecie, zażądała, żeby on również się umył, i obserwowała go dla pewności. Zdjęła resztę ubrania, z wyjątkiem biustonosza z czarnej koronki, kupionego - jak twierdziła - w Paryżu, i wyciągnęła się na materacu pokrytym poplamionym prześcieradłem, z rozsuniętymi nogami i oczami utkwionymi w zwisającą z sufitu żarówkę. W barze poniżej w szafie grającej znowu rozległa się *Don't Worry, Be Happy*. Lincoln zamknął oczy i wyobraził sobie, że kocha się z Paurą. Marilyn jęczała i krzyczała pod nim z rozkoszy; jej zmysłowe jęki sprawiały na Lincolnie wrażenie nagranego ogłoszenia, odtwarzanego raz po raz niczym płyta w szafie grającej na dole. Skończył, zanim umilkły dźwięki piosenki.

- Więc jednak dmuchnąłeś sobie - rzekł Leroy, gdy Lincoln, utykając, wrócił do boksu i usiadł na ławie naprzeciw. - Chyba pobiłeś jakiś rekord prędkości. Żeby nie dokuczał ci głód seksu, musisz się bzykać co najmniej raz dziennie. Sztuka polega na tym, by trwało to jak najdłużej. W ten sposób człowiek wie, że płaci tyle, ile rznie.

- Powinieneś prowadzić kącik samotnych serc w gazecie - stwierdził Lincoln. - Mógłbyś radzić mężczyznom, jak rozwiązywać problemy seksualne.

- Mogę to zrobić, gdy już będę zbyt stary, by stanąć do walki z rządem federalnym w Waszyngtonie.

- Ile będziesz miał lat, gdy będziesz zbyt stary na skuteczną walkę?

- Trzydzieści, może. Może trzydzieści.

Około jedenastej do baru przyszedł sprzedawać kupony loteryjne jakiś starzec w długim wytartym płaszczu. Zjawiał się o tej samej porze, odkąd Lincoln zaczął spędzać czas w „Kit Kat”. Gdy przestąpił próg, dziwki rzuciły wszystko, by stłoczyć się wokół sprzedawcy, szukając szczęśliwych numerów na kartkach przymocowanych do podkładki. Gdy każda kupiła kupon, który jej pasował, odpłynęły z powrotem do stolików lub zaczęły tańczyć na parkiecie w miejscu, w którym z niego zeszły. Sprzedawca kuponów przeszedł, powłócząc nogami, do pustego boksu nieopodal miejsca, w którym siedzieli Lincoln i Leroy. Kelnerka Mulatka napełniła wysoką szklankę wodą z kranu i postawiła ją przed nim. Starzec na w pół uklonił się jej, siedząc - ów gest zdawał się pochodzić z innego świata i innego stulecia. Nowa dziewczyna, której Lincoln wcześniej nie widział, zeszła po schodach za korpulentnym Libańczykiem i zauważywszy starca, podeszła doń pośpiesznie, by kupić kupon. Gdy muzyka umilkła, Lincoln usłyszał ich głosy - rozumiał nawet, co mówią. Dziewczyna pytała, kiedy odbędzie się losowanie i skąd się dowie, czy coś wygrała. Starzec wyjaśnił, że odcinki kuponów trzyma przymocowane do podkładki przez wiele miesięcy. Codziennie rano wydzierał wykaz zwycięskich numerów z gazety i dbał o to, by osobiście wyszukiwać zwycięzców, którzy kupili u niego kupon.

Myśl o dziwce liczącej na to, że zbije fortunę na loterii, zaintrygowała Lincolna. Ciekawe, czy jej alfons zgarnąłby połowę nagrody, gdyby rzeczywiście wygrała.

Leroy też słuchał ich rozmowy. Sięgnął przez stół i poklepał Lincolna po ręce.

- Po jakimu oni, u licha, gadają? - zapytał.

Lincoln dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że tamci rozmawiają w obcym języku, gdy Leroy zwrócił mu na to uwagę.

- Nie jestem pewien - odparł, chociaż, ku swemu zaskoczeniu, stwierdził, że wie bardzo dobrze. Stary sprzedawca kuponów loteryjnych i prostytutka rozmawiali po polsku; językiem tym posługiwała się matka Martina Oduma, opowiadając mu bajki do poduszki w Jonestown w Pensylwanii, wieki temu.

Słysząc było, jak dziewczyna w boksie pyta:

- *Ile kosztuje kupon ?*

Gdy starzec podał jej cenę, starannie odliczyła monety z małej portmonetki i oddała kupon z podkładki.

- Wydaje mi się, że w jakimś obcym - mówił Leroy. - Nie lubię obcokrajowców, nie lubię języków, w których rozmawiają. Nie wiem, dlaczego cudzoziemcy nie uczą się amerykańskiego. Uważam, że gdyby wszyscy mówili po amerykańsku, świat stałby się prostszy.

Lincoln nie mógł oprzeć się chęci podroczenia się z Leroyem.

- Chcesz, żeby mówili po amerykańsku z teksańskim akcentem jak ty czy z bostońskim, zjadając końcówki jak John Kennedy?

Leroy potraktował pytanie poważnie.

- To dla mnie nieistotne. Każdy amerykański z łatwością wygrywa z językiem obcym.

Około północy, gdy dziewczyny zaczęły podchodzić do kontuaru, by rozliczyć się z należności za pokoje, z których korzystały, do baru wpadł gruby chłopak, który układał puzzle w Ciudad del Este. Nadal nosił na ramieniu kaburę ze sterzącą z niej plastikową rękojeścią krótkiej broni palnej. Dostrzegłszy dwóch Amerykanów w tylnym boksie, podszedł cicho w swoich reebokach i wyciągnął złożoną kartkę. Leroy przeczytał list, wzniósł oczy ku niebu i podniecony zawołał:

- Bingo. Daud czeka na nas za barem.

Czarny jak smoła mercedes Dauda pracował na biegu jałowym w ciemnościach na końcu zaułka, gdy dwaj jankesi, jeden kuśtykający o lasce za niskim Amerykaninem w kowbojskich butach, obesli „Kit Kat” i usiedli na tylnym siedzeniu. Gruby chłopak siadł z przodu obok Dauda.

- Dokąd nas zabierasz? - zapytał Lincoln, ale Daud nie raczył odpowiedzieć. Dał znak kierowcy i samochód skręcił gwałtownie za sklepem z mięsem z rytualnego uboju na rogu w słabo oświetloną główną ulicę i pojechał w kierunku Małej Niedźwiedzicy i Gwiazdy Polarnej, wiszących na nocnym niebie nad dachami domów. Po dwudziestu minutach jazdy z Foz do Iguacu wybrukowana droga raptownie przeszła w zrytą koleinami drogę gruntową i kierowca musiał zwolnić, żeby uchronić pasażerów przed biciem głowami o sufit samochodu. W świetle przednich reflektorów widać było, jak Indianie prowadzący osły objuczone wysokimi stertami płóciennych worków kroczą niepewnie w kompletnych ciemnościach.

- Nocą na odludziu przemyt trwa w najlepsze - wyjaśnił Lincolnowi Leroy.

Po przejechaniu szczególnie głębokiego wyboju zarzucił rękę na ramię

grubego nastolatka i powiedział doń po arabsku:

- Jak Allah zechce.

Lincoln nachylił się do przodu, żeby zapytać Egipcjanina, czy chłopak jest jego synem. Daud tylko nieznacznie odwrócił głowę i odparł:

- To syn mojego syna.

- A gdzie jest jego ojciec?

- Jego ojciec, a mój syn, zginął w ataku na żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej na lotnisku w Bejrucie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku.

Lincoln przypomniał sobie, że przecież głęboko utożsamia się ze swoją legendą; że powinien współczuć Egipcjaninowi.

- Utrata syna musi być źródłem wielkiego smutku...

- To, że oddałem syna dżihadowi, jest źródłem wielkiej dumy. W bejruckim ataku, po którym wasz prezydent Reagan stracił zimną krew i wycofał się z Libanu, wraz z moim synem życie straciło dwustu czterdziestu jeden *marines* i marynarzy. Wszyscy ojcowie powinni mieć takich synów.

Po godzinie i dwudziestu minutach jazdy z Foz do Iguacu przednie światła mercedesa wyłowiły pierwszą z dwóch blokad drogowych. Niedługo po minięciu drugiej, usytuowanej za ostrym zakrętem drogi, samochód zwolnił, by dać trzem uzbrojonym mężczyznom w kufijach w czerwono-białą kratę na twarzach czas na otwarcie bramy z drucianej siatki. Jeden z wartowników powiedział coś do radiotelefonu, gdy machnięciem ręki przepuszczał mercedesa. Kierowca zjechał w dół w stronę skupiska drewnianych baraków usytuowanych w czymś, co wyglądało jak suche koryto rzeki, i zatrzymał się przed budowlą, która była niższa i szersza od pozostałych budynków. Na łagodnym wzniesieniu za barakami, na ziemistym polu oświetlonym reflektorami zasilanymi przez silnik benzynowy, którego warkot słychać było w nieruchomym nocnym powietrzu, kilkunastu mężczyzn w mundurach polowych khaki ćwiczyło rzuty karne strzelane na bramkę bronioną przez golkipera ubranego w żółty jednoczęściowy kombinezon Hertza. Gdy jeden z nich strzelił, Lincoln usłyszał, jak pozostali gracze naśmiewają się z bramkarza.

Wnuk Dauda wyskoczył z mercedesa, by otworzyć wąskie drzwi w bocznej ścianie budynku. Młody Pakistańczyk, którego Lincoln widział na parkiecie „Kit Kat Klubu” w tańcu z nieletnią dziwką Leroya, stał w korytarzu za progiem, z palcem na spuście wetkniętego pod pachę izraelskiego uzi z zapasowymi magazynkami przyklejonymi taśmą do

składanej metalowej kolby. Zesztywniał na widok dwóch Amerykanów i mruknął coś do Dauda, który przetłumaczył jego słowa.

- Chce wiedzieć, czy jesteście uzbrojeni.

Lincoln sięgnął ze śmiechem pod koszulę i wyciągnął automat małego kalibru z kabury noszonej wysoko na pasie, żeby ją ukryć w ranie po szrapnelu. Pakistańczyk wziął automat i machnięciem ręki dał znać, by szli dalej.

Korytarz wychodził na kwadratowy pokój z niskim sufitem. Oczy Lincolnna potrzebowały trochę czasu, by przywyknąć do półmroku. W pokoju, na słomianych matach, siedziało blisko trzydziestu mężczyzn opartych plecami o cienkie, przymocowane do ścian poduchy. Daud wskazał Lincolnowi i Leroyowi miejsca przy najbliższej ścianie, po czym przeszedł na drugą stronę pokoju i zajął wolne miejsce pod ścianą w pobliżu człowieka, który najwyraźniej przewodniczył spotkaniu. Lincoln położył laskę na betonowej podłodze i usiadł z wyprostowaną chromą nogą i kostką drugiej wetkniętą pod udo. Obok, w niewygodnej pozycji po turecku, zasiadł Leroy. Lincoln sięgnął po puszkę schimmelpennincków, ale jakiś szczupły młody Arab delikatnie, lecz stanowczo położył dłoń na przegubie jego ręki. Lincoln zauważył, że w pokoju nikt nie pali. Skinął głową i uśmiechnął się szeroko do młodego Araba, który odwrócił się z twarzą bez wyrazu.

Lincoln starał się rozpoznać rysy siedzącej naprzeciw postaci. Mężczyzna, który wyglądał na trzydzieści parę lat, odznaczał się męską urodą. Miał kłaczastą popielatoszarą brodę i ciemne przenikliwe oczy, emanujące wewnętrznym spokojem, który z łatwością można było uznać za arogancję. Był niezwykle wysoki i ubrany w zgrzebną, sięgającą kostek togę ze stójką w kolorze złamanej bieli, a na niej miał coś, co Lincoln wziął za gruby bezrękawnik z afgańskiej koziej wełny. Z gołą głową, w skarpetach i ciężkich sandałach na stopach, siedział z gracją po turecku na macie, odsunawszy lekko zgarbione plecy od ściany, gdy odczytywał coś z kartki osobom w bezpośredniej bliskości, stukając od czasu do czasu długim palcem wskazującym prawej ręki w jakieś słowo, aby podkreślić jego ważność. Lincoln zdołał jedynie dosłyszeć słodki jak miód ton człowieka, który nie musiał podnosić głosu, żeby mieć posłuch. Wydawało się, że istnieje coś w rodzaju kolejki przemawiających, ponieważ następnie zabrali głos dwaj mężczyźni siedzący między Daudem a człowiekiem, w którym Lincoln rozpoznał Saudyjczyka, poruszając problemy wymagające rozwiązania lub dostarczając informacji, które trzeba było zestawić z tym, co już wiedziano.

W końcu nadeszła kolej na Dauda. Pochylony do przodu, przez kilka minut rozmawiał po cichu z Saudyjczykiem. W pewnym momencie wykonał nagły ruch głową, by wskazać dwóch Amerykanów siedzących po drugiej stronie pokoju. Dopiero wtedy wzrok Saudyjczyka spoczął na gościach. Podrapał się po piersi i wypowiedział jedno słowo. Daud spojrział na Lincolna i dał mu znak, żeby podszedł. Leroy założył, że ten gest dotyczył również jego, i zaczął wstawać, ale Daud pogroził mu palcem i Teksasczyk opadł z powrotem na swe ciasne miejsce. Wspierając się na lasce, Lincoln wstał, podszedł do Saudyjczyka i przykucnął naprzeciw niego. Saudyjczyk pozdrowił go gestem dłoni przytkniętej do serca i Lincoln sparodiował to pozdrowienie. Obok Saudyjczyka siedział jakiś chudzielec z tłustymi włosami i przedziałką pośrodku głowy. Z nosa zsuwały mu się okulary o grubych szklach, na kolanach trzymał otwarty notes w linie. Lincoln uznał, że to sekretarz. Saudyjczyk wymamrotał coś i sekretarz powtórzył głośno jego słowa. Wszyscy siedzący pod ścianami mężczyźni skoczyli natychmiast na równe nogi i ruszyli do drzwi. Na drugim końcu pokoju został tylko Leroy, wiercący się z zażenowaniem w pozycji, do której nigdy by nie przywykł. Gdy Daud wygłaszał krótkie przemówienie po arabsku, Lincoln przeniósł wzrok z niego na gospodarza i z powrotem. Saudyjczyk słuchał uważnie, kiwając niekiedy głową na wyraźny znak zgody. Jego spojrzenie od czasu do czasu padało na Lincolna, raz zaś popatrzył na Leroya. W końcu, znowu drapiąc się po piersi, zaczął zadawać pytania. Tłustowłosy sekretarz tłumaczył je na angielski.

- Wita cię w Boa Vista. Pyta, jak przybyłeś dotąd z Chorwacji.

- Przyleciałem Lufthansą z Zagrzebia przez Monachium do Paryża, potem Air France do Nowego Jorku, a następnie PanAmem do São Paulo. Tam wyczarterowałem mały samolot, który zawiózł mnie do Foz do Iguacu.

Gdy sekretarz Saudyjczyka przetłumaczył te słowa, jego pryncypał, nie spuszczać oczu z Lincolna, zadał jeszcze jedno pytanie. Sekretarz wyjaśnił:

- Pyta, jak idzie walka w Bośni. Pyta, czy Bośniacy, w wypadku wojny, zdołają obronić Sarajewo, jeżeli Serbowie zajmą wzgórze nad miastem.

- Armia serbska jest znacznie potężniejsza niż wszystkie oddziały, jakie Bośniacy mogą rzucić do walki - odparł Lincoln. - W wypadku wojny Bośniaków wzmocni jednak to, że nie mają dokąd iść; za plecami mają Chorwatów, a ci nienawidzą ich tak samo jak Serbowie.

- Zgadza się z twoją analizą. Opowiada historię o greckim generale, który ostrzegał swoich oficerów, by nie atakowali słabszego oddziału uwięzionego

w wąwozie z odciętą drogą odwrotu, ponieważ słabsi pokonaliby wówczas silniejszych.

Saudyjczyk znowu się odezwał, i znowu jego sekretarz pełnił funkcję tłumacza.

- Pyta, jak zamierzasz zgromadzić dużą ilość saletry amonowej, nie zwracając uwagi policji.

Lincoln poczuł, że niemal wbrew własnej woli ulega czarowi swojego rozmówcy. Teraz, gdy znajdował się blisko niego, spostrzegł, że skóra na twarzy i szyi Saudyjczyka wydaje się żółtawa, ale założył, że to skutek niskiej mocy żarówek palących się w pokoju. Cóż mógł poradzić na to, że podobał mu się jego styl - nic dziwnego, że młodzi ludzie przybywali tłumnie, by wstąpić do komórek Al-Kaidy w Afganistanie i Jemenie. Obserwując nieruchome oczy Saudyjczyka, czuł magnetyzm jego osobowości; Saudyjczyk mówił cicho, ale budził respekt. Widząc, jak niewygodnie jest jego gościowi, wyciągnął rękę, by zaproponować mu miejsce na podusze. Lincoln usiadł na niej z wysuniętą do przodu chromą nogą i przedstawił wyjaśnienie, które przygotowano w Langley: kilkunastu jego współpracowników rozjedzie się po całej Ameryce i udając przedstawicieli spółdzielni rolniczych z rozmaitych stanów południowych oraz wschodnich, kupi całą dostępną saletrę i przewiezie ją samochodami do New Jersey, gdzie zostanie załadowana do wozu meblowego. W wyznaczonym miejscu Leroy Streeter przejmie ładunek i zapłaci za niego gotówką.

- Pyta, czy jesteś ciekaw, co Streeter zamierza zrobić z saletrą.

- Przypuszczam, że zamierza ją gdzieś zdetonować. Prawdę powiedziawszy, jest mi to zupełnie obojętne.

- Pyta, dlaczego jest ci to obojętne.

- Uważam, że Ameryka stała się zbyt bogata i trzeba jej utrzyć nosa. - Zminy sekretarza było wyraźnie widać, że nie zrozumiał zwrotu „utrzyć nosa”. Lincoln powtórzył tę myśl w inny sposób. - Ameryka musi dostać lekcję pokory.

- Pyta, jaką broń sprzedawałeś na Bałkanach.

- Wszelkiego rodzaju. Moi klienci dawali mi listę życzeń, a ja robiłem, co w mojej mocy, by je spełnić.

- Co to jest lista życzeń?

- Wykaz uzbrojenia i amunicji, które pragnęli dostać.

- Pyta, czy ograniczałeś swoje poczynania do broni konwencjonalnej.

- Moje poczynania były ograniczone do sprzedaży tego, co sowiecka armia ma na składzie. Dotychczas dostarczałem niemal całe uzbrojenie i amunicję z jednostek armii sowieckiej w Niemczech Wschodnich. Wielu Rosjan, z którymi prowadziłem interesy, wróciło do Związku Sowieckiego i mogłoby mnie zaopatrzyć w inne artykuły z sowieckiego arsenału. Macie na myśli coś konkretnego?

- Pyta, czy mógłbyś dostarczyć zużyty pluton.

Lincoln zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Zużyty pluton lub odpady promieniotwórcze zawierające wzbogacony uran można by otrzymać z elektrowni jądrowych, takich jak elektrownia w ukraińskim Czarnobyli, na północ od Kijowa...

Saudyjczyk przerwał Lincolnowi, gdy sekretarz przetłumaczył jego wypowiedź.

- Ciekawi go, dlaczego wymieniasz Czarnobyl, skoro jego reaktor eksplodował przed pięcioma laty i odpady radioaktywne zostały szczelnie zamknięte pod ogromną betonową osłoną.

- W tamtejszej elektrowni wybuchł reaktor numer cztery. Dwa inne są nadal w użyciu. Odpady promieniotwórcze przewozi się samochodami na różne składowiska odpadów nuklearnych w Związku Sowieckim. Jest jeszcze jedno źródło zużytego plutonu. Wiadomo, że sowiecka flota podwodnych łodzi atomowych stacjonująca w Archangielsku i Murmańsku wycofuje je z użytku z powodu niedoborów budżetowych. Plutonowe pręty są usuwane z wycofanych łodzi i przewożone na te same składowiska. Stąd wniosek, że dla nikogo, kto jest skłonny podjąć ryzyko związane z negocjowaniem zakupu, nie zabraknie plutonu ani uranu do celów zbrojeniowych. Rozumie się samo przez się, że do zawarcia takiej transakcji będą potrzebne bardzo duże sumy.

Saudyjczyk przyjął tłumaczenie zatroskanym skinieniem głowy. Mruknął coś do sekretarza, który zapytał:

- Pyta, jak duże.

- A ile odpadów radioaktywnych trzeba byłoby zorganizować?

- Twierdzi, że na początek jedną dziesiątą tony amerykańskiej.

- Dokąd mielibyśmy je dostarczyć?

- W wyznaczone miejsce w Afganistanie.

- Przed ustaleniem ceny musiałbym skonsultować się ze współpracownikami. Tak z głowy to sędzę, że mówimy o kwocie rzędu miliona dolarów amerykańskich, zaliczka płatna gotówką, gdy zlokalizują zużyte pręty, reszta na bankowe konto numeryczne w raju podatkowym.



- Pyta, czy rzeczywiście bomby jądrowe można zmieścić do pojemnika wielkości zwykłej walizki.

- Ma na myśli to, co Amerykanie określili symbolem MK-47. Sowieci skonstruowali ponoć kilkaset tych urządzeń. Wyobraźcie sobie coś przypominającego kształtem menażkę wojskową, tylko większą, mniej więcej wielkości pękatej walizki, z samochodowym korkiem wlewu paliwa u góry i dwoma metalowymi uchwytami z obu stron. Z uwagi na jego rozmiary i możliwość przewożenia to urządzenie można z łatwością przemycić do miasta-celu i zdetonować za pomocą prymitywnego mechanizmu synchronizującego. MK-47 zawierają dziewiętnaście kilo uranu, który, zdetonowany, wybuchu z siłą tysiąca ton zwykłego trotylu, co stanowi jedną dwudziestą mocy pierwszej bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę.

- Pyta o trwałość tych bomb walizkowych.

- Rosjanie miniaturyzują swoje ładunki wybuchowe od połowy lat osiemdziesiątych. Można oczekiwać, że wszystko, co mają w swoich zapasach, będzie działało przez dziesięć do piętnastu lat.

- Chce wiedzieć, czy taką bombę walizkową można kupić.

- Armia rosyjska z oczywistych przyczyn trzyma te urządzenia pod kluczem, z zachowaniem dużego stopnia odpowiedzialności za kontrolę nad nimi. Gdyby jednak ktoś miał zaproponować sprzedawcy olbrzymią sumę plus bezpieczny wyjazd z Rosji, można sobie wyobrazić, że coś dałoby się załatwić.

- Pyta, ile wynosi olbrzymia suma.

- Powiedziałbym, znowu z głowy, że coś w okolicach trzech do pięciu milionów dolarów za bombę.

Saudyjczyk osunął się na przymocowaną do ściany poduchę i podrapał się z roztargnieniem po ramieniu i żebrach. Lincoln zauważył, że gospodarz poci się mimo panującego w pokoju chłodu i że pot na jego czole wydaje się krystalizować w postaci drobnego białego proszku.

- Mówi, że na razie skoncentruje się na zużytych prętach plutonowych bądź uranowych. Mówi, że nikt nie może przewidzieć, co przyniesie przyszłość. Może pewnego dnia znowu w rozmowie z tobą poruszy temat bomby walizkowej.

Lincoln uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Decyzja należy do was.

Koło Saudyjczyka stała duża szklana misa pełna owoców i jeszcze jedna, wypełniona po brzegi orzechami. Ręką odwróconą dłonią ku górze gospodarz

wskazał najpierw na jedną, a potem na drugą misę, proponując swojemu gościowi coś do jedzenia. Lincoln sięgnął do misy, by poczęstować się orzechami.

- Zwraca uwagę, że wieczorem robi się tutaj zimno - przetłumaczył sekretarz. - Pyta, czy ty i twój przyjaciel chcielibyście się napić herbaty ziołowej.

Lincoln spojrział przez ramię na Leroya i rzekł:

- Proponuje nam gorącą herbatę ziołową.  
- Zapytaj, czy nie mają czegoś nieco mocniejszego - odparł Teksańczyk.  
- Ci ludzie nie piją alkoholu. To wbrew zasadom ich religii.  
- Szlag by to trafił. Jak mogą liczyć, że ktoś się nawróci na religię dla abstynentów?

Saudyjczyk najwyraźniej zrozumiał z grubsza sens jego uwagi, bo odpowiedział po arabsku, nie czekając na tłumaczenie sekretarza. Ten zaś powiedział:

- Opowiada historię cara, który nawrócił Rosję na chrześcijaństwo; było to pod koniec pierwszego tysiąclecia. Władca Kijowa, Włodzimierz Wielki, był kuszony przez islam, ale odrzucił go, ponieważ uważał, że Rosjanie nie zdołają przeżyć swoich okrutnych zim bez tego, co arabscy chemicy, którzy opracowali technikę destylacji, zwali *al-kuhl*. Historia świata mogłaby przybrać inny kształt, gdyby Prorok nie powstrzymał się od spożywania alkoholu. Długa zimna wojna toczyłaby się pewnie między chrześcijaństwem a islamem.

- Po upadku Związku Sowieckiego dojdzie być może do kolejnej zimnej wojny - odparł Lincoln - nowej walki o Jerozolimę między duchowymi potomkami Ryszarda Lwie Serce oraz spadkobiercami sułtana Saladyna.

Słuchając tłumaczenia, Saudyjczyk sięgnął po szklanę z wodą; wrzuciwszy do ust dwie owalne pigułki, popił je długim haustem. Lincoln przyglądał się, jak jego grdyka podskakuje na długiej szyi. Ocierając wargi rękawem, Saudyjczyk odpowiedział wymęczoną angielszczyzną:

- Nowa walka z pewnością nie jest wykluczona.  
- Znasz angielski? - zapytał go bezpośrednio Lincoln.

Saudyjczyk odpowiedział po arabsku, a sekretarz przetłumaczył jego słowa:

- Mówi, że zna angielski tak dobrze, jak ty znasz arabski.

Lincoln uśmiechnął się szeroko.

- Po arabsku rozumiem pięć słów: *Allahu akbar* oraz *in sha Allah*.

- Chwali cię. Mówi, że człowiek, który rozumie tylko tych pięć słów, pojmuje sedno świętego Koranu. Mówi ci, że są ludzie pobożni, potomkowie Proroka, którzy potrafią wyrecytować z pamięci wszystkie sto czternaście sur, ale nie zachowują w sercach znaczenia tych pięciu słów.

Lincoln spojrział na Saudyjczyka.

- Jesteś pobożny? Stosujesz się do zasad swojej religii?

- Mówi, że stosuje się do tylu zasad, do ilu trzeba się stosować, żeby być oddanym wierze muzułmaninem. Mówi, że mieszka w miejscu zwanym przez muzułmanów *dar al-harb*, domem wojny; nade wszystko zaś stosuje się do zasady dżihadu. Chciałby, żebyś wiedział, że prowadzenie wojny z niewiernymi w imię islamu i Allaha jest koranicznym obowiązkiem.

Lincoln skinął głową Saudyjczykowi, a ten pochylił głowę na znak szacunku dla cudzoziemca, który zdawał się go szanować.

\* \* \*

- Co stało się potem? - zapytała Crystal Quest, gdy Lincoln, wróciwszy do Waszyngtonu, opisał spotkanie w obozie szkoleniowym w brazylijskim Mato Grosso.

- Przez kolejnych dwadzieścia minut zarzucał mnie pytaniami, a ja na nie odpowiadałem. Czynił to wszystko bardzo powściągliwie. W pewnym momencie wdał się w długą dyskusję z Egipcjaninem, Daudem; przez blisko pięć minut zachowywali się niemal tak, jakbym nie istniał. Po czym, nie odzywając się do mnie więcej ani słowem, Saudyjczyk wstał i wyszedł. Usłyszałem, jak zaczynają pracować silniki trzech, może czterech samochodów za budynkiem, i ujrzałem, jak omiatają pokój reflektorami, kierując się w głąb Mato Grosso. Daud dał znak, że spotkanie dobiegło końca, zaprowadził nas z powrotem do swojego mercedesa i ruszyliśmy w kierunku Foz do Iguaçu. Egipcjanin powiedział mi, że zrobiłem dobre wrażenie na Saudyjczyku i że mam wrócić do Stanów Zjednoczonych i zorganizować kupno oraz dostawę saletry amonowej do opuszczonego hangaru obok Pulaski Skyway w New Jersey w połowie miesiąca. - Lincoln wyciągnął wyrwaną z notesu kartkę. - Tu jest podany adres.

Quest odebrała skrawek papieru i zapytała:

- A co z Saudyjczykiem i jego promieniotwórczymi odpadami?

- Daud zaproponował, bym w nowiu księżycy wrócił do Boa Vista spotkać się z Saudyjczykiem i zorganizować razem z nim dostawę dziewięćdziesięciu funtów zużytego plutonu.

- Opisz Saudyjczyka jeszcze raz, Lincolnie.

- Wszystko jest w raporcie z mojej misji. Jego nazwisko nie padło ani z ust Dauda, ani z ust sekretarza tłumaczącego dla niego na spotkaniu w Boa Vista. Oceniam, że ma trzydzieści parę lat i około sześciu stóp i pięciu cali wzrostu.

- Odgadywanie wieku nigdy nie było twoją mocną stroną - wtrąciła Quest. - Ile lat, twoim zdaniem, ma łączniczka?

- prostytutka w „Kit Kat”? Sądzę, że jest tuż przed lub tuż po czterdziestce.

- Co dowodzi mojej tezy - wyjaśniła pracownikom, którzy stłoczyli się w jej gabinecie, by uczestniczyć w przesłuchaniu Lincolna. - Dziewczyna, najmłodsza córka starego rzymskiego małżeństwa, ma dwadzieścia siedem lat. Naprawdę nazywa się Fiamma Segre. Od lat zażywa mocne narkotyki, właśnie dlatego przedwcześnie się postarzała. Kontynuuj opis Saudyjczyka.

Opierając łokcie na lasce rozciągniętej jak przęsło między oparciami krzesła, Lincoln zamknął oczy i spróbował przywołać obraz Saudyjczyka.

- Jest charyzmatyczny...

- To zwykły kit. Co mamy podać we wskazówkach, które wysyłamy do naszych placówek? Poszukiwany, żywy lub martwy, pewien charyzmatyczny Saudyjczyk.

Lincoln tracił cierpliwość. Był wykończony - powrót samochodem do São Paulo i lot do Stanów wyczerpał jego siły; maglowanie przez Fred i jej pracowników stawało się kroplą, która mogła przepelnić czarę.

- Opisuję najlepiej, jak potrafię...

- Musisz to robić jeszcze lepiej.

- Może gdyby się na chwilę zdrzemnął... - zauważył jeden z bardziej odważnych pracowników.

Quest nie lubiła, gdy odgadywano jej zamiary.

- Może gdybyś załatwił sobie przydział do innej sekcji... - odpaliła i znowu zwróciła się do Lincolna: - Może byś dał nam coś konkretnego, na czym moglibyśmy się oprzeć. Przypomnij sobie. Szukam tego, czego nie umieściłeś w swoim raporcie.

Z odległego zakamarka podświadomości Lincoln wydobył kilka szczegółów, które przeoczył, sporządzając raport.

- Z Saudyjczykiem dzieje się coś bardzo niedobrego...

- W sensie umysłowym czy medycznym?

- Medycznym. Stale drapał się po różnych częściach ciała, ramieniu, piersi, żebrach. Wyglądało na to, że swędzi go całe ciało. Jego skóra była

ziemista; najpierw myślałem, że to z powodu kiepskiego oświetlenia, ale gdy podniósł się do wyjścia, przeszedł pod żarówką i spostrzegłem, że naprawdę ma żółtawą cerę. I jeszcze jedno: pocił się, mimo że w pokoju było dość chłodno. Pot na jego czole wydawał się krystalizować w postaci drobnego proszku.

Crystal wyprostowała się na krześle i wymieniła spojrzenia z doktorem medycyny ze swojego sztabu, kierującym sekcją, która dostarczała profilów psychologicznych i medycznych światowych przywódców.

- Co o tym sądzisz, Archie?

- Jest kilka możliwości. Jedną z nich musi być początek przewlekłej niewydolności nerek. To choroba, która może trwać przez pięć, dziesięć lat, nie grożąc śmiercią.

- Zażył pigułki - przypomniał sobie Lincoln.

- Duże? Małe? Zauważył pan, jaki miały kolor lub kształt?

- Owalne. Bardzo duże, takie, które trudno byłoby przełknąć. Było ciemno, więc koloru nie jestem pewien. Może żółte. Żółte bądź pomarańczowe.

- Hm. Jeżeli przyczyną jest przewlekła niewydolność nerek, w grę wchodzi wiele kuracji stosowanych we wczesnym etapie choroby. To mógł być węglan wapniowy i octan wapniowy, obydwa zażywa się pod postacią dużych żółtawych pigułek owalnego kształtu kilka razy dziennie, żeby obniżyć poziom fosforu we krwi, gdy nerka nie filtruje w prawidłowy sposób. Decydujące znaczenie w leczeniu miałyby dieta - produkty mleczne, wątróbka, warzywa, orzechy są bogate w fosfor i trzeba byłoby ich unikać.

Lincolnowi przypomniał się jeszcze jeden szczegół.

- Na podłodze między nami stała misa z orzechami, poczęstował mnie nimi, ale sam nie zjadł ani jednego.

Chociaż raz Quest wyglądała na zadowoloną.

- To powinno dać nam jakiś punkt oparcia. Saudyjczyk działający z Chartumu, który może cierpieć na chroniczną niewydolność nerek; jeżeli zażywa pigułki, to by znaczyło, że rozpoznano u niego chorobę lub nawet poddano go badaniom w jakimś szpitalu. Gdy już utniesz sobie komara, chcę, żebyś popracował z jednym z rysowników z trzeciego piętra i sprawdził, czy nie da się sporządzić portretu pamięciowego. My tymczasem każemy naszym ludziom zebrać wystarczająco dużo saletry amonowej, żeby wypełnić wóz meblowy, tak abyś mógł spotkać się w New Jersey z potencjalnym zamachowcem z Wall Street, Leroyem Streeterem.

- Czy mam wrócić do Boa Vista w nowiu księżyca, żeby sprzedać Saudyjczykowi odpady radioaktywne?

- Myślę, że to nie będzie potrzebne - odparła Quest. - Mamy dobre stosunki robocze z SIDE. Wyślemy oddział komandosów, by wsparli ludzi z argentyńskiego wywiadu. Mogą okrążyć Boa Vista w now księżyca...

- To czwartego przyszłego miesiąca - zauważył jeden z pracowników.

- Pozwolimy SIDE zgarnąć Saudyjczyka i dać mu wycisk - wyjaśniła Crystal i dodała z okrutnym śmiechem: - Ich metody przesłuchiwania są mniej wyrafinowane od naszych, ale bardziej wydajne. Gdy skończą go przesłuchiwać, mogą nakarmić nim jednego z aligatorów Dauda. Ameryce ubędzie jeden wróg oraz jedno zmartwienie.

- Chcę dopilnować, że wydostaniemy z Trójgranicza tę Włoszkę, zanim jeszcze rozpęta się tam piekło - rzekł Lincoln. Chwytał palcami swoją laskę i oparł jej koniec na biurku Crystal Quest. - Nie chcę, by skończyła jak Dżamilla w Bejrucie.

- Jesteś pospolitym romantykiem - stwierdziła z żalem Quest. - Wywieziemy ją stamtąd ukradkiem po południu w dniu obławy na Saudyjczyka.

- Chcę, żebyś dała mi słowo.

Nagła cisza w pokoju dzwoniła w jego uszach. Pracownicy Zarządu Operacji nigdy nie słyszeli, by ktoś tak rozmawiał z wicedyrektorem. Nie spuszczała wzroku ze swojej szefowej, żeby nie przeoczyć chwili wybuchu; byłby to kolejny napad złości w dziejach jej dyrektorowania, będących, jak zawsze, tematem rozważań w pubach w porze serwowania alkoholu po obniżonych cenach. Jej pokryte różem policzki zrobiły się białe jak kreda, oczy wyszły na wierzch i wyglądała tak, jakby właśnie miała udławić się na śmierć rybią ością. I wtedy z jej olśniewająco szkarłatnych ust wydobyło się niesamowite beczenie. Zgromadzeni w pokoju dopiero po chwili zdali sobie sprawę, że Quest się śmieje.

- Wydostaniemy tę dziewczynę - odparła, z trudem łapiąc oddech. - Masz moje słowo.

\* \* \*

Spotkali się na godzinę przed świtem w olbrzymim opuszczonym hangarze pod łukiem Pulaski Skyway, dwadzieścia minut jazdy od wylotu Holland Tunnel, prowadzącego na Manhattan. Z tyłu hangaru pokrycie dachu z blachy falistej obwisało do ziemi, tworząc prowizoryczną ścianę, która zatrzymywała gwałtowne porywy wiatru dmącego od wybrzeża. Za

hangarem, na polu ubitej ziemi usianym tysiącami pustych butelek z plastiku, płonęło małe ognisko; około dwudziestu bezdomnych imigrantów, którzy podjęli pracę robotników portowych w dokach Hobokenu, siedziało opartych plecami o zdezelowaną furgonetkę, służącą im za ruchomy barak noclegowy, pijąc kawę parzoną na otwartym ogniu. Z radia w furgonetce do hangaru docierał, niesiony pędem wilgotnego powietrza, metaliczny synkopowany brzęk instrumentów meksykańskiej orkiestry tanecznej. W hangarze Ibrahim Bin Daud wgramolił się do wozu meblowego po wąskiej metalowej drabinie i zaczął oglądać duże jutowe worki z namalowanym od szablonu na każdym z nich czarnym napisem SALETRA AMONOWA. Egipcjanin zjawił się w hangarze z próbką saletry amonowej w małym słoiku i zaczął teraz porównywać z nią zawartość worków.

Leroy, przyglądający się temu z ziemi, zawołał niecierpliwie:

- No i?

- W porządku, to saletra amonowa - potwierdził Egipcjanin.

Uśmiechając się kątem ust, Teksańczyk wyciągnął dużą walizkę z bagażnika wypożyczonej toyoty Dauda, położył ją na masce silnika i z trzaskiem otworzył wieko. Lincoln, wspierający się na lasce, zobaczył przezroczystą foliową torbę wypełnioną studolarowymi banknotami w żółtych banderolach. W walizce znajdował się również sześciowoltowy akumulator samochodowy, zwój drutu, mała torba wypełniona narzędziami oraz kilka spłonek nabojoych z demobilu. Lincoln wskazał laską na pieniądze.

- Przelicz je - polecił żylastemu mężczyźnie, który przyjechał wozem meblowym z Pennsauken pod Camden, punktu zbornego dla furgonetek wiozących saletrę z różnych rejonów Wschodniego Wybrzeża. Lincoln oparł się o zardzewiały słupek, żeby obserwować liczenie; czuł, jak kabura z pistoletem automatycznym małego kalibru ociera mu się o plecy w jamie w krzyżu. Daud otworzył wszystkie jutowe worki w dwóch pierwszych rzędach, żeby sprawdzić ich zawartość. Skierował światło latarki w głąb wozu i głośno liczył worki po arabsku. Zadowolony, zszedł tyłem po metalowej drabinie i podszedł do Lincolna.

- Najwyraźniej możemy z tobą robić interesy - powiedział.

Mężczyzna, który liczył pliki banknotów, noszący sportową sztruksową kurtkę, z kolbą pistoletu widoczną w kaburze na ramieniu, uniósł wzrok.

- Jeżeli, jak twierdzą, w każdej paczce jest sto banknotów - rzekł do Lincolna - rachunek się zgadza.

- Nigdy byśmy się nie odważyli cię oszukać - rzekł Daud. - Mamy jeszcze do załatwienia interesy w Boa Vista. Czy sprawa odpadów radioaktywnych posunęła się do przodu?

- Namierzyłem dwadzieścia trzy tysiące zużytych prętów plutonowych, przechowywanych w dwóch hangarach na ukrytym terenie wojskowym. Zabezpieczenie jest znikome - drut kolczasty wokół hangarów i kłódki na drzwiach.

Daud nie był człowiekiem, który łatwo okazywał emocje. Teraz, nie będąc w stanie powściągnąć podniecenia, aż podskoczył na betonowej posadzce hangaru.

- Mój saudyjski przyjaciel będzie niezmiernie zadowolony. W jakim rejonie Rosji znajdują się te hangary?

Lincoln uśmiechnął się tylko.

- Nie chciałem być niedyskretny - pośpiesznie zaznaczył Daud. - Próbuję tylko ocenić, jak trudno będzie odzyskać taką ilość prętów i przetransportować je przez granice różnych krajów do Afganistanu.

- Można tego dokonać. Będę potrzebował zaliczki w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów w używanych banknotach studolarowych, płatnej, gdy spotkam się z Saudyjczykiem w Boa Vista nocą czwartego lutego.

Daud zaczął zapewniać, że zaliczka będzie czekała w Boa Vista, gdy uwagę wszystkich odwróciło poruszenie z tyłu hangaru. Widać było, jak gruby wnuk Dauda przeciska się przez szczelinę w falistym pokryciu dachowym. Krzycząc coś po arabsku, szedł w stronę dziadka. Daud wsadził rękę w głęboką kieszeń swojego płaszcza przeciwdeszczowego; wy dobył z niej pistolet z tłumikiem.

- Mój wnuk twierdzi, że mężczyźni zgromadzeni wokół ogniska na polu są uzbrojeni w karabiny automatyczne. Zakradł się blisko i zobaczył ludzi rozdających je z furgonetki. Wygląda na to, że dostaliśmy się w pułapkę...

Na zjeździe z Pułaski Highway, w odległości pół mili, pojawiły się światła tuzina aut, migoczące w snującej się po ziemi nocnej mgle. Samochody utworzyły tyralierę i zmierzały w kierunku hangaru.

- Dajcie mi detonator! Wysadzę worki i poślę ich wszystkich do diabła! - wykrzyknął Leroy, ale zanim zdołał cokolwiek zrobić, żyłasty mężczyzna, który liczył pieniądze, podniósł walizkę i wybiegł bokiem hangaru, znikając w ciemnościach. Daud wciągnął wnuka pod wóz meblowy. Gdy reflektory zaczęły omiatać wnętrze hangaru, Leroy chwycił Lincolna za rękę i



przyciągnął ku obwisłym arkuszom pokrycia dachowego.

- Niech to szlag - mruknął Leroy, wyciągając zza pasa lśniący rewolwer marki Webley-Scott z drewnianą rękojeścią i gniewnie obracając bębenek. - Przyjechali tutaj za tobą - dodał chrapliwym szeptem.

- To ciebie lub Dauda śledzili - odciął się Lincoln.

Za sobą słyszeli odległe okrzyki ludzi nadchodzących przez pole od strony ogniska.

Leroy przykucnął za arkuszem blachy i powiedział:

- Mój tato zmarł w jednym z ich więzień. Posłuchaj, na dworze jest jeszcze ciemno. Trzeba tylko sprzątnąć paru z nich, gdy reszta spanikuje i padnie na ziemię, możemy wymknąć się na pole i dać dyla.

Samochody, których światła przemykały po wozie meblowym, zatrzymały się przy hangarze. Widać było sylwetki ludzi przecinające smugi reflektorów, gdy zajmowali pozycje wokół hangaru. Niektórzy byli uzbrojeni w karabiny, inni nieśli plastikowe tarcze. Z megafonu doleciał gromki głos, który wydał się Lincolnowi znajomy.

- Tu FBI. Wiemy, że tam jesteście. Zostaliście okrążeni. Macie dwie minuty na to, żeby wyjść z podniesionymi rękami.

Pośrodku hangaru Daud przetoczył się na bezpieczną odległość od wozu meblowego i wstał z ziemi. Podniósł rękę, by osłonić oczy przed światłem reflektorów, i ruszył w stronę megafonu. Gdy był w połowie drogi, wyciągnął zza pleców rękę, w której trzymał pistolet. Lincoln usłyszał syczący odgłos dwóch stłumionych strzałów, zanim ogień automatyczny z kilku karabinów ściał Egipcjanina z nóg. Daud, odrzucony do tyłu przez kule trafiające w jego pierś, padł na beton. Jego gruby wnuk, szlochając jak małe dziecko, podczołgał się do ciała dziadka i zarzucił mu ręce na tułów, po czym wstał niepewnie i patrząc przez łyzy w światło reflektorów, sięgnął po pistolet. Zanim zdołał go wyszarpnąć z kabury, kule rozorały mu klatkę piersiową.

Omiatając teren przed sobą trzymanymi w dłoniach oślepiającymi jupiterami, ustawieni w szereg uzbrojeni mężczyźni w czarnych wiatrówkach ruszyli naprzód przez hangar. Gdy jeden z nich odwrócił się, by głośno wydać rozkaz, Lincoln zauważył duże białe litery FBI na plecach.

- Czekaj, aż zobaczymy białka ich oczu - wyszeptał Leroy do Lincolna, który chował się za słupkiem obok przyczajonego Teksańczyka. - Kropnę tego, który prowadzi tę bandę.

Agenci FBI minęli wóz meblowy; gdy okrążali arkusze blachy falistej poszycia dachowego z tyłu hangaru, smugi jupiterów przeszywały ciemność

przed nimi. Lincolnowi wydawało się, że rozpoznał krępą postać nisko pochylonego Feliksa Kiicka na czele, z megafonem w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Gdy Kiick znalazł się w odległości piętnastu jardów, podniósł megafon do ust.

- To wasza ostatnia szansa, nie możecie uciec. Wyjdźcie z rękami nad głową.

Mówiąc to, zrobił kolejnych kilka kroków. Leroy, opanowując drżenie ramienia lewą ręką, wspartą łokciem o brzuch, uniósł rewolwer i starannie wycelował w głowę Kiicka. Lincoln liczył wcześniej, że zostaną schwytani bez walki, ale nalot na hangar nastąpił w fatalnym momencie. Rozkaz operacyjny wymagał od agentów zebranych wokół ogniska przybycia na tyły hangaru w chwili, gdy światła reflektorów padające ze zjazdu z estakady staną się widoczne. Leroya i Dauda, zdenerwowanych widokiem zbliżających się aut, z łatwością można by obezwładnić, zanim zdołaliby stawić opór. Teraz Lincoln mógł jedynie uchronić Kiicka przed kulą. Jednym płynnym ruchem uniósł laskę i spuścił ją gwałtownie na rękę Leroya, miażdżąc mu nadgarstek. Kiick podskoczył, słysząc trzask łamanych kości. Leroy spojrzał na Lincoln z tak autentyczną nienawiścią, jakiej ten nigdy nie widział w ludzkich oczach. Poruszał wargami, ale dopiero po pewnym czasie zdołał wychrypieć:

- Jesteś jednym z nich!

- Feliksie, jesteśmy tutaj - zawołał Lincoln, ukazując się zza blachy falistej.

Kiick podszedł i skierował snop światła na Leroya, który gapił się ze zdumieniem na swą zwisającą bezwładnie z przegubu prawą dłoń. Webley-scott z drewnianą kolbą leżał na betonowej posadzce. Agenci FBI chwycili Leroya pod pachy i zaciągnęli w stronę samochodów. Używając chustki, Kiick podniósł rewolwer Leroya i trzymał go za lufę.

- Coś mi mówi, że jestem twoim dłużnikiem - powiedział.

Podeszli razem do miejsca, w którym leżeli Daud i jego wnuk. Obok nich klęczeli lekarze nasłuchujący przez stetoskopy wszelkich oznak życia. Obaj równocześnie unieśli wzrok i pokręcili głowami. Ktoś oświetlił zwłoki lampą i zaczął robić zdjęcia z różnych stron. Inni agenci nakryli trupy kawałkami srebrnej folii. Agent noszący białe chirurgiczne rękawice przyniósł krótką broń palną, którą wyciągnął spod zwłok chłopaka. Trzymając za lufę, podał ją Kiickowi, by ten mógł lepiej jej się przyjrzeć.

- Jasna cholera - jęknął Kiick i pokręcił z obrzydzeniem głową. -

Wyglądał mi na najprawdziwszy pistolet.

\* \* \*

Przewodnicząc formalnemu dociekaniu przyczyn niepowodzenia w biurze wicedyrektor Zarządu Operacji na siódmym piętrze w Langley Crystal Quest nawet nie starała się poskramiać kipiącej w niej złości. Źle poszło wszystko, co tylko mogło pójść źle. Dorosłych ludzi, pretendujących do miana agentów FBI, spostrzegł jakiś dzieciak - dzieciak! - zanim jeszcze zaczął się nalot. Daud wpakował się w grad kul, żeby nie wzięli go żywego. Na dodatek błazny z FBI pod komendą Feliksa Kiicka zastrzeliły małolata uzbrojonego w plastikowy pistolet. Chryste Panie, zabawka nie była nawet napełniona wodą. Leroy Streeter junior, który dostałby wyrok dożywocia za próbę wysadzenia terenu przy Wall Street, wiedział bardzo niewiele o komórkach Al-Kaidy i jeszcze mniej o Saudyjczyku, który je tworzył; wiedza Streetera ograniczała się do grupki stukniętych białych supremacjonistów w Teksasie, do której przeniknęło już tylu agentów stanowych i federalnych, że połowę składek członkowskich opłacał rząd. Jakby nie dość było upokorzeń, wszelkie nadzieje na schwytanie Saudyjczyka na gorącym uczynku przysły noc wcześniej, gdy idioci z argentyńskiego wywiadu schrzanili nalot na Boa Vista; to dopiero była tajna operacja - wzięli kurs na brazylijskie Mato Grosso sześcioma olbrzymimi śmigłowcami wojskowymi, lecąc tuż nad wierzchołkami drzew z włączonymi światłami pozycyjnymi, na litość boską, a gdy lądowali w obozie szkoleniowym, wznieśli taką burzę piaskową, że w panującym zamieszaniu połowa fedainów zdołała się wymknąć. Naturalnie Saudyjczyka, przewodniczącego spotkaniu w niskim budynku, nie było już, gdy agenci SIDE, wspierani wynajętymi przez Firmę ludźmi z organizacji paramilitarnej, którzy aktualnie szukali zajęcia, wpadli do środka. Kogo więc ujęto w wyniku tego nalotu?

- Powiem wam kogo. Jesteście przygotowani na to, panie i panowie? Ujęto dwóch gości z Hamasu, dwóch kolejnych z Hezbollahu, siedmiu z egipskiego Bractwa Muzułmańskiego, pijanego Irlandczyka z IRA i dwie młode kobiety z baskijskiej ETA, które podczas przesłuchania podały się za modelki. Modelki, akurat! Jedna z nich miała tak płaskie piersi, że watowała sobie biustonosz, aby wyjść na swoje! Naprawdę, mogliśmy schwycić dwa razy tyle terrorystów, używając lepu na muchy przypiętego do krokwi dowolnego baru przy głównej ulicy Foz do Iguaçu.

Wydawało się, że Quest pozwoliła odpocząć swoim strunom głosowym. W kilkusekundowej ciszy Lincoln zdołał wtrącić słowo.

- Cóż - powiedział - ustaliliśmy jednak tożsamość Saudyjczyka.

Punktem wyjścia były podejrzenia co do przewlekłej niewydolności nerek. Założywszy, że bezceremonialna uwaga Streetera o bogactwie Saudyjczyka („Dzięki Allahowi i swojemu zmarłemu ojcu jest bardzo bogaty”) wskazywałyby, iż chorobę stwierdził i leczył kosztowny prywatny lekarz, szefostwo wywiadu w Rijadzie przeczesало kliniki odwiedzane przez członków rodziny królewskiej i zamożnych członków sfer biznesu. Jeżeli coś znaleźli, zachowali to dla siebie. Wobec ociągania się Saudyjczyków przekonano amerykańskiego sekretarza stanu, by poruszył tę sprawę ze swoim saudyjskim odpowiednikiem. Po niespełna kilku dniach szefowie wywiadu w Rijadzie posłali do Langley worek z grubym *dossier* pełnym setek fotografii i dołączonych do nich informacji biograficznych. Lincoln przejrzał zdjęcia w sali konferencyjnej obok gabinetu wicedyrektor Zarządu Operacji razem z Quest zaglądającą mu niecierpliwie przez ramię. Natrafił na kilka, przy których się zawahał. Nie, nie, to nie on, rzekł w końcu, nasz Saudyjczyk miał niesamowicie głębokie spojrzenie, którym zdawał się patrzeć w ciebie raczej niż na ciebie. Przeglądając *dossier* drugi raz, Lincoln korzystał ze szkła powiększającego, by przypatrzeć się pilnie zdjęciom grupowym. Nagle pochylił się nad stołem, by przyjrzeć się baczniej jednemu mężczyźnie.

- *Myślę, że chyba...*

- *Myślisz, że chyba co, na litość boską?*

- *Chyba to jest nasz Saudyjczyk. Tak, nie ma co do tego wątpliwości. Spójrz na te cholerne oczy.*

Tę fotografię zrobiono przed laty na ślubie siedemnastoletniego Saudyjczyka z młodą Syryjką, jego daleką krewną. Zgodnie z podpisem dostarczonym przez ludzi z rijadzkiego wywiadu, pan młody nazywał się Osama Bin Laden. Okazało się, że ma teczkę w Rejestrze Centralnym z czasów, gdy zaangażował się w antysowiecki dżihad w Afganistanie. Osamę, syna urodzonego w Jemenie potentata budowlanego, Muhammada Awada Bin Ladena, który zbił majątek w Arabii Saudyjskiej, według informacji Rijadu uważano za czarną owcę w gronie pięćdziesięciorga trojga rodzeństwa w niezwykle bogatej rodzinie Bin Ladenów, po części z powodu pogardy jaką żywił dla panującego rodu Saudów, po trosze z uwagi na świeżej daty obsesję na punkcie islamskiego fundamentalizmu.

- W porządku, mamy jego nazwisko i zdjęcie policyjne do kompletu - przyznała Quest; przepełniająca ją złość opadła tylko częściowo. - Cholernie

szkoda, że nie mamy również jego ciepłego ciała.

- Musimy - zauważył z boku jeden z jej pracowników - wyrzucić na Saudyjczyków nacisk, by go nam przekazali lub przynajmniej wydali z Sudanu.

- Przeniosłam Bin Ladena na pierwsze miejsce na liście naszych życzeń - oznajmiła Quest. - Szkoda, że jeszcze żyje. Coś mi mówi, że lepiej dostać go w swoje ręce, zanim on dostanie w swoje odpady promieniotwórcze i zbuduje sobie brudną bombę.

- Amen - dodał Lincoln.

\* \* \*

Sześć tygodni później Lincoln, wypoczywający przez dwa tygodnie w Rzymie, wynajął taksówkę, żeby pojechać do rozległej willi Hadriana koło Tivoli i spędzić tam popołudnie. Kuśtykał po jej terenie w lekkim wiosennym deszczu i próbował odróżnić mit od rzeczywistości. Kto był Publiusem Aeliusem Hadrianusem człowiekiem, a kto legendą, powierzona kartom historii? Czy był cesarzem, który okrutnie zdławił żydowską rewoltę sto trzydziestego drugiego roku i urządził pochód ocalałych buntowników w kajdanach przez Rzym? Czy mecenasem sztuki, który nadzorował budowę ogromnej wiejskiej willi pod Rzymem, szczególnie zaś jej urzekającej kolistej biblioteki, gdzie spędzał popołudnia, studiując zgromadzone przez siebie rękopisy? Czy też, co wydawało się prawdopodobne, w obu tych wcieleniach krył się po trosze prawdziwy Hadrian?

Czyż prawda nie tworzyła osnowy wszystkich legend?

Wczesnym wieczorem kazał kierowcy wysadzić się na drugim brzegu Tybru, na Monte Gianicolo. Sprawdził adres nagryzmołony na skrawku papieru przechowywanym w portfelu i ruszył pod górę, idąc w nieśpiesznym tempie, żeby nie przeciążać nogi, aż dotarł do luksusowej czteropiętrowej kamienicy w pobliżu fontanny, gdzie rzymianie zatrzymywali się dłużej, aby wdychać rozpylone w powietrzu cząsteczki spływającej kaskadą wody. Usadowił się na kamiennej balustradzie koło fontanny, plecami do rozciągającego się za nim Rzymu, i sam wciągnął w płuca trochę wodnego pyłu. To z pewnością nie zaszkodzi, pomyślał. Obecnie chodził bez pomocy laski, ale łatwo się męczył; lekarze w firmowej klinice w Marylandzie uprzedzili go, że ból w nodze nigdy nie ustąpi całkowicie. Zapewnili, że nauczy się go znosić; właśnie to wszyscy robili z bólem.

Dzwony na wieży kościoła powyżej fontanny wybiły okrągłą godzinę i Lincoln spojrzął na zegarek; albo jego wskazania, albo dzwony były

nieprecyzyjne, ale jakie to miało znaczenie? W końcu czas był czymś, co człowiek zabijał. Stojący po drugiej stronie ulicy odźwierny w długim błękitnym płaszczu ze złotą lamówką zdjął czapkę, by pozdrowić bardzo elegancko ubraną kobietę wychodzącą z małym psem z budynku. W jednej odzianej w rękawiczkę dłoni trzymała smycz, w drugiej rączkę chłopczyka w krótkich spodniach i sięgającym kolan, zapiętym po samą szyję płaszczyku. Z psem drepczącym na czele, przeszli oboje na drugą stronę ulicy, mijając fontannę w drodze do szkoły muzycznej poniżej. Gdy z nim się zrównali, Lincoln zsunął się z balustrady.

- Witam - powiedział.

Kobieta przystanęła.

- Czy my się znamy?

- Nie pamiętasz mnie?

Kobieta, mówiąca po angielsku z włoskim, jak sądził, akcentem, wyglądała na zdziwioną.

- Przykro mi, ale nie. A powinnam?

Lincoln zauważył srebrny krzyżyk wiszący na delikatnym srebrnym łańcuszku na jej szyi.

- Nazywam się Dittmann. Lincoln Dittmann. Poznaliśmy się w Brazylii, w przygranicznym mieście Foz do Iguaçu. Twoje imię... twoje dzienne imię brzmiało Lucia.

- *Mamá, qué dice?*

Nerwowy uśmiech rozciągnął kąciki ust kobiety.

- Tak się składa, że moje dzienne imię brzmi tak samo jak nocne. Fiamma. Fiamma Segre.

Lincoln zdał sobie sprawę, że mówi w pośpiechu, jakby od tego, czy ją przekona, że dzienne i nocne imiona nigdy nie są identyczne, wiele zależało.

- Powiedziałem ci, że to się skończy. Odparłaś, że będziesz hodować małe poliestry w gospodarstwie w Toskanii. Jestem bardzo szczęśliwy, widząc, że znalazłaś coś ciekawszego do zrobienia ze swoim życiem.

W przerażonych oczach kobiety zagościł nerwowy uśmiech.

- Poliester to tkanina syntetyczna - powiedziała cichym głosem i delikatnie pociągnęła chłopca za rękę. - Niestety musimy już iść. Przyjemnie się z tobą rozmawiało, Lincolnie Dittmann. Żegnaj.

- Żegnaj - rzekł Lincoln i chociaż nie miał ochoty, zmusił się do odwzajemnienia uśmiechu.

## 1997: Martin Odum jest oczarowany do łez

Pasażerski odrzutowiec przecisnął się przez chmury i wyłonił z przestrzeni powietrznej nad lotniskiem równie ponurej, jak ponure staje się niebo bez słońca. Ciemne, nierówne pola pokryte brzdami rowów odwadniających rozpostarły się pod brzuchem samolotu. Ze swojego fotela Martin Odum obserwował Pragę, przechylając się do góry w owalnej ramie okna, jakby ulokowano ją na uniesionym końcu huśtawki; oczyma wyobraźni ujrzał, jak budynki poddają się sile ciężenia i zsuwają do Wełtawy, szerokiej rzeki w kolorze błota, wijącej się przez centrum miasta, które w zawistnych oczach Martina wyglądało niczym piękna kobieta, namówiona na jedną operację plastyczną twarzy za dużo. Skrzydło samolotu opadło do poziomu, Praga wyprostowała się, a wzgórza okalające czasę miasta, z prefabrykowanymi klockami wieżowców mieszkalnych z czasów komunizmu wylewającymi się przez ich grzbiety na ponurą okolicę, wpłynęły w pole widzenia na horyzoncie. Chwilę później koła odrzutowca zetknęły się z mknącym im na spotkanie pasem startowym.

- Witamy w Pradze - oznajmił głos zarejestrowany na taśmie urządzenia nagłaśniającego. - Mamy nadzieję, że lot minął państwu przyjemnie. Kapitan i jego załoga dziękują za skorzystanie z usług Czeskich Linii Lotniczych.

- Jest mi niezmiernie miło - Martin usłyszał w odpowiedzi swój własny głos. Piersiasta Angielka w sąsiednim fotelu też musiała go usłyszeć, ponieważ obdarzyła Martina spojrzeniem zarezerwowanym dla pasażerów rozmawiających z nagranyimi komunikatami. Martin poczuł się w obowiązku rozszyfrować swoją uwagę. - Każda linia lotnicza, która przywozi mnie tam, dokąd lecę, w całości, zyskuje moją bezgraniczną wdzięczność - wyjaśnił.

- Skoro boi się pan latać - odparła - powinien pan rozważyć możliwość podróżowania koleją.

- Pociągów też się boję - rzekł ponuro Martin. Pomyślał o Włoszce, którą Lincoln Dittmann spotkał w Foz do Iguaçu; tej, która bała się własnego cienia. Ciekawe, co się z nią stało. Po dziś dzień nie był całkowicie pewny, czy kobieta, którą nagabnął na Monte Gianicolo, i *call-girl* w Brazylii to jedna i ta sama osoba; istniało podobieństwo fizyczne, tak twierdził Lincoln, ale te dwie kobiety całkowicie różniły się stanem ducha i sposobem bycia. -

Boję się przyjeżdżać w miejsca, w których wcześniej nie byłem - powiedział teraz swojej sąsiadce. - Boję się ruchu oraz zmiany, boję się tam jeździć i docierać.

Angielka miała ochotę położyć kres tej wymianie poglądów i sformułowała w myślach uwagę, która by do tego doprowadziła. Uznała jednak, że chyba ma do czynienia z autentycznym wariatem, i nie odezwała się.

Przemierzając zatłoczony terminal śladem tabliczek z sylwetkami autobusów, Martin, z cienkim bidi przyklejonym do dolnej wargi, stwierdził, że na drodze stanął mu drobny młodzieniec z ironicznym grymasem na mięsistych ustach. Ubrany był w zapinane przy kostkach bryczesy w kolorze khaki oraz zieloną tyrolską kurtkę ze zmatowiałymi mosiężnymi guzikami. Przez jedną chwilę Martin myślał, że został namierzony przez miejscową policję, ale młody mężczyzna szybko dał jasno do zrozumienia, że jest wolnym strzelcem:

- Mister, bez różnicy, czy przyjedzie pan do Pragi dla interesu, czy przyjemności, na obu przypadkach będzie pan potrzebował magika, którego honorarium wyniesie wyraźnie mniej, niż wydatkowałby pan na hotele, transport i posiłki, jeżeli nie zgodzi się pan wykorzystać moich usług. - Młody człowiek, któremu bardzo zależało na tym, żeby zadowolić klienta, zdjął swój kapelusz myśliwski i chwytając trzema palcami za jeden z jego daszków, trzymał go na wysokości mostka. - Radek na każde zawołanie za marne trzydzieści koron na godzinę, co się przekłada na jednego nędznego dolara.

Martin dał się skusić.

- Dlaczego mnie wybrałeś? - zapytał.

- Wygląda pan dość amerykańsko, a ja muszę podszlifować mój angielski na egzaminy w końcu roku, które trzeba zdać z odróżnieniem, żeby przyjść na wydział medycyny.

- Z wyróżnieniem, a nie odróżnieniem.

Młodzieniec rozpromienił się.

- Od tej sekundy aż do czasu, gdy wywiąże się alzheimer, będę mówił z wyróżnieniem.

Martin wiedział, że marnie sobie radzi z oceną wieku innych ludzi, ale Radek wyglądał trochę zbyt dojrzałe, by myśleć o studiach medycznych, i Martin dał wyraz swoim wątpliwościom.

- Późno rozkwitam - odparł młodzieniec z rozbajającym uśmiechem.



Martina interesowało oszczędzenie nie tyle pieniędzy, ile czasu; intuicja odpowiedziała mu, że musi dotrzeć do Pragi i wydostać się z niej, zanim Crystal Quest, której pracownicy będą mu deptać po piętach, poinformuje miejscową służbę bezpieczeństwa o jego obecności i zanim dopadną go Czeczeni, którzy zamordowali Taletbeka Rabbaniego. Wyciągnął z kieszeni koszuli banknot dziesięciodolarowy.

- Jasne, to za dziesięć godzin z góry. Chcę pojechać autobusem do miasta i wynająć na Wyszehradzie pokój w tanim hotelu, który będzie miał schody pożarowe prowadzące do wejścia dla pracowników. Później chcę zatelefonować z poczty głównej i zjeść obfity wegetariański posiłek w niedrogiej restauracji...

- Znam niewątpliwie tani hotel. To dawny dom noclegowy tajnej policji, przekształcony w pensjonat studencki po upadku komunizmu. Gdy się pan wmelduje, popilotuję pana do prowadzonej przez jugosłowiańską rodzinę knajpki, niewiele szerszej od szczeliny w murze i całkowicie wegetariańskiej, jeśli nie liczyć mięsa.

Martin roześmiał się mimo woli.

- Wydaje się, że tego właśnie mi trzeba.

Radek wypróbował ten zwrot.

- *Tego właśnie mi trzeba.* Rozumiem, co to znaczy. A na po posiłku może dziewczynki? Znam bar, gdzie studentki uniwersytetu obsługują stoliki, żeby dorobić do stypendium. Niektóre nie mają nic przeciwko dorabianiu w inny sposób.

- Dziewczynki zachowamy na moją następną podróż do Pragi, Radku. - Martin po raz ostatni zaciągnął się bidi i wetknął jego płonący koniec do wypełnionej piaskiem popielniczki. - Po prowadzonej przez rodzinę szczeliny w murze chcę iść do... - wyciągnął kopertę, którą Taletbek Rabbani dał mu w Londynie, i spojrział na zapisaną przez starca informację na odwrocie - ...do stacji kolejowej Wyszehrad przy ulicy Svobody.

- Dworzec Wyszehradzki został zamknięty przez komunistów. Pociągi przejeżdżają tamtędy, ale się nie zatrzymują. Przez pewien czas był to opuszczony budynek, gdzie można było kupić narkotyki. Słyszę, że został wynajęty Czechom, którzy kupują i sprzedają.

- Kupują i sprzedają co?

Radek wzruszył ramionami.

- Bóg jeden wie i dotychczas nie podzielił się ze mną tą informacją.

- Ja też chcę wiedzieć. Chcę się dowiedzieć, co kupują i sprzedają.

Radek z powrotem włożył na bakier swój kapelusz myśliwski.

- W takim razie proszę za mną, Mister.

Hotel na Wyszehradzie okazał się nieskazitelnie czysty i niedrogi, jeżeli tylko gość nie wpisywał się do księgi meldunkowej i płacił za dwie noce z góry w dolarach amerykańskich, na co Martin natychmiast się zgodził. A wąskie schody pożarowe prowadziły, przez cztery kondygnacje, do kuchni i tylnych drzwi wychodzących na dziedziniec, który sąsiadował z boczną ulicą. Na poczcie głównej, gdzie dotarli po krótkiej jeździe czerwono-kremowym trolejbusem przegubowym, było okienko do zamawiania rozmów międzynarodowych. Martin zapisał numer telefonu na Crown Heights na bloczku, poczekał na swoją kolej i gdy wywołano jego numer, wcisnął się do pustej kabiny, w której śmierzdzało zwietrzałą wodą kolońską.

- Halo! - krzyknął do słuchawki, usłyszawszy głos Stelli zmagający się z zakłóceniami na drugim końcu linii.

- Dlaczego tak krzyczysz? - zapytała.

Ściszył głos.

- Dlatego, że jestem dalej niż ostatnim razem.

- Nie mów mi, gdzie jesteś, przez ostatnich kilka dni na mojej linii słyhać dziwne echo.

- To bez znaczenia. Rozgryzienie, że to rozmowa międzynarodowa, zajmie im dwie lub trzy minuty. Potem będą potrzebowali paru dni, żeby dowiedzieć się, z którego miasta był ten telefon. I jeszcze jednego tygodnia, żeby skłonić miejscowych szpiegów do ustalenia, że dzwonię z poczty głównej w Pradze.

- Teraz sam im to powiedziałeś.

- Nie uwierzą mi. Pomyślą, że dla zmylenia podsuwam fałszywe tropy. Co dziś robiłaś?

- Właśnie wróciłam od dentysty, robi mi nowy ząb.

- Pieniądze wyrzucone w błoto. Podobał mi się ten uszczerbiony siekacz. Sprawiał, że wyglądałaś...

- Na litość boską, dokończ, co zaczęłaś mówić. Ilekroć robisz osobiste wycieczki, wypuszczasz z ust koniec zdania i odlatuje on niczym balon wypełniony gorącym powietrzem.

- Krucho. Właśnie to słowo miałem na końcu języka.

- Nie jestem pewna, jak to potraktować. Cóż jest tak wspaniałego w tym, że ktoś wygląda krucho?

- Po pierwsze, to oznacza, że nie jesteś jeszcze załamana. Ludzie

załamani mają kilka ego. Estelle to twoje prawdziwe imię, czyż nie?

- Nazwisko, Kastner, nadano nam, gdy przybyliśmy do Ameryki. Chcieli zmienić także imię, ale nie pozwoliłam. Estelle to ja. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, zapytała: - Jesteś tam jeszcze?

- Myślę o tym, co powiedziałaś. Wiem, że musiałem spotykać ludzi, którzy nie tworzą w swoim życiu legend, ale po prostu nie pamiętam, kiedy to było.

- Legendy, jak wtedy, gdy człowiek ma różne imiona?

- Nie tylko różne imiona; to się wiąże z posiadaniem kilku życiorysów, prezentowaniem kilku postaw, patrzeniem na świat, dawaniem i czerpaniem przyjemności na kilka sposobów. To się wiąże z takimi załamaniem, że najlepszym fachowcom trudno byłoby poskładać człowieka do kupy.

- Posłuchaj, Martinie...

- Wspaniale! Teraz będą wiedzieli, że to ja dzwonię.

- Skąd pewność, że nie używam fałszywego imienia, żeby ich wprowadzić w pole?

- W tym, co mówisz, jest coś na rzeczy.

- Gdy rozmawialiśmy ostatnim razem, okłamałam cię. Powiedziałam, że jeżeli dołączę do ciebie w Europie, obejdzie się bez zobowiązań. Jeżeli pozwolisz mi przyjechać, to bez nich... się nie obejdzie.

Martin nie wiedział, co powiedzieć. Stłumił „yhm” i nie przerwał milczenia.

- Nie wiesz, co powiedzieć - domyśliła się Stella.

- Zobowiązania zniewalają marionetki - rzekł w końcu. - Nie bardzo liczę na to, że będziesz marionetką.

- Te zobowiązania nie dotyczyłyby mnie ani ciebie, dotyczyłyby mojego przyjazdu. Pamiętasz, jak wjeżdżaliśmy do Izraela i powiedziałam temu policjantowi, że jesteś moim kochankiem?

Martin uśmiechnął się do siebie.

- A ja powiedziałem, że pod prawą piersią masz tatuaż przedstawiający ćmę syberyjską.

- I mam - oznajmiła Stella.

Nie zrozumiał.

- Masz co?

- Tatuaż przedstawiający syberyjską ćmę pod prawą piersią. Zrobił go jamajski tatuażysta przy Empire Boulevard. To właśnie jest zobowiązanie, które wyniknie z naszego następnego spotkania. Będę musiała ci go pokazać,

żeby dowieść, że tam się znajduje, ponieważ uwierzenie mi na słowo w tak ważnej sprawie nie jest w twoim stylu. Wtedy zobaczymy, czy będzie ciąg dalszy.

Martin pomyślał o ulicznicy, którą Dante spotkał w Bejrucie.

- Słyszałem o dziewczynie, która rzeczywiście kazała sobie wytatuować ćmę pod piersią. Miała na imię Dżamilla. Naprawdę zrobiłaś sobie tatuaż?

- Yhm. - Słyszał śmiech w jej głosie.

- Kradniesz moje „yhm” - zauważył.

- Zamierzam ukraść znacznie więcej - odpaliła.

Zmienił temat.

- Dzisiaj miałem pietra.

- Przed czym?

- Nigdy przedtem nie byłem tu, gdzie jestem. To mnie przeraża.

- Dobra, oto moja propozycja. Lepiej będzie, jak się przyzwyczaisz do nowych dla siebie sytuacji. Będę cię trzymała za rękę. W porządku?

- Chyba tak.

- Jeżeli tak wygląda twój entuzjazm, to bardzo nie chciałabym doświadczyć twojej niechęci.

- Rzecz w tym, że nie jestem pewien.

- Słyszałeś kiedyś opowieść o rosyjskim wieśniaku, którego zapytano, czy umie grać na skrzypcach? *Nie jestem pewien*, odparł. *Nigdy nie próbowałem*. - Zarechotała z własnego dowcipu. - Musisz spróbować, Martinie, żeby wiedzieć, czy potrafisz.

- Widzę, że masz rację. Tyle że nie czuję tego.

Przetrawiła jego komentarz.

- To po co do mnie zadzwoniłaś?

- Chciałem usłyszeć twój głos. Upewnić się, czy ty to wciąż ty.

- Cóż, usłyszałeś go, a ja usłyszałam twój. Co nam teraz pozostaje?

- Nie jestem pewien. - Oboje roześmiali się na te słowa. - To znaczy, muszę jeszcze znaleźć człowieka, który samowolnie oddalił się od swojej żony.

- Odpuść sobie. Zapomnij o Samacie. Wróć do domu, Martinie.

- Jeżeli sobie odpuszczę, człowiek, który wróci do domu, nie będzie mną. Poza tym wiele pytań wymaga odpowiedzi.

- Gdy odpowiedzi są nieuchwytnie, trzeba nauczyć się żyć z pytaniami.

- Muszę już iść. Stello?

- W porządku, idź. Gdy się rozłączysz, odtworzę sobie tę rozmowę w

myślach. Przeanalizuję ją, szukając znaczeń, które przeoczyłam.

- Nie przejmuj się i bądź szczęśliwa.

- Nie przejmuj się i bądź szczęśliwa? A cóż to miało znaczyć?

- To piosenka z pierwszej dziesiątki listy przebojów lat osiemdziesiątych.

Myślałem o niej dzisiaj, puszczała ją bez końca z szafy grającej w Paragwaju, gdy był tam gość, którego znam.

- Czy oni to dziewczyna?

- Grupa dziewczyn. Pracujących w barze prostytutek, które kupowały kupony loteryjne od sędziwego polskiego dżentelmena.

- Przygnębiasz mnie. Tak mało o tobie wiem.

- Siebie też przygnębię. Z tego samego powodu.

*Piat dejour* w rodzinnej knajpce okazało się pikantnymi jugosłowiańskimi klopsikami podanymi w głębokich talerzach z warzywami, które zostały tak rozgotowane, że trudno było je rozpoznać. Martin wymienił swoje klopsiki na jarzyny Radka i nałożył sobie połowę gotowanych ziemniaków. Wino, zaprawione anyżem i łatwo wchodzące po kilku pierwszych łykach pozbawiających czucia w gardle, stanowiło imitację greckiego ouzo. Radek siedział naprzeciw Martina przy małym stole, ścierając sos z talerza kawałkami czerstwego chleba i popijając je haustami wina.

- Marzę o tym, by pojechać do pięknej Ameryki, zanim wywiąże się alzheimera - wyznał, wysysając resztki jedzenia spomiędzy zębów. - Czy to prawda, że brukują tam ulice walkmanami, gdy zniszczy się bruk?

Martin usiadł wygodnie i uraczył się poobiednim bidi.

- Skąd masz tę ciekawą wiadomość?

- Wyczytałem w jakimś uniwersyteckim czasopiśmie satyrycznym.

- Nie wierz we wszystko, co wyczytasz w uniwersyteckich magazynach satyrycznych. Możesz poprosić o rachunek?

Gdy przyniesiono rachunek, Radek przestudiował go, po czym wdał się w spór z właścicielem, który w końcu wykreślił dwie pozycje i obniżył cenę wina.

- Oszczędziłem panu sześćdziesiąt koron, to znaczy dwa marne dolary amerykańskie - zauważył Radek. - To daje dwie godziny z mojego honorarium, Mister. Więc dokąd teraz?

- Trolejbusem na ulicę Svobody.

- Jak to jest, że taki bogaty Amerykanin jak pan nie wynajmuje taksówki?

- Wyznaję teorię, że człowiek naprawdę poznaje miasto dopiero wtedy,

gdy przejedzie się miejscowymi środkami transportu.

Radek, skonsternowany, pokręcił głową.

- Tutaj wszyscy, którzy korzystają z transportu publicznego, marzą o własnym pojeździe. Chce pan jechać na Dworzec Wyszehradzki?

- Chciałbym wysiąść sto metrów wcześniej i pokonać resztę drogi pieszo, żeby spalić trochę kalorii.

Radek przyłożył palec wskazujący do nosa.

- Chce pan najpierw *przeprowadzić rekonesans*.

- Gdzie się nauczyłeś tego zwrotu?

- Mam bzika na punkcie starych amerykańskich filmów - odparł Radek i z kciuka oraz palca wskazującego zrobił „pistolet” i wsadził go do kieszeni swojej tyrolskiej kurtki.

- *Mam broń w kieszeni, Mister.*

- Z jakiego to filmu?

- *Bierz forsę i w nogi Woody Allena.*

- Yhm. Chodźmy.

Siedząc w tyle trolejbusu i słuchając trzasku iskier sypiących się z biegnącego nad nim kabla elektrycznego, Martin uważnie przyglądał się twarzom otaczających go ludzi w poszukiwaniu tej, której właściciel był nim wyraźnie niezainteresowany. Normalnie chlubił się umiejętnością wtopienia w tłum nawet wtedy, gdy nie było tłumu. Teraz jednak za bardzo się śpieszył, by przedsięwziąć zwykłe środki ostrożności. Jego amerykańskie ubranie, zwłaszcza zaś buty, sprawiały, że wyróżniał się w każdej grupie Czechów, i ludzie, z natury ciekawi, patrzyli nań badawczo, niektórzy otwarcie, niektórzy ukradkiem. Pomyślał, że jeżeli ktoś go śledzi, będzie się starał w ogóle na niego nie patrzeć. Podczas długiej jazdy z knajpki na Małą Stranę i potem, ustawiając się w kolejce oczekujących trolejbusu drugiej linii, Martin, wciąż mistrz w swoim rzemiośle, nie miał wrażenia, że ciągnie za sobą ogon. Co - wiedział z doświadczenia - mogło znaczyć, że śledzący go ludzie bardzo dobrze znają swój fach. Radek zauważył, że Martin zwraca uwagę na otaczających go pasażerów.

- Jeżeli nie ma pan ochoty na dziewczynki, to na co ma pan ochotę? - zapytał i nachylił się bliżej, żeby wymizerowana kobieta na fotelu przy przejściu, bezwstydnie przypatrująca się Amerykaninowi, nie mogła go usłyszeć. - Konopie indyjskie, marycha, haszysz, bhang, sinsemilla, kokaina, crack, anielski pył, hera, metadon, LSD, PCP, narkotyki pobudzające, środki uspokajające. Niech pan tylko określi, a Radek znajdzie to za mniej marnych

dolarów, niż płaci mi pan dziennie.

- Nigdy nawet nie słyszałem o połowie tych środków - odparł Martin. - Mam ochotę rozprostować nogi, gdy znajdziemy się w pobliżu Dworca Wyszehradzkiego.

- Następny przystanek - wyjaśnił Radek, wyraźnie rozczarowany faktem, że jego zdolności zaopatrzeniowca nie zostaną poddane próbie. Szarpnął za biegnący wzdłuż trolejbusu nad oknami sznur, jakby to była struna gitarowa. Z przodu zabrzmiał dzwonek. Gdy trolejbus zatrzymał się ze zgrzytem, zaskrzypiały otwierające się drzwi. W chwili gdy znaleźli się na chodniku, Radek wskazał głową na drugą stronę szerokiej ulicy. W oddali Martin dojrzał nędzną budowlę w stylu socrealistycznego gotyku, zatrzymującą na rozpadającym się dachu, na którym roilo się od gołębi, ostatni kwadrans słonecznego światła padającego ukosem nad Wełtawą. Odwrócił się do Radka, wyciągnął do niego rękę i oznajmił:

- Nie będę już potrzebował twoich usług.

Radek wyglądał na przygnębionego.

- Zapłacił pan za dziesięć godzin, Mister. Wciąż jestem panu winien siedem i pół.

- Uznaj niewykorzystane godziny za bonus. - Gdy Radek wciąż nie wyciągał ręki do pożegnania, Martin uniósł swoją do skroni i zasalutował przyjaźnie. - Powodzenia na wydziale medycyny. Mam nadzieję, że wynajdziesz lekarstwo na alzheimera, zanim alzheimer się wywiąże.

- Pluję sobie w brodę, że od kogoś takiego jak pan zażądałem tylko trzydziestu marnych koron za godzinę - mruknął Radek, odwracając się i ruszając w przeciwną stronę.

\* \* \*

Zaciągając się bidi, Martin kroczył powoli ulicą Svobody w kierunku rzeki. Minął rząd kamienic, jedną z datą „1902” wrytą nad drzwiami i angielskim napisem „Fiat for Sale” w oknie parteru. Po drugiej stronie ulicy dominował Dworzec Wyszehradzki w całej swej dekadencej okazałości rodem z komunizmu. Budynek dworca składał się z usytuowanego centralnie szkieletu i dwóch zrujnowanych skrzydeł. Brudny biały tynk odpadał od fasady niczym spalona słońcem skóra, odsłaniając brudne czerwone cegły. Okna od strony ulicy były zabite deskami, jednak przez szczeliny w kilku źle osłoniętych otworach okiennych na drugim piętrze sączyła się odrobina jarzeniowego światła. Gdy Martin ruszył z powrotem, tym razem wzdłuż murów stacji, gołębie odfruwały dwójkami i trójkami z dachu w

poszukiwaniu ostatnich promieni słońca. Trolejbusy przejeżdżały z łoskotem obok, wprawiając w drżenie ziemię pod stopami; za budynkiem dworca przemknął w kierunku centrum podmiejski pociąg. Plakaty z oślimi uszami, reklamujące węgierskie odkurzacze i wyremontowane trabanty, wisiąły przypięte pinezkami do desek zasłaniających okna parteru. Koło furtki, która prowadziła do ścieżki biegnącej wokół lewego skrzydła budynku, ktoś wykonał kredą na murze graffiti. „Wybuch bomby w Oklahoma City był pierwszym wystrzałem III wojny światowej”. Martin ostrożnie otworzył furtkę na zardzewiałych zawiasach, wspiął się po murowanych schodach i przeszedł na tyły stacji; z tego przejścia najwyraźniej korzystano na co dzień, ponieważ chwasty i pnącza po obu stronach klinkierowej ścieżki zostały powycinane. Idąc po dawnym peronie, Martin zerknął do jednego ze skrzydeł przez czarne od sadzy okna zabezpieczone rdzewiejącymi metalowymi kratami. W środku dwaj młodzi mężczyźni, których wziął za Cyganów, ubrani w kamizelki i sztruksowe spodnie wetknięte do cholewek skórzanych butów, opróżniali duże tekturowe pudła i wykładali na blat długiego stołu na kozłach coś, co wyglądało na pudełka z lekarstwami. Dwie młode kobiety w długich barwnych spódnicach przepakowywały lekarstwa do mniejszych pudeł i zaklejały je taśmą maskującą. Jeden z młodych mężczyzn spostrzegł Martina i wskazał kciukiem w stronę głównych drzwi dworca w dalszej części peronu. Martin skinął głową, chwilę później pchnął dwuskrzydłowe drzwi i wszedł do bogato zdobionego niegdyś centralnego holu, popadłego w ruinę i pachnącego wilgotnym tynkiem, świadczącym o tym, że ktoś próbował opatrzyć najgorsze z ran budynku. Na rozbitej tablicy nad drzwiami widniał napis *Vychod - Exit*. Kafelki na podłodze, w wielu miejscach popękane, przesuwają się pod stopami Martina. Szeroka klatka schodowa wiała się ku drugiemu piętru. Na ścianie nad schodami widniały słowa „Soft” i „Shoulder”. Na najwyższym podeście stał pękaty pies z płaskim nosem i czekał ochryple na intruza. Znad balustrady spoglądała w dół przystojna, elegancko ubrana kobieta po pięćdziesiątce.

- Jeżeli szuka pan firmy „Soft Shoulder”, proszę wejść na górę - zawołała.  
- Niech pan nie zwraca uwagi na psa. Gryzie mocniej, niż szczeka, ale go zamknę.

Sięgnąwszy po smycz, kobieta wciągnęła nieprzestającego szczekać czworonoga do jakiegoś pokoju i zamknęła drzwi. Pies ujadął za drzwiami, a ona odwróciła się w stronę Martina, który wchodząc po schodach, wspierał się na balustradzie, by odciążyć chromą nogę. Sześć cienkich indyjskich



bransolet zabrzęczało na przegubie jej chudej ręki, gdy wyciągnęła do niego szczupłą dłoń.

- Nazywam się Zuzana Slánská - powiedziała.

Ściskając jej rękę, zauważył, że palce ma cienkie, paznokcie poobgryzane do żywego mięsa, a oczy zaczerwienione; podejrzewał, że krzywy uśmiech na jej wymizerowanych ustach jest zużyty do cna.

- A ja Odum - odparł. - Martin Odum.

- Dla którego afrykańskiego kraju pan kupuje?

Sądząc, że i tak nie ma nic do stracenia, wymienił pierwszą nazwę, jaka przyszła mu do głowy:

- Dla Wybrzeża Kości Słoniowej.

- Nieczęsto mamy do czynienia z klientami osobiście, panie Odum. Przeważnie przyjmujemy zamówienia pocztą. A skoro już o tym mowa, to kto pana do nas przysłał?

- Współpracownik Samata nazwiskiem Taletbek Rabbani. - Martin wyciągnął kopertę z ledwie widocznymi bązgrołami Rabbaniego na odwrocie i pokazał ją Slánskiej.

Po jej twarzy przebiegł cień.

- Wiadomość o śmierci pana Rabbaniego dotarła do nas na początku tego tygodnia. Gdzie i kiedy pan się z nim spotkał?

- W tym samym miejscu, w którym spotykała go pani, w magazynie za stacją kolejową w londyńskiej dzielnicy Golders Green. Byłem przypuszczalnie ostatnią osobą, która widziała go żywego, nie licząc Czeczenów, którzy go zamordowali.

- Krótki artykuł w brytyjskiej gazecie nie wspominał o Czeczenach.

- Być może ten szczegół nie jest znany Scotland Yardowi. A może jest, ale Brytyjczycy nie chcą odkrywać kart.

Uśmiechając się nerwowo, kobieta wprowadziła Martina do dużego owalnego pokoju oświetlonego nagimi jarzeniówkami podwieszonymi do sufitu. Trzy okna w tym biurze były zakryte tarcicami, co przypomniało Martinowi moment, gdy wszedł za Dżamillą do biura handlowego nad barem w Bejrucie; tam również okna zabito deskami. Rozejrzał się po pokoju. Pod jedną ścianą leżała sterta dużych pudeł z namalowanym od szablonu napisem „This Side Up”. Jakaś młoda kobieta w luźnym swetrze i spranych niebieskich dżinsach siedziała przy biurku, pisząc dwoma palcami na zabytkowej maszynie marki Underwood. Zwój papieru spływał z faksu na brzegu biurka do pudła na podłodze. Otwarta książka z luźnymi kartkami

leżała na niskim szklanym stoliku z plamami po kawie, zastawionym przepelnionymi popielniczkami. Kobieta wskazała Martinowi miejsce na samochodowej kanapie pod ścianą i usiadła naprzeciw niego na niskim trójnożnym taborecie; przez grube szkło stolika widać było jej skrzyżowane w kostkach nogi.

- Zakładam, że pan Rabbani wyjaśnił, jak tutaj działamy. W celu utrzymania cen na możliwie najniższym poziomie prowadzimy interesy z tego zlikwidowanego dworca, aby zredukować koszty ogólne, i sprzedajemy leki generyczne wyłącznie hurtem. Czy szuka pan czegoś konkretnego, panie Odum? Naszymi hitami są tylenol, paracetamol, valium, diazepam, sudafed, pseudoefedryna, kenacort, triamcynolon. Proszę się nie krępować i przejrzyć ten katalog z luźnymi kartkami. Etykiety naszych leków generycznych są naklejone na kartkach. Nie wiem o żadnej konkretnej epidemii zagrażającej Wybrzeżu Kości Słoniowej oprócz HIV; niestety nie mamy jeszcze dostępu do leków generycznych na AIDS, ale liczymy, że rządy wywrą presję na koncerny medyczne... - Spojrzała na swojego gościa, w jej oczach pojawiło się nagłe pytanie. - Nie wspomniał pan o swoich kwalifikacjach medycznych. Jest pan lekarzem czy specjalistą od publicznej opieki zdrowotnej?

Kolejny podmiejski pociąg przetoczył się z łoskotem przez stację. Gdy się oddalił, Martin odparł:

- Ani jednym, ani drugim.

Zuzana Slánská uniosła rękę, by dotknąć małej gwiazdy Dawida zawieszanej na łańcuszku na szyi.

- Nie jestem pewna, czy dobrze pana rozumiem.

Martin nachylił się do przodu.

- Muszę coś wyznać. Nie przyszedłem tu kupować leków generycznych. - Spojrzał prosto w jej zaczerwienione oczy. - Przyszedłem dowiedzieć się czegoś więcej o planie Samata dotyczącym wymiany szczątków litewskiego świętego na zwoje z tekstem żydowskiej Tory.

- Och! - Kobieta zerknęła na sekretarkę wypełniającą formularze zamówień po drugiej stronie pokoju. - To długa historia - powiedziała cicho - i żeby przez nią przebrnąć, będę bardzo potrzebowała kieliszka brandy i kilku papierosów.

\* \* \*

Zuzana Slánská nachyliła się w stronę Martina, żeby zapalił jej papierosa zapalką z kartonika z reklamą czeskiego kryształu.

- Nigdy przedtem nie paliłam bidi - zauważyła, opadając na krzesło i

delektując się smakiem indyjskiego papierosa. Wyjęła go z ust i przyjrzała mu się uważnie. - Zawiera marihuanę zmieszaną z tytoniem? - zapytała.

Martin pokręcił głową.

- Czuje pani zapach liści eukaliptusa.

Slánská zaciągnęła się jeszcze raz.

- Nie ufam specjalistom, którzy z taką pasją dowodzą, że palenie jest szkodliwe dla zdrowia - zauważyła, wydobywając z ust słowa razem z dymem. Odwróciła się, żeby spojrzeć na dwóch grubasów pociągających z grubych cygar przy sąsiednim stoliku; Martin nagle uświadomił sobie, że Slánská ma profil kobiety, która w młodości olśniewała swą urodą. - Wiele jest rzeczy szkodliwych dla zdrowia - dodała, odwracając się do niego. - Zgodzi się pan chyba ze mną?

- Na przykład? - odparł Martin, skupiając uwagę na swoim papierosie.

- Na przykład mieszkanie pod linią wysokiego napięcia. Na przykład sztucznie aromatyzowany fast food. Na przykład świadomość, że władze twojego kraju nie mają racji. - Zaszczyciła starego kelnera znośnym uśmiechem, gdy ostrożnie postawił na stoliku dwa kieliszki, wypełnione w połowie trzygwiazdkową brandy Jerez, wraz z płytką miseczką orzechów ziemnych. - Mówię tak z gorzkiego doświadczenia - dodała - ale pewnie sam pan to wywnioskował z tonu mojego głosu.

Zaprowadziła go na drugi brzeg Wełtawy do *salon de thé* na najwyższym piętrze jarmarcznego hotelu, który dopiero niedawno otworzył podwoje. Z okna przy stoliku w tyle ogromnej sali Martin widział to, co spostrzegł z samolotu: wzgórza okalające Pragę oraz rozrzucone po nich bloki mieszkalne z czasów komunizmu.

- Mój mąż - ciągnęła kobieta, pochłonięta własną opowieścią - był lekarzem praktykującym na Vinohradach, dzielnicy Pragi położonej za Muzeum Narodowym. Pracowałam jako jego pielęgniarzka. Zapisaliśmy się we dwoje do kółka literackiego, którego członkowie zbierali się raz w tygodniu, żeby dyskutować o książkach. Och, mówię panu, to był dla nas radosny czas. Mój mąż był nieustraszony, stale żartował, że starość nie jest dla ludzi słabych duchem. - Wypiła trochę brandy i gwałtownie zaciągnęła się bidi, jakby miała mało czasu; jak gdyby musiała przed śmiercią opowiedzieć o swoim życiu. - Jeżeli to wszystko nudzi pana potwornie, panie Odum, proszę powiedzieć.

- Wręcz przeciwnie - zapewnił ją Martin. - To mnie fascynuje.

Zuzana Slánská obciągnęła na szczupłym ramieniu dopasowany paryski

żakiet.

- Byliśmy z mężem żarliwymi marksistami, przekonanymi, że to wielki rosyjski niedźwiedź sparaliżował komunizm, a nie komunizm niedźwiedzia. Nasz czechosłowacki bohater, Alexander Dubček, wciąż był lojalnym partyjnym aparaczką, gdy zaczęliśmy podpisywać petycje z żądaniem reform. Panujący nad nami wyznaczeni przez Sowietów zarządcy nie potrafili odróżnić opozycjonistów, którzy byli antykomunistami, od tych, którzy opowiadali się za komunizmem, ale twierdzili, że komunizm pobłądził; że musi być skierowany na właściwe tory, żeby marksizm przetrwał. Czy też, jeżeli jednak nas odróżniali, przewidywali, że z tych dwóch postaci opozycjonizmu nasza jest groźniejsza. Tak więc doświadczyliśmy tego samego losu co inni.

Martin widział, jak mięśnie jej twarzy wykrzywają się ze smutku, którego wspomnienie było tak żywe, że wydawało się, że Zuzana doświadcza go teraz.

- Pewnie zna pan tę historię - ciągnęła pośpiesznie, nie zważając na to, że zaczyna brakować jej tchu. - Tę o enkawudziście przyznającym w rozmowie z Józefem Wissarionowiczem Stalinem, że pewien więzień odmówił złożenia zeznań. Stalin przeanalizował ów problem, po czym zapytał komisarza, ile waży państwo, państwo ze wszystkimi swoimi budowlami, fabrykami i maszynami, armią ze wszystkimi jej czołgami i ciężarówkami, marynarką wojenną ze wszystkimi jej okrętami, wojskami lotniczymi ze wszystkimi ich samolotami. Po czym, dobry Boże, rzekł: „Czy wy naprawdę sądzicie, że ten więzień może udźwignąć ciężar państwa?”.

- Czy poczuła pani ciężar państwa? Trafiliście do więzienia?

Zuzana Slánská była tak wzburzona, że jednym haustem zaczęła połykać dym oraz brandy

- Oczywiście, że poczuliśmy ciężar państwa. Oczywiście, że trafiliśmy do więzienia, na parę miesięcy, w tym samym czasie i raz nawet do tego samego więzienia, na parę miesięcy w różnych momentach, tak że mijaliśmy się niczym statki nocą. Odkryłam, że wychodząc z więzienia, zabierało się z sobą jego smród; trzeba było miesięcy, lat, żeby się go pozbyć. Och, kiedyś mąż wrócił z więzienia tak pobity, że nie rozpoznałam go przez judasz w drzwiach i wezwałam policję, żeby mnie uratowała od jakiegoś szaleńca. Przyjechali, wylegitymowali go i powiedzieli, że mogę wpuścić go bez ryzyka, że ów szaleniec jest moim mężem. Czy w Ameryce zdarza się, panie Odum, że policja musi zapewniać, że wpuszczenie męża za próg mieszkania

niczym nie grozi żonie? Po czym pewnego dnia męża aresztowano za to, że leczył złamaną kostkę młodzieńcowi, który okazał się antykomunistycznym opozycjonistą, ukrywającym się przed policją. Dziennikarze z Ameryki relacjonujący proces zwrócili uwagę w swoich artykułach, że to samo przydarzyło się amerykańskiemu lekarzowi, który opatrzył złamaną nogę zabójcy Abrahama Lincolna.

Z mrocznej przeszłości - z jakiejś mrocznej legendy? - w pamięci Martina wyłoniła się historia praskiego procesu.

- Jest pani żoną Pavla Slánskiego!

- Poznał pan to nazwisko! Pamięta pan proces!

- Nazwisko Pavel Slánsky było znane wszystkim, którzy śledzili wydarzenia w Europie Wschodniej - odparł Martin. - Lekarz żydowskiego pochodzenia, który został aresztowany za nastawienie złamanej kostki jakiemuś dysydentowi; który na swoim procesie odpierał ten konkretny zarzut, ale skorzystał z okazji, by przyznać się do zamiaru zreformowania komunizmu, tłumacząc w nieznośnie drobiazgowy sposób, dlaczego potrzebuje on reform, aby przetrwać. Był poprzednikiem reformatorów, którzy przyszli po nim: Dubčeka w Czechosłowacji i w końcu Gorbaczowa w Związku Sowieckim.

Na twarzy Zuzany Slánskiej pojawił się niczym nieskazonny, czysty jak wyprane płótno na sznurze do bielizny uśmiech.

- Owszem, wyprzedził swój czas, co w niektórych krajach traktuje się jak przestępstwo zagrożone karą śmierci. Władze amerykańskie okazały mu niewiele współczucia, podejrzewa się, że nie chciały, by ktokolwiek próbował zreformować komunizm, żeby przypadkiem mu się nie powiodło. Mąż został uznany za wroga państwa i skazany na dziesięć lat więzienia za działalność antykomunistyczną. A ja upodobałam się do Anny Achmatowej, wystając w kolejkach w więziennej wartowni przez całe zimy, wiosny, lata i jesień, żeby dostarczać paczki ze skarpetami, mydłem i papierosami przeznaczone dla więźnia numer dwieście siedemdziesiąt siedem sto trzy. Ten numer wrył mi się w pamięć. Strażnicy brali paczki i podpisywali kwity z zapewnieniem, że zostaną doręczone. Po czym pewnego dnia jedna z paczek została mi zwrócona pocztą z pieczętką „Adresat nie żyje”. Tę skłonność biurokracji w państwach rządzonych przez zbrodniarzy do przestrzegania zwykłych procedur i przepisów będę musiała jeszcze wyjaśnić, przynajmniej dla własnej satysfakcji. W każdym razie właśnie tak odkryłam, że mojego męża, więźnia Slánskiego, nie ma już wśród żywych. -

Zuzana Slánská podniosła dłoń, by odegnać dym z cygar napływający od stolika obok. - Mogę zapalić jeszcze jednego z pańskich zabawnych papierosów? Muszę zneutralizować smród ich cygar eukaliptusem. Och, panie Odum, gdyby człowiek umiał znosić niedogodności, to muszę panu powiedzieć, że działalność dysydencka była czymś porywającym.

- Jakie, poza więzieniem, spotykały was niedogodności?

- Człowiek tracił pracę, musiał gnieść się z dwiema innymi rodzinami w mieszkaniu o powierzchni pięćdziesięciu metrów kwadratowych, wysyłano go do kliniki psychiatrycznej, żeby zrozumiał ku zadowoleniu władz państwa, co sprawia, że krytykuje coś, co z definicji jest doskonałe. Gdy zbieraliśmy się w jakimś mieszkaniu późnym wieczorem, żeby dyskutować o, powiedzmy, *Jednym dniem Iwana Denisowicza*, nasza grupka rozważała wszystkie aspekty, wszystkie scenariusze oprócz ewentualności, że gangsterzy, którzy stali na czele Związku Sowieckiego, staną się wolnymi strzelcami nadzorującymi terytorium, które wytyczyli, gdy upadł komunizm. Patrząc z perspektywy czasu, widzę teraz, że byliśmy niewiarygodnie naiwni. Zaślepiła nas euforia, ilekroć kochaliśmy się, myśleliśmy, że być może robimy to po raz ostatni, i to rozbudzało w nas namiętność, aż nadszedł dzień, gdy nie było z kim się kochać. Tak więc przestaliśmy, w większości, być kochankami i zaczęliśmy nienawidzić.

- A leki generyczne, jak zajęła się pani ich sprzedażą?

- Byłam dyplomowaną pielęgniarką, ale po procesie męża żaden lekarz nie miał odwagi mnie zatrudnić. Całe lata wykonywałam niewdzięczne zadania, sprzątając gabinety lekarskie po godzinach pracy, wyciągając przed świtem pojemniki na śmieci z podwórzy kamienic na ulicę, aby mogły opróżnić je śmieciarki. W końcu gdy nasi komuniści zostali odsunięci od władzy w osiemdziesiątym dziewiątym roku, postanowiłam robić to, o czym zawsze marzył mój mąż: sprzedawać leki generyczne krajom Trzeciego Świata po jak najniższych cenach. Poznałam Samata podczas jednej z jego pierwszych podróży do Pragi i powiedziałam mu o moim pomysle. Zgodził się natychmiast sfinansować go w ramach filii istniejącego przedsięwzięcia humanitarnego o nazwie „Soft Shoulder”. To za jego pieniądze wynajęliśmy budynek Dworca Wyszehradzkiego i kupiliśmy pierwsze leki generyczne. Obecnie gospodaruję zyskiem na tyle oszczędnie, by zatrudniać sekretarkę w niepełnym wymiarze godzin oraz czterech Cyganów. Kiedyś próbowałam zwrócić Samatowi pieniądze, ale nie chciał ich przyjąć. To trzeba zaznaczyć: on jest właściwie świętym.

- Sądzę, że trzeba byłoby nim być, żeby się zaangażować w sprowadzanie szczątków świętego - zauważył Martin.

- Mogę powiedzieć, że to ja pierwsza poinformowałam Samata o zwojach z tekstem Tory w litewskim kościele. - Zuzana uniosła rękę do szyi, by dotknąć palcami gwiazdy Dawida. - W czasie wojny moja starsza siostra została deportowana do obozu koncentracyjnego na Litwie. Udało jej się uciec na step i wstąpić do komunistycznej partyzantki, nękającej Niemców na tyłach. To właśnie moja siostra - w partyzantce przybrała imię Róża, na cześć komunistki Róży Luksemburg; naprawdę miała na imię Melka - próbowała ostrzec Żydów w sztetlach, nieopanowanych jeszcze przez Niemców i oprawców z Einsatzgruppen, którzy podążali za nimi. Niewielu jej uwierzyło, po prostu nie wyobrażali sobie, że potomkowie Goethego, Beethovena i Brahmsa zdolni są wymordować cały naród. Lecz w kilku sztetlach rabini zabezpieczyli się, zebrali święte zwoje Tory i bezcenne komentarze, liczące niekiedy setki lat, i przekazali je biskupowi litewskiego Kościoła prawosławnego, aby ten ukrył je w jakiejś odległej cerkwi. Po wojnie siostra podała mi nazwę tej cerkwi: Spaso-Preobrażenskij sobor, co znaczy cerkiew Przemienienia, w mieście Zuzowka nad Niemnem tuż przy granicy z Białorusią. Gdy opowiedziałam tę historię Samatowi, rzucił wszystko - Samat, który, o ile wiem, nie był Żydem - i pojechał prosto do tej cerkwi, żeby odzyskać zwoje i przywieźć je do Izraela. Patriarcha eparchii nie chciał ich zwrócić; odmówił nawet ich sprzedaży, gdy Samat zaproponował mu dużą sumę. Był jednak skłonny wymienić zwoje z Torą na relikwie świętego Giedymina, który ustanowił litewską stolicę w Wilnie w tysiąc trzysta którymś roku. Szczątki świętego Giedymina zostały wykradzione z kościoła przez niemieckich żołnierzy podczas wojny. Po latach śledztwa Samat zdołał wreszcie odnaleźć relikwie świętego w Argentynie; zostały tam przemycone przez nazistów uciekających z Europy pod koniec wojny i złożone w prawosławnej cerkiewce w pobliżu Cordoby. Gdy tamtejszy pop nie chciał się rozstać ze szczątkami świętego Giedymina, Samat odwiedził znajomego z argentyńskiego rządu, konkretnie z ministerstwa obrony. Powiedział mi, że przekonał ministra do zwrotu świętych relikwii na Litwę...

- W zamian za co?

- Niestety nie wiem. Samat wspominał, że spotkał się z ludźmi z argentyńskiego ministerstwa obrony. Nigdy jednak nie powiedział mi, czego chcieli w zamian za relikwie.

- Kiedy powiedział pani o ministerstwie obrony?

- Gdy ostatni raz przejeżdżał przez Pragę.  
- Rozumiem. A kiedy to było?  
- Po wyjeździe z Izraela pojechał do Londynu zobaczyć się z Taletbekiem Rabbanim. Z Londynu przyleciał tutaj, żeby spotkać się ze mną w drodze do...

Martin zdał sobie sprawę, że spojrzenie zaczerwienionych oczu Zuzany Sląnskiej skupiło się na czymś, co ujrzała nad jego ramieniem. Gdy okręcał się na krześle, żeby zobaczyć, na co tak patrzy, zauważył, że Sląnska wsuwa gwiazdę Dawida pod kołnierzyk bluzki. W drzwiach *salon de thé* stał, lustrując wzrokiem klientów, Radek, trzymający swój kapelusz myśliwski przy piersi, z drugą ręką w kieszeni tyrolskiej kurtki. Dostrzegł Zuzanę Sląnską oraz Martina na drugim końcu sali i wskazując ich daszkiem kapelusza, zaczął lawirować ku nim między stolikami. Tuzin mężczyzn w garniturach rozeszło się wachlarzem za Radkiem.

Gdy Zuzana wstała, z jej piersi wydobyło się westchnienie autentycznego przerażenia.

- Starość nie jest dla słabych duchem. - Wypowiedziawszy te słowa ze wzrokiem utkwionym w Radka, dodała, ledwie poruszając wargami: - Na Jeziorze Aralskim, w odległości dwudziestu kilometrów od lądu stałego, znajduje się Wyspa Wozroźdienia. W czasach sowieckich wykorzystywano ją jako poligon doświadczalny dla broni biologicznej. Na wyspie leży miasto Kantubek. Łącznikiem Samata w Kantubeku jest Gruzin Hamlet Akba. Zapamiętasz to wszystko?

- Wyspa Wozroźdienia. Kantubek. Hamlet Akba.

- Ostrzeż Samata... - Radek dochodził do ich stolika. - Och, że nie przeżyję smrodu kolejnego więzienia, to pewne - mruknęła pod nosem.

Kelnerzy i pozostali goście zamarli w bezruchu, zahipnotyzowani widokiem Radka i jego kompanów posuwających się w kierunku dwojga klientów w tyle sali. Radek, z bladym uśmiechem zadowolenia wykrzywiającym usta, dotarł do ich stolika.

- Mam broń w kieszeni - poinformował Martina. - To niemiecki walther P1. Jest pan aresztowany, Mister. Pani również jest aresztowana, Mistress.

\* \* \*

Martin czuł łagodne wznoszenie i opadanie pokładu pod obutymi stopami (sznurówki razem z paskiem zostały skonfiskowane), czekając na wznowienie przesłuchania. Przez kilka ostatnich dni przychodzili po niego o różnych porach, co raczej służyło pozbawieniu go snu niż uzyskaniu



informacji. Ponieważ w jego niewielkiej komórce tuż nad zęzą barki i w pomieszczeniu powyżej, gdzie odbywało się przesłuchanie, nie było iluminatorów, szybko stracił poczucie czasu. Jedynym dźwiękiem, który docierał z zewnątrz do jego uszu, były odgłosy syren przepływających obok promów rzecznych oraz zniekształcony wskutek efektu Dopplera pisk syren policyjnych radiowozów pędzących ulicami Pragi. Gdzieś z wnętrza barki dochodził głuchy warkot generatora; żarówka wisząca nad głową Martina poza zasięgiem ręki rozjaśniała się od czasu do czasu lub przygasała. Wkrótce po tym, jak Radek wypchnął go z policyjnej furgonetki na barcę przycumowaną do pachołków na betonowym nabrzeżu poniżej mostu Karola, Martinowi wydawało się, że dosłyszał stłumiony krzyk kobiety dolatujący z drugiego pokładu. Gdy odtworzył sobie potem ów dźwięk, doszedł do wniosku, że mogło to być miauknięcie kota grasującego wśród kubłów na śmieci na nabrzeżu. Ostre przesłuchania w dusznym pomieszczeniu zdawały się nie męczyć przesłuchującego, wychudłego zgarbionego biurokraty o nieogolonej twarzy, wygolonej czaszce i orlim nosie wyglądającym tak, jakby w pewnym momencie jego życia został złamany i źle nastawiony. Brylując zza małego biurka, przykręconego śrubami do desek pokładu, rzucał pytania beznamyślnym tonem, tylko sporadycznie unosząc wzrok znad notatek. Radek, odziany teraz w gustowny trzyczęściowy brązowy garnitur z wąskimi tyrolskimi kłapami, stał oparty o gródź obok jednego z dwóch strażników, którzy wyprowadzali i wprowadzali Martina do komórki. Martin usiadł twarzą do inkwizytora na krześle, którego przednie nogi zostały skrócone, tak aby więzień miał wrażenie, że stale się z niego zsuwa. Jaskrawe światło reflektorów punktowych ustawionych z obu stron biurka wwierało się w siatkówki jego oczu, powodując łzawienie i rozmazując kontury przedmiotów i ludzi.

- Ma pan jakieś nazwisko? - zapytał wychudłego mężczyznę za biurkiem w czasie pierwszego przesłuchania.

Wzbudził tym chyba konsternację przesłuchującego.

- Czemu miałaby służyć pańska znajomość mojego nazwiska?

- Pozwoliłaby mi określić pana tożsamość, gdy złożę zażalenie w amerykańskiej ambasadzie.

Przesłuchujący zerknął na Radka, po czym spojrział z powrotem na Martina.

- Gdy będzie pan składał zażalenie, proszę powiedzieć, że został pan aresztowany przez tajny oddział związany z tajnym ministerstwem.

Radek stłumił gardłowy śmiech.

Przesłuchujący przesunął w stronę Martina mały ekspres do kawy.

- Niech się pan napije - powiedział, wskazując na dzbanek z kawą.

- Nafaszerowaliście ją kofeiną, żebym nie mógł zasnąć - rzekł Martin zmęczonym głosem, ale mimo to wlał trochę kawy do plastikowego kubka i wypił; odkąd trafił na barkę, żywili go solonym ryżem i nie dawali nic do picia. - Wasze techniki prowadzenia przesłuchań są wzięte prosto ze starych filmów amerykańskich, na punkcie których takiego bzika ma obecny tu Radek.

- Nie przeczę - odparł przesłuchujący. - Nie wolno być snobem, gdy chodzi o poznawanie fachowych sztuczek. W każdym razie z doświadczenia wiem, że w ostatecznym rozrachunku te techniki są skuteczne. Mówię to jako człowiek, który siedział po obu stronach stołu przesłuchań. Gdy zostałem aresztowany przez komunistów za działalność antykomunistyczną w ciągu czterech dni zdołali mnie przekonać, bym przyznał się do przestępstw, których nie popełniłem, stosując dokładnie takie same techniki. A jakie jest pańskie doświadczenie, panie Odum?

- Nie mam żadnych doświadczeń w tym zakresie - odparł Martin.

Przesłuchujący prychnął sceptycznie.

- Z kontaktów z waszą Centralną Agencją Wywiadowczą wynieśliśmy odmienne wrażenie. Szef ich placówki w Pradze zwierzył się nam, że był pan kiedyś jednym z ich pierwszorzędných tajnych agentów w terenie, kimś tak wprawionym w szpiegowskim rzemiośle, że mówiono, iż może pan wtopić się w tłum nawet wtedy, gdy go nie ma.

- Gdybym był choć w połowie tak dobry, jak to możliwe, że dałem się nabrać na gadkę Radka na lotnisku?

Przesłuchujący wzruszył zgarbionymi ramionami, co na moment uniosło je do wysokości, w której normalnie powinny się znajdować.

- Może najlepsze lata ma pan już za sobą. Może w tym akurat momencie był pan pochłonięty myślą o czymś innym. W każdym razie, gdyby nie wynajął pan Radka...

- Za równowartość jednego marnego dolara za godzinę - wyjęczał spod ściany Radek.

- Gdyby go pan nie wynajął, na pewno wylądowałby pan w jednej z trzech taksówek, które podstawiliśmy przed lotniskiem. Ich kierowcy, każdy o imieniu Radek, pracują dla nas.

Martin rozpoznał brakujący kawałek łamigłówek; skąd firma Radka

miałaby wiedzieć, że zjawi się w Pradze? Najwyraźniej szef praskiej placówki CIA rozmawiał o Martinie ze swoim czeskim odpowiednikiem. A szef placówki podlegał wicedyrektorowi Zarządu Operacji, Crystal Quest. To zaś przypomniało Martinowi, co wieki temu powiedział świętej pamięci Oskarowi Aleksandrowiczowi Kastnerowi w pozbawionej okien garderobie przy President Street: *Chciałbym wiedzieć, dlaczego CIA nie życzy sobie, by akurat ten mąż został odnaleziony.*

- Szef waszej placówki - mówił przesłuchujący - twierdzi, że już pan nie pracuje w CIA. Mówi, że jest pan prywatnym detektywem, wolnym strzelcem. Może to i prawda; niewykluczone również, że po prostu wypierają się wszelkich związków z panem, ponieważ został pan przyłapany na gorącym uczynku. Proszę mi więc powiedzieć, panie Odum, na zakup jakich systemów uzbrojenia zawierał pan umowę na Dworcu Wyszehradzkim? I, co ważniejsze, dla kogo je pan kupował?

- Zuzana Slánská sprzedaje leki generyczne.

- Kobieta, którą nazywa pan Zuzaną Slánską, w świetle prawa nigdy nie była żoną Pavla Slánskiego, który, jak panu z pewnością wiadomo, został skazany jako wróg państwa w czasach komunizmu. Naprawdę nazywa się Zuzana Dzurova. Nazwisko Slánská przyjęła, gdy dowiedziała się o śmierci Pavla w więzieniu. Jeśli chodzi o leki generyczne, mamy powody sądzić, że handel nimi stanowi przykrywkę dla jednej z najbardziej dochodowych operacji handlu bronią w Europie. - Przesłuchujący wyciągnął jakiś raport z jednego z pudeł kartotekowych na biurku i wyjął trzecią kartkę. Założył okulary bez oprawki i zaczął cytować z tekstu. - ...działając wspólnie z Taletbekiem Rabbanim z Londynu, który twierdzi, że sprzedaje protezy po kosztach własnych do krajów Trzeciego Świata... - Przesłuchujący spojrzał znad kartki. - Zauważył pan na pewno, że zarówno sprzedaż protez przez Rabbaniego w Londynie, jak i sprzedaż leków genetycznych przez Zuzaną Slánską tutaj w Pradze były finansowane przez tego samego człowieka, Samata Ugor-Żyłowa, który do niedawna mieszkał w żydowskim osiedlu na Zachodnim Brzegu, gdzie schronił się przed trwającymi w Moskwie wojnami gangów.

Martina bolały mięśnie od ciągłych prób utrzymania się na pochyłym krześle. Wyteżył siły, by skupić uwagę na przesłuchującym.

- Zarówno Rabbani, jak i Zuzana Slánská określili Samata Ugor-Żyłowa mianem filantropa...

Radek lekko czknął i zawołał spod ściany:

- Też mi filantrop!

Przesłuchujący rzucił mu ponure spojrzenie, jakby chciał przypomnieć, że istnieje porządek dziobania; że ptaki o niższej pozycji powinno być widać, a nie słycać. Po czym, ustawiając kartkę kątem do światła, powrócił do lektury:

- Zarówno Rabbani, jak i Zuzana Slánská sprzedają francuskie urządzenie, które koryguje błąd wprowadzony przez Pentagon do satelitarnego systemu GPS, aby przeszkodzić typom spod ciemnej gwiazdy w wystrzeliwaniu pocisków... urządzenia radarowe z sowieckiego demobilu z Ukrainy... ach, właśnie, transportery opancerzone z bułgarskiej państwowej firmy Terem, sprzedawane Syrii celem ostatecznej dostawy do Iraku... silniki i części zamienne do sowieckich czołgów T-55 oraz T-72 z rozmaitych bułgarskich zakładów zbrojeniowych... amunicję, materiały wybuchowe, rakiety, podręczniki szkoleniowe z technologii pocisków raketowych z Serbii... części zamienne do myśliwców oraz paliwa raketowe z wytwórni sprzętu lotniczego we wschodniej Bośni. I niech pan posłucha tego: londyński magazyn protez oraz praska obsługa sprzedaży leków generycznych wykorzystywane są jako centra rozrachunkowe zamówień dla fabryki amunicji w mieście Vitez oraz ośrodka badawczego w Banja Luce wytwarzającego systemy naprowadzania pocisków... płatności za sprzęt z magazynu dokonywano gotówką lub diamentami. - Przesłuchujący pstryknął paznokciem środkowego palca w kartkę. - Mógłbym kontynuować, ale to się mija z celem.

Martin pamiętał, że w jednej ze swoich legend - nie mógł sobie przypomnieć, w której - odbywał na „farmie” kurs przygotowujący agentów działających w terenie na ewentualne przesłuchiwanie przez wroga. Omawiane techniki śledcze obejmowały również taką, w której przesłuchujący uciekał się do rażących kłamstw, aby zdezorientować przesłuchiwanego. Agentom, którzy znaleźli się w tej kłopotliwej sytuacji, radzono trzymać się faktów i zbywać wymysły przesłuchującego *milczeniem*.

Martin, któremu ze zmęczenia kręciło się w głowie, usłyszał swój własny głos:

- O sprzedaży broni nie wiem zupełnie nic.

Przesłuchujący zdjął okulary i kciukiem oraz środkowym palcem lewej ręki pomasaował grzbiet nosa.

- Co w takim razie sprowadziło pana do magazynu Taletbeka Rabbaniego w Londynie i na Dworzec Wyszehradzki w Pradze?

Martin gorąco pragnął wyciągnąć się na metalowej pryczy w swojej komórce.

- Staram się odnaleźć Samata Ugor-Żyłowa.

- W jakim celu?

W chaotycznych zdaniach Martin przyznał, że kiedyś był zatrudniony w CIA; że jest absolutną prawdą, iż po odejściu ze służby otworzył biuro detektywistyczne w Brooklynie. Wyjaśnił, jak Samat opuścił żonę w Izraelu, zostawiając ją w stanie religijnego zawieszenia; jak jego szwagierka i teść zatrudnili Martina, żeby odnalazł Samata i przekonał go do rozwodu, tak aby ona mogła dalej żyć.

- Nie interesuje mnie zakup protez ani leków genetycznych. Po prostu podążam tropem, który, mam nadzieję, prowadzi do Samata.

Uśmiechając się blade, przesłuchujący dostroił się do Martina.

- I co pan robi, gdy już go pan znajdzie?

- Zawiozę do najbliższego miasta, w którym jest synagoga, i zobowiązę, by dał żonie rozwód w obecności rabina. Wtedy wrócę do Brooklynu i spędzę resztę życia, nudząc się jak mops.

Śledczy poddał wersję Martina analizie.

- Znam szkołę działalności wywiadowczej, która utrzymuje, że dobra przykrywka musi wydawać się groteskowa, jeżeli ktoś ma dać jej wiarę. Ale pan wystawia tę tezę na ciężką próbę. - Mężczyzna pogrzebał w papierach na biurku i znalazł jeszcze jeden raport. - Od tygodni obserwujemy ludzi wchodzących i wychodzących z budynku Dworca Wyszehradzkiego - ciągnął. - Zdołaliśmy nawet zainstalować urządzenie podsłuchowe w biurze na piętrze. Oto zapis przeprowadzonej bardzo niedawno rozmowy. Może wyda się panu znajomy. Podsłuchano, jak jakiś mężczyzna mówi: *Muszę coś wyznaczyć. Nie przyszedłem tu kupować leków generycznych. Przyszedłem dowiedzieć się czegoś więcej o planie Samata dotyczącym wymiany szczątków litewskiego świętego na zwoje z tekstem żydowskiej Tory.* - Przesłuchujący uniósł wzrok znad kartki, by spojrzeć prosto na swojego więźnia. - Ciekawe, że nie wspomina pan o rozwodzie w obecności rabina. Szczątki litewskiego świętego, zwoje z tekstem żydowskiej Tory - rozumiem, że to zaszyfrowane informacje o systemach uzbrojenia pochodzących z Litwy i z Izraela. Mogę panu powiedzieć, że oprócz faktu nielegalnej sprzedaży broni i systemów uzbrojenia najbardziej u Sląnskiej ciekawią nas jej motyw. Ona nie robiła tego dla pieniędzy, panie Odum. To idealistka.

- Gdy sprawdzałem to ostatnim razem, idealizm nie był przestępstwem,

nawet w Republice Czeskiej.

- Amerykański pisarz Mencken zdefiniował kiedyś idealistę jako człowieka, który zauważywszy, że róża pachnie ładniej niż kapusta, doszedł do wniosku, że lepiej również nada się na zupę. Tak, no cóż, idealizm Slánskiej, podobnie jak idealista Menckena, jest bardzo osobliwy; pozostaje ona twardogłową marksistką, knującą plan powrotu komunistów. Pragnie cofnąć wskazówki zegara; uważa się, że wykorzystuje znaczne dochody ze sprzedaży broni do finansowania frakcji liczącej na dokonanie w Republice Czeskiej tego, czego dawni komuniści dokonali w Polsce, Rumunii oraz w Bułgarii: na wygranie wyborów i powrót do władzy.

Martinowi przyszło do głowy, że, być może, istnieje sposób na pokonanie zmęczenia, budzącego w nim wrazenie, iż wszystko dokoła dzieje się w zwolnionym tempie. Zamknął jedno oko, myśląc, że właściwie to jeden płąt mózgu może spać, podczas gdy drugie oko i drugi płąt nadal będą czuwały. Po chwili, mając nadzieję, że przesłuchujący nie połapie się w tym sprytnym planie, zmienił oko i płąt mózgu. Słyszał głos gładzącego dalej mężczyzny; widział przez otwarte oko nieostrą postać wstającą i obchodzącą biurko, by przysiąść na brzegu blatu naprzeciw niego.

- Przybył pan tutaj z Londynu. Brytyjski MI5 ustalił, że przez kilka dni mieszkał pan w domu z pokojami na wynajem obok synagogi przy Golders Green. Magazyn, w którym na dzień przed pańskim wyjazdem zamordowano Taletbeka Rabbaniego, znajduje się nieopodal.

- Jeżeli wszyscy mieszkający nieopodal tego magazynu są podejrzani - zdołała powiedzieć wciąż funkcjonująca połowa mózgu Martina - MI5 będzie miał pełne ręce roboty.

- Nie wykluczamy możliwości ubicia z panem interesu, Odum. Naszym głównym celem jest zdyskredytowanie Slánskiej; wykazanie, że ona i Rabbani uczestniczyli w prowadzonej przez Samata Ugor-Żyłowa operacji handlu bronią; że zarówno magazyn w Londynie, jak i biuro założone w budynku nieczynnej stacji kolejowej w Pradze zostały sfinansowane przez tego samego Samata Ugor-Żyłowa, znanego moskiewskiego gangstera, który jest kojarzony z Ugor-Żyłowem nazywanym Oligarchą. Naszym celem jest ukazanie powiązań komunistycznej frakcji z nielegalnym handlem bronią prowadzonym przez Zuzanę Slánską i zdyskredytowanie ich raz na zawsze... Panie Odum, słyszy mnie pan? Panie Odum? Niech się pan obudzi!

Lecz obydwie płaty mózgu Martina poddały się fali wyczerpania.

- Zabierzcie go z powrotem do komórki.

\* \* \*

Kiedyś, kilka wcieleń wstecz, Dante Phippen omal nie przyplącił życiem niekończącej się podróży autobusem, w wyniku której przeniósł się z dziupli CIA w dzielnicy Islamabadu zamieszkaną przez klasę średnią (urządzonej, choć raz, nie w staromodnym stylu skandynawskim, ale w kiczowatym pakistańskim guście będącym jego namiastką) do Peszawaru i plemiennych obszarów przełęcz Chajber z fantastycznymi formacjami skalnymi, gdzie spędził znaczną część roku, odbierając meldunki od bojowników przenikających przez granicę z Afganistanem. Podróż autobusem (efekt wyobrażenia Crystal Quest o tym, jak podróżowałby reporter pracujący dla agencji prasowej - ówczesna przykrywka Dantego) okazała się koszmarem. Wciśnięty na drewnianej ławce w tyle autobusu między jakiegoś mułkę z Kandaharu, noszącego brudny *szalwar kamiz*, a brodatego kaszmirskiego bojownika w cuchnącej dżalabii, Dante był dozgonnie wdzięczny, gdy autobus zatrzymywał się czasem w szczerym polu, kiedy indziej na przesyconych ściekami ulicach czegoś, co uchodziło za wioskę, żeby pasażerowie mogli rozprostować nogi, określić położenie Mekki i wypowiedzieć półgłosem wersety Koranu, które muzułmanin ma obowiązek recytować pięć razy dziennie. Teraz, siedząc niedbale na pluszowej kanapie w tyle klimatyzowanego dwupokładowego autokaru w otoczeniu porządnie ubranych i, co ważniejsze, porządnie wymytych Niemców zmierzających do domu z uzdrowiska w Karłowych Warach, Martin Odum nagle pomyślał o podróży na przełęcz Chajber i to wspomnienie wywołało uśmiech na jego twarzy; jak zawsze, wspomnienie drobnego epizodu z przeszłości Dantego przypomniało Martinowi, że on również musiał mieć jakąś przeszłość, to zaś dało mu trochę nadziei, że pewnego dnia zdoła ją odzyskać. W oczekiwaniu na przybycie na granicę czesko-niemiecką poklepał kanadyjski paszport w wewnętrznej kieszeni na piersi swojej kurtki. Ten akurat paszport, jeden z kilku, które zwinął z sejfu, opróżniając swoje biuro po zwolnieniu z pracy w CIA, został wystawiony na mieszkańca Kolumbii Brytyjskiej, nazwiskiem Józef Kafkor, które Martinowi nic nie mówiło, ale które z łatwością zapamiętał, ponieważ przypomniało mu o Franzu Kafce i jego opowiadaniach o udreńczonych ludziach usiłujących przetrwać w koszmarnym świecie, a mniej więcej tak Martin postrzegał siebie. Ukołyszany do snu ruchem autobusu i terkotaniem silnika Diesla, zamknął oczy i zdrzemnął się, ponownie przeżywając wydarzenia ostatnich dwunastu godzin.

Słyszał głos Radka szepczący mu do ucha: *Panie Odum, proszę, musi się*

*pan obudzić.*

Unosił się ku lustrzanej powierzchni świadomości starannie odmierzającymi etapami niczym nurek głębokomorski wynurzający się powoli, żeby uniknąć choroby kesonowej. Gdy wreszcie zlokalizował odpowiednie mięśnie i zdołał otworzyć powieki, okazało się, że Radek, znowu ubrany w bryczesy i tyrolską kurtkę, przykucnął obok metalowej pryczy w komórce.

- Na miłość boską, niech pan się obudzi.

- Jak długo spałem?

- Cztery, cztery i pół godziny.

Martin z trudem usiadł na pryczy, opierając się plecami o drewnianą gródź.

- Która godzina?

- Za dwadzieścia szósta.

- Rano czy po południu?

- Przed świtem. Jest pan w stanie skupić się na tym, co mówię? Strażnicy na nabrzeżu i personel barki zostali odesłani do domu. Ludzie na najwyższych szczeblach władzy chcą, żeby pan ulotnił się jak kamfora. - Wręczył Martinowi jego buty, ze sznurówkami, oraz pasek. - Niech pan je włoży. Proszę iść za mną.

Poprowadził go metalowymi schodami na otwarty pokład. W maleńkim pomieszczeniu obok poprzecznego korytarza na śródkręciu zwrócił mu jego płaszcz oraz walizkę, które odebrał z pensjonatu. Martin otworzył z trzaskiem walizkę i dotknął białej jedwabnej chusty złożonej na ubraniu. Przesunął palcami po spodzie wieka.

- Pańskie fałszywe dokumenty, jak również pańskie dolary i funty angielskie są tam, gdzie je pan schował.

Martin spojrział na Radka nieufnie.

- Świadczysz sporo usług za trzydzieści marnych koron za godzinę.

W oczach Radka pojawił się błysk bólu.

- Nie jestem człowiekiem, na którego wyglądam - odparł szeptem. - Nie jestem osobą, za którą biorą mnie moi zwierzchnicy. W młodości nie buntowałem się przeciw komunistom, żeby teraz służyć tak zwanym kapitalistom państwowym, którzy stosują takie same metody. Nie chcę być współnikiem przestępców. - Wyciągnął z kieszeni kurtki niemieckiego walthera P1 z włożonym magazynkiem i trzymając za lufę, podał go Martinowi. - Przynajmniej został pan zawczasu ostrzeżony.

Martin, zupełnie zdezorientowany, wziął broń.



- Zawczasu ostrzeżony i uzbrojony.

- Polecono mi, żebym pana wypuścił za kwadrans siódma. Przypuszczam, że pańskie ciało zostałoby znalezione w Wełtawie. Pańską walizkę, wypełnioną dolarami amerykańskimi, funtami brytyjskimi i fałszywymi dowodami tożsamości, wydobyto by z kei. Władze spekulowałyby, że podejrzany Amerykanin, zamieszany w nielegalną sprzedaż broni i systemów uzbrojenia, został zamordowany przez członków międzynarodowego gangu. W lokalnej prasie pojawiłby się krótki artykuł tej treści. Ambasada amerykańska poświęciłaby sprawie niewiele uwagi, szef placówki CIA mógłby nawet dać do zrozumienia, że zbytnie wgłębianie się w tę sprawę nie posłuży najlepiej waszym narodowym interesom. Sprawę zamknięto by, zanim wysechłby tusz na kartkach rozmaitych raportów.

- Za kwadrans siódma, to mi daje niespełna godzinę - zauważył Martin.

- Mój samochód, szara skoda, jest zaparkowany na nabrzeżu, pięćdziesiąt metrów stąd. Bak jest pełny, kluczyki w stacyjce. Niech pan jedzie nabrzeżem, dopóki nie dotrze pan do pierwszego podjazdu prowadzącego na ulicę, potem niech pan pierwszym napotkanym mostem przejedzie przez rzekę i kieruje się na południe, trasą na Czeskie Budziejowice i dalej na Austrię. Jeżeli zatrzymają pana na granicy, niech pan posłuży się jednym ze swoich fałszywych paszportów. Cała podróż powinna panu zająć około dwóch godzin, jeżeli nie natrafi pan na zbyt duży ruch.

- Skoro uciekam, chcę zabrać ze sobą Zuzanę Sląnską.

- Jej życie nie jest zagrożone. Pańskie jest. Jeżeli dowody wystarczą, by ją wsadzić, czeka ją więzienie.

Martin martwił się o Radka.

- Jak wyjaśnisz brak pistoletu?

- Potraktowałbym to jako przysługę, gdyby walnął mnie pan w głowę nad uchem dostatecznie mocno, by rozciąć skórę i spowodować krwawienie. Znajdą mnie, gdy zacznę dopiero odzyskiwać przytomność. Powiem, że obezwładnił mnie pan. Będą mieli wątpliwości, z pewnością zostaną zdegradowani, może nawet stracę zatrudnienie. No to co. Sprzeciwiam się, więc jestem.

Uścisnęli sobie ręce.

- Mam nadzieję, że nasze drogi jeszcze się zejdą - rzekł Martin.

Radek posłał mu uśmiech zażenowania.

- Ostrzegam, Mister, następnym razem nie będę aż takim durniem, by zgodzić się na jednego marnego dolara za godzinę.

Zaciskając zęby, zamknął oczy i przekrzywił głowę. Martin nie oszczędzał się - wiedział, że Radek ma większe szanse wywinąć się z kłopotów, jeżeli rana głowy będzie poważna. Chwytając pistolet za lufę i krzywiąc się ze współczuciem, zmusił się do tego, by zdzielić go mocno kolbą w czaszkę. Połała się krew, oszołomiony Radek osunął się na kolana.

- Dziękuję - jęknął.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Martin.

Pozbierał swój dobytek i ruszył po trapie na nabrzeże, które wydawało się puste. Skoda stała zaparkowana w ciemności na lewo od trapu. Podeszedł do samochodu, otworzył drzwi i wrzucił rzeczy na fotel obok kierowcy. Gdy obrócił klucz w stacyjce, silnik zapalił natychmiast. Martin sprawdził wskaźnik paliwa - bak był pełny, tak jak zapewnił Radek. Wrzucił pierwszy bieg i ruszył nabrzeżem. Przejechał około pięciuset metrów, gdy reflektory auta padły na podjazd prowadzący do ulicy. Nagle nadepnął na pedał hamulca. Gasząc światła, wjechał w ocienione miejsce z boku nabrzeża. Siedział przez chwilę, roztrzęsiony, czując pulsowanie krwi w uchu. Dawny instynkt uruchomił alarm w płacie mózgu wyspecjalizowanym w szpiegowskim rzemiośle. Wyciągnął niemiecki pistolet z kieszeni kurtki, wyjął magazynek, wyrzucił pierwszy z lodowatych naboju parabellum kalibru dziewięć milimetrów na dłoń i oszacował jego ciężar.

Wstrzymał oddech. Nabój wyglądał całkiem prawdziwie, ale był zbyt lekki!

W przeciwieństwie do tego, co powiedział przesłuchujący, Martin nie miał jeszcze okresu świetności za sobą.

Sprawdzanie naboju w krótkiej broni palnej było fachowym zabiegiem, którego Dante Phippen nauczył się podczas krótkiej pracy dla sycylijskiej rodziny mafijnej. Gdy dawałeś komuś broń lub zostawiałeś ją w miejscu, gdzie musiała zostać znaleziona, zawsze istniało niebezpieczeństwo, że zostanie użyta przeciwko tobie. Na Sycylii bawiono się w podsuwanie broni naładowanej ślepymi naboju, które wyglądały jak prawdziwe i (po naciśnięciu na spust) wydawały przy strzale odgłos prawdziwych kul. Ale ślepaki miały mniejszy ciężar - ktoś obeznany z bronią palną potrafił wyczuć różnicę.

Radek wystawił go na odstrzał.

Martin przypomniał sobie zboląły wyraz oczu młodego mężczyzny, słyszał, jak emanującym szczerością głosem składa deklarację: *Nie jestem człowiekiem, na jakiego wyglądam.*

Kto wśród nas jest człowiekiem, na jakiego wygląda?

Martin myślał o tym, by wrócić i uwolnić Zuzanę Slánską. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu - gdyby teraz wrócił po nią na barcę, wiedzieliby, że przejrzał ich plan, i uciekliby się do planu B, który na pewno był mniej subtelny, ale bardziej bezpośredni.

Martin potrafił sobie wyobrazić scenariusz przyjęty w planie A: więzień, mający przy sobie sporo fałszywych dokumentów tożsamości i aresztowany w towarzystwie handlarza bronią, obezwładnia strażnika, zabiera mu broń i ucieka z kryjówki, w której jest przesłuchiwany, kierując się w stronę Austrii. Gdzieś po drodze, a może na samym przejściu granicznym, zostaje zatrzymany do rutynowej kontroli paszportowej. Na oczach świadków wyciąga broń i strzelając, próbuje wydostać się z matni. Zostaje wówczas zastrzelony przez umundurowanych policjantów. Otwarta i zamknięta sprawa zabójstwa w obronie własnej. Jakże częsta na sowieckich niegdyś pustkowiach Europy.

Wiedząc, że Radek posyłał go na pewną śmierć, Martin oczywiście nie chciał korzystać ze skody, gdyby jednak zaparkował ją w bocznej uliczce, gdzie pewnie stałaby niezauważona przez wiele godzin, a nawet dni, czeskie władze mogłyby stracić cenny czas, szukając samochodu Radka na szosach prowadzących na południe. Gdy już porzucił skodę (pistolet cisnął do rzeki, ale naboje zostawił na fotelu kierowcy, żeby zadrwić sobie z Radka), najszybsza droga wyjazdu z tego kraju była drogą najlepszą: z Pragi przez cały dzień odjeżdżały pociągi do Karlowych Warów, uzdrowiska w północno-zachodnim zakątku Czech, położonego dość blisko granicy niemieckiej. Stamtąd zaś codziennie po południu wracały do Niemiec dziesiątki piętrowych autokarów; nawet pod rządami reżimu komunistycznego można było skłonić łapówką jednego z kierowców, by przewiózł cię przez granicę. Gdyby strażnicy graniczni zaczęli sprawdzać tożsamość pasażerów, mógłby posłużyć się paszportem kanadyjskim, który ukrył w porwanej podszewce swojego płaszcza. Sprawdzając ponownie skrytkę, czuł, że Radek prawdopodobnie przeoczył ten paszport.

Nosowy głos kierowcy, dolatujący z niewielkich głośników autokaru, obudził Martina z zadumy.

- *Bereitet Eure Pässe, wir werden an der Grenze sein.*

Przed sobą Martin dostrzegł niskie drewniane budynki o płaskich dachach, w których mieściły się kantory wymiany walut oraz toalety, a za nimi strażników granicznych w brązowych mundurach i beretach. Przed ich

autobusem stał jeden autokar, a z tyłu trzy. Uznał to za szczęśliwe zrządzenie losu; w godzinach szczytu strażnicy zwykle przeprowadzali tylko pobieżną kontrolę. Gdy przyszła kolej na ich autokar, młody funkcjonariusz z wyrazem udręki na twarzy wszedł do środka i kroczył między fotelami, przyglądając się bardziej twarzom niż otwartym paszportom; szukał pewnie Arabów lub Afgańczyków. Martin otworzył paszport na stronie ze zdjęciem i z przyjemnym uśmiechem podsunął go strażnikowi, ale ten ledwie spojrzął na dokument i na niego. Gdy autokar znowu ruszył i ostrożnie przejechał czerwony pas namalowany w poprzek drogi, niemieccy pasażerowie, z ulgą powróciwszy do cywilizowanego świata, zaczęli hałaśliwie wiwatować.

Martin przyłączył się do świętowania. Miał wątpliwości, czy powinien był zostawić Zuzanę Sląską w szponach przebiegłego Radka. Oczyma duszy widział, jak państwo swoim ciężarem pozbawia tchu jej kruche ciało.

\* \* \*

Stojąc na dziobówce, Radek obserwował czerwone światła lamp tylnych, przygasające w miarę, jak skoda zmierzała w kierunku podjazdu. Gdy nagle pojaśniały i samochód zahamował, śledczy, stojący obok niego i patrzący przez lornetkę, chrząknął z rozdrażnieniem. Kilka chwil później, gdy światła wreszcie ruszyły podjazdem i zniknęły na ulicy powyżej nabrzeża, dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie w uznaniu za dobrze przygotowany plan. Śledczy podciągnął rękaw skórzanej kurtki, by spojrzeć na fosforyzującą tarczę zegarka, i rzekł:

- Powiadomię naszych ludzi, że Amerykanin jest w drodze na południe. Oligarcha przesłał naszemu ministrowi depeszę z instrukcjami, chce, by prowadzący do Samata trop urwał się na Sląskiej.

Radek, przyciskający chusteczkę do rany na głowie, żeby zatrzymać krwawienie, wyjął małą latarkę i posłał nią sygnał w kierunku zielonego pojemnika na śmieci stojącego na nabrzeżu. Kilka chwil później na trapie pojawiło się dwóch osiłków, którzy odprowadzali Martina na przesłuchania. Radek dał im znak, by poszli za nim, gdy ruszył do małej komórki pod dziobem, dwa pokłady niżej. Znaleźli tam Zuzanę Sląską, siedzącą na metalowej pryczy z oczami zapuchniętymi od łez przerażenia. Nogi podwinęła pod siebie i otuliła ramiona kocem, mimo że w pomieszczeniu nie było czym oddychać z gorąca.

- Pora już na kolejne przesłuchanie? - zapytała, bawiąc się zawieszoną na szyi gwiazdą Dawida, gdy wstawiała z pryczy. Zamiast nakazać machnięciem ręki, by wyszła, dwaj strażnicy stanęli z obu stron kobiety i chwycili ją za

ręce powyżej łokci. Oczy Slánskiej zrobiły się okrągłe, gdy Radek wystąpił naprzód i wyszarpnął jej bluzkę spod paska, obnażając brzuch. Gdy dostrzegła w jego ręce małą strzykawkę, usiłowała się wyrwać, ale strażnicy tylko wzmocnili chwyt. Śmiertelnie przerażona, zaczęła bezgłośnie szlochać, gdy Radek wbił igłę w miękką skórę jej pępka i nacisnął tłoczek. Narkotyki zadziałał błyskawicznie - powieki opadły jej w ciągu paru sekund, później opadła na pierś głowa. Gdy dwaj goryle podtrzymywali ją w pozycji stojącej, Radek wyciągnął mały nóż kieszonkowy i zaczął ciąć koc z pryczy na pasy. Skręcił je w sznury i związał końcami. Następnie przyciągnął metalową pryczę pod żarówkę na środek komórki i wspiąwszy się na łóżko, połączył jeden koniec prowizorycznego sznura z przewodem elektrycznym nad żarówką. Pociągnął zań, żeby upewnić się, czy wytrzyma. Ochroniarze wciągnęli bezwładne ciało Zuzany na pryczę i trzymali je pionowo, gdy Radek robił pętlę i zaciskał ją na szyi kobiety. Zeskoczył z pryczy, przewrócił ją kopniakiem na bok i we trójkę cofnęli się, by patrzeć na ciało Slánskiej obracające się powoli na końcu sznura. Radek zaczął się niecierpliwić i skinął palcem - jeden z goryli chwycił ją za biodra i pociągnął w dół, aby przyspieszyć egzekucję. Radek przewrócił z udawanym żalem oczami, cmokając językiem.

- Oczywiście to nie państwo ponosi odpowiedzialność, skoro okazałaś się samobójczynią - poinformował kobietę duszącą się pośrodku komórki.

\* \* \*

Gdy Crystal Quest włożyła wąskie okulary i przeczytała odszyfrowany poufny raport z placówki w Pradze, który szef jej sztabu położył na biurku, twarz wicedyrektor spochmurniała. Dwaj pracownicy, którzy informowali ją o zbiorowych mogiłach niedawno odkrytych w Bośni, wymienili spojrzenia. Przeżyli wystarczająco dużo gwałtownych zmian nastroju wicedyrektor Zarządu Operacji, by rozpoznać pierwsze zwiastuny nadchodzącej burzy. Quest powoli uniosła wzrok znad raportu. Choć raz wydawała się oniemiała z wrażenia.

- Kiedy to przyszło? - zapytała wreszcie.

- Dziesięć minut temu - odparł szef sztabu. - Wiedząc o pani zainteresowaniu sprawą, pomyślałem, że przyniosę go, zamiast wysłać.

- Gdzie znaleźli tę skodę?

- Na jednej z tych wąskich, wybrukowanych kocimi łbami ulic na podzamczu.

- Kiedy?

- Dwanaście godzin temu, czyli półtorej doby po tym, jak Czesi przyglądali się, gdy odjeżdżał nabrzeżem.

Pracownicy zarządu osunęli się na oparcia swoich krzesel i złapali za poręcze, by lepiej stawić czoło burzy. Ku ich całkowitemu zaskoczeniu, na szkarłatne usta Crystal Quest wystąpił przewrotny uśmiech.

- Kocham tego sukinsyna - powiedziała ochryłym szeptem. - Gdzie znaleźli kule?

Szef sztabu również nie umiał powstrzymać uśmiechu.

- Na przednim siedzeniu samochodu - odparł. - Sześć naboju parabellum ułożonych równym rzędem. Pistoletu nie znaleziono.

Quest uderzyła dłonią w raport. Dla asystujących jej pracowników wyglądało to na poklask.

- Naturalnie, że nie znaleziono pistoletu. Zapewne pozbył się go, wyrzucając do Wełtawy. Och, on jest naprawdę dobry.

- Powinien - zgodził się szef sztabu. - To pani go wyszkoliła.

Quest kręciła głową z zadowoleniem.

- A jakże. Wyszkoлиłam go i prowadziłam, doprowadziłam do formy, gdy się załamał, i znowu go prowadziłam. Pamiętam, jak parę legend wstecz, gdy obsadziliśmy Martina w roli Dantego Pippena, wrócił z pracy dla tej sycylijskiej rodziny mafijnej, która proponowała sprzedaż sidewinderów twarogłowym z Sinn Féin w Irlandii. Rozśmieszył nas wszystkich do łez, opowiadając, jak Sycylijczycy zostawiali pistolety w miejscach, skąd każdy mógł je zabrać i ich zastrzelić. Haczyk był w tym, że załadowywano je ślepymi nabojami, które ważyły mniej niż prawdziwe kule, gdy ktoś raczył zważyć je w dłoni. Dante... - Quest zaczęła chichotać i musiała wstrzymać oddech. - Dante chciał, byśmy porozkładali pistolety naładowane ślepakami w całym Langley. Żartował, ale tylko trochę. Powiedział, że w ten sposób szybko oddzieli się spryciarzy od tępaków.

- Mogą go jeszcze odnaleźć, jeżeli zaszył się gdzieś w Pradze - zauważył szef sztabu.

- Dantego nie ma w Czechach - stwierdziła kategorycznie Quest. - Na pewno znalazł z tuzin sposobów przedostania się przez ich śmiechu wartą granicę.

- Dopadniemy go - obiecał szef sztabu.

Lecz Quest, wciąż kiwając głową z zadowolenia, podążała za biegiem swoich myśli.

- Kocham tego faceta. Naprawdę go kocham. Jaka szkoda, cholera, że

musimy go sprzątnąć.

\* \* \*

- Muszę to zrzucić z serca - powiedziała Stella, ucinając rozmowę towarzyską. - Nigdy przedtem nie utrzymywałam erotycznych kontaktów przez telefon.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że nasze rozmowy mają taki charakter.

- Cóż, mają. Już samo to, że dzwonicz, jest erotyczne. Brzmienie twojego docierającego Bóg wie skąd głosu jest erotyczne. Cisza, gdy żadne z nas nie za bardzo wie, co powiedzieć, nikt jednak nie chce zakończyć rozmowy, jest nieskończenie erotyczna.

Oboje wsłuchiwali się w głąchą ciszę.

- Nigdzie nie jest napisane, że kiedyś zostaniemy kochankami - rzekł wreszcie Martin. - Ale jeżeli do tego dojdzie, musimy kochać się tak, jakby każdy raz mógł być ostatni.

Jego uwaga zapała Stelli dech w piersiach. Po chwili powiedziała:

- Mam wrażenie, że gdybyśmy mieli się kochać, wtedy czas by się zatrzymał, śmierć przestałaby istnieć, Bóg stałby się zbędny. - Czekala, aż Martin coś powie. Gdy milczał, brnęła dalej: - Do rozpaczki doprowadza mnie to, że spotkaliśmy się dopiero teraz... Straciłam tyle czasu.

- Yhm.

- Przetłumacz to, proszę.

- Czas to coś, czego nie można stracić - odparł Martin. - Co innego pamięć. - Słuchał, jak oddycha po drugiej stronie linii w odległości czterech tysięcy mil. - Weź pod uwagę, że być może potrafimy prowadzić intymną rozmowę, bo dzieli nas dystans... ponieważ telefon gwarantuje pewną dozę poczucia bezpieczeństwa. Zwróć uwagę, że być może ta intymność ulotni się jak kamfora, gdy staniemy oko w oko ze sobą.

- Nie, nie. Nie sądzę. Jestem pewna, że tak nie będzie. Posłuchaj, zanim Kastner i ja przyjechaliśmy do Ameryki, byłam, czy też wydawało mi się, że jestem, zakochana w młodym Rosjaninie. Teraz wspominam to zakochanie jako źródło przyjemności fizycznej, którym zazwyczaj jest pierwsza miłość, ale nie erotycznej. Obie są zupełnie inne. Mój rosyjski chłopak i ja, w chwilach gdy nie obmacywaliśmy się na jakimś ciasnym łóżku w jakimś ciasnym pokoiku, toczyliśmy bezustanne rozmowy. Kiedy teraz o tym myślę, pamiętam nieprzerwany potok słów. Pamiętam rozmowy, w których nie było chwili milczenia. Wiesz, jak można rozszczepić atom i uzyskać energię. Cóż, to samo można uczynić ze słowami. Słowa zawierają energię. Można je

rozszczepić i wykorzystać uwolnioną z nich energię w życiu miłosnym. Jesteś tam jeszcze, Martinie? Jak interpretujesz mój romans z tym chłopakiem?

- To, co mówisz, oznacza, że nie byłaś wtedy gotowa. I że jesteś gotowa teraz.

- Gotowa na co?

- Gotowa na nagą prawdę, jakże odmienną od okruchów prawdy.

- Zabawne, że to mówisz. Znasz książkę *Żyzń i sud'ba* Wasilija Grossmana? To wspaniała powieść rosyjska, jedna z najwspanialszych obok *Wojny i pokoju*. Grossman pisze w niej o tym, jak nie można żyć okruchami prawdy, twierdzi, że okrucuch prawdy w ogóle nie jest prawdą.

- Ja musiałem się zadowolić okruchami - odparł Martin. - Może to właśnie zmusza mnie do znalezienia Samata. Może gdzieś w opowieści o Samacie tkwi naga prawda.

- Co cię skłania do tego stwierdzenia?

- Sam nie za bardzo wiem. - Zaśmiał się pod nosem. - Intuicja. Instynkt. Nadzieja, że jednak jakaś siła zdoła znowu poskładać wszystko do kupy.



## **1997: Martin Odum zostaje oskarżony o zdradę stanu i inne nieczne czyny**

- Niech pan łaskawie spojrzysz prosto przed siebie, widać tam kadłuby statków - Ałmaguł przekrzykiwała łoskot starego sowieckiego silnika przyczepnego, który pchał jej ośmiometrowy skiff przez Jezioro Aralskie w kierunku Wyspy Wozroźdienia. - Dziesięć lat temu była tu zatoka z portem dla Kantubeka. Statki, które pan widzi, osiadły na mieliźnie, gdy odwrócono bieg rzek zasilających Jezioro Aralskie i obniżył się poziom wody.

Martin osłonił czoło ręką i zmrużywszy oczy, spojrzął w oślepiające słońce. Dostrzegł kadłuby tankowca, holownika, łodzi torpedowej z czasów sowieckich, w sumie osiem statków na wpół pograżonych w piasku i osadzie solnym dawnej zatoki.

- Widzę je - zawołał do dziewczyny.

- Musi pan teraz nałożyć rękawice - krzyknęła i podniosła rękę z rumpla, aby pokazać, że sama już naciągnęła swoje na rękawy postrzępionego rybackiego swetra, zapinanego na guziki na jednym ramieniu. Martin naciągnął rękawice kuchenne z żółtego lateksu na mankiety koszuli i docisnął je grubymi gumkami do obu nadgarstków. Zawiązał na wszelki wypadek białą jedwabną chustę na szyi i wetknął nogawki spodni do sięgających kolan piłkarskich getrów, które dziewczyna dała mu, gdy poprzedniej nocy opuścili Amu-darię, jedną z dwóch rzek powoli wpływających do Jeziora Aralskiego. Kiedy skiff zbliżył się do słonej plaży, stado białych flamingów, wystraszonych warkotem silnika, wzbiło się w powietrze. Martin dostrzegł pierwsze budowle Kantubeka, skorupy obecnie wyludnionego miasta, jeśli nie liczyć śmieciarzy, którzy przybywali z lądu stałego, żeby plądrować pozostałości okazałego kiedyś poligonu doświadczalnego sowieckiej broni biologicznej. Mająca w sobie coś z chłopczycy Ałmaguł, która twierdziła, że skończyła szesnaście lat, chociaż z pewnością mogła być parę lat młodsza, przypływała tutaj regularnie z ojcem i bliźniaczą siostrą, zanim oboje nie zmarli przed dwoma laty na tajemniczą chorobę, wskutek której dostali gorączki, mieli powiększone węzły chłonne, a z nosa płynął im śluz. (Przed śmiercią swojej siostry Ałmaguł nazywała się Irina, ale - przestrzegając miejscowej tradycji - przybrała imię siostry, Ałmaguł, aby zachować pamięć

o niej). Na wyspie ojciec wraz z córkami zbierał rury instalacji wodnych z ołowiu, aluminium i stali ocynkowanej oraz miedziane przewody, a także Kuchenki, zlewozmywaki, krany i - gdy nie dało się znaleźć niczego innego - deski zerwane z podłóg w budynkach. Wszystko to sprzedawał na lądzie stałym ludziom, którzy ładowali łup na ciężarówki z platformą i ruszali pokrytymi pyłem równinami w kierunku Nukusu lub aż do miasta Aral na kirgiskim stepie. Ałmaguł nie była na Wyspie Wozroźdienia od czasu śmierci ojca i siostry, ale Martin, dowiedziawszy się, że jest ona w Nukusie jedyną posiadającą skiff ze sprawnym silnikiem osobą, która była już kiedyś na wyspie, odnalazł ją w jednoizbowej chałupie i złożył jej propozycję nie do odrzucenia - po czym podwoił zaproponowaną sumę, gdy odkrył, że dziewczyna uczy się w gimnazjum angielskiego i może również pełnić funkcję tłumaczki. Ruszyli Amu-darią z ładunkiem zapasowych kanistrów z benzyną oraz słomianym koszykiem wypełnionym jogurtem z wielbłądziego mleka, serem kozim i arbuzem.

- Tam jest Kantubek! - krzyknęła dziewczyna, skręcając gwałtownie w stronę wydmy u stóp miasta, i przełączyła silnik na bieg jałowy, żeby pozwolić łodzi wślizgnąć się na piaszczysty brzeg. Martin wdrapał się na dziób, zeskoczył pół metra od brzegu i odwrócił się, by wciągnąć łódź bardziej w głąb plaży. Ałmaguł, wyraźnie wzruszona tą pierwszą podróżą na wyspę po śmierci ojca, dołączyła do niego i stała teraz z rękami na biodrach, rozglądając się z niepokojem. Nogawki jej dzinsów sowieckiej produkcji, związanych sznurkiem w talii, były wetknięte do gumowych butów rybackich zabezpieczonych u góry kawałkami gumki. Kopnęła potłuczone próbówki i płytki Petriego na wpół zakopane w piasku i machnięciem ręki wskazała sterty odpadków zaśmiecających ścieżkę, która wiała się po wydmach w kierunku dziesiątek drewnianych budynków w rozmaitych stadiach rozpadu. Martin zobaczył góry rdzewiejących klatek dla zwierząt wszelkich kształtów i rozmiarów, gnijące belki drewniane, mnóstwo rozbitych skrzyń. Spojrzał w niebo, oceniając wysokość położenia słońca.

- Rozejrzę się po mieście - wyjaśnił dziewczynie. - Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, wrócę po południu.

- Nie mogę tutaj zostać po zachodzie słońca - poinformowała go Ałmaguł. - Mój ojciec miał żelazną zasadę, by nigdy nie spędzać nocy na wyspie. W świetle dziennym można dostrzec gryzonie, może nawet pchły. Po zapadnięciu zmroku...

Gdy poprzedniego wieczoru płynęli Amu-darią na pół gazu, żeby nie

budzić gniewu ludzi łowiących z jej brzegów ryby przy użyciu szperaczy i granatów, Ałmaguł wyjaśniła niebezpieczeństwa, jakie czyhały na odwiedzających wyspę. Z obawy, że zespoły amerykańskich inspektorów, kontrolujących przestrzeganie układu o zakazie produkcji broni biologicznych z 1972 roku, zjawią się na wyspie, w 1988 Sowieci ukryli dziesiątki ton środków bakteryjnych w pośpiesznie wykopanych jamach. Zakopali również w płytkich rowach tysiące ścierv małąp, koni, świnek morskich, królików, szczurów i myszy, na których testowano zabójczość środków bakteryjnych. Gdy Związek Sowiecki upadł na początku lat dziewięćdziesiątych, pieczę nad wyspą przejęły Uzbekistan i Kazachstan, ale nigdy nie zadano sobie trudu odkopania pogrzebanych zarodników i ścierv, od których zarażały się gryzonie zamieszkujące na wyspie. Zarażone wąglikiem, nosacizną, tularemią, brucelozą, dżumą, tyfusem, riketsjozą, ospą, wenezuelskim zapaleniem mózgu i rdzenia koni lub zatrute jadem kiełbasianym, nie zdychały, ale w końcu przekazywały te choroby pchłom, które z kolei zarażały nimi inne gryzonie. Co znaczyło, że zwykłe ukąszenie pchły na wyspie mogło być fatalne w skutkach dla człowieka. Zagrożenie było bardzo realne. Ałmaguł wiedziała o czternastu mężczyznach z Nukusu, którzy w ciągu dwóch lat od śmierci ojca zniknęli podczas zbierania odpadków na wyspie; władze terenów na obrzeżach zmniejszającego się Jeziora Aralskiego przypuszczały, że zaginieni zostali ugryzieni przez pchły i zmarli na dżumę bądź inną chorobę na wydmach, a ich zwłoki zostały ogryzione do kości przez flamingi.

Ałmaguł dawała do zrozumienia, że w wymarłym mieście na wyspie można znaleźć nie tylko środki biologiczne i wirusy roznoszone przez pchły. Ośmielona przez Martina, powiedziała, że w ruinach Kantubeka zainstalowała się garstka zbieraczy dowodzona przez samozwańczego watażkę. *Czy ów watażka ma jakieś imię?* - zapytał Martin. *Mój ojciec, który co wieczór czytał przed snem Biblię, nazywał go Azazelem od imienia złego ducha zamieszkującego pustynię, któremu w Dniu Prześlągania posyłano kozła ofiarnego* - odparła dziewczyna. *- Inni mieszkańcy Nukusu twierdzą, że to duński książę, imieniem Hamlet Akba. Ten człowiek i jego gang żądają dwudziestu pięciu procent wartości tego, co wywozi się z wyspy.* Ałmaguł była przekonana, że watażka nie przejmie się wizytą dziennikarza, który chciał napisać dla kanadyjskiego czasopisma o tajnym niegdyś poligonie doświadczalnym broni biologicznej, i dziewczyny, która go tam zawiozła, skuszona zarobkiem wystarczającym na przetrwanie zimy.

Oszczędzając chromą nogę, Martin ruszył wijącą się pośród wydm ścieżką. Na szczycie odwrócił się, by pomachać Ałmaguł, ale dziewczyna wlaźła na skrzynkę, żeby obserwować powracające na plażę flamingi o charakterystycznych zakrzywionych dziobach, i nie zwracała na niego uwagi. Pokonawszy wzniesienie, skierował się w stronę wymarłego miasta główną drogą, ułożoną z betonowych płyt. Na polu na skraju miasta spostrzegł boisko do gry w koszykówkę, które zostało przekształcone w lądowisko dla helikopterów - na betonie wymalowano mlekiem wapiennym wielkie białe koło, a jego powierzchnia szerniała od śmigłowcowych spalin. W głębi ulicy minął ogromny hangar, w którym kiedyś mieścił się miejski park samochodowy. Większość kawałków pokrycia dachowego z blachy falistej wywieziono, ale pojazdy, zagrzebane w zwałach piachu, zostały - wybebeszone zielone ciężarówki, dwa pozbawione gąsienic czołgi T-52, dwa transportery opancerzone spoczywające na gołych osiach, spłowiwały pomarańczowy autobus, którym ktoś wjechał na betonową rampę celem naprawy i nigdy już z niej nie zjechał, czerwony niegdyś wóz strażacki z otwartą maską pustej komory silnika, rdzewiejące kadłuby sześciu wiekowych traktorów z wyblakłymi sowieckimi sloganami wymalowanymi na bokach. Idąc dalej do miasta, Martin natknął się na olbrzymi budynek z poszarpaną sowiecką flagą z sierpem i młotem, wciąż łopoczącą na drzewcu sterczącym nad zmatowiałymi dwuskrzydłowymi drzwiami, które prowadziły do bogato zdobionego holu. Olbrzymia mozaika, przedstawiająca potęgę sowieckiego państwa w postaci ustawionych w szyku czołgów, eskadr samolotów i flot okrętów, wypełniała całą pozbawioną okien ścianę z boku holu. Tablice z wyblakłymi od słońca napisami cyrylicą zwisały ze słupów latarń. Kurz i piasek wznoszone podmuchami wiatru wirowały wokół stóp Martina na skrzyżowaniach.

I wtedy zaczął działać jego instynkt ulicznego cwaniaka - zanim dostrzegł zbieraczy, powoli wkraczających w pole widzenia zza otaczających skrzyżowanie budynków, poczuł, jak w kark wbija mu się spojrzenie czyichś oczu. Było ich pięciu, wszyscy nosili sznurowane getry z grubego płótna, brezentowe rękawice, sięgające łokci, i na twarzach szklane maski, których Uzbegy używali do opylania bawełny na plantacjach. Każdy z mężczyzn miał przytroczoną do pasa zakrzywioną kozacką szablę, a na ręku karabiny z ręcznie odciąganymi zamkami oraz prezerwatywami na lufach chroniącymi przed piaskiem i wilgocią. Martin odruchowo przesunął niepostrzeżenie dłoń na plecy, gdzie znajdowałby się jego pistolet automatyczny, gdyby nie

pozbył się go przed wylotem z Austrii do stolicy Gruzji, Tbilisi, a potem, w wyczarterowanym samolocie do opylania pól, do Nukusu w Uzbekistanie.

Jeden ze śmieciarzy ruchem dłoni nakazał Martinowi podnieść ręce do góry. Drugi podszedł i zrewidował go w poszukiwaniu broni. Związali Martinowi ręce smyczą i zaciągnęli za róg w boczną ulicę. Gdy się potknął, otrzymał mocne szturchnięcie kolbą karabinu między łopatki. Dwie przecznice dalej pchnęli drzwi, a Martin został wtrącony do jakiegoś budynku i poprowadzony przez hol, w którym zachowało się tylko kilka białych marmurowych kafelków. Wraz z pozostałymi przeszedł, chlapiąc, przez płytkie koryto wypełnione płynem wydzielającym woń środka dezynfekującego, a potem pod prysznicem, który spryskał go oraz strażników delikatną mgiełką odkażacza. Usłyszał głosy innych śmieciarzy, posługujących się dziwnym językiem, którego nie umiał rozpoznać, i wymieniających uwagi z eskortującą go piątką. Dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się gwałtownie i Martin znalazł się w sali koncertowej, gdzie większość rozkładanych foteli odkręcono i ułożono w stertach pod ścianą. Ośmiu mężczyzn w białych fartuchach laboratoryjnych i rękawicach z lateksu siedziało na nielicznych nienaruszonych jeszcze fotelach. Watażka, zgarbiony w przypominającym tron drewnianym krześle z wysokim oparciem, ustawionym pośrodku sceny z malowanym tłem ze starej socrealistycznej opery za plecami, przewodniczył zgromadzeniu. Był karłem tak niskim, że stopami nie sięgał podłogi, ubranym w szorstki szary szkaplerz, który opadał na wypucowane śliną komandoskie głany spoczywające na odwróconej skrzyni po amunicji. Nagie ramiona miał muskularne niczym sztangista. Na szkaplerzu nosił pod pachą kaburę ze sterzącą z niej stalową kolbą dużego marynarskiego rewolweru. Staromodne gogle na oczach nadawały mu wygląd owada. Sztywna admiralska czapka z czasów caratu spoczywała na czubku jego ogromnej głowy. Rozmawiał przez kilka minut, burcząc cicho, z jednym z mężczyzn w jednoczęściowych kombinezonach, którzy stali za nim, po czym podniósł głowę, by spojrzeć wprost na Martina. Unosząc krótką rękę, dał mu znak, żeby podszedł, i dziewczęco piskliwym głosem warknął coś w dziwnym języku śmieciarzy.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Martin wymamrotał:

- Yhm.

- Pyta się, z jakiego powodu przyjeżdżasz do Kantubeka - rozległ się głos jakiejś tłumaczącej dziewczyny z tyłu sali.

Martin rzucił za siebie ukradkowe spojrzenie. W drzwiach sali

koncertowej stała Ałmaguł, z uzbrojonymi śmieciarzami po bokach. Uśmiechnęła się do niego nerwowo, gdy Martin odwrócił się do watażki i mu zasalutował.

- Wyjaśnij mi - zawołał przez ramię - że jestem dziennikarzem z Kanady.  
- Wyciągnął laminowaną legitymację reportera agencji prasowej i pomachał nią w powietrzu. - Piszę artykuł o filantropie Samacie Ugor-Żyłowie, który po opuszczeniu Pragi przyjechał ponoć na Wyspę Wozroźdzenia.

Gdy Ałmaguł przetłumaczyła odpowiedź Martina, watażka obnażył zęby w uśmiechu niedowierzania. Warknął coś piskliwym głosem do mężczyzn stojących za „tronem”, przygotowując ich o nerwowy chichot. Przewrócił kopnięciem skrzynkę po amunicji, tak że stopy tańczyły mu w powietrzu, gdy z wściekłością odpowiadał dziewczynie. Kiedy zabrakło mu tchu, z powrotem opadł ociężałe na oparcie „tronu”. Ałmaguł stanęła za Martinem.

- Mówi - wyjaśniła cichym, przerażonym głosem - że Samat Ugor-Żyłow jest gubernatorem tej wyspy i kieruje tutaj doświadczalnymi programami zbrojeniowymi.

\* \* \*

Stłumione głosy rozmawiające ze sobą w niezrozumiałym języku przeniknęły do jego snu; Martin uznał, że jest Lincolnem Dittmannem, słuchającym na Trójgraniczu, jak Saudyjczyk, w którym później rozpoznał Osamę Bin Ladena, naradza się z Egipcjaninem Daudem. Gdy w końcu zorientował się, że mężczyźni nie rozmawiają po arabsku, przedostał się przez błonę, która oddzielała sen od jawy, i usiadł. Jego oczy dopiero po chwili przywykły do przyćmionego światła słabych żarówek palących się w oprawkach umieszczonych na kamiennych ścianach sklepionego podziemia. Wyciągnął rękę, dotknął zimnych krat i przypomniał sobie, że strażnicy wepchnęli go do niskiej klatki, w rodzaju tych, w których trzymano mały w laboratoriach. Dostrzegł Ałmaguł, zwiniętą w kłębek na stosie szmat w sąsiedniej klatce. Za nią stały inne klatki - więcej, niż mógł zliczyć. Osiem z nich mieściło więźniów śpiących na podłodze lub wspartych plecami o kraty i drzemających na siedząco ze zwieszonymi na piersi brodatymi głowami.

W pobliżu kamiennych schodów stało trzech mężczyzn w białych laboratoryjnych kitlach. Rozmawiali ze sobą. Martin słyszał ich głosy. Stopniowo migrena zaburzyła mu jasność widzenia i poczuł, jak pogrąża się w innej tożsamości - tej, w której język używany przez mężczyzn wydawał się trochę znajomy; ku swojemu zdumieniu Martin odkrył, że rozumie fragmenty rozmowy.

- ...bardzo trwały, nawet w świetle słonecznym.
- ...przewaga węgliku nad dżumą. Światło słoneczne neutralizuje szczep dżumy.
- ...powinien skoncentrować się na węgliku.
- ...zgadzam się... zwłaszcza na węgliku płucnym, który działa wyjątkowo zabójczo.
- ...w piasku riketsjoza utrzymuje się miesiącami.
- ...Co proponujesz? ...zrzucić na Nowy Jork bomby z piaskiem, a potem zaatakować Amerykę przy użyciu riketsjozy?
- ...nadal uważam, że popełniamy błąd, skupiając uwagę na środkach bakteryjnych, które, ogólnie rzecz biorąc, trudno ustabilizować i z których trudno uczynić broń.

No jasne! Mężczyźni rozmawiali po rosyjsku, w języku, którego Martin uczył się w college'u w poprzednim, jak się wydawało, wcieleniu. Pamiętała, jak psychiatra z Firmy opowiadała mu o przypadku, w którym jedna osobowość była w stanie rozmawiać w języku niezrozumiałym dla innych osobowości. Był to doskonały przykład, stwierdziła, tego, jak rozdzielone mogą być w mózgu legendy.

- ...nie zamierzasz chyba znowu dowodzić wyższości środków paralizujących nad środkami bakteryjnymi, co? Samat osobiście rozstrzygnął tę kwestię wiele miesięcy temu.

- ...Samat powiedział, że możemy powrócić do tej sprawy w dowolnym punkcie programu naszych badań. Środki paralizujące, szczególnie VX, ale soman i sarin również, mogą być zabójcze.

- ...oni mają poważne problemy produkcyjne.
- Chcę ci przypomnieć, że wytwarzanie tabunu jest stosunkowo łatwe.
- ...tabun jest tylko umiarkowanie trwałe.
- ...drepczemy w miejscu... wypróbujemy jedną z gorączek krwotocznych, na przykład wirus Ebola, na którymś z naszych klientów.

- Próby z Ebolą to brnięcie w ślepią uliczkę. Zapewniam cię, że ten wirus jest zabójczy, ale również stosunkowo nietrwały, przez co program badań tego wirusa się komplikuje.

- ...mamy jednak zarodniki, które Konstantin rozwinął w swoim laboratorium, równie dobrze moglibyśmy więc wypróbować je na jednym z królików doświadczalnych.

- ...zostało ich tylko osiem.
- ...nie ma obawy... dwa nowe.

Trzej uczeni, o ile właśnie nimi byli, założyli stosowane przez rosyjską armię maski przeciwgazowe, wyposażone w wielkie filtry węglowe. Jeden z nich wybrał probówkę z kompletu w lodówce i zdjawszy scyzorykiem woskową pieczęć, ostrożnie kapnął kroplą żółtawego płynu na wacik na płytce Petriego i szybko nakrył go szklaną pokrywką. Uczeni przyciągnęli niski stół do klatki na drugim końcu podziemia i ustawili na nim mały wentylator, tak aby nawiewał do środka powietrze znad płytki. Brodaty olbrzym wsparty plecami o pręty klatki ukląkł i zaczął krzyczeć na nich w języku śmieciarzy. Jego gromka tyrada obudziła innych więźniów. Ałmaguł podniosła się na klęczki i chwytając za kraty, wrzasnęła po uzbecku na mężczyzn w kitlach. Więzień w klatce obok także się na nich wściekł. Ałmaguł spojrzała na Martina. Jej twarz wykrzywiło przerażenie.

- Prowadzą doświadczenie na jednym ze śmieciarzy! - zawołała, wskazując na ludzi w białych fartuchach.

Brodacz w ostatniej klatce opadł pośladkami na pięty i zasłaniając usta połą koszuli, oddychał przez materiał. Jeden z uczonych przyniósł kamerę firmy Sony na trójnożnym statywie i zaczął go filmować. Inny spojrzał na zegarek, zanotował godzinę na przypiętej do podkładki kartce, po czym zdjął pokrywkę z płytki Petriego i odsunął się od klatki.

Martin powrócił myślami do procesu, po którym wylądował wraz z dziewczyną w klatkach dla małp. Sąd wojskowy - takim mianem watażka określił to postępowanie - rozpoczął się po przerwie obiadowej i trwał dwadzieścia minut. Przewodnicząc mu z prowizorycznego tronu na scenie sali koncertowej, Hamlet wystąpił w roli prokuratora i sędziego. Martinowi, z rękami związanymi smyczą zarzucono zarówno drobne wykroczenia, jak i zdradę stanu. Ałmaguł, oskarżona o współsprawstwo, stała za Martinem, nerwowo szepcząc mu do ucha tłumaczenie zarzutów. Hamlet otworzył posiedzenie, oznajmiając, że jest całkowicie przekonany o winie oskarżonych; że wyłącznym celem sądu wojskowego jest ustalenie stopnia winy oraz stosownej kary.

- Winny czego? - zapytał Martin, broniąc się przed oficjalnym zarzutem zdrady stanu i innych niecnych czynów.

- Winny pracy dla agencji obcego wywiadu - odpalił Hamlet. - Winny próby wykradzenia tajemnic rosyjskich przygotowań do wojny biologicznej.

- Interesuje mnie wyłącznie - kazał odpowiedzieć Ałmaguł - przeprowadzenie wywiadu z Samatem Ugor-Żyłowem. - I wyjaśnił szczegóły misji humanitarnej Samata, sprowadzającego z powrotem do wioski na



Litwie szczątki świętego Giedymina, żeby otrzymać zwoje ze świętą Torą i przewieźć je do Izraela.

- A gdzie - zapytał Hamlet, pochylając się do przodu i zadzierając wielką głowę, żeby lepiej słyszeć odpowiedź - Samat miałby znaleźć szczątki świętego Giedymina?

- Powiedziano mi, że odnalazł je w Argentynie w małej cerkwi koło Cordoby.

- A co - dopytywał się dalej watażka, a jego małe stopy wędrowały po skrzynce po amunicji - miałby zaproponować Argentyńczykom w zamian za kości świętego?

Martin zdał sobie sprawę, że wkroczył na grząski grunt.

- Nie mam pojęcia - odparł. - To właśnie jedno z pytań, które chciałem zadać Samatowi.

W tym momencie Hamlet rozpoczął tak gwałtowną tyradę, że Ałmaguł musiała się mocno napracować, żeby nadażyć z tłumaczeniem.

- Twierdzi, że bardzo dobrze wiesz, co Samat dałby w zamian, bo inaczej nie przyjechałbyś na tę wyspę. Że rosyjski arsenał jądrowy za dziesięć lat stanie się przestarzały i Amerykanie będą władać Rosją, jeżeli Samat nie zdoła udoskonalic broni biologicznej, żeby przeciwdziałać amerykańskiemu zagrożeniu. Że broń biologiczna jest jedynym opłacalnym rozwiązaniem rosyjskiego problemu. Mówi, że uśmiercenie połowy ludności zamieszkującej na powierzchni jednego kilometra kwadratowego pociskami z głowicami konwencjonalnymi kosztuje dwa miliony, bronią jądrową osiemdziesiąt tysięcy, chemiczną sześćset, a biologiczną dolara. Przypomina ci, że Wyspa Wozroźdzenia była kiedyś ośrodkiem badań nad sowiecką bronią biologiczną; pod kierunkiem Samata i z jego wsparciem finansowym wyspa znowu rozwija bioarsenał, który uchroni Rosję przed dominacją amerykańską.

Hamlet opadł z powrotem na tron. Jeden z odzianych w kitle uczonych przyniósł porcelanową miskę z wodą śmierdzącą środkiem odkażającym. Watażka wykręcił namoczoną w niej gąbkę i wytarł sobie rozpalone czoło.

- Sugeruje pan, że Samat w zamian za kości świętego dał Argentyńczykom zarodki broni biologicznej? - rzekł bardzo cicho Martin.

- Nie to sugeruję - warknął watażka, usłyszawszy tłumaczenie Ałmaguł. - Czy ja to sugeruję? - zapytał uczonych w kitlach.

- *Niet, niet* - odpowiedzieli zgodnym chórem.

- Oto dowód - krzyknął Hamlet, machając w kierunku naukowców, jakby

byli jego świadkami koronnymi.

- To co w takim razie pan sugeruje? - kazał dziewczynie zapytać Martin.

- Kto tutaj jest sądzony, ty czy ja? - z furią ripostował watażka. - Nie sugeruję, że Samat dostarczył argentyńskim wojskowym broń biologiczną. Nie sugeruję również, że dostarczył im informacji o orbitach amerykańskich satelitów szpiegowskich. Ta pogłoska jest bezpodstawna. Każdy głupek wie, że aby uzyskać zdjęcia wysokiej jakości, satelity szpiegowskie muszą co dziesięćdziesiąt minut okrążyć Ziemię na niskich wysokościach, po orbicie polarnej. To oczywiste, że nad dowolnym punktem na powierzchni Ziemi znajdują się tylko przez chwilę. Gdy człowiek wie, kiedy jeden z nich ma znaleźć się nad jego głową, może przerwać działania, których sfotografowania sobie nie życzy. Hindusi i Pakistańczycy robią to od lat. Irakijczycy także. I stąd bierze się pogłoska, że to od Saddama Husajna Samat uzyskał współrzędne orbit amerykańskich satelitów, które wymienił u Argentyńczyków na kości świętego.

Martin pojął, że Hamlet i otaczający go ludzie są kompletnie stuknięci, że to typy, jakie mogła napotkać Alicja, gdy wpadła do króliczej nory. Uznał, że sprzeciwianie się szalonemu watażce nie leży w jego interesie.

- A cóż, u licha, mógł dać Saddamowi Husajnowi w zamian za informacje o orbitach?

- Bezpieczniej jest nie znać odpowiedzi na to pytanie - szepnęła Ałmaguł, ale Martin, upojony perspektywą poznania tajemnic państwowych, kazał jej przetłumaczyć.

Hamlet wyciągnął z kabury swojego kolta navy i obrócił bębenek, sprawiając, że w sali rozległo się głośnie tykanie. Po czym uniósł rewolwer, wycelował w głowę Martina i rzekł:

- Pif-paf, jesteś skasowany. - Zaśmiał się ze swojego żarciku, a reszta zgromadzonych w sali śmiała się razem z nim, aczkolwiek - takie wrażenie odniósł Martin - czyniła to z lekkim przerażeniem. Po chwili Hamlet dodał: - Gdyby Samat chciał pójść tą drogą, mógł dać Husajnowi zarodniki wąglika oraz wirusy gorączki krwotocznej, które zostały wyhodowane tutaj, na wyspie. - Watażka zdjął gogle i lufą rewolweru podrapał się w zadumie po kartoflowatym nosie.

Na jego grubych wargach pojawił się blady grymas.

- Mógł przehandlować współrzędne orbit za kości świętego. A kości świętego za zwoje z Torą. Ale rozumie się samo przez się, że nic takiego w rzeczywistości nie miało miejsca.

Hamlet, mający dosyć tej gry, stuknął kolbą rewolweru o poręcz „tronu” jak młotkiem sędziowskim.

- Ty oraz dziewczyna jesteście winni zarzucanych wam czynów i zostajecie skazani na pobyt w klatkach dla małp celem wykorzystania was jako królików doświadczalnych w naszych eksperymentach. Sprawa zamknięta. Proces zakończony. Przerwa w obradach sądu.

Jęki olbrzymiego śmieciarza w ostatniej klatce wyrwały Martina z zamyślenia. Ałmaguł, siedząca na lodowatej posadzce, oparta plecami o kraty w klatce obok, ukryła głowę w kolanach. Jej ciałem wstrząsał bezgłośny szloch. Martin sięgnął przez pręty, by dotknąć jej ramienia.

- Poznaję tych ludzi w klatkach - powiedziała ochryplym szeptem dziewczyna. - To ci zaginieni śmieciarze z Nukusu. Wszyscy z pewnością umrzemy jak mój ojciec i siostra - dodała. - Zabili już sześciu i rzucili ich szczątki flamingom na pożarcie. Najgorsze, że nie mam siostry, która przyjmie moje imię.

Olbrzymi śmieciarz w ostatniej klatce padł na kolana, dotykając głową ziemi, a następnie przewrócił się na bok. Uczony filmujący badanie zawołał po rosyjsku dwóch pozostałych, by przyszli zobaczyć. Mężczyzna z podkładką do pisania wyjął duży klucz uniwersalny i otworzył kłódkę na klatce, a trzech Rosjanie w kitlach, wciąż noszący maski gazowe, dali nura do środka i przykucnęli wokół ciała olbrzyma. Jeden z nich podniósł bezwładną rękę i pozwolił, by opadła.

- Konstantin będzie niezmiernie zadowolony z działania swojej Eboli... - odezwał się, a wtedy olbrzym, wrzeszcząc z dzikim entuzjazmem, ożył i zaczął rozbijać im pięściami maski gazowe i łamać kości twarzy. Dwóch uczonych, spod których masek sączyła się krew, podpełzło na czworakach w stronę niskich drzwi klatki, ale olbrzym chwycił ich za kostki, przyciągnął z powrotem i wlaższy na nich, walił twarzami swoich oprawców o betonową podłogę. Więźniowie w innych klatkach wołali, by ich puścił, ale on dalej unosił za włosy ich głowy i roztrzaskiwał je o beton. W końcu to głos Ałmaguł dotarł do świadomości oszalałego mężczyzny. Z trudem łapiąc powietrze, z błyskiem obłędu w wybałuszonych oczach, śmieciarz puścił zakrwawione głowy i uniósł wzrok.

Ałmaguł głośno wypowiedziała jego imię i uspokajała go w dziwnym języku śmieciarzy. Olbrzym, z koszulą i rękami zlanymi krwią, wypełził przez drzwi i chwiejąc się, wstał. Inni więźniowie zaczęli mówić do niego wszyscy naraz. Ałmaguł powiedziała mu coś cichym głosem. Martin zauważył, że

brodaczowi sączy się z nosa śluz, gdy zataczając się, podszedł do stołu ze stali nierdzewnej po drugiej stronie podziemi, odłamał jedną z nóg i wrócił do klatek. Wsuwał jej wąski koniec w ucha kłódek i wykorzystując kraty jako punkt podparcia dźwigni, otwierał je z trzaskiem jedną po drugiej. Martin wyszedł z klatki jako ostatni. Olbrzym zwałił się na podłogę u jego stóp. Wyciągając ręce, by mu pomóc, Martin stwierdził, że jego ciało trawi gorączka.

- Nic nie możemy dla niego zrobić - powiedziała Ałmaguł. Pozostali śmieciarze odsunęli się od leżącego mężczyzny. Dopiero gdy Ałmaguł ich ofuknęła, jeden zbliżył się i uderzył olbrzyma w głowę nogą od stołu, by położyć kres jego cierpieniu. Po czym, uzbrojeni w nogi od stalowego stołu oraz drewniane, wyrwane z krzeseł, śmieciarze ruszyli kamiennymi schodami. Ałmaguł, idąca na czele, ostrożnie otworzyła stalowe drzwi do laboratorium i odsunęła się, by przepuścić pozostałych. Dwaj rosyjscy uczeni drzemący na łózkach polowych zostali uduszeni przez zdesperowanych więźniów. Trzech pozostałych pracowało nad zamrożonymi zarodkami węglika w ogromnej lodówce. Martin wepchnął stalową nogę w uchwyty drzwi, zamykając ich w środku, a następnie podkręcił termostat. Zorientowawszy się, że znaleźli się w potrzasku, Rosjanie zaczęli walić w okno z grubego szkła w drzwiach. Jeden z więźniów znalazł w szafce plastikowy kanister wypełniony naftą do urządzenia grzejnego. Polał nią półki zastawione płytkami Petriego i szafki kartotekowe. Ałmaguł zapaliła zapalniczkę i cisnęła ją na rozlaną naftę. Błękitnawy ogień przemknął po podłodze i po chwili laboratorium stało w płomieniach.

Uciekający śmieciarze natknęli się na dwóch strażników grających w backgammona w przedsionku, gdzie stały cztery stare stojaki na parasole, mieszczące naostrzone na skórzanym pasku szable kozackie. Obydwaj rzucili się do karabinów, ale zanim zdążyli po nie sięgnąć, zostali zatłuczeni na śmierć. Chwytając dwa karabiny i upychając w kieszeniach naboje, Martin i Ałmaguł poprowadzili uzbrojonych w szable śmieciarzy tylnymi schodami do holu. Jeden jedyny strażnik pełniący tam służbę oparł się plecami o ścianę i podniósł ręce w geście kapitulacji na widok śmieciarzy. Któryś z nich podszedł i rozplątał mu czaszkę uderzeniem szabli. Na znak Martina mężczyźni rozproszyli się i wpadli przez kilka dwuskrzydłowych drzwi do sali koncertowej. Walka była krótka i krwawa. Z furią operując zamkiem swojego karabinu i nie zwracając sobie niemal głowy celowaniem, Martin - z krwią pulsującą w skroniach, z palcem drżącym na spuście - osłaniał

więźniów ogniem z tyłu sali, gdy ci, wymachując szablami nad głowami, z dzikim krzykiem przypuścili szturm w przejściach między fotelami. Watażka, który wcześniej brylował na „tronie”, skulił się za nim ze strachu, gdy jego ochroniarze, zaskoczeni, rozpaczliwie próbowali odeprzeć atak. Dwóch więźniów zginęło, zanim dotarli do sceny; trzeci został trafiony w głowę. Kiedy karabin Martina zaciął się, Martin usłyszał w uchu gromki głos Lincolna: *Złap go za lufę, na litość boską, i użyj jako pałki.* Chwytając oburącz rozgrzaną lufę, przyłączył się do walki na scenie, okładając wściekle ochroniarzy, próbujących odparować ciosy karabinami lub rękami. Gdy jeden z nich się potknął, Martin skoczył na niego i przygwoździł do ziemi, a inny więzień odciął ochroniarzowi rękę, w której ten trzymał karabin. Martin wstał, dysząc ciężko. Wtedy któryś z więźniów stanął jedną nogą na pośladkach powalonego mężczyzny i rozplatał mu plecy, odsłaniając kręgosłup od karku aż po kość ogonową. Stopniowo więźniowie, powodowani wściekłością, której źródłem był fakt, że nie mieli nic do stracenia, a do wygrania życie, pokonali pozostałych broniących się członków ochrony. Broczący krwią z okropnych ran ochroniarze oraz trójka tych, którzy się poddali, zostali zawleczeni do fosy orkiestrowej i tam uderzeniami szabel skróceni o głowę. Jeden, pozbawiony już głowy, zrobił kilka krótkich kroków, zanim runął na podłogę. Martin, z uczuciem odrazy, przyglądał się, jak śmieciarze krążą wokół tronu niemal tak, jakby uczestniczyli w niewinnej dziecięcej zabawie. Hamlet naciągnął na głowę kwadratowy kawałek grubej kurtyny teatralnej, który wcześniej ułożono jako dywan. Śmieciarze wyrwali mu ją z zaciśniętych kurczowo rąk i szturchnięciami szabel zmusili do powstania. Ścierając smarki spod nosa, Hamlet błagał o litość, gdy więźniowie zdarli zeń brezentowe getry, buty, rękawice oraz gogle i wyprowadzili przez hol na ulicę.

Ostrożnie stąpając rynsztokiem, żeby uniknąć pcheł, bosi Hamlet paplał coś w języku śmieciarzy, ale nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co mówił. Kiedy słońce przesunęło się nad horyzontem, grupa przeszła z powrotem drogą, którą Martin trafił do Kantubeka, mijając bogato zdobiony budynek z mozaiką przedstawiającą potęgę sowieckiego państwa. Gdy dotarli do hangaru z pojazdami komunalnymi, zakurzonymi i zagrzebanymi w zwałach piachu, śmieciarze znaleźli szpulę z przewodem elektrycznym i przywiązali watażkę z Wyspy Wozroźdienia do jednej z wybebeszonych zielonych ciężarówek. Ręce miał spętane nad głową i przytroczone do zardzewiałej ramy drzwi, tak że palcami bosych stóp ledwie sięgał piachu.

Watażka wystękał coś i Ałmaguł, przyglądająca się wszystkiemu z ulicy, krzycząc, przekazała tłumaczenie jego słów Martinowi.

- Błaga ich, żeby nie zostawiali go tutaj, gdzie gryzonie i pchły mogą dobrać mu się do skóry. Prosi, żeby go zastrzelić.

- Zapytaj go, dokąd pojechał stąd Samat - zawołał Martin.

- Nie rozumiem jego odpowiedzi - odkrzyknęła Ałmaguł. - Mówi coś o zwrocie kości jakiegoś świętego cerkwi na Litwie.

- Zapytaj, czy ten kościół znajduje się w mieście Zuzowka w pobliżu granicy z Białorusią.

- On chyba oszalał. Mówi tylko, że Samat jest świętym... powtarza to w kółko.

Gdy czwórka ocalałych więźniów oraz Martin i Ałmaguł szli biegnącą wśród wydm ścieżką do wyciągniętej na brzeg łodzi, słysząc było, jak Hamlet Akba nieskładnie peroruje. W pewnym momencie Martin zatrzymał się, by spojrzeć na watażkę. Już miał ruszyć przez wydmy w jego stronę, gdy usłyszał w uchu dziki irlandzki rechot Dantego. *Nie wiesz, że Biblia uczy ofiary, jak przetrwać emocjonalnie? Oko za oko, ząb za ząb, oparzenie za oparzenie, chłopcze.* Kiedy Martin się zawahał, Dante westchnął z rozpaczy. *Tak, tak, jesteś bojaźliwą namiastką mężczyzny.* Martin musiał przyznać mu rację. Potwierdzając ponurym skinieniem głowy, zawrócił i potykając się, ruszył w dół wzgórza, by dołączyć do pozostałych na plaży. Mężczyźni zmyli z siebie krew w morzu, ściągnęli łódź z piaszczystego brzegu i wsiedli na pokład. Ałmaguł uruchomiła silnik, sprawiając, że stado białych flamingów zerwało się do lotu. Płynęła tyłem, aż morze było dostatecznie głębokie, by mogła odwrócić łódź i skierować ją pełnym gazem w stronę stałego lądu. Gdy Ałmaguł rozdawała arbuza i kozi ser z koszyka, Martin spoglądał na wymarłe miasto, niknące stopniowo w przypominającej tiul mgiełce, która gęstniała, w miarę jak słońce pięło się coraz wyżej po nieboskłonie.

\* \* \*

Urzędniczka siedząca z poważną miną za kontuarem centralnego urzędu pocztowego w Nukusie nigdy wcześniej nie łączyła rozmowy międzynarodowej i musiała przeczytać odpowiedni rozdział w instrukcji, zanim zdołała znaleźć numery kierunkowe i zasady naliczania opłaty za połączenie. Przy trzeciej próbie połączyła się wreszcie z miejscem, o którym nigdy nie słyszała - gminą Brooklyn - i wcisnęła zegar szachowy, którego używała do mierzenia czasu rozmów.

- To ty, Stello? - zawołał Martin do telefonu w otwartej kabinie, a sześć

osób stojących w kolejce po czeki z emeryturą spoglądało ze zdumieniem na człowieka posyłającego swój głos przez Europę i Atlantyk do Stanów Zjednoczonych i otrzymującego odpowiedź w ułamku sekundy.

- Dopadłeś Samata?

- Spóźniłem się, ale chyba niewiele. Boisko do koszykówki było czarne od spalin.

- Dobrze się czujesz?

- Teraz tak. Ale przez pewien czas moja przyszłość rysowała się w ciemnych barwach.

- Co boisko do koszykówki ma wspólnego z Samatem?

- Miało namalowane białe koło, co znaczy, że przerobiono je na lądowisko dla helikopterów. W odróżnieniu ode mnie Samat podróżuje pierwszą klasą. Gonilem za nim do utraty tchu bezpokładowymi łodziami z przyczepnym silnikiem. Jak sobie radzisz z nową jedynką?

- Doszłam do wniosku, że miałeś rację, ten stary poszczerbiony ząb miał pewien urok, nawet jeśli rzeczywiście sprawiałam z nim wrażenie osoby kruchej. Teraz nie poznaję siebie w lustrze.

- Zawsze możesz ten nowy ząb wyszczerbić.

- Bardzo zabawne. Nie złość się, Martinie, ale czy ty naprawdę tropisz Samata?

- A cóż to za pytanie?

- Ostatnio sporo myślałam. Rzecz w tym, że prawie cię nie znam... nie sądzę, byś był wielokrotnym mordercą lub kimś takim, ale mógłbyś być notorycznym kłamcą. Możesz dzwonić do mnie z Hobokenu, a resztę zmyślać.

- Dzwonię z poczty w Uzbekistanie. Kobieta, która łączyła tę rozmowę, nigdy wcześniej nie telefonowała za granicę.

- Chciałabym ci wierzyć. Naprawdę chciałabym. Ale ludzie, dla których kiedyś pracowałeś... wiesz, o kim mówię... przysłali do mnie wczoraj psychiatrę. Nazywa się Bernice Treffler. Powiedziała, że leczyłeś się u niej po tym, jak cię zwolniono z pracy.

- Co jeszcze mówiła?

- Powiedziała... och, Martinie...

- Wyduś to wreszcie.

- Powiedziała, że ci odbiło. Odbiło ci, Martinie?

- Tak i nie.

Stella wybuchła.

- Cóż to za odpowiedź, na litość boską?! Albo ci odbiło, albo nie. Nie ma stanu pośredniego.

- To bardziej skomplikowane, niż myślisz. Jest stan pośredni. Nie jestem obłąkany, ale są rzeczy, których nie pamiętam.

- Jakie na przykład?

Urzędniczka obserwująca zegar szachowy mruknęła coś do Ałmaguła, która podeszła i szarpnęła Martina za rękaw.

- Ona mówi, że za tę rozmowę zapłacisz równowartość rocznej pensji.

Martin odprawił dziewczynę machnięciem ręki i rzekł do Stelli:

- W którymś momencie straciłem orientację, które z kilku moich wcieleń jest prawdziwe.

Usłyszał jęk Stelli.

- O Boże, powinnam była wiedzieć, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Posłuchaj, Stello. To, co mi dolega, nie jest zgubne ani dla mnie, ani dla nas.

- Nas?

- Przecież to o nas oboje się martwimy, prawda?

- No, no! Przyznaję, że chwilami sprawiasz wrażenie, jakby rzeczywiście ci odbiło. A kiedy indziej wydajesz mi się całkowicie zdrowy na umyśle.

- Jestem n i e z u p e ł n i e zdrowy na umyśle.

Stella zaczęła się śmiać.

- Pewne braki zdrowotne jakoś zniosę...

Nagle w słuchawce Martina zapanowała martwa cisza.

- Stello? Stello, jesteś tam jeszcze?

Martin zawołał do Ałmaguła:

- Powiedz jej, że przerwano połączenie!

Gdy Ałmaguła przetłumaczyła jego słowa, urzędniczka wyciągnęła rękę, uderzyła pięścią w zegar i zaczęła liczyć koszt rozmowy na liczydło. Kiedy określiła należność, zapisała ją na skrawku papieru i uniosła go do góry, żeby wszyscy obecni na poczcie mogli powiedzieć swoim dzieciom o obłąkanym cudzoziemcu, który wydał majątek, żeby jego głos dotarł w miejsce na drugim końcu Atlantyku o niezwykłej nazwie Brooklyn.



## **1997: Martin Odum trafia tam, dokąd kobiety nie mają wstępu**

Martin zjechał łądą wynajętą w Grodnie, ostatnim dużym mieście przed granicą litewską, z dwupasmowej szosy, której nawierzchnię układano tyle razy, za każdym razem na poprzedniej warstwie, że prawdopodobnie - ponieważ biegła nad bagnami - uważano ją już za estakadę. Zgasił silnik, podszedł wolnym krokiem do porośniętej mchem skarpy nad Niemnem i wysikał się pod osmalonym dębem, wyglądającym tak, jakby uderzył weń piorun. Granicę przekroczył w pokrytej kurzem wiosce, w połowie leżącej na Białorusi, a w połowie na Litwie, o nazwie, na której język można było sobie połamać. Młodzi strażnicy graniczni, opalający się na leżakach obok niskiego budynku z prefabrykatów przy głównej ulicy, kazali mu przejechać, nie spojrzawszy nawet w kanadyjski paszport wystawiony na nazwisko niejakiego Józefa Kafora. Szosę w regularnych odstępach czasu blokowały owce i Martin musiał torować sobie wśród nich drogę przy użyciu klaksonu. Ostatni drogowskaz, jaki widział, zanim się zatrzymał, żeby opróżnić pęcherz, sytuował cel jego podróży, nadrzeczne miasto Zuzowka, w odległości osiemnastu kilometrów; śledząc dystans na liczniku, Martin uznał, że miasto pojawi się za następnym zakolem rzeki. Lecący wysoko w górze odrzutowy samolot pasażerski z rozwiewającymi się za nim w coraz szersze wstęgi smugami kondensacyjnymi zniknął w chmurze przypominającej wełnisty koński ogon. Po kilku chwilach odległy pomruk silników dotarł do uszu Martina, któremu pozostało wrażenie, że dźwięk usiłuje dogonić silniki będące jego źródłem. Jakże pragnął być na pokładzie tego samolotu, spoglądać na nadbałtyckie równiny, zmierzając do domu, ku Stelli. Jakże pragnął nie oglądać się więcej za siebie, ilekroć wychodził na ulicę, mieć poszukiwanie Samata za sobą i wrócić do zanudzania się na śmierć, do rozrywki, którą jego była przyjaciółka, Chinka Minh, określiła kiedyś mianem samobójstwa w zwolnionym tempie.

Jak tylko przekroczył granicę z Litwą, zauważył, że estakada stopniowo zapełniła się pojazdami zmierzającymi w kierunku Zuzowki - widział ciężarówki skrzyniowe, przepełnione zdezelowane autobusy z wieśniakami oraz dziesiątki mężczyzn w luźnych koszulach i workowatych spodniach

mozolnie maszerujących poboczem. Co ciekawe, wszyscy nieśli widły czy też coś, co Dante Phippen nazwałaby *shillelaghs* - mocne pałki z gałkami na jednym końcu, zrobione z grubych gałęzi dębu. Gdy Martin ruszył z powrotem do swojego samochodu, minęły go z ciężkim stukiem kopyt dwa włochate konie, ciągnące drewniany wóz wyładowany cegłami, a wyglądające tak, jakby wędrowały do ubojni. Stary wieśniak usadowiony wysoko na koźle trzymał lejce niedbale w jednej ręce, a gdy Martin głośno pozdrowił go łamaną ruszczyzną, dwoma palcami drugiej dotknął daszka czapki w geście pozdrowienia i cmoknął na konie, które nie potrzebowały specjalnej zachęty, żeby się zatrzymać.

Martin wskazał na grupki mężczyzn wypełniających pobocza w drodze do Zuzowki i uniósł ręce, jakby chciał zapytać: *Dokąd oni wszyscy idą?*

Staruszek pochylił się i splunął sokiem z liści eukaliptusa na szosę, po czym, przyglądając się cudzoziemcowi badawczo oczami świadczącymi o mongolskim pochodzeniu, wyznał że „święty Giedymin wrócił do Zuzowki”.

- Giedymin zmarł sześćset lat temu - zauważył pod nosem Martin.

Wieśniak, mówiąc powoli i starannie artykułując słowa, jakby pouczał dziecko, odparł:

- Kości Giedymina, które niemieccy najeźdźcy ukradli z naszej cerkwi, cudem zostały zwrócone.

Korzystając z wiedzy zachowanej w zakamarkach swojej pamięci, Martin poskładał z rosyjskich słów pytanie:

- A jak kości świętego trafiły z powrotem do Zuzowki?

Na ogorzałej twarzy staruszka pojawił się chytry uśmiech.

- Prywatnym helikopterem, jakżeby inaczej?

- A jak dawno temu helikopter z kośćmi świętego przyleciał do Zuzowki?

Wieśniak zadarł głowę ku niebu i zamknął oczy, odliczając dni na palcach jednej ręki.

- Wczoraj krowa wdowy Potesty utonęła w Niemnie. Przedwczoraj Ejdintas owinął linę, na której prowadził swojego byka, wokół prawej dłoni i stracił wszystkie palce oprócz kciuka, gdy byk natarł na wiszące na sznurku pranie. Trzy dni temu żona pijanego pastucha poszła pieszo aż do apteki w Zuzowce, żeby opatrzyć złamany nos, nie chciała jednak powiedzieć, czyja to pięść go złamała. - Wieśniak wyszczerzył zęby w uśmiechu, patrząc na Martina. - Trzy dni temu helikopter przywiózł kości świętego do Zuzowki.

- A dlaczego wszyscy mężczyźni idący do miasta są uzbrojeni?

- Żeby przyłączyć się do patriarchy Alfonsasa i bronić Giedymina przed

katolikami.

Staruszek śmiał się z jego ignorancji, cmokając na konie i trzaskając lejcami. Martin usiadł za kierownicą łady, uruchomił silnik i zatrąbił dwa razy na wieśniaka, gdy mijał go lewym pasem jezdni, ten zaś, wciąż roześmiany, znowu przytknął dwa palce do daszka czapki, tym razem jednak w jego geście było więcej drwiny niż uprzejmości.

Zuzowka, rozległe miasto targowe z warszatem naprawy traktorów w sąsiedztwie pomalowanego jaskrawo drewnianego łuku, który wyznaczał początek długiej, szerokiej i pokrytej kurzem głównej ulicy, ukazała się za następnym zakrętem. Naprzeciw warsztatu, na skrawku piaszczystej ziemi, stał dwupiętrowy murowany budynek miejskiej szkoły; szkolne boisko do piłki nożnej, podobnie jak boisko do koszykówki na Wyspie Wozroźdzenia, zostało przekształcone w lądowisko dla helikopterów z ułożonym pośrodku wielkim kołem z pobielonych wapnem kamieni, osmolonym spalinami z silnika. Martin musiał zwolnić i włóknął się teraz za sznurem ciężarówek i pieszych zmierzających w stronę cerkwi usytuowanej przy drodze gruntowej, która odchodziła ukośnie od głównej ulicy i biegła przez podmokłe tereny nad błotnisty brzeg Niemna.

Zaparkowawszy auto przed piekarnią z napisem na drzwiach oznajmującym, że z powodu gróźb katolików „uwolnienia” świętego Giedymina tego dnia piekarnia nie będzie otwarta, Martin wmieszał się w tłum i złapał za rękę jakiegoś nastolatka.

- *Gdzie zenszczyzny?* - zapytał.

- Kobiety do Zuzowki nie mają wstępu - odpalił chłopak, uśmiechając się od ucha do ucha, i popędził za innymi.

Wieśniacy, żartujący między sobą o czaszkach, które rozłupią katolikom, i katolickiej krwi, która użyźni prawosławną glebę, nie zwracali uwagi na obecnego wśród nich cudzoziemca. Przy chwiejących się drewnianych pomostach na brzegu rzeki cumowały dziesiątki łodzi wiosłowych i widać było grupy uzbrojonych mężczyzn wspinających się po zboczu w kierunku cerkwi. Orkiestra strażacka - mężczyźni ubrani w sięgające kolan buty i czerwone parki - wygrywała na trąbkach wojskowe melodie z żeliwnej altany w ogrodzonym parku po drugiej stronie wąskiej drogi. Zbliżywszy się do cerkwi, Martin wyciągnął laminowaną legitymację reportera agencji prasowej i wymachując nią nad głową, krzyknął, że jest kanadyjskim dziennikarzem. Tłum rozstał się, gdy kilku miejscowych notabli - wyróżniających się wśród rolników, ponieważ mieli na sobie dwurzędowe marynarki i zapięte po

szyję koszule - poleciło wieśniakom przepuścić zagranicznego dziennikarza.

Utykając na chromą nogę, która dawała mu się we znaki, odkąd opuścił obszar Jeziora Aralskiego, Martin przepchał się przez kilkusetosobowy tłum śmierdzących chłopów w stronę trzech cebulastych kopuł zwieńczonych zardzewiałymi krzyżami prawosławnymi. Dwaj młodzi popi, odziani w czarne sutanny, gestami rąk dali mu znak, by wszedł po schodach do cerkwi, i zaryglowali za nim wysadzone metalowymi ćwiekami drewniane drzwi grubą drewnianą belką, wetkniętą przez żelazne skoble, a potem osadzoną we wnękach wydłutowanych w kamieniu z obu stron drzwi. Cerkiew pachniała kadzidłem, dymem z woskowych świec, kurzem oraz wielowiekową wilgocią i Martin dopiero po chwili dostrzegł cokolwiek w mglistym półmroku. W ikonach wiszących na pocących się ścianach zaśniło srebro i złoto, gdy podszedł do niego wysoki brodaty mężczyzna odziany w czarne szaty. Miał posągowe rysy twarzy i kanciastą czarną mitrę na długich czarnych włosach. Przy każdym kroku uderzał w podłogę srebrnym końcem grubego pastorału.

- Mówi pan po kanadyjsku? - zapytał pop po angielsku, stając przed swoim gościem.

Martin potwierdził skinieniem głowy.

- Jestem patriarchą Alfonsasem - zagrzmiał duchowny - Przybywam ze stolicy okręgu w Olicie, żeby otrzymać kości świętego Giedymina i obronić cerkiew Przemienienia przed papistami, którzy zmawiają się, aby wykraść te święte relikwie prawowitym właścicielom.

- Yhm.

Zanim Martin zdążył powiedzieć coś więcej, oślepiło go światło. Mrużąc oczy, spostrzegł postać telewizyjnego kamerzysty idącego przez cerkiew. Reflektor przymocowany do ciężkiej kamery spoczywającej na jego ramieniu wwiercał się swym światłem w relikwiarz osadzony w ścianie z boku pulpitu. Jeden z młodych popów zdjął kłódkę i otworzył drzwiczki z grubego szkła, a operator zrobił najazd kamerą na aksamitną poduszkę z czymś, co wyglądało jak zbielata kość miedniczna i ułożona w niej kość udowa. Martin zauważył wewnątrz relikwiarza szczapkę naruszonego zębem czasu drewna, grubością i długością odpowiadającą kości przedramienia, osadzoną w wyściełanej brokatem wnęce.

- A co to za kawałek drewna? - zapytał szeptem patriarchę.

Oczy Alfonsasa aż zapadły się z gniewu.

- To nie żadne drewno - zawołał. - To fragment drzewa Krzyża świętego.

- Ogarnięty wzruszeniem hierarcha odwrócił się i mamrocząc wersy

modlitwy po rosyjsku, położył się twarzą ku ziemi na wielkich kamiennych płytach podłogi, pod którą pochowano zwłoki patriarchów i mnichów. Instruowany przez producenta kamerzysta przeniósł snop reflektora i obiektyw na Alfonsasa i utrzymywał je w tym położeniu, podczas gdy bardzo elegancka młoda kobieta mówiła do mikrofonu w języku, który Martin uznał za litewski w wersji BBC.

Reporterka raptownie przerwała wywiad, gdy przez grube mury cerkwi przeniknął z zewnątrz jakiś ryk. Jeden z popów, popędziwszy po szczeblach drabiny i wyjrzawszy przez szparę w wieżycy wykuszonej, zawołał:

- Ojcie święty, zaczęła się walka!

Patriarcha zerwał się na równe nogi i ruchem ręki nakazał zamknąć szklane drzwi relikwiarza na klucz. Chwyciwszy pastorał za srebrny koniec i oparłszy ciężką inkrustowaną klejnotami rączkę na ramieniu, ustawił się przed relikwiami świętego Giedymina.

- Po moim trupie! - zawołał i utkwiał ciemne świdrujące oczy w Martina. - Niech pan zaświadczy - pouczył go - o przewrotności papistów, którzy bezpodstawnie roszczą sobie pretensje do relikwii naszego świętego.

Kamerzysta wyłączył reflektor i reporterzy telewizyjni popędzili w stronę wąskich drzwi w tyle cerkwi. Patriarcha głośno zaprotestował, gdy zobaczył, jak wyszarpują belkę ryglującą - zbyt późno. Drzwi otworzyły się gwałtownie i tłum wrzeszczących wieśniaków wpadł niczym burza do cerkwi. Młóćąc ciężkim pastorałem, Alfonsas bronił relikwiarza, dopóki ktoś nie dźgnął go w udo widłami i chłopcy nie wyrwali mu pastorału z rąk. Martin cofnął się pod ścianę i podniósł ręce do góry, ale paru obłąkanych wieśniaków z potarganymi brodami i dzikością w oczach otoczyło go i zaczęło okładać po klatce piersiowej, aż zgiął się wpół i osunął na podłogę. W morzu kłębiących się intruzów dostrzegł, jak jeden z nich unosi ciężki świecznik i rozbija szklane drzwiczki relikwiarza. Poduszka ze szczątkami świętego została wyjęta i chłopska armia, otworzywszy szeroko wielkie drzwi frontowe, wylała się z cerkwi. Z gardeł czekających na zewnątrz katolików wydobyło się triumfalne wycie. Osłabiony bólem w piersiach, Martin ujrzał, jak patriarcha klęczy przed relikwiarzem, szlochając jak małe dziecko.

\* \* \*

Litewskiej policji oraz oddziałowi wojska, przybywającym z północy opancerzonymi autobusami w barwach ochronnych, udało się w końcu rozdzielić wojujące ze sobą społeczności, tyle że dopiero po tym, jak dwaj

katoliccy napastnicy i jeden prawosławny duchowny zostali zatłuczeni na śmierć, a dziesiątki walczących po obu stronach odniosły rany. Za policją przybyły z wyciem syren karetki. Lekarze i pielęgniarze wędrowali po polu bitwy przed cerkwią, opatrując połamane kości oraz rozbite głowy i przewożąc poważniej rannych do szpitala okręgowego w Olicie. Pielęgniarka okleiła Martinowi klatkę piersiową plastrami. Potem został odprowadzony pod eskortą uzbrojonych żołnierzy do urządzonego w altanie stanowiska dowodzenia na przesłuchanie. Prowadził je pułkownik litewskiej armii, o nawoskowanych wąsach, który wydawał się bardziej zainteresowany wrażeniem, jakie zrobi w telewizji, niż starciem między lokalnymi społecznościami prawosławnych i katolików. Z odpowiednio ponurą miną skończył udzielać wywiadu reporterce z Wilna i zapytał, kiedy wywiad zostanie wyemitowany, po czym polecił adiutantowi zadzwonić do swojej żony w Kownie i dopilnować, żeby obejrzała jego występ w telewizji. Gdy ekipa telewizyjna odeszła filmować rannych na polu walki, oficer odwrócił się do Martina i sprawdził jego dokumenty. Chcąc mieć pewność, że artykuł przekazany przez dziennikarza nazwiskiem Kafkor (agencji informacyjnej podanej na laminowanej legitymacji) uwzględni katolicką wersję wydarzeń - pułkownik, podobnie jak ogromna większość Litwinów, był katolikiem - uparł się, że osobiście zawiezie go swoim dżipem na rozmowę z arcybiskupem archidiecezji, przybyłym aż z Wilna, by wesprzeć lokalnych księży i wiernych.

Biskup okazał się wesołym człowieczkiem o szerokich biodrach i wąskich ramionach, sprawiających, że w szkarłatnej, sięgającej kostek szacie i haftowanej stule przypominał wyglądem dzwon kościelny. Spotkanie odbyło się w ogrodzie warzywnym za kościołem. Dwa białe bociany spoglądały na tę scenę z wielkiego gniazda na szczycie dzwonnicy.

- Dady - rzekł biskup, przystępując do wykładu, który najwyraźniej wygłaszał nie po raz pierwszy - to poręczne kołki, na których można wieszać historię. Nie zgadza się pan z tą obserwacją, panie Kafkor?

Martin, krzywiąc się z bólu w uszkodzonych żebrach, końcami zawiązanej na szyi białej jedwabnej chusty starł pot z czoła.

- Yhm.

Oficer wcisnął mu do rąk notes i długopis.

- Musi pan notować - szepnął.

Gdy Martin pośpiesznie pisał, biskup stąpał między bruzdami w ziemi, objaśniając dzieje świętego Giedymina, a rąbek jego sutanny z każdym

krokiem coraz bardziej się brudził.

- To właśnie Giedymin, jak wiadomo wszystkim uczniom na Litwie, stworzył Wielką Litwę, rozległe księstwo, które rozciągało się od Morza Czarnego po Moskwę i Bałtyk. Władał tym państwem ze stolicy, którą założył w Wilnie roku pańskiego tysiąc trzysta dwudziestego pierwszego. Sześćdziesiąt pięć lat później, roku pańskiego tysiąc trzysta osiemdziesiątego szóstego, Litwini, z łaski Boga, przyjęli katolicyzm jako religię państwową i na rozkaz wielkiego księcia cała ludność została ochrzczona na brzegach Niemna. Można powiedzieć, że wtedy to ostatni litewscy poganie zniknęli na śmietniku historii.

- Zrozumiał pan to wszystko? - zapytał oficer.

- Pierwszy kościół katolicki - kontynuował biskup bez wytchnienia - został zbudowany dokładnie w tym miejscu dziesięć lat po owym masowym chrzcie i powiększony - wskazał na dzwonnice, witraż z drzewem Jessego oraz dwa sklezione skrzydła - w następnych stuleciach. Kości świętego Giedymina czy też to, co z niego zostało po tym, jak pierwotna krypta w Wilnie została zbezczeszczona przez tatarskie hordy, powierzono katolickiemu kościołowi w Zuzowce i były one tam od połowy czternastego wieku do czasu, gdy Litwa znalazła się pod panowaniem rosyjskim w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym. Rosjanie, wyznawcy prawosławia, wykradli kości świętego z kościoła katolickiego i dali je patriarsze, który nakazał zbudować cerkiew Przemienienia, żeby je w niej umieścić. Mimo naszych usilnych prośb, składanych wielokrotnie, szczątki Giedymina pozostały w posiadaniu prawosławnych, dopóki jakiś niemiecki oficer, wycofujący się przed rosyjską ofensywą w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, nie ukradł ich, gdy przejeżdżał przez Zuzówkę.

W nadziei, że skróci tę opowieść, Martin rzekł:

- To Samat Ugor-Żyłow odkrył, że w posiadaniu Cerkwi jest kolekcja bezcennych zwojów z Torą i komentarzy do niej, i zaproponował ich wymianę na kości świętego Giedymina, które odnalazł w jakiejś cerkwi w Argentynie.

Biskup aż podskoczył na wspomnienie nazwiska Samata.

- Wcale tak nie było! To bajka, do której ten diabelski Ugor-Żyłow i patriarcha chcieliby przekonać świat. Prawda jest całkiem inna.

- Niech pan w swoim notesie zaznaczy, co jest prawdą - pouczył Martina oficer.

Biskup zauważył, że do brzegu jego sutanny przylepiła się ziemia, i

sięgnął w dół, żeby ją strzepnąć.

- Telewizja informuje, że Samat Ugor-Żyłow, którego przedstawia się jako rosyjskiego filantropa, zwrócił kości świętego Giedymina w zamian za zwoje z tekstem Tory oraz komentarzami do niej, przechowywane przez Cerkiew od czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Telewizja twierdzi też, że dla siebie poprosił jedynie o małe krucyfiks zrobiony z drewna tak zwanego Krzyża świętego, będący w posiadaniu Cerkwi. Telewizja pokazała nawet zdjęcie patriarchy wręczającego rzekomemu filantropowi krucyfiks wielkości małego palca u dziecka. Samat podziękował metropolicie i powiedział, że ofiaruje krucyfiks, zrobiony z drzewa Krzyża świętego, cerkwi w wiosce pod Moskwą, gdzie wciąż mieszka jego matka.

Martin uniósł wzrok znad notesu, jego oczy płonęły z podniecenia.

- Czy podał nazwę tej wioski?

Biskup pokręcił ciężką głową; gdy na powrót znieruchomiała, poruszał jeszcze szczękami.

- Nie, a jakie to ma znaczenie? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: - Tak naprawdę Samat Ugor-Żyłow ofiarował kości świętego prawosławnym, nie zaś ich prawowitym katolickim strażnikom, z powodu opium.

Martin, wytrącony z równowagi, znowu uniósł wzrok.

- Opium?

- Opium - powtórzył oficer, stukając palcem wskazującym w notes Martina. - Niech pan zapisze to słowo, z łaski swojej.

- Opium - rzekł biskup - to klucz do zrozumienia tego, co wyszło na jaw. Mak lekarski uprawia się w rejonie zwanym Żółtym Trójkątem - w Birmie, Tajlandii oraz Laosie. Wietnamscy handlarze transportują nieoczyszczone opium do bazy rosyjskiej marynarki wojennej w zatoce Cam Ranh w Wietnamie, a stamtąd przewozi się je statkami do rosyjskiej Nachodki nad Morzem Japońskim. Rosyjski kartel narkotykowy, którym Cwietan Ugor-Żyłow, człowiek nazywany Oligarchą, kierował do czasu, aż zaczął się ukrywać, przetwarza opium w Nachodce, a następnie szmugluje je na drugi koniec Rosji w celu rozprowadzenia w Europie i Ameryce. Od końca lat osiemdziesiątych Zuzowka odgrywa rolę centrum spedycji opium do północnej Europy i Skandynawii. Na równinach nad brzegami Niemna usypano spychaczami pasy startowe i małe samoloty przewoziły nocą niedozwolone ładunki do tego zakątka Litwy. Do przetrzucania dużych ilości opium na Zachód Samat Ugor-Żyłow zatrudnił kurierów przebranych za



popów, ponieważ duchowni mogą bez przeszkód przekraczać granice. Gdy patriarcha zagroził, że położy temu kres, Samat przekupił go, odnajdując i zwracając prawosławnym szczątki Giedymina - w oczach biskupa pojawiły się złośliwe błyski - jeśli założyć, że to, co przywiózł do cerkwi, to naprawdę kości kanonizowanego księcia.

- A zwoje z Torą?

- Patriarcha nie chciał, by uważano, że para się sprzedają świętych tekstów, powierzył je więc Samatowi, który sprzedał zwoje izraelskiemu muzeum, a wpływy ze sprzedaży, pomniejszone o sutą prowizję, ofiarował Cerkwi.

- A jak ksiądz biskup natrafił na wszystkie te informacje?

Biskup spojrział na bociany w gnieździe na szczycie dzwonnicy.

- Przekazał mi je pewien bardzo duży ptaszek.

Martin zamknął notes i wsunął go do kieszeni.

- Wygląda na to, że wszystkie łamigłówki są częścią innych, większych łamigłówek.

- Jak w cebuli - powiedział na pocieszenie hierarcha. - Pod każdą warstwą znajduje się... kolejna warstwa.

- Ostatnie pytanie: Jeżeli ksiądz biskup nie jest pewien, czy kości, które przywiózł ze sobą Samat, są szczątkami świętego, czemu katolicy walczyli, żeby sprowadzić je z powrotem do katolickiego kościoła?

Biskup uniósł jedną ze swoich nieskazitelnych małych dłoni, jakby kierował ruchem.

- To, czy kości kanonizowanego księcia są prawdziwe, ma znikome znaczenie. Liczy się jedynie to, czy wierni w to wierzą.

Tego wieczoru pułkownik osobiście odwiózł Martina do piekarni, gdzie nadal stała zaparkowana jego łada.

- Jak pańskie żebra, panie Kafkor?

- Bolały tylko wtedy, gdy się śmieję, a nie zanoszę się na to, bym często to robił.

- No cóż, do widzenia i z Bogiem, panie Kafkor. Rozkazałem żołnierzom, żeby odeskortowali pana dżipem do granicy z Białorusią. - Gdy Martin zaczął protestować, że to zbyt ciężkie, pułkownik przerwał mu, mówiąc: - Nasza policja odkryła dziś po południu dwa rozdęte ciała, pływające w Niemnie. Z początku zakładali, że zamordowani mężczyźni to zabici przez prawosławnych katolicy albo prawosławni uśmierceni przez katolików. Specjalista z Wilna rozpoznał w długim nożu, znalezionym w ciele jednego z

denatów, broń często stosowaną w Czeczenii, co wskazuje, że nieboszczycy byli Czeczenami.

- Może mieli powiązania z kartelem narkotykowym Samata - zauważył Martin.

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Może istnieje związek między zabitymi Czeczenami i Sarnatem, chociaż wątpię, by miało to coś wspólnego z przemytem opium. Islamiści nie są mile widziani w tym przygranicznym regionie Litwy ani przez katolików, ani przez prawosławnych. Nie, jedyne, co mogło sprowadzić tu Czeczenów, to jakaś misja; skoro jednak ich utopiono, można tylko spekulować jaka. Nie domyśla się pan?

Martin pokręcił głową.

- To dla mnie równie zagadkowe jak dla pana.

\* \* \*

Nazajutrz rano Martin zafundował sobie porządne śniadanie w jedynym hotelu grodzieńskim, a później przeszedł ostrożnie (pęknięte żebra bolały, gdy stapał zbyt szybko) główną ulicą, obok tablicy informacyjnej z naklejoną regionalną gazetą, otwartą na stronie ze zdjęciami z zamieszek w Zuzowce, na główną pocztę. Ustawił się w kolejce do okienka z symbolem telefonu u góry i gdy urzędniczka nie zrozumiała jego elementarnej ruszczyzny, sam wpisał numer do rejestru.

- Jaki kraj ma kierunkowy dziewięć siedem dwa? - zapytała.

- Izrael.

- A jakie miasto w Izraelu ma kierunkowy dwa?

- Jerozolima.

Urzędniczka zanotowała „Jerozolima, Izrael” w swojej karcie pracy, wybrała numer i ruchem ręki wskazała Martinowi, by podniósł słuchawkę w najbliższej kabinie. Usłyszał na linii głos protestującego mężczyzny:

- To pewnie jakaś pomyłka... nie znam nikogo na Białorusi.

- Benny, to ja, Martin.

- Co ty, na Boga, robisz na Białorusi?

- To długa historia.

- Przedstaw mi wersję skróconą.

- Nawet wersja skrócona jest zbyt długa jak na rozmowę przez telefon. Posłuchaj, tamtego wieczoru, który spędziłem w twoim domu, powiedziałaś mi o Oligarsze mieszkającym w samotnej daczce w wiosce odległej o pół godziny jazdy z Moskwy w kierunku Petersburga. Nie pamiętasz

przypadkiem nazwy tej wioski?

- Musisz poczekać, sprawdzę w komputerze.

Martin przyglądał się, jak ludzie ustawiają się w kolejkach przy innych okienkach, część po znaczki, część po to, żeby zapłacić rachunki za prąd lub wodę, a niektórzy, żeby spieniężyć czeki z emeryturą. Wszyscy pasowali do otoczenia, co i tak niewiele znaczyło; każdy, kto chciał mieć go na oku, korzystałby z pomocy miejscowych.

Benny wrócił na linię.

- Wioska nazywa się Prigorodnaja.

- Chyba powinienes to przeliterować.

Benny przeliterował nazwę fonetycznie.

- Prigorodnaja. Dzięki, Benny.

- Proszę bardzo. Choć na dobrą sprawę nie jestem pewien, czy jest za co dziękować.

## 1994: Lincoln Dittmann wyjaśnia pewne sprawy

Bernice Treffler domyśliła się, że coś jest nie w porządku, w chwili gdy Martin Odum wszedł do pokoju - na jego ustach igrał szeroki uśmiech, który miał być sardoniczny i zarazem uwodzicielski, jakby sesja z firmowym psychiatrą była jedną z form zbliżenia seksualnego, a ona łatwą zdobyczą. Wydawał się wyższy, pewniejszy siebie, mniej pobudzony, w pełni panował nad emocjami, które umiał określić. Nie nawykła do takiej mowy jego ciała - głowa Martina była znacząco przekrzywiona, ramiona rozluźnione, jedną dłonią dzwonił drobnymi w kieszeni spodni. Po jego utykaniu został tylko ledwie widoczny ślad. Mogłaby przysiąc, że włosy ma uczesane inaczej, chociaż dla pewności musiałaby wyciągnąć zdjęcie Martina z kartoteki, czego nie chciała robić na jego oczach. Zamiast jak zwykle usiąść po drugiej stronie biurka, opadł zgrabnie na krzesło obok niskiego stołu w pobliżu okna, wyciągając nogi i krzyżując je niedbale w kostkach, i wskazał głową drugie krzesło, zapraszając, żeby się dosiadła, co oczywiście zrobiła. Zauważyła, jak rozbierał ją wzrokiem, gdy szła po dywanie; dostrzegła, jak przygląda się jej udom, gdy założyła nogę na nogę. Postawiła mały magnetofon na stole i przysunęła mikrofon bliżej Martina. Utkwił wzrok w jej oczach i Bernice zdała sobie sprawę, że bawi się stawem serdecznego palca lewej ręki, na którym przed rozwodem nosiła złotą obrączkę.

- Skropiłaś się perfumami? - zauważył. - Jakimi?

Gdy nie odpowiedziała, spróbował zmienić temat.

- Czy Treffler to nazwisko po mężu?

- Nie. Pracuję pod panińskim nazwiskiem.

- Nie nosisz obrączki ślubnej, ale widać, że byłaś mężatką.

Odwróciła wzrok.

- Co mnie zdradziło?

- Na pewno chcesz wiedzieć? - zapytał, wyraźnie z niej drwiąc.

Ciekawe, dlaczego Martin Odum przystawiał się do niej? Co się zmieniło od sesji w zeszłym miesiącu? Nachylając się do przodu, świadoma, że w tym nowym wcieleniu Martin nie przeoczy lekko wypukłości jej piersi nad dekoltem bluzki wykończonyj ścięgiem muszelkowym, przesunęła przełącznik w magnetofonie.

- Pozwolisz, że jeszcze raz sprawdzę poziom zapisu twojego głosu?

- Ależ proszę. - Splótł dłonie za głową i wsparł ją na nich, głęboko uradowany faktem, że zdołał leżarkę wprawić w tak wielkie zakłopotanie. - Kobieta, dziecko oraz pies - wyrecytował, wydłużając „i” w ostatnim słowie - tym lepiej każde się sprawuje, im częściej bite jest.

- To kolejny cytat z Walta... z Waltera Whitmana?  
Zaśmiał się cicho.

- To rymowanka, którą chłopcy śpiewali przy obozowym ognisku, czekając na przeprawę przez Rappahannock.  
Nagle dotarło to do niej.

- Ty nie jesteś Martinem Odumem!

- A ty jesteś szczuplejsza, niż mówił.

- Jesteś tym, który twierdzi, że uczestniczył w bitwie pod Fredericksburgiem - szepnęła. - Jesteś Lincolnem Dittmannem.  
Uśmiechnął się tylko.

- Ale dlaczego? Co tu robisz?

- Martin powiedział ci o tym, że byłem pod Fredericksburgiem, ale mu nie uwierzyłaś. Sądziłaś, że wszystko zmyśla. - Lincoln pochylił się, jego oczy spoważniały. - Zraniłaś jego uczucia, pani doktor. Psychiatrzy powinni koić uczucia, a nie ranić. Martin przysłał mnie, żebym wyjaśnił pewne sprawy.

Doktor Treffler zrozumiała, że wkracza na niezbadany teren.

- W porządku, przekonaj mnie, że Lincoln Dittmann uczestniczył w bitwie pod Fredericksburgiem. O czym jeszcze rozmawiali chłopcy, w czasie gdy czekali na przeprawę przez rzekę?

Lincoln wyjrzał przez okno, oczy miał okrągłe, spojrzenie nieruchome, nieostre.

- Rozmawiali o domowych sposobach na biegunkę, którą wielu uważało za wroga numer jeden, groźniejszego niż południowcy. Wymieniali przepisy na księżycówkę. Pamiętam, że pewien porucznik z siedemdziesiątej dywizji z Ohio przyrzadził coś, co określił mianem „Niech odwalą kitę”. Składało się to z soku z kory, wody opiumowej, terpentyny, cukru nieoczyszczonego, oliwy do lamp oraz alkoholu. Spierali się o to, czy gdy już przeprawią się przez rzekę, pomaszerują na Richmond i wygrają wojnę, niewolnicy powinni zostać uwolnieni; przeciw było tyłu, że nieliczni zwolennicy zniesienia niewolnictwa dbali o to, by zachować swoje zdanie dla siebie. Biadolili, że muszą płacić dolara i osiemdziesiąt centów za prymkę tytoniu. Narzekali na

Jankesów, którzy chcąc uniknąć poboru do wojska, pojechali na Zachód i występowali tam o bezpłatną ziemię, podczas gdy oni tkwili nad Rappahannock, tocząc tę cholerną wojnę. Skarżyli się na fabrycznie wytwarzaną wełnę wtórną...

- Wełnę wtórną?

- Wełną wtórną nazywaliśmy wełnianą przędzę wytwarzaną ze starych ubrań, z której następnie tkano materiał na mundury, rozłazący się po kilku tygodniach w palcach.

- Jaki miałeś stopień?

Lincoln odwrócił się, by skupić spojrzenie na doktor Treffler.

- Nie byłem w armii.

- Skoro nie byłeś w armii, to co robiłeś pod Fredericksburgiem?

- Rzecz w tym, że pracowałem dla Alana Pinkertona w Chicago. Słyszałaś kiedyś o agencji detektywistycznej Pinkertona? - Gdy doktor Treffler potwierdziła skinieniem głowy, dodał: - Tak też myślałem. Alan został zatrudniony przez swojego przyjaciela, pułkownika McClellana, do walki z bandytami grasującymi na liniach kolejowych na Zachodzie. Gdy stary Abe mianował pułkownika dowódcą Armii Potomacu, McClellan zabrał ze sobą Alana Pinkertona, który wówczas, jeśli dobrze pamiętam, używał pseudonimu E.J. Allen. Alan sprowadził zaś część swoich tajnych agentów, między innymi minie, w celu zorganizowania służby wywiadowczej. Potem doszło do starcia, które unioniści nazwali bitwą nad Antietam, od nazwy strumienia, a konfederaci bitwą pod Sharpsville, od nazwy wioski. Z pomocą generała Joe Hookera, który wyrwał się z ramion swoich markietanek, żartobliwie nazywanych przez nas dziewczynkami Hookera lub po prostu *hookers*, na czas dostatecznie długi, by dowodzić atakiem na prawym skrzydle, McClellan zwyciężył, a Bobby Lee był zmuszony wycofać swoje oddziały, to, co z nich zostało, do Wirginii. Nad Antietam po raz pierwszy zobaczyłem słońca...

- Zobaczyłeś słońca?

- Właśnie tak określaliśmy zdobycie doświadczeń bitewnych: mówisz, że zobaczyłeś słońca. Po bitwie Alan wysłał nas na południe, żebyśmy ustalili szyk bojowy konfederatów, ale ten stary lis Lee wyprowadził nas w pole. Pewnie pomyślał, że moglibyśmy oszacować siłę jego wojsk, licząc wydawane racje, bo podwoił ich liczbę, a my podwoiliśmy wielkość jego armii. McClellan stchórzył i nie ruszył w pościg, i właśnie wtedy stary Abe doszedł do wniosku, że McClellan skapcał, i odesłał go z powrotem do

Chicago. Alan Pinkerton pojechał razem z nim, ale ja zostałem, żeby pracować dla Lafayette'a Bakera, który tworzył federalną służbę wywiadowczą w Waszyngtonie. To zaś wiąże się z następcą McClellana, Ambrose'em Burnside'em, oraz z Fredericksburgiem. - Pochylając się do przodu, Lincoln podniósł mały mikrofon i powiedział do niego: - Kobieta, dziecko oraz pies, tym lepiej każde się sprawuje, im częściej bite jest. Hej, pani doktor, a może byśmy zjedli razem kolację, gdy już skończymy?

Bernice Treffler zachowała obojętny wyraz twarzy i neutralne brzmienie głosu.

- Zrozumiesz, że to po prostu niemożliwe. Psychiatra nie może utrzymywać stosunków z pacjentem poza godzinami pracy i wciąż liczyć na to, że utrzyma dystans potrzebny do oceny stanu jego zdrowia.

- A gdzie jest napisane, że między tobą a pacjentem musi być jakiś dystans? Niektórzy psychiatry śpią ze swoimi pacjentkami, żeby ów dystans zlikwidować.

- Ja nie działałam w ten sposób, Lincolnie. - Starła się obrócić to w żart. - Może potrzebujesz innego psychiatry...

- Ty mi w zupełności wystarczysz.

- Może tak dokończysz swoją historyjkę.

- Moją historyjkę! Myślisz, że to jest historyjka! - Odstawił mikrofon na stół. - Wciąż nie rozumiesz, że to, o czym opowiadam, naprawdę się zdarzyło. Mnie. Pod Fredericksburgiem.

- Lincoln Dittmann uczył historii w kolegium - przypomniała cierpliwie doktor Treffler. - Przerobił swoją pracę dyplomową o bitwie pod Fredericksburgiem na książkę i sam ją wydrukował pod tytułem *Mięso armatnie*, gdy nie mógł znaleźć wydawcy skłonnego opublikować rękopis.

- Jeśli o to chodzi, to są rzeczy, które zdarzyły się pod Fredericksburgiem, jakich nie znajdziesz w żadnej książce historycznej ani w *Mięsie armatnim*.

- Na przykład?

Lincoln wpadł w złość.

- W porządku. Burnside poprowadził armię federalną forsownym marszem wzdłuż Rappahannock, ale w końcu stanął obozem i czekał na brzegu rzeki pod Fredericksburgiem dziesięć długich dni na to, aż dotrą cholerne mosty pontonowe. Wcześniej Lafayette Baker oddelegował mnie do sztabu Burnside'a, miałem określić szyk bojowy konfederatów, żeby Burnside mógł ocenić, co go czeka po przeprawieniu się przez rzekę. Uzbrojony w angielską lunetkę, spędziłem większość z pierwszych

dziewięciu dni rekonesansu w powietrzu, marznąc na kość w koszu wypełnionego gorącym powietrzem balonu, ale wisząca nad rzeką gęsta mgła nie chciała opaść i nie mogłem się zorientować, co się dzieje na linii wzgórz za Fredericksburgiem. I właśnie dlatego postanowiłem przeniknąć w szeregi konfederatów. Znalazłem zatopioną jolkę rybacką, wydobyłem ją spod wody z pomocą paru żołnierzy, przesmarowałem dulki i wypłynąłem przed świtem, zamierzając przepłynąć się przez rzekę, która wylała, tworząc pasy płytkich moczarów po obu stronach. Gdy nie udało mi się dopłynąć łodzią do samego brzegu, zdjąłem buty i skarpety, podwinąłem nogawki spodni i brnąłem przez muł, aż dotarłem na pewny grunt. Znalazłem się na zboczu poniżej zakładu dla umysłowo chorych. Gdy armia Burnside'a pojawiła się na drugim brzegu rzeki, lekarze i pielęgniarki uciekli w głąb lądu, pozostawiając obłąkane kobiety na łasce losu. Wychylały się z okien zakładu, niektóre ubrane, niektóre w stroju Ewy, zahipnotyzowane widokiem sikających do rzeki żołnierzy armii federalnej, a także sporadycznymi wybuchami pocisków na wzgórzach za Fredericksburgiem, które jankescy artylerzyści miotali z moździerzy przez Rappahannock; te obłąkane istoty były pewne, że niebawem wydarzy się coś strasznego, że mają być tego świadkami i później rozpowiadać o tym, więc jedna młoda kobieta, ze splątanymi w kłaki włosami zwisającymi na nagich piersiach, krzyczała do mnie piskliwym głosem z okna, gdy wspinałem się po wzgórzu, mijając zakład.

Wspomnienie biednych wariatek uwięzionych w pułapce między liniami szycujących się do bitwy wojsk sprawiło, że Lincoln zaczął ciężko oddychać przez nos.

- Chcesz zrobić przerwę? - zapytała bardzo cicho doktor Treffler.

Pokręcił gwałtownie głową.

- Ukradłem kitel sanitariusza z pralni w szopie za zakładem, włożyłem go na siebie i przeszedłem przez Fredericksburg w kierunku Marye's Hill. W mieście zostali jedynie wartownicy, którzy widząc biały fartuch, wzięli mnie za pracownika zakładu. Zwracałem uwagę na wszystko, co widziałem. Samego Fredericksburga najwyraźniej nie zamierzano bronić, mimo że od czasu do czasu snajperzy z Missisipi strzelali przez rzekę z budynków stojących wzdłuż brzegu. Wyostałem się z miasta, mijając budynki z natłuszczonym papierem w oknach, centrum handlowe z drzwiami i oknami zabitymi deskami (jakby to miało powstrzymać rabusiów) i ruszyłem przez równinę. Widziałem, że nie zadano sobie trudu, by wykopać rowy lub doły pułapki, i zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle ma dojść do jakiejś bitwy.



Po czym doszedłem do zapadniętej drogi pod Marye's Hill z biegnącym wzdłuż niej kamiennym murem i już wiedziałem, że bitwa będzie i że przybierze niekorzystny obrót dla unionistów, na drodze roiło się bowiem od konfederatów. Byli tam strzelcy wyborowi polerujący mosiężne celowniki teleskopowe w swoich whitworthach i wykładający tekturowe naboje na kamienny mur; były działa o krótkich lufach, z kartaczami ułożonymi w stosy przy kołach; byli oficerowie z szablami i pistoletami o długich lufach, kierujący nowo przybyłych żołnierzy na linię; były sztandary Konfederacji oraz sztandary poszczególnych oddziałów, zwinięte i oparte o drzewa, tak aby żołnierze wojsk federalnych, gdy w końcu się pojawią, dowiedzieli się, z kim mają do czynienia, gdy będzie już za późno na odwrót. Jedyny rozwinięty sztandar widoczny gołym okiem należał do dwudziestej czwartej dywizji z Georgii, znanej z nieustępliwości oraz niezrównanych, gdy tylko byli trzeźwi, snajperów. Nie było widać żadnego obejścia zapadniętej drogi i kamiennego muru, teren na prawo był zbyt bagnisty na manewr oskrzydający, na lewo droga i mur ciągnęły się aż po horyzont. Kilka razy zatrzymywały mnie pikiety, ale ja, wspominając ze śmiechem o wariatkach z zakładu, przedostawałem się coraz wyżej. A za grzbietem wzgórza, niewidoczna dla agentów Pinkertona prowadzących obserwację przez lunety z balonów, obozowała największa armia, jaką kiedykolwiek oglądały moje oczy. Było tam więcej armat, niż człowiek mógł zliczyć. Żołnierze polewali drogę wodą, żeby nie wzniecać kurzu podczas ustawiania dział zaprzężonych w konie na świeżo wykopanych w ziemi stanowiskach. Orkiestra konfederacka grała walce dla dżentelmenów i dam z Południa, którzy przybyli z Richmond oglądać bitwę. Ścieżka, którą szedłem, poprowadziła mnie obok wielkiego szarego namiotu w pobliżu zagajnika skarłowaciałych jabłoni. Ujrzałem tam trzech generałów debatujących nad mapami rozłożonymi na blacie stołu na kozłach. Uznałem, że jeden, w białym mundurze, to sam Bobby Lee; że drugi, w ubraniu z szarego samodziału, z piórami drżącymi na kapeluszu, to George Pickett (co znaczyło, że jego dywizja przybyła wcześniej, niż się spodziewano, i właśnie zajmowała pozycje na linii), a trzeci, z damskim wełnianym szalem na ramionach, to Old Pete Longstreet. Aż mnie korciło, by przyjrzeć się generałom, i właśnie chęć spełnienia tego pragnienia mnie zgubiła. Zagadnął mnie młody oficer w zupełnie nowym mundurze z przypasaną do szarfy szablą. Moja bajka, że jestem ostatnim sanitariuszem, jaki zostawił chorych umysłowo w ich zakładzie, chyba go nie przekonała, bo kazał mi maszerować w kierunku

namiotu dywizyjnego na drugim końcu Marye's Hill, a sam deptał mi po piętach. Choć bardzo pragnąłem, nie mogłem uciec; wystarczyło, by podniósł krzyk, a miałbym na karku setki buntowników. Mógłbym cię poprosić o szklanę wody?

- Oczywiście.

Doktor Treffler podeszła do kredensu, napełniła szklanę wodą z plastikowej butelki i przyniosła ją do stołu, świadoma, że Lincoln nie spuszcza jej z oka. Czy myślał o wychylającej się z okna młodej wariatce ze spletanymi włosami zakrywającymi nagie piersi? Czy żałował, że nie leczy się u psychiatry, która sypia ze swoimi pacjentami?

Lincoln opróżnił szklanę jednym długim haustem, a potem, gdy podjął przerwany wątek, wodził palcem po jej brzegu.

- Zostałem dokładnie przesłuchany przez zgarbionego przysadzistego oficera z grzywą włosów, przyprószonych srebrem siwizny przez upływ lat i znużenie bitewne; moje przypuszczenie wzięło się stąd, że chodził z pomocą drewnianych kul. A gdy moje odpowiedzi - przyznałem, że wprawdzie urodziłem się i wychowałem w Pensylwanii, ale pojechałem na Południe bronić praw stanowych i niewolnictwa, któż bowiem przy zdrowych zmysłach życzyłby sobie najazdu wyzwolonych niewolników na Północ i odbierania nam pracy - nie zyskały jego uznania, kazał mi się rozebrać do naga i zaczął oglądać każdą część mojej garderoby. I właśnie tak natrafił na kieszonkę na zegarek ozdobioną nieruchomym okiem, symbolem agencji detektywistycznej Alana Pinkertona, które Alan osobiście dał mi jeszcze w czasach, gdy ścigał rabujących pociągi i kradnących bydło. Stary oficer natychmiast je rozpoznał i próby wytłumaczenia, że dostałem emblemat od jednej z obłąkanych kobiet w zakładzie, spełzły na niczym. *Jesteś szpiegiem armii federalnej, schwytanym na tyłach naszych wojsk, powiedział. Pogódź się ze Stwórcą, bo o świcie zostaniesz stracony.*

Lincoln, na nowo przeżywający ten epizod, otarł pot z czoła grzbietem dłoni.

- Pozwolili mi się ubrać, po czym związali mi nogi w kostkach, luźno, żebym mógł chodzić, ale nie był w stanie biegać, zaprowadzili mnie do jednego z ustawionych w krąg wozów szpitalnych i posadzili przy ustawionej w nim drewnianej skrzyni. Miałem napisać testament oraz listy, których dostarczenie przyjacielom lub rodzinie uznaję za niezbędne. O tej porze roku noc zapadała szybko. Zorza polarna, rzadki widok w tych szerokościach geograficznych, błyskała za horyzontem niczym bezgłośny ogień armatni.

Przyniesiono mi lampę naftową, wodę oraz cynowy talerz z twardymi sucharami, ale choć bardzo się starałem, nie mogłem przełknąć nawet śliny, bo ucisk w gardle, oznaka mojego strachu, był zbyt silny. Próbowałem napisać do rodziców i dziewczyny, w której podkochałem się jeszcze w Pensylwanii, chciałem im opowiedzieć o tym, co mi się przydarzyło, zacząłem więc tak: *Korzystam z tej okazji skreślenia paru słów, zdrowie mi dopisuje, ale niebawem przestanie.* Musiałem przerwać, ponieważ mój umysł, przytępiony pod wpływem strachu, nie umiał znaleźć słów na opis mojego położenia. Nabrałem przekonania, że to wszystko jest strasznym snem, że za chwilę będę zbyt przerażony, żeby dalej śnić, że przedrę się przez błonę, która oddzielała sen od jawy, otrę pot z czoła i wciąż zauroczony tym koszmarem będę miał kłopoty z ponownym zaśnięciem. Ale pod dłonią czułem wilgotną i zimną drewnianą skrzynię, a woń siarki w powietrzu - w sąsiednim wozie chirurda, amputujący właśnie nogę chłopakowi, którego przygniotło przewrócone działo, obsypywali kikut siarką - wywoływała pieczenie w płucach i ten ból uświadomił mi, że to, co się stało i zaraz się stanie, nie jest snem.

Doktor Treffler, schwytna w sieć opowieści Lincolna, pochyliła się ku niemu, gdy przestał mówić.

- Przyznaj - powiedział z szyderczym uśmiechem - że zaczynasz pojmować, że to prawdziwa opowieść. - Gdy psychiatra potwierdziła ostrożnym skinieniem głową, Lincoln mówił dalej: - Spodziewałem się egzekucji przez powieszenie, ale stary oficer o srebrnych włosach przygotował coś straszniejszego. O świcie kawałkiem drutu związano mi z tyłu ręce w nadgarstkach i łokciach. Dwaj mężczyźni w pasiastych koszulach strażników więziennych zabrali mnie z wozu szpitalnego i zaprowadzili na drugą stronę Marye's Hill do roгатki na Drewnianej Drodze, nazywanej tak dlatego, że leje wyżłobione przez kilkadziesiąt eksplodujących pocisków moździerzy wojsk federalnych okazały się zbyt głębokie, by można było zasypać je ziemią, i zakryto je tarcicą, żeby umożliwić przejazd. Stojąc na skraju takiego leja, w którym zmieściłoby się koło dużego wozu, z grubymi deskami służącymi do łatania drogi ułożonymi w stertę obok roгатki, nagle uświadomiłem sobie, co mój rozmówca miał na myśli, gdy mówił o egzekucji. Jeden ze strażników więziennych wyciągnął kawałek tektury słomowej ze słowami „Szpieg Dittmann” wypisanymi chińskim tuszem i przymocował go przetyczkami z tyłu mojej lichej kurtki. Domyśliłem się, kto jest pomysłodawcą mojej niezwyklej egzekucji, gdy dostrzegłem, jak

Stonewall Jackson, znany z fanatyzmu religijnego, z wyrazem prawdziwej wrogości na twarzy ustawia konia na wzniesieniu nade mną.

Wyjął z ust cygaro i długo mi się przyglądał, jakby utrwał ten obraz i tę chwilę w pamięci. Wydając polecenia adiutantowi, gniewnym ruchem strzepnął popiół z cygara. Byłem za daleko, by dosłyszeć coś więcej niż kilka słów. *Pogrzebać go, tego właśnie chcę, ale żywcem...* Setki konfederatów na zboczu wzgórza przerwało pracę, żeby obejrzeć egzekucję. Przesłuchujący mnie wcześniej oficer wyciągnął jednemu ze strażników papierosa z ust i doszedłszy do mnie o kulach, wetknął mi go między spieczone wargi. *To sprawa tradycji, wyjaśnił. Człowiek skazany na śmierć ma prawo do ostatniego papierosa.* Drżąc, zaciągnąłem się papierosem. Palenie oraz drażniący mi gardło dym oderwały moje myśli od egzekucji. Oficer patrzył na popiół, czekając, aż spadnie pod własnym ciężarem, żeby mogli kontynuować egzekucję. Wciągając dym, ja również spostrzegłem spopielony koniec papierosa. Samo życie zdawało się zależeć od tego popiołu. Na przekór sile ciężenia i logice słupek spopielonego tytoniu zrobił się dłuższy od niewypalanej części papierosa.

- A potem?

- A potem wiatr dolatujący z szumem od strony rzeki przyniósł ze sobą odległy dźwięk orkiestry dętej grającej *Yankee Doodle*. Pod osłoną nocy unioniści wreszcie przerzucili przez rzekę mosty pontonowe i teraz zaczęli nadciągać w wielkiej liczbie. Od strony Fredericksburga padły pojedyncze strzały, gdy tylna straż konfederatów udawała, że stawia opór, aby wciągnąć wojska federalne w pułapkę, czekającą na nich po tym, jak zdobędą miasto i ruszą na Richmond. Dźwięki *Yankee Doodle* i głuchy huk dobywający się z muszkietów sprawiły, że wszyscy spojrzeli w stronę rzeki. Bobby Lee zatrzymał konia u boku Jacksona, który dotknął kapelusza w geście powitania. Rozmawiali przez chwilę, Lee wskazywał Chatham Mansion, która służyła Burnside'owi za stanowisko dowodzenia, widoczną po drugiej stronie rzeki. I wtedy Lee przez przypadek zerknął w moim kierunku. Utkwił we mnie spojrzenie i zawołał: *Co się tam, u licha, dzieje?* Siwowłosy oficer odkrzyknął, że jestem szpiegiem unionistów schwytanym poprzedniego wieczoru na tyłach wojsk Konfederacji i że mają mnie pogrzebać żywcem, innym ku przestrodze. Lee zwrócił na coś uwagę Jacksonowi, po czym stanął w strzemionach i zdejmując biały kapelusz, zawołał: *Dzisiaj na tych polach śmierć zbierze wystarczająco obfite żniwo, by starczyło ludziom na całe życie. Przywiążcie go do drzewa, pozwólcie obejrzeć bitwę i puśćcie wolno,*

gdy się zakończy. I właśnie dzięki temu znowu ujrzałem słońca - byłem świadkiem masakry, do której doszło tamtego strasznego grudniowego dnia pod Marye's Hill. Żołnierze armii Burnside'a wypadli z Fredericksburga na równinę i ustawili się w szyku. Sto czternasta pensylwańska dywizja żuawów z białymi opaskami na głowach jako pierwsza natarła na kamienny mur wzdłuż zapadniętej drogi. Szli z rozpostartymi proporcami, a dobośz wybijał rytm marszu, dopóki kula armatnia nie urwała mu głowy. Bitwa od początku do końca była rzezią. Przez całe popołudnie unioniści atakowali kolejnymi falami po to tylko, by padać pod gradem kul Miniego. Naliczyłem w sumie czternaście ataków, ale w żadnym z nich nie dotarli do muru. Oglądający to ze wzgórza konfederaci zaczęli wiwatować w uznaniu dla odwagi nieszczęsnych unionistów. Widziałem, jak strzelcy wyborowi rebeliantów zanurzali ręce w kubłach z wodą, żeby móc ładować swoje whitworthy, rozgrzane od ciągłego strzelania, nie parząc dłoni. W pewnym momencie dostrzegłem grupki żołnierzy wojsk federalnych próbujących schronić się za murowanymi domami na równinie, ale jankescy kawalerzyści, bijąc szablami na płask, zmusili ich do powrotu na pole bitwy. Okropny widok, były dni, gdy żałowałem, że przerwali egzekucję i nie zakopali mnie żywcem, bo wtedy obraz i odgłosy walki nie wryłyby się w moją świadomość.

- I pozwolili ci przejść przez pole bitwy na wasze pozycje, gdy walka się skończyła?

- Jeśli chodzi o pole bitwy, to im mniej o nim powiem, tym lepiej. Temperatura tamtej nocy spadła poniżej zera i gdy pokonywałem czyhające na nim pułapki, mój oddech wydobywał się spomiędzy dzwoniących zębów wielkimi białymi kłębami. Zdarłem z pleców kawałek tektury i ruszyłem w stronę płomieni migoczących we Fredericksburgu, potykając się o wzdęte ciała ludzi i koni, wpadając na okaleczone zwłoki splątane na dnie lejów po pociskach. Nawet w grudniowym zimnie sącząca się z ran krew przyciągała końskie muchy. Żyjący jeszcze, okaleczeni unioniści układali stosy z nieboszczyków i zagrzebywali się pod nimi, żeby nie zmarznąć. Zawsze będę żałował, że nie mogłem nic dla nich zrobić. Zatrzymałem się, by przytulić umierającego żołnierza, który z tyłu bluzy miał przypięty skrawek papieru z nazwiskiem i adresem. Trząśł się cały i mamrocząc: *Saro, najdroższa moja*, wyzionął ducha w moich ramionach. Wziąłem papier z zamiarem poinformowania jego krewnych, ale jakoś zgubiłem go w nocnym rozgardiaszu. Pozbawione jeźdźców wierzchowce grzebały kopytami w ziemi w poszukiwaniu jakiejś strawy, ale trzynastego grudnia tysiąc osiemset

sześćdziesiątego drugiego roku jedyną strawą pod Fredericksburgiem było mięso armatnie.

- Dotarłeś do miasta...

- Fredericksburg przypominał Sodomę. Wycofujący się unioniści podpalili budynki, centrum handlowe stało splądrowane, jego meble i towary zaśmiecały deski chodnika i niewybrukowaną ulicę. To, co zostało z atlasowych sukien, które zostały pocięte na chustki i ręczniki, zwisało bezwładnie z tablic reklamowych sterczących nad wejściami do sklepów. Obląkane kobiety z zakładu, bosa i w usmolonych koszulach, grzebały w odpadkach, zbierając kieszonkowe lusterka, kolorowe wstążki oraz piękne, importowane z Paryża damskie kapelusze, które naciągały na splątane włosy. Dwie z nich usiłowały wynieść zegar ścienny. Na pewno byłem jedną z ostatnich osób, które przechodziły mostem przez rzekę, ponieważ inżynierowie zaczęli już odczepiać pływające za mną pontony. Na drugim brzegu wędrowałem od ogniska do ogniska, obok drzemiących na ziemi przygnębionych żołnierzy, obok śpiących na stojąco wartowników. Pewnie dostałem gorączki, bo prawie wszystkie wspomnienia o tym, co mi się przydarzyło po przejściu z powrotem na drugą stronę rzeki, są chaotyczne i mętne. Wydaje mi się, że pamiętam długie szeregi przygnębionych żołnierzy wlokących się z powrotem w kierunku Waszyngtonu, rannych ułożonych po trzech, czterech na otwartych wozach zaprzężonych w muły, nieboszczyków grzebanych w płytkich dołach, tam gdzie polegli. Gdy oprzytomniałem, sam nie wiem po ilu dniach, leżałem na poplamionym zaschniętą krwią łóżku w szpitalu polowym. Lekarze uznali, że cierpię na hipochondrię, którą twoi niesamowici koledzy po fachu nazywają obecnie depresją. Dżentelmen o miłej twarzy, noszący rozpiętą pod szyją brudną białą koszulę, wycierał mi pierś i kark gąbką namoczoną w occie, żeby obniżyć gorączkę. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że na imię ma Walter. Dopiero później okazało się, że to słynny brooklyński poeta Whitman, penetrujący szpitale polowe w poszukiwaniu swojego brata George'a, który został wymieniony w wykazie rannych w bitwie. Traf chciał, że znalazł go w tym samym namiocie. Pewnego ranka, gdy poczułem się silniejszy, Walter objął mnie w pasie i pomógł mi wyjść z namiotu na słońce. Siedzieliśmy we dwójkę, odwróceny plecami do stosu nowych sosnowych trumien. Pamiętam, jak Walter, patrząc na stertę amputowanych kończyn za namiotem, stwierdził: *Fredericksburg to chyba najdoskonalszy przykład złego dowodzenia znany dotąd w dziejach wojen na ziemi*. Po pewnym czasie z namiotu wyłoniło się sześciu

sanitariuszy niosących troje noszy z trupami i położyło je na ziemi, żeby asystować w pogrzebie. Martwych mężczyzn nakryto kocami; spod koca sterczały spięte szpilkami palce ich skarpet. Walter podszedł do zwłok i przykucnąwszy, odchylił koc i bardzo, bardzo długo patrzył na martwą twarz chłopaka. Gdy znowu usiadł obok mnie, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki notes i pośliniwszy ogryzek ołówka, zaczął w nim pisać. Gdy skończył, zapytałem, co napisał, a on odczytał tekst. Jego słowa towarzyszyły mi przez te wszystkie lata. - Lincoln zamknął oczy, żeby powstrzymać łzy (tak wydawało się doktor Treffler), i przywołał słowa Waltera Whitmana: - „Widok w obozie, gdy staje szary, przyćmiony świt [...] koło namiotu służącego jako lazaret: Trzy sylwetki na noszach [...] Na każdej rozpostarty koc [...] Zaintrygowany [...] biorę w palce [...] i unoszę go [...] znad twarzy [...] trzeciego [...] - twarz [...] bardzo spokojna, jakby z [...] żółtawobiałej kości słoniowej; Chyba cię znam, młodzieńcze - ta twarz jest, myślę, twarzą samego Chrystusa”<sup>[7]</sup>.

Lincoln, wyzbyty dotychczasowej arogancji, spojrział na doktor Treffler, recytując śpiewnym szeptem:

- Kobieta, dziecko oraz pies, tym lepiej każde się sprawuje... nie potrafię przypomnieć sobie dalszego ciągu.

- Wierzę ci, Lincolnie. Widzę, że naprawdę byłeś pod Fredericksburgiem.

- Gdy siedział z głową zwieszoną na piersi, oddychając nierówno, lekarka dodała: - Shalimar.

- Słucham?

- Tak nazywają się perfumy, którymi się skropiłam. Shalimar.

## 1994: Bernice Treffler traci pacjenta

Doktor Treffler obeszła pomnik Nathana Hale'a przed siedzibą Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley w stanie Wirginia, przyglądając się twarzy młodego szpiega z epoki kolonialnej z różnych stron, próbując sobie wyobrazić, co myślał, gdy prowadzono go na miejsce egzekucji. Przyszło jej do głowy, że nic nie myślał; być może jasność myśli zaburzał mu ucisk w gardle, który nazywany jest strachem. Nie pamiętała, czy Nathan widział słońca (zwrot ten przypuszczalnie wszedł do użycia dopiero podczas wojny secesyjnej), zanim wyruszył z misją na tyły wojsk brytyjskich na Manhattanie. Zastanawiała się, czy brytyjscy kaci nosili pasiaste koszule; była również ciekawa, czy wetknęli mu papierosa do ust, zanim powiesili go na Post Road, dzisiejszej Trzeciej Alei. Lincoln Dittmann zapamiętał słowa kata: *To sprawa tradycji. Człowiek skazany na śmierć ma prawo do ostatniego papierosa.*

Podszedł do niej młody mężczyzna o ziemistej twarzy, z laminowaną plakietką przypiętą do górnej kieszeni trzyczęściowego garnituru.

- Był pierwszym z licznego szeregu Amerykanów, którzy zginęli, szpiegując dla naszego kraju - zauważył, spoglądając na ręce Nathana związane z tyłu sznurem w nadgarstkach. - Zapewne pani Bernice Treffler? - Gdy odparła: *We własnej osobie*, młodzieniec poprosił o okazanie szpitalnego identyfikatora oraz prawa jazdy i starannie porównał zdjęcia z jej twarzą. Doktor Treffler zdjęła okulary przeciwsłoneczne, żeby mu ułatwić zadanie. Najwyraźniej usatysfakcjonowany, zwrócił jej dokumenty. - Karl Tripp, asystent wykonawczy pani Quest, jak elegancko nazywa się narzędzie w jej rękach. Przepraszam, jeżeli musiała pani czekać. Zechce pani pójść ze mną...

- Nie ma sprawy - odparła doktor Treffler, dołączając do swojej eskorty. Była zahipnotyzowana przypiętym do marynarki Trippa laminowanym identyfikatorem ze zdjęciem, nazwiskiem oraz numerem. Czy gdyby dokładnie teraz, dokładnie w tym miejscu poraził go piorun, miałyby na tyle zdrowego rozsądku, by zerwać identyfikator i wysłać go do jego krewnych?

- Po raz pierwszy w Langley? - zapytał, pokazując umundurowanemu strażnikowi przy bramce identyfikator wraz z podpisaną zgodą na



wprowadzenie kobiety nazwiskiem Bernice Treffler.

- Niestety tak.

Strażnik wydał dla gościa przepustkę, która traciła ważność po godzinie, i zapisał nazwisko psychiatry oraz numer przepustki w rejestrze. Karl Tripp przypiął przepustkę do klapy jej żakietu i przeszli przez bramkę, kierując się długim korytarzem do wind. Doktor Treffler ruszyła do pierwszej, która nadjechała, ale Tripp powstrzymał ją, ciągnąc za rękaw.

- Pojedziemy szybkobieżną na siódme piętro - wyjaśnił szeptem.

Kilku młodych mężczyzn, skazanych na jazdę windami dla plebsu, zmierzyło wzrokiem porządnie ubraną kobietę czekającą na windę dla szlachetnie urodzonych, zastanawiając się, kim ona może być, siódme piętro bowiem - w terminologii marynarskiej - nazywane było krajem admirała, a ludzie z zewnątrz jeździli tam (ta winda nie zatrzymywała się na innych kondygnacjach) wyłącznie za zaproszeniami. Gdy drzwi otworzyły się w końcu na siódmym piętrze, Tripp musiał przeprowadzić doktor Treffler przez kolejne stanowisko kontroli i dalej, stalowoszarym korytarzem, do drzwi z napisem „Wstęp tylko dla uprawnionego personelu Zarządu Operacji”. Otworzył je kluczem przypiętym do pasa i wskazał krzesło przy biurku w kształcie półksiężyca.

- Kawy? Herbaty? Dietetycznej coli?

- Nie trzeba, dziękuję.

Tripp zniknął za drzwiami. Treffler potoczyła wzrokiem, zastanawiając się, czy ta pozbawiona okien klatka naprawdę może być gabinetem kogoś tak ważnego jak Crystal Quest, z którą rozmawiała kilka razy przez telefon, odkąd zaczęła leczyć Martina Oduma. Po chwili otworzyły się wąskie drzwi ukryte w boazerii za biurkiem i z większego i widniejszego biura wyłoniła się wicedyrektor Quest. Najwyraźniej była znacznie starsza, niż można było sądzić z rozmowy przez telefon, i miała na sobie spodnium z żakietem z szerokimi klapami, który w niczym nie podkreślał jej kobiecości. Jej krótko przystrzyżone włosy były w kolorze rdzewiejącego spiżu.

- Crystal Quest - oznajmiła rzeczowo, pochylając się nad biurkiem, żeby uścisnąć z rozmachem dłonie doktor Treffler, i osunęła się na obrotowe krzesło z wikliny. Sięgnęła do dolnej szuflady biurka i wyjęła z niej termos.

- Mrożone daiquiri - wyjaśniła, wyciągając dwa zwykłe kuchenne kubki, ale napełniła tylko jeden z nich, gdy psychiatra odmówiła ruchem dłoni. - A więc to pani jest Bernice Treffler - dodała. - W rozmowie przez telefon odniosłam wrażenie, że jest pani starsza.

- A ja, że pani jest młodsza... Przepraszam, nie chciałam... - Treffler zaśmiała się nerwowo. - Potworny sposób rozpoczęcia rozmowy...

- Nie poczułam się urażona.

- Oczywiście nie zamierzałam pani urazić.

- No to przechodzimy do sprawy Martina Oduma.

- Wysłałam pani raport...

- Bez urazy, ale wolę to usłyszeć z pani ust. - Quest posłała jej skrzywiony uśmiech.

- Martin Odum cierpi na coś, co nazywamy zaburzeniami wywołanymi rozszczepieniem osobowości. - Doktor Treffler usłyszała, jak Crystal Quest rozgniała w zębach okruch lodu. - U źródeł tego stanu tkwi uraz psychiczny - ciągnęła psychiatra - najczęściej uraz z dzieciństwa, związany z wykorzystywaniem seksualnym. Uraz powoduje zwarcia w pamięci narracyjnej i prowadzi do rozszczepienia osobowości, z odrębnymi dla każdej z nich wspomnieniami, umiejętnościami oraz uczuciami, a nawet zdolnościami językowymi. Często pacjent cierpiący na te zaburzenia przechodzi z jednej osobowości w drugą pod wpływem stresu.

Crystal Quest wyjęła kawałek lodu z kubka i wrzuciła go sobie do ust.

- Był w stanie określić ten uraz?

Doktor Treffler chrząknęła.

- Przykro mi to mówić, ale pierwotny uraz, podstawowa przyczyna tego rozszczepienia osobowości, pozostaje owiany mgłą tajemnicy. - Mogłaby przysiąc, że na twarzy Crystal Quest pojawił się wyraz ulgi. - Co nie znaczy, że nie ujawni się po dalszym leczeniu. Bardzo bym chciała dotrzeć do tego urazu nie tylko przez wzgląd na zdrowie psychiczne pacjenta, ale również z uwagi na referat naukowy, który zamierzam napisać...

- Nie będzie żadnego referatu, pani doktor. Ani teraz, ani nigdy. Nie będzie też dalszego leczenia. Ile tych rozszczepionych osobowości pani wykryła?

Doktor Treffler nie próbowała kryć rozczarowania.

- W przypadku Martina Oduma - odparła chłodno - jestem w stanie rozpoznać trzy odrębne osobowości, określane przez pacjenta mianem legend, które są pani zapewne znane. Najpierw jest Martin Odum. Potem Irlandczyk nazwiskiem Dante Pippen. I wreszcie historyk, specjalista od wojny secesyjnej, który występuje jako Lincoln Dittmann.

- Były jakieś aluzje do czwartej legendy?

- Nie. Czy jest czwarta legenda, pani Quest?

Quest zignorowała pytanie.

- Z iloma z tych legend zetknęła się pani osobiście?

- Istnieje oczywiście Martin Odum. A na ostatniej sesji, która odbyła się w ubiegłym tygodniu, stanęłam oko w oko z Lincolnem Dittmannem.

- Skąd pewność, że to był Lincoln?

- Człowiek, który wszedł do mojego gabinetu, zachowywał się zupełnie inaczej niż Martin Odum, którego znałam. Gdy zdałam sobie sprawę, że mam przed sobą Lincolna Dittmanna, i powiedziałam mu o tym, wyznał całą prawdę.

- Przejdźmy do rzeczy. Czy Martin Odum jest stuknięty? Czy powinniśmy umieścić go w zakładzie?

- Możecie postąpić na dwa sposoby, pani dyrektor. Lincoln Dittmann z pewnością jest, jak to pani ujęła, stuknięty. Jest przekonany, że był świadkiem bitwy pod Fredericksburgiem w czasie wojny secesyjnej. Jedno pani słowo i mogę znaleźć dziesięciu lekarzy, którzy stwierdzą, że jest umyślowo chory. Gdyby pani chciała, mogłaby pani uzyskać w sądzie skierowanie Lincolna Dittmanna czy też jego *alter ego*, Irlandczyka Dante Pippena, do szpitala psychiatrycznego na czas nieokreślony.

- A co z Martinem Odumem?

- Martin jest przygnębiony tym, że nie może określić, która z trzech bieżących tożsamości to prawdziwy on. Funkcjonuje jednak w miarę dobrze, jest w stanie zarabiać na życie, radzić sobie w pojedynkę, może nawet związać się z kobietą, o ile tylko ona zdoła pogodzić się z tą tkwiącą w jego osobowości niejednoznacznością.

- Krótko mówiąc, nikt, kto spotka go w barze lub na przyjęciu, nie pomyśli, że Martin jest obłąkany.

Doktor Treffler potwierdziła ostrożnym skinieniem głowy.

- Dopóki nie zdoła przywołać szczegółów pierwotnego urazu psychicznego z dzieciństwa, pozostanie w tym stanie pozornej śmierci, dostatecznie sprawny, by dawać sobie radę, trochę udręczony.

- Dobra. Chcę, żeby pani zostawiła tę sprawę. Wyślę mojego pracownika, Karla Trippa, do pani kliniki, żeby zebrał wszelkie notatki, które pewnie sporządzała pani w czasie sesji. Nie muszę chyba przypominać, że cała ta sprawa jest ściśle tajna i nie wolno jej z nikim omawiać.

Doktor Treffler przypomniała sobie, co powiedziała Martinowi na jednej z pierwszych sesji.

- Nawet jeżeli zmienię nazwiska, żeby chronić winnych?

- To nie są żarty, pani doktor. - Crystal Quest uderzyła w przycisk na konsoli. - Tripp odprowadzi panią do holu. Jestem wdzięczna, że pani wpadła.

- To wszystko?

- Z całą pewnością - potwierdziła Crystal Quest, podnosząc się z krzesła.

Doktor Treffler wstała i patrzyła na nią, w jej oczach pojawił się błysk nagłego odkrycia.

- Wcale nie chcieliście, bym rozpoznała ten uraz. Pani nie chce, by Martin wyzdrowiał.

Quest wciągnęła nosem zapach perfum wyczuwalny w pozbawionej okien klitce; z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że profesjonalna psyche Bernice Treffler nosi wyraźne znamiona kobiecości, czego nie mogłaby powiedzieć o swojej.

- To panią przerasta - cierpko poinformowała swojego gościa wicedyrektor Zarządu Operacji. - W wypadku Martina wyzdrowienie mogłoby się okazać fatalne w skutkach.

## 1997: Martin Odum odkrywa gambit Katowskiego

Schodząc z krawężnika przed zatłoczoną halą lotniska, Martin podniósł palec wskazujący na wysokość pasa, by zatrzymać jednego z wolnych strzelców krążących w poszukiwaniu klientów, którzy nie chcieli mieć do czynienia z podkręcającymi taksometry licencjonowanymi taksówkarzami. Po niespełna kilku sekundach zatrzymał się przed nim zdezelowany ził i szyba w drzwiach od strony pasażera zjechała w dół.

- *Kuda?* - zapytał kierowca, starszy pan w wąskim krawacie i kraciastej marynarce z szerokimi klapami oraz okularach w stalowej oprawce, które ostatnim krzykiem mody były w czasach sowieckich.

- *Mówi pan po angielsku?* - zapytał Martin.

- *Niet, niet, nie goworju po anglijski* - odparł z naciskiem kierowca, a potem z wyraźną lubością zapytał łamaną angielszczyzną: - Do którego miejsca pobytu przybywacie, towarzyszu turysto?

- Do wioski niedaleko Moskwy o nazwie Prigorodnaja. Słyszał pan o niej?

Kierowca pokiwał głową.

- *Wszyscy po pięćdziesiątce wiedzą, gdzie jest Prigorodnaja - oznajmił.* - Byliście tam wcześniej?

- *Nie. Nigdy.*

- *No cóż, nie jest uparta do znalezienia. Kierunek Petersburg, niedaleko szosy Moskwa-Petersburg. Kiedyś grube ryby miały tam dache, ale oni wszyscy już są nieodżałowanej pamięci. W Prigorodnej zostały tylko płotki.*

- *To ja - rzekł Martin z uśmiechem znużenia.* - Płotka. Ile?

- *Podróż tam i z powrotem sto dolarów amerykańskich, połowa teraz, połowa, gdy powrócicie do Moskwy.*

Martin usiadł na fotelu obok kierowcy i wyjął dwie dwudziestki oraz dziesiątkę; tyle Dante Pippen zapłacił alawickiej prostytutce Dżamilli w Bejrucie kilka legend wstecz. Po czym, łykając kolejną aspirynę z buteleczki, którą kupił w lotniskowej aptece, by uśmierzyć ból pękniętego zębra, przyglądał się, jak kierowca prowadzi ziła wśród pojazdów jadących w godzinie szczytu w stronę Moskwy.

Po pewnym czasie zauważył:

- Wygląda pan trochę za staro na to, by najmować się jako taksówkarz.

- Jestem biednym emerytem - wyjaśnił kierowca. - Samochód należy do najmłodszego syna mojej pierwszej żony, mojego pasierba. Był jednym z tych sprytnych kapitalistów, którzy wykupili kupony prywatyzacyjne rozprowadzane wśród proletariatu, a potem zmienił zdanie i sprzedał je z grubym zyskiem rosyjskiemu mafioso. I właśnie tak stał się właścicielem samochodu marki Ził. Pożycz go do mnie, gdy na rozpoczęcie miesiąca trzeba zapłacić absurdalny czynsz za moje sprywatyzowane mieszkanie.

- Co pan robił przed przejściem na emeryturę?

Kierowca spojrzał szybko kątem oka na swojego pasażera.

- Wierzcie mi lub nie, jeżeli nie uwierzycie, to nie mój problem, byłem sławnym, a nawet niesławnym arcymistrzem szachowym, klasyfikowanym w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku na dwudziestym trzecim miejscu w Związku Sowieckim, kiedy to w wieku dziewiętnastu lat zostałem mistrzem Komsomółu.

- Czemu niesławnym?

- Mówiono o mnie, że szachy sprawiają, że dostaję bzika. Krytycy, którzy tak twierdzili, nie rozumieli, że, jak wykazał pewien grający w szachy psycholog, szachy nie mogą doprowadzić ludzi do szaleństwa; szachy właśnie utrzymują ludzi w zdrowiu psychicznym. Nie gracie przypadkiem w szachy?

- Prawdę powiedziawszy, grywałem. Teraz nie mam ku temu zbyt wielu okazji.

- Słyszeliście może o gambicie Katowskiego?

- Coś mi się kojarzy.

- To ja, to ja się wam kojarzę - odparł podnieconym głosem taksówkarz. - Hipolit Katowski we własnej osobie. Gdy grałem za granicą, o moim gambicie mówiono na turniejach w Belgradzie, Paryżu, Londynie, Mediolanie, raz nawet w Miami w stanie Karolina Północna, innym razem w Pekinie, kiedy Chińska Republika Ludowa była jeszcze naszym socjalistycznym sojusznikiem, a Mao Zedong towarzyszem broni.

Martin zauważył, że oczy staruszka przepełnia nostalgia.

- Na czym dokładnie polegał gambit Katowskiego?

Katowski nacisnął gniewnie na klakson, gdy jakaś taksówka wcisnęła się przed ziła.

- Pod sowiecką władzą kierowców takich jak ten wysłano by do zbierania bawełny w Azji Środkowej. Rosja zmieniła się, od czasu gdy komuniści

stracili władzę. Ha! Uzyskaliśmy wolność, żeby umierać z głodu. Gambit Katowskiego polegał na oddaniu „zatrutego” pionka i ustawieniu obydwu gońców na skrzydle hetmana, żeby kontrolować przekątne, gdy będą przedostawał się skoczkami na skrzydło króla. Przez dwa lata niszczyłem nim przeciwników, dopóki Robert Fischer nie pokonał mnie w Rejkiawiku, ignorując „zatrutego” pionka i rosując na skrzydło hetmana, gdy już ustawiłem swoich gońców.

Katowski umilkł, ale poruszał bezgłośnie ustami, stosując swój gambit w wyobraźni. Martin nie przerywał mu gry. Ził przejechał obok ogromnego billboardu z reklamą papierosów Marlboro i mijał stacje metra, z których wylewały się tłumy robotników. Martina ogarnęło zmęczenie (z Grodna do Moskwy podróżował dwie doby) i na chwilę, która przeciągnęła się do dwudziestu minut, zamknął oczy. Gdy znowu je otworzył, jechali obwodnicą. Olbrzymie dźwigi wypełniały widoczną część linii horyzontu. Wzdłuż szerokiej arterii strzelały w górę nowe budynki o szklanych fasadach, w których odbijały się budowle po drugiej stronie ulicy; w jednej z nich dostrzegł odbicie pędzącego zdezelowanego ziła, ale na drodze było tyle aut, że nie mógł mieć pewności, że to w nim właśnie jedzie. Samochody zwolniły w miejscu, gdzie ludzie w żółtych kaskach rozkopywali kawałek jezdni młotami pneumatycznymi, po czym, gdy ził pokonał wąskie gardło, znowu przyśpieszyły. Biegący nad jezdnią drogowskaz wskazywał odbicie na szosę do Petersburga.

- Wkrótce zjazd na Prigorodną - oznajmił Katowski. - Byłem jednym z doradców Borisa Spasskiego, gdy przegrał z Fischerem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim. Gdyby tylko zastosował się do moich wskazówek, mógłby roznieść Fischera, który popełniał błąd za błędem. Ha! Powiadają, że zwycięzcą każdej partii szachów zostaje ten, kto popełnia przedostatni błąd. Tutaj - oto zjazd na Prigorodną. Och, jakże czas przecieka przez palce, gdy człowiek nie zaciśnie dłoni w pięść. Pamiętam tę drogę, zanim ją wyasfaltowano. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim i przez część pięćdziesiątego trzeciego co niedziela szofer woził mnie do daczy Ławrientija Pawłowicza Berii w Prigorodnej, żebym uczył jego żonę gry w szachy. Lekcje skończyły się, gdy zmarł towarzysz Stalin, a Beria, który za plecami Stalina stworzył gułagi i przeprowadzał czystki wśród najbardziej lojalnych towarzyszy, został stracony.

Gdy Katowski zjechał w boczną drogę, mijając znak z informacją „Prigorodnaja 7 km”, Martinowi znowu zaczął dokuczać ból w pękniętym

zebrze. O dziwo, ten ból wydawał się... znajomy.

Tylko jak, na litość boską, ból mógł być znajomy?

Krew, zwiastun bólu, od którego zawsze pękała mu głowa, zaczęła pulsować w jego skroniach i Martin uniósł rękę, by pomasażować czoło. Uświadomił sobie, że zmienia role. Słyszał, jak Lincoln Dittmann leniwie szepcze słowa wiersza:

\* \* \*

*...nieme, błyszczące niczym złoto działa toczą się z lekkim łoskotem po kamieniach. Nieme działa przerwą wkrótce swe milczenie, wkrótce odczepią je od przodków, by mogły zebrać krwawe żniwo.*

\* \* \*

Oraz głos poety w brudnej, rozpiętej pod szyją koszuli.

\* \* \*

*Widok w obozie [...] koło namiotu służącego jako lazaret: Trzy sylwetki na noszach [...] Na każdej rozpostarty koc...*

\* \* \*

Inne głosy, ledwie słyszalne, odezwały się w płacie jego mózgu mieszczącym pamięć. Stopniowo zaczął rozróżniać fragmenty dialogu.

*Panie i panowie... przeoczyliśmy w prawdziwym życiorysie Martina Oduma. Jego matka była -*

*...była Polką... Wyemigrowała... po drugiej...*

*Maggie coś wreszcie...*

*...mieliśmy przed oczami...*

Kierowca ził zerknął na swojego pasażera i rzekł:

- Spójrzcie na te kominy wypluwające brudny biały dym.

- Yhm.

- To fabryka papieru, nie trzeba dodawać, zbudowana po śmierci Berii; on nigdy by do tego nie dopuścił. Teraz wiecie, dlaczego obecnie mieszkają tu tylko płotki; smród siarki wypełnia powietrze co godzina, co dzień, co rok. Miejscowi chłopcy zarzekają się, że człowiek się przyzwyczaja do tego, że z czasem odnosi nieprzyjemne wrażenie tylko wtedy, gdy wdycha powietrze, które nie cuchnie.

Nawet smród siarki drażniący nozdrza Martina wydawał się znajomy.

- Towarzysz Beria grał w szachy - wspominał kierowca. - Grał źle. Tak źle, że przegrana z nim wymagała wyłożenia całej mojej inteligencji.

*...Lincoln Dittmann był na Trój... podsłuchał, jak stary sprzedawca kuponów loteryjnych rozmawia po polsku z ulicznicą... rozumie sens...*



*...matka czytała mu do poduszki po polsku...*

Martin uświadomił sobie, że z trudem oddycha - miał wrażenie, że dławi się wspomnieniami, które musiał wykrztusić, by móc dalej żyć.

Przed nimi przy drodze wyłonił się opuszczony posterunek celny z namalowaną nad drzwiami wyblakłą czerwoną gwiazdą. Po drugiej stronie, poniżej niskiego zbocza, w swoim łożysku płynęła z szumem rzeka. Zapewne wylała, ponieważ wydawało się, że przy obu brzegach ciągnie się pas płytkich mokradeł; widać było, jak trawa faluje w prądzie wody.

Martin usłyszał, jak jakiś głos, w którym rozpoznał swój własny, głośno mówi:

- Rzeka nazywa się Lesnaja, od lasu, przez który się wije, omijając Prigorodną.

Katowski zwolnił.

- Mówiliście chyba, że nigdy tu nie byliście.

- Nigdy.

- Wyjaśnijcie więc, skąd znacie nazwę tej rzeki?

Martin, wsłuchujący się w głosy w swojej głowie, nie odpowiedział.

*Rosyjski opanował na uniwersytecie... mówi w tym języku z polskim akcentem.*

*...doskonalić jego polszczyznę, mogliby również popracować nad jego rosyjskim.*

- Niech pan się zatrzyma - rozkazał Martin.

Katowski zahamował, zjechawszy dwoma kołami na miękkie pobocze. Martin wyskoczył z samochodu i zaczął iść środkiem wyasfaltowanej drogi w kierunku wsi. Z lewej strony, wysoko na zboczu, nieopodal zagajnika tworzonych przez skarłowaciałe jabłonie, zobaczył rząd bielonych wapnem ulów. Bolała go chroma noga i uszkodzone żebro, a czająca się pod skroniami migrena rozsadzała głowę. Szedł przez okolicę, która zdawała się aż nazbyt znajoma, chociaż nigdy wcześniej jej nie widział.

*...tylko zwyczajnie Józef ?*

*Co drugi Polak nosi to imię...*

*...właśnie chodzi.*

*Tak się składa, że ponownie czytam Amerykę Kafki...*

*...zapropionować polsko brzmiącą odmianę. Kafkor.*

Martin wyczuł nierówność asfaltu pod stopami i spojrzawszy w dół, zobaczył, że kawałek jezdni, mniej więcej wielkości dużego koła traktorowego, został nieudolnie załatany. Asfalt wygładzono wprawdzie w

tym miejscu, ale jego powierzchnia była grudkowata, a łączenie łąty z resztą jezdni widoczne gołym okiem. Gdy tak wpatrywał się w okrągły wycinek drogi, nagle zakręciło mu się w głowie - osunął się na kolana i spojrzał przez ramię na zbliżającego się doń ziła. Jego oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia, gdy poczuł, że cofa się w czasie przez gęstą jak gaz musztardowy mgłę wspomnień. Widział rzeczy, które rozpoznawał, ale jego umysł, przytępiony strachem, nie umiał już odnaleźć słów potrzebnych do ich opisu: bliźniacze kominy wypluwające smugi brudnego białego dymu, opuszczony posterunek celny z namalowaną nad drzwiami wyblakłą czerwoną gwiazdą, rząd pobielonych wapnem ulów na zboczu nieopodal zagajnika tworzonego przez skarłowaciałe jabłonie. I wtedy, pokonując strach po to tylko, by stanąć w obliczu nowego wroga, szaleństwa, mógłby przysiąc, że ujrzał, jak po grzbiecie wzgórza kroczy słoń.

Sędziwy kierowca ziła stał z ręką wspartą na otwartych drzwiach obok samochodu, wołając żalonym tonem do swojego pasażera:

- Mógłbym roznieść Berię w każdej partii, ale uznałem, że pożyję dłużej, jeżeli to on będzie wygrywał.

Głosy w głowie Martina stały się głośniejsze.

*...studiował dzieła Kafki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.*

*...a latem pracował jako przewodnik w Oświęcimiu.*

*...pracę w polskim biurze informacji turystycznej w Moskwie ...kontakt z obiektem Zarządu Operacji bez większych trudności.*

*Kwestia wiedzy, gdzie ten typ Samat mieszka...*

Martin, wykrzywiając twarz, usłyszał swój szept:

- *Paszoł ty na chuja.* - Starannie wymówił „o” w słowie *paszoł*. „Chuj ci w dupę”.

Powstał z klęczek z uczuciem, że został uwięziony w pułapce jakiegoś koszmarnego snu, i potykając się, ruszył drogą w kierunku wsi. Czy to możliwe, by spotkał już kiedyś Samata? Wyobraził sobie siebie wspartego o kontuar baru eleganckiej knajpy przy Bolszoy Komunistycznej o nazwie „Commercial Club”. Oczyma duszy dostrzegł chudą postać mężczyzny siedzącego na stołku obok. Średniego wzrostu, o wynędzniałej ponurej twarzy, nosił szelki, które podciągały mu spodnie powyżej pasa, oraz ciemnogrnatową włoską marynarkę narzuconą niczym peleryna na wykrochmaloną białą koszulę bez krawata, zapiętą aż po rzucającą się w oczy grdykę. Na kieszeni koszuli były wyhaftowane inicjały „S” oraz „U-Ż”. Martin zobaczył siebie kładącego na wypolerowanym mahoniowym

kontuarze kawałek przedartego na pół biletu do teatru Bolszoi. Chudy mężczyzna wyciągnął z kieszeni marynarki jeszcze jeden kawałek. Obydwa idealnie pasowały do siebie.

Słysząc było, jak poruszający wargami niczym brzuchomówca Samat mamrocze: *Co tak długo? Kazano mi czekać tutaj na kontakt z łącznikiem w zeszłym tygodniu.*

*Stworzenie przykrywki, wynajęcie mieszkania, sprawienie, żeby nasze spotkanie wyglądało na przypadkowe, to wszystko wymaga czasu.*

*Mój stryj Cwietan chce się z tobą jak najszybciej zobaczyć. Ma pilne wieści, które musi przesać do Langley. Chce gwarancji, że w razie wpadki zostanie przerzucony. Chce mieć pewność, że ludzie, dla których pracujesz, zorganizują kanał przerzutowy, zanim stanie się potrzebny.*

*Jak mam się z nim spotkać?*

*Mieszka we wsi niedaleko Moskwy. Wieś nazywa się Prigorodnaja. Zapraszam cię na weekend do jego daczy. Powiemy wszystkim, że mieszkaliśmy w jednym pokoju w Instytucie Leśnictwa. Na wypadek gdyby ktoś pytał, studiowaliśmy razem informatykę.*

*Nie mam pojęcia o informatyce.*

*Oprócz mnie nikt w Prigorodnej nie ma o niej pojęcia.*

Martin zauważył przed sobą niskie drewniane domy na skraju wsi, każdy z ogródkiem warzywnym za płotem, w kilku krowa lub świnia przywiązana do drzewa. Przysadzisty wieśniak, rozłupujący polana na pniu, uniósł wzrok i wydawało się, że zastygł w bezruchu. Duża siekiera wyśliznęła mu się z dłoni, gdy gapił się na przybysza. Cofnął się przed Martinem jak przed jakąś zjawą, po czym odwrócił się i potruczał ścieżką, która kończyła się przy małej cerkwi z obłazącą z cebulastych kopuł farbą. Zbliżając się do świątyni, Martin zauważył skrawek terenu za cmentarzem, który został zniwelowany i wybetonowany - na powierzchni okopconej spalinami silnika wymalowano mlekiem wapiennym wielkie koło. Przed drzwiami cerkwi stał pop w spranej białej szacie, tak krótkiej, że ukazywała jego nagie, chude jak patyki kostki i buty biegowe firmy Nike. Wysoko nad głową trzymał miniaturowy drewniany krzyż, a kobiety i mężczyźni, powiadomieni przez człowieka, który rąbał drwa, napływali wiejskimi drózkami w stronę świątyni.

- To naprawdę ty, Józefie? - zapytał pop.

Gdy Martin zbliżał się do cerkwi, kobiety zęgały się gorączkowo, szepcząc między sobą.

Martin podszedł do popa.

- Czy Samat wrócił do wsi?

- Przyleciał i odleciał swoim śmigłowcem. Ofiarował ten krzyż, zrobiony z drzewa Krzyża świętego z Zuzowki, naszej cerkwi w Prigorodnej, gdzie jego anielskiej dobroci matka codziennie modli się za jego duszę. Za twoją również.

- Czy jest w niebezpieczeństwie?

- W nie większym i nie mniejszym, niż byliśmy po tym, jak się okazało, że deski nad lejem w drodze zostały zdjęte, a zakopany żywcem mężczyzna zniknął.

Martin zrozumiał, że powinien wiedzieć, o czym mówi pop.

- Kto chronił Samata? - zapytał.

- Jego stryj, Cwietan Ugor-Żyłow, ten, którego nazywamy Oligarchą.

- A kto chronił jego stryja?

Kapłan pokręcił głową.

- Organizacje zbyt potężne, by głośno wypowiadać ich nazwy.

- A kto chronił was, gdy zdjęliście deski znad leja i uwolniliście zakopanego żywcem człowieka?

- Bóg Wszechmogący - odparł pop i przeżegnał się na sposób prawosławny wolną ręką.

Martin spojrział na cebulaste kopuły cerkwi, a potem znowu na popa.

- Chcę porozmawiać z matką Samata - oznajmił, sądząc, że może znajdować się wśród kobiet przyglądających się im ze ścieżki.

- Mieszka samotnie w daczycy Oligarchy - odparł duchowny.

- Krystyna to kompletna wariatka - rzekł wieśniak, który rąbał drwa. Żegnając się po raz kolejny znakiem krzyża, pozostali wieśniacy skinęli głową na znak zgody.

- A gdzie w takim razie jest Oligarcha?

- Nikt z nas nie potrafi powiedzieć, dokąd pojechał, gdy opuścił Prigorodną.

- Nikt nic nie wie na pewno. Jednego dnia był tutaj, chodził z wysiłkiem o aluminiowych kulach ścieżką w pobliżu rzeki, z ochroniarzami za sobą, z chartami rosyjskimi skaczącymi z przodu, a następnego dacza została ogołocona z mebli i pobrzmiwała pustką. I tylko świeca paliła się długą zimową nocą w oknie na parterze.

Martin ruszył w stronę rozległej daczycy z drewnianym bocianim gniazdem wznoszącym się nad białymi brzoźami, które rosły wokół domu. Wieśniacy stojący na ścieżce odsunęli się, żeby go przepuścić; kilku wyciągnęło ręce,

chcąc dotknąć jego ręki, a bezzębna staruszka zarechotała:

- Więc wrócił do świata żywych.

Wychudłe kurczęta oraz kogut z olśniewającym upierzeniem rozpięchły się sprzed stóp Martina, wzbijając kurz na ścieżce. Zwabieni ciekawością wieśniacy i pop, wciąż trzymający w górze krzyż, podążali jego tropem, uważając, by zachować pełen szacunku dystans.

Gdy Martin dotarł do drewnianego płotu otaczającego daczę Oligarchy, wydało mu się, że słyszy nuącą kobietę. Otworzywszy furtkę, przeszedł na tyły domu. Stąpał ostrożnie przez starannie utrzymany ogród z biegnącymi na przemian grządkami z warzywami i słonecznikami, dopóki nie spostrzegł źródła tego śpiewu. Słabowita starucha, bosa i w wytartej koszuli, napełniała plastikową konewkę deszczówką z ustawionej pod rynną beczki. Długie postrzępione białe włosy opadały na jej bladą skórę, ciasno opinając kości twarzy. Kobieta musiała odgarnąć je z oczu na widok Martina, by lepiej mu się przyjrzeć.

- Cwietan, jak zawsze, miał rację - powiedziała. - Łatwiej było ci przeżyć zimę, kiedy śnieg pokrył dziurę, chociaż stanowczo sprzeciwiałam się temu, by zakopywali cię, zanim zjadłeś obiad.

- Wie pani, kim jestem?

- Kiedyś nie zadawałeś mi głupich pytań, Józefie. Znam cię równie dobrze jak własnego syna, Samata; równie dobrze, jak znałam jego ojca, który w czasach stalinowskich wyjechał na Syberię i nigdy nie wrócił. Ciekawe, nieprawdaż, jak nasze życie zostało całkowicie i na zawsze określone przez okrutne kaprysy Stalina. Wiedziałam, że wrócisz, drogi Józefie. Ale co, u licha, powstrzymywało cię tak długo? Spodziewałam się, że wrócisz do Prigorodnej po pierwszej wiosennej odwilży. - Staruszka odstawiła konewkę i biorąc Martina za rękę, zaprowadziła go przez ogród do tylnych drzwi daczy. - Zawsze lubiłeś napić się herbaty z konfiturami o tej porze dnia. Żeby przeżyć ten ranek, będziesz potrzebował parującej filiżanki.

Krystyna pchnęła siatkowe drzwi, wiszące na jednym zawiasie, i wsunąwszy ubrudzone ziemią stopy w filcowe pantofle, powłócząc nogami, przeszła przez amfiladę opustoszałych pokoi do kuchni; cały czas zerkając przez ramię, żeby upewnić się, czy Martin podąża za nią. Obiema chudymi rękami naciskała dźwignię ręcznej pompy, dopóki z kranu nie trysnęła woda. Napełniła osmolony czajnik i postawiła go na jednej z zardzewiałych elektrycznych płyt grzejnych, spoczywających na kuchence gazowej, która już nie działała.

- Przyniosę twoje ulubione konfitury z zapasów w piwnicznej spizami - oznajmiła. - Najdroższy Józefie, tylko mi znowu nie zniknij. Obiecujesz? - Pociągnęła za klapę w podłodze i unieruchomiwszy ją smyczą, zniknęła na schodach piwnicy, jak gdyby nie mogła znieść jego ewentualnej odmowy.

Martin wędrował po parterze daczy, jego kroki odbijały się echem od nagich ścian pustych pokoi. Przez poplamione siarką szyby okien dostrzegł popa z trzódką zgromadzonych u płotu wiernych, którzy dyskutowali zawzięcie. Podwójny salon z ogromnymi kamiennymi kominkami na obu końcach otwierał się na gabinet z biegnącymi przez całą ścianę pustymi półkami na książki, a za nim mieścił się mały pokój z niskim szpitalnym łóżkiem z metalu, ustawionym obok kominka wypełnionego skrawkami papieru i suchymi gałązkami czekającymi na spalenie. Na gzymsie kominka stało kilka pustych flakoników po perfumach. Mała sterta starannie złożonych kobiecych ubrań leżała na odwróconej drewnianej skrzyni ze słowami „Ugor-Żyłow” i „Prigorodnaja”, namalowanymi od szablonu na kilku ściankach. Do drzwi toalety przypięto około tuzina pocztówek. Martin zbliżył się do nich i uważnie je obejrzał. Pochodziły ze wszystkich stron świata. Jedna przedstawiała sklep wolnołowy na lotnisku Charles'a de Gaulle'a w Paryżu, druga Ścianę Płaczu w Jerozolimie, trzecia most łączący brzegi Wełtawy w Pradze, kolejna pałac Buckingham w Londynie. Przypięta najwyżej pocztówka była zdjęciem rodziny idącej utwardzoną wiejską drogą obok dwóch identycznych wiejskich domów, wzniesionych bardzo blisko siebie z desek szalunkowych. Po drugiej stronie drogi, na małym wzniesieniu, stała podniszczona stodoła z wykonanym z metalu orłem amerykańskim na szczycie ozdobnego wiatrowskazu sterczącego z mansardowego dachu. Ludzie przedstawieni na pocztówce byli w ubraniach, które przed dwustu laty farmerzy mogli przywdziewać, idąc do kościoła - mężczyźni i chłopcy byli odziani w czarne spodnie, czarne marynarki i słomkowe kapelusze, kobiety i dziewczęta miały na sobie sięgające kostek sukienki z kraciastej bawełny, wysokie sznurowane buty i wiązane pod brodą czepki.

Martin podważył paznokciami pinezkę i odwrócił pocztówkę na drugą stronę. Nie było na niej daty; drukowany podpis identyfikujący zdjęcie na odwrocie został zeszkrobany ostrzem noża, stempel pocztowy na znaczku zawierał napis „fast, New York”. „Najdroższa Mamo - napisał ktoś po rosyjsku. - Żyję i dobrze się czuję w Pięknej Ameryce nie zaprzataj sobie mną głowy i tylko dalej śpiewaj gdy pielisz ogród warzywny bo tak właśnie

widzę Cię oczyma duszy". Podpisano: „Twój oddany S.”.

Usłyszał wołanie staruszki z kuchni:

- Józefie, dziecko moje, dokąd poszedłeś? Chodź na herbatę.

Chowając pocztówkę do kieszeni, Martin wrócił do kuchni. Trzymając gorący dzbanek przez fartuch, staruszka napełniła dwa kubki naparem, który, jak się okazało, został przyrządzony z marchewkowych obierek, ponieważ prawdziwa herbata była dla niej za droga. Matka Samata usiadła na trójnożnym zydlu do dojenia krów, pozostawiając jedyne krzesło w kuchni swojemu gościowi. Martin przyciągnął je do stołu pokrytego plastikowym laminatem i siedł naprzeciw gospodyni. Kobieta trzymała w splecionych dłoniach popękany kubek, przywołując wspomnienia i na myśl o nich delikatnie kołysząc głową z boku na bok. Jej zmrużone oczy przemykały od jednego przedmiotu do drugiego niczym motyl poszukujący liścia, na którym mógłby spocząć.

- Pamiętam dzień, gdy Samat przywiózł cię z Moskwy. Był wtorek. Ach, jesteś zaskoczony. Pamiętam, że to był wtorek, ponieważ tego dnia kobieta z wioski przychodziła robić pranie; była zbyt przerażona, żeby używać pralki elektrycznej, którą Samat przywiózł z GUM-u, i szorowała wszystko na płytkim odcinku rzeki. Ty i Samat byliście współlokatorami gdzieś w jakiejś szkole, tak powiedział, gdy przedstawił cię o świcie swojemu stryjowi. Później Cwietan wziął cię na stronę i wypytywał o sprawy, których nie rozumiałam - co, u licha, znaczy przerzut? Pewnie pamiętasz Oligarchę, Józefie? Bardzo gniewny był z niego człowiek.

Martinowi wydało się, że słyszy gniewny głos starszego mężczyzny pomstującego na rząd, gdy miotał się o aluminiowych kulach przed ludźmi zbyt zastraszone, żeby mu przerwać. *Mój dziadek został stracony w czasie kolektywizacji dwudziestego dziewiątego roku, ojca zastrzelono na zachwaszczonym polu w trzydziestym trzecim, obaj zostali uznani za winnych kułactwa przez sądy objazdowe. Wiesz, kim byli kułacy, Józefie? Dla sowieckich szumowin byli tak zwanymi bogatymi chłopami, którzy chcieli sabotować stalinowski program kolektywizacji rolnictwa i zmuszenia chłopów do pracy w państwowych gospodarstwach rolnych. Bogaci, psiakrew. Kułakami byli rolnicy posiadający jedną parę skórzanych butów, które starczały im na całe życie, bo nosili je wyłącznie w cerkwi. Mój dziadek, mój ojciec chodzili do cerkwi i z powrotem w chłopskich butach wyplecionych z łyka, które nazywaliśmy łapciami, a skórzane wkładali za progiem świątyni. Ponieważ posiadali skórzane buty, przypięto im etykietkę*

wrogów państwa i rozstrzelano. Może teraz rozumiesz, dlaczego w pojedynkę toczę wojnę z Matką Rosją. Nigdy nie wybaczę Sowiетom ani ich spadkobiercom...

Martin spojrział przez stół na staruszkę sączącą swój napar.

- Pamiętam, że mówił coś o skórzanych butach - przyznał.

Kobieta rozpromieniła się.

- Opowiadał o tym wszystkim nowo przybyłym na daczę, jak jego dziadek i ojciec zostali straceni przez Sowiетów, ponieważ posiadali skórzane buty. Zauważ, że to mogła być prawda. Z drugiej strony mogło zostać wymyślone. Ci, którzy przeżyli epokę stalinizmu, nigdy się od niej nie uwolnią. Ci, którzy przyszli na świat później, nie potrafią jej zgłębić. Jesteś zbyt młody, żeby znać największą tajemnicę sowieckiego państwa: dlaczego wszyscy spędzali czas za dnia, oklaskując Stalina. Dokszałę cię: to dlatego, że mury w nowych blokach mieszkalnych ocieplono piłsnią, dzięki czemu pokoje były dobrze ogrzane, ale roіło się w nich od moli. Ćwiczyliśmy się w klaskaniu i zabijaniu ich w locie. Prowadziliśmy punktację, każdego wieczoru domownika z największą liczbą trupów moli ogłaszano zwycięzcą. Ach - dodała kobieta z powstrzymywanym westchnieniem - to wszystko są lamentsy nad rozlanym mlekiem. Samat i Cwietan, żadnego z nich tu nie ma.

- A dokąd pojechali? - zapytał cicho Martin.

Staruszka uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Ukryli się, zapadli w sen zimowy w jamach w zamarznętej ziemi.

- A w jakim kraju znajdują się te jamy?

Spojrziała za okno.

- Studiowałam grę na fortepianie w konserwatorium, gdy mój mąż, ojciec Samata, został fałszywie oskarżony o to, że jest wrogiem ludu, i zesłany na Syberię. - Uniosła palce i przyjrzała się im dokładnie; Martin widział, że wysuszona skóra pęka jej na dłoniach, a paznokcie są połamane i brudne. - Bo widzisz, mój mąż, w tej chwili jego imię wyleciało mi z głowy, na pewno je sobie później przypomnę, mój mąż był lekarzem. Nigdy nie wrócił z Syberii, chociaż Cwietan, który dowiadywał się o niego po śmierci Koby, którego znasz jako Stalina, usłyszał od powracających więźniów o swoim bracie prowadzącym klinikę w obozie dla zatwardziałych przestępców, którzy płacili mu kawałkami czerstwego chleba.

- Czy pani i Samat ucierpeliście, gdy aresztowano pani męża?

- Zostałam usunięta z partii. Potem odebrano mi stypendium i usunięto z konserwatorium, ale nie z powodu aresztowania mojego męża; on i Cwietan



byli Ormianami, a Ormianie obnoszą się ze swoim aresztowaniem tak jak inni z orderami na piersi.

- W takim razie dlaczego panią wyrzucili?

- Ponieważ odkryli, że jestem Żydówką, drogi chłopcze. Rodzice dali mi chrześcijańskie imię Krystyna właśnie po to, by partia nie podejrzewała, że mam żydowskie korzenie, ale koniec końców ten fortel się nie powiódł.

- Wiedziała pani, że Samat zamieszkał w Izraelu?

- To był mój pomysł - musiał wyemigrować z powodu toczących się na ulicach Moskwy wojen gangów. To ja zasugerowałam, że Izrael może go przyjąć, jeżeli Samat zdoła dowieść, że jego matka jest Żydówką.

- Jak pani wiązała koniec z końcem po utracie stypendium?

- Będąc w gułagu, Cwietan załatwił, by zaopiekowali się nami jego wspólnicy. Gdy wrócił, osobiście wziął nas oboje pod swoje skrzydła. Przekonał Samata, by zapisał się do Instytutu Leśnictwa, chociaż nie potrafiłam pojąć, dlaczego mój syn miałby chcieć uczyć się leśnictwa. A potem posłał go do Wyższej Szkoły Planowania. Samat nigdy mi nie powiedział, co robił później, najwyraźniej jednak coś ważnego, bo przyjeżdżał i odjeżdżał bardzo lśniącą limuzyną z szoferem. Kto by przypuszczał, mój syn wożony przez szofera?

Wiedziony przecuciem, Martin rzekł:

- Nie wygląda pani na obłąkaną.

Krystyna zrobiła zdziwioną minę.

- A kto ci powiedział, że jestem?

- Słyszałem, jak jeden z chłopów z wioski mówił, że jest pani kompletną wariatką.

Krystyna zmarszczyła brwi.

- Jestem kompletną wariatką, kiedy muszę - mruknęła. - To recepta na obronę przed życiem i losem. Otulam się szaleństwem niczym wieśniak wciągający zimą kozuch na ramiona. Gdy ludzie biorą cię za kompletną wariatkę, możesz gadać, co tylko chcesz, i nikt, nawet partia, nie ma ci tego za złe.

- Nie jest pani taka, jaka się wydaje.

- A czy ty, mój drogi, najdroższy Józefie, jesteś taki, jaki się wydajesz?

- Nie jestem pewien, co pani przez to rozumie.

- Samat przywiózł cię tutaj, powiedział, że jesteście szkolnymi przyjaciółmi. Przyjęłam cię zamiast syna, którego straciłam przy porodzie. Oligarcha przyjął cię w szeregi swojej świty, i po kilku miesiącach do swojej

rodziny. A ty nas wszystkich zdradziłeś. Zdradziłeś Samata, zdradziłeś mnie, zdradziłeś Cwietana. Dlaczego?

- Nic takiego nie... pamiętam.

Krystyna spojrzała uważnie na Martina.

- Czy twoja amnezja chroni cię przed życiem i losem, Józefie?

- Gdyby tylko mogła... Uciekam najszybciej, jak umiem, ale życie i los stale podążają za mną i bezustannie zmniejszają dystans.

Spod mocno zamkniętych powiek Krystyny sączyły się łzy.

- Drogi Józefie, ja również tego doświadczam.

Pożegnawszy się z Krystyną, Martin ruszył z powrotem do cerkwi w Prigorodnej. Tłum chłopów już dawno wrócił za popem do świątyni, żeby odmówić specjalne modlitwy za duszę Józefa Kafkora. Martin otwierał furtkę ogrodową, gdy usłyszał, jak matka Samata woła za nim z okna:

- To był Zurab.

Martin odwrócił się i odkrzyknął:

- Nie rozumiem.

- Zurab to imię ojca Samata, mojego męża. Zurab Ugor-Żyłow.

Martin uśmiechnął się i skinął głową. Krystyna odwzajemniła uśmiech i pomachała mu ręką na pożegnanie.

Gdy dotarł do wyasfaltowanej drogi, okazało się, że ził stoi zaparkowany w cieniu pochylonych od wiatru brzoź w zagajniku. Katowski, ze zdjętymi butami i podwiniętymi nogawkami spodni, moczył stopy w chłodnych nurtach Leśnej.

- Nie jest wam przypadkiem znany przebieg czwartej partii meczu Alechina z Capablancą w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku? - zawołał kierowca, wdrapując się po zboczu. - Właśnie teraz rozgrywam ją w swoich myślach, doszło w niej do błyskotliwego poświęcenia hetmana; bardziej błyskotliwego niż słynne poświęcenie hetmana przez trzynastoletniego Fischera w obronie Grünfelda w siedemnastym posunięciu jego meczu z arcymistrzem Byrne'em, którym tak zaszokował świat szachów.

- Nie - odparł Martin, gdy Katowski usiadł na ziemi, żeby włożyć buty. - Nigdy nie analizowałem tej partii.

- Z drugiej strony powinniście tego unikać, towarzyszu. Poświęcanie hetmana to nie jest posunięcie dla słabych duchem. Raz w życiu próbowałem to zrobić. Miałem wówczas piętnaście lat i grałem z arcymistrzem krajowym Ołmańskim. Gdy wykonał swój szesnasty ruch, przyglądałem się szachownicy przez dwadzieścia minut, a potem poddałem partię. W żaden

sposób nie byłem w stanie uniknąć porażki. Ołmański przyjął zwycięstwo z godnością. Później dowiedziałem się, że całymi miesiącami analizował tę partię. Nie mógł dojść do tego, co takiego zobaczyłem na szachownicy, że się poddałem. Dla mnie było to równie widoczne jak nos na waszej twarzy. Po czterech posunięciach straciłbym pionka. Mój goniec zostałby zablokowany po siedmiu, a po dziewiątym odkryłbym wieżę przed jego hetmanem i dwiema wieżami. Zobaczyłem, że nie mogę pokonać Państwa. Gdybym miał to znowu zrobić - dodał z westchnieniem kierowca - nie grałbym z Państwem.

\* \* \*

Sto metrów od miejsca, w którym zjazd na Prigorodną łączył się z czteropasmową szosą Moskwa-Petersburg, oddział wojsk MSW w panterkach zatarasował jezdnię, zmuszając nadjeżdżające od czasu do czasu samochody do zwolnienia i jazdy slalomem między skórzanymi pasami zaopatrzonymi w ostre jak brzytwa kolce. Kiedy ził Katowskiego zrównał się z zaparkowanym samochodem dostawczym z logo DHL-u na boku karoserii, żołnierze o chłopięcych twarzach, uzbrojeni w pistolety maszynowe, dali znak kierowcy, żeby zjechał na pobocze. Krzepki cywil w wymiętym garniturze gwałtownym ruchem otworzył drzwi od strony pasażera i chwytając Martina za rękę w przegubie, wyciągnął go z auta tak brutalnie, że ten poczuł, jak ból pękniętego żebra przeszywa mu klatkę piersiową niczym prąd elektryczny. Drugi cywil pogroził palcem kierowcy, który kulił się ze strachu za kierownicą.

- Znasz zasady, Lifszyc, mógłbyś dostać pół roku za prowadzenie taksówki bez licencji. Mógłbym zapomnieć o całej sprawie, jeżeli zdołasz mnie przekonać, że nie wiozłeś dzisiaj nikogo do Prigorodnej.

- Jakżebym mógł wieźć kogoś do Prigorodnej? Nie wiem nawet, gdzie to jest.

- Czemu zwraca się pan do niego per „Lifszyc”? - zapytał Martin, oglądając się przez ramię.

Chwytnąc go jedną wielką ręką za kark, a drugą za łokieć, muskularny cywil odprowadził więźnia w stronę tylnych drzwi furgonetki DHL-u.

- Zwracamy się do niego per „Lifszyc”, bo tak ma na nazwisko.

- Mnie powiedział, że nazywa się Katowski.

- Katowski, ten arcymistrz szachowy! - prychnął cywil. - On umarł dziesięć lat temu. Lifszyc, nielicencjonowany taksówkarz, był finalistą moskiewskiego turnieju chińskich warcabów na szczeblu okręgowym przed

pięcioma, sześcioma laty. Arcymistrz szachowy to nowość w jego repertuarze.

Chwilę później Martin siedział na brudnej podłodze furgonetki z wyciągniętymi przed siebie nogami i skutymi z tyłu rękami. Dwaj cywile siedzieli na prowizorycznej ławie naprzeciw niego, zaciągając się camelami i patrząc beznamiętnie na swojego więźnia przez papierosowy dym.

- Dokąd mnie wieziecie? - zapytał Martin, ale żaden z porywaczy nie przejawiał najmniejszej chęci do udzielenia odpowiedzi.

W pewnym momencie furgonetka musiała zjechać z obwodnicy na główną arterię, ponieważ Martin wyczuł, że włączyli się w sznur pojazdów. Wokół słychać było dźwięki klaksonów. Gdy gwałtownie skręcili, Martin usłyszał pisk opon i przekleństwa kierowców. Dwaj strażnicy, ze wzrokiem utkwionym w więźnia, wydawali się niewzruszeni. Po blisko dwudziestu minutach samochód zjechał po jakiejś rampie - po brzmieniu silnika Martin poznał, że znaleźli się pod dachem - po czym cofnął się i zatrzymał. Cywile otworzyli tylne drzwi na oścież i złapawszy Martina pod pachy, zawlekli go na rampę wyładowniczą i przez drzwi wahadłowe przeszli długim korytarzem do czekającej windy towarowej. Dwie kraty zasunęły się i winda z głośnym zgrzytem ruszyła do góry. Drzwi na pierwszych pięciu piętrach były szczelnie zamknięte przyspawanymi w poprzek metalowymi belkami. Na szóstym piętrze winda zatrzymała się raptownie. Inni cywile, czekający na zewnątrz, otworzyli podwójną kratę i Martin, otoczony teraz przez sześciu mężczyzn w cywilnych ubraniach, został odprowadzony do pokoju zatrzymań pomalowanego błyszczącą białą farbą i przesyconego jaskrawym światłem. Zdjęto mu kajdanki, po czym rozebrano do naga, a jego ubranie i ciało zostały bardzo dokładnie obejrzone przez dwóch pielęgniarzy w białych kitlach i rękawicach z lateksu. Niemłoda już lekarka, w poplamionym białym fartuchu, z papierosem przyklejonym do dolnej wargi i zawieszonym na szyi stetoskopem, weszła do pokoju, by zbadać mu oczy, uszy i gardło, po czym osłuchiwała mu serce, zmierzyła ciśnienie krwi i obmacała końcami palców pęknięte żebro, sprawiając, że skrzywił się z bólu. Gdy tak markowała badanie stanu jego zdrowia, Martin czuł się bardziej przygnębiony swą nagością niż trudnym położeniem. Skupił wzrok na paznokciach lekarki, pomalowanych fosforyzującym jaskrawozielonym lakierem. Uchwycił sens pytania, które zadała po polsku; chciała się dowiedzieć, czy kiedyś był hospitalizowany.

- Raz - odparł po angielsku - z powodu rany od szrapnela w krzyżu i

ucisku na nerw w lewej nodze, która wciąż boli, gdy zbyt dużo chodzę.

Lekarka musiała zrozumieć jego odpowiedź, bo przesunęła palce wzdłuż zabliznionej rany, a potem zapytała, czy zażywa jakieś leki. Odparł, że od czasu do czasu aspirynę.

- Co pan robi w międzyczasie?

- Znoszę ból.

Kiwając głową, lekarka zanotowała jego odpowiedź, odfajkowała pozycje na kartce przyklepionej klipssem do podkładki, podpisała i opatrzyła formularz datą, zanim wręczyła go jednemu z cywilów. Gdy skierowała się do wyjścia, Martin zapytał, czy jest lekarzem ogólnym, czy specjalistą. Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

- Gdy nie pracuję na zlecenie dla Służby, jestem ginekologiem.

Kazano mu się ubrać. Jeden z cywilów zaprowadził więźnia do drzwi na drugim końcu pokoju i otworzywszy je, odsunął się na bok. Martin wszedł, powłócząc nogami, do większego pomieszczenia (i znowu wyciągnięto mu sznurówki z butów, utrudniając normalne chodzenie) wypełnionego solidnymi meblami, pozostałymi - jak przypuszczał - z czasów, gdy stalinowskie KGB rządziło w państwie, które wówczas nazywało się Związek Sowiecki. Jakiś niski krzepki mężczyzna w średnim wieku, noszący przyciemnione okulary, czynił honory domu zza biurka monstrualnych rozmiarów. Skinął głową w kierunku drewnianego krzesła stojącego naprzeciw biurka.

Martin ostrożnie usiadł i rzekł po rosyjsku:

- Pić.

Śledczy pstryknął palcami. Chwilę później na biurku w zasięgu więźnia postawiono szklankę wody. Trzymając ją oburącz, Martin wypił jej zawartość kilkoma długimi haustami.

- Jestem obywatelem Kanady - oznajmił po angielsku. - Żądam widzenia z kimś z ambasady kanadyjskiej.

Siedzący za biurkiem cywil skierował snop światła bardzo jaskrawej lampy w oczy Martina, zmuszając go do zmrużenia oczu. Mocny głos, który doskonale harmonizował z krzepą męczyzny, dopłynął ze smugi oślepiającego światła.

- Podróżuje pan z paszportem na nazwisko Kafkor, Józef Kafkor - powiedział przesłuchujący doskonałą angielszczyzną. - Paszport ma być kanadyjski, został jednak, z czego niewątpliwie zdaje pan sobie sprawę, podrobiony. Widniejące w nim nazwisko jest polskie. Federalna Służba

Bezpieczeństwa Rosji miała ochotę dostać pana w swoje ręce, odkąd pańskie nazwisko po raz pierwszy trafiło do naszych rejestrów. Jest pan tym Kafkorem, który był związany z Samatem Ugor-Żyłowem i jego stryjem Cwietanem Ugor-Żyłowem, lepiej znanym jako Oligarcha.

- Czy to jest pytanie? - zapytał Martin.

- To stwierdzenie faktu - odparł spokojnie śledczy. - Zgodnie z informacjami w naszym rejestrze, poznał pan Samata Ugor-Żyłowa niedługo po przyjeździe do Moskwy do pracy w polskim biurze informacji turystycznej. Tenże Samat Ugor-Żyłow zabrał pana na spotkanie ze swoim stryjem, który mieszkał w dawnej dacy Berii w Prigorodnej. Po pierwszej wizycie w Prigorodnej w ciągu czterech następnych miesięcy spędzał pan mnóstwo czasu w gościnie na dacy, czasem pozostając tam cały tydzień, kiedy indziej przyjeżdżając na czterodniowe weekendy. Rzekomym powodem tych odwiedzin było to, że miał pan uczyć potocznej polszczyzny matkę Samata, która mieszkała na dacy. Pańscy zwierzchnicy w polskim biurze informacji turystycznej nie skarżyli się na przedłużające się okresy nieobecności, co doprowadziło nas do wniosku, że biuro stanowi tylko przykrywkę. Najwyraźniej był pan obywatelem Polski, podejrzewaliśmy jednak, że część życia spędził pan za granicą ponieważ nasi znający język polski ludzie, którzy słuchali nagrań pańskich rozmów z moskiewskimi współpracownikami, wychwycili w nich sporadyczne błędy gramatyczne i archaizmy. Mówił pan po rosyjsku, zakładam, że nadal pan mówi, z wyraźnym polskim akcentem, co świadczyło o tym, że uczył się pan języka rosyjskiego od polskich nauczycieli w Polsce bądź za granicą. A więc, *gospodin* Kafkor, pracował pan dla polskiego wywiadu czy był pan zatrudniony, we współpracy z Polakami lub bez niej, przez zachodnie służby wywiadowcze?

- Myli mnie pan z kimś - odparł Martin. - Przysięgam, że nie pamiętam żadnego z opisanych przez pana szczegółów.

Śledczy otworzył *dossier* z czerwonym paskiem biegnącym po przekątnej okładki i zaczął kartkować gruby stos dokumentów. Po chwili uniósł wzrok.

- W pewnym momencie pańskie stosunki z Samatem i jego stryjem popsuły się. Zniknął pan z pola widzenia na okres sześciu tygodni. Gdy znowu się pan zjawił, nie można było pana poznać. Najwyraźniej torturowano pana i morzono głodem. Pewnego dnia wczesnym rankiem, gdy robotnicy drogowi asfaltowali siedmiokilometrową boczną drogę, która prowadziła od głównej szosy Moskwa-Petersburg do wioski Prigorodnaja,

dwaj ochroniarze Oligarchy przywieźli pana na drugi brzeg Leśnej łodzią wiosłową i poszturchując, zapędzili do leja, który poprzedniego dnia wyłobiła w drodze koparka parowa. Był pan zupełnie nagi. W skórę między łopatkami miał pan wbitą wielką agrafkę z przyczepionym do niej kawałkiem tektury ze słowami „Szpieg Kafkor”. Po czym na oczach około czterdziestu robotników został pan pogrzebany żywcem w leju - zmusili pana, żeby się pan położył w pozycji embrionalnej w dziurze, która w przybliżeniu miała wielkość dużego koła traktorowego. Umocowano nad nią grube deski; później robotnicy mieli za zadanie zaasfaltować to miejsce.

Martin miał deprymujące wrażenie, że opisują mu film, który kiedyś widział i którego już nie pamiętał.

- Więcej wody - wymamrotał.

W zasięgu jego ręki umieszczono kolejną szklanekę wody i Martin wychylił ją do dna.

- Skąd możecie wiedzieć takie rzeczy? - zapytał ochryplym tonem.

Śledczy przekręcił ramię lampy, tak aby światło padało na blat biurka. Gdy wykładał na nie pięć powiększonych fotografii, Martin dostrzegł kanadyjski paszport Kafkora, plik dolarów amerykańskich i funtów brytyjskich, pocztówkę ze zdjęciem, którą podwędził z drzwi w dacy w Prigorodnej, oraz swoje sznurówki. Przysunął krzesło bliżej biurka i pochylił się nad zdjęciami. Wszystkie zrobiono z oddali i powiększono, przez co obraz stał się ziarnisty i trochę nieostry. Na pierwszej fotografii widać było, jak wychudły, zupełnie nagi mężczyzna ze zmierzwioną brodą i czymś, co przypominało koronę cierniową na głowie, wchodzi ostrożnie przez płytki szlam na suchy ład. Za nim szli dwaj strażnicy w pasiastych koszulkach. Na następnym zdjęciu nagi mężczyzna klęczał na skraju leja, spoglądając przez ramię, z oczami zapadniętymi z przerażenia. Trzecie zdjęcie z zestawu ukazywało postać chudego mężczyzny z pociągłą wynędzniałą twarzą i marynarką zawieszoną na ramionach jak peleryna, częstującego papierosem skazańca. Na czwartej fotografii uchwycono tęgiego mężczyznę z czupryną srebrnych włosów i w ciemnych okularach, spoglądającego przez opuszczone na szerokość dłoni okno tylnych drzwi limuzyny. Na ostatnim zdjęciu walec parowy jechał tyłem po lśniącym, dymiącym asfalcie. Widać było, jak robotnicy, opierający się na trzonkach grac i łopat, patrzą z przerażeniem na scenę egzekucji.

- Jeden z robotników z brygady, faktycznie jej sprzętowy, był zatrudniony przez nasze służby bezpieczeństwa - wyjaśnił śledczy. - Miał

aparatus fotograficzny ukryty w termosie w pojemniku na obiad. Czy rozpoznaje się pan na tych zdjęciach, *gospodin* Kafkor?

Ze spieczonego gardła Martina wydobyło się jedno słowo:

- *Niet*.

Przesłuchujący wyłączył lampę. Martin poczuł zawroty głowy, ziemia zakołysała mu się pod stopami. Zamknął powieki i głowa opadła mu na jedną z fotografii. Śledczy nie przerywał milczenia, dopóki jego więzień znowu nie usiadł.

Martin usłyszał swoje pytanie:

- Kiedy to wszystko się zdarzyło?

- W odległej przeszłości.

Martin osunął się na oparcie krzesła.

- Dla mnie - zauważył zmęczonym głosem - odległą przeszłością jest dzień wczorajszy a przedwczorajszy oznacza uprzednie wcielenie.

- Te zdjęcia zrobiono w roku dziewięćdziesiątym czwartym - rzekł śledczy.

- Trzy lata temu! - wyszeptał Martin. Masując czoło, próbował zestawić kawałki tej dziwnej układanki, jednak bez względu na to, jak je obracał, nie ukazywał się żaden spójny obraz. - Co się stało po tym, jak pogrzebano tego człowieka żywcem?

- Gdy zdjęcia zostały wywołane i pokazane, postanowiliśmy zorganizować operację uwolnienia go, uwolnienia pana, w nadziei, że pan jeszcze żyje. Gdy w środku nocy dotarliśmy na miejsce egzekucji, okazało się, że chłopci pod wodzą miejscowego popa zdarli już asfalt, wyciągnęli deski i uratowali pogrzebanego w leju mężczyznę. Przed świtem nasi ludzie pomogli im ułożyć deski z powrotem i zaasfaltować to miejsce.

- A co stało się ze... z tym człowiekiem?

- Człowiek dokonujący we wsi napraw ciągników zabrał pana do Moskwy samochodem pomocy drogowej. Zamierzał zawieźć pana do szpitala. Na czerwonym świetle na obwodnicy, niedaleko ambasady amerykańskiej, wyskoczył pan z szoferki i zniknął w ciemnościach. Potem ani policja miejska, ani nasze służby nie były w stanie pana wytropić. Jeśli chodziło o nas, zniknął pan z powierzchni ziemi. Szukaliśmy aż do dzisiaj, dopóki celnik na lotnisku nie zasygnalizował przybycia Kanadyjczyka legitymującego się paszportem wystawionym na nazwisko Kafkor, Józef Kafkor. Założyliśmy, że wróci pan do Prigorodnej, co sprawiło, że oddział wojsk Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zablokował drogę; wiedzieliśmy,



że możemy zatrzymać pana przy wyjeździe.

Za biurkiem pojawił się sekretarz i nachyliwszy się, szepnął coś śledczemu do ucha.

- Jak dawno temu? - zapytał, wyraźnie rozdrażniony, po czym dodał: - Jak, u diabła, się dowiedział? - Kręcąc z niesmakiem głową, odwrócił się do Martina. - Szef placówki CIA w Moskwie dowiedział się, że jest pan w naszych rękach. Przesyła oficjalnymi kanałami prośbę o przekazanie pana jego agencji w celu przesłuchania, gdy z panem skończymy.

- Czemu CIA miałyby chcieć przesłuchać Józefa Kafkora?

- Będą chcieli się przekonać, czy był pan w stanie wyjawić nam to, co chcemy wiedzieć.

- A cóż takiego chcecie wiedzieć?

- Po czyjej oni, Samat Ugor-Żyłow oraz Oligarcha, Cwietan Ugor-Żyłow, byli stronie? I gdzie przebywają teraz?

- Samat schronił się na żydowskim osiedlu na Zachodnim Brzegu.

Śledczy ostrożnie zdjął uchwyt oprawki swoich okularów najpierw z jednego, a potem z drugiego ucha i zaczął czyścić szkła końcem jedwabnego krawata.

- Przynieście herbatę - polecił sekretarzowi. - I te okrągłe ciasteczka nadziewane konfiturami. - Założył okulary i zebrawszy pięć zdjęć, wsunął je z powrotem do teczki. - *Gospodin* Kafkor, Federalna Służba Bezpieczeństwa Rosji cierpi na brak funduszy, niedobór personelu i jest niedoceniana, ale nie jesteśmy półgłówkami. O tym, że Samat schronił się w Izraelu, wiemy od dawna. Negocjowaliśmy z izraelskim Mosadem możliwość kontaktu z nim, gdy Samat otrzymał wiadomość, że czeczeńscy płatni zabójcy natrafili na jego trop. To spowodowało, że uciekł z tego kraju. Ale dokąd pojechał, gdy zniknął z Izraela?

Śledczy przekartkował następne raporty.

- Widziano go w okolicach londyńskiej Golders Green i ponownie w pobliżu Dworca Wyszehradzkiego w Pradze. Odwiedził ponoć miasto Kantubek na Wyspie Wozroźdienia na Jeziorze Aralskim. Donoszono również, że mógł pojechać do litewskiego miasta Zuzowka, niedaleko granicy z Białorusią. Krąży nawet pogłoska, że to on był tajemniczą osobą w helikopterze, który wylądował na pół godziny za cmentarzem w Prigorodnej.

W drzwiach pojawił się sekretarz z tacą. Śledczy dał mu znak, by postawił ją na okrągłym stoliku między dwoma krzesłami o wysokich oparciach. Gdy zostali sami, skinieniem dłoni zaproponował więźniowi, żeby

usiadł. Siadając na drugim krześle, napełnił dwa kubki parującą herbatą.

- Musi pan skosztować jednego z tych ciastek - poradził, podsuwając słomkowy koszyk. - Są tak pyszne, że jedzenie ich z pewnością trzeba policzyć za grzech. Zgrzeszmy więc razem, *gospodin* Kafkor - dodał, wgrzając się w ciastko i podkładając dłoń, żeby nie nakruszyć. - Nazywam się Czeklaszwili - przedstawił się, z kolejnym kęsem w ustach - Archip Czeklaszwili.

- To gruzińskie nazwisko - zauważył Martin.

- Mam gruzińskie korzenie, chociaż już dawno temu przyrzekłem posłuszeństwo Matce Rosji. To ja - dodał z wyraźnym błyskiem w oczach - byłem tym sprzętowym na zboczu, zatrudnionym przez nasze służby bezpieczeństwa. To ja zrobiłem panu zdjęcia aparatem ukrytym w pojemniku na obiad.

- Wysoko pan zaszedł.

- Sfotografowanie pańskiej egzekucji było moim pierwszym wielkim sukcesem. Zwrócił on uwagę moich zwierzchników i zapoczątkował wspinaczkę po kolejnych szczeblach kariery zawodowej. Po tym, jak wyskoczył pan z ciężarówki i zniknął w Moskwie, słyszeliśmy pogłoski, że dostał się pan do ambasady amerykańskiej przy obwodnicy. Szef placówki CIA ponoć osobiście zajął się tam panem. Przez dwie doby trwała wzmożona wymiana zaszyfrowanych depech radiowych, po czym został pan wywieziony niepostrzeżenie z Moskwy w samochodzie ambasady jadącym do Finlandii. Podróżowało w nim pięciu mężczyzn, wszyscy mieli paszporty dyplomatyczne i mogli przekroczyć granicę bez kontroli. Co stało się z panem potem, po prostu nie wiemy. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że pan również nie wie.

Martin spojrzał na śledczego.

- Skąd to przypuszczenie?

Śledczy zebrał myśli.

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim mojego ojca aresztowało KGB. Został oskarżony o to, że jest agentem amerykańskiego wywiadu, i skazany w trybie doraźnym na rozstrzelanie. Strażnicy zabrali go pewnej marcowej nocy z celi w rozległej siedzibie KGB na Łubiance i przyprowadzili do windy, która zwoziła skazańców do sklepionych podziemi na egzekucje. Gdy się okazało, że winda nie działa, odesłano go z powrotem do celi. Technicy pracowali przez całą noc, żeby naprawić windę. Rano strażnicy znowu przyszli po ojca. Czekali, aż winda wjedzie na piętro, gdy

dotarła do nich wiadomość o śmierci Stalina. Odwołano wszystkie egzekucje. Kilka miesięcy później nowi przywódcy zabili Berię i ogłosili powszechną amnestię, a ojca puścili wolno.

- Co ta historia ma wspólnego ze mną?

- Pamiętam powrót ojca do naszego mieszkania komunalnego, miałem wtedy sześć lat. Padał deszcz i ojciec przemókł do suchej nitki. Matka zapytała, gdzie siedział. Pokręcił z zakłopotaniem głową. Miał nieprzytomne spojrzenie, jakby zobaczył w przelocie jakąś okropność, potwora lub zjawę. Nie pamiętał swojego aresztowania, nie pamiętał sądu, nie pamiętał strażników prowadzących go do windy na egzekucję. To wszystko wymazano z jego świadomości. Gdy poszedłem pracować w aparacie bezpieczeństwa, odszukałem jego akta i dowiedziałem się, co się z nim działo. Do tego czasu wysłano go już na zieloną trawkę. Pewnego dnia, wiele lat później, zdobyłem się na odwagę, żeby mu powiedzieć, co odkryłem. Słuchał tak, jak słucha się opowieści o czyimś życiu, i uśmiechał się grzecznie, jak gdyby zdarzenia z jego biografii, które ujawniłem, nie miały z nim nic wspólnego. I dalej żył życiem, które pamiętał. I właśnie takie życie wiódł aż po dzień swojej śmierci.

Dopijając resztkę herbaty, śledczy wyciągnął z kieszeni kamizelki mały klucz i podsunął go Martinowi.

- Jeżeli przejdzie pan przez te drzwi, trafi pan na spiralne schody prowadzące przez sześć kondygnacji na poziom ulicy. Gdy znajdzie się pan na zewnątrz, proszę zamknąć za sobą drzwi na klucz i wyrzucić go do kanału ściekowego.

- Czemu pan to robi?

- Wierzę panu, gdy pan mówi, że nie pamięta, jak przewozili pana przez rzekę i zakopali żywcem. Wierzę, gdy twierdzi pan, że nie zna Samata Ugor-Żyłowa ani jego stryja, Oligarchy. Doszedłem do wniosku, że nie jest pan w stanie pomóc nam w naszym dochodzeniu. Jeżeli ma pan trochę oleju w głowie, opuści pan Rosję jak najszybciej. Cokolwiek pan zrobi, niech pan nie idzie do ambasady amerykańskiej, szef placówki CIA od kilku ostatnich tygodni dyskretnie dowiaduje się o człowieka nazwiskiem Martin Odum.

Martin zaczął mamrotać podziękowania, ale śledczy przerwał mu, mówiąc:

- Chudy jak szkielet mężczyzna na trzecim zdjęciu, ten podający skazańcowi ostatniego papierosa, to Samat Ugor-Żyłow. Człowiek o srebrnych włosach, przyglądający się egzekucji z uchylonego okna

samochoodu, to Oligarcha, Cwietan Ugor-Żyłow. Niech pan pamięta, że już raz próbowali pana zlikwidować. Z pewnością ponowiliby próbę, gdyby odkryli miejsce pańskiego pobytu. Aha, byłbym zapomniał o zwrocie pańskich rzeczy. - Wyciągnął paszport kanadyjski, plik banknotów, pocztówkę ze zdjęciem rodziny na wiejskiej drodze gdzieś w północnej Ameryce oraz sznurówki i wręczył to wszystko więźniowi.

Potem przyglądał się, jak więzień sznuruje sobie buty. Gdy Martin uniósł wzrok, śledczy wzruszył mocnymi ramionami w geście, który wyrażał domniemanie, że nie ma już nic więcej do powiedzenia.

Martin skinął głową na znak zgody.

- Jak mogę się panu odwdzięczyć? - zapytał.

- Nie może pan. - Zmarszczki wokół oczu śledczego rozciągnęły się w powściągliwym uśmiechu. - Nawiasem mówiąc, Archip Czeklaszwili jest legendą. Zakładam, że Józef Kafkor i Martin Odum też są legendami. Zimna wojna dobiegła końca, a mimo to podtrzymujemy nasze legendy. Być może, jest pan ostatnią ofiarą zagubioną w labiryncie legend. Może z pomocą tej pocztówki zdoła pan się z niego wydostać.

## 1992: Jak Lincoln Dittmann trafił do szkoły językowej

- Panie i panowie - oświadczył dawny szef placówki, przewodniczący Komisji ds. Legend, stukając zaciśniętą pięścią w owalny stół, aby uspokoić swoich podopiecznych - zwracam waszą uwagę na niezwykley szczegół, który chyba przeoczyliśmy w życiorysie Martina Oduma.

- Czyżbyśmy myśleli o tym samym? - zapytał wykształcony w Yale specjalista od terapii awersyjnej. - Jego matka była...

- Była Polką, na litość boską - burknęła Maggie Poole, mówiąc, jak zawsze, z wyraźnym brytyjskim akcentem, który przyswoiła sobie w Oksfordzie. - Jego matka wyemigrowała do *les Etats-Unis* po drugiej wojnie światowej - dodała radośnie.

- Wreszcie coś mamy - stwierdziła jedyna obok niej kobieta w komisji, leksykograf oddelegowana na stałe z Uniwersytetu Chicagowskiego. - Nie mogę wprost uwierzyć, że to przegapiliśmy.

- A przecież ten szczegół sam się nam wprost narzucał, ilekroć przygotowywaliśmy dla Martina przykrywkę - przyznał nestor komisji, szpakowaty wapniak z CIA, który rozpoczął swą długą i wspaniałą karierę, wymyślając fałszywe tożsamości dla agentów OSS w czasie drugiej wojny światowej. Spojrzał na przewodniczącego i zapytał: - Co cię skłoniło do takiego rozumowania?

- Gdy Lincoln Dittmann wrócił z Trójgranicza - odparł przewodniczący - w złożonym później raporcie z akcji wspomniano, że podsłuchał, jak stary sprzedawca kuponów loteryjnych rozmawia po polsku z ulicznicą w jakimś barze, i okazało się, że rozumie sens ich rozmowy.

- To dlatego, że matka czytała mu do poduszki po polsku, gdy mieszkali w tym pensylwańskim zaścianku zwanym Jonestown - wyjaśnił niecierpliwie terapeuta.

- *Mon Dieu*, pół roku intensywnych lekcji i będzie mówił po polsku jak rodzony Polak - powiedziała Maggie Poole.

- Czyli inaczej niż ty po amerykańsku - zażartował terapeuta.

- Nie potrafisz się powstrzymać, prawda, Troy?

- O Boże, niby przed czym? - zapytał, rozglądając się z miną niewiniątka.

Przewodniczący znowu postukał pięścią w stół.

- Biorąc pod uwagę to, jakie plany wobec Lincoln ma wicedyrektor Zarządu Operacji, tak naprawdę powinien również mówić po rosyjsku.

- Martin Odum uczył się rosyjskiego w college'u - zauważyła leksykograf. - Nic dziwnego, że w efekcie mówi w tym języku z polskim akcentem.

- W czasie gdy korepetytorzy będą doskonalić jego polszczyznę, mogliby także popracować nad rosyjskim - zaproponowała Maggie Poole.

- Dobrze, podsumujmy - rzekł przewodniczący. - Mamy tu obywatela Polski, który, jak większość Polaków, biegle zna rosyjski. Teraz potrzebujemy tylko nazwiska.

- Choć raz nie komplikujmy sprawy.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić. *Le simple n'est pas le facile.*

- A może tak dać mu na imię Franciszek Józef?

- Wybieramy je z uwagi na cesarza Austrii czy Haydna?

- Albo, albo.

- A może tylko zwyczajnie Józef? - zaproponowała Maggie Poole.

- Co drugi Polak nosi to imię.

- Wydaje mi się, że właśnie o to chodzi - ripostowała Poole.

- Gdy zdecydowaliśmy się na nazwisko Dante Pippen, twierdziłaś co innego. Mówiłaś, że nikt, kto przeglądałby wykaz nazwisk, nie podejrzewałby, że Dante Pippen to pseudonim, właśnie dlatego, iż jest tak niezwykły.

Maggie Poole nie dawała za wygraną.

- Konsekwencja - odparła z urazą w głosie - jest ostatnią deską ratunku dla ludzi pozbawionych wyobraźni. Na wypadek gdybyście zastanawiali się, kto to powiedział, informuję, że Oscar Wilde.

- Tak się składa, że ponownie czytam *Amerykę* Kafki.

- Na litość boską, nie zamierzasz chyba proponować takiego nazwiska.

- Miałem zamiar zaproponować polsko brzmiącą odmianę. Kafkor.

- Kafkor, Józef Kafkor. Wcale niezłe. Krótkie i fajne, myślę, że łatwo je przyswoić. Jak uważasz, Lincolnie?

Lincoln Dittmann, spoglądając przez okno sali konferencyjnej na czwartym piętrze na setki samochodów zaparkowanych przed budynkiem, odwrócił się z powrotem w stronę członków Komisji ds. Legend.

- Wybór odmiany nazwiska Kafka, Kafkor, wydaje się dość trafny.

- Co, u licha, przez to rozumiesz?

- Kafka pisał opowiadania o udręczonych ludziach, usiłujących przetrwać w koszmarnym świecie, a przecież mniej więcej tak postrzegaliby siebie odtwórca głównej roli w tej nowej legendzie.

- Najwyraźniej czytał pan Kafkę - stwierdziła Maggie Poole.

- Mógł wyciągnąć wnioski z lektury dzieł Kafki podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie - zauważył ktoś z obecnych.

- A latem pracować jako przewodnik w Oświęcimiu.

- Poprzez naszych łączników w Warszawie moglibyśmy załatwić mu pracę w polskim biurze informacji turystycznej w Moskwie. Stamtąd powinien zdołać nawiązać kontakt z obiektem Zarządu Operacji, nie zwracając na siebie zbytnej uwagi.

- To kwestia wiedzy, gdzie ten typ Samat mieszka, gdy jest w Moskwie.

- To już domena Crystal Quest - zauważył Lincoln.

## **1997: Martin Odum zabiera się do oglądania ćmy syberyjskiej**

Telefon po drugiej stronie linii dzwonił już tyle razy że Martin zrezygnował z liczenia. Postanowił, że pozwoli mu dzwonić przez cały wieczór, przez całą noc, a w razie potrzeby przez cały następny dzień. Przecież ona musi w końcu wrócić do domu. Kobieta ze śpiącym niemowlęciem na ręce zastukała monetą w szklane drzwi budki i gniewnym ruchem uniosła przegub ręki, tak aby Martin zobaczył zapięty na nim zegarek. Mrucząc pod nosem: - Znajdź sobie inną budkę, tę kupiłem dla siebie - odwrócił się do niej plecami. Kobieta odeszła sztywnym krokiem, kręcąc głową na myśl o tym, jak nieznośni stali się niektórzy mieszkańcy gminy. Telefon dzwonił dalej w jego uszach z taką regularnością, że przestał zważać na ten dźwięk. Błądził myślami - odtwarzał we wspomnieniach to, co zapamiętał z poprzednich rozmów telefonicznych. Ku swemu zaskoczeniu potrafił odtworzyć w swojej świadomości jej głos niczym wprawny brzechomówca. Usłyszał, jak mówi: *Gdy odpowiedzi są nieuchwytnie, trzeba nauczyć się żyć z pytaniami.*

Nagle pojął, że telefon po drugiej stronie linii już nie dzwoni. W słuchawce słyszał ciężki oddech innej osoby.

- Stella?

- To ty, Martinie? - zapytał głos niezwykle podobny do Stelli.

Martin ze zdziwieniem uświadomił sobie, jak mocno pragnie słyszeć ten głos; porozmawiać z jedyną osobą na świecie, której nie zniechęciło, że on nie był pewien, kim jest, która zdawała się gotowa z nim żyć bez względu na to, jakie wcielenie siebie jej prezentował. Nagle poczuł, jak ożywa w nim pewność: dokuczliwie pragnął zobaczyć tatuaż pod jej piersią.

- To ja, Stello. Martin.

- Chryste Panie. No, no. Nie mogę w to uwierzyć.

- Wydzwaniam do ciebie od wielu godzin. Gdzie byłaś?

- Spotkałam paru Rosjan w minimarkecie Throckmorta przy Kingston Avenue. Świeżo po ich przyjeździe, właściwie dopiero co zeszli ze statku. Zabawiałam ich dowcipami, które opowiadałam w Moskwie, gdy pracowałam dla sekcji Marx. Chcesz usłyszeć wspaniały dowcip, który



właśnie sobie przypomniałam?

- Yhm.

Cokolwiek, byle tylko nie przestała mówić.

Stella zachichotała na myśl o puencie, zanim zaczęła opowiadać.

- Dobra - stwierdziła, opanowując wesołość. - Trzej mężczyźni trafiają do więziennej celi na Łubiance. Po pewnym czasie pierwszy więzień pyta drugiego: „Za co tu siedzisz?”. Ten odpowiada: „Opowiedziałem się przeciwko Popowowi. A ty?”. Pierwszy wyznaje: „Ja opowiedziałem się za Popowem”. Obaj zwracają się z pytaniem do trzeciego więźnia: „A dlaczego ciebie aresztowali?”, a on odpowiada: „Ja jestem Popow”.

Zdenerwowała się, gdy Martin się nie roześmiał.

- Kiedy wypowiedziałam puentę tego dowcipu na posiedzeniu moskiewskiego Związku Pisarzy, ludzie pokładali się ze śmiechu. Ktoś w sekcji Marx prześledził jego wędrówkę; w ciągu trzech dni żart rozszedł się po Moskwie, a po dziesięciu dotarł do Władywostoku. Rosjanie w Throckmortonie przyjęli go entuzjastycznie. A ty nie rozumiesz?

- Rozumiem, Stello. Nie jest śmieszny, tylko żaloszny. Gdy twój dowcip krążył po całej Rosji, było ludziom do płaczu, nie do śmiechu.

Stella zastanawiała się nad jego słowami.

- Może i jest trochę racji w tym, co mówisz. Hej, skąd dzwonisz tym razem? Z Murmańska? Z Irkucka?

- Posłuchaj, Stello. Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę przez telefon?

- Jakżebym mogła zapomnieć. Zadzwoiłeś, żeby mi powiedzieć, że nie zmieniłeś zdania, tylko poszedłeś za głosem serca. Telefonowałeś z...

Martin przerwał jej.

- Dzwoniłem z budki, w której cuchnęło terpentyną.

Słyszał, jak Stella wstrzymała oddech.

- Na rogu...

Znowu jej przerwał.

- Czy umiałabyś znaleźć tę budkę, gdyby od tego zależało twoje życie?

- Moje życie naprawdę od tego zależy - odparła bardzo spokojnie.

- Wyświadcz mi przysługę i zabierz ze sobą świadectwo z sekcji zwłok twojego ojca, które przysłał ci ten gość z FBI.

- Coś jeszcze?

- Yhm. Kiedy poznałem twojego ojca, wyciągnął z kieszeni szlafroka pamiątkę z rękojeścią z masy perłowej i położył ją na półce w widocznym dla mnie miejscu. Chciałbym dostać ten przedmiot, jeśli to możliwe.

- Jeszcze coś?
- Prawdę powiedziawszy, tak. Chciałbym obejrzeć tę ćmę.
- Nie ma sprawy - odparła. - Nie odstępuję mnie na krok.

\* \* \*

Ściskali w dłoniach kubki z letnią kawą, siedząc w boksie w głębi całodobowej taniej restauracji przy Kingston Avenue, niedaleko Throckmorton's Minimarket. Stella spoglądała na niego raz po raz; tworzyła w myślach zdania po to tylko, by zatrzymać je na końcu języka. Gdy pojawiła się przy budce telefonicznej na rogu Lincoln i Schenectady, na chwilę przytulili się do siebie niezdarnie. Spod jej kołnierza sączył się słaby zapach płatków różanych. Stella powiedziała coś o tym, że tak naprawdę powinni się pocałować, i zrobili to, lecz ten pocałunek był nieśmiały, pośpieszny i rozczarowujący dla obojga. Nie wiedząc, co powiedzieć, Martin zauważył, że stale widuje ją w spodniach. Odparła, że kiedyś, chcąc przebrać się za kobietę, nosiła obcisłą czarną spódnicę do kolan. Martin zdobył się na uśmiech i stwierdził, iż mógł się nabrać na ten podstęp. Zapytał, czy dla ostrożności sprawdziła, czy nikt jej nie śledził. Wyjaśniła, że poszła do lodziarni przy Rogers Avenue, pełnej nastolatków grających na elektronicznych flipperach, po czym wymknęła się tylnym wyjściem w zaułek i przedostała pustymi uliczkami do Schenectady i budki telefonicznej. Kiwając głową, Martin wziął ją pod rękę i bez słowa poprowadził w stronę całodobowej restauracji przy Kingston. Siedząc teraz naprzeciw, zwrócił uwagę na jej nowy ząb; był bielszy od pozostałych i trudno go było przeoczyć. Włosy miała ściągnięte do tyłu i splecione w warkocz, który ginął z oczu za plecami Stelli. Rozpoznał drobne zmarszczki rozchodzące się promieniście z kącików oczu, które lekko mrużyła, jakby starała się zajrzeć mu w serce. Trzy górne guziki jej męskiej koszuli były rozpięte, trójkąt bladej skóry lśnił na piersi.

Martin chrząknął.

- Odgrażałaś się, że pokażesz mi ten tatuaż przy najbliższym spotkaniu.
- Tutaj? Teraz?
- Czemu nie?

Stella rozejrzała się. W boksie po drugiej stronie sali siedziały cztery Chinki grające w madżong, a dwa boksy dalej - młody mężczyzna i dziewczyna tak bardzo w siebie zapatrzeni, że chyba tylko trzęsienie ziemi mogło odwrócić ich uwagę. Odetchnęła głęboko, by zdobyć się na śmiałość, rozpięła trzy następne guziki koszuli i obnażyła prawą pierś. Do świadomości

Martina wdarły się trzy obrazy: neonówka skwiercząca nad barem na nabrzeżu bejruckiego portu, pokój na piętrze z rozdartym obrazem przedstawiającym porażkę wojsk Napoleona pod Akką, ćma wytatuowana pod prawą piersią alawickiej prostytutki, na którą mówili Dżamilla.

- Chcesz usłyszeć najszczerzą prawdę? - zapytał szeptem. - Twoja ćma syberyjska zapiera mi dech w piersiach.

Na ustach Stelli pojawił się cień uśmiechu.

- Właśnie temu ma służyć. Jamajski tatuażysta przy Empire Boulevard powiedział, że jeżeli nie wprawi cię w zachwyt, mogę zażądać zwrotu pieniędzy. Może na zachwycie się nie skończy.

Martin sięgnął po rękę Stelli, a ona ułożyła swą drugą dłoń na grzbiecie jego dłoni. Nachylili się nad stołem i pocałowali.

- Najpierw interesy - rzekł Martin, sadowiac się wygodnie.

- Podoba mi się ta zasada - stwierdziła Stella, zapinając koszulę.

Martin wyglądał na zaskoczonego.

- Dlaczego?

- Bo głębiej odczytana, zapowiada przyjemność.

W jego oczach pojawił się uśmiech.

- Przyniosłaś świadectwo z sekcji zwłok?

Stella wyciągnęła ze skórzanej torebki dokument oraz list, który przyszedł wraz z nim, i rozłożyła je na stoliku. Martin najpierw przebiegł wzrokiem po świadectwie: *...zawał mięśnia sercowego... skrzep na płycie miażdżycowej w tętnicy wieńcowej zwężonej już wskutek odkładania się cholesterolu... raptowne i znaczne spowolnienie przepływu krwi... nieodwracalne uszkodzenie części mięśnia sercowego... śmierć nastąpiła zapewne niemal natychmiast.*

- Yhm.

- Yhm co?

- Lekarz CIA zdaje się twierdzić, że twój ojciec zmarł śmiercią naturalną.

- Czyli nie nienaturalną? Czyli nie został zamordowany?

Martin zaczął czytać list przewodni, który FBI przysłało wraz ze świadectwem z sekcji zwłok. *Żadnych śladów włamania... nawet gdyby do niego doszło, Oskar Kastner miał w zasięgu ręki naładowany pistolet Tokariewa... żadnych śladów walki... niestety zwyczajne u ludzi przykutych, jak Oskar Kastner, do wózka inwalidzkiego skrzepy krwi powstające w nogach, które przedostają się do tętnic wieńcowych... drobne pęknięcie na skórze koło łopatki, przypominające ukąszenie owada... Proszę się nie*

*krępować i zadzwonić do mnie na zastrzeżony numer, jeżeli będzie Pani miała jakieś pytania.* Martin uniósł wzrok.

- Czy twój ojciec często bywał poza domem?

- Kastner nigdy go nie opuszczał. Nie wyjeżdżał nawet do ogrodu za domem. Spędzał czas na czyszczeniu i oliwieniu broni ze swojej kolekcji.

- Skoro nie bywał poza domem, jak mógł zostać ukąszony przez owada?

- Nie przekonuje cię to świadectwo z sekcji zwłok?

Martin spojrzał na podpis u dołu listu i zeszywniał z wrażenia.

- Coś nie tak? - zapytała Stella.

- Znałem jednego Feliksa Kiicka, który pracował dla FBI.

- Kiedy Kastner, Elena i ja przyjechaliśmy tu w osiemdziesiątym ósmym, programem ochrony świadków kierował jeszcze jeden agent. Spotkaliśmy się z nim kilka razy, gdy mieszkaliśmy w dziupli CIA w Tyson's Corner pod Waszyngtonem. Ten agent przeszedł na emeryturę w dziewięćdziesiątym piątym; zjawił się na President Street, żeby przedstawić nam swojego następcę. Tak właśnie poznaliśmy Kiicka.

- Niski? Krępy? Z krótkimi nogami, co sprawia, że przypomina wyglądem futbolistę? Miły, o szczerzej twarzy?

- To on. Znasz go?

- Nasze drogi zeszły się kilka razy, gdy pracowałem dla CIA. Poznałem go jako specjalistę od zwalczania terroryzmu, ale pod koniec kariery zawodowej przypuszczalnie dali mu kopa w górę. Ludzie od programu ochrony świadków zazwyczaj funkcjonują tam w oczekiwaniu na emeryturę.

- Martin pomyślał o czymś. - Gdy poznałem twojego ojca, wspominał, że dostał moje nazwisko od jakiegoś człowieka w Waszyngtonie. Czy tym człowiekiem był Felix Kiick?

Stella wiedziała, że ta sprawa nie daje mu spokoju, i dobrze się zastanowiła, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Kastner zadzwonił pod zastrzeżony numer w Waszyngtonie, który dostaliśmy na wypadek, gdybyśmy czegoś potrzebowali. Teraz pamiętam, że to właśnie Kiick powiedział, że niedaleko nas mieszka dobry detektyw. Poleciał twoje usługi, ale zabronił Kastnerowi mówić ci, skąd otrzymał twoje namiary.

Wydawało się, że Martin skupia spojrzenie na niewidocznych dla niej obrazach.

- Więc to nie przypadek, że ostatecznie zacząłem tropić Samata Ugor-Żyłowa.

- Przyniosłam pamiątkę z perłową rękojeścią - powiedziała Stella. Otworzyła torbę i przechyliła ją, żeby Martin mógł zobaczyć tetetkę Kastnera. - Jest zabytkowa, ale nadal strzela. Była ulubioną krótką bronią palną Kastnera. Od czasu do czasu zjeżdżał do piwnicy i strzelał z niej do pudła wypełnionego wełną mineralną, a potem wyciągał kule i oglądał je pod mikroskopem. Naboje też przyniosłam.

Umoczyła usta w kawie, ale okazało się, że ta wystygła. Martin dał znak, żeby przyniesiono następne porcje. Kelner, nastolatek z długimi pejsami i srebrnym kolczykiem w nosie, przyniósł dwa kubki z dymiącą kawą i uprzątnął stare.

- A co z Samatem? - zapytała.

- Chyba wiem, jak go namierzyć.

- Zrezygnuj.

- Słucham?

- Zrezygnuj. Zapomnij o nim. Skup się na mnie.

- A twój ojciec?

- Co Kastner ma wspólnego z twoją decyzją o rezygnacji?

- Wynajął mnie. Nie żyje, co znaczy, że nie może odwołać zlecenia. - Martin znowu sięgnął po jej dłoń, ale Stella wyrwała rękę. - Nie po to zrobiłem taki szmat drogi, żeby teraz zrezygnować - nie ustępował.

- Jesteś szalony. - Stella spostrzegła wyraz malujący się na jego twarzy. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Nie jesteś szalony w dosłownym sensie tego słowa. Jesteś niezupełnie zdrowy na umyśle. Przyznaj, twoje zachowanie graniczy czasem z szaleństwem. Każdy inny na twoim miejscu wzruszyłby ramionami i żył dalej.

- Masz na myśli dalsze życie w wielu wcieleniach.

Martin znowu sięgnął po dłoń Stelli. Tym razem nie cofnęła ręki. Dotknął jej zegarka i w roztargnieniu zaczął go nakręcać.

- Samat jest w Stanach - powiedział.

- Skąd o tym wiesz?

Martin wyciągnął pocztówkę ze zdjęciem i opowiedział, jak tropił Samata z Izraela przez Londyn, Pragę, Wyspę Wozroźdzenia na Jeziorze Aralskim oraz litewskie miasto Zuzowka, aż do wsi Prigorodnaja niedaleko Moskwy, gdzie matka Samata, Krystyna, mieszkała w pustej daczynie będącej niegdyś własnością najbardziej znienawidzonego człowieka w Rosji, Ławrientija Berii.

- Powiedziała mi, że jest kompletną wariatką, kiedy musi nią być. Że

otula się szaleństwem, tak jak wieśniak naciąga zimą kozuch na swój grzbiet.

- To mi wygląda na strategię przetrwania. - Stella przyjrzała się pocztówce. Mężczyźni i chłopcy w czarnych spodniach i czarnych marynarkach oraz słomkowych kapeluszach, kobiety i dziewczęta w sięgających kostek sukniach z kraciastej bawełny, wysokich sznurowanych butach i wiązanych pod szyją czepkach. Odwróciła zdjęcie i przetłumaczyła wiadomość: - Najdroższa Mamo, żyję i dobrze się czuję w Pięknej Ameryce... Twój oddany S. - Zauważyła, że drukowany podpis został zdrapany. - Gdzie, u licha ciężkiego, jest „fast, Nowy Jork”? - zapytała, patrząc spod przymrużonych powiek na stempel urzędu pocztowego na znaczku.

- Wykonałem moją pracę domową. Ludzie na zdjęciu to amisz. Belfast w stanie Nowy Jork jest surowym centrum społeczności amiszów, która zamieszkuje na północy stanu, i jedynym miastem w tym rejonie, którego nazwa kończy się na „-fast”. Z punktu widzenia sztuki kamuflażu ma to sens. Wszyscy tamtejsi mężczyźni noszą brody. Zamiast więc golić brodę, co czynili rosyjscy rewolucjoniści, gdy chcieli zniknąć, Samat zostawiłby swoją, ubrał się jak amisz i wtopił w tłum oszołomów.

- Przed kim się ukrywa?

- Pierwsi na liście są czeczeńscy gangsterzy, żądni zemsty za uśmiercenie jednego ze swoich przywódców, zwanego Osmanem. Potem jest twoja siostra, a także jego wuj Akim, który twierdzi, że Samat wyprowadził sto trzydzieści milionów dolarów ze spółek holdingowych, które kontrolował. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafię określić, CIA chyba również bardzo się nim interesuje.

- Jaka jest w tym moja rola?

- Kiedy w sali bilardowej opisywałaś mi Samata...

- To wydaje się tak odległe, że musiało się zdarzyć w poprzednim wcieleniu.

- Rozmawiasz ze światowej klasy specjalistą od poprzednich wcieleń. Gdy go opisywałaś, powiedziałaś, że miał oczy zielone jak morskie wodorosty i zupełnie wyzbyte uczuć. Powiedziałaś, że gdybyś zobaczyła jego oczy, mogłabyś wyłowić go z tłumu. - Martin ściszył głos. - Nie mam zamiaru przymuszać cię do przekroczenia granicy, której nie jesteś gotowa przekroczyć... jak to możliwe, że tak dobrze pamiętasz oczy Samata?

Stella odwróciła się.

- Nie zadałbyś tego pytania, gdybyś nie domyślał się, jak brzmi

odpowieź - powiedziała po chwili.

- Widziałas jego zielone niczym wodorosty oczy z bliska, gdy z nim spałas.

Stella jęknęła.

- W noc poślubną we wczesnych godzinach rannych przyszedł do mojego pokoju. Wlazł pod kołdrę. Był nagi. Ostrzegł, bym nie robiła zamieszania; powiedział, że to tylko zrani moją siostrę, gdy powie jej, że... że to ja go zaprosiłam. - Stella spojrzała Martinowi w twarz. - Jego oczy rozpoznałabym wszędzie, ponieważ zapamiętałam je, gdy ten potwór mnie rznął w pokoju za ścianą sypialni Eleny w jej noc poślubną. Pierwotnie zamierzałam zostać w Kiriat Arba przez trzy tygodnie, ale wyjechałam po dziesięciu dniach. Przychodził do mojej sypialni każdej nocy mojego pobytu tam...

- A gdy wróciłas dwa lata później?

- Pierwszego dnia wzięłam go na stronę i powiedziałam, że zabiję go, jeżeli znowu przyjdzie do mojej sypialni.

- Jak zareagował?

- Roześmiał się tylko. Nocą obracał kłamkę, żeby mnie dręczyć, ale nie wszedł do środka. Martinie, musisz mi powiedzieć prawdę... czy to coś zmienia między nami?

Martin pokręcił przecząco głową.

Stella pozwoliła, by na jej usta powrócił cień uśmiechu.

## 1997: Martin Odum uzyskuje *get*

Podróżując zabytkowym packardem, który Martin pożyczył od swojego przyjaciela i gospodarza, Tsou Xinga, właściciela restauracji „Mandarin” mieszczącej się poniżej sali bilardowej przy Albany Avenue, dotarli do Belfastu po zmroku. Pyszczaty wyrostek, obsługujący dystrybutor z paliwem na stacji na skraju miasta, wyliczył na brudnych palcach dostępne dla nich opcje: garść porządnych hoteli w centrum, niektóre droższe, niektóre tańsze; różne motele wzdłuż szosy numer dziewiętnaście po obu stronach miasta, niektóre bardziej, niektóre mniej zaniedbane; kilka pensjonatów, z których zdecydowanie najlepszy był dom starej pani Sayles na wzniesieniu górującym nad rzeką Genesee, jednych gości kołyszącej swym szumem do snu, a drugim niepozwalającej zasnąć do późnej nocy.

Trafili do domu nad rzeką z napisami „B&B” oraz „Lelia Sayles” wyrytymi na tabliczce zwisającej z gałęzi wiekowego dębu. Martin sięgnął ręką przez rozdarcie w siatce, by zakolatać do drzwi od frontu. Ponieważ nie mieli bagażu, musiał wyłożyć z góry trzydzieści dolarów za pokój z małżeńskim łóżkiem, łazienką w korytarzu („chodźcie z łaski swojej boso, gdy korzystacie z niej w nocy, żeby nie obudzić śpiących na poddaszu duchów”). Wyszli coś przekąsić w taniej restauracji naprzeciw biblioteki publicznej przy South Main i siedzieli przy bezkofeinowej kawie. Oboje starali się odwlec chwilę, po której nie będzie już odwrotu. Parkując później na zwirowym podjeździe pensjonatu pani Sayles, Martin uznał, że trzeba sprawdzić poziom oleju w silniku packarda.

- Jestem równie zdenerwowana jak ty - mruknęła Stella, czytając w jego myślach, gdy podparł otwartą pokrywę silnika. Ruszyła w stronę domu, po czym odwróciła się gwałtownie na werandzie, a jej lewa dłoń powędrowała ku trójkątowi bladej skóry widocznemu na jej piersi. - Spójrz na to w ten sposób - zawołała. - Jeżeli seks nie spełni naszych oczekiwań, zawsze możemy powrócić do erotycznych stosunków przez telefon.

- Chcę seksu oraz erotycznych stosunków przez telefon - odparł Martin.

Stella przechyliła głowę.

- Może więc - powiedziała, a uśmiech zastąpił nerwowość w jej oczach - powinieneś przestać dłużyć przy tym cholernym silniku. Przecież każde z nas



już to kiedyś robiło.

\* \* \*

- Jak poszło? - zapytała nazajutrz rano pani Sayles, ustawiając miseczki z konfiturami domowej roboty na kuchennym stole.

Martin, rozdrażniony, odpowiedział pytaniem:

- Jak co poszło?

- To - nie ustępowała gospodyni. - Wielkie nieba, stosunek cielesny. Może i przekroczyłam już osiemdziesiątkę, ale z całą pewnością nie jestem durna.

- Poszło bardzo dobrze, dziękuję - powiedziała spokojnie Stella.

- Wyluzuj się, młody człowieku - poradziła pani Sayles, gdy zauważyła, że Martin drugi raz smaruje masłem grzanekę. - Dzięki temu będziesz lepszy w łóżku.

W nadziei, że zmieni temat, Martin wyciągnął zdjęcie-pocztówkę.

- Mój praprapradziadek, nazwiskiem Dave Sanford, zbudował pierwszy tartak nad brzegami rzeki Genesee - wyjaśniła właścicielka pensjonatu, grzebiąc przez cały czas w zrobionej na drutach torbie na zakupy w poszukiwaniu okularów do czytania. - Zrobił to około tysiąc osiemset dziewiątego roku. Ten dom został zbudowany dwadzieścia lat później z tarcicy z tamtego tartaku. Belfast był wtedy zapadłą dziurą. Nic tylko lasy jak okiem sięgnąć, większość mieszkańców zajmowała się hodowlą bydła. Wytwórnia serów „White Creek”, bardzo tutaj znana, została założona około tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego przez mojego pradiadka...

Stella próbowała skierować rozmowę z powrotem na temat amiszów.

- A zdjęcie z tej pocztówki?

- Dopóki nie znajdę swoich okularów, drogie dziecko, pozostanie dla mnie tylko niewyraźną plamą. Mogłabym przysiąc, że wsadziłam je tutaj. Nigdy nie zdołałam pojąć, jak człowiek może znaleźć swoje okulary do czytania, jeżeli nie ma ich na nosie. No, niech mnie, przez cały czas są tutaj. - Pani Sayles założyła okulary i przyjąwszy pocztówkę od Stelli, skierowała ją do światła słonecznego wlewającego się przez wykuszowe okno. - Jak mówiłam, amiszów z White Creek Road znam całkiem dobrze z powodu moich związków rodzinnych z fabryką. Hm. - Pani Sayles zacisnęła usta. - Rzecz w tym, że chyba nie znam nikogo na tym zdjęciu.

- A domy i stodoła? - zapytał Martin, stając za jej plecami i wskazując na dwa domy z desek szalunkowych zbudowane bardzo blisko siebie oraz na stodołę z mansardowym dachem na wzniesieniu naprzeciw.

- Domów i stodoły też nie. Niech pan pamięta, że jest mnóstwo amiszów mieszkających przy drózkach odchodzących w górę od White Creek. To zdjęcie mogło być zrobione na którejś z nich. - Pani Sayles wpadła na świetny pomysł. - Pewien gość, Eklanah Macy, jest woźnym w szkole dla amiszów Valleyview przy Ramsey Road. Dorabia na boku jako złota rączka w rejonie White Creek. Jeżeli ktoś może wam pomóc, to on. Tylko koniecznie powiedzcie Eklanahowi, że to ja was przysłałam.

Eklanah Macy okazał się emerytowanym oficerem marynarki wojennej, który - sądząc z oprawionych w ramki zdjęć wiszących na ścianie - w ciągu dwudziestu lat spędzonych w jej szeregach służył na połowie okrętów wojennych floty amerykańskiej. Przekształcił atelier w podziemiach szkoły w replikę okrętowego warsztatu mechanicznego, obwieszono go kalendarzami ściennymi ze zdjęciami nagich kobiet.

- Powiadacie, że przysłała was Lelia? - zauważył Macy i zaciągnął się rozmiękłym skrętem, mierząc swoich gości wzrokiem spod opadających powiek. - Założę się, że nałgała wam jak diabli o tym, że Dave Sanford był jej praprapradziadkiem. Psiakrew, mówi to każdemu, kto zatrzyma się na wystarczająco długi czas, by wysłuchać jej do końca. Z jej opowieści wynika, że wszyscy, którzy cokolwiek stworzyli w Belfaście - tartak Sanforda nad Genesee, starą wytwórnię serów przy White Creek Road - byli jej krewniakami. Założę się, że opowiedziała wam o tych cholernych duchach na poddaszu. Ha! Uwierzcie człowiekowi, który wie, co mówi, ta pani ma bujną wyobraźnię. Rzecz w tym, że pierwsi Saylesowie w okręgu Allegany byli lichwiarzami, którzy w latach czterdziestych nabywali wiejskie domy za grosze i sprzedawali je z pokaźnym zyskiem żołnierzom wracającym z wojny. Czego chcecie od amiszów z White Creek?

Martin pokazał Macy'emu zdjęcie-pocztówkę.

- Nie wie pan przypadkiem, gdzie moglibyśmy znaleźć te domy?

- Może bym wiedział, a może nie. To zależy.

- Od czego? - zapytała Stella.

- Od tego, ile zechcecie zapłacić za tę informację.

- Nie owija pan w bawełnę.

- Psiakrew, nieowijanie w bawełnę oszczędza czas i struny głosowe.

Martin wyciągnął pięćdziesiątkę z pliku banknotów.

- Co moglibyśmy dostać za pół setki?

Macey wyrwał Martinowi banknot z ręki.

- Dwa domy ze stodołą naprzeciwko znajdują się jakieś trzy, trzy i pół

mili stąd, przy McGuffin Ridge Road. Wyjedźcie z Belfastu South Main, a traficie na dziewiętnastkę. Szukajcie billboardu z reklamą wizerunków Maryi Panny i numerem bezpłatnego telefonu. Zaraz za nim przetniecie trzystąpiątkę, prowadzącą na zachód, blisko pół mili dalej traficie na White Creek Road, prowadzącą na południe ku Friendship. Na pewnym odcinku White Creek Road biegnie równolegle do strumienia. Mniej więcej w połowie drogi do Friendship od White Creek odchodzi McGuffin Ridge Road. Trzeba być ślepym jak kura, żeby ją przeoczyć.

Martin uniósł w dłoni jeszcze jeden banknot pięćdziesięciodolarowy.

- Właściwie to szukamy mojego starego kumpla, który, jak sądzimy, wprowadził się do jednego z domów w tym rejonie.

- Pańskiego kumpla amisza?

- Nie.

- To proste. - Macy wyszarpnął drugi banknot. - Wszyscy amisze ściągną mnie do siebie, żebym im odłączył cholerne liczniki prądu i skrzynki bezpiecznikowe, gdy już się wprowadzą. Nie uznają elektryczności ani urządzeń, które działają na prąd: lodówek, telewizorów, maszyn do szycia, żelazek, niczego. Jeżeli ze ściany domu zwisa niepodłączony licznik elektryczny, to od razu widać, że mieszka tam amisz. Jeżeli licznik jest nadal przymocowany, to widocznie mieszka tam ktoś, kto nie jest amiszem.

- Czy przy McGuffin Ridge Road mieszka dużo nieamiszów? - zapytał Martin.

Gdy woźny drapał się z zakłopotaniem po nieogolonej brodzie, Martin wyciągnął jeszcze jeden banknot.

- Z...dumiewające, jak podobizna Ulyssesa Granta potrafi budzić wspomnienia - rzekł Macy, składając pięćdziesiątkę i dodając ją do pozostałych dwóch w kieszeni koszuli. - Z wyjątkiem jednego domu McGuffin Ridge cała należy do amiszów. Ów dom to ten drugi na waszej pocztówce.

Stella zwróciła się do Martina.

- Co wyjaśnia, dlaczego Samat wysłał matce akurat tę kartkę.

- Owszem - zgodził się Martin i skinął głową Macy'emu. - Niezła flota - zauważył, spoglądając na oprawione zdjęcia na ścianie. - Służył pan na tych wszystkich okrętach?

- Nigdy w życiu nie byłem na prawdziwym morzu - odparł z chichotem Macy. - Służyłem na nich tylko wtedy, gdy stały w suchym doku, bo gdy tylko okręt wyjdzie w morze, dostają choroby morskiej.

- Nie ulega wątpliwości, że dokonał pan niewłaściwego wyboru - stwierdziła Stella.

Macy pokręcił stanowczo głową i rzekł:

- Kochałem tę cholerną marynarkę. Kochałem te okręty. Nie przepadałem tylko za tym, po czym pływały, czyli morzem. Do diabła, zaciągnąłbym się znowu, gdyby mnie wzięli. Tak, bez dwóch zdań.

Martin zajechał packardem na stację benzynową na skraju miasta i kiedy Stella korzystała z toalety, kupił wodę źródlaną oraz mapę okręgu Allegany. Wyjeżdżając z miasta na dziewiętnastkę, poczuł, jak Stella oparła dłoń na jego udzie. Naprężył mięśnie - prawdziwa zażyłość, taka, jaka zawiązuje się po zbliżeniu, była obca Martinowi Odumowi. Oczyma wyobraźni ujrzał się gdzieś między Dantem Pippenem, który z taką samą szaleńczą energią kochał się i wojował, a Lincolnem Dittmannem, który kiedyś pojechał do Rzymu, żeby odnaleźć uliczkę spotkaną na Trójgraniczu. Stella wyczuła to napięcie pod palcami.

- Nie okłamałam pani Sayles - zauważyła. - Naprawdę poszło bardzo dobrze, dziękuję. W sumie ubiegła noc stanowiła wspaniały początek naszego życia erotycznego.

Martin chrząknął.

- Nie czuję się pewnie, mówiąc o takich sprawach jak nasze życie erotyczne.

- Nie proszę cię, żebyś o nim mówił - odpaliła Stella ze śmiechem w głosie. - Oczekuję, że będziesz słuchał, jak ja o nim mówię. Oczekuję, że od czasu do czasu dla zachęty wymamroczesz cicho „yhm”.

Martin zerknął na Stellę i mruknął:

- Yhm.

Packard przemknął obok billboardu z reklamą numeru bezpłatnego telefonu do wytwórni wizerunków Maryi Panny. Pół mili za drogą trzysta piątą dotarli do skrzyżowania z drogowskazem z napisem „White Creek Road” i „Friendship”. Martin skręcił w White Creek i zwolnił. Gdy szosa opadła, stracił z oczu strumień płynący na prawo od jezdni, by znowu go dostrzec, kiedy wjechali na szczyt wzniesienia; miejscami szmerzące wody White Creek przypominały mu Leśną, która biegła wzdłuż bocznej drogi łączącej Prigorodną z szosą Moskwa-Petersburg. Wiejskie domy wzdłuż strumienia stały przy samej drodze, by zimą, gdy ziemię pokrywał sięgający kolan śnieg, łatwiej było dowieźć drewno na opał i paszę dla zwierząt. Wszystkie domy, oddalone od siebie o ćwierć bądź pół mili, niektóre z

warsztatami stolarskimi lub tkackimi na tyłach oraz próbkami wytwarzanych w nich produktów wystawionymi na podestach lub werandach, miały zwisające z drewnianych ścian liczniki elektryczne i skrzynki bezpiecznikowe. W garażach widać było powoziki, którymi amiszje jeździli na targ, a konie pociągowe pasły się na sąsiadujących z nimi polach. Od czasu do czasu dzieci, ubrane jak mali dorośli w czarne garnitury, spódnice do kostek, czepki oraz wysokie sznurowane buciki, wybiegały na pobocze drogi, żeby patrzeć nieśmiało na przejeżdżający samochód.

Przed nimi ukazał się zjazd z White Creek i Martin skręcił w McGuffin Ridge Road, lustrzane odbicie White Creek, przecinającą pofałdowany obszar rolniczy z wiejskimi domami przy drodze, każdy z licznikiem elektrycznym i kawałkiem czarnego kabla zwisającym ze ściany Trzy i pół mili dalej Stella zacisnęła dłoń na jego udzie.

- Widzę - powiedział Martin.

Packard, poruszający się teraz wolniej, zrównał się z dwoma identycznymi wiejskimi domami, zbudowanymi z desek szalunkowych. Po drugiej stronie drogi, na niewielkim wzniesieniu, stała podniszczona stodoła. Na szczycie jej mansardowego dachu z ozdobnego wiatrowskazu sterczał orzeł amerykański zrobiony ręcznie z szorstkiego metalu. Dwaj amiszje w kombinezonach cięli deski za pierwszym z dwóch domów. W fotelu bujanym na werandzie siedziała amiszka, szydełkując kołdrę z łąt, która spływała na podłogę u jej stóp. Gdy minęli drugi dom, Stella obejrzała się i wstrzymała oddech.

- Licznik elektryczny jest nadal przymocowany do ściany - powiedziała.

- To doskonałe miejsce dla kogoś, kto chce wtopić się w okolicę - rzekł Martin. - Może załatwić, by amiszki z sąsiedniego domu gotowały dla niego posiłki. Jeżeli ktoś zacznie węszyć pod jego nieobecność, amiszje mu o tym powiedzą. Nie widziałaś samochodu w pobliżu domu?

- Nie. Może jeździ do miasta powozikiem, jak oni.

- Mało prawdopodobne. Nie ma auta, nie ma Samata.

- Co mamy teraz zrobić? - zapytała Stella, gdy Martin dalej jechał szosą.

- Poczekamy, aż wróci. Potem zetrzemy kurz z zabytkowego pistoletu Tokariewa twojego ojca i złożymy mu wizytę.

Martin zjechał z drogi za następnym wzniesieniem i razem ze Stellą wrócił pieszo do kępy klonów na nasypie. Z drugiego końca kępy można było zobaczyć dwa domy i stodołę po drugiej stronie drogi. Usadowili się na ziemi twarzami do siebie i plecami do drzew, żeby czekać. Martin wyciągnął

z kieszeni chustę-amulet Dantego z białego jedwabiu i zawiązał ją sobie na szyi.

- Skąd ją wzięłeś? - zapytała Stella.

- Jedna dziewczyna dała ją znajomemu w Bejrucie. Powiedziała, że jeżeli będzie ją nosił, chusta uratuje mu życie.

- Uratowała?

- Tak.

- A co się stało z dziewczyną?

- Zginęła.

Stella oswajała się z tą informacją. Po chwili, ni stąd, ni zowąd, powiedziała:

- Kastner został zamordowany, prawda?

Martin unikał jej spojrzenia.

- Czemu tak uważasz?

- Powiedział mi o tym agent FBI, Felix Kiick.

- Dosłownie? Powiedział, że twój ojciec nie zmarł na atak serca?

- Ten Kiick był uczciwym człowiekiem. Kastner ufał mu. Ja też mu ufałam.

- Ja również - przyznał Martin.

- Myślałam o tym setki razy. Przeanalizowałam to ze wszystkich możliwych stron.

- Przeanalizowałaś co?

- Jego list. Świadeństwo z sekcji zwłok nie wspomina o małym pęknięciu na skórze koło łopatki. List Kiicka tak.

- Napisał, że przypomina ukąszenie owada.

- On wymachiwał mi czerwoną chorągiewką przed oczami, Martinie. Zwracał moją uwagę na coś, co przypominało ślad po zabójczym zastrzyku wykonanym bardzo cienką igłą. Kastner opowiadał mi o takich przypadkach; mówił, że zabójcze zastrzyki były ulubionym sposobem uśmiercania ludzi stosowanym przez KGB. W jego czasach zabójcy z KGB najczęściej wybierali pozbawioną smaku trutkę na szczury, która tak bardzo rozcieńczała krew, że zanikało tętno i człowiek w końcu przestawał oddychać. Kastner słyszał, że pracują nad bardziej wymyślnymi, trudniejszymi do wykrycia substancjami. Powiedział, że opracowali środek powodujący krzepnięcie krwi, który mógłby zatkać arterię wieńcową i wywołać zawał mięśnia sercowego. Nie udawaj, że nie zauważyłeś informacji Kiicka o ukąszeniu owada.

- Zauważyłem!

- No i?

- To Kiick zasugerował twojemu ojcu wynajęcie mnie do poszukiwań Samata. Znaczną część swojej kariery w FBI poświęcił walce z terroryzmem i spotykał się z ówczesną wicedyrektorką Zarządu Operacji CIA, Crystal Quest...

- Tą, którą nazywałaś Fred podczas pierwszej rozmowy z Kastnerem.

- Masz dobrą pamięć nie tylko do dowcipów o KGB. Kiick musiał wiedzieć, że Fred nie chce, by Samat się odnalazł. A teraz podsuwa nam pod nos informacje o śladzie po ukąszeniu owada.

Można było odnieść wrażenie, że Stella odetchnęła z ulgą.

- A więc nie uważasz, że jestem kompletną wariatką?

- Pasuje do ciebie wiele określeń. Kompletna wariatka nie jest jednym z nich.

- Gdybym cię nie znała, mogłabym uznać to za komplement.

- Mniej więcej w tym samym czasie zabita została jeszcze jedna osoba. Miała na imię Minh.

Stella przypomniała sobie, jak oficer izraelskiego Szabaku mówił Martinowi o młodej Chince, która zginęła od użądleń jego pszczoł na dachu nad salą bilardową.

- Co jedna śmierć ma wspólnego z drugą?

- Jeżeli twojego ojca zamordowano, oznacza to, że ktoś próbował przerwać poszukiwania Samata. Minh zginęła, doglądając moich ulów, co oznacza, że gdy sprowokowane czymś pszczoły wypadły z ula, miała na sobie mój biały kombinezon i korkowy hełm z siatką.

- Z daleka musiała wyglądać jak ty. - Stelli przyszło do głowy coś jeszcze. - A te strzały, gdy szliśmy z Kiriath Arba do tej świętej groty; mówiłaś, że dwie kule karabinowe padły dość blisko ciebie.

- To mogli być Palestyńczycy strzelający do Żydów - odparł Martin, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Może strzelali do ciebie ci sami ludzie, którzy zabili Kastnera i twoją chińską przyjaciółkę.

- Yhm. Oligarcha ma długie ręce. Ale nigdy nie będziemy wiedzieli tego z całą pewnością.

- Chyba się boję.

- Nie ty jedna. Mnie strach nie opuszcza ani na chwilę.

Długie cienie, które pojawiły się tuż przed zachodem słońca, zaczęły

rozciągać swoje macki po polach. Martin, podążając tropem własnych myśli, powiedział:

- Zmieniłaś mój sposób patrzenia na wszystko, Stello. Kiedyś myślałem, że chcę spędzić resztę życia, nudząc się jak mops.

- Jak na kogoś, kto chciał zanudzić się na śmierć, z pewnością stworzyłeś udaną atrapę emocjonującego życia.

- Naprawdę?

- Kiriat Arba, Londyn, Praga, ta sowiecka wyspa na Jeziorze Aralskim, to litewskie miasto i zamieszki wywołane sporem o prawo do pieczy nad szczątkami jakiegoś nieznanego świętego. A potem cała historia z Prigorodną i prowadzącą do niej drogą.

- Pomięłaś najbardziej porywający epizod.

- Czyli?

- Siebie.

Stella odsunęła się od drzewa, by przykucnąć obok i wtulić twarz w pierś Martina.

- Głupcy pędzą tam - mruknęła - dokąd boją się iść anioły.

Słońce skryło się już za wzgórzami na zachodzie i różowo-szary rumieniec zabarwił niebo nad nimi, gdy spostrzegli światła reflektorów samochodu jadącego McGuffin Ridge Road od strony White Creek. Gdy zbliżał się do domów, wydawało się, że zwalnia. Skręcił gwałtownie, by wspiąć się po nieutwardzonym podejździe prowadzącym do stodoły. Widać było postać mężczyzny otwierającego wrota stodoły i zamykającego je, gdy już zaparkował w środku. Kilka chwil później w położonym najbliżej domu po drugiej stronie drogi błysnęło światło na werandzie. Mężczyzna wszedł do środka. W oknach na parterze pojawiły się światła. Martin i Stella wymienili spojrzenia.

- Nie chcę, byś ryzykował - powiedziała kategorycznie. - Jeżeli jest uzbrojony, do diabła z rozwodem mojej siostry, zastrzel go.

Martin uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

- Na pewno tylko opowiadałaś dowcipy KGB? Na pewno nie byłaś jednym z jego speców od mokrej roboty?

- Mokrej roboty?

- Płatnych zabójców. Czy też, w twoim wypadku, zabójczyń.

- Opowiadałam zabójcze dowcipy, Martinie. Ejże, jestem teraz bardziej zdenerwowana niż zeszłej nocy. Miejmy to już za sobą.

W zapadającym zmroku ruszyli po białym pasie biegnącym pośrodku



drogi w stronę domów. Gdzieś za nimi zaszczekał pies i ćwierć mili dalej, przy McGuffin Ridge, zaczęły wyc inne czworonogi. Przez okna werandy drugiego domu Martin widział, jak rodzina amiszów zasiada do kolacji przy długim, oświetlonym świecami stole; wszyscy pochylili głowy, gdy brodac u szczytu stołu odmawiał modlitwę. Martin sprawdził tetetkę, żeby upewnić się, czy jest odbezpieczona, po czym wszedł bezgłośnie na werandę przed Stellą i przywarł do desek ściany. Dał znak Stelli, by podeszła i zapukała do drzwi.

Usłyszeli, jak człowiek, który mieszkał w tym domu, mówiący po angielsku z wyraźnym rosyjskim akcentem, woła:

- To ty, Zacheuszu? Mówiłem, żebyś przynosił posiłki o ósmej. Zasiadanie do kolacji o tak wczesnej porze to barbarzyństwo.

Drzwi otworzyły się i wychudły mężczyzna o zarośniętej gęstą brodą twarzy, na której widać było tylko jego zielone oczy, przyjrzał się Stelli przez siatkę. Światło werandy padało z tyłu i jej twarz była ukryta w cieniu.

- Kim pani jest? - zapytał. - Co pani tutaj robi o tej porze dnia?

- *Priviet, Samat* - powiedziała szeptem.

- *Ty* - wysapał Samat. - *Szto ty zdies' diełajesz?*

Stella patrzyła mu prosto w oczy.

- To on - stwierdziła.

Martin ukazał się Samatowi z zabytkowym tokariewem wycelowanym w jego splot słoneczny. Stella otworzyła siatkowe drzwi i Martin przestąpił próg domu. Samat, z białą śliną w kąciku cienkich warg, cofnął się w głąb pokoju. Ręce trzymał szeroko rozstawione, dłońmi ku górze, niemal w powitalnym geście.

- Józef, Bogu dzięki, widzę, że nadal jesteś w gronie żywych.

Zaczął zadawać pytania po rosyjsku. Martin zdał sobie sprawę, że Józef, podobnie jak Stella i Samat, znał język rosyjski. On, Martin, rozumiał poszczególne słowa i zwroty, czasem z grubsza sens zdania, ale prowadzenie rozmowy w całości po rosyjsku przekraczało jego możliwości. Przerwał Samatowi w pół zdania.

- *W Amierikie po anglijski goworjat* - w Ameryce mówi się po angielsku.

- Co ty tu robisz z nią? - Samat przeniósł spojrzenie na Stellę. - Skąd wy się znacie?

Stella wydawała się równie oszołomiona jak Samat.

- Tylko mi nie mów; że wy dwaj też się znacie.

- Nasze drogi się spotkały - wyjaśnił Martin.

Samat osunął się na kanapę.

- Jak mnie znalazłaś, Estelle?

Martin przyciągnął drewniane krzesło i ustawivszy je tyłem do przodu, usiadł na nim okrakiem twarzą do Samata. Wycelowany w jego pierś pistolet spoczął na jednej z listew w wysokim oparciu. Siadając na barowym stołku, Stella rzuciła Samatowi do stóp pocztówkę. Podniósłszy ją z podłogi, oglądając zdjęcie, po czym odwrócił je, by spojrzeć na stempel pocztowy.

- Zacheusz miał ją wysłać z Rochester - jęknął. - Ten sukinsyn nie ruszył tyłka z Belfastu. Nic dziwnego, że znaleźliście te dwa domy na McGuffin Ridge. - Przyjrzał się bacznie Martinowi, a później pocztówce. - Wróciłeś do Prigorodnej, Józefie. Widziałeś się z moją matką.

- Dlaczego on nazywa cię Józefem? - zapytała Stella, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

Martin patrzył Samatowi w oczy.

- Rozmiałem się z tobą o parę dni. Pop powiedział, że odleciałeś helikopterem po dostarczeniu krzyżyka wyrzeźbionego z drzewa Krzyża świętego.

- Musisz trzymać mnie na muszce?

- Jak najbardziej, choćby po to, żeby poprawić mi samopoczucie - odpowiedziała za Martina Stella.

- Jak dużo pamiętasz, Józefie? - zapytał Samat, ocierając czoło rękawem.

- Wszystko. - Martin zdołał wyobrazić sobie pierwsze czarno-białe zdjęcie pokazane mu przez rosyjskiego śledczego w Moskwie; widać było na nim wychudłą postać zupełnie nagiego mężczyzny, w którym Rosjanin rozpoznał Józefa Kafkora, z koroną cierniową na głowie, brodzącego z łodzi wiosłowej w stronę brzegu, oraz dwóch podążających za nim strażników w pasiastych koszulkach. - Pamiętam każdy szczegół. Pamiętam, jak torturowano mnie tak długo, że straciłem rachubę czasu.

Stella pochyliła się do przodu. Zaczynała pojmovać, dlaczego Martin uważał się za niezupełnie zdrowego na umyśle.

- Kto cię torturował? - zapytała szeptem.

- Mężczyźni w tielniaszkach. Ekskomandosi, którzy strzegli daczy w Prigorodnej i przewieźli mnie przez rzekę... - Martin przyjrzał się Samatowi. - Pamiętam, jak gaszono mi na skórze papierosy. Pamiętam, jak wbijano mi w skórę między łopatkami wielką agrafkę przypiętą do kawałka tektury z napisem „Szpieg Kafkor”. Pamiętam, jak przewożono mnie na drugi brzeg Leśnej na oczach gapiących się na mnie robotników drogowych. Pamiętam,

jak strażnicy, szturchając, pędzili mnie po pochyłym brzegu do leja, który został wyżłobiony w drodze.

Samat zaczął ciężko dyszeć. Gdy odzyskał zdolność mówienia, rzekł:

- Uwierz mi, Józefie, błagam, uratowałbym cię, gdyby tylko było to możliwe.

- Zamiast to zrobić, dałeś szpiegowi Kafkorowi ostatniego papierosa.

- Ty naprawdę pamiętasz!

Stella przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego; słyszała niemalże, jak ojciec ją poucza, że w życiu tajnych agentów liczba pytań zawsze przewyższa liczbę odpowiedzi.

Samat zaczął sięgać ręką do rozpinanego swetra. Martin odwiódł kciukiem kurek w pistolecie. W pokoju rozległ się trzask. Samat zastygł w bezruchu.

- Muszę koniecznie zapalić - rzekł słabym głosem. Rozchylił sweter, bardzo powoli sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął z niej paczkę marlboro. Zapalił zapałkę i przytknął ją do końca wyciągniętego z pudełka papierosa. Ręka mu się trzęsła i musiał drugą chwycić za nadgarstek, by opanować drżenie płomienia. Zaciągnąwszy się papierosem, trzymał go w wyciągniętej ręce między kciukiem a środkowym palcem i przyglądał się, jak dym unosi się spiralnie ku lampie. - Co jeszcze pamiętasz, Józefie?

Martin niemalże słyszał ochrypy głos rosyjskiego śledczego, który występował we wcieleniu Archipa Czeklaszwilego. Powtórzył, co Czeklaszwili powiedział mu w Moskwie; chwilami głos Martina nakładał się w jego głowie na głos Gruzina.

- Człowiek naprawiający traktory w Prigorodnej zawiózł mnie do Moskwy samochodem pomocy drogowej. Zamierzał zabrać mnie do szpitala. Na czerwonym świetle na obwodnicy, niedaleko ambasady amerykańskiej, wyskoczyłem z szoferki i zniknąłem w ciemnościach.

- Tak, tak, wszystko się zgadza - wyrwało się Samatowi. - Pani Quest wysłała nam wiadomość... powiedziała mojemu stryjowi Cwietanowi i mnie... że ludzie z kontrwywiadu FBI ulokowani w moskiewskiej ambasadzie znaleźli cię, gdy błąkałeś się po uliczkach przy obwodnicy. Powiedziała, że nie mogłeś sobie przypomnieć, kim jesteś ani co ci się stało... mówiła o urazie psychicznym... powiedziała, że będzie lepiej dla wszystkich, jeżeli nie zdołasz odzyskać pamięci. Oszukałeś ich, Józefie. - Samat zaczął mówić płaczliwym głosem; na jego chudych jak szkielet policzkach błyszcząły łzy. - Gdyby podejrzewała, że coś pamiętasz, nie mógłbyś

wyjechać z Moskwy żywy.

- Wyczułem to. Wiedziałem, że wszystko zależy od utwierdzenia jej w przekonaniu, że cierpię na amnezję.

- To Oligarcha kazał im cię torturować - rzekł z nagłą gwałtownością Samat. - Był przekonany, że zdradziłeś tajemnice operacji w Prigorodnej. Musiał się dowiedzieć komu. Pani Quest też musiała to wiedzieć. Chodziło o ograniczenie szkód. Jeżeli coś się zaczęło psuć, musieliśmy to wypalić, tak powiedział stryj. Próbowałem go przekonać, Józefie. Powiedziałem mu, że mogłeś donieść o operacji, gdy uświadomiłeś sobie, na czym polega, ale tylko osobom wtajemniczonym. Tylko Crystal Quest. Przysięgałem, że nie pójdziesz z tym do gazet ani do władz. Powiedziałem mu, że można byłoby cię przekonać, byś spojrzął na sytuację z naszej perspektywy. Przecież wszyscy pracowaliśmy dla tej samej organizacji, prawda? Wszyscy maszerowaliśmy w takt tej samej muzyki. Osądzanie operacji nie należało do nas. CIA wytyczyła nam kierunek marszu i wyruszyliśmy. Byłeś żołnierzem jak ja, jak mój stryj; byłeś ogniwem łączącym nas z Crystal Quest; łączącym nas z Langley.

Martin musiał skłonić Samata do wypełnienia luk w swojej pamięci.

- Odrazę wzbudziła we mnie skala operacji w Prigorodnej - rzekł. - Nigdy wcześniej nie próbowano czegoś takiego. - Samat niespokojnie kiwał głową; słowa wypływały mu z ust, jakby samym ich brzmieniem mógł odbudować więź między sobą a człowiekiem, którego znał jako Józefa.

- Gdy CIA trafiła do mojego stryja Cwietana, prowadził w Armenii salon sprzedaży używanych samochodów. Atrakcyjny był dla nich fakt, że jego ojciec i dziadek zostali straceni przez bolszewików, jego brat, mój ojciec, zmarł w obozie, a on sam spędził osiem lat w syberyjskim więzieniu. Cwietan nienawidził sowieckiego reżimu i stojących na jego czele Rosjan. Był gotów zrobić wszystko, żeby się zemścić. Więc CIA wsparła go finansowo; korzystając z pieniędzy agencji, opanował rynek handlu używanymi samochodami w Moskwie. Później, ze szczodłą pomocą CIA - mówię tu o setkach milionów dolarów - rozpoczął działalność w branży produkcji aluminium. Zawarł umowy z hutami, kupił trzysta wagonów kolejowych, zainstalował na Syberii urządzenia portowe do przeladowywania korundu. Wkrótce zmonopolizował rynek aluminium w Rosji i zgromadził wielomilionową fortunę. A jego imperium wciąż się rozrastało; handlował stalą, chromem i węglem, kupował fabryki i firmy na tuziny, otwierał banki do obsługi swojego imperium i prania pieniędzy za granicą. I właśnie na tym

polegała moja rola. Cwietan ufał mi całkowicie. Byłem jedynym człowiekiem, który rozumiał, jak jest ukształtowane imperium Oligarchy. To wszystko było tutaj, w mojej głowie.

- I wtedy, gdy tylko Cwietan stał się potentatem gospodarczym, CIA pchnęła go do polityki.

- Jeżeli mój stryj zaskarbił sobie względy Jelcyna, to dlatego, że realizował strategię pani Quest. Gdy Jelcyn zapragnął opublikować swoją pierwszą książkę, Cwietan załatwił kontrakty i wykupił cały nakład. Rodzina Jelcynów nagle odkryła, że posiada udziały w gigantycznych przedsięwzięciach. Dzięki Oligarsze Jelcyn stał się bogatym człowiekiem. Gdy w dziewięćdziesiątym pierwszym roku ubiegał się o urząd prezydenta Federacji Rosyjskiej, Cwietan sfinansował jego kampanię. To właśnie Cwietan ufundował ochronę osobistą Jelcyna, Prezydencką Służbę Bezpieczeństwa. Było czymś zupełnie naturalnym, że gdy Jelcyn potrzebował rady, zwracał się do czołowej postaci w wąskim gronie swoich współpracowników, Oligarchy.

Martin zaczął rozumieć, do czego zmierzali spiskowcy z Prigorodnej.

- Katastrofalna w skutkach decyzja Jelcyna o tym, by uwolnić ceny i, chcąc nie chcąc, przekształcić Rosję w kraj o gospodarce rynkowej, podjęta na początku lat dziewięćdziesiątych, rozpętała hiperinflację i sprowadziła wartość emerytur i oszczędności dziesiątek milionów Rosjan do zera. Wywołało to chaos gospodarczy w kraju...

- Pomysł zrodził się w kręgu podwładnych Crystal Quest z Zarządu Operacji. To właśnie mój stryj przekonał Jelcyna, że gospodarka wolnorynkowa będzie lekarstwem na niedomagania Rosji.

- Prywatyzacja sowieckich aktywów gospodarczych, która doprowadziła do grabieży majątku narodowego i przekazania go w ręce Oligarchy oraz garstki osób dobrze poinformowanych, takich jak on...

Samat zacierał ręce.

- To wszystko dzieło Zarządu Operacji CIA: hiperinflacja, prywatyzacja, nawet decyzja Jelcyna o ataku na Czeczenię i wpakowaniu rosyjskiej armii w wojnę, której nie była w stanie wygrać. Można zrozumieć, skąd się brały pomysły Amerykanów - zimna wojna dobiegła końca, to pewne, ale Ameryka nie po to pokonała potężny Związek Sowiecki, żeby potężna Rosja odrodziła się niczym Feniks z popiołów. Ludzie w Langley nie mogli ryzykować, że przejście od socjalizmu do kapitalizmu może się udać. Skłonili więc Oligarchę, który nienawidził komunistycznych aparatczyków i z

największą radością patrzył, jak Rosja i Rosjanie toną w gospodarczym bagnie, żeby użył swoich znacznych wpływów u prezydenta.

Stella, bacznie obserwująca Martina, zobaczyła, jak się krzywi. Przez chwilę myślała, że pewnie znowu dokucza mu noga. Potem zaświtało jej w głowie, że źródłem bólu są słowa Samata: Martin odkrył nagą prawdę ukrytą w jego opowieści. Ona również.

- CIA rządziła Rosją! - wykrzyknęła.

- Rządziła tak, żeby ściągnąć ją na dno - zgodził się Martin.

- To było w tym najlepsze - rzekł Samat głosem wyostrzonym radością. - Odplaciliśmy Rosjanom za to, co zrobili Ugor-Żyłowom.

Martin przypomniał sobie słowa Crystal Quest wypowiedziane w dniu, gdy wezwała go do restauracji Xinga pod salą bilardową. *Nie wynajęliśmy twojego sumienia, tylko twój umysł i twoje ciało. Po czym ty pewnego pięknego dnia wyszedłeś z roli - wyszedłeś ze wszystkich swoich ról - i przyjąłeś coś, co w języku potocznym nazywa się postawą moralisty.*

Wtedy Martin nie miał bladego pojęcia, o czym mówiła. Teraz kawałki układanki znalazły się na swoim miejscu; teraz rozumiał, dlaczego zwołali szczyt w Langley, żeby zdecydować, czy go zwolnić - czy zlikwidować.

Samat, wyczerpany, zaciągnął się dymem papierosowym, żeby uspokoić nerwy. Martin uzmysłowił sobie, że wpatruje się w popiół na końcu jego papierosa, czekając, aż spadnie pod własnym ciężarem. Samo życie zdawało się zależeć od tego popiołu. Na przekór sile ciężenia i logice słupek popiołu zrobił się dłuższy od niewypalanej części papierosa. Martin skojarzył popiół z nagim mężczyzną klęczącym na krawędzi leja, tym samym, którego fotograf uchwycił na czarno-białym zdjęciu, jak zerkał przez ramię z oczami zapadniętymi z przerażenia.

Samat, pociągający papierosa, także zwrócił uwagę na jego spopielony koniec.

- Proszę. Błagam cię, Józefie - wyszeptał, mamrocząc ze strachu. - Przez wzgląd na moją matkę, która kochała cię jak syna. Nie zabijaj mnie.

- Nie jestem pewna, czy powinieneś go sprzątnąć - powiedziała Stella. - Z drugiej strony może jednak powinieneś to zrobić. Co chcesz przez to osiągnąć?

- Zemsta jest oznaką zdrowia psychicznego. Zastrzelenie go sprawiłoby, że... poczułbym się zupełnie zdrowy na umyśle. - Martin spojrzał z powrotem na Samata, który oddychał głośno przez usta, przerażony, że każdy oddech może być jego ostatnim. - Gdzie jest Oligarcha? - zapytał.

- Nie wiem.

Martin uniósł tetetkę na wysokość oczu i wycelował w czoło Samata, prosto między oczy. Stella odwróciła się.

- Gdy mieszkałeś w Kiriati Arba - przypomniał Samatowi - spędzałeś wiele czasu na rozmowach telefonicznych z człowiekiem, którego telefon ma numer kierunkowy siedemset osiemnaście.

- Zapisy rozmów telefonicznych zostały zniszczone. Skąd mógłbyś o tym wiedzieć?

- Stella przypomniała sobie, że widziała jeden z twoich rachunków za telefon.

- Przysięgam ci na głowę mojej matki, że nie wiem, gdzie jest Oligarcha. Numer siedemset osiemnaście to kierunkowy telefonu domowego amerykańskiego wytwórcy protez, które importowałem do Londynu, aby je rozprowadzać na obszarach ogarniętych wojną. - W zielonych niczym morskie wodorosty oczach Samata zakręciły się łzy. - Z tego, co wiem, Oligarcha może już nie żyć. W programie ochrony świadków te sprawy są ściśle oddzielone, właśnie dlatego, by nikt nie mógł dotrzeć do niego za moim pośrednictwem. Ani do mnie za pośrednictwem Cwietana.

- On może mówić prawdę - powiedziała bardzo cicho Stella.

Samat uchwycił się koła ratunkowego, które mu rzuciła.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić - powiedział. - Małżeństwo z twoją siostrą było dla nas obojga kwestią wygody, ona chciała mieszkać w Izraelu, a ja musiałem szybko wydostać się z Rosji. Nie mogłem sypiać z Ja'arą. Musisz to zrozumieć. Mężczyzna może być mężczyzną tylko w kontaktach z kobietą.

- Co ograniczyło pole manewru do Stelli - zauważył Martin.

Samat unikał jego wzroku.

- Normalny mężczyzna ma normalne potrzeby...

Martin przez kilka długich sekund trzymał pistolet nieruchomo, po czym powoli opuścił lufę.

- Twój drugi stryj, ten, który mieszka w Cezarei, twierdzi, że okradłeś sześć spółek jego holdingu na sto trzydzieści milionów dolarów. Zaproponował mi milion dolarów za znalezienie ciebie.

Samat dostrzegł szansę ratunku.

- Zapłacę ci dwa miliony dolarów, żebyś mnie nie znalazł.

- Nie przyjmuję czeków.

Samat zrozumiał, że może jednak uda mu się wykaraskać z opresji.

- Mam akcje na okaziciela. Są ukryte w zamrażalniku lodówki.
  - Musimy załatwić jeszcze jedną sprawę - poinformował go Martin.
- W głosie Samata zaczęła na powrót pobrzmiwać pewność siebie.
- Czego tylko ci trzeba - odparł, przechodząc do rzeczy.

\* \* \*

Stella spędziła większość następnego rana przy telefonie, próbując znaleźć ortodoksyjnego rabinę, gotowego im pomóc. Stary rabin z Filadelfii dał jej numer swojego kolegi z Tenafly w New Jersey; nagrana zapowiedź w tamtejszej synagodze Chabad Lubawicz sugerowała, by każdy telefonujący w pilnej potrzebie w weekend próbował zadzwonić na numer domowego telefonu rabinę, który nie odpowiadał. Rabin z Beth Hannelses Hachodosh w Rochester wiedział, że rabin z Ezrath Israel w Ellenville w stanie Nowy Jork udzielał rozwodów, ale gdy Stella wybrała numer, trafiła na jego nastoletnią córkę; ojciec wyjechał do Izraela, wyjaśniła. Miał jednak kuzyna, który celebrował nabożeństwo w B'nai Jacob w pensylwańskim Middletown. Jeżeli to nagły przypadek, Stella mogła spróbować zadzwonić do niego. To właśnie rabin z Middletown zaproponował, by zatelefonowała do Abrahama Shulmana, rabina z synagogi Beth Israel na Crown Heights. Rabin Shulman, uprzejmy mężczyzna o gromkim głosie, wyjaśnił Stelli, że zwołana *ad hoc* rada rabinacka, złożona z trzech ortodoksyjnych rabinów, musi wydać sporządzony na zwoju dokument rozwodowy, *get*, i poświadczyć podpisy. Traf chciał, że właśnie zasiadał do niedzielnego brunchu z dwoma kolegami, jednym z Manhattanu, drugim z Bronksu, podobnie jak Shulman ortodoksyjnymi rabinami. Och, kochana, to niecodzienny przypadek, rada rabinacka może jednak poświadczyć podpisanie dokumentu rozwodowego przez męża, nawet gdy żona nie jest obecną ciałem, a następnie przesłać *get* do jej rabina w Izraelu, żeby go podpisała, a wówczas rozwód stałby się ostateczny. Rabin Shulman zapytał, ile czasu zajmie jej i domniemanemu mężowi dojazd do Crown Heights. Stella odparła, że mogą tam dotrzeć późnym popołudniem. Zanotowała jego wskazówki: przedostać się z Manhattanu do Brooklynu mostem Manhattańskim, dojechać Flatbush Avenue do Eastern Parkway, którą dotrą do Kingston Avenue. Synagoga zajmowała trzy najwyższe piętra kamienicy numer siedemset czterdzieści pięć przy Eastern Parkway po lewej stronie, jadąc od Nowego Jorku, tuż za skrzyżowaniem z Kingston.

Trzej rabini, wyraźnie osłabieni po brunchu, przyjęli ich w mrocznym, wyłożonym książkami gabinecie Shulmana na parterze pod synagogą.



Shulman, najmłodszy z tej trójki, był gładko ogolony i miał błyszczące jak jabłka policzki; dwaj pozostali rabini nosili potargane białe brody. Wszyscy trzej byli w czarnych garniturach i czarnych fedorach nasuniętych na tył głowy; u dwóch starszych wyglądało to zupełnie naturalnie, na głowie Shulmana stwarzało komiczny efekt.

- Który z was - zagrzmiał Shulman, przenosząc spojrzenie z Samata na Martina i z powrotem - jest szczęśliwym eksmężem *in spe*?

Martin, dzierżąc w kieszeni kurtki tetetkę, szturchnął nią Samata w plecy.

- Któż by uwierzył - bąknął Samat pod nosem, gdy powłócząc nogami, szedł po grubym dywanie - że zadałeś sobie aż tyle trudu, by mnie znaleźć, z powodu jakiegoś rozwodu.

- Coś pan mówił? - zapytał rabin siedzący na prawo od Shulmana.

- To ja, rozwodnik - oznajmił Samat.

- Skąd ten szalony pośpiech? - zapytał trzeci rabin. - Dlaczego nie mógł pan poczekać do otwarcia szulu w poniedziałek rano?

Stella improwizowała.

- Ma rezerwację na wieczorny lot do Moskwy z lotniska Kennedy'ego.

- W Moskwie też są ortodoksyjni rabini - zauważył Shulman.

Zielony ptak z haczykowatym dziobem i jaskrawoczerwonymi piórami między oczami, zamknięty w bambusowej klatce ustawionej na drewnianej drabinie obok sięgających sufitu półek z książkami, wskoczył na wyższy trapez i oświadczył głosem dźwięcznym jak dzwon:

- *Loz im zajn, loz im zajn.*

Rabin Shulman miał zakłopotaną minę.

- Moja papuga mówi w jidysz - wyjaśnił. - *Loz im zajn* znaczy „niech mu będzie”. - Uśmiechnął się do swoich kolegów. - Może to ha-Szem, niech Imię Jego będzie błogosławione, próbuje nam w ten sposób coś powiedzieć. - Zwrócił się ponownie do Samata: - Zakładam, że nie przyjechałby pan aż tutaj bez dowodu tożsamości.

Samat wręczył rabinowi swój izraelski paszport.

- Jest pan Izraelczykiem? - zapytał Shulman, wyraźnie zaskoczony. - Mówi pan po hebrajsku?

- Wyemigrowałem do Izraela ze Związku Sowieckiego. Mówię po rosyjsku.

- Związek Sowiecki już nie istnieje - zauważył Shulman.

- Miałem, rzecz jasna, na myśli Rosję.

- Wybacz pan moje pytanie - rzekł najstarszy z trzech rabinów - ale czy

jest pan Żydem?

- Moja matka jest Żydówką, co czyni mnie Żydem. Władze imigracyjne Izraela zaakceptowały dowody na to, gdy wpuściły mnie do kraju.

Stella wyjaśniła ogólną sytuację, a Shulman w tym czasie notował. Jej siostra, której izraelskie imię brzmiało Ja'ara, córka świętej pamięci Oskara Aleksandrowicza Kastnera z Brooklynu, w stanie Nowy Jork, mieszkała obecnie na osiedlu żydowskim na Zachodnim Brzegu o nazwie Kiriat Arba. Ja'arze i obecnemu tutaj Samatowi Ugor-Żyłowowi udzielił ślubu tamtejszy rabin, który nazywał się Ben Zion; Stella była świadkiem na uroczystości ślubnej. Samat porzucił później żonę, nie dając jej rozwodu. Tenże Samat, obecny tutaj, zaczął żywić wątpliwości i teraz pragnie złożyć podpis na dokumencie rozwodowym. Wystąpiła naprzód i wręczyła rabinom kartkę papieru, na której wypisano warunki rozwodu. U dołu widniał nagryzmołony podpis Samata.

Inteligentna papuga opadła z wrzaskiem na niższy trapez.

- *Nu szojn! Nu szojn!*

- To odpowiednik „zaczynamy” w jidysz - wyjaśnił Shulman.

Jeden ze starszych rabinów spojrział na Martina i zapytał:

- A pan kim jest?

- To dobre pytanie, rabbi - odparł Martin.

- Może zechciałby pan na nie odpowiedzieć - zaproponował Shulman.

- Nazywam się Martin Odum.

- On ma głębsze pokłady tożsamości niż tylko imię, rabbi - wyjaśniła Stella, patrząc Martinowi prosto w oczy. - Rzecz w tym, że nie jest całkowicie pewny, kim naprawdę jest. Ale co z tego, kobiety stale zakochują się w mężczyznach, którzy nie znają odpowiedzi na to pytanie.

Shulman odchrząknął. Trzej rabini pochylili się nad paszportem Samata.

- Człowiek na zdjęciu w paszporcie w ogóle nie przypomina tego pana - zauważył jeden z nich.

- Gdy przyjechałem do Izraela, nie nosiłem brody - wyjaśnił Samat.

- Proszę spojrzeć uważnie, po oczach poznać, że to ten sam człowiek - powiedziała Stella.

- Tylko kobiety potrafią rozpoznać mężczyzn po oczach - zauważył Shulman i zwrócił się do Samata: - Zaręcza pan, że jest pan Samatem Ugor-Żyłowem, mężem... - zerknął do swoich notatek - Ja'ary Ugor-Żyłowej z Kiriat Arba?

- Jak najbardziej - powiedziała Stella.

Rabin uraczył ją zboląłym spojrzeniem.

- Musi mówić za siebie.

- Tak - rzekł Samat i zerknął na Martina, opierającego się o ścianę koło drzwi, z ręką w kieszeni kurtki. - Zaręczam.

- Czy są jakieś owoce tego małżeństwa?

Gdy Samat zrobił zakłopotaną minę, Stella przetłumaczyła słowa rabina.

- Pyta cię, czy mieliście dzieci. - Potem zwróciła się bezpośrednio do Shulmana: - Odpowiedź brzmi: nie można mieć dzieci, jeżeli nie konsumuje się małżeństwa.

Jeden ze starszych rabinów upomniał ją:

- Proszę pani, biorąc pod uwagę, że on nie sprzeciwia się rozwodowi, myślę, iż mówi nam pani więcej, niż musimy wiedzieć.

- Czy ty, Samacie Ugor-Żyłowie, obecny tutaj, jesteś gotów dać swojej żonie, Ja'arze Ugor-Żyłowej, rozwód religijny, który nazywamy *get*, z własnej i nieprzymuszonej woli, tak ci dopomóż Bóg?

- Tak, tak, dam jej ten cholerny *get* - odparł ze zniecierpliwieniem Samat.

- Używacie panowie wielu słów na określenie czegoś tak nieskomplikowanego jak rozwód.

- Kabała uczy nas - zauważył Shulman, a dwaj jego koledzy skinęli głowami na znak zgody - że Bóg stworzył świat mocą słów. Mocą pańskich słów, panie Żyłow, stworzymy rozwód.

Stella uśmiechnęła się do Martina.

- Nie jest dla mnie niespodzianką, że słowa mają moc.

Samat miał oszołomioną minę.

- Co to za typ ten Kabała i co on ma wspólnego z moim rozwodem?

- Idźmy dalej - zaproponował Shulman. - Zgodnie z warunkami *get* - ciągnął, czytając z wręczonej mu przez Stellę kartki - pańska żona zatrzyma wszelki majątek i aktywa, jakie może posiadać pan w Izraelu, w tym dwupoziomowy dom na żydowskim osiedlu Kiriat Arba, samochód marki Honda oraz wszelkie środki na rachunkach bankowych otwartych na pana nazwisko w izraelskich bankach.

- Już wyraziłem na to zgodę. Podpisałem ten papier.

- Musimy się upewnić, czy rozumie pan, co pan podpisał - wyjaśnił Shulman.

- Czy nie został pan do tego zmuszony - dodał jeden z jego kolegów.

- Zgodnie z warunkami rozwodu - kontynuował rabin - oddaje pan tej radzie rabinackiej w depozyt milion dolarów w akcjach na okaziciela z

zamiarem przekazania wspomnianego miliona dolarów, pomniejszonego o hojny datek na żydowski program przesiedlania Żydów do Izraela w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, na własność swojej żonie, Ja'arze Ugor-Żyłowej.

Samat zerknął na Martina, który niepostrzeżenie skinął głową.

- Zgadza się, zgadzam się na to wszystko - rzekł pośpiesznie Samat.

- W takim razie - rzekł rabin - przygotujemy teraz na zwoju dokument rozwodowy do podpisu. Ów dokument wraz z dziewięciuset siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami dolarów w akcjach na okaziciela zostanie przesłany za pośrednictwem Federal Express rabinowi Ben Zionowi w Kiriat Arba. Ja'ara zostanie wezwana przed oblicze tamtejszej rady rabinackiej w celu podpisania *get* i wówczas pan i pańska żona będziecie formalnie rozwiedzeni.

- Jak długo potrwa przygotowanie zwoju? - zapytał od drzwi Martin.

- Mniej więcej trzy kwadransy - odparł Shulman. - Czy tymczasem możemy państwu zaproponować kawę?

Później Martin i Samat czekali przed synagogą, aż Stella sprowadzi packarda. Martin wślizgnął się na tylne siedzenie obok Samata.

- Dokąd teraz jedziemy? - zapytała Stella.

- Zawieź nas do Małej Odessy.

- Dlaczego mamy jechać do rosyjskiej części Brooklynu?

- Dowieź nas tam, a zobaczysz - odparł Martin.

Stella wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Czemu nie? Z pewnością wiedziałeś dotąd, co robisz.

Prowadziła duży samochód zatłoczoną w godzinach szczytu Ocean Parkway, mijając kolejne kwartały niemal identycznych szarych i ponurych kamienic czynszowych z kolorowym praniem łopoczącym na sznurach rozciągniętych na dachach. Samat dwukrotnie próbował nawiązać rozmowę z Martinem, który siedział z tetką w zaciśniętej prawej dłoni, a lewą trzymał Samata za przegub. Za każdym razem Martin przerywał mu szorstkim „yhm”. Stella nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Niewiele zdołałaś, gdy jest w tym swoim mrukliwym nastroju - zawołała przez ramię.

- Gdy dotrzesz do Brighton Beach Avenue, skręć w lewo - poinstruował ją Martin. - Na następnych światłach.

- Byłeś tu już wcześniej - stwierdził Samat.

- Zanim zostałem słynnym detektywem, tropiącym zaginionych mężów,

miałem dwóch klientów w Małej Odessie - wyjaśnił Martin. - Jedna sprawa dotyczyła porwanego rottweilera. Druga - krematorium prowadzonego przez czeczeńskich imigrantów.

Samat skrzywił się.

- Nie pojmuję, dlaczego Amerykanie wpuszczają Czeczenów do tego kraju. Jedyni porządni Czeczeni to martwi Czeczeni.

- Byłeś w Czeczenii? - zapytała Stella.

- Nie musiałem jechać do Czeczenii, żeby natknąć się na Czeczenów. W Moskwie wprost roi się od nich.

Martin nie umiał się powstrzymać.

- Jak ten, którego zwano Osmanem.

Morskie wodorosty w oczach Samata pociemniały, jakby odbiła się w nich chmura burzowa.

- Co wiesz o Osmanie?

- Wiem to, co wiedzą wszyscy - odparł otwarcie Martin. - Że Osmana oraz jego przyjaciółkę znaleziono jednego pięknego ranka wiszących głowami w dół na latarni w pobliżu murów Kremla.

- Osman nie był niewiniątkiem.

- Słyszałem, że przyłapano go, jak jechał pięćdziesiątką w strefie ograniczenia prędkości do czterdziestu kilometrów na godzinę.

Samat wreszcie zorientował się, że Martin żartuje sobie z niego.

- Jazda z nadmierną prędkością po Moskwie może być groźna dla zdrowia - przyznał. - Śmiecenie także.

- Skreć w lewo w Piątą Ulicę, tuż przed nami. Zaparkuj z lewej, tam gdzie jest całkowity zakaz parkowania.

- Przed krematorium? - zapytała Stella, skręcając.

- Yhm.

- Z kim się spotykamy? - zapytał niespokojnie Samat, gdy Stella ostrożnie podjechała do krawężnika i wyłączyła silnik.

- Jest prawie ósma - rzekł Martin. - Poczekamy tutaj, aż będzie ciemno i opustoszeją ulice.

- Zdrzemnę się przez kilka minut - zapowiedziała Stella.

Tych kilka minut przerodziło się w ponadgodzinną drzemkę; jazda samochodem tego dnia, by nie wspomnieć o zmartwieniach, dała się jej we znaki. Samat również drzemał bądź wydawał się drzemać z głową zwieszoną na piersi, mrugając powiekami zamkniętych oczu; Martin mocno dzierżył w dłoni kolbę tetetki. O dziwo, nie czuł się skonany, mimo że poprzedniej nocy

spał na kanapie Samata z przerwami (budzony co parę godzin przez Ormianina wołającego z zamkniętej na klucz szafy wnękowej, że musi iść do toalety). W czujności utrzymywało go przekonanie, że zemsta jest przejawem zdrowia psychicznego, że jeżeli rozegra tę sprawę do końca, dni jego zaburzeń są policzone; to ono zapewniało stały przyływ adrenaliny.

Gdy nad Małą Odessą zapadła ciemność, Rosjanie zaczęli wracać do swoich mieszkań. Ruch na Brighton Avenue za samochodem zmniejszył się. W oknach domów po obu stronach Piątej Ulicy pojawiły się światła; rozbłysła też żarówka w holu domu pogrzebowego po drugiej stronie jezdni. Dwa piętra powyżej drzwi ze złotym napisem „Akhdan Abdulkhadzhiev i Synowie - Krematorium” zapalił się wyszukany żyrandol wyposażony w lampki choinkowe i z otwartego okna popłynął trzeszczący dźwięk wygrywanych na akordeonie melodii, które miały wyraźnie środkowoazjatyckie brzmienie. Szczupły mężczyzna i nastolatek wyciągnęli wypełniony puszkami chałwy ręczny wózek na środek ulicy i skręcili w podjazd przy końcu кварталу. Dwie dziewczynki minęły packarda, skacząc przez skakankę w drodze do domu. Staruszka, niosąca rosyjską awoskę wypełnioną jarzynami, weszła pośpiesznie po schodach pobliskiej kamienicy z elewacją z piaskowca. Gdy wydawało się, że ulica opustoszała, Martin pochylił się do przodu i trącił Stellę w ramię.

Przekrzywiła lusterko wsteczne, żeby zobaczyć w nim jego twarz, i zapytała:

- Jak długo spałam?

- Kilka minut.

Samat otworzył oczy i stłumił ziewnięcie. Spojrzał w górę i w dół ulicy.

- Nie rozumiem, dlaczego przyjechaliśmy do rosyjskiej części Brooklynu  
- powiedział z niepokojem. - Jeżeli po to, żeby się z kimś spotkać...

Martin usłyszał głos w swojej głowie. *Chociaż raz w życiu nie rozważaj wszystkich za i przeciw - po prostu działaj zdecydowanie.*

- Dante?

*Nie musisz do niego strzelać, Martinie - za dużo huku. Użyj kolby. Rozwal mu kolano.*

- Z kim rozmawiasz? - zapytała Stella.

*Na litość boską, nie myśl o tym, po prostu to zrób!*

- Ze sobą - mruknął Martin.

Odczuwał silną pokusę - by uciec z więzienia, wykroczyć poza legendę Martina Oduma; stać się, choćby tylko na chwilę, kimś tak impulsywnym jak

Dante Pippen. Chwytnjąc za lufę tetetki, uderzył z całej siły rękoięścią w prawe kolano Samata. We wnętrzu packarda rozległ się wyraźny chrzęst rozłupywanej kości. Samat wpatrywał się z niedowierzaniem, jak brązowawa plama krwi wsiąka w materiał jego spodni. Później ból dotarł do receptorów w jego mózgu i Samat krzyknął w śmiertelnej udręce. Z oczu trysnęły mu łzy.

Stella odwróciła się w fotelu, oddychając z trudem.

- Postradałeś zmysły?

- Przeciwnie, właśnie je odzyskuję.

Samat wiał się z bólu, obejmując pogruclotane kolano obiema rękami.

- To ty zabiłeś Kastnera, prawda? - rzekł bardzo cicho Martin.

- Wezwij lekarza.

- To ty zabiłeś Kastnera - powtórzył Martin. - Przyznaj się, a skróć twoje cierpienia.

- Ze śmiercią Kastnera nie miałem nic wspólnego. Oligarcha kazał go zlikwidować, gdy Quest powiedziała mu, że próbujesz mnie znaleźć. Mój stryj i Quest... chcieli zatrzeć wszystkie ślady.

- Jak mordercy dostali się do domu, nie włamując się do środka?

- Quest dostarczyła klucze do drzwi i sygnalizatora instalacji alarmowej.

- Zabiłeś również Chinkę na dachu mojego domu - rzekł Martin.

Samatowi zaczęło ciec z nosa.

- Ludzie Quest powiedzieli Oligarsze o ulach na dachu. Wysłał snajpera na dach domu po drugiej stronie ulicy. Snajper wziął ją za ciebie. Jej śmierć była przypadkowa.

- Gdzie jest Oligarcha?

- Na miłość boską, ja muszę trafić do lekarza!

- Gdzie jest Oligarcha?

- Powiedziałem ci, że nie wiem.

- Wiem, że wiesz.

- Rozmawiamy tylko przez telefon.

- O numerze kierunkowym siedemset osiemnaście?

Gdy Samat nie odpowiedział, Martin wyciągnął rękę i otworzył drzwi po jego stronie.

- Przeczytaj nazwisko na drzwiach krematorium - rozkazał.

Samat próbował dostrzec nazwisko oczami zamglonymi przez łzy.

- Nie widzę...

- Akhdan Abdulkhadzhiev. Abdulkhadżijew to czeczeńskie nazwisko.

Krematorium to czeczeńska firma, której właściciele oskarżono o wyrywanie nieboszczykom złotych zębów przed kremacją. Jeżeli nie podasz mi numeru tego telefonu, wypchnę cię z samochodu, nacisnę dzwonek i powiem Czeczenom zasiadającym właśnie do kolacji na górze, że człowiek, który powiesił Osmana głową w dół na latarni w Moskwie, leży za progiem. Nie ma Czeczena, który nie zna tej historii, który nie skorzysta skwapliwie z okazji do wyrównania zaległych rachunków.

- Nie, nie. Numer... ten numer to siedemset osiemnaście pięćset osiemdziesiąt siedem dziewięćdziesiąt dwa dziewięćdziesiąt jeden.

- Jeżeli kłamiesz, rozwalę ci drugie kolano.

- Przysięgam na głowę mojej matki. A teraz zawieź mnie do lekarza.

Martin wysiadł z packarda, przeszedł na drugą stronę samochodu i chwytając Samata za ręce, wyciągnął go z tylnego siedzenia na chodnik. Usadził go na nim tak, że Ormianin opierał się plecami o drzwi krematorium, po czym przez kilka sekund przyciskał guzik dzwonka. W otwartym oknie dwa piętra nad jego głową ukazała się młoda kobieta.

- Krematorium jest już dzisiaj zamknięte! - krzyknęła.

- Za chwilę zostanie otwarte - zawołał w odpowiedzi Martin. - Słyszała pani kiedyś o Czeczenie nazywanym Osmanem?

Kobieta w oknie zniknęła w pokoju. Chwilę później ktoś zdjął igłę gramofonu z płyty grającej.

- O co chodzi z tym Osmanem? - krzyknął z okna starszy mężczyzna z fantazyjnym wąsem.

- Ormianin z Sojuszu Słowiańskiego, który zlinczował Osmana oraz jego przyjaciółkę niedaleko Kremla, siedzi przed progiem. Nazywa się Samat Ugor-Żyłow. Wasi czeczeńscy przyjaciele szukają go na całym świecie. Nie musicie się śpieszyć, z pogruchotanym kolanem nigdzie nie pójdzie.

- Na miłość boską, przez wzgląd na moją matkę nie możesz mnie tu zostawić - jęknął Samat.

Martin wyczuł poruszenie w pokoju u góry. Słysząc było dudnienie czyichś kroków na schodach.

- Zapal silnik - zawołał do Stelli. Gdy obszedł samochód i siadł obok niej, ból niczym prąd przeniknął jego chromą nogę. - Ruszajmy - powiedział. - Tylko nie przejeżdżaj na czerwonym świetle.

Zagryzając usta, żeby powstrzymać drżenie warg, Stella odbiła od krawężnika i ruszyła pustą ulicą. Martin odwrócił się w fotelu, żeby przyglądać się, jak Czeczeni wciągają Samata do krematorium. Stella musiała



to widzieć w lusterku wstecznym.

- Co oni z nim robią, Martinie?

- Przypuszczalnie wyrwą mu złote zęby cęgami, a potem wsadzą do jednej z najtańszych trumien, zabiją wieko gwoździami, rozpalą buchający ogniem piec i spalą go żywcem - odparł i dotknął grzbietu jej spoczywającej na kierownicy dłoni. - Samat zostawił za sobą krwawy ślad: Osmana i jego przyjaciółkę, twojego ojca, moją chińską przyjaciółkę, śmieciarzy pozamykanych w klatkach na wyspie na Jeziorze Aralskim, którzy zdychali, gdy wykorzystywał ich w charakterze królików doświadczalnych do testowania przydatności w wojnie biologicznej wirusów przekazanych Saddamowi Husajnowi. Lista jest długa.

Wskazując drogę, Martin skierował Stellę z powrotem do centrum Brooklynu. Gdy dotarli do Eastern Parkway, kazał jej zatrzymać się przy krawężniku. Wyciągnął z bagażnika papierową kopertę i biorąc Stellę za rękę, zaciągnął ją do ławki przy drodze.

- W środku jest milion dolarów w akcjach na okaziciela - wyjaśnił, wręczając jej kopertę. - Ukryj się na noc w jakimś motelu po drugiej stronie Holland Tunnel. Jutro jedź do Filadelfii i idź do największego banku, jaki zdołasz znaleźć, spienięż je i otwórz rachunek na swoje nazwisko. Potem pojedź do Jonestown w Pensylwanii. Nie do Johnstown. Do Jonestown. Znajdź mały dom na skraju miasta, coś z białymi deskami szalunkowymi, podwójnymi oknami i werandą dookoła oraz widokiem na pola kukurydziane. Musi mieć podwórko, gdzie możemy hodować kurczaki. Na pobliskim wzniesieniu znajduje się klasztor - musisz słyszeć z domu dzwony na jego wieży.

- Skąd wiesz o Jonestown i klasztorze?

- Obaj z Lincolnem Dittmannem pochodzimy z Jonestown. Zabawne, bo mieszkając tam, nie znaliśmy się. Moi rodzice przeprowadzili się do Brooklynu, gdy miałem osiem lat, ale Lincoln wychował się w Pensylwanii. Już niemal zapomniałem o Jonestown. On mi o nim przypomniał.

- Kim jest Lincoln Dittmann?

- Kimś, na kogo natrafiłem w innym wcieleniu.

- Co mam zrobić, gdy znajdę ten dom?

- Kup go.

- Może byś pojechał tam ze mną?

- Muszę się zająć kilkoma niezłatwionymi sprawami. Gdy się z nimi uporam, zjawię się w Jonestown.

- Jak mnie znajdziesz?

- Jonestown to małe miasto. Zapytam o stale mrużącą oczy ślicznotkę z cieniem uśmiechu na ustach.

Stella delectowała się chłodem nocnego powietrza. Na widok reflektorów przemykających obok samochodów wyobraziła sobie, że oboje osiedli w oazie spokoju w świecie bezustannego ruchu.

- Naprawdę pamiętasz, co się z tobą działo w Moskwie? - zapytała.

Martin uśmiechnął się.

- Nie. Fragment mojego życia, który przeżyłem we wcieleniu Józefa Kafkora, zniknął za zasłoną. Ale to, co utraciłem, w naszym wypadku niczego nie zmieni. Część życia Martina Oduma, którą chcę pamiętać, zaczyna się tutaj.

## 1997: Lincoln Dittmann wypełnia luki

- Drukarnia rządowa. Mówi Harvey Cleveland. Czym mogę panu służyć?
- Poznajesz mój głos, Feliksie?
- Prawdę mówiąc, nie. A powinienem?
- Czy hangar pod Pulaski Skyway z czymś ci się kojarzy? Szalony Teksańczyk nazwiskiem Leroy omal cię nie zastrzelił. Podskoczyłeś jak oparzony, słysząc, jak pęka kość jego nadgarstka.
- Słysząc było, jak Felix Kiick chichocze do telefonu.
- O wilku mowa - rzekł. - Lincoln Dittmann. Jak zdobyłeś ten numer? To ma być zastrzeżona gorąca linia.
- Jak się masz, Feliksie?
- Poczekaj... zaszyfruję tę rozmowę. - Nastąpiła seria zakłóceń, po czym głos Feliksa, głośny i wyraźny, znowu pojawił się na linii. - Jestem jedną nogą na emeryturze. Zostało mi jeszcze sześć tygodni, trzy dni i pół godziny i stąd znikam. A ty?
- Mniej lub bardziej w porządku.
- Mniej czy bardziej?
- Właściwie to bardziej.
- Pamięć ci wraca?
- Z moją pamięcią wszystko jest w porządku, Feliksie. Mylisz mnie z Martinem Odumem.
- Uwaga Lincolna zaskoczyła Kiicka.
- Być może - przyznał nieufnie. - Jesteś... Lincolnem Dittmannem?
- We własnej osobie.
- Dlaczego dzwonisz?
- Wypełniam luki. Pomyślałem, że mógłbyś mi w tym trochę pomóc.
- Powiedz mi, co wiesz - zaproponował powściągliwie Felix. - Może wspomnę o czymś, z czego nie zdajesz sobie sprawy.
- Wiem, co się przydarzyło Józefowi Kafkorowi w Prigorodnej. Był łącznikiem między ludźmi z wydziału Crystal Quest a Oligarchą, Cwietanem Ugor-Żyłowem. Gdy Józef doszedł do wniosku, że Quest uczestniczy w operacji prowadzonej w Prigorodnej, gdy zrozumiał, że w y m y ś l i ł a tę operację, pewnie zagroził, że zainteresuje sprawą kilku kongresmanów lub

senatorów. Wówczas ludzie wynajęci przez Oligarchę poddali go torturom, morzyli głodem, a w końcu pogrzebali żywcem.

- Chłonę każde twoje słowo, Lincolnie.

- Zanim posłali cię na przedemerytalną zieloną trawkę, do niańczenia klientów w ramach programu ochrony świadków FBI, byłeś sumiennym pracownikiem wydziału antyterrorystycznego. Chyba pamiętam, że w pewnym momencie zostałeś oddelegowany do ambasady amerykańskiej w Moskwie. Czy byłeś tam, gdy przywieźli Józefa Kafkora?

Lincoln s ł y s z a ł niemal, jak Kiick się uśmiecha.

- To całkiem możliwe - przyznał agent FBI.

- Ze względu na swoją rangę - zauważył Lincoln, mówiąc pośpiesznie, z bardzo krótkimi przerwami na złapanie oddechu między zdaniami - musiałeś być najważniejszym funkcjonariuszem FBI w ambasadzie. Musiałeś słyszeć plotki o tym, że wicedyrektor zarządu prowadzi tajną operację za czyjś pośrednictwem. Gdy Józef pojawił się na progu ambasady, pewnie przyszło ci na myśl, że to on może być tym pośrednikiem. Stan, w jakim się znajdował, ślady tortur na jego ciele, stan psychiczny musiały świadczyć o tym, że operacja wymknęła się spod kontroli. - Lincoln przerwał, by zaczerpnąć tchu. - Dlatego Oligarchę i Samata przerzucono do Stanów?

Felix wyraźnie westchnął.

- Od lat żyli na krawędzi; wojny gangów w Moskwie, Czeczeni, wrogie frakcje w Federalnej Służbie Bezpieczeństwa Rosji, zdegowani pracownicy KGB, którzy zostali na lodzie, przeciwnicy polityczni Jelcyna, niedoszli kapitaliści, których Oligarcha zrujnował w drodze na szczyty, do wyboru, do koloru. I wtedy na scenie pojawia się, ze swoimi skrupułami, Józef Kafkor. Quest zapewne zaręczyła Oligarsze, że tylko ona dowiedziała się o jego wyrzutach sumienia, ale Cwietan i Samat musieli mieć co do tego pewne wątpliwości. Ostatecznie Quest była osobiście zainteresowana dalszym prowadzeniem operacji. Gdy Józef został wyciągnięty z grobu, który wykopał dlań Oligarcha, i wylądował na ulicach Moskwy, Ugor-Żyłowowie nie uwierzyli w bajkę Quest, że nie pamięta siebie w tym wcieleniu. Samat pękł pierwszy. Nie podobał mu się pomysł wyjazdu do Stanów. Uważał, że bezpieczniej będzie ukryć się na żydowskim osiedlu na Zachodnim Brzegu, dostał się więc do Izraela. Oligarcha wytrzymał dłużej, ale w końcu on też się załamał i CIA sprowadziła go do Stanów.

- W ramach programu ochrony świadków?

- Skądże znowu. Był zbyt ważny dla Quest, by powierzać go opiece FBI.

Jej podwładni sami stworzyli legendę dla Oligarchy i umieścili go gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu.

- Tymczasem ty ochraniałeś Kastnera i jego córki.

- Lubiłem go.

- Jeżeli to będzie jakimś pocieszeniem, zważywszy, że przez ciebie stracił życie, on też cię lubił.

- Rozdrapujesz świeże rany.

- A w dniu, w którym Kastner powiedział ci - nazywał cię swoim przyjacielem w Waszyngtonie - że potrzebuje kogoś, kto odnajdzie Samata, musiałeś kusić los, nie mogłeś się oprzeć, prawda? Mogę sobie wyobrazić, według jakiego scenariusza rozegrały się zdarzenia po spotkaniu w Moskwie. W kimś takim jak ty człowiek znaleziony na tyłach ambasady, z poranionym ciałem, musiał wzbudzić niezwykle zaciekawienie. Pewnie zaintrygowało cię to, że CIA natychmiast się nim zainteresowała. Zapewne byłeś ciekaw, co stało się z Józefem Kafkorem po tym, jak przemycono go do Finlandii. Miałeś przyjaciół w CIA, musiałeś się dowiedzieć, że Józef Kafkor, przerzucony do Finlandii pod twoim nadzorem, odrodził się, że tak powiem, w nowym wcieleniu, jako Martin Odum; że koniec końców ten sam Martin Odum pracował jako prywatny detektyw na Crown Heights. Podałeś więc Kastnerowi jego nazwisko.

Gdy Kiick nie potwierdził ani nie zaprzeczył, Lincoln zapytał:

- Dlaczego?

- Dlaczego nie?

- Nie ściemniaj.

- Ten Oligarcha i jego bratanek Samat nadepnęli mi na odcisk. Crystal Quest również; wciąż pamiętam, jak arogancko się zachowywała, gdy FBI musiało przekazać jej nadzór nad akcją na Trójgraniczu. Poza tym FBI i CIA w ogóle serdecznie się nienawidzą. W dodatku muszą być jakieś granice. Mam na myśli doprowadzenie rosyjskiej gospodarki do ruiny...

- Jak do tego doszedłeś?

- Wystarczyło się rozejrzeć po Moskwie. Wystarczyło dostrzec uśmiechy samozadowolenia pracowników Zarządu Operacji przydzielonych do moskiewskiej placówki CIA. Quest sama zjawiała się tam kilka razy; nie można było nie zauważyć błysku prawdziwego triumfu w jej nabiegłych krwią oczach. Byli zamieszani w coś bardzo poważnego, było to oczywiste dla wszystkich dookoła. Przekształcali świat, na nowo pisali historię. I widzieliśmy, jak Jelcyn wprowadza w życie te szalone pomysły, których

autorem, według prasy, był Oligarcha: uwolnienie cen z dnia na dzień, które doprowadziło do hiperinflacji; sprywatyzowanie podstawowych gałęzi sowieckiego przemysłu, które Ugor-Żyłowa i kilku wtajemniczonych uczyniło bajecznie bogatymi, a resztę wpędziło w nędzę; napaść na Czeczenię, po której rosyjska armia ugrzęzła na Kaukazie. Nie trzeba było być geniuszem, by skojarzyć fakty. Zniszczenie rosyjskiej gospodarki, doprowadzenie do ubóstwa dziesiątek milionów ludzi, tak aby Stany Zjednoczone nie musiały pertraktować z potężną Rosją - cholera, to już była przesada. Chyba więc uznałem, że sprawiedliwości stanie się zadość, gdy to Martin Odum odnajdzie Samata i skłoni go do rozwodu. Myślę, że w głębi duszy byłem ciekaw, czy ewentualne spotkanie z Samatem nie odświeży Martinowi pamięci.

- Gdyby tak się stało, gdyby zdał sobie sprawę, że jest Józefem, chciałby się zemścić.

- Każdy zdrowy na umyśle człowiek chciałby tego na jego miejscu - odparł, bardzo ostrożnie, Felix.

- Kastner został zabity, prawda?

- Przypuszczalnie. CIA domagała się przeprowadzenia sekcji zwłok. Nie podobało mi się, jak to się rozegrało; trochę zbyt gładko. Martin wyjeżdża do Izraela, żeby natrafić na ślad Samata. Kastner umiera na atak serca, a młoda Chinka, ubrana w biały kombinezon Martina, zostaje śmiertelnie pokąsana przez pszczoły z jego ulla.

- Zwróciłeś na to uwagę.

- Na wszystko zwracam uwagę. Powiesz mi więc... czy Martin i córka Kastnera, Estelle, znaleźli Samata?

- Dlaczego sądzisz, że Estelle jest w to zamieszana?

- Dlatego, że zadzwoniłeś do mnie pod ten zastrzeżony numer. Musiałeś go skądś dostać. Przypuszczam - dodał ostrożnie Kiick, badając grunt - że Stella dała ten numer Martinowi, a on przekazał go tobie.

- Martin znalazł Samata tam, gdzie go ukryliście, na północy stanu, wśród amiszów. Przekonał go, by dał żonie rozwód. Paru rabinów z Brooklynu załatwiło formalności.

- Co się stało z Samatem, gdy już podpisał dokument rozwodowy?

- Mówił coś o tym, że chce odwiedzić swoich rosyjskich przyjaciół w Małej Odessie. Wtedy widziano go po raz ostatni, jak zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do Brighton Beach.

- Skoro Samat się znalazł, sprawa jest zamknięta.

- Jest jeszcze Oligarcha. Nie wiesz przypadkiem, gdzie obecnie przebywa?

- Nie wiem. Gdybym wiedział, i tak bym ci nie powiedział. Na wypadek gdybyś miał szansę go znaleźć, nie rób tego. Przypomnij sobie, co się przydarzyło Józefowi. Gdy tylko Oligarsze włos spadnie z głowy, Quest i jej ludzie pogrzebią cię żywcem.

- Dzięki za bezpłatną poradę.

- Kiedyś uratowałeś mi życie. Teraz ja próbuję uratować twoje.

## 1997: Lincoln Dittmann czuje odrzut broni palnej

Azyl odkryty przez Lincolna doskonale nadawał się na snajperską zasadzkę. W otwieranym pionowo oknie brakowało większości szyb, dzięki czemu mógł oprzeć whitwortha na ramie okiennej na wysokości barku - najlepiej strzelał z pozycji stojącej, z łokciem lewej ręki wspartym na żebrach. Samo okno było pokryte baldachimem z bluszczu, który rozrósł się po fasadzie opuszczonego szpitala usytuowanego po drugiej stronie Crown Street, nieco powyżej podkowiastej kamienicy nr 621, niedaleko Albany Avenue. Dla Strzelca wyborowego warunki pogodowe - słonecznie i zimno - były idealne; wilgotne powietrze mogło spowolnić i obniżyć lot kuli, powietrze suche i gorące - podwyższyć go. Wniósłszy karabin oraz torbę na zakupy do narożnego pokoju na czwartym piętrze po schodach usłanych potłuczonym szkłem i śmieciami, Lincoln zdjął grube robocze rękawice i pokrył opuszki wszystkich palców super glue. Następnie wyłożył na gazetę butelki z wodą do picia, batoniki Mars oraz pojemniki z jogurtem. Zawiązał na szyi białą jedwabną chustę-amulet Dantego Pippena i ustawił celownik whitwortha. Oceniał, że odległość od drzwi szpitala do chodnika przed kamienicą wynosi osiemdziesiąt jardów, po czym obliczył wysokość, na jakiej się znajdował, oraz długość przeciwprostokątnej powstałego w ten sposób trójkąta. Wyregulował małe kółka z tyłu mosiężnego celownika optycznego na karabinie, nastawiając ostrość na krzyż wiszący w wychodzącym na ulicę oknie parteru. Ołowiana kula kalibru 0,45 cala o sześciokątnym przekroju - która dzięki gwintowaniu sześciokątnej lufy co dwadzieścia jardów wykonywała w locie jeden pełny obrót wokół własnej osi - wyrzucona z prawidłowo wycelowanego i trzymanego pewną ręką karabinu mogła trafić we wszystko, co widział snajper. Sama królowa Wiktorja trafiła kiedyś w dziesiątkę z odległości czterystu jardów; była tak zachwycona tym wyczynem, że od razu przyznała tytuł szlachecki Josephowi Whitworthowi, konstruktorowi tego karabinu. Lincoln wsunął stempel do oporu, wprowadzając ręcznie zwijany kartonowy nabój do lufy, a następnie ostrożnie umieścił spłonkę na iglicy karabinu. Na końcu zdjął mosiężną zatyczkę i naciągnął na wylot lufy prezerwatywę, żeby zabezpieczyć przed kurzem i wilgocią. Z bronią gotową do strzału przykucnął przy parapecie, by



z dawnego szpitala Carson C. Peck Memorial przyjrzeć się budynkowi po drugiej stronie ulicy.

Aby znaleźć adres, który odpowiadał zastrzeżonemu numerowi telefonu, Lincoln użył jednej ze starych sztuczek Martina Oduma. Z budki przy Eastern Parkway zadzwonił do miejscowej firmy telefonicznej. W słuchawce odezwała się jakaś kobieta. Podobnie jak Martin w Londynie, Lincoln odzyskał na tę okazję zaniedbany irlandzki akcent Dantego Pippena.

- Mogłaby mi pani powiedzieć, jak mogę dostać nową książkę telefoniczną po tym, jak mój pies obgryzł spory kawał starej?

- Jakiej książki pan potrzebuje?

- Żółtych stron Brooklynu.

- Z przyjemnością wyślemy ją panu. Mogłabym prosić o podanie pańskiego numeru telefonu?

- Ależ oczywiście - odparł. - Siedemset osiemnaście pięćset osiemdziesiąt siedem dziewięćdziesiąt dwa dziewięćdziesiąt jeden.

Kobieta powtórzyła numer, żeby się upewnić, czy dobrze usłyszała, a potem zapytała:

- Jakiego ma pan psa?

- Irlandzkiego setera, ma się rozumieć.

- Cóż, następnym razem niech pan ją przed nim schowa. Życzy pan sobie czegoś jeszcze?

- Nowa żółta książka w zupełności wystarczy. Na pewno wie pani, dokąd ją wysłać?

- Sprawdzę w komputerze. Jest. Mieszka pan przy Crown Street sześćset dwadzieścia jeden w Brooklynie, zgadza się?

- Całkowicie, kochana.

- Życzę miłego dnia.

- Ja sobie również - rzekł Lincoln i zaraz potem odłożył słuchawkę.

Ze swojej kryjówki na czwartym piętrze opuszczonego i przeznaczonego do rychłej rozbiorczy szpitala obserwował, jak czarny nastolatek przejeżdża na deskorolce obok numeru sześćset dwadzieścia jeden, trzymając na ramieniu przenośny radiomagnetofon. Gdy zmierzchn okrył całunem okolicę i rozbłysły światła ulicznych latarni, grupa ludzi z dreadami i kolorowymi bandanami, których Lincoln wziął za Nikaraguańczyków, wysypała się z wożącej pasażerów na lewo taksówki i weszła gęsiego do budynku. Szykując się do rozbicia obozu na noc, Lincoln uważnie obejrzał budynek naprzeciwko przez celownik karabinu. Wszystkie okna na pierwszych pięciu piętrach miały tanie

rolety, niektóre zasunięte, niektóre podniesione do połowy; ludzie, którzy migali mu w odsłoniętych oknach, wyglądali na Portorykańczyków lub czarnych. Całe najwyższe piętro było chyba zajęte przez cel; wszystkie okna zaopatrzone w żaluzje - wszystkie, z wyjątkiem jednej, szczelnie zamknięte. Okazało się, że w pomieszczeniu, do którego mógł zajrzeć przez listwy żaluzji, mieści się kuchnia, wyposażona w ogromną lodówkę oraz kuchenkę gazową z podwójnym piekarnikiem. Krępa czarna kobieta w fartuchu wydawała się przygotowywać kolację. Od czasu do czasu przez kuchnię przechodzili jacyś mężczyźni; jeden z nich zdjął sportową kurtkę i Lincoln dostrzegł pistolet dużego kalibru wetknięty do kabury na ramieniu. Murzynka otworzyła piecyk, żeby polać tłuszczem dużą kaczkę lub indyka, a potem napełniła dwie wielkie miski karmą dla psów. Gdy stawiała je na podłodze, chyba krzyknęła do kogoś w sąsiednim pokoju. Chwilę później dwa charty rosyjskie wpadły w pole widzenia i natychmiast zniknęły pod parapetem okiennym.

Uprzątnąwszy gruz i usiadłszy na podłodze plecami do ściany, Lincoln uraczył się batonikiem i połową jogurtu z pojemnika. W sumie czuł ulgę, że to właśnie on będzie strzelał, a nie Martin Odum. Strzelanie nigdy nie było mocną stroną Martina; był zbyt niecierpliwy, by wytropić cel, przestawić szczerbinę celownika o jedną lub dwie działki, biorąc poprawkę na odległość oraz wiatr, i powoli pociągnąć (nie zaś szarpnąć) za spust; zbyt myślący, by zabić z zimną krwią, chyba że do działania sprowokowali go ludzie pokroju Dittmanna lub Pippena. Krótko mówiąc, Martin zbyt silnie się angażował, zbyt silnie poddawał nastrojom; gdy nawiedzony snajper, taki jak Lincoln, strzelał do ludzi, jedyne, co czuł, to odrzut karabinu. Obserwując cel, niespiesznie sprawdzając, czy trafi bez pudła, zabije jednym strzałem, Lincoln był w swoim żywiole. W Pensylwanii już jako mały chłopak miał karabin, polował na króliki i ptaki w lesie i na polach za domem w Jonestown. Kiedyś, posłany na „farmę” Firmy na kurs posługiwania się bronią palną i walki wręcz, pierwszego dnia zaimponował instruktorom na strzelnicy, gdy wręczyli mu przestarzały półautomatyczny karabinek M-1. Lincoln bez słowa obniżył żelazne przyrządy celownicze i wystrzelił raz do trzydziestosześcioletniej tarczy, licząc na to, że poderwie do góry trochę ziemi przed tarczą. Gdy to zrobił, podniósł szczerbinę o jedną działkę, co odpowiadało jednej minucie kąta podniesienia lub dziesięciu calom wysokości tarczy, i ułokował drugi nabój w czarnym polu. Wprowadził jednostkową poprawkę na wiatr, podniósł przyrządy celownicze i za trzecią

próbą trafił w środek tarczy.

Z nadejściem ciemności zrobiło się zimno. Lincoln postawił kołnierz Odumowego płaszcza i otulając się nim ciasno, zapadł w drzemkę. Jego umysł zapełniły obrazy żołnierzy w białych opaskach na głowie, nacierających na kamienny mur biegnący wzdłuż zapadniętej drogi; słyszał huk dział i terkot wystrzałów karabinowych, a nad polem bitwy unosił się dym i widmo śmierci. Obudził się siłą woli, by sprawdzić położenie fosforyzujących wskazówek na tarczy zegarka i sytuację w budynku po drugiej stronie ulicy. Zapadłszy znowu w niespokojny sen, przeniósł się w bardziej pogodną scenerię. Chude dziewczyny w zwiewnych sukienkach wrzucały monety do szafy grającej i kołysały się przytulone przy dźwiękach *Don't Worry, Be Happy*. Muzyka ucichła i Lincoln stwierdził, że wdycha cząstki wody z fontanny na Monte Giannicolo, jednym z siedmiu wzgórz Rzymu. Mijała go elegancko ubrana kobieta oraz karzeł w płaszczu do kolan zapiętym po samą szyję. Lincoln usłyszał, jak sam mówi: *Nazywam się Dittmann. Poznaliśmy się w Brazylii, w przygranicznym mieście Foz do Iguaçu. Twoje dzienne imię brzmiało Lucia, imię nocne - Paura. Usłyszał odpowiedź podekscytowanej kobiety: Pamiętaj cię! Twoje dzienne imię przypadkiem brzmi tak samo jak imię nocne, czyli Giovanni da Varrazano.* W swoich urojeniach Lincoln dogonił schodzącą ze wzgórza kobietę. Chwycił ją za ramiona i potrząsał, dopóki nie zgodziła się spędzić z nim reszty życia, hodując małe poliestry na farmie w Toskanii.

Sprawdzając znowu budynek po drugiej stronie ulicy, Lincoln dostrzegł pierwsze blade ochrowe plamy barwiące ponure niebo nad dachami na wschodzie. Przygotowanie zabójstwa było nadszpiewanie łatwe. Uliczkami za Albany Avenue przedostał się na podwórko na tyłach restauracji Xinga. Starym bosakiem, ukrytym za rdzewiejącą lodówką, szarpnął za dolny szczebel drabiny na schodach pożarowych i wspiał się na dach. Pszczoły już dawno temu opuściły ule Martina, łącznie z tym, który - jak się zdawało - eksplodował; na papie widoczne były plamy czegoś, co przypominało zaschniętą melasę. Wyciągnąwszy klucz, ukryty przez Martina za luźną cegłą gzymsu, Lincoln otworzył drzwi i dostał się do sali bilardowej. Przeszedł przez ciemne mieszkanie do stołu bilardowego, który służył Martinowi za biurko, i z mahoniowego pojemnika na cygara wyjął jeden zwijany ręcznie nabój do karabinu; kilka lat wcześniej sam wykonał tę amunicję, wystarawszy się o wysokogatunkowy proch czarny i odmierzywszy go na wadze aptekarskiej. Wkładając nabój do kieszeni,

podniósł ze stołu whitwortha i zdmuchnął kurz z mechanizmu spustowego. Była to zaskakująco lekka broń, wspaniale leżała w rękach. Ten karabin pierwotnie był jego własnością; nie pamiętał, jak trafił w posiadanie Martina Oduma. Zanotował w pamięci, by któregoś dnia zapytać go o to. Ścierając z broni odciski palców, zawinął ją w jeden z płaszczy Martina i przewiesił przez ramię. Potem, wyciągnawszy grube rękawice robocze, znalezione w tekturowym pudle, zszedł z powrotem na dół, wydobył torbę na zakupy wypełnioną żywnością, którą przygotował tego rana, i klucząc opustoszałymi ulicami Crown Heights, dotarł do masywnego budynku z napisem „Carson C. Peck Memorial Hospital” i datą „1917” wrytymi na jego kamiennej podstawie. Włamanie się do środka okazało się stosunkowo proste; na tyłach szpitala, od strony Montgomery Street, dzicy lokatorzy wycięli dziurę w drucianym ogrodzeniu, które firma rozbiórkowa ustawiła wokół posesji, a jedno z drzwi na parterze były uchylone. Przyczaiwszy się wewnątrz budynku, żeby zorientować się w sytuacji, Lincoln usłyszał stłumiony odgłos suchego kaszlu dolatującego z klatki schodowej, co sugerowało, że dzicy lokatorzy zainstalowali się w podziemiach szpitala.

Ochrowe żyłki rozciągnęły się na niebie w smugi dziennego światła, wydobywając z mroku sylwetki dachów. Masując ramiona, by się rozgrzać i rozluźnić, Lincoln wstał i poszedł po cichu w kąt pokoju załatwić się pod ścianą. Wracając do okna i klękając przy parapecie, zauważył światło w oknie kuchni na najwyższym piętrze budynku naprzeciwko. Murzynka, otulona frotowym szlafrokiem, przygotowywała kawę w dwóch dużych dzbankach. Gdy kawa była gotowa, kobieta napełniła nią osiem kubków i niosąc je na tacy, zniknęła z pola widzenia. Poniżej z wejścia do budynku wyłoniły się dwie Nikaraguanki w długich zimowych płaszcach, jasnych szalikach i naciągniętych na uszy czapkach z dzianiny. Ruszyły w pośpiechu w stronę stacji metra przy Eastern Parkway. Dwanaście minut później do krawężnika przed kamienicą podjechało czarne bmw. Kierowca, wysoki mężczyzna w skórzanym płaszczu do kolan i czapce szofera, wysiadł z samochodu i stał, opierając się na otwartych drzwiach. Gdy oddychał, z ust wydobywały mu się kłęby pary. Kilka razy zerknął na zegarek i tupał nogami, żeby zapobiec drętwieniu stóp. Porównał numer nad wejściem do budynku z informacją napisaną na skrawku papieru. Wyglądało na to, że się uspokoił na widok dwóch mężczyzn przepychających się przez ciężkie drzwi budynku numer sześćset dwadzieścia jeden na ulicę. Obaj byli odziani w kurtki marynarskie z podniesionymi kołnierzami. Mężczyźni, najwyraźniej

ochroniarze, powitali kierowcę machnięciami dłoni. Jeden z nich przeszedł wolnym krokiem na róg ulicy i spojrział w Albany Avenue. Drugi odszedł kilka kroków w lewo i sprawdził sytuację na Crown Street. Wracając do bmw, przyjrzał się oknom opuszczonego szpitala po drugiej stronie jezdni.

Przygotowania ochrony były wyraźnie powierzchowne; ochroniarze zachowywali pozory, ale w ich gestach nie było oznak pośpiechu, co często się zdarzało, gdy chroniony człowiek ukrywał się i ludzie odpowiedzialni za jego bezpieczeństwo zakładali, że ewentualni wrogowie nie zdołają znaleźć jego kryjówki. Wróciwszy w pobliże bmw, ochroniarze i kierowca prowadzili rozmowę towarzyską. Jeden z członków ochrony usłyszał zapewne sygnał w swoim radiotelefonie, ponieważ wyciągnął go z kieszeni i spoglądając na zamknięte żaluzje, mruknął coś do słuchawki. Po upływie kilku minut drzwi kamienicy znowu otwały się na oścież i ukazał się w nich jeszcze jeden ochroniarz. Z trudem powstrzymywał dwa charty rosyjskie uwiązane na długich smyczach. Ku rozbawieniu mężczyzn czekających nieopodal samochodu psy praktycznie zaciągnęły go do rynsztoka. Za nim w drzwiach pojawił się przysadzisty zgarbiony mężczyzna w ciemnych okularach, z grzywą srebrnych włosów. Trzymał w zębach cygaro i szedł za pomocą dwóch aluminiowych kul, wyrzucając biodro do przodu i ciągnąc za nim nogę, a następnie powtarzając ten ruch drugim biodrem. Gdy dotarł do końca przejścia przed kamienicą, przystanął, by odetchnąć. Jeden z ochroniarzy otworzył tylne drzwi bmw. W narożnym pokoju po drugiej stronie ulicy Lincoln wstał i kładąc karabin na ramie okna, wsparł łokieć lewej ręki na klatce piersiowej. Zamknąwszy lewe oko, przycisnął prawe do celownika optycznego i przesuwając wylot lufy whitwortha w górę, dopóki siatka nitek nie zatrzymała się na czole celu tuż nad grzbietem jego nosa. Nacisnął na spust z tak pedantyczną powściągliwością, że wybuch płomienia na iglicy zamka, wylot kuli z lufy oraz przyjemny odrzut kolby na ramieniu były dla niego zaskoczeniem. Kierując ponownie okular celownika na cel, zobaczył, że z szarpanej rany pośrodku czoła mężczyzny sączy się krew. Ochroniarze usłyszeli huk, ale jeszcze nie skojarzyli go ze strzałem. Mężczyzna przytrzymujący otwarte drzwi auta pierwszy zauważył, że ich podopieczny pada na chodnik. Skoczył naprzód, by chwycić go pod pachami, i wołając o pomoc, położył go na ziemi.

Zanim ochroniarze zorientowali się, że człowiek, którego chronili, został zastrzelony, Lincoln, nie zważając na bolesne skurcze w chromej nodze, już dawno zmierzał do dziury w drucianym płocie.

## **1997: Crystal Quest zaczyna wierzyć w troistość Dantego**

Dante Phippen, mistrz szpiegowskiego rzemiosła, zajął miejsce z tyłu sali w restauracji Xinga, siadając tyłem do stolików i twarzą do lustra, w którym mógł śledzić, kto wchodzi i wychodzi. Zmierzył wzrokiem dwóch ludzi w trenczach, którzy weszli do lokalu z wybiciem godziny dwunastej. Obaj mieli śmiertelnie poważne miny, co wskazywało, że służą w Biurze Bezpieczeństwa CIA. Ten z kalafiorowatymi uszami zawodowego boksera dał nura za bar, żeby upewnić się, czy Tsou Xing, który jak zwykle pilnował interesu z za kasy, nie trzyma pod ladą jakiegoś obrzyna. Drugi mężczyzna, o ramionach i karku sztangisty, ignorując Dantego, wszedł przez wahadłowe drzwi do kuchni. Po chwili znowu się pojawił i stanął przed drzwiami z rękami założonymi na wydatnym torsie.

Niedługo potem w drzwiach restauracji pojawiła się Crystal Quest. Wchodząc do ciemnego wnętrza z oślepiającego słońca Albany Avenue, na chwilę straciła zdolność widzenia. Kiedy ją odzyskała, dostrzegła Dantego i ruszyła w jego stronę, bębniąc grubymi obcasami praktycznych butów w pokrytą linoleum podłogę.

- Kopę lat - powiedziała, wślizgnąwszy się na pozbawioną oparcia ławę naprzeciw niego. - Jak zwykle wyglądasz na zdrowego jak ryba, Dante. Nadal ćwiczysz na tym przyrządzie do treningu wioślarskiego?

Dante zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Bierzesz mnie za Martina Oduma, Fred. To on ma ten przyrząd.

Quest, która znała się na żartach, zareagowała nerwowym uśmiechem.

- Może tak strzelimy sobie po jednym? - zaproponował Dante.

- Alkohol jest właśnie tym, co zalecił mi lekarz. Poproszę coś z dużą ilością lodu.

Dante głośno poprosił o czystą whiskey i mrożone daiquiri ze sporą ilością lodu. Tsou potwierdził zamówienie machnięciem zdrowej ręki. Czekaając na drinki, Dante obserwował, jak Quest bawi się w zamyśleniu żabotem swojej koszuli. Zauważył, że żakiet jej spodnium, podobnie jak skóra wokół oczu, jest pomarszczony; że na jej farbowanych na rdzawy kolor włosach pojawiają się szare jak sadza odrosty.

- Wyglądasz na sterana, Fred. Praca cię tak dołuje?

- Rola wicedyrektor Zarządu Operacji instytucji wywiadowczej, która zmienia się w klub towarzyski zrzeszający ludzi stosujących najnowocześniejsze techniki i nieznoszących ryzyka, nie jest łatwa - odparła.  
- W Langley są osoby, które nic nie robią, tylko od świtu do nocy gapią się na dane przesyłane przez satelity, jakby zdjęcie satelitarne mogło powiedzieć, co przeciwnik z a m i e r z a zrobić z tym, czym dysponuje. Potworny sposób kierowania agencją szpiegowską. Obcięli nam budżet, prezydent nie przejawia zainteresowania lekturą nocnych raportów, które dla niego przygotowujemy, i nie ma na nią czasu, liberalna prasa atakuje nas za nasze sporadyczne potknięcia. Rozumie się samo przez się, że nie chełpimy się naszymi sporadycznymi sukcesami...

Chińska kelnerka w obcisłej spódniczce rozciętej na jednym udzie postawiła drinki na stoliku. Widok w lustrze oddalającej się chyłkiem dziewczyny przypomniał Dantemu o Minh, nieodżałowanej pamięci chińskiej przyjaciółce Martina.

- A macie w ogóle jakieś? - zapytał.

Chrupiąc kawałki lodu, Crystal straciła wątek.

- Czy mamy jakieś co?

- Sukcesy.

- Parę by się znalazło.

- Jak firma w Prigorodnej - mruknął Dante.

Quest spojrzała nań zimnym wzrokiem.

- O jakiej firmie w Prigorodnej mówisz?

- Na litość boską, Fred, nie zgrywaj się na niewiniątko - mruknął Dante. -

Wiemy, co się przydarzyło Józefowi Kafkorowi. Wiemy, że wicedyrektor Zarządu Operacji dostarczyła kapitału na rozpoczęcie działalności armeńskiemu sprzedawcy używanych samochodów, żeby mógł opanować rosyjski rynek aluminium. Wiemy, jak Ugor-Żyłow, zwany również Oligarchą, zaskarbił sobie względy Jelcyna, załatwiając publikację jego książki, organizując jego ochronę osobistą i zapełniając jego konto bankowe. Kiedy tylko Oligarcha znalazł się w najbliższym kręgu prezydenta, skłonił go do uwolnienia cen i sprywatyzowania podstawowych gałęzi przemysłu rozwiązanego Związku Sowieckiego. Wiemy, że podkusił Jelcyna do ataku na Czeczenię akurat wtedy, gdy Armia Czerwona dochodziła do siebie po fiasku interwencji w Afganistanie. Wiemy, że przez pierwsze lata dziewięćdziesiąte człowiekiem rządzącym Rosją zza kulis był ni mniej, ni

więcej tylko... Fred Astaire. Wiemy, że Fred doprowadziła ją do ruiny, tak aby nowa Rosja, powstająca z popiołów Związku Sowieckiego, nie mogła konkurować z Ameryką.

Wydawało się, że krew odpływa z policzków Quest, aż jedyny kolor, jaki na nich pozostał, dawały plamy różu, który nałożyła podczas lotu z Waszyngtonu. Wsadziła łyżeczką do ust kolejną kostkę lodu.

- My, czyli kto?

- No, myślałem, że to oczywiste. Martin Odum, były agent CIA w terenie, który został detektywem specjalizującym się w ściąganiu długów ludzi grających w madżong. Lincoln Dittmann, zapalony znawca wojny secesyjnej, który rzeczywiście poznał poetę Whitmana. I wreszcie ostatni, ale z pewnością nie mniej ważny, twój szczerze oddany Dante Pippen, irlandzki dynamitard z Castletownbere.

Quest parsknęła gorzkim śmiechem.

- Ta sprawa z Lincolnem, twierdzącym, że był świadkiem bitwy pod Fredericksburgiem, to wspaniały teatr. Zwiódł nas wszystkich: psychiatrę, mnie, komisję, która od czasu do czasu spotykała się, by dokonać przeglądu sytuacji, podjąć decyzję, czy rozwiązać z tobą umowę, czy cię zlikwidować. Wszyscy zakładaliśmy, że Martin Odum jest pomyłony. To dla mnie nauczka, by nikomu nie wierzyć na słowo.

Dante wzruszył ramieniem, powoli sącząc whiskey.

- Jeżeli to dla ciebie jakaś pociecha, wiedz, że Lincoln był świadkiem bitwy pod Fredericksburgiem.

Quest uniosła brew; nie lubiła, gdy ją nabierano.

- Po co musiałeś się ze mną spotkać, Dante? Co jest aż tak ważne, że nie mogło czekać, aż uzyskasz sposobność przyjazdu do Langley?

- Ubezpieczyliśmy się na wypadek śmierci, nagraliśmy na taśmę informację o tym, co chcesz ukryć przed światem: o operacji prowadzonej w Prigorodnej; informację o tym, jak dostarczyłaś klucze do dziupli Kastnera, żeby ludzie Oligarchy mogli dostać się do środka i go zamordować; o tym, jak powiedziałaś im o ulach Martina, co doprowadziło do śmierci młodej Chinki imieniem Minh. Dodaj do tego historię ze snajperem, który usiłował zabić Martina w Hebronie. By nie wspomnieć o Czechach, którzy dali mu w Pradze samochód oraz pistolet i kazali uciekać. Te próby zamachów na jego życie wyraźnie noszą twoje piętno.

- To bzdura. Wiedząc to, co wiem, naładowanie pistoletu ślepakami byłoby ostatnią rzeczą, jaką bym zrobiła.



- Skąd wiedziałaś, że pistolet naładowano ślepymi nabojami?

Ścierając cień z powieki, Quest umazała sobie koniuszek palca. Dante uznał brak odpowiedzi za odpowiedź.

- Posłuchaj, Fred, jeżeli którykolwiek z nas umrze inaczej niż ze starości, taśmy zostaną skopiowane i przekazane wszystkim członkom powołanej przez Kongres Podkomisji Nadzoru, a także wybranym dziennikarzom liberalnej prasy, która donosi o waszych sporadycznych potknięciach.

- Blefujesz.

Dante zadarł głowę i popatrzył jej w oczy.

- Jeżeli tak sądzisz, wystarczy zmusić nas do odkrycia kart.

- Słuchaj, Dante, wszyscy dojrzewaliśmy w czasach zimnej wojny. Wszyscy walczyliśmy w słusznej sprawie. Jestem pewna, że możemy znaleźć jakieś rozwiązanie.

- W naszym programie jest jeszcze jeden punkt. Odbyliśmy spotkanie, aby zdecydować, czy położyć kres twojemu życiu, czy karierze. Stosunkiem głosów dwa do jednego zwyciężyła druga opcja. W ciągu tygodnia chcemy przeczytać w gazetach, że legendarna Crystal Quest, pierwsza kobieta na stanowisku wicedyrektora Zarządu Operacji, weteranka trzydziestodwuletniej wiernej i mistrzowskiej służby dla Centralnej Agencji Wywiadowczej, została posłana na zieloną trawkę.

Quest, wmanewrowana wbrew swojej woli w rozważania na temat troistości Dantego, zapytała:

- Kto był tym, który głosował za pozbawieniem mnie życia?

- Jak to kto? Oczywiście Martin, chociaż jako najbardziej wrażliwy z naszej trójki chciał, żebym to ja lub Lincoln wykonał brudną robotę. - Dante uśmiechnął się sympatycznie. - Niektórzy ludzie przebaczą, ale nie zapominają. Martin przeciwnie, zapomina, ale nie przebacza.

- O czym zapomina?

- O tym, czy Martin Odum to legenda, czy też prawdziwy on.

- To prawdziwy on, pierwsza legenda. Pracowałeś dla wywiadu wojskowego...

- Chcesz powiedzieć, że to Martin pracował dla wywiadu wojskowego.

Quest skinęła głową.

- Specjalnością Martina byli wschodnioeuropejscy dysydenci. Natrafiłam na artykuł, który Martin opublikował w kwartalniku wywiadu wojskowego. Przedstawił w nim dwie kategorie dysydentów:

antykomunistów, którzy chcieli całkowicie zniszczyć komunizm, oraz zwolenników komunizmu, którzy chcieli oczyścić go z pozostałości stalinizmu i zreformować ustrój. W swoim artykule, dowodzącym dalekowzroczności autora, przewidywał, że koniec końców zwolennicy komunizmu mogą wywrzeć większy wpływ na przemiany w Europie Wschodniej i - ostatecznie - w samym Związku Sowieckim niż antykomuniści. Pamiętam, że... Martin powoływał się na proces Pavla Slánskiego w Pradze, twierdząc, że był on pierwowzorem reformatorów, którzy nastali po nim, Dubčeka w Czechosłowacji i Gorbaczowa w Związku Sowieckim.

- I zwabiłaś go z wywiadu wojskowego do CIA?

- Komisja do spraw Legend przygotowała dla niego przykrywkę, wykorzystując jego prawdziwe nazwisko i tyle z jego rzeczywistej przeszłości, ile tylko mogła. Mieszkał w Pensylwanii, dopóki jego ojciec nie przeniósł się z rodziną do Brooklynu. Martin liczył wówczas coś koło ośmiu lat. Wychował się na Eastern Parkway, chodził do szkoły publicznej numer sto sześćdziesiąt siedem, regularnie bywał na Crown Heights, miał nawet szkolnego kumpla, którego ojciec był właścicielem chińskiej restauracji przy Albany Avenue. Kiedy okazało się, że potrafi się posługiwać materiałami wybuchowymi, przez pewien czas kazaliśmy mu robić bomby-przesyłki lub przerabiać telefony przenośne w taki sposób, by można było je detonować na odległość. Martin był ostatnim agentem, którego osobiście prowadziłam, zanim dali mi kopa w górę, bym kierowała funkcjonariuszami prowadzącymi agentów. Odum, którego wymyśliliśmy, nie był detektywem. To coś, co ty... co Martin dodał do swojej przykrywki, gdy jego kariera w Firmie dobiegła końca. - Quest, roztrzęsiona, zaczęła gryźć kolejny okrusz lodu.

Dante wetknął pod popielniczkę banknot dziesięciodolarowy i wstał.

- Przekażę to wszystko Martinowi, jeżeli się z nim zobaczę. Podejrzewam, że odetchnie z ulgą.

Quest spojrzała na Dantego.

- To ty zastrześliłaś Oligarchę.

- Fred, na litość boską.

- Wiem, że to ty, Dante. To zabójstwo w twoim stylu.

Dante zaśmiał się lekko, ta uwaga przyprawiła go o przyjemny dreszcz grozy.

- Tracisz umiejętność oceny sytuacji. Okłamując cię, nic nie zyskuję. To Lincoln załatwił Oligarchę. W relacjach prasowych stwierdzono, że policja

nie mogła zidentyfikować kuli z broni, którą dokonano morderstwa, co oznacza, że Lincoln musiał posłużyć się tym karabinem snajperskim z czasów wojny secesyjnej, który znalazłaś dla niego, gdy przygotowywaliście legendę Dittmanna. Chryste, to naprawdę komiczne. Martin i ja nie wiedzielibyśmy nawet, jak załadować to cholerstwo.

Parskając z zadowolenia, Dante skierował się do wyjścia. Sztangista ruszył za nim od drzwi kuchennych, a zawodowy bokser okrążył bar, by zastąpić mu drogę.

- Tylko bez przemocy w lokalu, dołła? - zawołał piskliwym głosem Tsou Xing.

Irlandzka zapalczywość Dantego dała znać o sobie. Zerkając przez ramię na Quest, bardzo cicho zapytał:

- Mam rozumieć, Fred, że zmusisz nas do odkrycia kart?

Ich spojrzenia się spotkały, po czym Quest odwróciła wzrok, odetchnęła głęboko i kiwnęła wskazującym palcem. Dwaj lokaje z Biura Bezpieczeństwa zatrzymali się w miejscu. Dante skinął głową jakby oswajał się z doniosłą informacją z czymś, co mogło zmienić jego legendę i przedłużyć jej żywot. Nucąc pod nosem jedną z ulubionych piosenek Lincolna, *Don't Worry, Be Happy*, pchnął drzwi restauracji i wyszedł na oślepiające słońce.

## Przypisy

---

- [1] Joyce, *Ulisses*, przeł. M. Słomczyński, Warszawa 1981 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Fragment *It's alright Ma (I'm Only Bleeding)* z albumu *Bringing it all Back Home* (1965).
- [3] *Shamus* (ang.) - prywatny detektyw.
- [4] *Jarcajt* (hebr.) - dosł. rocznica (śmierci bliskiej osoby).
- [5] American Society for Prevention of Cruelty to Animals - Amerykańskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec: Zwierząt.
- [6] Dosł. miękkie pobocze.
- [7] Walt Whitman, *Widok w obozie, gdy wstaje szary, przyćmiony świt*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.